

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 220.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

—•••—
Rok 1895. — Tom IV.

—•••—
WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Nowo-Zielna Nr 49.

—
1895.

4620. 1895. 4

II.



30.000,-

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 9 Октября 1895 года.

X-14321
4620 / <u>II</u> 4.
/1895

09. 26. 220.

NA SŁUŻBIE.¹⁾

Juliusz relację zdał matce śpiesznie i z obowiązku tylko. Słowa padały z ust jego gniewne i surowe, a wydobywał je z siebie z widocznym przymusem. Wzrok miał spuszczonego ku ziemi. Rzeczywiście przy tem opowiadaniu, wspomnienia minionych przeżyć odżyły w nim tak wyraźnie, że na nowo widział siebie wchodzącego do nędznego szynku, gdzie jego ojciec, okryty błotem ulicznym, w odzieniu ohydnie poplamionem, miał być właśnie zabrany przez policję. Widział siebie potem siadającym do dorożki, z tym obdartym starcem, którego był synem, pod okiem zebranej gawiedzi, wśród której rozniosła się wieść, że ten młody pan, porządnie ubrany, to był Skierka, odnajdujący w szynku ojca, właściciela kilku folwarków. Juliusz czuł jeszcze przechodzącą mu dreszczem po ciele, bijącą mu krwią do głowy, chłostę tych spojrzeń zebranego tłumu, tych szeptów, tej ciekawości, nie darowującej żadnego upokorzenia tym, którzy się na nią wystawili. Zdawało mu się, że ten cały wstyd, ta hańba, była nieznośnym ciężarem, pod którym uginały się jego barki, że on już nigdy z pod tego ciężaru się nie podniesie, że to było coś strasznego, co mu już nigdy, nigdy w życiu nie pozwoli spojrzeć w oczy nikomu, ani znajomym swoim, ani służącym, że każdy, co go spotka, będzie tak jak on widział tę straszną sce-

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy „Biblioteki Warszawskiej.”

nę przenoszenia pijanego starca do doróżki. To wszystko, co go dotąd spotykało, grubijaństwo wierzycieli, które znosić musiał, nie mogąc oddać kapitału, praca nad siły, tęsknota za tą, którą kochał, wszystko to było niczem w porównaniu z tem upokorzeniem, z tem przybiciem do ziemi, którego doznawał w tej chwili. Chciał-by był, jak zranione zwierzę, zachołgać się w jaki kąt, gdzieby żadne spojrzenie go nie dosięgło. Chciał-by był nie istnieć. Wzdychał do tego, żeby nie być! Bo jakie może być istnienie człowieka, który jest na zawsze odziany wstydem, jak błotem, którego unurzano w kałuży, a on już nigdy z brudu się nie otrząśnie i plugawym będzie do śmierci. Takiemu pozostają dwie rzeczy: odebrać sobie życie, lub samemu zostać pijakiem i nędzarzem, którego już wstyd nie boli, dla którego nurzanie się w kałuży jest rozkoszą. Ale on takim człowiekiem zostać nie mógł. Miał ręce i sumienie czyste i czystość tę dotąd milował nad wszystko. Począł namiętnie marzyć o samobójstwie. Była to żądza nieistnienia, którą podsuwała mu rozpacz, zraniona duma, podeptana miłość własna. W myśli tej znalazł chwilową ulgę. Tak, w każdej chwili można przestać istnieć, można nawet, krwią własną, zmyć do pewnego stopnia wstyd, którym się jest obryzganym. W tej chwili śmierć była-by zarówno ucieczką od własnej męki, od trudu życia, jak usunięciem ludziom z przed oczu skandalu, brudu, który im jest zgorszeniem. Cierpiał zupełnie tak, jak gdyby to on sam popełnił rzecz haniebną, jak gdyby plamy niezmyte, które czuł na sobie, były jego własnem dziełem.

Lekarz przybyły wezwał go do łoża chorego, by z jego ust usłyszeć relację dokładną wszystkiego, co doprowadziło starca do stanu obezwładnienia i zupełnej prostracyi, w jakiej się znajdował. Juliusz przeszedł znowu przez mękę, od której chciał-by był uciec, życie własne dając jako okup. Musiał lekarzowi opowiedzieć historię ucieczki, historię poszukiwań, gry w karty, nareszcie szczegóły znalezienia ojca w szynku. Lekarz chciał wszystko wiedzieć dokładnie, by orzec, czy to, co się stało, należało złożyć na karb pomieszania zmysłów, czy na karb zwykłego alkoholizmu.

Skierczyna, obecna przy relacji Juliusza, śledziła na jego twarzy mękę, którą przechodził. Znała go i odczuwała, co cierpiał w tej chwili. Spojrzała z nienawiścią na trupioblada twarz męża, który od lat 30 karmił ją cierpieniem i upokorzeniem i który na tę samą mękę skazywał jej syna. Nie mogła tego darować i czuła, że tego, umierającego może, człowieka, ona nienawidzi i nienawidzić będzie nawet po-za grobem. Ani wobec syna, ani wobec lekarza, nie udawała niepokoju kochającej żony. Kompresy na czole chorego zmieniała wedle minut zegarka, ale tak obojętną ręką, iż sama myślała z pewnego rodzaju tryumfem, że gdyby szło o ratowanie Zagraja, może-by jeszcze więcej

doznawała współczucia, niż dotykając sińcami okrytego czoła człowika, którego niegdyś, mając lat 20, kochała. Tak, ona go niegdyś kochała, ale to było uczucie słabe i młde w porównaniu z nienawiścią dzisiejszą! Taka nienawiść, to siła, to wrzenie, to potęga, skoro jej odbłask w oczach kobiety hypnotyzował tego nędznika do tego stopnia, że wobec niej był pokonany, jak zwierzę wobec pogromcy.

Lekarz pozostał aż do przywiezienia z apteki lekarstwa, które wlewano gwałtem, podważając ścięte zęby chorego. Musiał też odwiedzić Leontynę. Cierpiała ona na newralgię w twarzy. Zapisał jej narkotyki, który nareszcie, po kilku nocach bezsenności, sprowadził sen pożądany.

Alina, widząc przyjaciółkę uspioną, poszła pisać list do rodziców. Od trzech dni była w Zbruczu, a przyrzekła przecie dać znać o sobie zaraz po przyjeździe. Pisanie wszakże jej nie szło. W oczach jej stał Juliusz, podnoszący na nią z pod chmurnego czoła oczy, nie widzące nic, prócz własnej myśli i własnego upokorzenia. Gdy wszystko w domu ucichło, a ona, z piórem beczynnem w ręku, wsłuchiwała się w tę ciszą noc, dyszącą jakąś tajemniczością, wyteżony jej słuch rozróżniał począł wyraźnie odgłos kroków, mierzących bez końca jakąś przestrzeń. W głowie Aliny poczęły powoli te kroki odbijać się jakimś echem przeciągłym i wzrastającym co chwila. Zabobonna trwoga poczęła jej podsuwać obrazy mistyczne. Zdawało jej się, że to był puls czasu, idącego w dal nieubłaganie, nie zatrzymującego się ani na chwilę, stąpającego zarówno w dzień, jak w nocy, dosłyszany przez nią wśród ciszy. Powoli zaczęła panować nad sobą. Nakazała sobie upamiętanie. Co to być mogło i kto wśród nocy chodził tak miarowo i tak bez spoczynku? Uprzypomniła sobie rozkład domu, który znała tak dobrze. Kombinując, doszła do wniosku, że to Juliusz chodził po swojej kancelaryi. Kroki nie ustawały i powoli zaczęły się odbijać echem już nie w jej głowie, lecz w sercu. Ogarniał ją niepokój. Dla czego ten człowiek zmęczony nie spał? Co może tak odpędzać sen od oczu młodych? Ten człowiek cierpał, i to, co mu na spoczynek nie pozwalało, to był ból. Ona to teraz wiedziała. Przeczuwała to tak dokładnie, że jej żadna wątpliwość nie zostawała. Teraz stąpanie to nieustające stawało się dla niej już nie echem kroków, ale echem cierpienia, które i jej duszę ogarniało i przeszywało. Wszak ona tu przybyła dla ratowania Juliusza. Przyrzekła nieść pomoc jego duszy i powinna-by być przy nim teraz, kiedy cierpiał, kiedy był sam ze swym bólem i może pod nim upadał. Pełna litości, gotowa była biedz ku niemu, pragnęła rękę jego ująć tym uściskiem przyjaźni, który mówi o chętnym podziale cierpienia, pragnęła spojrzaniem wypowiedzieć mu całe swoje współczucie. Kroki nie ustawały, a ją świadomość męki, która sen od powiek Ju-

liusza odpędzała, przenikała coraz głębiej. Litość rozżalała się w niej coraz mocniej. Wśród ciszy nocnej, która tak często najszaleńsze zamiary czyni przystępnymi dla wyobraźni, myśl podążenia ku Juliuszowi z pociechą w chwili, kiedy najbardziej duszy kochanej potrzebował obok siebie, przenikała Alinę coraz bardziej, a w końcu stała się w niej gorączką, zasłaniającą wszelkie względy. Czuła i wiedziała, że panna, szukająca młodego człowieka, postępuje przeciwko utartym zwyczajom, że godność kobieca powinna ją strzedz od przestępowania owych zwyczajów; lecz względy te wydawały jej się marnemi i drobnemi wobec wypadków, zaszłych w Zbruczu, i tego cierpienia, którem tam samotnie karmiła się dusza Juliusza. Swoją godność postawić ponad ból przyjaciela, to był взгляд samolubny i mały.

Cała drżąc od podniecenia gorączkowego, poszła pod drzwi kancelaryi Juliusza i stanęła pod niemi, oddychając śpiesznie. Było jej ciężko je otworzyć, a jednak wiedziała, że otworzyć je musi. Kroki w kancelaryi nie ustawały, a teraz wyraźnie odbijały się w jej głowie, jakby uderzenia młotem. Zapukała. Że jej nie odpowiedziano, więc zapukała silniej i poczuła, że oddech jej się tamuje, gdy kroki Juliusza zatrzymały się, a potem skierowały się ku drzwiom. Drzwi otworzyła niecierpliwa ręka. Juliusz stanął przed dziewczyną, której w ciemności nie poznał odrazu.

— Kto to? Czego potrzeba?—Zapytał ostro.

Nie mogła odpowiedzieć, głos zamarł jej w gardle, postąpiła tylko machinalnie kilka kroków i wtedy stanęli naprzeciw siebie, oboje oświeceni blaskiem palącej się lampy. On, zdumiony, odsunął się w tył i nagle wobec dziewczyny, którą kochał, cały jego wstyd, cała jego nędza, wydała mu się jeszcze niezupełniejszą. Policzki jego okryły się nagle łuną szkarłatnego rumieńca.

— Pani, pani tu?—wyjąkał, czując tylko, że w tej chwili, w której każde spojrzenie ludzkie było mu niezupełne, spojrzenie Aliny staowało mu się torturą.

Alina była niezmiernie zmieszana. Odwaga i gorączka, które ją tu przyprowadziły, opadły nagle, jak woda, która wrzeć przestała, i ona to, stała teraz przed Juliuszem ze spuszczoneym wzrokiem, niezdolna przemówić.

— POCO pani tu przyszła?—zapytał z bólem i wymówką w głosie.—Czy może ja śnię? Skąd się pani tu wzięła?

Że milczała ciągle, przemówić nie mogąc, więc zawołał, krzyknął raczej, jak człowiek cierpiący:

— Niech pani stąd odejdz! POCO się pani zbliża do człowieka napiętnowanego, do nieszczęśliwego, który nie śmie podnieść oczu od

ziemi! Niech pani odejdz! Rany, to rzecz brzydka! Poco na nie patrzeć?

Alina odzyskała przytomność. Zbliżyła się do Juliusza z wyciągniętą ręką.

— Rany przyjaciela bolą—rzekła głosem, za którego słodyczą Juliusz tęsknił tak bardzo.—Co tu mówić o wstydz! Wstyd może być względem obcych... Przyszłam tu umyślnie. Słyszałam kroki pana... chciałam tak wiele rzeczy powiedzieć!.

Ujęła rękę Juliusza, którą on usunął z jej dłoni.

— Pani nie wie, pani nie może wiedzieć!—mówił gwałtownie.—Tu nie może być nic do powiedzenia! Tu niema żadnej pociechy! Ah, na miłość Boską, nie mówmy o tem! Tu, w gardle, stoi mi wstyd! I już go nigdy w życiu nie przełknę! Udusi mię to! Niech pani odejdz! Niech pani nie patrzy na mnie! Ja się tu pod wzrokiem pani spałę!

— Odejde, jeżeli pan chce—rzekła Alina—ale nie rozumiem pana. Przyszłam powiedzieć, że cierpię wraz z panem, tak jak pan... Czy to nie nie znaczy? Niech pan usiądzie, pan jest cały drżący od zmęczenia... Zaraz odejde... Pamięta pan, jak mię pan niegdyś wezwał w chwili podobnej? Wtedy nie byłam panu ciężarem, jak dzisiaj!.. Gdyby pan wiedział, jak ja-bym pragnęła wziąć na siebie połowę trosk pana! Dlaczego pan chce, bym odeszła? Tylko takie spojrzenia ranią, które człowiekowi urągają... Niegdyś pan mię nazwał siostrą... Nie śmiała-bym tego przypomnieć szczęśliwemu, ale dziś... przyszłam tu jak siostra...Czy można wstydz się siostry, gdy się nie popełniło postępkę złego? To raczej nieszczęście, niż wstyd!

Patrzała na Juliusza swoim promiennym wzrokiem, a on dopiero w tej chwili odczuł jej obecność, jako wdzięk, jako rozkosz, jako koniec bezmiernej tęsknoty. To uczucie, rozszerzające mu piersi miłym porywem po przygnębieniu straszego wstydu, jakiego doznał przed chwilą, osłabiło go nagle i rozrzewniło tak bardzo, że łzy napłynęły mu do oczu.

— Panie Juliuszu—mówiła dalej Alina—ojciec pana ma się lepiej. Mówiła mi to wieczorem pani Mierznicka. Wszystko wróci do dawnego porządku.

Brwi Juliusza się zmarszczyły. Oczy, wlepione w Alinę, spuścił ku ziemi. Syn rumienił się, że nie o zdrowie ojca mu chodziło.

— Wszystko może wrócić do dawnego porządku—zawołał—tylko to, co zostało obryzgane błotem... Ah, panno Alino... Pani jest dobra i rany, do których pani rękę przyłoży, goić się powinny, ale ta się zgoić nie może, bo to rana ohydna... To nawet nie rana, ale plama!

Alina w tej chwili zapomniła zupełnie, że człowiek nieszczęśliwy, który stał przed nią, był młodzieńcem, w którym wzbudziła mi-

łość. Wielki poryw litości, wielkie pragnienie niesienia pomocy sprawiło, że ujęła jego rękę i mówiła, wznosząc ku niemu spojrzenie:

— Ja wiem, że to ciężkie przejście, ale plamy wieczne, niezmyte na człowieku, to te tylko, któremi zbrukał się sam. Trzeba pamiętać o tem, co panu zostaje: Matka, własne zasługi, praca rozpoczęta, a nie skończona! To wszystko jest czyste!

— Tak, to jest czyste, ale ja o tem myśleć nie mogę! Mnie jeszcze boli, pali tylko tamto, tylko ten wstyd, którego sobie z duszy wyrwać nie mogę!

— To próżność, to miłość własna!

— Może. Dotąd nigdy w życiu nic mię tak nie bolało. Miałem swoje rozpacze, ale z niemi nie łączyło się upokorzenie, hańba... To, co dawniej cierpiałem, podnosiło mię raczej. Dziś jestem do ziemi przybity i cierpię od każdego spojrzenia ludzkiego, na samą myśl ludzkich spojrzeń! Pani tego nie zna, pani nie może rozumieć! Pani przychodzi tu jak dobra siostra, a ja cierpię nawet od spojrzeń pani, nawet od słów pani!

— Więc sobie pójdę—rzekła smutnie Alina.

Ale jemu żal się zrobiło nagle, ale to tak żal, że byłby ją chciał gwałtem zatrzymać, rozkrzyżować ręce i nie puścić!

— Nie, nie, proszę zostać! Chory czasem odwraca się od lekarstwa. Tak ja uczyniłem. Teraz czuję, że współczucie pani, to jednak lekarstwo. Niech pani zostanie jeszcze chwilę... niech pani będzie dla mnie wyrozumiała. Ale i skargi też mię bolą i słowa pociechy mię bolą. Może-byśmy mogli mówić o czem innem lub nie mówić wcale... To tylko jest mi drogie, że pani przyszła, jak siostra... Pani nie wie... ja jestem skryty... skrytość to więzy... tego nie można przełamać! Ale ukojenie mógłby mi może czasem przynieść niemy uścisk ręki. Czasem moja dłoń pożąda takiego uścisku, a nie mam go! Nigdy go nie miałem! Współczucie dało pani intuicyę, pani przyszła właśnie w takiej chwili, w której mię wstyd i rozpacz uczyniły dzikim.

Pragnął bezmiernie uklęknąć cicho u nóg siedzącej Aliny i rozpaloną głowę złożyć na jej kolanach. Czuł, że było-by mu to pociechą i ukojeniem.

— Skąd się pani tu wzięła właśnie w tej chwili?—pytał.— Gdyby pani nie była kobietą, ale aniołem Stróżem, rozumiał-bym to... W mojej zmaconej głowie wszystko się miesza...

— Aniołem stróżem chcę być—rzekła Alina z uśmiechem—ale Anioła stróża słuchać trzeba, trzeba mu ufać. Rozkaz jego, to prawo!

Choć nie był położył głowy na jej kolanach, Juliusz czuł coraz bardziej przenikającą go tę miękkość, to pragnienie zadosyćczynie-

nia nawet zachciankom ukochanej kobiety, które jest nieodłącznym towarzyszem miłości.

— Chcę być posłusznym—rzekł—będę posłusznym! To takie męczące rozkazywać tylko wiecznie, a nie słuchać nigdy, nigdy cudzej woli nie ulegać, zawsze wysilać się na własną. Niech raz abdykuję z samowoli! Uczynię, co pani każe!

— A więc, pan pójdzie do siebie i spać się położy. Pomyśli pan przed zaśnięciem, że rozpacz dzisiejsza jutro będzie już bledsza i tak będzie blednąć co dzień, aż się stanie tylko przykrem wspomnieniem, niczem więcej. Chrystus był policzkowany. Chrześcianin nie powinien tego zapominać! Jutro pomówimy znowu długo. Pan mię nazwał Aniołem stróżem swoim. Anioł będzie wymagał wiele... posłuszeństwo zamawiam sobie nie tylko na dziś, ale i na jutro. Zatem do jutra. I mnie należy się spoczynek. Pan mi przyrzeka, że się pan spać położy?

— Położę się... będę usiłował zasnąć.

Gdy po odejściu Aliny Juliusz udał się na spoczynek do swej sypialni, gdy się znalazł w łóżku, z głową na poduszce, poprzednie jego, nieznośne cierpienie, wróciło. Znowu ta scena straszna, której wstydu zapomnieć nie mógł! Gdyby w swej dłoni czuł rękę Aliny, może-by usnął, może-by się w nim uciszył ten szal cierpienia! Powoli świadomość, że pocieszycielka jego była blisko, poczęła trochę rozpraszać jego czarne myśli. Wyobraźnię miał jeszcze pełną jej obecności, blasku jej spojrzenia, jej głosu. Nie mógł już pragnąć nieistnieć, bo umarli nie widzą, a on miał nadzieję zobaczyć nazajutrz Alinę. Miał nadzieję, przestał więc czuć się niepoczyszonym. Usnął, mając w sercu, w myśli, w oczach tę, która chciała być jego aniołem stróżem.

Jak zwykle, tak i tym razem, światło dzienne przyniosło mu krytykę własnych uczuć i myśli. Ta hańba, której ohydę czuł na sobie, to był jeszcze jeden powód, by odrzucić daleko od siebie myśl małżeństwa z Aliną. Ona go nie kochała. Chciała mu być siostrą, a nie kochanką, on zaś wprowadzać jej do Zbrucza, na życie trosk, kłopotów i upokorzeń, nie miał prawa. Teraz zdał sobie sprawę z tego, że Alinę musiała tu przywieźć jego matka. Zapewne umyślnie po nią jeździła. Starej kobiecie wolno było dla szczęścia syna zapomnieć o szczęściu obcej dziewczyny, ale jemu, mężczyźnie, nie wolno myśleć w tym razie o sobie.

Stary Skierka miał się znacznie lepiej. Lekarzoświadczył, że nastąpiło jakieś porażenie, na tę chwilę nie zagrażające życiu. Chory potrzebował tylko spokoju, pożywienia lekkostrawnego i powietrza zdrowego w pokoju. W Zbruczu wszystko wróciło do dawnego trybu. Obiad zgromadził domowników. Juliusz wszedł, czując wszystkie

spojrzenia na sobie. Pomimo, że był bardzo przygnębiony, zmysł jego artystyczny, uderzony został nutą piękna i wdzięku, którą młoda postać powabnej dziewczyny wnieść była zdolna samą obecnością swoją. Na szarem tle jednostajności domowej i tych kobiet, które już zawracały ścieżką, wiodącą do grobu, Alina jaśniała, jak promień słońca, jak kwiat barwny i wonny. Jej wysmukła, dziewicza kibić, strzelała wdziękiem i swobodą, oczy jaśniały, jak gwiazdy. Bał się powiedzieć jej wzrokiem, że stał przed nią pełen zachwytu. Myślał z pewną gorczyczą, że był-by zapewne na zawsze pozostał dla niej obojętnym, gdyby nie ten nieprzeparty powab fizyczny, którym obdarzył ją Bóg. W tej chwili żoną jego była-by Kocia już od roku, pomimo przymiotów moralnych Aliny. Ale, że tej dziewczynie dostały się w udziale oczy anielskie, usta o niewymownym wdzięku, nos, którego linia była bez zarzutu, więc on, Skierka, utracił przy niej spokój i zszedł z wytkniętej drogi. Kocia ustąpić mu z niej musiała! Podeptał ją, nie czując nawet, że wyrządza jej krzywdę. A to wszystko dla tego, że patrzyły na niego te oczy, że, jak w tej chwili, słyszał ten głos, którego melodyi zapomnieć było niepodobna.

Uczyniwszy, przychodząc do obiadu, jedno z tych ustępstw, których tyle czyni się dla form i zwyczajów, Juliusz zapragnął nie widzieć nikogo, znaleźć się w samotności. Wyszedł w pole, unikając spotkania się ze służącymi. Wiedział, że do taczki swej powrócić musi, że znowu w Zbruczu zarządzać będzie tak, jak gdyby nie się nie zmieniło, tak, jak gdyby nikt nie miał prawa powiedzieć: „to syn pijaka, to syn człowieka, który wyprawne srebra swej żony wyniósł w nocy!” Ale dziś jeszcze nie mógł. Do obiadu przyszedł, z obawy, by matka nie dopytywała się, nie badała, nie dochodziła, by go nie zapraszano, nie domyślano się choroby, by nie zwrócić na siebie uwagi; wszakże ukazać się służącym i rumienić się przed nimi dziś jeszcze nie miał siły. Poszedł do lasu i zapuścił się w jego gęstwinę. Drzewa, to przyjaciele, przed którymi nie potrzebował spuszczać oczu, którzy nic o nędzach ludzkich nie wiedzą! Pocziwa natura, która nigdy człowieka nie podgląda, nie krytykuje i nie pyta o nic!

Dopiero nazajutrz, o świcie, ukazał się jak zwykle, jak dawniej, służącym swoim, udając spokój, przewyciężając wstyd, w głębi duszy upokorzony i zraniony. Praca nie mogła czekać. Trzeba było zaprzężyć się do niej, nie pytając o żadne względy. Zazdrościł w tej chwili tym, których ciężka choroba powaliła o łóżko, którzy w niej mają wytłomaczenie w ucieczce od ludzi; zazdrościł szczególnie tym, którym gorączka odjęła przytomność. Uciec od samego siebie! Od wstydu, którym go karmiły spojrzenia ludzkie, od walki, którą na nowo prowadził z własnem sercem. Miał znowu, pod jednym dachem z sobą, dziew-

czynę, którą kochał, i jak dawniej, musiał strzedz każdego słowa, każdego spojrzenia swego. Czuł wszakże, że ta miłość, choć nieszczęśliwa, była jego ratunkiem. Ze splamionem nazwiskiem, upokorzony, w niej miał odkupienie. Miał w duszy coś silnego, potężnego, coś, co wznosiło go nad zwyczajność dążeń, trosk i codziennego deptaka, miał tę miłość, przez którą wyrzekał się nawet ukochanej dla jej szczęścia. Wrócił do dawnego fanatyzmu. Kochał nie tylko Alinę, ale tę swoją miłość dla piękności, dla dobra, które uosabiała, kochał tęsknotę i cierpienie, które sprowadzała, bo go ono ratowało od drugiego cierpienia, upokarzającego, przygniatającego wstydem do ziemi. Nie był najnudniejszym z ludzi, jak mu się zdawało po hańbie, jaką go okrył własny ojciec. Miał, jako ucieczkę, miłość swoją i miał tę kochankę, która chciała być mu Aniołem stróżem, być mu siostrą.

Był tylko w tej miłości niezmiernie smutny. Nie unikał teraz Aliny, ale ze stosunku ich wygnany został nawet cień zalotności z jego strony. Dawniej, mimowoli, w czynach swoich i słowach, miał na względzie to, co Alina o nim pomyśli; nieraz, pomimo pracy nad sobą, postępował tak, jak gdyby jej sąd był mu wszystkim; myśl o jej wzajemności przenikała go drżeniem nadziei. Teraz, po wstrząśnieniu wielkiego upokorzenia, jakiego doznał, smutny i zawstydzony, fanatyk miłości bez nadziei posiadania, pozbył się nawet resztek pozy, nawet udawania sztywności, które miał za obowiązek. Pozwolił Alinie być swoim lekarzem i siostrą. Wieczory, już długie teraz, spędzali razem. Godzinami słuchał jej śpiewu, jej czytania. Był milczący i smutny bardzo, czuł się rzeczywiście chory moralnie, a ona wysilała swoją zręczność kobiecą na niesienie mu ratunku. Miękką i lekką ręką dotykała ran jego, a on się poddawał pieściocie i rozkoszy tego dotknięcia. Z łatwością otrzymała od niego przyrzeczenie, że nigdy już w życiu kart do rąk nie weźmie. Uśmiechnął się, ruszając ramionami na myśl, że matkę jego do Rygi po Alinę wypędziła myśl, że nagle został szulerem.

— Biedna moja matka! — rzekł. — Nasze nieszczęścia osłabiły jej dawną siłę. Stała się po kobiecemu trwożliwa. Wszak raz biegła po lesie, podarła na sobie suknie, wyobraziwszy sobie, że wyszedł z myślą samobójstwa. Potem zobaczywszy mię przy kartach z człowiekiem, który rozumie życie tylko, jako partyę winta, nabyła nagle przekonania, że jest karciarzem namiętym. Chciała połowę Zbrucza sprzedać, byle mię od upadku ocalić...

— Więc ani w myśli o samobójstwie, ani w namiętności szulerkiej nie było ani cienia rzeczywistości?

— W kartach ani cienia. Co do myśli samobójstwa...

— Więc ją pan miał?

— Miałem ją i wtedy, gdy matka mię po lesie szukała, i wtedy, gdy mój anioł stróż do moich drzwi w nocy zapukał, ale była to myśl przelotna. Taką była-by została, prawdopodobnie, nawet bez zjawienia się anioła stróża. Czy jest na świecie człowiek, na którego nie przyszła nigdy taka godzina, w której miał ochotę uciec od życia, przestać istnieć! Wątpię, czy jest taki.

— O, jest! Mnie-by nigdy myśl samobójstwa nie przyszła do głowy, choćbym była najniešťszeliwsza, choćbym cierpiała katusze. Wszak to-by był cios dla moich rodziców! Skoro jednak taka myśl szkaradna przychodziła panu, więc jeszcze i od niej odrzec się trzeba.

— Któż może od myśli się odrzekać? Myśl, to pani, a człowiek, którego nawiedza, to niewolnik! Wykonanie myśli samobójczej, to szal. Nad szalem się nie panuje.

— Trzeba wtedy tylko przywołać do myśli swej tych, którzy-by po panu plakali. Pomysleć o nich, a szal odleci.

Upłynęło trzy tygodnie. Stary Skierka wstawał już z łózka, ubierany przez Wincesia, jak manekin, milczący, nie zdający się słyszeć, co kolo niego mówiono, z oczami obłąkanemi, z ustami otwartemi. Ze swojej ostatniej wyprawy powrocił idyotą. Po całych dniach, z twarzą bezmyślnie ku ognisku kominka zwróconą, wpatrywał się w płomień, a gdy te zagasły, patrzył w czarne, odymione wnętrze paleniska. Ośłupiałe jego oczy i usta, których zamknąć zapomniał, czyniły wrażenie przykre i wstrętne. Nanet Alina czuła odrazę do nieszczęśliwego. Juliusz, który przez pierwsze dni unikał widoku ojca, teraz, z obowiązku, dwa razy na dzień, wchodził do jego pokoju i całował jego rękę zimno i przelotnie. Nie mógł zapomnieć ani darować. Skierczyzna była dla męża taką, jak zawsze, jak dawniej. Jej nienawiść nie mogła się już była powiększyć, więc trwała w mierze, zdobywając się na pozory troskliwości obowiązkowej. Karmiono Skierkę przy żonie, ptzy niej uścielano mu łózko, wstawała czasem w nocy, żeby zobaczyć czy czego nie potrzebował. Winces zauważył, że obłąkane oczy Skierki, zatrzymujące się na wszystkich bezświadcemie, na widok żony dawały oznaki życia. Błyskała w nich iskra pamięci, zgasłej już, jak się zdawało, względem innych. Lekarz zapewnił Skierczyne i Juliusza, że wszelki niepokój z ich strony był-by nie na miejscu. Skierka mógł żyć jeszcze długie lata w stanie, w jakim teraz się znajdował.

Nastał ciemny i dżdżysty listopad. Leontyna, cierpiąca ciągle na zęby, z wiecznie podwiązaną twarzą, w zimnym swym, a zawsze czystym jak szklanka, pokoiku, gryzła się nieznośną i gorzką zazdrością

względem Aliny. Miała przekonanie, że nic nie wiązało ze Zbruczeniem obcej dziewczyny, prócz przyjaźni dla wybranej przyjaciółki, że jedynie dla niej tu zawitała i to z powodu listownych zaprosin. Przyjaźń tę Leontyna egzaltowała w swych słowach i w swej wyobraźni, jako coś wyjątkowego i dotąd niesłuchanego, tymczasem Alina, o ile mogła, przebywała z Juliuszem. To była czarna niewdzięczność! Wśród nocy, gdy ból zębów spać jej nie dawał, stara panna niewdzięczność tę odczuwała tak gorąco, że w myśli czyniła przyjaciółce zarzuty, od których drżała sama oburzeniem. To, o co niegdyś inni podejrzewali nauczycielkę, to, przed czem ona, Leontyna, broniła ją tak gorąco, to była prawda! Ona za przyjaźń płaciła niewdzięcznością, nie dbała o serce, po którym deptała, a chciała sobie złapać Skierkę na męża! Stara panna była względem Aliny pełna przymówek, przycinków, spojrzeń obrażonych, dumnych rzutów głowy, milceń upartych, wreszcie wybuchnęła, gdy Alina, która jej zachowanie się kładła na karb choroby, zapytała na koniec, czy się Leontyna na nią nie gniewała.

Leontyna zaczęła od razu na ton tragiczny. Mówiła o niewdzięczności ludzkiej, o tem, że zna „pewne osoby”, które udawały przyjaźń, póki im to było potrzebne, a potem, gdy się znalazła grubsza ryba do złapania, rzucały wszystko, a biegły za grubszą rybą; że jednak intryga wychodzi zawsze na wierzch, jak oliwa; że ci byli głupi, co ludziom wierzyli, bo całe życie zbierali tylko „czarną niewdzięczność”.

Alina nic nie rozumiała.

— Nie rozumiesz, bo nie chcesz! — zawołała w końcu biedaczka, której uderzenie krwi do głowy powiększało ból zębów.— Ty myślisz, że ja nie widzę? O, ja dobrze czytam w twojem sercu! Ty chcesz zostać panią Skierczyną! Chcesz być panią na Zbruczu! Łapiesz Skierkę bezwstydnie, bezczelnie. Przyjechałaś niby dla mnie, która jedna słodziłam ci tu życie, a myślisz tylko o Juliuszu.

Alina przyjęła ten wybuch uśmiechem litości.

— Za kilka dni wyjeżdżam stąd — rzekła — i widzisz, bez pierścionka zaręczynowego na palcu. Pan Juliusz nie myśli o mnie, jako o żonie, ja też o nim, jako o mężu, nie myślę. Narażam się tu na plotki? Powinnam była tego się spodziewać. Ale nie dbam już o nie. Kobieta, która-by na plotki zważała, nie mogła-by zapewne w życiu uczynić nic złego, ale też i nie dobrego nigdy-by nie zrobiła. Nie zostanę panią na Zbruczu, a twoją przyjaźń zachować-bym chciała. Chcę właśnie pomówić dziś z panią Skierczyną o moim wyjeździe.

Skierczyna wszakże nie chciała słyszeć o wyjeździe Aliny. Na usilne prośby, Alina przyrzekła zostać tydzień jeszcze, ale ani jednego dnia dłużej nad tydzień. Matka jej groziła, że naukę siostrzyczek powierzy komu innemu. Trzeba było wracać do obowiązków.

Skierczyna walczyła teraz z myślą, a raczej z pragnieniem śmierci męża. I jemu, i wszystkim w koło niego było-by lżej. Temu nieczulemu kształtowi człowieka, temu bezmyślnemu idyocie, należał się grób. Ale to były myśli bezbożne, z których biedna kobieta spowiadała się, które sobie gorzkò, jako grzech, wyrzucała, za które, jako pokutę, odmawiała mnóstwo litanii i pacierzy, za które suszyła dwa dni w tygodniu, a cały adwent zamierzała pościć szczerze. Pomimo tej skruchy, myśli nieubłagane wracały. Gdy Skierkę karmiono pod jej dozorem, a z ust jego wylewała się strawa, lub, gdy usiłował łykać łapczywie, jak zwierzę, ją ogarniał wstręt. Nienawiść odzywała się dobitnie, jak paroksyzm, nieszczęsne pragnienie niepatrzenia więcej na tego człowieka, jak ostrze, przenikało nieszczęśliwą. Boże, jaka ona była niegodziwa! Jak nie była chrześciańką! Nie umiała przebaczać, nie umiała zdobyć się na zapomnienie uraz!

Przy tych ciężkich wyrzutach sumienia, stawała się dla męża podwójnie troskliwą. Gnana żalem za grzech, który, pomimo pracy nad sobą, codziennie popełniała, wstawała w nocy, okrywała męża kołdrą, która się z jego łóżka często zsuwała, i wracała na swój klęcznik błagać Boga, by grzech od niej oddalał.

— Niech żyje! — mówiła wtedy — Nie będę mu szczędzić mej troskliwości i będę dla niego taką żoną, jakbym go kochała!

Lecz, gdy się znalazła wobec Skierki, odzywało się w niej mimowolne pragnienie jego śmierci. To znowu budziła się w niej obawa, by to pragnienie nie spiorunowało jej męża, niosąc mu śmierć natychmiastową. Wydawała się sobie często zabójczynią. Kto wie, czy gorące życzenie zgonu nie zabija, jak sztylet! Nie była-by się może zadziwiła, gdyby pod jej wzokiem nieszczęśliwy upadł był nagle bez życia.

Była to dla biednej kobiety, chrześciańki gorącej z przekonań i tradycyi, jedna z tych mąk skrytych, których powiernikiem jest tylko spowiednik, a które trawią serce i zatruwają każdą chwilę. Wszak taki stan ducha prowadzi prosto do piekła. Na ostatniej spowiedzi proboszcz był bardzo surowy dla swej penitentki. Wyrzucał jej, że wobec niedoli, choroby, obłędu, ona nie miała serca chrześciańki, ale raczej egoizm poganki, która chciała-by dla swej własnej wygody, spokoju i swobody, pozbyć się jednego życia ludzkiego, którego pielęgnowanie ją utrudza.

Skierczyna wróciła z oczami czerwonemi. Długo płakała w kościele. Gdy zanesiono obiad staremu Skierce, co zawsze miało miejsce przed obiadem ogólnym, ona nietylko dojrzeć chciała nakarmienia chorego, ale odesłała Wincesia, mówiąc, że sama da sobie radę. Poczęła zupę z talerza do ust Skierki przynosić łyżką, przyczem część po-

karmu się wylewała, a nieszczęśliwy, błędnego wzroku, w którym zapalały się jakieś iskierki samowiedzy, nie spuszczał z żony. Ona walczyła z nadlatującą myślą o śmierci męża, z tem pragnieniem, które się w niej rozniecało, jak płomień, i któremu oprzeć się nie mogła. Ręka jej z łyżką pełną zupy trzęsa się, oczy, chmurne a palające, błyskały nienawiścią a zarazem strachem i grozą tej myśli piekielnej, której nie mogły odpędzić ani modły, ani posty, ani praca wewnętrzna.

Nagle stało się coś strasznego. Skierka, od kilku tygodni niezdolny do postąpienia kroku o własnej sile, rzucił się na żonę ze zreżnością zwierzęcia. Powalił ją na ziemię. Jedną, wychudzoną i do szpon podobną, ręką wpił się w jej szyję, drugą, uzbrojoną w szczyryk, zadawał jej ciosy jeden po drugim. Odgłos stłuczonego talerza, przewróconego stolika, ciał padających na ziemię, krzyku Skierczyny, sprowadził Wincesia i krzątającą się w stołowym pokoju Mierzuicką. Zastali widok rozdzierający: Skierczynę na ziemi, broczącą krwią, i Skierkę, ledwie trzymającego się na nogach, trzęsącego się, wspartego o ścianę, patrzącego z wyrazem tryumfu na skrwawioną żonę. Zaśmiał się okropnie do nadbiegającego Wincesia, w drżącej ręce podnosząc do góry szczyryk. Na jego twarzy zezwierzęconej była radość Indyanina, który oskałpował białoskórego. Śmiał się ciągle, wreszcie dowlókl się do fotelu i upadł obezwładniony, powrócony nagle do stanu bezświadomości i idiotycznego zezwierzęcenia, w jakim znajdował się od powstania z choroby.

Skierczynę omdlałą odniesiono do jej pokoju. Krew broczyła z kilku ran, z których dwie były głębokie. Inne wymierzyła słabnąca już widocznie ręka. Zrobił się zamęt w domu całym. Rezydentki płakały, gotowe na usługi. Alina trzeźwiła omdlałą; Juliusz, posławszy czempredzej po lekarza, trzymał rękę matki, wołał o lód, o szarpie, starając się zachować przytomność, szukając w swej pamięci sposobu tamowania krwi. Zdawało mu się, że włosy powstają mu na głowie od grozy i bólu, nie zdawał sobie dokładnej sprawy z tego, co zaszło, był jakby pijany cierpieniem. Pragnął ratować matkę, a nie miał na to dość przytomnej głowy, powtarzał urywane wyrazy bez związku, przemawiał do omdlałej, jakby słyszeć go mogła. Otworzyła nakoniec oczy i zaraz zdała sobie dokładną sprawę z tego, co zaszło. Sama zarządzać zaczęła ratunkiem, którego jej udzielano, kierując ręką Aliny. Ale krew z rany na szyi płynęła obficie przy każdym odetchnieniu, przy każdym ruchu, przy każdym słowie. Omdlenia się powtarzały. W rozgorączkowaniu, trwodze, niecierpliwości najwyższej, doczekano nareszcie przybycia lekarza. Dopiero on mógł dokonać opatrunku prawidłowego. Rany w szyi i w piersi były niebezpieczne, lekarz prosił o sprowadzenie chirurga z Wilna.

Nastaly dni i noce straszne. Skierczyna w gorączce majaczyła, otaczający ze wszystkich sił pragnęli wydrzeć ją śmierci. Juliusz był niezmordowany. Nie odstępował prawie matki. Alina dotrzymywała mu towarzystwa. Chora nie poznawała nikogo. Jej bezładne myśli bez końca kręciły się koło jednego jakiegoś fantastycznego obrazu.

— Myśl nie zabija — mówiła w gorączce — wzrok nie zabija... zabija nóż... trzydzieści lat nienawiści...

Czasem skarżyła się jak dziecko:

— Kiedy ja nie mogę, nie mogę jej odpędzić! Nadlatuje jak sęp... mózg wyżera...

Wtedy Alina z Juliuszem patrzyli na siebie z tym wyrazem przeobrażenia i grozy, które widok bezprzytomności drogiej osoby sprowadza zawsze.

Chirurg, z Wilna przybyły, znalazł stan groźny. Obie rany były bardzo niebezpieczne, jakkolwiek nie śmiertelne, bo żadne ważniejsze organa uszkodzone nie były. Wszakże obawiał się tu komplikacji ze strony nerwów. Rozdrażnienie, bezprzytomność, to były też objawy groźne. W pierwszej chwili sądził nawet, że nóż, którym rany zadane zostały, nie był czysty, że przyłączyło się zakażenie krwi. Dopiero potem orzekł, że gorączka, bardzo silna, była objawem czysto nerwowym.

Juliusz, z okiem wlepionem w rozognioną twarz matki, otoczoną aureolą siwych włosów, nie pamiętał, że ta istota, która z nim razem czuwała, była kobietą wybraną. Wszystkie jego pragnienia, wszystkie nadzieje skupione teraz były w jednym dążeniu. Pragnął ocalić matkę. Ani się domyślał, ani podejrzewał, że tę matkę on tak kochał, że jego synowskie uczucia miały taką siłę. Alina, widząc go w tym stanie trwogi i cierpienia, była mu istnym aniołem stróżem. Ona zrozpaczonemu dodawała otuchy; ona powtarzała, klęcząc, słowa modlitwy, które w jego serce wsączały się nadzieją; ona otrzymywała, by spoczywał choć parę godzin na dobie. Opiekowała się nim, jak bratem, i otaczała jego boleść delikatnem staraniem, współczuciem słodkiem i dyskretnem, które porównać-by można do obchodzenia się matki z dzieckiem kalekiem i nieszczęśliwym. Czuła się potrzebną chorej, ale potrzebniejszą jeszcze Juliuszowi. Teraz dopiero spełniła przy nim zadanie stróża i podpory. Czasem jeden gorący uścisk jej ręki podnosił go, upadającego na duchu. Były chwile, w których rozpacz jego wylewała się w słowach. Utrzymywał, że nad nim i jego blizkimi ciążyło przekleństwo, że byli już obrzuceni błotem, a teraz obryzgała ich jeszcze krew! Byli tak nieszczęśliwi, że matka, ta spójnia, to ogniwo, które stanowiło rodzinę, była niezawodnie skazana! On czuł, że ją traci, że te rany przyniosą jej śmierć.

Wtedy Alina stawała przy nim, jako zaporą od bluźnierstwa, od rozpaczcy. Znajdowała słowa wprost z serca wyjęte, z któremi spływało na niego miłosierdzie rezygnacyi. Będzie, jak Bóg zechce... Niema rodzin, nad któremi ciężyło-by przekleństwo. To była-by niesprawiedliwość, a Bóg jest sprawiedliwy.

Jej wzrok, błagający go o litość nad samym sobą, miał tyle wymowy, co słowa. Podnosił się ku niemu z takim pragnieniem wiania w jego duszę pociechy, że magnetyzował go i dawał ukojenie.

— Zdaje mi się, — rzekł jej raz — że jestem zdziczałem zwierzęciem domowem, które pani uspakaja jednym pogłaskaniem.

Alina nie odpowiadała. Mówiła wogóle mało, widząc, że słowa mniej mu były potrzebne, niż jej obecność i atmosfera współczucia, która go musiała ogarnąć, mając swe siedlisko w jej przepelnionem litością sercu.

Cierpiała nieraz nad tem, że nie mogła wziąć jego zbolalej, rozpalonej głowy w swoje dłonie, i że jej nie mogła przycisnąć do piersi. Czuła, że i jemu i jej było-by to pociechą, ale ustawy światowe stały twardym murem. Trzeba było być siostrą lub żoną, by na taki wybryk sobie pozwolić. A jednak, to było takie proste i takie czyste pragnienie. To był nieszczęśliwy, to był przyjaciel, brat z wyboru. Musiała sobie przypominać dopiero, że ją kochał miłością kochanka.

Skierczyzna miała się ciągle bardzo źle. Przytomność wracała jej chwilami, ale jakaś zmącona, osłabienie jej zaś było tak wielkie, że prawie mówić nie mogła. Lekarze oświadczyli, że zapewne od okładów lodowych na piersiach, gdzie miała ranę, wywiązało się zapalenie płuc. Miała klócie tak silne, że oddychać prawie nie mogła. Teraz zwątpiono zupełnie o jej życiu, podtrzymując jej siły starem, Skierczyńskim winem, które, jak utrzymywano w rodzinie: umarłych do życia przywracało.

Były to dla Juliusza dni straszne, nigdy nie zapomniane. Był pewien, że traci matkę, której zawdzięczał wszystko co umiał, wszystko czem był, która dla ocalenia mu mienia przez lat 30-ści nie zaznała wytchnienia w pracy, od której nauczył się być silnym, która go tak kochała, że on tę miłość czuł gorącą i wielką nawet pod pancerzem sztywności, którą się okrywała. On ją tracił, zabierała mu ją śmierć, a jako dom on jej da cztery deski trumny i zaniesie ją na barkach do mieszkania, czekającego na wzgórzu... A najcięższem było to, że ginęła z ręki ojca! Myśli w głowie mu się mąciły, chwilami mu się zdawało, że to był jakiś straszny sen, jakaś zmora, która mu piersi ugniatała. Nie, to nie sen! Oto tam, na poduszkach, matka jego chwytiała oddech spieczonemi ustami. On ją unosił na rękach, szukając dla niej dogodniejszej pozycyi, cierpiąc z nią razem od tej niemożności od-

dychania tak, że i jemu brak było powietrza. Nie pamiętał, jak następował dzień po nocy i jak długo trwała ta męka. W końcu doszedł do takiego wyczerpania sił, iż czuł, że padnie tam, przy łóżku matki, jeżeli nie spocznie choć na chwil kilka. Dał się Alinie odprowadzić do drugiego pokoju i tam, opartego w fotelu, zabrał go sen, jak ofiarę, która się już bronić nie miała siły. Nie słyszał, jak w parę godzin potem przybyli lekarze i jak oświadczyli, po zbadaniu stanu chorej, że niebezpieczeństwo minęło, że chora żyć będzie. Rany podgajały się znakomicie, oddech był łatwiejszy a gorączka spadła. Był to nadszpiewany zwrot w chorobie.

Alina, cała drżąca ze wzruszenia, pobiegła do pokoju, w którym, uspięno w fotelu, zostawiła Juliusza. Przecierał on właśnie oczy, odszukując jeszcze samego siebie i rzeczywistości, którą był zatracił we śnie. Gdy ujrzał Alinę, wszystko mu stanęło w pamięci, jak obraz, na który-by nagle rzucono światło. Przerażone jego oczy pytały, gdy usta nie miały odwagi zapytać.

— Żyje! Żyć będzie! — rzekła Alina — Gorączka spadła, oddech łatwiejszy... Żyć będzie! Doktorzy mówią...

Stał przed nią, upojony jeszcze snem, i nagle stało się coś, czego nie przewidział ani on, ani ona. Otworzył ramiona, a radość z uzdrowienia Skierczyny rzuciła w nie Alinę. Jego objęcia zamknęły się. Długi uścisk ich połączył. On ogarniał ją ramionami, ona tuliła się do niego. Plakali oboje ze szczęścia. Przez długą chwilę uścisk ich wydawał im się czemś naturalnem, co nie raziło żadnego z nich, dopiero szelest jakichś kroków sprawił, że przyszło na nich upamiętanie. Ramiona jego opadły, ona, płonąca od wstydu, stanęła ze spuszczonei oczami. Serce jej biło, jak młotem, oddychała spiesźnie, w głowie jej szumiało, w oczach zrobiło jej się ciemno.

— Panie Juliuszu! — rzekł od progu głos jednego z lekarzy.

Poszedł, i on także drżący, także nawpół przytomny, zataczający się od upojenia sennego i od tego, które poczerpnął z bijącego przy jego piersiach serca dziewczyny.

— Chwała Bogu, zwrot ku dobremu jest tak wyraźny — mówił lekarz — że wyzdrowienie jest tylko kwestyą czasu.

Juliusz upadł na kolana przy łóżku matki, przyciskając usta do jej zwieszanej ręki. Ona, blada jak opłatek, uśmiechnęła się do niego, szepcząc:

— Julku! Chcę żyć... pragnę żyć... bo tam nie było-by ciebie... musiałabym za długo czekać... bez ciebie i niebo nie było-by niebem...

— Nie mów, mamo, nie męcz się — błagał Juliusz — Będziemy o tem wszystkim mówić, gdy ci wrócą siły.

— Tak, — odparła szeptem — teraz będę spać.. kłocie tyle czasu spać mi nie dawało!

Zamknęła oczy, a on, pożegnawszy lekarzy, usiadł u jej wezgłowa, pamiętając, że się w jego życiu stało coś niespodzianego, coś nadzwyczajnego, nad czem musiał się zastanowić. Aliny przy nim nie było, a on czuł jeszcze jej głowę tulącą się do jego piersi, a przy ustach dotknięcie i zapach jej włosów. Co to się stało? Jak się to stać mogło? Wszak to ona sama, z własnego popędu, rzuciła się w jego rozwarte ramiona. Szczęście przepelniało mu duszę. Patrzył na matkę uratowaną, ocalałą, śmierci wydartą, a z przyspieszonego bicia serca dziewczyny poznał, że był kochanym! Czy to wszystko było prawdą? Czy rzeczywiście wczorajsze rozpacz, wczorajsze zwątpienia były snem prześnionym?

Co chwila któraś z rezydentek wsuwała się do pokoju. Poprosił jednej z nich, by czuwała nad snem chorej. Sam chciał natychmiast zobaczyć Alinę. Musiał ją zobaczyć po tem, co zaszło. Wszedł do jej pokoju nie zapukawszy, po prostu zapomniawszy zapukać. Ujrzał ją klęczącą przy łóżku, z twarzą ukrytą w dłoniach. Widocznie nie pragnienie modlitwy ugjęło jej kolana, ale wzruszenie, zawstydzenie. Szyja jej i uszy były pokryte rumieńcem, który z jej twarzy rozchodził się aż na nie, nie słyszała otwierających się drzwi i kroków wchodzącego. Juliusz patrzył na nią, odczuwając prawie, co się w niej działo. Pragnął ją podnieść z klęczek i, jak przed godziną, wziąć w ramiona. Z uścisku pierwszego wyrodziła się w nim żądza wyciągnięcia znowu rąk ku niej. Stał wszakże, do miejsca przykuty.

— Panno Alino! — szepnął.

Ona zerwała się cała w płomieniach.

— Niech pan nie myśli, — mówiła, zacinając się — ja nie wiem, jak się to stało... doprawdy nie wiem... ja przecie nie chciałam.. pan nie przypuszcza...

— Nic nie przypuszczam — odrzekł Juliusz, który już panował nad sobą — Niech się pani uspokoi. Jeżeli pani każe, ja zapomnę o tem, co zaszło. To moja wina. Otworzyłem ramiona ku tej radośnej nowinie, którą mi pani zwiastowała. Cóż to złego, gdy siostra złoży głowę na piersi brata? Jeżeli mi pani powie, że to był uścisk siostry, ja temu od razu uwierzę, ja to zrozumiem. Przyszedłem, żeby panią uspokoić.

Alina zasłoniła twarz rękami.

— Ja nie chcę kłamać! — zawołała jakby z bólem — Nie wiem, co się stało! Przynależałam być aniołem stróżem, a teraz czuję.. Ah, pan mną pogardzać musi!..

Łzy zabłyśły w jej oczach. Mówiła dalej ze skargą w głosie:

— Nie kochałam pana... doprawdy tylko, jak brata! Ale, gdy się czyją duszę weźmie w opiekę, gdy się ją uratować przysięgnie, to się ją musi pokochać silniej! Nie wiem, kiedy się to stało... dopiero taraz widzę, że to już od jakiegoś czasu było we mnie...

Cała miłość, cała, długo hamowana, namiętność, zabrzmiała w głosie Juliusza, gdy zawołał, ujmując w swoje dłonie obie ręce Aliny:

— Więc mię kochasz? Powiedz, że mię kochasz!

Usta jej zadrgały tylko. Wyznanie nie przedostało się przez nie. Juliusz puścił jej ręce i odsuwając się od niej, rzekł poważnie, choć głos drżał mu jeszcze.

— Panno Alino, pani może nie domyślała się tego... ja już od dwóch lat... ale mniejsza o mnie. Pani przybyła tu, żeby mię ratować i wpadła pani we własne sieci. Są kobiety, które są matkami nawet w miłości... Panno Alino, ja się tailem z uczuciem dla pani, jak ze zbrodnią. Może to była zbrodnia, skoro ta miłość zjednała mi w końcu serce pani... Jeżeli kiedy pragnął wzajemności, to tylko w chwilach, kiedy uczucie moje panowało nade mną, nie ja nad niem. Niech pani teraz sądzi o przyszłości mojej, w ręce pani ją oddaję. Gdybym był bogatym, ukląkł-bym przed panią i prosił-bym, by pani została moją żoną, ale jestem biedniejszy, niż niejeden, co nie ma nic. Moja żona musiała-by uczynić ślub ciężkiej pracy na całe życie, musiała-by wyrzec się na zawsze wszystkiego, co jest zabawą, strojem, przyjemnością... Pani jest artystką, wielką panią; wykwintność jest w pani drugą naturą i ja nie mam prawa powiedzieć pani: zostań moją żoną!

Alina zbliżyła się, rumieniec znikał powoli z jej twarzy.

— Nie chce mię pan? — zapytała, podnosząc niesmiałe spojrzenie.

— Nie chcę! Uczynił-bym panią nieszczęśliwą! Pani nie jest stworzoną do życia klucznicy, do kłopotów, które nam tu czasem jednej godziny spokojnej w całym dniu nie zostawiają! Oboje bylibyśmy nieszczęśliwi!

— Czy to szczęście tylko w używaniu? — rzekła Alina.

— Nie w używaniu, ale w swobodzie, a my oboje tu w Zbruczu musielibyśmy być na służbie, musielibyśmy być niewolnikami. Pani zna nasze tu życie. Jest bardzo ciężkie i nie na barki pani!

— Ja chcę dźwigać ten ciężar. Barki się do niego przyzwyczają... wyrobię je dźwigając.

— A więc, — rzekł Juliusz poważnie — nie lęka się pani trudu i pracy, kłopotów i niepowodzeń, ciężkiej służby?.. Ma pani odwagę, czuje pani w sobie siłę?

— Siła leży czasem po prostu w sercu, które kocha.

— Więc kocha? — zawołał Juliusz, biorąc ręce Aliny i pozwalając nareszcie wybuchnąć dawno tłumionemu uczuciu — Kocha tak, że

trud może się stać rozkoszą w imię miłości? Zatem, dla mnie, od dziś, niema trudu, jest tylko raj, jest niebo! Ty nie wiesz, aniele stróżu, jak ja pragnąłem pod twojemi skrzydłami chodzić całe życie!.. Miec ciebie zawsze przy sobie! Czy to prawda, że ty chcesz tu zostać, że ty mię kochasz?.. Tyle mię smutków dotknęło w ostatnich czasach, że szczęściu wierzyć nie mogę! Powiedz, mnie się może śni, jam może szalony! Ciebie mieć za żonę! Czem ja zasłużyłem na takie szczęście, na taką łaskę!

Mówił bezładnie ze wzrokiem zapalonym wielką miłością. Przyciągał Alinę, która odsunęła się trochę mówiąc:

— Widzę, że pan trochę szalony.

— O, nie — zawołał Juliusz — taki szal, to mądrość! Daruj mi go! Widzisz, ja od dwóch lat marzyłem o takiej chwili, w której powiem sobie, że ty cała jesteś moja!..

— Cicho! Mnie wstyd za pana! I nie mogę jeszcze nic przyrzekać. Rodzice nasi nic jeszcze nie wiedzą. Trzeba zaraz telegrafować. Chodźmy do matki pana. O, proszę, panie Juliuszu!.. pan był dotąd tak dobrze wychowany!..

Wyrwała ręce z uścisków Juliusza i pobiegła do pokoju Skierczyny.

W kilka dni potem obchodzono w Zbruczu wielkie święto. Pani domu pierwszy raz po chorobie wstała z łóżka i, ubrana, usiadła w fotelu. Juliusz, wracający od zaniedbanego w ostatnich czasach gospodarstwa, ujrzał ją, uśmiechającą się do niego. Przykląkł przy jej fotelu, mówiąc:

— To dobrze, że mama wstała, dziś przyjeżdżają państwo Starmarcy.

— Pewno po córkę, — rzekła Skierczyna — nie dziwię się, że chcą swój skarb zabrać.

— A gdybyśmy im go nie dali, mameczko?

Skierczyna spojrzała w oczy syna. Ujrzała w nich światło wielkiego szczęścia.

— Julku! — zawołała — Ty się chcesz oświadczyć o Alinkę!

— Zapytaj jej, mamó, czy mię zechce? — rzekł Juliusz, widząc Alinę wchodzącą do pokoju.

Skierczyna, osłabiona jeszcze, czuła się bardzo wzruszoną.

— On taki dobry! — ozwała się spoglądając na Alinę pytająco.

— To on mię nie chciał. — rzekła Alina — Musiałam mu się sama oświadczyć! Panie Juliuszu, czy ja kłamię?

— Tak, a przynajmniej pani nieco prawdę przeistacza. Nie było między nami mowy o oświadczeniach. To radość z powodu wyzdrowienia mamy przysłała jako swat. Takie szczęście trzeba co najmniej zaręczynami obchodzić.

Całował rękę matki, uśmiechając się do niej, jak dziecko.

— Toś ty to sprawiła — rzekła, ze łzami w oczach, matka do Aliny — Za to bądź błogosławiona!

Alina nie rozumiała.

— Twoja miłość nauczyła go czułości dla starej matki — dodała Skierczyzna.

ZOFIA KOWERSKA.

KONIEC.

Hasła i plany wojenne przeciw Turcyi.

(Wiktor Czernak. Plany wojny tureckiej Władysława IV. Kraków, 1893. Stronice 403).

W kilkanaście lat po nieszczęśliwej bitwie pod Mohaczem, gdy z baszt stolicy węgierskiej błysnęło znamię półksiężycy (1541), Rzeczpospolita polska musiała przyjść do przekonania, że wraz z jarzmem pogańskim, narzuconem sąsiedniemu królestwu, zapaliła się ściana Rzeczypospolitej i że po jej ziemie z kolei sięgnie zdobywcze ramię wyznawców Mahometa. Szybki wzrost potęgi Osmanów w XVI wieku, ich ustrój państwowy podatny do prowadzenia wojen zdobywczych, ulepszone organizacya wojenna i niezwykła przebiegłość dyplomatyczna, umiejąca nietylko korzystać z niezgody, panującej w drużynie państw chrześcijańskich, lecz i sama waśń szczepić skrycie a zręcznie, nadawały niebezpieczeństwu, jakie nad Polską zawisło, groźny charakter i skłoniły publicystów, statystów, poetów i fachowych żołnierzy do wystąpienia z ostrzeżeniem i radą, która-by podniosła i skrzepiła rycerskiego ducha przypomnieniem dawnych tryumfów i nieobumarłych jeszcze wawrzynów.

Upadek królestwa węgierskiego wywołał i stworzył w Polsce ogólne hasło wojny przeciw nieprzejednanemu wrogowi chrześcijaństwa, lecz hasło owo przeistaczało się często w projekta, ograniczone do wojny odpornej i przejęte duchem kunktatorskim, gdy inne

nawoływały do wstępnego boju, do zerwania przymierza i do powierzenia się „Boga Rodzicy - Dziewicy”, która już tyle razy zapewniła rycerstwu polskiemu zwycięstwo nad przeważającemi siłami nieprzyjaciół.

Wcześniej, bo w roku 1543, wzruszony do głębi smutną dolą Węgier, wystąpił Orzechowski z swem ognistym i podniosłym przemówieniem do rycerstwa polskiego ¹⁾. Nie poprzestając na języku łacińskim, wydał on w tymże samym roku owo przemówienie po polsku, pod tytułem „Książki Stanisława Orzechowskiego o ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi, z łacińskiego języka na polski wyłożone. Każdemu rycerskiemu człowiekowi użyteczne” ²⁾. Zaraz na wstępie oświadcza Orzechowski „Wiedźcie W Moście o tym, że cesarz Turcki ziemię węgierską posiadłszy, bierzę się gwałtem wielkim do was. . . Ponieważ bez woly waszey nie mógł się z państwem swym aż po kray północny rozciągnąć, przymierzem y spólną przyjaźnią was ułowił y uwikłał... Któż mu jednak zabroni, aby też y na Polskę miecza podnieść, a na nas, kiedy się najlepiej otuchą przymierza ubezpieczymy, mocą większą niż przedtym uderzyć niemiał?.. Najdują się jednak drudzy, tak uporni, że w tak otworzystey i jasney wojnie przeciw was do pokoju z Turczyńcem wiodą: jakoby to, że się Turek na was buntuje, woyną od niego przypowiedzianą nie było, ale jakobyśmy ją my jemu przypowiedzieć mieli. Węgierska ziemia komu niedawno wydartą? azaż nie wnukowi króla waszego? którego krzywda sromotą byźdź ma. Te tedy rzeczy, którem powiedział, do pokojusz się mają, czy do wojny? Wyjąwszybyśmy w ten czas dopiero za woynę, to sobie rozumieli, kiedy już wszystkie w łykach mieć będzie y każdego z nas z osobna niewolniki poczyni.“

„A jeśli na to czekamy, aby nam jawnie przypowiedział, tedyśmy zaprawdę ze wszech nanieostroźniejsi. Wiercie mi W Moście, zapewne by też dobrze już y na Kraków szturmował, nie rzecze, aby na nas miecza dobywał... Ja was na woynę nie wyzywam, ale tylko upominam, abyście przyszlą niewolą od siebie odrazili, nad którą acz człowiekowi nic cięższego być nie może... Nie nowina wprawdzie być niewolnikiem jednego, ale to nowa niewola, y przedtym niesłychana, gdzie stan twój gorszy niż bestiiey jakiej byźdź musi.” Tymczasem zastana-

¹⁾ De bello adversus Turcas suscipiendo Stanislai Orzechovii ad Equites Polonos Oratio. Cracoviae, 1543.

²⁾ Tłómaczenia polskiego z r. 1543 dochował się zaledwie jeden egzemplarz w bibliotece hr. Czarneckiego w Rusku, z którego przedruku dokonał obecnie pr. Wierzbowski. Cytowałem jednak myśli Orzechowskiego z tłómaczenia Januszowskiego, które wyszło w roku 1590.

wia się Orzechowski nad pytaniem: czy istotnie potęga Turecka jest nieprzelamaną i czy paniczny strach, jaki ogarnął świat chrześcijański przed znamieniem półksiężyca, jest uzasadnionym? „Ja przecie dotąd widzę, że waszym niedbalstwem, waszą niezgodą a zdradą i rozbojem ich tureckie państwo stanęło. Jest też to państwo tureckie barzo wątłe y długo trwać nie może, przeto, że nie ma ani wiary, ani życzliwości poddanych swoich. A prawdziwie tak jest: że rzeczy okrutników takich, czasem tylko stoją, nie ludzką wiarą, ani chęcią: gwałtem y mocą powstawają, giną zasię y upadają pogodnym czasem. Jest to państwo tureckie jakies skliione z motłochu ludzi miernych, którzy przez bojaźń, prze udręczenie, prze męki, nietylko zrozumienie wolności utracili, ale y język, którym-by wolność tę wspomnieć mogli. Nie masz tedy panowie, nie masz dla czego się bać ludzi tych, którzy w niewoli są u Turka: bracia to waszy są: tymże piątmem krzyża świętego, co y my oznaczeni, którzy ciężkim niewoley ciężarem uciśnieni, na was oglądają... Ci też sami, co są w niewoli, okrzykiem domowym, zrażą z siebie to jarzmo niewoley, skoro waszę broń obaczą.”

„Moc turecka sama przez się jest taka, iż liczbą nie trzeba jej lekce sobie považać, ale z rodzaju nie trzeba jej się nazbyt bać, która złożona będąc z poimańców tym samym straszna światu wszystkiemu, jako sami widzicie: ale sama przez się jest barzo wątłą y pełna wszystkiego zlego. Turcy, gdy na dobywanie miasta, albo na wojnę ciętlem raczej samym nie sercem idą: ostrym bodźcem jako bydło do muru na czoło, gdzie nieprzyjaciela sercem wielkim y śmierć swoją prędką już przed oczyma widzą, popychani bywają. Wątpciesz teraz WMoście, jeśli możecie o dzielności swojej: a nawet naród swój jeśli chcecie, lekce sobie považajcie: niech was nie ratuje wolność, zacność y tryumphy dawne, jeśli się takich nieprzyjaciół boimy, y jeśli się owych lękamy, któreśmy y sercem, y radą, y dzielnością przeszli.“

Orzechowski uważa też za rzecz dowodną, „że nam przyidzie z Turkiem wojnę stoczyć i że państwo tureckie, wojną nadwątlone y przelomione bydź może. Dałby to jednak Pan Bóg, by to obmyślanie o tej wojnie nasze nie na ten terażniejszy czas przypadło, kiedy nie mniej niebezpieczeństwa mamy od nieprzyjaciela postronnego, jako od tej nieszczęsney niezgody, którą, by też dobrze nieprzyjaciela żadnego nie było, zginąć możemy... Bo czegoż wždy bronić będziemy? Pokoju którego nie mamy? czy wolności, którąśmy utracili? gdy prywatnich rzeczy staraniem oderwani, barzośmy się daleko odstrzelili od dobra pospolitego? gdy na każdych zjeżdżich, na każdych seymiech, tego tylko szukamy, jako-byśmy ulegali y ozdobili prywatną rzecz swoją? czym zaprawdę pospolita rzecz stać nie może.“

„Przymierza też stanowić z nieprzyjacielem: wojny zaniechywać; odłogiem próżno doma leżeć: wszystko to są pożytki własne: ale stąd wrzód pospolity roście, zbytek, niezgoda, lenistwo, umniejszenie państwa y utrata wolności. Boimy się nieprzyjaciela, pokoju zebrzemy: królestwo gubimy, sami tylko wolności zaledwie trzymamy. Czemu? bo każdy pilnuje swego, a pospolitego żaden. Starayciesz się W Mości, aby ta różnica o wiarę na inszy czas była odłożona i abyście WM odrzuciwszy na stronę obmyślawanie o rzeczach prywatnych, wszystko staranie swoje, wszystką pieczę y pilność do tey wojny obrócili: bo w tym samym zawisło wszystko dobro wasze. Masz W. Król. Mość wojnę z srogim, nie mówię nieprzyjacielem, bo to już coś lżejszego: ale z takim, który wiarę złamał, który przymierzem wzgardził, który jest rozbójnikiem praw ludzkich, zmaż y szkodą wszystkich rzeczy, które między ludźmi są święte, ucziwe y porządne: który nie część jedną Polski, nie ludzie, nie królestwo, nie państwo całe chce osieść, ale zgoła, aby narodu tego krwie, y imienia polskiego stopy żadney nie było: to mieć chce, tego pragnie, o tym myśli, aby tu Turki osadził, aby te kościoły Mahometowi poświęcił: aby w te miasta, w te wsi, w te miasteczka saraceny nasadzał; aby w popiele królestwa tego y we krwie twojej królował.”

Upewnia przytem Orzechowski monarchę, „że znajdują się szlachcicy polscy, co spuściwszy się na hetmaństwo W. Król. Mości, na wojsko y na obronę domową, tak rozumieją, że dosyć gotowi są wszystkiej mocy tureckiej odeprzeć: którzy acz wprawdzie często w niezgodzie z sobą byli, ta jednak przyczyna y to wspólne wszechniebezpieczeństwo, że jako Polska stoi, nie było nigdy w tym królestwie czasu takiego, którego by wszyscy zgodnie na jedno zgadzać się mieli: y teraz inszey rzeczy żadney już nie czekają, jeno skończenia seymu tego Piotrkowskiego, abyś im WKról. Mość dozwolił raczył mieczem bronić zdrowia swego, wolności swych, sobie, potomstwu y żonom swym... Więc serce takowe y myśl taką naydziesz WKról. Mość nie jeno w tym tak mężnym rycerstwie swoim, ale tąż ochotą gotowy jest stan duchowny wszystek, który widząc wiarę pana Krystusową w niebezpieczeństwie ostatnim, nie są trudni przyłożyć się na tę wojnę.“

„Nie schodzi WKról. Mości na tych rzeczach, które tak wielkiej wojnie służą, jako jest żołnierz domowy y żołnierz obcy: bo jeśli WKról. Mość królestwo wszystko szacować równo będziesz, bezwątpienia ten szacunek, na co się ze mną wszyscy zgadzają, wyciągnąć się może na dwa kroć sto tysięcy wybrańców, y ludzi do boju czystych, z których W. Król. Mość każdą rotę stawić bezpiecznie możesz przeciw wielkim tureckim wojskom. Nie schodzi tedy nic WKról. Mości na nas: pójdziemy gdzie poprowadzisz; wszyscyśmy już we zbrojach

y żaden stan, żadne miejsce, żaden człowiek nie żąda od WKról. Mości, rzeczy inszej żadney, jeno nieprzyjaciela, jeno zbroje, jeno woyny. Ale też WKról Mość tego nieprzyjaciela w Polsce czekać nie masz, owszem zbroją y mieczem nań tak uderzyć, jakobyśmy nie na gruncie naszym, ale na mieyscach poburzonych węgierskich woynę z nim toczyli... Większa zawsze siła bywa tego, który na nieprzyjaciela woynę podnosi, niż tego, który się broni y który między mury domowemi woynę z nieprzyjacielem toczy, łącno taki serce traci z onego srogiego żalu, gdzie oyczyzna mieczem y ogniem spustoszona... Ale ci, którzy daleko od domu na nieprzyjaciela dla ojczyzny wyjeżdżają, mając nadzieję dobrą, nie mając żalu żadnego na sercu z nieszczęścia jakiego braciey swoyey, cali, zdrowi daleko ochotniejszy bywają na woynie. Przetoż Najaśnieyszy M. Królu: toć y WKról. Mość uczynić masz, póki jeszcze całe doma rzeczy, zatrzy w imie Pańskie, gdzie jeno żywnie chcesz—Turkiem, byle nie doma w Polsce.”

Przytoczyłem naumyślnie kilka wyrwanych zdań z tego cennego i oryginalnego dokumentu, który stanowił pierwsze hasło wojny szlacheckiej przeciw Turkowi w czasie, kiedy jęk dławionych Węgier jeszcze nie przebrzmiał w Europie. Orzechowskiego manifest „O ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi”, pozostanie też ze wszech cennem historycznym źródłem niezbędnem dla zrozumienia należytego ówczesnej epoki w Polsce. Nie tylko, że w przemówieniu Orzechowskiego panuje poważny i piękny aż do wzniosłości język, nie tylko, że przebija się w niem ów wielki, święty zapał, jakby poczęty z twórców pierwszych wypraw krzyżowych, ale w dodatku spotykamy w owem „Ruszeniu ziemie polskiej” tyle głębokiej wiedzy politycznej i taką znajomość ustroju państwa polskiego, że przemówienie Orzechowskiego nie przestanie zajmować w literaturze polskiej politycznej XVI wieku wybitnego stanowiska.

Nietylko wielka wiedza przebija się w „Ruszeniu ziemie polskiej”, ale i zadziwiająca zręczność, przeistaczająca się niekiedy w wyrachowaną misternie przebiegłość. Orzechowski wiedział dobrze z ilu trudnościami spotka się jego hasło wojenne przeciwko Turkowi w państwie tak zorganizowanem, jak polska Rzeczpospolita, i nie tajem mu było, że większość sejmikowej szlachty, pomimo pożaru, ogarniającego ścianę Rzpltej, pozostanie w egoistycznej gnuśności i da się zaledwie namówić na wojnę odporną i to wtedy, gdy wróg wtargnie we wnętrzości własnego ich kraju. Wszystko też obliczonem zostało u Orzechowskiego na podniesienie serc, na skrzepienie ducha tylekroć zwycięskiego rycerstwa polskiego. Nie było uczucia, do którego by nie przemówił, rany, której-by nie zajątrzył, aby tylko obudzić uśpioną dumę i pragnienie odwetu za tyle krzywd, wyrządzonych

chrześcijańskiemu światu. Aby twoga nie obleciała polskiego rycerstwa, wykazuje Orzechowski pozorną siłę tureckiej potęgi, polegającej przeważnie na szeregach poturczeńców, a z zniwytką siłą logiki i z wielką znajomością dziejów przekonywa, że największym sprzymierzeńcem Turcyi była niezgoda wewnętrzna, która rozrywała i przeciwko sobie zwracała w bratobójczej walce państwa chrześcijańskie.

Ma też nadzieję Orzechowski, że bolesny przykład Węgier ustrzeże rycerstwo polskie od najgroźniejszego nieprzyjaciela wewnętrznego, t. j. od niezgody, i że paląca się ściana Rzeczypospolitej zjednoczy wszystkich w potężnem hasle obrony Ś go Krzyża i obrony kraju przed nieubłaganym nieprzyjacielem. Orzechowski ufa przede wszystkim monarsze polskiemu, że zdolny jeszcze będzie podjąć tak wielkie zadanie i tchnąć męskiego ducha w rycerstwo, ufa wodzowi Tarnowskiemu, którego Opatrzność dała Polsce, i ufa rycerstwu, że dla obrony swych nadzwyczajnych wolności wypełni marsowy obowiązek z zaparciem się i poświęceniem bez granic. Orzechowski z zadziwiającą siłą logiki przekonywa wątpiących, że ofiarowane przez Turków przymierze jest tylko podstępem, odlekającym wojnę z Polską do czasu dogodnego, i z niezwykłą znajomością przebiegów dyplomatycznych tureckich przekonywa, że życzliwość i względność sułtanów dla polskich monarchów jest tylko zręcznem zapędzaniem państwa polskiego w nieuniknioną matnię.

Nie tylko więc, że „Ruszenie ziemie polskiej” Orzechowskiego jest pobudką wojenną dla rycerstwa, aby szło do Węgier naprzeciw nieprzyjacielowi, ale zarazem stanowi ono środek zapobiegawczy, aby nie powstało hasło przymierza z Osmanami, ograniczające się co najwyżej do walki odpornej w razie najazdu barbarzyńcy. W napomnieniu Orzechowskiego tkwi dowód, że wśród sejmikowej szlachty istnieć musiało stronnictwo, które rade było do samego końca liczyć na pokój z Turcją i pozostawić walkę z półksiężycem innym państwu. Jego szczery zapał wszakże i wiara w etyczne siły rycerstwa polskiego przekonywają znowu, że liczył na możność zaczepnej wyprawy, która zwycięstwom Turków położy kres ostateczny.

Zanim „Ruszenie ziemie polskiej” pobudziło natchnienie Klonowicza i Strykowskiego, ukazało się dzieło Frycza Modrzewskiego „O naprawie Rzeczypospolitej” (1557), które pomiędzy innemi zawarło również i księgę o wojnie. Modrzewski nie mógł pominąć tak ważnego faktu, jak upadek Węgier, i rzeczywiście poświęca mu szczegółowo uwagę. Zdaniem jego, królestwu węgierskiemu niczego nie brakowało do szczęśliwego na świecie życia. „Ale, iż grzechy węgierskiej ziemie barzo były z brzegów wylały, przeto ją przemożono, a co najlepszą jego część nieprzyjacieli posiadł. Cóż tedy mniamy być przyczyn-

ną tego zwycięstwa tureckiego? Aza nie widzimy, że Turek jest ten, przez którego Bóg y karze y karać będzie grzechy ludu swego? Jeśli tedy nieprzyjaciela tego od szyi naszych odwrócić chcemy, staraymy się, abychmy żywot nasz w lepszy odmienili. Bo obyczaje nasze skazone, wiara y powinność zaniedbana.“

Modrzewski podał w swem dziele wiele rozsądnych uwag o wojnie. Chcąc widzieć ubezpieczone granice Polski od wypraw tatarskich, pragnie stałego skarbu, który-by stałe załogi pograniczne pomógł utrzymywać. Woynę z Turki i Tatary uważa za słuszną i sprawiedliwą, ale to mu nie przeszkadza zakończyć księgi o wojnie następującem rozmowaniem: „Bo my nie podniesiemy woyny, ale jey odpór dawać będziemy: a nie dla łakomstwa abo sławy, ale o wiarę y domy, o dziatki y żony naostatek o Rzeczpospolitą czynić będziemy. Przełomione będą naonczas mocy tureckie y wszystkich nieprzyjaciół. Nie pomoże im bieglność w rzeczach walecznych, ani mnóstwo ludzi i t. d.“

Modrzewski więc nie dał się unieść, ani zapałowi, ani politycznym racyom Orzechowskiego, i ograniczając siły Rzeczypospolitej do zachowania stanowiska odpornego, przyczynił się nie mało, choć pośrednio, zarazem do wytworzenia tradycyjnego hasła przymierza. Traktat poważny o naprawie Rzpltej nie mógł na razie mieć tego przenikającego wpływu, co ogniste i podniosłe przemówienie Orzechowskiego, ale w każdym wypadku zwolennicy kunktatorstwa i wyczekiwania końca, a razem z nimi i tłum szlachty, rozkoszujący się w wolnościach, a zapominający o nierozdzielnych z niemi obowiązkach, zyskiwali w teorii Modrzewskiego twardą opokę, na której wsparli swą prywatę, nie poczuwającą się do żadnych wyższych aspiracyi, a tem mniej do poświęceń.

W r. 1575 wydrukował w Krakowie Strykowski swój rymowany poemat p. t. „O wolności polskiej W. X. Litew., o srogiem zniewoleniu wiernych pod jarzmem tureckiem i o Rokoszu cesarza Amurata.“ Co tylko poeta mógł wstrętne i obrzydliwe przytoczyć o poganach, to zamieścił w swym utworze, przestraszając rycerstwo polskie samą myślą i przypuszczeniem znoszenia tak sromotnego jarzma. We wszystkim prawie zgadza się Strykowski z Orzechowskim i z przeświadczeniem głębokiem powiada: „Nigdy-by nas nie zwalczył ten srogi poganin, By był z chrześcianinem w zgodzie chrześcianin.“ Dalej zaś, ukazując smutną dolę podbitych krain, ostrzega: „Przeto o Polsko wolna, karz się cudzą szkodą, A myśl o swej obronie przed przyszłą przygodą. Boć się tym swym przymierzem dotąd ten lis łasił, Ażby pierwey sąsiady twe wszystkie wygasił; Bo ten naród dół kopa, zawzdy pod wiernymi I pragnie ich wyniszczyć zdradami chyttrymi.“ „Przeto Polsko! O Polsko! co bujasz w wolności Y używasz

praw, świebód, gruntów swych w całości, Obacz chytre przymierze, którym cię podchodzi, Ten zły Tyran, przypatrz się jako na cię go-dzi. Bo już w przymierzu Twoim inszych poholdował I już twoje postęпки wszystkie wyszpiegował. Już świadom twej obrony, sprawy y urzędów, Świadom twoich wolności, świadom też w nich błędów. Na was ci przyszła kolej, o was tylko stoi, Lecz się męstwa waszego sprzykra skusić boi, A bojał by się barziej, byście sami chcieli. Sami-byście wy mogli, sami ich moc zgromić, Musiał-by się ich stolec y tyranstwo złomić; Gdyby się z męstwem waszym zgoda obla-piła, Jużby z Bogiem fortuna do was przystąpiła, Jużbyście za morze Turka wypłoszyli, Więcey-by się w Europie tu niekokoszyli, Bo to naród nizezemny, tylko strachem stoi."

Przytoczyłem kilka wierszy z poematów Strykowskiego, które przekonywają, że natchnienie swe czerpał poeta z „Ruszenia ziemie polskiej“ Orzechowskiego. Niewątpliwie też zapal i podniosły duch, przenikający poemat Strykowskiego, odświeżył hasło wyprawy na Turka i był jakby nową pobudką, cucącą z odrętwienia rycerstwo polskie. Trudno bowiem przypuścić, aby wspomnienia dziejowe, wypowiedziane z siłą i niezwykłym nastrojem ducha, odbijały się bez współczującego echa o pierś rycerstwa. Gdy też czytano wiersz: „Nie kupiono polskich ziem y wolności złotem, Lecz cnych przodków dzielnością, męstwem, szablą, potem, Krwią to państwo kupiono, krwią go bronić trzeba, Wzywając na ratunek pana Boga z Nieba“, musiał on brzmieć w owe czasy, jak surma bojowa lub jak nowy jęk dławionych Węgier, przypominający nieustannie, że pożar ogarnął ścianę Rzpltej.

Hasło pomsty na Bisurmanie podjął jeszcze drugi poeta, choć prawie o dwadzieścia lat później po Strykowskim. W roku bowiem 1596 Klonowicz przełożył ze swego łacińskiego utworu „Victoria Deorum“ jeden ustęp p. t. „Pożar wojny świeckiej. Upominanie do gaszenia i wróżka o upadku mocy tureckiej.“ Na czele przetłómaczonego fragmentu zamieścił Klonowicz wiersz Vergiliusza „jam proximus ardet Ucalegon“, co znaczy, że najbliższy już sąsiad niedbały gore.“ Dalej zaś ocięzła jego muza ubolewa nad tem, że: „Gdy nasi drzymią, bawią się rozkoszą greccy cesarze, Turcy się panoszą. Urosli naszą domową niezgodą, Przetoz się i my karzmy dawną szkodą.“ Nie widzi też Klonowicz innego sposobu nad ten: „Wypędźmy z granic Turka, tam gdzie brzegi Hirkańskie i gdzie Kaukasowe śniegi. Niech idzie na swe siedliska pogańskie, Niech tam rozciąga swe prawa tyrańskie. Na niegościnnych skałach i t. d.“ Klonowicz zatem odnowił pobudkę Strykowskiego i nie widział innego sposobu na ugaszenie pożaru wojny tureckiej, jak wstępny bój i to na śmierć lub życie.

Pod koniec wieku XVI projekta wojenne poczynają się mnożyć, i choć nie wszystkie ośmielają się zdradzić z myślą o walce zaczepnej, to jednakże pośrednio dążą do tego samego celu, pragnąc ubezpieczenia granic Rzpltej za pomocą stałego skarbu i stałego wojska. W r. 1590 Januszowski uważał za stosowne nie tylko Orzechowskiego „Ruszenie polskiej ziemie” przełożyć na język polski, ale w dodatku tłumaczenie swe zadedykować Zygmuntowi III. W dedykacji Januszowski oświadcza, że w utworze Orzechowskiego znajdują się „rzeczy, godne uszu W. Kr. Mości, aby y WKr. Mość sam tego Tyranna zrozumieć tym łączniey mógł i aby pod skrzydły majestatu W Kr. Mości, tym większa chęć y serce we wszystkim rycerstwie Polskim, naprzd do zgody, potym na tego Tyranna pomnożyć się zgodnie mogła.” Istotnie ukazanie się nowego tłumaczenia tego wspaniałego utworu nie mogło przejść bez pewnego znaczenia i wpływu, zwłaszcza, że towarzyszyły mu liczne drukowane „Vota”, które do ubezpieczenia i obrony granic od pogan nawoływały i nieuniknioną potrzebę zorganizowania jej przedstawiały.

W roku 1597 ukazało się nawet „votum i t. d. strony podniesienia woyny potężnej przeciwko cesarzowi tureckiemu, bez ruszenia popolitego, a iżby każdy gospodarz, zostawszy w domu swoim, mógł bezpiecznie zażywać gospodarstwa swego.” Ale składający powyższe „Votum” sejmowi nie wypowiedział bynajmniej hasła wojny zaczepnej. Przedewszystkiem szło mu o zorganizowanie potężnego wojska stałego przy pomocy stałego skarbu, a gdy cel powyższy osiągnięty zostanie, „tedy może już wybornie JKr. Mość za pomocą Bożą temu poganiowi być srogi i przystojna rzecz, aby JKr. Mość praesens w wojsku był” ¹⁾. Wereszczyński w swych pismach, drukowanych między 1594—95 rokiem, pragnął znowu założenia na Ukrainie szkoły rycerskiej, jako też krzyżaków według reguły maltańskiej w sąsiedztwie z pogany i t. d. ²⁾. Ostatecznie projekta jego do niczego więcej nie zmierzają, jak do ubezpieczenia granicy za pomocą stałego wojska i stałego skarbu, t. j. tego samego, czego pragnął i Modrzewski. „Votum zaś szlachcica polskiego, ojczyznę wiernie miłującego: O założeniu skarbu Rzpltej y o obronie krajów ruskich napisane od authora w r. 1589, a do druku podane w r. 1596” stwierdza fakt bardzo smutny, a mianowicie, że, pomimo przeświadczenia ogólnego o konieczności lepszej obrony krain ruskich i pomimo, że od mieszkańców tych stron „prawie z krwawemi łzami, na wszystkich seymiech proszeni bywamy (o obronę): ale

¹⁾ Str. 71.

²⁾ Pisma polityczne ks. Józefa Wereszczyńskiego (wydanie Turowskiego), Publika i t. d.

namli prawdę powiedzieć, jakom zwykł, wierę od siłu braciey, a zwłaszcza z województw wielkopolskich, jako od niebezpieczeństwa odleglejszych, niepilno słuchani y leda jako odprawowani bywają, bo ich więc tym zbywano, że pilniey o czym inszym radzić" ¹⁾.

Wiek XVII rozpoczął na nowo natarczywe nalegania na utworzenie stałego skarbu i stałego wojska, a nawet posunął się dalej, bo wykazywał potrzebę nieuniknioną wojny zaczepnej, rozumie się wówczas, gdy stałe wojsko zorganizowanem zostanie. „Votum ślacheckiego polskiego pisane na seymiki i seym r. p. 1606” zaznacza, że „Rzeczy trzeba nie słów—Rzeczpospolita ma bydź „non verbosa, sed activa, non litigiosa sed effectiva.” Ostateczne zaś konkluzye autora „Votum są następujące:” trzeba namówić aerarium publicum „bez opresyi ubogiego ludu” i „nie obciążaymy nędze więszą nędzą” ²⁾. Na początku XVII wieku zjawił się także poeta, Kacper Miaskowski, którego już klęski własnego kraju, a nie upadek Węgier, natchnęły i skłoniły do wyśpiewania kilku żałobnych pieśń. W utworze p. t. „Na postrach turecki Nenia”, wyrzeka Miaskowski—„O włości dziadów mężną krwią kupione! I wnuków zaś krwią zginą zatopione? I w zmyślonem nas przymierzu ułowi, Ten Tyran, gdyśmy prawie nie gotowi?” Dalej zaś przychodzi do przekonania „Ale już dosyć złęgośmy widzieli, Niech wždy na zgonie ojczystym nie dzieli Kalwiński upór spólnych serc i zbroi. Niezgodą ginie, zgodą państwo stoi.”

W „Pieśni żałobnej na klęskę ukrainną i niebezpieczeństwo Kamieńca“ użala się znowu Miaskowski na to, że „Więc przez niezgodę i serca niemężne Tak uczynimy na nas je potężne, Że co po zdobycz tylko wyciekali, Pójdą już dalej! A gdy my wołać będziemy o swobody, A oni wtenczas brać nam będą grody, I już podolski myślą nam snąć wieniec Wydrzeć Kamieniec.” Lecz Miaskowski pociesza się nadzieją, że „A twoich modły zwyciężony Panie, spraw że ustanie Przekopska burza, a słońce nastąpi, A za w tem w strzemie znowu dziadów wstąpi Bohater Lechów, broniąc dzielny brzegów Od psich szeregów.”

Początek wieku XVII przyniósł jednak literaturze polskiej dwa ważne dokumenta, napisane przez fachowych żołnierzy, a namawiające do wojny zaczepnej. Chabielski, piszący się dawnym więźniem tureckim, wystąpił w r. 1606 z broszurą p. t. „Sposób rządu koronnego y gotowości. Obrona Rzeczypospolitej jakoby miała być.” Chabielski przekonywa szlachtę, że przewaga bojowa spoczywa całkowicie

¹⁾ druk nieliczbowany.

²⁾ druk nieliczbowany.

„w ogniściej armacie.” Obsługiwać zaś armatę powinna piechota wybraniecka, lub z jurgielników po kozacku, zawsze będąca w pogotowiu. Zgotowawszy zaś armatę „porządnie”, „należy naprzód wołoską ziemię po Dunaj odjąć, a brzegi Dunajowe od swej strony oswobodzić, aby Turczyn do brzegów koronnych przystępu mieć nie mógł. „Hospodar wołoski ma być od tego czasu Polak, który-by więcej Turkowi trybutu nie dawał, ale raczej aby kilka tysięcy wojska na to chował; a czego-by mu niedostawało, Rzeczpospolita to powinna będzie z poborów dołożyć.” W r. 1620 wystąpił z broszurą Jan hr. Ostro-róg, wojewoda poznański, którą zatytułował: „Sławney Koronie Polskiej z wielu narodów, z woli Bożey w jedno ciało Rzpłtej, pod jednym królem złożoney, jako narodowi swemu własnemu stare swe służby y miłość braterską” (Zamość 1620). W broszurze powyższej Ostro-róg ostrzega, że „nas już Turcy wachać poczęli, by ścierwa psi, y że już oni krótko, długo nieprzestaną, aż w nas zawadzą.” Dalej zaś przekonywa, „że wojny tureckiej daley nie zwleczenie, a jeśli W Mość wojnę do obrony swej tylko prowadzić będziecie, przegracie taką wojnę”; tymczasem „taka jest wasza commoditas z Turki wojować, której żaden pod słońcem naród nie ma.”

Obie broszury, zachęcające wprost do podjęcia walki zaczepnej, pojawiły się bardzo w porę, ażeby stłumić hasło przymierza, które w końcu XVI wieku nabrało większego znaczenia. „Deliberacye 1595 r.” bowiem, w którym było „Pierwsze consilium ex Hosio cardinali” obwieszczały wszemu rycerstwu polskiemu, że „my ani do odbierania cesarzowi tureckiemu przyczyny nie mamy, gdyż nie tylko nam nic nie wydarł, ale gdy nasi częstokroć brali, czasem przeglądał.” Dla tego to „ani żebyśmy mieli opowiedzieć i podnieść przeciwko niemu wojnę, przyczyny żadnej nie mamy. Bo nam nigdy obrazy żadnej, ani krzywdy nie uczynił. Przymierze zaś i pacta, które z nim mamy, bez wszelakiej przyczyny łamać, zdradnego zasię i wiarołomnego zda się rzecz być, niż miłującego Rzeczpospolitę chrześcianską, niż uważającego dobro uczciwe swe.”

W literaturze więc polskiej z końca XVI i z początku XVII wieku reprezentowane były zarówno projekta wojny zaczepnej, jak i odpornej, zarówno hasła walki, jak i przymierza. Jeżeli ogniasty temperament Orzechowskiego pragnął nowej wyprawy krzyżowej, spokojny i głęboki umysł Modrzewskiego ograniczał się ubezpieczeniem granic i wojną odporną, dyplomatyczny zaś zmysł Hozyusza widział największe korzyści w przymierzach, które wyzyskiwać należało aż do ostatniej chwili. Przy rozstrzeleniu się zdań najpoważniejszych mężów w różnolite kierunki, musiały mieć niewątpliwie wielką doniosłość projekta i zamiary królewskie. Dwaj zaś monarchowie elekcyjui, Stefan Bato-

ry i Władysław IV, przechylali się do wojny zaczepnej i plany ich względem Turcyi sięgały daleko, poszukując sprzymierzeńców w gronie panujących enropejskich.

Poważną a nawet nieprzebytą zaporę znalazł jednak monarchizm w ustroju Rzeczypospolitej, czyli państwa polskiego. Właśnie dla tychże samych powodów Węgry nie mogły się zdobyć na dostateczną obronę granic i stały się łupem pogańców. Wszzechwładztwo bowiem sejmów stanowych nie uposażyło należycie władzy królewskiej i nie dozwoliło jej utrzymywać stałych wojsk, które w postaci „czarnego legionu” skutecznie broniły samoistności królestwa węgierskiego. Elekcye królów podzieliły kraj na obozy, z których jedne szukały w Niemczech pomocy, drugie zaś nie wahały się po nią udawać do śmiertelnego wroga chrześcijaństwa, Turka. Sejmom wreszcie, wybierającym królów, nie chodziło bynajmniej o monarchę znanego z wielkiego ducha i serca, ale o takiego „cujus crines continuo in manibus tenere possent”, czyli po prostu mówiąc, którego-by mogły nieustannie za łeb dzierżyć ¹⁾).

Ze względu też, że organizacya państwa tureckiego nadawała się wybornie do polityki zdobywczej i do wojen zaczepnych, Węgry nie zdołali zapobiedz wprowadzeniu w czyn teoryi sultanów, głoszącej, że gdzie tylko sultan głowę do snu ułoży, lub nawet gdzie rumak jego ziemi dotknie podkową, tam krainy okoliczne już do niego na zawsze należą. Insurrekcyje, czyli pospolite ruszenia węgierskie nie były w stanie sprostać wybornej piechocie janczarskiej i ta obrona, którą sejmy wszechwładne wraz z całą konstytucyą stanową potrafiły przeciwstawić groźnemu poganinowi, nie zdołała uchronić Węgiei od półtorawiecznej niewoli ²⁾).

Kiedy Orzechowski wystąpił z swem „Ruszenie ziemie polskiej”, majestat królewski nie był jeszcze szarpany przez wolne elekcyje, i sejmy ceniły zazwyczaj powagę monarszego słowa. Elekcyjni królowie znaleźli się jednak w zależniejszem od sejmów położeniu i gdy tylko przyszło im sięgać do worków szlacheckich, doznawali bolesnych i dotkliwych zawodów. Skomplikowany ustrój Rzeczypospolitej nie sprzyjał z natury rzeczy prowadzeniu wojny zaczepnej, a nawet wszelkie utrzymywanie wojsk stałych, choćby jedynie dla wojny odpornej przeznaczonych, spotykało się z krótkowidztwem, skąpstwem i po-

¹⁾ *Horvath*. „Geschichte der Ungern.“ T. I. Str. 397 (po śmierci Macieja Korwina).

²⁾ *Salamon*. „Ungarn im Zeitalter der Türkenherrschaft.“ Str. 64. Ein konstitutionelles Leben mit der damaligen Freiheit einerseits und die Kampffähigkeit gegen die Türken andererseits waren unvereinbare Gegensätze.

dejrzliwością sejmików, zarówno jak i sejmów. Jeżeli też w XV wieku wyrzekała szlachta: „zawsze nam pokóy obiecują za te pobory, a tymczasem własnymi widzimy oczyma, że my na siebie tylko wojnę sprowadzamy” ¹⁾, i to wyrzekała w chwili, gdy wojny domagały się najżywotniejsze interesa państwa; to cóż się dziwić temu, że wobec potężnego i zwycięskiego zdobywcy szlachta rada-by się była powołać na przymierza i dać dopiero u granicy odpór najezdnikowi, zwłaszcza, że przecież nie kto inny, jak opatrnościowy hetman Tarnowski, nauczał, że wojna (zaczepna) przeciwna jest rozumowi, który każdemu na swoim przestawać każe, przeciwna i Bogu, który cudzego pożądać zakazuje ²⁾.

Zarówno więc Stefan Batory, jak i Władysław IV, znajdowali w naturze państwa polskiego poważną zaporę dla swych zdobywczych planów. Niepospolite jednak zdolności wojskowe obu monarchów, w połączeniu z energią i stałością charakteru, nie pozwoliły im wyrzec się daleko w przyszłość sięgających zamiarów. Mierząc własną miarą ducha rycerstwa i rozum sejmujących stanów, nie tracili też obaj nadziei, że wzniosła pobudka Orzechowskiego da się urzeczywistnić i że seymy w tym celu nie poskąpią im pieniędzy, a rycerstwo ramienia. Śmierć obróciła w niwecz pomysł Stefana Batorego, ale Władysław IV podjął je w spuszczaniu i z niepospolitą wytrwałością kuśił się o ich urzeczywistnienie. Miał zaś prawo wymagać, aby go rycerstwo uważało za godnego wykonawcę pragnień i zamiarów Stefana Batorego. Zachowanie się jego bowiem pod Smoleńskiem wkrótce po koronacji (1633—4) było zwiastunem pięknego panowania i niepospolitych czynów. Pod tak wytrwałym, przewidującym i pełnym poświęcenia wodzem można się było spodziewać wielkiego zaćmienia półksiężycy Osmanów; tymczasem sejmujące stany okazały się dla wszelkich nadziei nieprzystępnymi i wołały pochować zamiary królewskie, przekładając nad najświetniejsze tryumfy święty, choć niepewny, spokój bieżącej chwili.

Smutne losy projektów wojennych Władysława IV opowiedział nam dr Czermak w obszerniej pracy, której tytuł został na czele podany. Dzieło jego miało być odpowiedzią na zadanie konkursowe o obszerniejszym zakresie, do którego wchodził stosunek Władysława IV do kozaczyzny i stanowisko tego króla wobec unii i schizmy. Gdy jednakże autor nie zdołał w odpowiednim czasie objąć opracowaniem całości powyższego tematu, więc tylko wykończył dokładnie studjum, poświęcone planom wojny Tureckiej Władysława IV.

¹⁾ Pawiński. „Sejmiki ziemskie“ i t. d. Str. 148.

²⁾ „Consilium rationis bellicae.“ Str. 5 (wydanie Turowskiego).

Dr Czermak utrzymuje, że już w pierwszych latach panowania Władysława IV zaprzętał głowę królewską, obok niewzruszonego zamiaru podjęcia ojcowskich zabiegów o koronę szwedzką, także i jakiś nieokreślony bliżej, ale przecie uchwytny w zasadzie, plan wielkiej wyprawy na Turka, wyprawy widocznie zdobywczej, o charakterze na pół religijnym, o zakroju krucyat średniowiecznych. Zamiar ten, chociaż długo usuwany na plan dalszy, żył jednak, krzewił się, rozrastał wśród splotu innych zamysłów królewskich ustawicznie, aby nareszcie przerosło wszystkie, zapanować nad nimi i przytłumić je po części swoim ciężarem.

Nuncyusz Visconti wystawił swego czasu Władysławowi IV, jako mężowi niepospolitemu, bardzo chlubne świadectwo, zaznaczył jednakże, „że Polacy, lubo się z tem otwarcie nie wydają, że mu mało ufają, dają to jednak do zrozumienia w kształcie dość jasnej zagadki, że mają króla mędrszego, niż im potrzeba. W rzeczy samej, król Władysław nieraz okazywał, że polega więcej na swym własnym geniuszu, niżeli na zbiorowym szlachty rozumie. Nawet w czasie bezkrólewia, kiedy cały los zależał od ich głowy, nie chciał się poprawić, a przynajmniej na czas powstrzymać od tych wybryków, które oni otwarcie nazywali wadami nie do przebaczenia w królu polskim.

W każdym razie wszystko zdaje się wskazywać, że Władysław IV był głową otwartą, inteligencją świetną, umysłem bystrym, światłym i przystępnym szlachetnym popędem. Prócz tego jednak król żywił ambicję, zwróconą ku temu, aby dla imienia własnego wyrobić jak największą sławę, dla domu Wazów jak największą potęgę, i aby dla pierwszej przy pomocy drugiej wysunąć się w Europie na przodujące, najcenniejsze stanowisko. Zamiarom też królewskim przodowała dążność do wytworzenia niezależnie osobistej, domowej potęgi dla siebie, do przywrócenia rodowi swemu charakteru królewskości dynastycznej, a więc i do wyrobienia dla dynastji Wazów trwałego oparcia w jakiejś posiadłości dziedzicznej. Dążność ta była najpotężniejszym motorem całej polityki zagranicznej. Ona-to zwracała jego uwagę przez cały przeciąg królowania głównie na zewnątrz, po-za obręb Rzeczypospolitej—przedewszystkiem w stronę Szwecyi.

To były jednak, zdaniem d-ra Czermaka, bardziej familijne, domowe cele polityki Władysława IV. Po-za niemi, marzeniom tego prawego Wazy uśmiechała się w dali i korona cesarska, i sława pogromcy pogaństwa, zdobywcy Konstantynopola i oswobodziciela ludów uciemiężonych od wieków w jarzmie niewoli. Potrzeba ukrócenia i upokorzenia, jeśli nie złamania potęgi ottomańskiej, jako warunek uporządkowania stosunków u południowo-wschodnich granic Rzpltej, zostały przez Władysława IV zrozumiane pewnie, zanim jeszcze za-

siaął na tronie. Prócz tego, wzgląd na zabezpieczenie południowych granic królestwa od najazdów tatarskich, na uregulowanie stosunku do Tatarów w sposób, który-by im odjął raz na zawsze możliwość szkolenia Polsce, oraz wzgląd na wewnętrzne stosunki, mianowicie wśród koźaczyzny, stanowiły, przynajmniej w ostatnich latach, dla króla jeden z ważnych motywów, nakłaniających do wojny z Tatarami, a pośrednio i z Turcyą.

Nie brak podstaw do twierdzenia, że jeśli Władysław IV myślał o wojnie tureckiej, to żywił ten zamiar w przeświadczeniu o jej pożytecznej doniosłości dla interesów Rzpltej. Miał król wprawdzie dla całej katolickiej Europy motyw religijny, więc międzynarodowy, ale dla Rzeczypospolitej miał hasło: przez wojnę do trwałego spokoju i ładu na wschodzie i południu. Że jeden i drugi zamiar: polskiej wojny zaczepnej i krucjaty wszech-chrześcijańskiej, musiały powstać w głowie króla spólcześnie, to widoczne ze świadectw historycznych o pierwszych latach jego rządów. Nawet w r. 1634, gdy dochodził pokój z Turcyą król pisze do kardynała Barberiniego, że jakkolwiek myśli o koronie szwedzkiej, ale ma oczy otwarte na inne sprawy wielkiego znaczenia dla chrześcijaństwa. W roku zaś 1637 zanośiło się już na poważny za-targ z Polską, a król i Koniecpolski parli otwarciem do zerwania przy-mierza.

Jeżeli jednak król przejęty był projektem wyprawy na Turcyę, to inaczej miała się rzecz ze stanami. Szlachta była wtedy, jak i później, z zasady zbyt przeciwną wojnie zaczepnej, aby się dała do jej podjęcia nakłonić. Król, świadomy widocznie usposobienia swych poddanych chwycił się jedyne-go możliwego sposobu: zwołał w r. 1637 sejm umyślny, aby wyrobić przynajmniej uchwałę „bezpieczeństwa”, więc powięk-szenia liczby wojska i nadzwyczajnych podatków, w tem wyrachowa-niu, że gdy uzyska środki na obronę, nie trudno będzie od niej przejść do kroków zaczepnych. Na sejmie rzecz dokonana została szczęśliwie w nieobecności przedstawicieli wielu powiatów, i „kontrybucye”, nie zatwierdzone zgodą wszystkich, zostały nałożone, więc zapewne ścią-ganie ich szło oporem i, co za tem idzie, środków potrzebnych na czas zgromadzić się nie udało.

W r. 1641 zwołano znowu sejm „dla wielkich na Rzpltą od pogan następujących niebezpieczeństw.” Wszystkie prawie województwa i powiaty deklarowały, „że namowę o obronie” biorą do braci, czyli do rozważenia na sejmikach relacyjnych. Listy zaś z Turcyi i Wołoch „z postrachami”, odczytane w izbie poselskiej, zostały przyjęte z nie-dowierzaniem i zbyte obojętnością. Pomimo gorącej odezwy, zamie-szczonej w instrukcyach królewskich „aby tę szarańczę (Tatarów) w gnieździe, przy dzieciach, żonach i domostwach zmacać”, szlachta

pozostała głuchą i to samo usposobienie objawiła na sejmie w r. 1642. Dopiero w r. 1643 wydał sejm jakiś „skrypt do archiwum”, bezpieczeństwo pospolite od podejrzanych sąsiad przyjaźni opatrując. Skrypt ten, nieznan bliżej z treści, dawał widocznie ministrom Rzpltej pełnomoctwo do jakichś samodzielnych zarządzeń na wypadek najazdu tatarskiego.

Myśl pobudzenia Rzpltej do wojny, jeśli nie z Turcyą, to przynajmniej na razie z Tatarami i zainteresowania Papieża projektem krucjaty na pogan, zajęła króla szczególnie i wyłącznie od połowy 1644 roku. Pacta conventa zobowiązywały króla do ponoszenia kosztów obrony Rzpltej w razie najazdu Tatarów. Na najazd hordy właśnie się zanosilo, gdyby nastąpił, czuł się król w prawie podjęcia wojny odpornej bez zwoływania sejmu. Pustki jednak, przeświecające w skarbie, nie pozwalały myśleć o urzeczywistnieniu zamiarów królewskich. Na początku roku 1646 zwołaną została rada senatu. Nie miało to być zebranie plenarne, lecz rodzaj narady wojennej z hetmanem i senatorami rezydentami. Za przedmiot obrad miała między innymi służyć i kwestya przyszłego stosunku do Tatarów. Jest rzeczą niezawodną, że hetman Koniecpolski wystąpił przed senatem ze swoim „Dyskursem” o zniesieniu Tatarów krymskich, w którym wyłożył pożytki przymierza z Moskwą i wspólnej z nią wyprawy na Tatarów, w tym celu, aby Moskwa zajęła Krym, a Polacy posiadłości tatarskie, na zachód od dolnego Dniepru położone; ale „Dyskurs” nie zawarł żadnych konkretnych wniosków.

Z „Dyskursu” Koniecpolskiego nie należy jednak wnosić, ażeby hetman dał się lekkomyślnie wciągnąć do zaczepnej wojny przeciw Turcyi, bez należytych gwarancyi ze strony państw zagranicznych i bez przyzwolenia Rzpltej. Posłowi weneckiemu nie chciał nawet dać obietnicy puszczenia kozaków na Czarne morze, obawiał się bowiem, ażeby przez to nie ściągnąć na Polskę całych sił ottomańskich. Z pomocą państw postronnych szło wszakże bardzo ciężko. Król czuł się brakiem poparcia Stolicy Apostolskiej mocno urażony, i jedna tylko Wenecya zgłosiła się z oświadczeniem, że gdy przyjdzie do ostatecznego z nią układu, gotowa jest w ciągu lat dwóch wypłacić subsidium w wysokości 500,000 talarów.

Zrazu układy toczyły się w tajemnicy między królem, kanclerzem i posłem weneckim, Tiepolim; ale ten ostatni począł nieostrożnie sondować innych senatorów i przyszedł do przekonania, że panowie są zamilowani w bezczynności. Co gorsza jednak, to objaw, że w owej chwili, mimo rojnego dworu, król był dziwnie osamotnionym. Naprózno byśmy poszukiwali istnienia jakiejś stałej, zorganizowanej silnie partyi dworskiej. Stronnictwa, złożonego z ludzi, zgrupowanych około

monarchy i spojonych entuzjazmem dla idei monarchicznej, nie było wcale. Nawet też kanclerz Ossoliński, będący poplecznikiem zamiarów wojennych króla, uważał przedewszystkiem za konieczne pozostanie na drodze legalnej, to jest, w zupełnej zgodzie z sejmującymi stanami. Opinia publiczna wskazywała wówczas i później na czterech ludzi, uważanych za najbliższych powierników Władysława IV i za właściwych zarazem współtwórców projektu wojny tureckiej, mianowicie na dwóch braci, Magnich, Fantoniego i Tiepoła. Z samych cudzoziemców zatem składało się grono prywatnych doradców króla, ale na żadnego z wpływowych mężów w kraju nie mógł liczyć monarcha w zupełności. Około kwietnia 1646 r. przybyli do Warszawy wysłannicy kozaccy, między którymi znajdował się i Bohdan Chmielnicki. Kozacy zobowiązali się do budowy czajek, a król wypłacił im na koszt 18,000 zł. Co jednak ważniejsza, to, że im wydał na piśmie dwa przywileje, opieczętowane tylko pokojową pieczęcią: jeden upoważniający do zbrojeń przygotowawczych, drugi, przyzwalający na aukcję wojska rejestrowego z sześciu na dwanaście tysięcy ludzi. Był to pierwszy krok samowoli, na którą król w owej chwili wstępował, przejęty nadzieją, że uda mu się doprowadzić do wojny nawet mimo woli Rzeczypospolitej, gdyby szlachta za nim pójść nie chciała.

Liczył zaś Władysław IV na czynną pomoc zbrojną państw najczęściej interesowanych, mianowicie europejskich hołdowników Turcyi i na ruch rewolucyjny chrześcian w samym państwie otomańskim. Co do Rzeczypospolitej zaś, to obiecywał sobie, że uda mu się zarówno senat, jak i szlachtę pozyskać ostatecznie dla swoich planów; wychodził jednak widocznie z tego założenia, że samo porozumienie się z senatem może mu wystarczyć do podjęcia wojny, tak, że nie będzie potrzebował odwoływać się do woli szlachty, zebranej na sejmie. Nie może być też najmniejszej wątpliwości co do tego, że król zamyslał o wojnie zaczepnej i że, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, siły, któremi-by mógł rozporządzać, przedstawiły-by się bardzo poważnie. Oprócz bowiem zaciągów królewskich, dochodzących do 30,000 ludzi, miał hołspodar multkański dołączyć 30,000, hołspodar wołoski tylko 1000, lecz pokazniejszą za to cyfrę Siedmiogrodzianie pod Rakoczym. Obrachowywano więc, że bez wojsk moskiewskich, król będzie mógł stanąć na czele stutysięcznej armii, a byli tacy, co utrzymywali, że liczba samego wojska polskiego dosięgnie powyższej cyfry.

Być bardzo może, że król miał zachowane na początek wyprawy jakieś fundusze własne, chociaż z pewnością były one nie wielkie, bo i nadzwyczajne dochody osobiste, na które w owym czasie liczył, nie napływały w takiej ilości, w jakiej się spodziewał. Wkrótce też znalazł się w wielkich kłopotach materyalnych i gonił widocznie ostatka-

mi własnych zapasów, napierając się natarczywie od jednych pożyczek, od drugich subsydjów. Bez względu jednak na pustki w skarbie, rozpoczął przygotowania wojenne, wydawał patenta na zaciągi, zarządzał roboty w arsenałach i zbrojowniach, zamienił Ujazdów w obozowisko i układał nawet plany kampanii.

Władysław IV łudził się również, że uda mu się nakłonić rząd wenecki do wydania pieniędzy (500,000 tal.) z pominięciem warunków, jakie zostały zastrzeżone. Tiepoło przypomniał królowi, że znaczna gotówka, w postaci sumy posagowej, znajduje się w rękach królowej, i zapytywał, czyby jej nie pożyczyła Rzeczypospolitej weneckiej. Długo królowa stawiała opór wszelkim żądaniom i dopiero w końcu maja zrobiła ustępstwo częściowe, wydając w ręce króla 40,000 talarów, a reszty stanowczo odmawiając. Suma powyższa starczyła zaledwie na to, aby rachunki, najbardziej naglące, załatwić.

Tymczasem do kłopotów materyalnych przybywały inne, bardzo poważnej natury. Gdy król zażądał od kanclerza Ossolińskiego, aby listy zaciągowe opatrzył pieczęcią kancelaryi koronnej, spotkał się ze stanowczą odmową i ani wtedy, ani później kanclerz do podobnego ustępstwa namówić się nie dał. Prócz tego, król otrzymał listy od wpływowych senatorów, które mu wprost oświadczały, że kiedy idzie „o zdrowie ojczyzny”, przynajmniej w takim razie należało-by senatorom mieć pierwszy głos w radzie, a królowi przystało-by więcej na doświadczonej enocie ich i odwagę polegać, niż na pomysłach nie dojrzałych dojutraszków. Niechże się król liczy z Rzeczpospolitą i na jej radzie polega, a z pewnością wyjdzie na swoich lepiej, niż na tych, co na nasze włosy gości nam stręczą, choć o naszą skórę idzie.

Nie było też można w żaden sposób uniknąć narady z senatem. Rada owa zabrała dwa dni czasu, t. j. 17 i 18 lipca (1646) i na niej większość senatorów oświadczyła się przeciw projektowi wojny tureckiej. Zażądano, aby król pozostał wierny zaprzysiężonym paktom i wstrzymał wszelkie nielegalne zarządzenia. Największą usilność zwracano ku temu, aby królowi wybić z głowy zamiar podróży do Lwowa i nakłonić go do biernego wyczekiwania sejmu. Przyszło skutkiem tego do zaciętego sporu między królem a senatem. Władysław IV przeciw zwołaniu sejmu nic nie miał, ale od projektu podróży lwowskiej odstąpić nie chciał. Usiłowano go przebłagać pewnymi połowicznymi ustępstwami, pozwolono podobno pomiędzy innymi na to, aby król rozesłał posłów do dworów postronnych, dla wybadania ich, czy i o ile były-by skłonne do poparcia Rzpltej w razie wybuchu wojny z Turcją; ale wszystkie te zabiegi i wybiegi rozbijały się o opór Władysława IV, który z gniewem usunął się nawet z sali obrad.

Że dzień 18 lipca skończył się rozterką między królem a senatem, najlepszy na to dowód w akcie protestacyi, który tego dnia spisali senatorowie rezydenci w Krakowie z tym zamiarem. aby go wnieść do aktów grodzkich. „Wiadomo czynimy, oświadczali w powyższym proteście, że uniżoną naszą wnosiliśmy do KJ Mci unaniami consensu prośbę pospołu wszyscy, aby Król JM. Pan nasz miłościwy nad prawa i ustawy Rzpltej sine consensu wszystkich stanów wojsk żadnych, a pogotowiu cudzoziemskich nie zasiągał ani ich za granice państw Rzpltej nie wyprowadzał i żadnej z postronnemi do wojny nie dawał przyczyny, czegośmy u JKr. Mości P. N. Miłościwego uprosić nie mogli i t. d.“

Smutnemi więc i ciężkimi były pewnie dla Władysława IV te dni ostatnie lipca, które spędził przeważnie w Niepołomicach, widocznie zamknięty w swoim żalu i gniewie i stroniący od tych, którzy tego żalu i gniewu byli przyczyną. Tam w samotności rozważając wszystko, musiał pierwszy raz zrozumieć jasno, że wykonanie zamysłu wojennego w ciągu roku 1646 stało się dlań niemożliwem. Mając do rozporządzenia co najwięcej 6—7000 wojska, które udało się z trudem zgromadzić, przy najusilniejszym poparciu hetmanów litewskich, jedynych pewniejszych zwolenników wojny, nie podobna było zamarzyć o podjęciu jakichkolwiek zaczepnych kroków względem Turcyi, na przekór stanom Rzpltej, zwłaszcza, że nie było pieniędzy, zapewnionego poparcia państw postronnych, ani pewności, jakie stanowisko wobec przedsięwzięcia wojny zająć będą mogli wasale Porty.

Mimo to, żadnego z zasadniczych celów nie wyrzekł się Władysław IV. Jak dawniej, tak i teraz, projekt wojny tureckiej był głównym tajnym przedmiotem jego rozmyślań i czynności. Zbrojenia trwały dalej, w Krakowie miało wyjść 70 nowych patentów werbunkowych z kancelaryi królewskiej; wojska, dawniej zaciągnięte, pozostały nadal pod bronią, dając się we znaki mieszkańcom prowincyi, a król sam posunął się do kroku, który sam przez się musiał uchodzić w oczach stanów i Turcyi za demonstracyę wojenną, puścił się bowiem w samym początku sierpnia, wbrew woli senatu, do Lwowa, gdzie go już poprzedziła gwardya i część wojsk zaciężnych.

Tymczasem sejmiki były rozpisane na 13 września, a sejm miał się zebrać za półtora miesiąca. Król, jakkolwiek zmuszony czekać na decyzje stanów, nie opuszczał rąk przez ten czas bynajmniej; upływały mu też chwile na zabiegach o pieniądze, na dalszych układach z przedstawicielami państw postronnych, na przesłuchiwaniu własnych posłów i doglądaniu wcale nieprzerwanych przygotowań wojennych. Oppozycja zaś na sejmikach nie zasypiała sprawy; najbardziej jaskrawo zaznaczyła się ona na sejmiku poznańskim w Środzie, który postanowił na

obronę województwa postawić trzecztyśięczny oddział wojska i oddać do rozporządzenia Opalińskiego, wojewodzie poznańskiemu. Nie można tej uchwały rozumieć inaczej, jak, że była ona zawiązkiem rokoszu na wypadek, gdyby król nie dał się odwieść od dalszego gwałcenia woli narodu.

Sejm rozpoczął się dnia 25 października, a propozycja od tronu, przedłożona przez kanclerza Ossolińskiego, wysunęła na pierwszy plan kwestyę stosunków Rzpltej do Tatarów. Zaczął kanclerz od przypomnienia, że poganie ci „ani na pacta, ani na sromotne, od nich za haracz miane upominki, ani na poskromienie kozaków krwią rycerstwa nieoszacowaną, ani na swoje uspokojenie od tychże kosztownem kudackiego fortu zbudowaniem i osadzeniem nie dbając, państwa JKr. Mości corocznie nawiedzają, niezliczonemi szkodami i pożogami pustoszą, więźniami Krym i Budziaki napelniają, tych nie wspominając, których w wieczną zaprzędają niewolę.” Wskazał następnie kanclerz „szczupłe Rzeczypospolitej granie opatrzenie” i niebezpieczeństwo, w którym-by się znalazło państwo, „gdyby się powinąć noga tak skurczonej obronie miała.” Co wszystko upatrując JKr. Mość, mówił kanclerz, wysokim i przezornym rozsądkiem swym pańskim, a wcześniej tak srogiemu niebezpieczeństwu chcąc zabiegać, wziął był przed się, jak najpotężniejsze sposobiwszy wojsku Rzpltej posiłki z ostatka dostatków królewskich i przyjacielskiej pomocy, zwłaszcza, gdy pogaństwo, rozerwane wojnami inszemi, posiłkować by się snadnie nie mogło—taki za pomocą Bożą pokój ojczyźnie naszej sprawić, za jakim-by już nie tylko bezpiecznie, ale i uczciwie w pokoju żyć mogła.

Przeciw wojnie, zaczepnej oświadczyli się w wotach swoich bezwzględnie wszyscy obecni w pierwszych dniach po otwarciu sejmu senatorowie, wychodząc widocznie z tego tylko założenia, że pokój jest takim dobrodziejstwem dla kraju, iż nie powinno się go tracić dobrowolnie. Wyjątkowo nadto pojawiają się opinie, wystawiające Turcyę, jako potęgę tak groźną, że zatarg z nią mógł narazić Rzpltą na zgubę. Być nam slimakiem, mówił Piotr Charbicki, kasztelan brzeziński, i nie wysciwiać lba ze skorupy, jeżeli nie chcemy być pożartymi od tej hydry. Senatorowie też, wszyscy bez wyjątku, zgadzali się zresztą wyłącznie na wojnę obronną.

O wiele mniej jeszcze zajmowano się kwestyą potrzeby, względnie pożytku, wojny z Tatarami i Turcyą w izbie poselskiej. Ci posłowie, którzy najczęściej głos zabierali, uważali zbyteczność wojny za tak oczywistą, utrzymanie pokoju za tak nieodzowne, że zaczynali dyskusyę od tych ostatnich zapatrywań, jakby od dogmatów, nie ulegających wątpliwości. Nie same też plany wojny tureckiej były głównym przedmiotem obrad sejmowych, lecz te zarządzenia Władysława IV,

które poczynione zostały z powodu podjęcia tych planów, a przez stany uznane za akty nadużycia, naruszenia zaprzysiężonych pactów, wkroczenia w prawa senatu i szlachty. Od razu obrócono sprawę tak, że sejm, zamiast radzić o wojnie i pokoju, przystąpił do roztrząsania rzeczonych samowolnych postępków króla.

Program szlachecki, ujawniony w obradach sejmowych, zawarł się w dwóch zasadniczych żądaniach: 1-o rozpuszczenia niedozwolonych zaciągów, i 2-o przyzwolenia na rozmowę izby z senatem, a wiadomo, że to ostatecznie żądanie nie było niczem innym, jak publicznem votum nieufności, danem królowi przez poddanych, i próbą złożenia jakby inkwizycyjnego sądu nad obwinionym panem, z wykluczeniem jego osobistej obrony. Do 15 listopada król zajmował stanowisko odporne; dopiero 16 tegoż miesiąca nastąpił w jego zachowaniu się ważny zwrot do ustępstw po myśli szlachty. Tego dnia bowiem złożył on w izbie poselskiej oświadczenie, że gotów zaciągi dobrowolnie rozpuścić, byle Rzplta przyjęła na siebie obmyślenie obrony kraju, wynagrodziła mu poniesione na ten cel koszta i dla królowej wyznaczyła należyłą oprawę.

Gdy jednak rozeszła się w izbie pogłoska, że rozpuszczenie zaciągów zostało cichaczem wstrzymane, przedstawiciele szlachty, podrażnieni, za jednozgodną uchwałą udali się 27 listopada, prawie przebojem, do tronu i przedłożyli ponownie cały szereg żądań, domagając się kategorycznie ich uwzględnienia. Streszczały się one w następujących artykułach: 1) aby skutek nastąpił owych uniwersałów na rozpuszczenie żołnierza, 2) aby król pozwolił na rozmowę izby z senatem, 3) aby komisarzów do wojska dla tem ściślejszej egzekucyi uniwersałów wyprawić, 4) aby powiększoną ostatniemi czasy gwardyę królewską do mniejszej przywieść liczby, 5) kozakom wypraw na morze wzbronić i 6) listów przypowiednich pod prywatną pieczęcią nie wydawać.

Odmowna przez pół odpowiedź Ossolińskiego, który zapewnił wprawdzie od tronu, że pierwsze żądanie izby zostało wykonane, ale zarazem oświadczył, że król na rozmowę z senatem nie pozwala, wywołało znaną, niesłychanie namiętną i wrogą królowi, dyskusyę w dwóch najbardziej burzliwych dniach sejmu (27 i 28 listopada). Nigdy nie stała izba bliżej granicy, której przekroczenie równało-by się rokoszowi. Posunięto się wówczas do tego najbardziej skrajnego wniosku, aby wezwawszy prymasa na świadka złamanych przez króla paktów, w imię artykułu „de non praestanda obedientia” wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Zażegnał burzę dopiero akt uroczystej deklaracyi króla, złożonej 29 listopada wobec zgromadzonych stanów, że oddaje się w ręce szlachty i gotów jest wykonać wszystko, czego odeń

zażądają, i następnie wydane prywatnie pozwolenie na rozmowę izby z senatem. Rozmowa odbyła się 1 grudnia, ale po zwycięstwie odniesionem nad królem pod koniec listopada, zesłała już ona tylko do znaczenia formalności. Dnia 3 grudnia przyszło do spisania uchwalonych przez izbę punktów, zawierających prócz dwóch znanych zasadniczych żądań dalsze następujące: 1) aby cudzoziemcy zostali oddaleni od boku królewskiego, 2) aby poselstwa i rezydencje zagraniczne odprawiane były jedynie przez obywateli krajowych, 3) aby gwardya królewska sprowadzoną została do dawnej liczby, 4) aby komisyje do rozgraniczania nie były stanowione bez wiedzy sejmu. Punkta te zostały tegoż samego dnia przedłożone królowi, który ponownie oświadczył, że we wszystkim zastosuje się do woli poddanych.

Gdy sformułowane konstytucje zostały potwierdzone przez króla, poczyniono na rzecz jego następujące ustępstwa: 1) pozwolono na podniesienie stanu gwardyi do 1200 żołnierza, 2) uchwalono oprawę dla Maryi Ludwiki i 3) zgodzono się na zwołanie nadzwyczajnego sejmu na drugi maja 1647 r., celem obmyślenia obrony Rzpltej i załatwienia innych spraw, na których omówienie na walnym sejmie nie starczyło czasu. Przedewszystkiem teraz nasuwa się pytanie: czy Władysław IV wyrzekł się rzeczywiście w ciągu tego sejmu wojny tureckiej? Na to pytanie wszyscy ci, którzy w sferach dworskich się obracali i z królem często znosili się prywatnie, odpowiadają całkiem przecząco. Władysław IV do ostatnich chwil sejmu dawał ciągle do zrozumienia swoim powiernikom, że planów wojennych wcale się nie wyrzeka, że prędzej czy później do walnej rozprawy z Turkiem doprowadzić musi. O tem zapewniał Tiepola w przededniu sejmu, a gdy któryś z senatorów usiłował go umitygować, miał mu odpowiedzieć, że gdyby nawet był pewnym, iż padnie od pierwszego strzału z muszketu, nie zaniechał-by tego zamiaru.

W czasie gdy senatorowie wygłaszali swoje vota, przeciwne wojnie, król miewał z de Bregy'm długie rozmowy, na temat przyszłej krucjaty na Turka, rozwijał przed nim szczegółowe plany i potrafił w posle francuskim wzbudzić wiarę, że przedsięwzięcie się uda. Nawet w chwili, kiedy rozpuszczenie zaciągów było już postanowione, pisał tenże poseł do kardynała Mazzariniego, że mimo to wszystko król obstaje ciągle przy swoim zamysle i niezawodnie zdoła doprowadzić Rzpltą do wojny zaczepnej. Jeżeli Władysław IV samego zasadniczego celu nie porzucił, to nie mógł się upierać przy tychże samych planach, które jeszcze we wrześniu rozwijał przed swymi przyjaciółmi, co do sposobu wykonania projektu wojennego, a które wychodziły z tego założenia, iż wyprawa będzie się mogła rozpocząć zaraz po sejmie, w porze zimowej.

Władysław IV, cofając się wobec zjednoczonej opozycji, zdecydowany był zdobyć napowrót opuszczone stanowisko. Jeśli się cofał tylko do czasu, do lepszej, przyjaźniejszej chwili, to musiał przewidywać, że taka lepsza, przyjaźniejsza chwila nie była daleką. Właśnie w tym okresie czasu, w którym sejm obradował, dochodziły króla relacje o zajściu okoliczności, mogących narzucić Rzpltej gwałtem to, czemu się gwałtownie przeciwiała. Coraz też częściej zaczęły przybywać zapowiedzi i przestrogi o przygotowaniach wojennych Turcyi, o gromadzeniu wojsk tureckich nad Dunajem i hord tatarskich na Budziaku i o blizkiej możliwości zaczepnego wspólnie ich wystąpienia.

Zaledwie też sejm został zamknięty, zaczął król jego uchwały naruszać. Dnia 10 grudnia oświadczył wprost senatorom, że całe wojsko zaciężne zatrzyma. Radziwiłł zapewnia, że nakazał faktycznie rozchodzących się już żołnierzy werbować do służby na nowo. Ale senat czuwał i rozpoczęła się znowu walka między nim a królem; dnia 17 grudnia uznał się Władysław IV już ostatecznie zwyciężonym i zarządził stanowcze rozpuszczenie zaciągów. Do tego nagłego ustępstwa zniewolony był zapewne nie tyle pressyą senatorów, ile brakiem pieniędzy, skutkiem czego rozeszło się prawie całe jego wojsko, z wyjątkiem 1200 gwardyi.

W pierwszym kwartale roku 1647 ujawnia się jedna okoliczność nadzwyczajnej wagi, a mianowicie widoczna zmiana w stosunku Ossolińskiego i hetmana Potockiego do Władysława IV na korzyść ostatniego. Hetman dzwoni w listach z grudnia i marca na obronną wojnę, kanclerz zgadza się na ostrą odprawę cesarza tureckiego po-za plecyma senatorów rezydentów. Zwłaszcza w postępowaniu pierwszego znać coraz życzliwsze skłanianie się ku królowi i rosnącą oziębłość względem tych kolegów, co go wciągnęli w poprzednim roku do opozycji.

Kanclerz i hetman byli to sprzymierzeńcy, niewątpliwie bardzo szacowni, ale pomoc ich traciła wiele na znaczeniu wskutek tego, że stali przy królu prawie całkiem odosobnieni. Po-za nimi niema ani jednego wybitniejszego senatora, o którym-by było wiadomo, że szukał po sejmie zbliżenia się do Władysława IV i zapatrywania swoje na korzyść planów królewskich odmienił. Natomiast opozycja nie zasympiała sprawy i pojawiały się listy wyrzekające: że stan Rzeczypospolitej nie mógł-by być florentior, byle byśmy sami chcieli, nie gardząc złotym pokojem, którego z osobliwej boskiej providencyi zażywamy. „Jedno, że dwór po staremu na wojnę trąbi i occasiones anxie quaerit do powadzenia nas z pogaństwem, tedy trudno o naszych rzeczach liczyć dobrze, chyba, że mężnie obsistemus na przyszłym, da Bóg, sejmie, turbulentis consiliis.”

Pod koniec kwietnia 1647 r. Władysław IV nie zdołał od żadnego z monarchów europejskich, prócz panujących włoskich uzyskać rękojmi, że w razie wybuchu wojny z Turcją dozna zbrojnego lub przynajmniej pieniężnego poparcia. Cały zachód zasklepił się w bierności, a w dodatku rozbrat między hospodarem włoskim a królem powiększył się znacznie. Miary zaś nowych zawodów dopełnił rezultat obrad sejmikowych, na których domagano się wyprawienia pokojowego poselstwa do Porty i zastrzegano się przeciw wszczynaniu wojny zaczepnej. Niektóre sejniki były nawet za tem, aby Tatarom nie odmawiać podarunków, jeżeli się zobowiążą do dochowywania pokoju i przyjaźni.

Władysław IV, jak donosił Bregy, czuł, że honor jego jest mocno zaangażowany i żywił w sercu głęboką bolesć, czując się opuszczonym od wszystkich książąt Europy. Nie wierzył nawet w to, aby go obcy monarchowie szacowali, skoro sami Polacy stargali jego reputację i zrobili go najbardziej zhańbionym człowiekiem. Czyście to mnie nie ogłosili szelmą? rzekł do Denhofa, a przy tych słowach z wielkiego rozdrażnienia łzy płynęły mu z oczu. Z tem wszystkim w przededniu sejmu nie wyrzekł się planów wojennych, lecz w liście do Papieża pisał: „Dosyć tych wewnętrznych zawiści, wywołaj na nowo Ojczyznę braterską miłość między synami i zatknąwszy w pośród nich Rodową Twoją gałązkę oliwną, rozkaż im na ziemi pogańskiej szukać jednemu palm afrykańskich, drugiemu azyatyckich laurów dla ozdobienia tego grobu, z którego wytryska życie i wielkość królów.

Sejm trzyniedzielny rozpoczął swe obrady dnia 2 maja. Władysław IV nie witał go takimi nadziejami, jak poprzedni, i rozstawszy się z myślą wojny zaczepnej, zdecydował się wyczekać zaczepki Tatarów. Prośba, zanesiona do izby w imieniu króla, o obmyślenie „bezpieczeństwa”, t. j. nadzwyczajnych środków obronnych, jako też o wynagrodzenie kosztów, wyłożonych na zaciągi w poprzednim roku, spotkała się z nieprzychylną odprawą, w wygłoszonym zaraz po propozycji kanclerza votum senatorskim biskupa kujawskiego, Gniewosza. Rzecz bardzo prawdopodobna, że biskup zabrał głos w porozumieniu z większością senatorów i dlatego przemówił w tonie tak surowym i stanowczym, przesądzając z góry uchwały sejmu. Mowa ta uraziła króla tak mocno, że po jej ukończeniu zerwał się z krzesła, obrócił plecyma do biskupa i, ustępując z sali obrad, kazał zamknąć posiedzenie.

Przed samym końcem sejmu wystąpili jeszcze obaj hetmani koronni z wnioskiem o aukcję wojska, ale wniosek nie przeszedł. Zastwierdzenie zaś wniosku Ossolińskiego o spłacenie długu, zaciągniętego przez króla na wojsko cudzoziemskie, zostało odroczone do następnego sejmu, co było tylko złagodzoną formą odmowy. Mimo to wszy-

stko, był król z wyniku sejmu dosyć zadowolonym, uważając za pomyslnie dla siebie nie tyle czynne, ile bierne jego rezultaty. Izba nie uchwałała ani ekspedycyi poselstwa pokojowego do Porty, ani wydania Tatarom upominków. Pominiecie zaś tych dwóch pretensyi Porty równało się odmownemu ich załatwieniu przez stany.

Prawdopodobnie też, bezpośrednio po sejmie przesłany został sułtanowi list w tonie dość ostrym i, mimo zapewnień pokojowych, w gruncie rzeczy nieprzyjaznym. W liście powyższym oświadcza król między innymi: „Nikogo pierwsi nie obrażamy, lecz czujemy w sobie siły, starczące zarówno do wojny zaczepnej, jak i do obrony zdolne. Tem mniej niechaj się nikt nie waży mienić tych upominków nazwą haraczu: albowiem wolny ten naród, któremu z łaski Bożej przewodnimy, taki ma wstręt do obcych rządów, że tylko pana obranego własnymi głosami słuchać się nie wzbrania. Nadto zechce W. Cesarska Mość wiedzieć, że jesteśmy tym królem, który nauczył się rozkazywać, a nie płacić haracze. A jeśli tatarskiej hordzie nie zabraknie rąk do krzywdzących napadów na nasze posiadłości, nam nie zbraknie odwagi i żelaza dla ich odparcia.” Poseł hana tatarskiego nie doznał również dawnych względów. Nie dopuszczono go nawet do ucałowania ręki królewskiej, pozwoliwszy mu zaledwie dotknąć płaszcza królewskiego. Otrzymał przytem list, zawierający stanowczą odmowę haraczu. Podobno Tatar po wyjściu z sali audyencyonalnej miał się odgrażać, że pan jego weźmie taką odprawę za wypowiedzenie wojny i sam po haracz przybędzie do Polski.

Władysław IV nie przestawał się porozumiewać z kozakami, ale niema dotychczas żadnego oczywistego, niezbitego dowodu, aby król w tajemnych swoich stosunkach z kozakami miał na oku jakikolwiek cel inny, prócz celu pozyskania i przysposobienia sobie w nich podatnego narzędzia na wypadek wyprawy wojennej przeciwko Turcyi. Istnieją natomiast bardzo ważne dowody, przemawiające za tem, iż król nie posunął się ani na krok po-za to, co uczynił dla kozaków w r. 1645, po pierwszej skrytej bytności ich przedstawicieli w Warszawie. Później Chmielnicki, rozzuchwalony powodzeniem, rozpowiadał, „jakoby król polski obiecał kozakom pomagać przeciw Lachem“, ale do tego nie można przywiązywać żadnego znaczenia. Z drugiej strony nie trudno wytłómaczyć, dlaczego szlachta polska w pismach bezimiennych wysilała się po śmierci Władysława IV na to, aby winę wojny domowej zrzucić z siebie na kogo innego, i że obrała sobie za ofiarę króla, co dało się skutecznieć tem łatwiej, że na pozornych poszlakach nie zbywało. Poszlaki te polegały nie tylko na rozgłoszonej po śmierci króla wiadomości o jego tajnych układach z kozakami, ale także i na tym fakcie jawnym i powszechnie wiadomym, że Władysław

sław IV od początku swoich rządów zdawał się protegować kozaków, a raczej ich wyznanie religijne, i że w latach 1647—48, tak w czasie, gdy się na bunt kozacki zносиło, jak i po wybuchu buntu, prawie ostentacyjnie występował w ich obronie, starając się zmniejszyć dolegliwość ich położenia, pohamować gwałtowność Potockiego i łagodnymi środkami zażegnać burzę wojny domowej, która wisiała w powietrzu.

Co do Ossolińskiego, istnieją również bardzo poważne wątpliwości, aby dał się użyć do sprawy tak ślizkiej i drażliwej, jak zorganizowanie jakiegoś zamachu stanu w porozumieniu z żywiołem tak niepewnym, jak kozacy. Cel zasadniczy zamachu stanu, wzmocnienie władzy królewskiej, nie leżał bynajmniej w jego interesie, jako możnowładcy, a ruch buntowniczy wśród kozaczyzny nie mógł być pożądanym dla niego, jako posiadacza dóbr na Zadnieprzu. Wreszcie brak wszelki dowodów wiarogodnych, aby Ossoliński posunął się kiedykolwiek względem kozaczyzny do jakiegoś aktu, leżącego po-za zakresem planów wojny tureckiej, i wszelkie świadectwa zgadzają się w tem, że jego wycieczka na Ukrainę była jedynie w tym celu, aby kozaków podburzyć do najechania posiadłości tureckiej i tym sposobem wywołać odwet turecki.

Wypadkiem, który wpłynął silnie na osłabienie entuzjazmu Władysława IV dla planów wojny zaczepnej, była śmierć jedynaka. Jeżeli król okazywał taką pobłażliwość dla szlachty, to jedynie dla tego, aby syna swego jej łaski nie pozbawiać i drogi mu do tronu nie odcinać. Gdyby nie wzgląd na przyszłość jedynaka, nie posunął-by się do takich ustępstw, jakie poczynił stanom w ciągu sejmu 1646. Okazało się jednak wkrótce, że plany wojenne króla przygasły tylko pozornie, a pod popiołem ciężkiej żałoby tkwiły ustawicznie, i że dosyć było jakiejś jednej sprzyjającej im okoliczności, aby na nowo interes dla nich rozbudzić i ożywić w królu. W tym czasie Wiśniowiecki i Koniecpolski na własną rękę wtargnęli w posiadłości tatarskie, które złupili. Niema dowodów, aby wycieczki te nastąpiły za wiedzą króla, ale nie ulega wątpliwości, iż były mu bardzo na rękę, bo samowola kilku panów dokazała tego, do czego on sam prowadził rzeczy od dwóch lat z okładem, a na co mu ciż sami panowie i szlachta nie pozwalali.

Król zbył listy hana, uskarżającego się na napaść, odpowiedzią, że sprawców napadu sam ukarać nie może i odraczał sprawę do sejmu. Współcześnie zaś zarządził wszystko, co było potrzebne, aby z szukającymi odwetu godnie się rozprawić. Potockiego nie potrzebował pobudzać, bo hetman sam zgłaszał się z zapewnieniem, że czuwa i stoi w pogotowiu do walki. Tymczasem emir sułtański, wzbraniający wyprawę najezdniczej na Polskę, z jednej strony, a z drugiej strony gro-

żne stanowisko wojsk koronnych na Ukrainie, zniewoliły Tatarów do odwrotu z pod granic Rzeczypospolitej, który, mimo, że wyzywani do walki i zaczepiani o parę mil od Połtawy, przez starostę sokalskiego, pośpiesznie wykonali. Skutkiem tego było, że pomocnicze oddziały polskie i szlacheckie rozeszły się do domów, a Potocki sam ściągnął wojska swoje napowrót z Ukrainy na Podole. Gdyby nie fatalny stan zdrowia, Władysław IV byłby na wiadomość o grożącym napadzie Tatarów spełnił dawno powzięty zamiar i udał się w zimie osobiście przez Litwę na Ukrainę. Cierpienia jednak wpłynęły na opóźnienie podróży i gdy nareszcie przybył do Grodna, dowiedział się, że Tatarzy cofnęli się pod Krym i że, jakby się zdawało, nieochybnym zatarg z hordą ominął jeszcze raz Rzeczpospolitą, mimo, że tym razem po obu stronach chęć i gotowość do walki była jednakową.

Tymczasem na Ukrainie gotowało się wielkie zamieszanie. Król sprawami ukraińskimi gorliwie się zajmował i jeszcze w pierwszych dwóch miesiącach 1648 r. wyobrażał sobie, że wystarczy pozwolić Zaporozcom na wyprawę czarnomorską, aby z Ukrainy odprowadzić żywioły burzliwe. Dla tego-to doradzał Potockiemu, aby puścił kozaków na morze, a użyciu gwałtownych środków przeciw buntującym się był przeciwnym, i dla tego o swem pokojowem pojednawczem usposobieniu zapewniał Chmielnickiego jeszcze wtedy, kiedy ten ostatni wiódł już tłumy do krwawej z wojskiem koronnem rozprawy.

W „zakończeniu” dzieła d-ra Czermaka znajduje się bardzo trafna uwaga, którą pozwolę sobie jeszcze przytoczyć: „Dziś widzimy nadto jasno to, oświadcza dr Czermak, o czem przed śmiercią Władysława IV nikt wiedzieć nie mógł, czągo zdaje się nikt nie przewidywał, że z chwilą dziejową, w której Władysław IV wystąpił z swoim projektem wojny tureckiej, przeminęła niepowrotnie ostatnia sposobność wyzyskania wojennych zdolności całej nierozbitej w sobie kozaczyzny dla interesów Rzeczypospolitej, i że gdyby Rzeczpospolita z tej sposobności skorzystała, to może uniknęła-by przynajmniej w części nieszczęść, jakie przyniósł rok 1648” Tymczasem nie były pustymi frazesami słowa Ossolińskiego, wypowiedziane podczas sejmu elekcyjnego o przyczynach osłabienia ducha wojennego w narodzie. Cóż to nam zawadziło? mówił kanclerz: „Pokój, pokój długi, w którym nauczyliśmy się po niemiecku gospodarować, po włosku, jako tam ktoś rzekł, fontanować, po francusku stroje perfumować. A nas Pan Bóg i przodków naszych postawił jako propugnaculum Christianitatis, jako antemurale wszystkiego chrześcijaństwa.”

Plany wojny tureckiej Władysława IV upadły głównie skutkiem opozycji stanów, spowodowanej ich względami na własne interesa i na egoizm czysto stanowy. Nie ulega żadnej wątpliwości, że pragnąc

urzeczywistnienia swych wielkich planów, popelniał i Władysław IV dużo błędów, ale zawsze sympatyje d-ra Czermaka przechylają się na jego stronę. Gdyż jego zdaniem, mimo wszelkie błędy i ułomności króla, musimy w nim podziwiać szczery i namiętny zapał, z jakim oddawał się propagandzie swoich planów wojennych, i wytrwałość, z jaką przez długie lata dla nich pracował, musimy cenić w nim głębsze zrozumienie potrzeb królestwa i jaśniejszą świadomość, jakimi drogami można było dojść do ustalenia spokoju i bezpieczeństwa Rzeczy i do przywrócenia ładu w stosunkach wewnętrznych. Musimy wreszcie uznać w królu względną czystość motywów, które nim powodowały nawet wtedy, gdy się posuwał do nielegalnych kroków, i wreszcie musimy usprawiedliwić zamiary, zmierzające do wzmocnienia własnej władzy, a ograniczenia swawoli poddanych, to jest do zatamowania rozwoju anarchii, tej śmiertelnej choroby, która przejadła ciało Polski i oddała ją później bezsilną na pastwę postronnym mocarstwom.

Doba historyczna, której dr Czermak poświęcił swe interesujące i sumienne studyum, zwróciła już na siebie uwagę dwóch polskich historyków: Szajnochy i Kubali. Dr Czermak oddał dziełom poprzedników należyte uznanie, zaznaczając wszakże, że, dzięki pracom obu tych historyków, zapoznał się głównie z przebiegiem wypadków, które się rozegrywały na widowni Rzeczypospolitej, między królem a stanami. Co się jednak tyczy czynników zewnętrznych, które na ukształtowanie i postępy przedsięwzięcia królewskiego ważny wpływ wywarły, to te zarówno Szajnocha, jak i Kubala, przedstawili w sposób niezupełny i niedokładny. Dr Czermak postawił sobie więc za główne zadanie ujęcie tematu z zewnętrznej strony, a więc rozważenie wpływu, jaki polityka postronnych dworów wywarła na rozwój planów wojennych Władysława IV; dalej odsłonięcie toku zabiegów dyplomatycznych, które król podejmował, celem uzyskania poparcia dla swoich zamiarów; i wreszcie wysledzenie skrytych intencji, rzeczywistych interesów głównych państw europejskich, o ile one w grę wchodziły, w ich zachowaniu się wobec projektu krucjaty na Turka.

Przeprowadzenie badania w tym kierunku ułatwiła d-rowsi Czermakowi znakomicie okoliczność, że znajdują się obecnie w kraju zgromadzone obfite wypisy z wielu archiwów zagranicznych. W tak zwanych Tekach Lukasa, własności lwowskiej biblioteki Ossolińskich, zawiera się bogaty zbiór wypisów i wyciągów z aktów ministerjum spraw zagranicznych i innych francuskich; w tekstach „ekspedycyi włoskich”, złożonych w krakowskiej Akademii Umiejętności, zebrano wyciągi z archiwum weneckiego, watykańskiego i wielu innych rzymskich. Ogółem przeszło przez ręce d-ra Czermaka więcej, niż pół tysiąca dokumentów, nie użytych przed nim przez nikogo, a materiały ar-

chiwalny nie służył autorowi bynajmniej za jedyny substrat pracy. Po za nim zostały uwzględnione w pełnej mierze z dawniejszych ponownie wszystkie krajowe źródła, drukowane i rękopiśmienne, z których korzystali poprzedni badacze, Szajnocha i Kubala, jak niemniej wszystkie ważniejsze nowsze opracowania i źródła, wydane w kraju lub za granicą już po opublikowaniu dzieł tamtych autorów, o ile były dostępnymi dla d-ra Czermaka (w szczególności wydawnictwa rosyjskie, jako też rumuńskie Hormuzakiego) i wreszcie spora wiązanka polskich aktów rękopiśmiennych, zaczerpniętych z Biblioteki XX. Czartoryskich. Wreszcie, opierając się przeważnie na aktach archiwów zagranicznych, dr Czermak nie przeceniał bynajmniej ich znaczenia, owszem, zdawał sobie sprawę z ich licznych niedostatków, niepewności, tendencyjności i t. p. Wszystkie też jego wnioski, dotyczące polityki obcych dworów, zmierzały głównie ku temu, aby wykazać, jakie-to zamiary i cele ukrywały się po-za fałszywymi często deklaracyami dworów postronnych, ich wybiegami dyplomatycznymi i po-za sztucznymi pozorami wszelkich wogóle zewnętrznych manifestacji polityki zagranicznej.

Bogaty i niezużytkowany przeważnie dotychczas materiał archiwalny, w połączeniu z innymi źródłami i opracowaniami, z którymi autor zapoznał się, wpłynął bardzo korzystnie na ostateczny jego plan naukowy. Dzieło d-ra Czermaka przedstawia się wogóle, jako dojrzały owoc, wyhodowany sumienną i mozolną pracą umysłową, a z wielu względów można cenne jego studjum uważać za wyczerpujące. Przedewszystkiem całą misterną i zawikłaną przędzę dyplomatycznych stosunków w Europie przeniknął dr Czermak nawskroś i odtworzył z wzorową dokładnością. Zapoznajemy się też dzięki jego pracy nie tylko z zewnętrzną robotą agentów dyplomatycznych, ale i z głęboko ukrytymi zamiarami mocarstw zagranicznych, które ostatecznie pragnęły wyzyskać dla swych celów siły Rzeczypospolitej i zapał bojowy Władysława IV. Dzieło d-ra Czermaka daje nam też wyborne wyobrażenie o tem, jak w pierwszej połowie XVII wieku wyglądała krucjata, podejmowana w celu obrony chrześcijaństwa przed jego nieubłaganym wrogiem, i jak grubą powłoką egoizmu i gnusności przywaloną była ta iskierka zapału i poświęcenia, która gdzieniegdzie na dworach europejskich się tliła.

Ale na odtworzeniu dyplomatycznych stosunków w Europie nie kończy się bynajmniej zasługa d-ra Czermaka. Scharakteryzował on bowiem, prócz tego, trafnie i barwnie postać króla Władysława, hetmana Koniecpolskiego, Potockiego, kanclerza Ossolińskiego, a w dodatku przekonał, że ostatecznie wszelkie plany wojenne wytrwałego i zdolnego monarchy rozbiły się o upór, krótkowidztwo polityczne i za-

miłowanie w pokoju, a raczej w gnuśności, sejmujących stanów. Dzieło d-ra Czermaka przekonywa nas stanowczo, że cała masa uprzywilejowanych stanów: duchowieństwo, magnaci i szlachta, dalecy byli od wszelkiego wojennego zapału, a jeszcze dalsi od wszelkich poświęceń z krwi i mienia. Jedynie drobna garstka wyższych umysłów współczuła z monarchą i podzielała zarówno jego plany, jak i wzniosłe ambicje, chociaż i w tem wybranem gronie panowała pewna trzeźwość, przedzielona całą przepaścią i nieprzystępna dla owych wzniosłych uczuć, które wypełniały umysł i serce Orzechowskiego. W roku np. 1641 wydał Szymon Starowolski w Amsterdamie swe „*Institutum rei militaris Libri VIII*“. Jest to dzieło dla historii prawa międzynarodowego wogóle, a dla historii prawa wojny szczególnie, bardzo wielkiej wartości; ale Starowolski pozostał w niem wyłącznie na stanowisku nie zwykle wykształconego teoretyka, a kwestyę: czy należy Rzeczypospolitej prowadzić wojnę zaczepną z Turkami i Tatury, pozostawił zupełnie na uboczu. Zaledwie też pośrednio mogli zwolennicy wojny zaczepnej wydobyć z traktatu Starowolskiego dowody na swoje poparcie; w każdym razie bowiem był on zdania, że „*nulla res magis addit animos, quam spes posita in Deo, cum vel pro defensione religionis Christianae, vel pro defensione patriae geritur bellum*” ¹⁾. Ci zaś, którym się potęga turecka wydawała straszną i nieprzelamaną, mogli się pocieszać zapewnieniem Starowolskiego, że „*nulla quaesita scelere potentia diuturna est*” ²⁾.

Ale nie tylko do projektu wojny zaczepnej nie dorosły ówczesne uprzywilejowane stany swym rozumem politycznym i swą gotowością do obywatelskich poświęceń. Ubezpieczenie granic Rzeczypospolitej, które stanowiły palącą się ścianę gmachu państwowego, pozostawiano w tymczasowem załatwieniu od przypadku do przypadku i doczekano się tego strasznego rezultatu, że żywioł kozacki, mogący oddać w walce z Turkiem nieobliczone korzyści, zwrócił się przeciwko Rzeczypospolitej i utkwiał, jako grot śmiertelny, w jej organizmie. Pracą swoją dowiódł też dr Czermak, że sejmujące stany, stojące wyłącznie na straży korzystnych przywilejów i pojmujące jedynie swobody indywidualne bez spójni z wypływającymi z tychże swobód obowiązkami publicznymi, nie potrafiły zapewnić państwu polskiemu tej organizacji wojennej, jaka ze względu na Turcyę stała się konieczną. Nie pomogły uporczywe i wytrwałe wysiłki Władysława IV; rozbiły się one o naturę konstytucyi stanowej, tak samo, jak to miało miejsce w Węgrzech i w Rzeszy niemieckiej.

¹⁾ Str. 7.

²⁾ Str. 8.

Wreszcie winienem nadmienić, że i pod względem języka dzieło d-ra Cermaka może zadowolnić nawet wybredne wymagania. Autor miał pod tym względem w poprzednikach swoich, Szajnosze i Kubali prawdziwych mistrzów; chociaż jednak nie zdołał im dorównać w zupełności, napisał swe studyum językiem poprawnym i barwnym, tak, że pod każdym względem dzieło jego jest cennym dla literatury naszej nabytkiem.

A. REMBOWSKI.

O METODACH BADANIA FIZYOLOGICZNEGO.

Rzadko w czasach ostatnich odzywają się głosy, zastanawiające się nad płodnością metod stosowanych w nauce społecznej. Rzadko stosunkowo w zakresie nauk przyrodniczych występują uczeni — filozofowie, poddający rozważnej krytyce dążenia owej nieprzejrzanej falangi badaczy, którzy za cel postawili sobie dotrzeć do najgłębszych tajników natury. Z poza olbrzymiego mnóstwa drobnych zagadnień, rzadko ukazują nam się owe wielkie, ostateczne cele, do których zdąża umysł ludzki; wśród zamętu niezliczonych, ustawicznie krzyżujących się pytań, usuwają nam się z pola widzenia owe odwieczne zagadki, nad którymi od czasów niepamiętnych pracuje myśl człowieka. W niezłomem wszakże pragnieniu tej wiedzy jest moc taka wielka, siła taka nieustraszona, że nie przerażają jej żadne zapory. Po tysiąc razy odparta od wrót, po-za którymi mieścić się zdaje rozwiązanie pytań o materii i energii, czasie i przestrzeni, życiu i śmierci, myśl ludzka wciąż do wrót tych powraca, zbrojna w coraz silniejszy oręż, i natarczywie domaga się ich otwarcia lub zburzenia. Nietylko ostatecznego końca tej walki nikt przewidzieć nie może, lecz nawet najśmielsza wyobraźnia przepowiedzieć nie zdoła, w jakim kierunku najbliższe walki tej okresy przebiegać będą. Nadewszystko wszakże, dla jasnego w tych sprawach poglądu, posiadać trzeba należyty sąd o tem, jak daleko nauka

społeczna posunęła się w roztrząsaniu tych wielkich zagadnień, z jakiego stanowiska spogląda na dalsze ich opracowywanie, co myśli o sposobach badania i o drogach, któremi kroczyć wypada ku oświetleniu tych pytań.

Nauka o życiu, biologia, zwłaszcza nasuwa ustawicznie konieczność wyglądania po-za ciasne sfery szczegółowych badań i ogarnięcia wzrokiem całego pola, na którym od tak dawna rozgrywa się walka o posiadanie klucza do najskrytszych tajemnic natury. W zakresie badań fizyologicznych tyle panuje nieporozumień, a metody, jakimi badania te się posługują, tak są najczęściej i zawile, i źle pojmowane, że dla niewtajemniczonego specjalnie w tę sferę wiedzy sąd należyty niezmiernie jest utrudniony i wnioskowanie trzeźwe prawie uniemożliwione. Dobrze więc chyba będzie tej sprawie nieco uwagi poświęcić, z powodu wyjścia na świat książki, dawno upragnionej, nader szczęśliwie pomyślanej i doskonale rzecz, o którą nam chodzi, przedstawiającej. Tytuł jej „Fizyologia ogólna”, ¹⁾ autorem M. Verworn, lekarz i przyrodnik, docent fizyologii w uniwersytecie jenańskim, który pracami samodzielnymi, nadzwyczaj oryginalnymi, już od lat wielu zasłynął w nauce, jako badacz niepospolicie pomysłowy i trzeźwo z swych celów sprawę sobie zdający.

I.

Zapytajmy przedewszystkiem: co dotychczas osiągnęliśmy w badaniach fizyologicznych? Celem fizyologii jest wyjaśnienie zjawisk życiowych, wykrycie elementarnych przyczyn tych zjawisk, powiązanie ich w łańcuch przyczynowy, przekonanie się, o ile pierwotne ich przyczyny są identyczne z przyczynami natury martwej. Jak więc daleko postąpiliśmy w tym kierunku?

Trzeba przyznać, że odpowiedź na to pytanie nie jest zbyt obiecująca. Jeżeli dokładnie przyjrzymy się szczegółowym działom fizyologii, przekonamy się, iż właściwie nic więcej nie poznaliśmy dotychczas nad z grubsza wyrażone mechaniczne i chemiczne czynności ciała zwierząt kręgowych. Przyczyny natomiast tych czynności w największej części wypadków najzupełniej jeszcze są dla nas zagadkowemi.

Wiadomo nam, że oddychanie polega na prawach aerodynamiki, gdyż dzięki rytmicznemu opadaniu i podnoszeniu ciśnienia się powie-

¹⁾ *Max Verworn. Allgemeine Physiologie. Ein Grundriss der Lehre vom Leben. Jena. 1895.*

trza w płucach, skutkiem skurczania się i rozkurczania mięśni oddechowych, powietrze biernie wpływa do płuc i wypływa z nich, przyczem czerwone ciała krwi pobierają z niego tlen, łącząc się z tym gazem. Lecz jak zachodzi sam skurcz mięśni oddechowych, jakie zjawiska w komórce mięśniowej towarzyszą widocznym zmianom w objętości mięśni podczas oddychania — o tem zaledwie posiadamy bardzo niejasne pojęcie.

Wiadomo nam również, że krążenie krwi w naszym ciele odbywa się wedle praw hydrodynamicznych, że powstaje ono skutkiem rytmicznych wahań w ciśnieniu wewnątrz układu naczyń krwionośnych i że wahania te zostają spowodowane przez kurczenie się i rozkurczanie serca. Lecz i tu natrafiamy na to samo zagadnienie, bo fizjologia prawie niczego nie nauczyła nas dotąd o sposobie, w jaki powstają skurcze komórek mięśnia sercowego.

Wiemy, że podczas rozwoju ciała ludzkiego w sposób najzupełniej naturalny, w myśl t. zw. zasadniczego prawa biogenetycznego, następują po sobie kolejno ściśle określone stadya od najpierwszych zaczątków do ostatecznie gotowych kształtów człowieka. Lecz dzięki czemu przez podział jednego, pierwotnego jaja, pewne komórki grupują się w organa gruczołowe, inne wytwarzają narządy nerwowe, znów inne skupiają się w tkankę nabłonkową i t. d. — to pytanie dotychczas zupełnie jest dla nas ciemne.

Na zasadzie prawa o zachowaniu energii twierdzimy z całą słusznością, że ciepło i elektryczność, wytwarzane przez żywe ciało, pochodzą ze zmian chemicznych, którym pobierany pokarm ulega w tkankach organizmu. Lecz prawie w zupełności niewtajemniczeni jesteśmy jeszcze w poznanie udziału, przypadającego pojedynczym komórkom naszych tkanek w tych procesach chemicznych.

Wiadomo nam także, że narządy wyższych zmysłów zbudowane są u człowieka według zasady przyrządów fizycznych, — oko np. podobnie jak ciemnia optyczna, tak, że zgodnie z prawami załamania światła na siatkówce naszego organu wzroku powstaje zmniejszony, odwrócony obraz przedmiotów świata zewnętrznego. Zagadką wszakże dotąd dla nas nierozwiązaną pozostaje pytanie, co podczas aktu widzenia zachodzi w komórkach siatkówki, i w jaki sposób od tych komórek, przy pośrednictwie nerwu wzrokowego, przenika do komórek mózgu podnieta, która wytwarza w nas wyobrażenie odpowiedniego obrazu.

Moglibyśmy przykłady te pomnożyć i zawsze doszlibyśmy do tego samego, niepokieszającego wniosku, że istotne przyczyny zjawisk życiowych są przez nas dotąd prawie zupełnie niepoznane. A rozpaczliwszym jeszcze byłby rezultat naszych rozważań, gdybyśmy zechcieli zwrócić uwagę na olbrzymią dziedzinę zjawisk psychicznych.

Wprawdzie fizjologia mózgu i organów zmysłowych wielce przyczyniła się do objaśnienia stosunków materialnych, do których zdają się być przywiązane pewne procesy psychiczne; jednakże mimo to niewzruszoną pozostaje odwieczna zagadka o związku przyczynowym pomiędzy ciałem a duchem, a żywa potrzeba jej rozwiązania w niczem dotychczas nie osłabła.

Wobec takiego stanu rzeczy, z koniecznością logiczną stajemy przed pytaniami znacznie ogólniejszemi. Czy istnieją granice dla poznania przez nas zjawisk życiowych? Gdzie są te granice? Czy może na fałszywej znajdujemy się drodze? Może błędnie zadajemy pytania naturze i nie rozumiemy jej odpowiedzi?

I te pytania były przedmiotem rozważań wielu najwybitniejszych umysłów naszego stulecia. Postarajmy się je treściwie rozjaśnić.

Współczesna wiedza przyrodnicza, przedewszystkiem zaś najjaśniejsze jej pochodnie — fizyka i chemia — starają się sprowadzić wszelkie zjawiska w świecie cielesnym do ruchu atomów. I istotnie zdobycze nauk przyrodniczych zdołały już wykazać w najogólniejszych zarysach, jak można z ruchu atomów wyprowadzić najrozmaitsze, choćby najzawilsze, zjawiska przyrody. Wiadomo nam, że we wszystkich ciałach atomy pozostają w ustawicznym ruchu, w ciałach gazowych w ruchu niezmiernie żwawym, w ciekłych w ruchu powolniejszym, w stałych w jeszcze słabszym; wiadomo, że światło, ciepło, elektryczność polegają na prawidłowych, nader szybkich drganiach atomów, i że dźwięk również powstaje skutkiem określonych drgań atomów; wiadomo nam wreszcie, że i przeobrażenia chemiczne powodowane są przez osobliwszy ruch i przemieszczenia atomów

Laplace wyobraził sobie umysł ludzki, wydoskonalony do najskrajniejszych granic i posiadający tak dokładne i ściśle wiadomości o ruchach atomów, jak astronom posiada o ruchach gwiazd. Przyjąwszy fikcyjną Laplace'owską, du Bois-Reymond powiada: „Wystawmy sobie wszystkie przeobrażenia w świecie materialnym, rozszczerzone na ruchy atomów, sprowadzone przez stałe siły ośrodkowe, a w takim razie poznalibyśmy przyrodniczo wszechświat. Stan świata podczas nieskończonego drobnego ułamku czasu byłby dla nas bezpośrednim wynikiem stanu poprzedzającego i bezpośrednią przyczyną stanu świata podczas następującego ułamku czasu. Prawo i przypadek byłyby wówczas tylko innemi nazwami dla konieczności mechanicznej. Więcej nawet, — można pomyśleć o takim szczeblu poznania przyrody, na którym cały proces światowy byłby przedstawiony jednym wzorem matematycznym, jednym niezmiernym układem równań, z którego o każdym czasie wyliczyćby można miejsce, kierunek ruchu i szybkość każdego atomu we wszechświecie”.

Niezmiernie jeszcze dalekim jest umysł ludzki od tego stopnia doskonałości, jakim Laplace wyposażył ową urojoną, duchową, fikcyjną swą istotę. Przypuśćmy wszakże na chwilę, że osiągnęliśmy ten ideał i posiadliśmy wzór, formułę matematyczną wszechświata. Cóż-byśmy istotnie na tem zyskali?

Dla objaśnienia jakiegokolwiek zjawiska przyrody potrzeba-by było wówczas tylko w owym wzorze wszechświatowym pomieścić pewne, z obserwacji wynikające, wartości liczebne, a przez odpowiednie obliczenie otrzymali-byśmy dane zjawisko, jako niezbędny wynik owych obserwacji. Na czas krótki zapewne gra taka uczyniła-by zadosyć naszej potrzebie upatrywania przyczynowości w zjawiskach natury, lecz niewątpliwie wkrótce coraz donośniej odzywał-by się w nas głos: zgoda, pojmujemy obecnie wszystkie objawy przyrody w ich związku naturalnym, przyczynowym, potrafimy je objaśnić, jako dobrze określone ruchy atomów; lecz czem jest właściwie atom? Doszedłszy do tego pytania, stajemy, według znanego rozumowania du Bois-Reymond'a, u granic poznania ludzkiego.

Co gorsza, nie jest to jedyna granica, po-za którą nie dano nam wyjrzeć. Posiadanie owego upragnionego matematycznego wzoru wszechświata nie pomogło-by nam ani trochę do pojęcia istoty własnej naszej świadomości. „Astronomiczne“ poznanie mózgu naszego objaśniło-by nas niezawodnie o położeniu i ruchu każdego szczegółowo atomu w każdej chwili. Umielibyśmy też zapewne dokładnie wysledzić, jakie przemieszczenia i ruchy atomów nierozzerwalnie są połączone z różnemi zjawiskami psychicznemi. „Było-by — oto słowa du Bois-Reymond'a — nieskończenie interesującym, gdybyśmy tak, okiem naszym duchowem obserwując siebie samych, przyglądali się mechanice mózgowej, niezbędnej do wykonania zadania arytmetycznego; gdybyśmy choć trochę wiedzieli o tem, jaki szczególny taniec atomów węgla, wodoru, azotu, tlenu, fosforu odpowiada błogości wrażeń muzycznych, jaki wir tych atomów powstaje u szczytu rozkoszy zmysłowej, jaka burza molekularna zachodzi podczas nieznośnego bólu, wywołanego drażnieniem nerwu trójdzielnego“. Wszystko to było-by dla umysłu naszego dostępne, gdybyśmy posiadli owo „astronomiczne“ poznanie mózgu. Pomimo to jednakże, nie pojmowali-byśmy jeszcze, w jaki sposób powstaje świadomość, dzięki czemu urabia się najprostsze zjawisko psychiczne. Jak wiadomo, du Bois-Reymond, po wyczerpujących rozważaniach tego rozpaczliwego stanu naszych właściwości umysłowych, zakreśla granice poznaniu ludzkiemu, i, nie widząc możliwości przeniknięcia istoty materji i energii, stojąc bezradnie przed zagadką świadomości, wygłasza swe apodyktyczne „ignorabimus“.

II.

Realność świata zewnętrznego, rzeczywiste istnienie cielesnego świata po-za granicami naszego własnego ducha jest dla wielu umysłów faktem tak pewnym, że nierozsądnem wydawało-by się im nawet rozważanie tego przedmiotu. Mimo to postaramy się sprawę tę nieco wyjaśnić.

Wiadomości o świecie cielesnym zacerpnęliśmy z postrzegania zmysłowego. Tu wszakże mamy już do czynienia z zadaniem czysto fizyologicznej natury. A fizjologia zmysłów uczy nas najdowodniej, że wszystko, co wkracza do umysłu przez wrota zmysłów, dostarcza nam wyłącznie i jedynie tylko wrażeń. Rozliczne właściwości, składające się na zupełny obraz przedmiotu, są istotnie tylko rozlicznymi odbieranymi przez nas wrażeniami. Kawał złota ukazuje nam się jako przedmiot, ciało; w istocie wszakże przemawia do nas od tego ciała tylko suma wrażeń: twardości, żółtości, ciężaru i t. d. Ludzie z wrodzonymi brakami w zakresie zmysłów, np. ociemniałi od urodzenia, mają przeto całkiem inne wyobrażenie o świecie zewnętrznym, niż ludzie normalni. Widać to doskonale z owych interesujących wypadków, w których niewidomi od urodzenia, — zmuszeni zatem do wytworzenia sobie pojęć o świecie zewnętrznym dzięki zmysłowi dotyku, słuchu, powonienia, smaku i t. d. — odzyskują wzrok. Gdy uzdrowionym w ten sposób pokazujemy przedmiot, który dawniej często miewali w rękach, nie pozwalając wszakże dotknąć, to go nie poznają. Dopiero przez kontrolę innych zmysłów dochodzą do stwierdzenia tożsamości tego przedmiotu z tym samym, który przed pozyskaniem wzroku tak doskonale był im znany. Od tej chwili powstaje dla nich nowy świat wrażeń i, co za tem idzie, nowy świat przedmiotów, ciał. Świat zewnętrzny jest zatem najzupełniej zależny od stopnia rozwoju naszych narządów zmysłowych; utrata organów zmysłowych wymazuje ze świadomości naszej najzupełniej cały świat istniejący po-za nami.

Trudno jest niezmiernie pogodzić się z tą myślą, gdy po raz pierwszy wysnuwamy ją, jako logiczny wniosek z istotnie postrzeganych faktów. A jednakże napróżno oglądamy się za ucieczką przed tą nieubłaganą koniecznością. To, co ukazuje się nam na zewnątrz nas samych, jako świat cielesny, jest w istocie tylko naszym własnym wrażeniem i wyobrażeniem, jest własną naszą duszą. Gdy patrzę na przedmiot, lub w inny jaki sposób zmysłowo go spostrzegam, w istocie nie mam wówczas przed sobą przedmiotu, lecz tylko szereg wrażeń w moim umyśle.

Więcej, niż dwa stulecia temu poglądy te były obrane przez Kartezjusza za osnowę całego jego systematu filozoficznego. Później rozwinął je Berkeley, a w nowszych czasach Fichte i Schopenhauer. Śród przyrodników myśli te stały się popularnemi dopiero w drugiej połowie bieżącego stulecia. Zwłaszcza uprzystępnił je w opracowaniu przyrodniczem filozof Avenarius i fizyk Mach. Wnioski z tych zasadniczych myśli, jakie powyżej w niewielu słowach naszkicowaliśmy, obejmują całą treść poznania ludzkiego i prowadzą najkonsekwentniejszą drogą do prawdziwie monistycznego na świat poglądu. Wobec nich pada prastare wyobrażenie o dualizmie ciała i ducha, a w sferze myśli ludzkiej istnieje tylko niepodzielnie dusza z najrozleglejszemi swemi atrybutami.

Pozostając na gruncie tych monistycznych poglądów, w innym już świetle ujrzymy zadanie wyjaśnienia zjawisk psychicznych, aniżeli jest to możliwem przy powoływaniu się ustawicznem na realność świata zewnętrznego. Śród imponujących postępów nauki o przyrodzie, podejmowano wielokrotnie to zadanie i formułowano je najczęściej w ten sposób, iż należy objawy psychiczne wyjaśnić za pomocą procesów materyalnych. Wyobrażenia nasze wszakże o świecie cielesnym są tylko wytworem samej duszy i, trawestując znane ogólnie wyrzeczenie sensualistów, moglibyśmy powiedzieć: *nihil est in universo, quod non antea fuerit in intellectu*. Już to samo wskazuje, jak fałszywem w założeniu było samo zadanie wytłómaczenia zjawisk psychicznych przy pomocy przeobrażeń materyalnych. Lecz wyobrażenie świata zewnętrznego nie stanowi całkowitej treści naszego umysłu, nie wypełnia sobą w zupełności duszy; posiadamy bowiem jeszcze mnóstwo innych części składowych, jak proste wrażenia, np.: bólu, rozkoszy i t. p., które nie są wyobrażeniami ciała. Zadaniem zaś psychologii być musi zbiór wszystkiego, co stanowi treść umysłu ludzkiego, a najzawilsze zjawiska psychiczne muszą być przez nią rozłożone na możliwie najprostsze, pierwotne elementy, pierwiastki psychiczne. Podobnie, jak w matematyce wyprowadzamy nieskończony szereg liczb przez prawidłowe układanie z jednostki, liczby najprostszej, tak i zadaniem psychologii być winno sprowadzenie zjawisk duchowych do ich elementów, do jednostek psychicznych. Wyobrażenie wszakże materji, a raczej atomu, nie jest bynajmniej elementem psychicznym, lecz już obszernym niezmiernie kompleksem wysoko rozwiniętych wyobrażeń. Atom jest niczem innym, jak rzeczą ze wszystkimi cechami ciała i zawiera w sobie mnóstwo poszczególnych momentów, jak twardość, nieprzenikliwość i t. d., nadto pojęcia formy, wymiarów i t. p., które już, każde oddzielnie, wymagają bardzo złożonych procesów psychicznych. Gdy więc nauki przyrodnicze sprowadzają zjawiska świata cielesnego do mecha-

niki atomów, to postępują o tyle słusznie, o ile rozkładają objawy, dostrzegane na wielkich bryłach ciał, na objawy cząstek cielesnych tych ostatnich. Z chwilą jednak, gdy podejmujemy zadanie objaśnienia wszelkich zjawisk psychicznych — nietylko stanowiących wyobrażenia otaczającego nas świata, lecz i treść wyłączną naszej duszy — za pomocą ruchów atomów, popełniamy błąd logiczny, gdyż pomijamy elementy psychiczne, posługujemy się natomiast wielkościami nader złożonymi. I istotnie, dzieje wszystkich dotychczas usiłowań, w tym kierunku podejmowanych, wykazują absolutną nieplodność tej metody. Czyż mogło być inaczej — pytają współcześni moniści-przyrodnicy, — skoro samo zadanie fałszywie było postawione? Istotny problemat, jaki tu mamy, brzmi wprost odwrotnie. Zadanie polega nie na tem, ażeby zjawiska psychiczne miały zostać wyjaśnione przez procesy materialne, które są przecie niczem innym, jeno wyobrażeniami naszej własnej duszy, lecz o to chodzić powinno, abyśmy wszystkie bez wyjątku objawy ducha zdołali sprowadzić do najprostszych elementów psychicznych.

W sferach przyrodniczych wielokrotnie spotkać się można z poglądem, że poznawanie świata dzieli się na dwa zgoła różne pomiędzy sobą zadania, z których jedno nazywa się „metafizyką”, drugie właściwym badaniem przyrodniczem. „Metafizykę” pozostawia się filozofii, a nauki przyrodnicze ograniczają się do badania świata cielesnego. Zapomina się tymczasem, lub świadomie oczy zamyka na to, że wszelkie poznawanie przyrodnicze, którego przedmiotem jest świat zewnętrzny, samo w sobie stanowi zjawisko psychiczne, i że, chcący lub niechcący, każdy myślący przyrodnik posługuje się metodami „metafizycznymi”. Wprost sprzeczność istnieje w rozpatrywaniu, odróżniającem naturę ($\phi\upsilon\sigma\iota\varsigma$) od czegoś co jest „po-za naturą” ($\mu\epsilon\tau\acute{\alpha}\ \tau\eta\upsilon\ \phi\upsilon\sigma\iota\upsilon$). Jeden tylko istnieje świat dla nas i nic po-za nim. Jeden tylko przeto rodzaj poznawania tego świata może być prawdziwy, właściwy. Gdy więc chodzi o sprawę zasad i podstaw poznania, upaść muszą wszelkie sztucznie zakreślone granice. Z takiego monistycznego stanowiska patrząc na świat jako na jedną, harmonijną, nierozzerwalną jedność, widzimy w nim część naszej własnej duszy i dziwić się przeto nie można, dochodząc do wniosku, że prawa, rządzące światem zewnętrznym, i prawa, kierujące zjawiskami ducha, są w istocie identycznymi. Raczej niezbędnym jest to wnioskiem całego rozumowania naszego, że zjawiska świata cielesnego uporządkowane są według czasu i przyczyn w przestrzeni — toż we wniosku tym rozpoznajemy własne nasze logiczne prawa myślenia. Prawa, które odkrywamy w świecie zewnętrznym, są właśnie niczem innym, tylko prawami naszego myślenia, są prawami, według których zachodzą nasze zjawiska psychiczne, bo cały

świat zewnętrzny jest tylko naszym wyobrażeniem. Wszelka wiedza jest więc ostatecznie niczem innym, tylko psychologią.

Z tak rozumianego poglądu na świat nie trudno było-by nam wyprowadzić postulaty dla metodyki badań psychologicznych. Nie to wszakże jest właściwym zadaniem niniejszego szkicu. Pilno nam powrócić do sformułowania współczesnych poglądów na istotę i sposób badania zjawisk życiowych mniej zawitych, rozgrywających się w organach, lepiej niż mózg, dotychczas poznanych.

III.

Dowiedliśmy możności sprowadzenia wszystkich zjawisk przyrody, zarówno cielesnych, jak psychicznych, do jednych i tych samych wspólnych przyczyn. Jest to wynikiem rozumowania czysto oderwanego, które, jak już na wstępie zaraz zauważyliśmy, bynajmniej nie jest zgodne z tem, czego nas uczy współczesna fizjologia. Sprzeczność ta pomiędzy rezultatem logicznego myślenia, a istotnem doświadczeniem, daje się jednakże łatwo usunąć, jeśli uprzytomnimy sobie, że w żadnej dziedzinie nauk przyrodniczych, najmniej zaś w fizjologii, nie dotarliśmy dotychczas do owych pierwszych, zasadniczych, elementarnych przyczyn. Nic też dziwnego, że w takim stanie rzeczy przed obserwatorem, choćby nawet bardzo uważnym, powstaje przepaść, trudna do przebycia, między zjawiskami żywej i martwej przyrody. obrońcy witalizmu od dawien dawna twierdzili, że w organizmach żywych panuje osobliwa siła, t. zw. siła życiowa, która wywołuje właściwe objawy życiowe. Ta siła życiowa obrała sobie, według nich, siedlisko wyłącznie tylko w świecie ożywionym i bynajmniej nie jest identyczną z siłami chemiczno-fizycznymi, rządzącymi martwą przyrodą.

Twierdzenie o istnieniu siły życiowej opiera się wyłącznie na fakcie, że pewne zjawiska życiowe nie mogły być dotychczas sprowadzone do praw chemiczno-fizycznych. Jeden z najpoważniejszych witalistów ¹⁾ nowoczesnych, Bunge, powiada nawet: „Im dokładniej, wielostronniej, gruntowniej usiłujemy zbadać zjawiska życiowe, tem snadniej przychodzimy do przekonania, że zjawiska, co do których sądził się być blizkimi ich fizyko-chemicznego wyjaśnienia, są natury

¹⁾ W braku innego, utartego, posługuję się tym wyrazem, choć różnicę pomiędzy witalistami dawnymi, a neowitalistami dość, łatwo jest sformułować. Z pomniejszych w dalszym ciągu cytat czytelnik sam to zrozumie.

daleko zawilszej i tymczasem naigrawają się z wszelkiego mechanicznego tłumaczenia”.

Pragnąc wszakże sprawiedliwie rzecz sądzić, należy przyjrzeć się uważniej i stronie odwrotnej. Otóż, pomimo wszelkich usiłowań witalistów, nie powiodło się dotychczas odkryć żadnej osobliwej siły w organizmach i scharakteryzować jej w taki sposób, jak to uczyniła fizyka i chemia z siłami przyrody nieorganicznej. Mamy, przeciwnie, dużo przykładów, które przemawiają raczej w duchu „mechanistów”. Przez czas bardzo długi np. sądzono, że pewne substancje, napotymane wyłącznie w żywych organizmach, powstają tu dzięki działaniu siły życiowej, i że niemożliwą jest rzeczą otrzymanie ich na drodze fizyko-chemicznej. Lecz już w roku 1828 znakomity chemik, Wöhler, obalił to przypuszczenie, otrzymawszy sposobem syntezy chemicznej mocznik, przedtem uważany za wyłączny produkt żywych organizmów. Od owego czasu zaś chemia tysiąckrotnie na innych przykładach poparła słynny dowód Wöhlera. Trzeba, co prawda, przyznać, że nie wszystkie jeszcze wytwory świata roślinnego i zwierzęcego potrafimy sztucznie otrzymywać. Co większa, błądzimy dotychczas w tym kierunku właśnie tam, gdzie tryumfy chemii były-by najbardziej zdumiewające. Nie umiemy sztucznie otrzymywać najważniejszych ciał organizowanej materii, ciał białkowych. Lecz łatwo zarazem zrozumieć powody tej naszej bezsilności. Nie jest nam dotychczas znany dokładnie skład chemiczny tych zawitych związków. Wiadomo nam wprawdzie, jakie atomy składają ciało białkowe, lecz nie mamy wystarczającego wyobrażenia o tem, w jaki sposób atomy te są z sobą powiązane. A prócz tego, zbyt mało jeszcze poznaliśmy dotąd fizyko-chemiczne warunki, w jakich ciała te powstają w żywych organizmach. W ostatnich zaś właśnie czasach chemia mnóstwo zebrała dowodów na to, że dany proces chemiczny zależny jest nie tylko od obecności pewnych określonych materii chemicznych, lecz i niemniej od współdziałania pewnych, dobrane określonych warunków, w jakich proces ten ma zachodzić. Tak np. przekonano się, że niektóre przeobrażenia chemiczne, nie zachodzące w znacznych przestrzeniach, bardzo łatwo odbywają się w tychże warunkach w przestrzeniach kapilarnych, i odwrotnie. Można-by nie jeden jeszcze przykład przytoczyć na obronę tych, którzy tak żarliwie występują przeciw rzecznikom witalizmu, bez względu na to, w jakiej postaci on się objawia.

A witalizm, w naszych czasach na nowo powołany do życia, różni się w wielu istotnych punktach od poglądu, jakiego trzymali się przyrodnicy starożytni i średniowieczni. Dość przytoczyć na to niektóre zdania fizjologa Bungego, okrzyczanego przez współczesnych „mechanistów” za skrajnego neowitalistę.

„Utrzymuję, że wszystkie procesy w naszym organizmie, dające się wytłómaczyć mechanicznie, nie więcej zasługują na nazwę zjawisk życiowych, jak ruch liści i gałęzi na drzewie, wstrząśaniem przez burzę, lub ruch pyłku kwiatowego, przenoszonego przez wiatr z męskich na żeńskie organy płciowe. Mamy tu przed sobą zjawisko ruchu, niezbędnego dla procesu życiowego. A jednak nikt nie będzie uważał tego za zjawisko życiowe wprost dlatego, że pyłek kwiatowy przy ruchu tym zachowuje się zupełnie *biernie*. W *czynności* (Activität) zaś tkwi zagadka życia. A pojęcie czynności zaczerpnęliśmy nie z postrzegania zmysłowego, lecz z obserwacji nad sobą, z obserwacji woli, jak wstępuje ona do naszej świadomości i jak objawia się naszemu „zmysłowi wewnętrznemu”. Gdy zaś to samo zjawisko napotykają zmysły zewnętrzne, wówczas nie rozpoznajemy go. Widzimy wprawdzie wszystko, co towarzyszy temu zjawisku — objawy ruchu. Samego jądra wszakże bynajmniej nie dostrzegamy. Brak nam do tego organu percepcyjnego. Możemy tylko hypotetycznie przyjąć jego istnienie i czynimy to właśnie, gdy mówimy o „czynnych ruchach”. Postępuje tak każdy fizyolog; od pojęcia tego uwolnić się on nie może. I oto mamy pierwszą próbę *psychologicznego* wyjaśnienia zjawisk życiowych. Wyobrażenia, zaczerpnięte z własnej świadomości, przenosimy na przedmioty spostrzegania zmysłowego, na organa ciała, na pierwiastki tkankowe, na każdą drobną komórkę”.

„Musimy bezwarunkowo uznać możliwość, że przeszkody i trudności, piętrzące się obecnie przed badaniami fizyologicznymi, w końcu jednak dadzą się usunąć. Lecz w obecnej chwili całkiem trudno zrozumieć, w jaki sposób przy pomocy jedynie fizyki, chemii i anatomii, mamy się o istotny krok naprzód posunąć. W najmniejszej *komórce* — tam oto tkwią już wszystkie zagadki życia, i przy badaniu najmniejszej komórki z obecnymi naszymi środkami pomocniczymi dotarliśmy już do granicy”.

Dodajmy, że Bunge, mówiąc tu o granicy, do jakiej doszliśmy przy badaniu komórki, ma na myśli środki badania anatomicznego, czysto obserwacyjnego, nie doświadczalnego. Dla zupełnego zaś zrozumienia stanowiska tego neowitalisty, przytoczymy jeszcze następujący ustęp:

„A jednakże badanie fizyologiczne musi rozpocząć od najzawilszego, ludzkiego organizmu. Usprawiedliwia się to — że już pominiemy wymagania praktycznej medycyny — z następującego powodu. Organizm ludzki jest jedynym, przy którego badaniu posługujemy się nie tylko zmysłami naszymi, lecz do jego najwewnętrzniejszej istoty przenikamy jeszcze z innej strony: przez obserwację nad sobą, przez zmysł wewnętrzny, by tym sposobem podać rękę przedzierającej się z ze-

wnętrz fizyce. Płodność tej metody, która z dwu stron jednocześnie ujmuje zagadkę, już jasno poznał wielki nasz mistrz, Jan Müller, a odkryte przezeń na tej drodze prawo „specyficznej energii zmysłowej”, jest bez wątpienia największą zdobyczą zarówno fizjologii, jak psychologii, i ściśle podwaliną wszelkiej idealistycznej filozofii. — Mam tu na myśli owo proste prawo, że jedno i to samo podrażnienie, jedno i to samo zjawisko świata zewnętrznego, działając na różne nerwy zmysłowe, wyzwała zawsze odmienne wrażenia, gdy tymczasem różne podrażnienia, działające na jeden i ten sam nerw zmysłowy, zawsze wywołują to samo wrażenie; że zatem zjawiska świata zewnętrznego nic z odbieranymi przez nas wrażeniami i pojęciami nie mają wspólnego, że świat zewnętrzny jest dla nas księgą na siedm pieczęci zamkniętą, i że jedynie bezpośrednio przystępnymi dla obserwacji naszej i poznania są stany i zjawiska naszej własnej świadomości.

„Ta prosta prawda jest największą i najgłębszą z pomiędzy poznanych przez ducha ludzkiego. Ona też prowadzi nas do zupełnego zrozumienia tego, co stanowi istotę witalizmu. Istota witalizmu nie na tem polega, abyśmy się zadawali wyrazem jednym i rzekli wszelkiego dalszego myślenia. Istota witalizmu polega na tem, byśmy obrali jedynie prawdziwą drogę poznania, abyśmy, wychodząc ze zjawisk znanych, ze świata wewnętrznego, objaśnili nieznanne, świat zewnętrzny. Odwrotną i przewrotną drogę obiera mechanizm, — który jest niczem innym, jak materjalizmem, — wychodzi on ze świata obcego, zewnętrznego, by objaśnić świat znany, wewnętrzny”.

„Co fizyologa wciąż pcha w objęcia materjalizmu, łatwo zrozumieć. Mianowicie ten fakt, że w psychologii dotychczas nie został jeszcze zrobiony nawet początek do osiągnięcia tego stopnia ścisłości, do którego przywykliśmy przez studyowanie fizyki i chemii. Nie można zaprzeczyć, że, pomimo iż naszej obserwacji i poznaniu nic nie jest tak bezpośrednio przystępnem, jak stany i przejawy własnej świadomości, jednak właśnie w tej dziedzinie wiadomości nasze są nader niepewne i chwiejne. Pochodzi to stąd, że sam przedmiot jest o wiele zawilszy, że liczba jakości nieskończenie jest większa, aniżeli w świecie poznanym przez zmysły zewnętrzne, stąd dalej, że stany i zjawiska w naszej świadomości ulegają nieprzerwanie szybkim zmianom, a przede-wszystkiem stąd, że dotychczas nie wynaleźliśmy żadnego środka do ilościowego badania przedmiotów zmysłu wewnętrznego”.

IV.

Neo-witalizm jest płodem zupełnie nowoczesnym. Powyższe słowa Bungego wyrzeczone zostały nie całe jeszcze dziesięć lat temu. Materyalizm naukowy, nawet bynajmniej nie w najsłabszej swej formie, doznaje coraz częstszych porażek. Odzywają się przeciw niemu głosy coraz donośniejsze, coraz poważniejsze. Zwłaszcza w zastosowaniu do badania zjawisk życiowych przynosi nam on zawody dotkliwie, których wcale nie tak dawno nie przewidywano jeszcze. I oto znów stoimy przed rozpaczliwym pytaniem: czy istotnie metoda jest niewłaściwa, czy też my jej stosować nie umiemy; czy na fałszywej znajdujemy się drodze, czy tylko ciemności nie pozwalają nam rozeznać szczegółów tej prawdziwej drogi, po której kroczyć?

Znów powróćmy na chwilę do Verworna, który głosi, że znalazł klucz do rozwiązania zagadki, dlaczego odrodził się witalizm i dlaczego znów trafi nas swemi urojeniami.

Doszliśmy, jak twierdzi Verworn, do punktu zwrotnego w fizjologii, do punktu zwrotnego, zarysowanego tak wyraźnie, że wprost trudno jest go nie dojrzeć. Zjawienie się siły życiowej na widnokręgu nauki jest właśnie symptomem nader poważnym, przekonywającym niemal dowodem tego zwrotu. Podobnie, jak w przeddzień wielkich zwrotów w historii ludziom jasnowidzącym ukazują się duchy, zwiastujące przyszłość, tak i w czasach naszych niektórym przyrodnikom ukazuje się stare widmo siły życiowej.

Na czem wszakże — zapytajmy — polegać ma ten najnowszy zwrot w nauce o życiu? Poznaliśmy prawa czynności serca, krążenia krwi, wymiany gazów w płucach, skurczów mięśni, przewodnictwa nerwów; poznaliśmy funkcje narządów zmysłowych; wiadomo nam, w jaki sposób soki trawiące działają na składowe części naszych pokarmów; znamy wreszcie szczegółowo anatomiczny podkład mnóstwa zjawisk psychicznych. Lecz wszystko to są tylko masowe działania dużych części naszego ciała, są to tylko ostateczne rezultaty właściwych czynności życiowych. Jeżeli przy pomocy szczegółowych metod, stworzonych przez wielkich mistrzów współczesnej fizjologii, postępujemy jeszcze ustawicznie dalej, to istotnie pogłębiałyśmy tylko dotychczasowe nasze wiadomości do subtelniejszych szczegółów danego zjawiska. Dla tego też niema chwilowo żadnego dominującego kierunku w fizjologii, takiego na przykład, jak kierunek fizyczny, który do niedawna jeszcze panujące zajmował stanowisko. Na drodze, którą obecnie kroczy fizyo-

logia, rzadko już jesteśmy świadkami jakiego prawdziwie wielkiego odkrycia, — a jednakże właściwe zagadki życia pozostają jeszcze nierozstrzygniętymi. Gdybyśmy nawet nie zachodzili tak daleko, jak Bunge, który twierdzi, że wszystkie zjawiska, które objaśnione zostały dotychczas mechanicznie, nie są zgoła zjawiskami życiowymi, to jednakże wątpliwości nie ulega, że najogólniejszych, elementarnych objawów życia nie zdołaliśmy dotychczas rozwikłać. Ta niemoc fizjologii dzisiejszej wobec najprostszych fenomenów życia dowodzi dostatecznie, że metody, które rozjaśniły nam zgrubsza fizjologiczne objawy, pomimo całej swej doniosłości, nie są odpowiednimi dla celów zbadania elementarnych procesów. Żadna z najdoskonalej pomyślanych metod, jakimi posługujemy się obecnie, nie da nam należytego pojęcia o wewnętrznych przeobrażeniach, jakie zachodzą podczas wydzielania się soków w gruczole, podczas skurczu mięśnia, pobudzenia nerwu lub czynności psychicznej. Chemik-fizjolog nie potrafi z pomocą obecnych swoich środków objaśnić, w jaki sposób gruczoły żołądkowe wytwarzają sok trawiący. Dokładne badanie funkcji cielesnych prowadzi nas ostatecznie do wniosku, iż na innej drodze szukać należy rozwiązania tych zagadek, jakie mieszczą się dla nas dotychczas w najprostszych zjawiskach życiowych. Wszystko, cokolwiek osiągnęliśmy dotychczas, zwraca naszą uwagę na najprostszy element anatomiczny, na komórkę. W komórce mięśniowej tkwi zagadka ruchów serca i skurczów mięśniowych; w komórce gruczołowej tkwią przyczyny sekrecji (wydzielania); w komórce nabłonka, w białem ciałku krwi mieści się zagadka pobierania pokarmu i wchłaniania jego, a w komórce zwojowej mózgu drzemią tajemnice duszy. Nauka dowiodła już dawno, że komórka stanowi elementarną cegiełkę budowli żywego ciała, że jest ona elementarnym, pierwotnym, najprostszym organizmem, w którym znajduje się siedlisko objawów życiowych. Dawno już temu anatomia i embryologia, zoologia i botanika uznały doniosłość tego faktu, a potężny rozkwit tych nauk znakomicie dowiódł płodności tej metody „komórkowego” badania. Tylko w fizjologii praktycznie nie zastosowano się jeszcze do tych wymagań nowoczesnej nauki, nie uznano dotychczas za właściwe szukać odpowiedzi na zagadnienia życiowe w komórce. Nie uczyniono tego przynajmniej w takiej rozciągłości, jakiej wymaga koniecznie naukowa doniosłość poruszanych przez fizjologię pytań. Do fizjologii komórki należy przyszłość nauki o życiu. Oto najważniejszy, najogólniej wyrażony postulat współczesnej wiedzy biologicznej.

Metody „komórkowego” badania — przyznać to trzeba — nie są jeszcze w należytych stopniu wydoskonalone. Jednakże już duży szereg pracowitych i niepospolicie utalentowanych badaczy doszedł na

tej drodze do rezultatów niezmiernie ważnych dla biologii. Za materiały do obserwacji i eksperymentów służy im obfity świat pierwotniaków, istot jednokomórkowych, wiodących życie swobodne i będących samymi w sobie indywiduami z wyraźnie wyrobionymi funkcjami życiowymi.

Najprostszym stosunkowo sposobem badania jest tu bezpośrednia obserwacja pod mikroskopem. Metoda ta doprowadziła do poznania mnóstwa szczegółów z życia komórki i pozwoliła szczegóły te powiązać do pewnego stopnia w harmonijną całość. Tą to drogą zdobyliśmy nader cenne wiadomości o zapładnianiu, podziale komórek i ich rozmnażaniu się. Podejmowano też pod mikroskopem operacje wiwisekcyjne w komórkach w tej samej rozciągłości i z równą dokładnością, jak to czynić zwykł fizyolog na wyższych zwierzętach. Powiodło się dzięki tej metodzie pozyskać wiele cennych przyczynków do mechaniki rozwojowej zwierząt, gdyż zbadano czynności fizyologiczne szczególnych części komórki jajowej, oraz jej pierwszych produktów, najwcześniejszych wytworów procesu dzielenia. Starano się również badać wpływ najrozmaitszych bodźców na objawy życiowe komórki. Stosowano działania podnieć chemicznych, mechanicznych, cieplikowych, galwanicznych, świetlnych i t. p. i obserwowano, jakim modyfikacyom ulegają przytem widoczne dla oka objawy życia jednokomórkowych istot. Wreszcie i bezpośrednie metody chemicznego badania znalazły już dostęp do tak napozór drobnego świata komórki. Mikrochemiczne badania w zakresie tym obiecuja niezmiernie interesujące rezultaty. Nie tutaj miejsce streszczać wyniki, osiągnięte dotychczas z tych prac nad fizyologią komórki. O to głównie tylko chodzi nam, by wskazać, jakimi drogami kroczy obecnie fizyologia, jakie wykresła sobie nowe gościńce, spodziewając się na nich znaleźć odpowiedzi na te pytania, które dotychczas napróżno stawiała naturze. Nie pora też jeszcze wysnuwać jakiegokolwiek domysły o tem, kiedy te odpowiedzi będą znalezione, w jaką, choćby w przybliżeniu, formę zostaną one ujęte. Sądzę, że najznamienniejszym objawem tego zwrotu w badaniach fizyologicznych jest okoliczność, iż oczekiwali go i domagali się równie natarczywie wszyscy przedstawiciele nauk biologicznych. Zarówno neowitaliści, jak i mechanisci drogą logicznego rozumowania dochodzą do tych samych wniosków i w badaniu komórki widzą obecne zadanie fizyologii.

Lecz zapominać nie trzeba, że w rozwoju wiedzy panują okresy, że tak powiem, krańcowości myślowej, która nie zawsze na bieg nauki dobroczynnie oddziaływa. Obawiać się należy, że i w fizyologii, pod wpływem wywieranym przez powagi takie, jak Verworn, zapanować może taka krańcowość. Fizyolog ten z niezmierną zaciętością broni

zdania, że fizyologia organów, badanie czynności życiowych, złożonych w duże narządy grup tkanek i komórek, wyczerpało się i musi być zastąpione przez fizyologię komórki. Otóż, przy całej doniosłości argumentacji przytaczanej przez Verworna, trzeba jednak nie dawać się nwieść niektórym faktom, tylko pozorną słusność mającym. Dla lepszego scharakteryzowania tego, co mam na myśli, przytoczę tu ustęp z nowego dzieła p. t. „Elektrofizyologia”, znakomitego uczonego jenajskiego, Biedermanna:

„Podczas, gdy w morfologii uważa się za rzecz przez się zrozumiałą, że badanie powinno postępować od obiektów prostych do zawiłszych, natomiast zarówno doświadczenie, jak i rozumowanie uczy, że w fizyologii wielokrotnie droga odwrotna jest pewniejszą i szybciej prowadzi do celu. W części pochodzi to z osobliwości stosowanych metod badania, z drugiej strony zaś jest wynikiem fizyologicznego zróżniczkowania pojedynczych elementarnych części składowych. Nie zawsze to, co jest prostszem morfologicznie, jest także fizyologicznie dostępniejszem, ba, nawet do pewnego stopnia można-by twierdzić, iż jest wprost przeciwnie. Jeżeli słusznem jest, że w plazmie ameby niejako drzemią *in potentia* wszystkie funkcje wyżej rozwiniętych, wielokomórkowych organizmów, to z drugiej strony pod pozorną prostotą ukrywa się tu wielka różnorodność czynności fizyologicznych, której porównać nie można z wypadkiem, w którym tylko jeden rodzaj komórek jest przystosowany do jednej określonej czynności, jak np. komórki mięśniowe do skurczania się, komórki gruczołowe do wydzielania i t. d. A oczywiście jest, iż w tym ostatnim wypadku więcej mamy widoków dowiedzenia się szczegółów o właściwej istocie danej funkcji fizyologicznej, aniżeli gdybyśmy się zwrócili do jednokomórkowych, elementarnych organizmów, których plazma w jednakowej mierze służy jeszcze rozmaitym czynnościom”.

Przytoczyłem tu umyślnie w końcu niniejszego szkicu ten ustęp, aby położyć nacisk na to, że w zwróceniu się *wyłącznem* do badania „komórkowego” w fizyologii upatruję jednostronność, która, obok niezaprzeczonych swych zalet, obudzić może też słusnie i niepomyślnie wroźby na przyszłość. Stoimy niewątpliwie u wrót nowego okresu badań biologicznych, okresu, do którego hasła należy także hasło: *komórka*. Nie potrafimy przewidzieć, do jakich nowych sfer poznania ta nowa epoka w fizyologii nas doprowadzi. Pomni wszakże na to, czego nauczyła nas historia wiedzy i dotychczasowe doświadczenie, nie powinniśmy nierozważnie porzucać w zupełności tych sposobów badania życia, jakimi posługiwaliśmy się dotychczas, i które, bądź-co-bądź, dały

nam olbrzymią sumę wiadomości. Fiziologia „organów” jeszcze się nie wyczerpała zupełnie. Żywotności tej metody dowodzi jeszcze cały szereg współczesnych, nader doniosłych, prac biologicznych. Powtarzam za fizyologiem, J. Rosenthalem, słowa: „Nie palmy za sobą okrętów fizjologii „organów”, aby w niegotowej jeszcze łodzi fizjologii „komórki” wypłynąć na nieznane morze nauki o życiu”.

DR MAKSYMILIAN FLAUM.

DOBRA WIARA.

W dzisiejszym systemacie produkcyjnym i ustroju gospodarczym w ogólności, który niemal za życia jednego pokolenia, pod wpływem podziału pracy, techniki, udoskonalonej wynalazkami w podziwu godny sposób, wreszcie komunikacji, bajecznie ułatwionej i przyśpieszonej, przebył proces zupełnego przeobrażenia, obrót stał się dla organizmu społecznego, tak pod względem ożywczego wpływu na życie ekonomiczne, jak i co do komplikacji swojej, podobnym do krążenia krwi w organizmie ludzkim. Ogromną siecią naczyń okrąża krew nieustannie cały organizm ludzki, aby wszystkim jego częściom dostarczyć niezbędnego czynnika funkcji żywotnych, a już chwilowa stagnacja, najmniejsze nawet zboczenie w tem krążeniu odbija się dotkliwie, nie tylko na organie bezpośrednio dotkniętym, lecz i na całym ustroju. Z krążeniem obrotowym dóbr w gospodarstwie i społecznym znaczeniu rzecz się ma tak samo. I tutaj bowiem cała niezmierna skomplikowana sieć dróg umożliwia taki rozdział dóbr, ażeby potrzeby całego organizmu społecznego były stale zaspakajane, więc i tutaj stagnacja lub zboczenie w normalnym ruchu wystawia organizm społeczny na mniejsze lub większe dolegliwości, w danym razie nawet na ciężkie komplikacje.

Porównanie to, jakkolwiek zdaje się być zupełnie trafnym w całości i w szczegółach, dotknięte jest mimo to ułomnością, z jaką, według znanego aforyzmu rzymskiego, już na świat przychodzi każde porównanie, jako — kulawe z natury swojej. Ułomność ta właściwie naj-

więcej uderzać powinna w powyższem porównaniu, bo jeżeli człowiek służyć ma za *tertium comparationis*, to przecież nasunąć się musi zarzut, dlaczego jedna tylko część jego ustroju, fizyczna, została wysunięta, a o drugiej, duchowej, niema wzmianki, jak gdyby jej wcale nie było, jak gdyby na samej sieci naczyń krwionośnych, splotach nerwów, strukturze kości i układzie mięśni wyczerpywać się miała cała jego istota. Gdyby właśnie ta druga, pominięta w porównaniu, strona istoty człowieka, wzięta była w rachubę, musiało-by zaraz powstać pytanie: czy w normalnem krążeniu krwi, a chociaż-by w normalnym przebiegu wszystkich funkcji fizycznego ustroju, streszcza się całe życie w szerszem znaczeniu tego wyrazu, ze wszystkimi jego zadaniami i celami; więc dalej, czy także w takim regularnym, jak ruch doskonałej maszyny, obrocie ekonomicznym streszcza się życie społeczeństwa ze wszystkimi jego zadaniami i celami?

To „gdyby“ ma w tym wypadku głębsze znaczenie, aniżeli w regule, bo nie oznacza tylko zwyczajnego przeoczenia, albo fałszywej rachuby, lecz objaśnia niejako jeden z rysów charakterystycznych panującego w danej chwili prądu myśli i poglądów. Kiedy bowiem pod hasłem takiego porównania, jak powyższe, rozpoczynał się tak w teorii, jak i w praktyce życia, entuzjastyczny kult wszechmocnego dziś obrotu, materyalistyczny kierunek ogólnych poglądów na świat i życie zagłuszał wszelkie nieśmiałe nawet przypomnienie „metafizycznych uprzedzeń“, czy „subtelności“ o duchowej stronie człowieka, o czynnikach jej rozwoju i życia. Urok złotego cielca zhyponotyzował tak ekonomistów, upatrujących szczyt szczęścia i rozwoju w głośnej maksymie: *laissez faire laissez aller*, jak i prawników, święcie przekonanych o tem, że dobru ludzkości wyświadczają najlepszą przysługę przez łamanie każdego rygoru etycznego w prawie, który-by zawadzać mógł powyższej zasadzie ekonomicznej i jej wcieleniu w obrocie. A jaką rolę odegrała przytem filozofia? Nie dość na tem, że, jak powiedzieliśmy, w świeżym, czy raczej tylko odświeżonym kierunku materyalistycznym dała impuls do wywyższenia materyalnych interesów ponad moralne w życiu gospodarczem i społecznem w ogólności, filozofia pośpieszyła ze swojemi cennymi usługami interesom najswobodniejszego, wprost rozpasanego obrotu, dając prawu generalną absolucję od wszelkich skrupułów etycznych. Dość wskazać np. na omawiające tę kwestję ustępy etyki Paulsena lub filozoficznego dzieła Iheringa o celu w prawie, dwóch prac filozoficznych, zażywających nadzwyczajnej powagi w kołach prawniczych pozytywnego autoramentu. Jest to przeniesienie ekonomicznej zasady: „*laissez faire, laissez aller*“ na pole etyczne i prawne, gloryfikacja obrotu, jako szczytu ewolucyi ekonomicznej i społecznej, rehabilitacja egoizmu w szerokim zakresie.

Głównie urok obrotu nowoczesnego, jako najdoskonalszej formy pożycia gospodarczo-społecznego, podyktował Iheringowi w powołanem dziele także poniekąd i rehabilitację kłamstwa, mianowicie próbę jego wyzwolenia już nietylko z pod znanego bezwzględnego i bezwarunkowego potępienia w pismach Św. Augustyna, lecz nawet z więzów tego ścisłego rygoru moralnego, w jakie je Fichte ujął. W ramach społeczno-uitylitarne systematu etyki Iheringa kłamstwu otwarte zostało tak szerokie pole, jak gdyby należało mu się miejsce w rzędzie jeżeli nie dozwolonych, to w każdym razie do pewnego stopnia na tolerancję zasługujących motywów działania. Nie jest to jednak ani jedyna, ani nawet najdosadniejsza rehabilitacja kłamstwa pod przemijającym panowaniem pozytywizmu w zakresie filozofii w ogólności, a etyki w szczególności. Dla charakterystyki czasów i stosunków, pod tem panowaniem wytworzonych, ciekawszą może jest np. formalna apologia kłamstwa w pismach Tarde'a. W systemacie socyologicznym tego genialnego pisarza francuskiego, kłamstwo, pod skromniejszą szatą „illuzyi“, odgrywa rolę formalnego czynnika cywilizacyjnego. Tarde mówi otwarcie, że pewna miara takich illuzyi, *vulgo* kłamstwa, jest po prostu niezbędną dla ludzkości i wypełnia się codziennie w prasie, nawet w historyi, w polityce, mianowicie w biuletynach wyborczych i parlamentarnych, w biuletynach wojennych i t. d. *Mundus vult decipi ergo decipiatur!* Ten aforyzm rzymski przetłómaczył Tarde na język socyologiczny i sam go zastosował w swoich pismach praktycznie oświadczając, że jest zwolennikiem determinizmu, ale mimo to, utrzymać musi w mocy „illuzję“ o wolnej woli, gdyż bez tego nie da się utrzymać moralna odpowiedzialność, a więc główna podstawa prawa karnego, prawa w ogólności, na którem autorowi temu, jako sędziemu zawodowemu, najwięcej zależy.

Taka rehabilitacja egoizmu i kłamstwa, wchodząca w systemat etyki uitylitarnej, jako konsekwencya zasadniczych poglądów, otwarła pod hasłem swobody obrotowej na oścież wrota wszelkiemu wyyskowi, nierzetelnej konkurencyi, podstępowi, nawet oszustwu, jawnemu pod względem merytorycznych kryteriów moralnych, ale maskowanemu pod względem formalnym tak zręcznie, żeby zamglone czy ospałe oko prawa nie mogło zajrzeć pod maskę, a tem samem nie zdołało dostrzedz istoty rzeczy. Ile zdrożności kryje się dziś pod tą maską, skoro nawet Ihering w tem samym dziele, w którem wielbi obrót współczesny i rehabilituje egoizm, jako jego dźwignię, więc z pewnem naruszeniem konsekwencyi nie waha się nazwać towarzystw akcyjnych w dzisiejszej organizacyi, tego arcydzieła współczesnej obrotowej fazy naszego życia ekonomicznego, „jednem z najfatalniejszych urzędzeń“

z wpływem „głęboko demoralizującym i do głębi zatruwającym zasady czci i uczciwości.“

W ten sposób zachwalany jako szczyt postępu obrót dzisiejszy przybrał charakter bezwzględnej walki o byt, rozgrywającej się na polu gospodarczym według nieubłaganych prawideł Darwinizmu.

Jest to tylko szkic ogólny, jeżeli nie przebytej jeszcze, to co najmniej odartej już z dawnego uroku fazy rozwoju ekonomiczno-prawnego. Urok ten zaćmiła przede wszystkim wielka kwestya społeczna dzisiejszej doby, rozstrój tak widoczny w stosunkach społecznych, że, wobec niego, dalsze teoretyczne upiększanie sytuacji już nikogo bałamucić nie powinno. Do czego przyjść musiało koniecznie, jeżeli społeczeństwo nie miało być wystawione na ciężkie przejścia, to odbywa się obecnie na całej linii,—odwrót ku ideałom i zasadom etycznym, które *ad majorem gloriam* wszechwładnego obrotu chwilowo zepchnięte zostały z widowni ustawodawczej i administracyjnej. Takie ustawy, jak owa paragrafowa baryera, ostatniemi czasy w Austrii i w Niemczech przeciw lichwie wzniesiona, jak karby, w które tam świeżo ujęto sprzedaże na raty, tak zwane wyprzedaje i inne rodzaje wyzysku, jak wreszcie tyle pożądanych postanowień austriackiego projektu nowego kodeksu karnego, skierowanych przeciw matactwom i nieuczciwym kręctwom różnego rodzaju, dotąd przez prawo karne płazem puszczanym, a raczej wyslizgującym się z jego zbyt przestronnej sieci, oto cały szereg symptomatów, już nawet jawnych kroków na nowej drodze, wstecznej według formułek zdyskredytowanej doktryny liberalnej, zbawiennej w oczach każdego, kto nie po doktrynersku patrzy na życie i ocenia stosunki.

Ten pochód prawa na nowych torach nietylko nie odbywa się tak łatwo i szybko, jakby sobie tego życzyć należało, lecz nadto nie ma przed sobą programu, tak jasno zakreślonego, aby można było już polegać na tem, że samo prawo zapewni odtąd społeczeństwu na arenie obrotu, wobec podstępny, nieuczciwości, wyzysku, w ogólności wobec wyrafinowanego nowoczesnego bandytyzmu w życiu ekonomicznym, takie bezpieczeństwo, jakiego domagać się można na progu XX stulecia. Do pewnego stopnia bezpieczeństwo takie w zupełności osiągnąć się nie da, gdyż była-by to doskonałość niemożliwa do osiągnięcia, jak wszelka doskonałość wogóle. Zawsze był, jest i będzie między baryerami prawa prywatnego i karnego przesmyk taki, że po nim przedrzeć się zdoła mnóstwo niegodziwości i nieuczciwości. Ale przesmyk ten, zamiast zwięzać się i stawać coraz trudniejszym do przebycia, rozszerzył się, zmienił niejako w bity gościniec od chwili, gdy obrót nowoczesny zjednał sobie taką rolę panującą, jak gdyby na nim polegało, jeżeli nie w zupełności, to w znacznej części, dobro całego społeczeństwa.

Gdybyśmy mieli szczegółowo przedstawić i objaśnić wszystkie okoliczności i stosunki, które złożyły się na tak posępną sytuację społeczną, to wypadło-by napisać obszernie studjum. Było-by ono może niezbędne dla uzasadnienia poszczególnych reform ustawodawczych, których dziś domaga się społeczeństwo dla osłony wobec nieuczciwości, wynajdującej sobie w zakresie codziennych interesów i stosunków coraz więcej kryjówek i dróg krętych, wiodących do celu po-za plecami prawa, ale nie wymaga tego—o co nam tutaj głównie chodzi—ogólna, nie dla zawodowych prawników, lecz dla szerszych kół przeznaczona, charakterystyka sytuacji i przyczyn złego. W kilku słowach można zamknąć tę charakterystykę, w słowach: zanik dobrej wiary! Może to zakrawać na kommunał, więc trzeba nawet w tej pogadance wejść w rzecz samą cokolwiek ściślej.

*

*

*

Są wyrazy, zamykające w sobie pojęcia moralne zasadniczego i, jakby się wydawać mogło, tylko w akcesoryach, ale nie w istocie swojej zmiennego znaczenia, wyrazy, przekazane społeczeństwu w spuściznie przez najdawniejsze pokolenia już ucywilizowanej ludzkości i potem we wszystkich językach w niewolniczo wiernym przekładzie tak ustalone, a tradycją nieprzerwaną utrwalone, że treść zdaje się być niejako skryształowaną na zawsze w jednej formie. A jednak ta formalna, definicyjna stałość tylko powierzchownie zasłania liczne zmiany w treści, które przy bliższem zbadaniu stają się uderzającami. Z biegiem czasu i rozwojem stosunków definicye takich wyrazów, które, mimo formalnej stałości, ostatecznie z natury swojej elastycznymi być nie przestają, kurczą się, albo rozciągają według stosunków. To też z wyrazami takimi rzecz się ma podobnie, jak z gmachami nie-spożytej z zewnątrznego pozoru trwałości. Na oko wyglądają one jednakowo całe wieki, na pozór nie się w nich nie zmienia, a jeżeli konserwacya jest staranna, nie się nawet ku starości nie pochyła. Tak jednak wygląda tylko strona zewnętrzna, kiedy tymczasem wewnątrz tyle się zmieniło! Nietylko przeszedł tamtędy cały szereg lokatorów, nietylko dzisiejsi mieszkańcy zupełnie nie są podobni do tych, którzy gmach zaraz po wybudowaniu zajmowali, lecz nadto samo wnętrze w ciągu lat uległo mnogim zmianom, często nawet znacznym przekształceniom lub poniewierce, zepsuciu i t. d.

Powiedzieć to można nawet o wyrazach, ściśle prawnego, że tak powiemy *par excellence* paragrafowego znaczenia, o ile one chwycić i trzymać mają zło, objawiające się w stosunkach ludzkich, w działa-

niu ludzkim, więc niejako na gorącym uczynku. W dokładnym obrazie kurczenia się lub rozszerzania owych elastycznych definicji, w obrazie adaptacji wewnętrznych, a nawet rekonstrukcji zewnętrznych owych wyrazów, któreśmy do starych gmachów przyrównali, mieściła-by się historia prawa karnego z filozoficznym zakrojem, bo uwydatniająca owe zmienne w kierunku i w zgięciach linie, które w danych okresach cywilizacyjnych, stosownie do panujących prądów filozoficznych i celów praktycznych w ogólności, znaczyły wiecznie sporną, gdyż nie w naturze rzeczy daną, lecz w pojęciach abstrakcyjnie zakreśloną, więc idealną granicę między prawem a etyką. Byłby to obraz historyczny niezmiernie ciekawy, jako temat, zastraszający ogromem i zawiłością swojej treści, ale, mimo to, ponętniejszy dla głębokiego badacza, niż wiele innych, z tego powodu, że tło jest gotowe i stałe. Stanowi je zło, wieczyste i jednakowe w swojej istocie, a zmienne tylko w formach, które przybiera, i w maskach, któremi się zasłania. Wystudyowanie jednak wszystkich tych form i masek, które, o ile należą już stanowczo tylko do przeszłości, składają się na bogate muzeum prawne, a w terażniejszości są niemal tak zmienne, jak kaprysy mody, wymagało-by nie tylko ogromnego trudu badawczego, lecz nadto jeszcze wprawnego oka filozoficzno-obszernego.

Praca ta ma stanowić nie ustęp ze studium tego rodzaju, lecz tylko pogadankę o jednym rysie z tego wielkiego obrazu, rysie, nie należącym do głównych, ale w świetle dzisiejszych stosunków gospodarczych i społecznych więcej wpadającym w oko, niż wiele innych, bezwzględnie rzecz biorąc, nawet ważniejszych. Wyczerpujące historyczno-prawne studium o dobrej wierze stanowiło-by jeden wielki rozdział w historii nie tylko rozwoju prawa, lecz i pojęć moralno-społecznych.

*

*

*

W starorzymskim społeczeństwie, wśród prymitywnej prostoty stosunków gospodarczo społecznych, dobra wiara (*bona fides*) obwarowana była najpierw czujnością cenzora i grozą jego kary: infamii, która moralnie zabijała niejako obywatela rzymskiego, wystawiając go na powszechną wzgardę, a później już i rygorem prawa pozytywnego oraz powagą pretorską w stosowaniu prawa. To też dobra wiara stanowiła tam moralną alliantkę prawa w codziennem życiu, kontrolującą prawosć całego postępowania na całym rozległym obszarze stosunków gospodarczych. Prawo kanoniczne w swojej pracy nad uszlachetnieniem rzymskiego elementarza prawnego wyniosło dobrą wiarę na wy-

żyne, na jaką pogańskie społeczeństwo rzymskie wznieść się nie mogło. Kiedy bowiem rzymskiemu społeczeństwu i jego prawu przyświecał podniosły wprawdzie na owe czasy, ale zawsze tylko do skali utylitarnej zasosowany ideał uczciwości, dla prawa kanonicznego dewizą i dyrektywą była w tej mierze miłość bliźniego, w rozległym, chrześcijańskim, tego słowa znaczeniu, stawiającem dobro bliźniego na równi z własnem dobrem.

Cała przepaść dzieli nas dzisiaj od takiego pojmowania dobrej wiary, a kto głębiej tej przepaści chciał-by z blizka zmierzyć, niech przeczyta chociaż-by tylko tę rehabilitację, czy nawet apologię egoizmu, jaką napisał Ihering w swoim filozoficznem dziele o celu w prawie, z tym wyraźnie wypowiedzianym zamiarem, że ma to służyć celom obrotu, jako wyrazu najwyższego udoskonalenia życia gospodarczo-społecznego.

Chociaż, jak już powiedzieliśmy, panujący dotąd w tym zakresie stosunków kierunek prawa mocno zdyskredytowany został w ostatnich czasach całym szeregiem ustaw, skierowanych przeciw wyzyskowi i nieuczciwej konkurencji, to jednak zawsze jeszcze z pewnem niedowierzaniem zapytać można: czy bodaj w teorii dzisiejszego świata prawniczego dobra wiara dosięga tej wyżyny ideału, na którą wzniosło ją, jako łącznik między prawem a etyką, najpierw prawo rzymskie, a potem prawo kanoniczne? Jak dalece to niedowierzanie jest uzasadnione, poznać to można na świeżej, poświęconej dobrej wierze, pracy d-ra J. Kohlera (*Treue und Glauben im Verkeren*), który nie należy do pozytywistów, rugujących wyższe ideały etyczne ze sfery prawa, więc uchodzić musi za reprezentanta najdalszych ustępstw, do jakich prawo pozytywne posunąć się może, w danym razie nawet powinno, dla osłony i krzepienia dobrej wiary. Znaczenie jej dla obrotu ocenia Kohler trafnie, bo mówi wprost, że „należyta funkcyja obrotu polega na dobrej wierze w dotrzymywaniu danego słowa i przyjmowaniu zobowiązań; dalej na tem, aby spuścić się można tak na słowność, jak i na prawdziwość oświadczeń co do stanu rzeczy.“ Ale wymagania, które pod ostatnim względem stawiać można, miały-by być już „rozmaite, stosownie do tego, czy kultura pozwala na spekulację lub jej nie dopuszcza. Były okresy kultury nieprzyjazne dla spekulacji, mianowicie okres przewagi prawa kanonicznego, kiedy, jak wogóle w chrześcijaństwie średniowiecznem, nacisk padał na ideę miłości, przewyciężającej egoizm, i z tego powodu odpierającej wszystko, co jednemu z interesantów w obrocie mogło-by zapewnić przewagę nad drugim.“ Gdzie zaś spekulacja jest dozwolona, tam każdemu wolno „osłonić się co do szczegółów spekulacyjnych tajemniczością, a nikt nie może czynić zarzutu

z tego powodu, że ktoś korzysta z przewagi, jaką mu nadaje znajomość tych szczegółów.“

Więc obrotowi przyznany zostaje poniekąd charakter antytezy miłości chrześcijańskiej. Wypływa to ze słów powyższych, a dalsze zdania Kohlera jeszcze dobitniej to naznaczają. „Spekulacya—mówi on—stanowi połączenie egoizmu z żywotnymi interesami społeczeństwa, o ile jest zdrową. Jeżeli tylko sam egoizm zostanie rozbudzony, to spekulacya staje się grą, a tylko stosunek do interesów społecznych nadaje jej sankcyę i dzielność.“ Teraz następuje formalna rehabilitacya egoizmu, wypowiedziana tylko daleko ostrożniej, aniżeli w powołanem dziele Iheringa o celu wprawie. Kohler bowiem czyni to zawsze jeszcze z zastrzeżeniem, że „miłość nie wyklucza tego, aby jednostka pamiętała o swoim specjalnym interesie, o pielęgnowaniu własnego dobra. Było-by to fałszem i przekręceniem rzeczy, jeżeli-by kto w egoizmie szukał źródła moralności, ale bez egoizmu społeczeństwo popadło-by w kommunizm interesów, w którym indywidualność nie mogła-by się w pełni rozwinąć. Egoizm jest zatem konieczny, aby ludzkość wzniosła się na najwyższy szczebel przez najwyższy rozwój sił indywidualnych.“

Zasada ta może nie razi w ogólnikowem sformułowaniu, ale przeniesiona w sferę praktycznej spekulacyi, polegającej na wyzyskiwaniu pomysłnych konjunktur obrotowych, korzystania z wymagań i potrzeb danej chwili, wiedzie autora do szeregu wniosków, nietylko popadających w kollizyę z dobrą wiarą, o ile ona polega na lojalności i otwartości w działaniu, lecz nawet zbliżających się tak dalece do szalbierczego podstępu, że zaledwie wprawne oko prawnika zdoła dostrzedz linii demarkacyjnej. Że tylko od ludzi z wyższą miarą prawości wymagać tego można, aby byli w interesach lojalni i otwarci aż po-zą granice własnej korzyści godziwej, aby np., przewidując jakąś korzystną konjunkturę przy kupnie pewnej rzeczy, zwierali się ze swojemi planami spekulacyjnymi przed jej właścicielem i tem niejako nasuwali mu podwyższenie pierwotne żądanej ceny o pewną część wartości szans odslonionej spekulacyi, to się rozumie, a skoro tak jest, to nie można stawiać takiego wymagania, jako normalnego postulatu dobrej wiary, w grze interesów i stosunków codziennych między ludźmi zwyczajnej miary moralnej. Ale Kohler nietylko pozwala być zamkniętym w sobie co do planów spekulacyjnych i nie wyjawiać szczegółów w tej mierze, chociażby druga strona nie miała o tem żadnej wiadomości, lecz nawet wprowadzenie w błąd uznaje jeszcze za postępowanie nie wychodzące po-zą granicę legalności, byle ono tylko nie obejmowało szczegółów spekulacyi, lecz ograniczało się do subiektywnych zamiarów i planów spekulacyjnych. Oszustwa zatem nie można-by

zarzucić, jeżeli kto plany swoje nietylko w tajemnicy trzyma, lecz nawet błędną opinię o nich rozpowszechnia. Że nikt nie ma prawa wcisnąć się w sferę tajemnic osobistych drugiej osoby, to pewna, ale żeby stąd wypływać miało, iż dla obwarowania tajemnicy spekulacyjnej godzi się nawet użyć fałszu i tem drugich z ich szkodą obalamuwać, to może być pobłażliwie traktowane w etyce obrotowo-uitylitarnej, ale tego z czystem pojęciem dobrej wiary pogodzić niepodobna.

Jak wątplą jest w takim pojmowaniu rzeczy granica między śmiałą i przytem bezwzględną w wyborze środków spekulacją, a prostem oszukiwaniem, to najlepiej pokazuje się na ilustracyi, podanej przez samego Kohlera, wprawdzie w odmiennym, przeciwnym celu, ale nadającej się tutaj zupełnie dla objaśnienia rzeczy. Kto kupuje papierę—mówi Kohler—nie jest oszustem, jeżeli o swoich planach spekulacyjnych rozpowszechnia błędną opinię; świat nie ma prawa do kart mu zaglądać. Natomiast nie wolno mu występować z fałszami, które, wpływając naniżenie kursu, zapewniają kupującemu niższą cenę.“ W książce różnica ta wygląda jeszcze jako tako, ale na ciemnym tle dzisiejszych wyuzdanych spekulacyi giełdowych zaciera się ona w praktyce, przynajmniej w ostatecznym wyniku, którego wyrazem bywa podstępne wyzucie z mienia ludzi dobrej wiary, ale przytem naiwnych czy łatwowiernych w pojęciu giełdzystów, na rzecz wyrafinowanych i szczwanych w podstępach wszelkiego rodzaju spekulantów. Kto np. w sposób niegodziwy, lub chociaż-by tylko dzięki przypadkowi, dowiedział się o godzinę wcześniej od innych o pewnym fakcie, który musi wywołać gwałtowny spadek kursu posiadanych przezeń papierów, lub równie gwałtowny wzrost innych walorów, i potem, zapewniając chociaż-by nawet nie ludzi sobie znanych, wobec których zobowiązują go pewne bliższe względy przyjaźni, lub tylko zwykłej znajomości, lecz obcych sobie zupełnie, że chodzi mu jedynie o uzyskanie gotówki na korzystne przedsiębiorstwo, względnie o fruktyfikację zbędnej gotówki, pozawiera cały szereg interesów giełdowych na ową przewidywaną fluktuację kursów obliczonych, ten postąpił sobie pod względem formalno-prawnym nienagannie, nawet *correctissime*, chociaż-by na zysku, osiągniętym tą drogą, najwidoczniej podstępną, ciężyla ruina całych rodzin.

Skoro wolno być tak dalece podstępnym i wyzyskiwać ofiary dobrej wiary bez narażania się na skutki odpowiedzialności prawnej, to w konsekwencyi linia graniczna, po-za którą podstęp spotkać się może z ostrzem prawa karnego, jest wysunięta tak daleko, że trzeba chyba być albo zbyt zuchwałym, albo zbyt nieostrożnym, żeby o nią zawadzić. Z powołanej pracy Kohlera można-by przytoczyć cały szereg przykładów, których wyjęcie z pod prawnych kryterjów formalnego

oszustwa może być zrozumiałem tylko dla prawnika, oswojonego już z tą wielką miarą ustępstw, jakie prawo dziś dla wszechwładnego obrotu czyni. Są to wypadki takiego wprowadzenia w błąd ze szkodą materyalną, że człowiek, nieznający subtelności definicyjnych, lecz idący prosto i śmiało za wskazówkami, jakie daje mu żywe poczucie uczciwości, na każdym z nich wycisnął-by bez wahania i bez skrupułów piętno pospolitego oszustwa. Ale prawo pozytywne zakresła oszustwu takie ścisłe kontury, że wypadki w powyższym rodzaju tam się pomieścić nie mogą i poszkodowanemu nie pozostaje nic innego, jak w najlepszym razie wyczekiwanie satysfakcyi w długim procesie cywilnym. Kohler sam biada nad tem, ale ostatecznie szuka pociechy, rozgrzeszenia czy zagłuszenia skrupułów w tym fakcie, że odkąd prawo istnieje, granica między oszustwem, podpadającym pod kryteria i rygor prawa karnego, a podstępem, zobowiązującym tylko do cywilnej odpowiedzialności, była zawsze chwiejną. Wobec tego faktu, mówi Kohler: „Oszustwo stanowi jeden z najzawilszych występków, a oznaczenie granicy między tak zwanem cywilnem a karnem oszustwem wystawia jursprudencyę nieraz na ciężką próbę. Rzecz naturalna, że różnica ta nie jest raz na zawsze określona. Jest to kwestya od stanu kultury zależna, gdzie cywilne środki zaradcze i społeczne sposoby reakcyi nie są wystarczające, a wskutek tego, rygor karny musi być stosowany. W każdym razie jednak rygor ten tylko wtedy powinien być stosowany, gdy to stało się niezbędnem. Przesada w karnem traktowaniu oszustwa pociąga za sobą ten ważny skutek ujemny, że stępią ostrze prawa karnego, obraża uczucia ogółu i wiele wypadków pociąga pod rygor surowszy, aniżeli to odpowiada panującym wyobrażeniom o czynie karygodnym i ekspiacyi.“

Że dziś w niezamkniętym jeszcze okresie rozluźnienia karbów etycznych owa reakcyja społeczna, którą Kohler w grę wciąga, nie jest dość silna, na to już wyżej zwróciliśmy uwagę. Ale prawo tem zasłaniać nie może swojej niemocy, bo samo wprowadziło się w taki stan, ustępując długo krok za krokiem ze stanowiska rygoru etycznego wobec przesadnych nawet uroszczeń i zachceń wolności obrotowej i konkurencyjnej, posuniętej po-za linię demarkacyjną wyższych interesów społecznych. Odbiegłszy za daleko od tego rygoru, prawo dziś czuje niemoc swoją, ile razy przed niem stanie taka kwestya, której bez wejścia w zakres moralnych czynników ani wyczerpnąć, ani nawet silnie ująć nie można w ramy paragrafowe z samych tylko zewnętrznych znamion i objawów, co chwila się zmieniających, i to tak dalece, że ścisły, a raczej formalistyczny tłumacz i wykonawca tekstu paragrafowego na każdym kroku znaleźć się musi wobec sytuacji nowej, z góry i wyraźnie w tym tekście nieprzewidzianej, ani weń wcisnąć się niedającej.

W takich sytuacjach prawnik, który polegał dotąd na księdze pozytywnych przykazań paragrafowych, ale w niej się jeszcze tak nie zasklepił, żeby stracił zupełnie z oczu szerszy widnokrąg moralny, i nie zapomniał chociaż-by o tem, o czem dobrze pamiętali jego antenaci starorzemscy, podnosząc, że nie wszystko, co jest prawnie dozwolone, jest zarazem godziwe (*non omne quod licet honestum est*), musi, jak Kohler w swojej rozprawie, szukając ściślej granicy między dającym się tolerować dla miłości obrotu sprytem, czy nawet podstępem, a oszukańczei wybrykami egoizmu w pogwałceniu dobrej wiary, stracić rezon paragrafowy i zaapellować wreszcie do przykazań moralnych. Czyni on to w następujących wymownych słowach: „Sama strona gospodarcza nie jest rozstrzygającą. Nasza moralność nie zostaje pod władztwem prawidła celowego, lecz łączy się z wszystko ogarniającą siłą wieczystej miłości. Żudzenie i wyrządzanie szkody wypływa z nadmiaru egoizmu, stanowi duchowe pogwałcenie, wdzieranie się w dobra, mienie bliźniego, niegodne zapoznawanie jego prawnego stanowiska. Bóg miłości cierpieć nie może takich żudzeń i krzywd, a i my wszyscy, którzy wierzymy w Boga miłości, cierpieć tego nie powinniśmy. Jeżeli zostawimy egoizmowi jego prawa dlatego, że wie dzie on do pobudzenia sił, to pamiętajmy także o uczuciu miłości, wszystko ogarniającej, wszystko opromieniającej. Miłość wyrwa jednostkę z osamotnienia i łączy ją z całą ludzkością, z potęgami świata, w ludzkości działającami. Miłość przedstawia wysoki stopień ludzkiego idealizmu. wie dzie ona na podniosłe stanowisko, do czego egoizm nie jest zdolny, dodaje całemu życiu szlachetności i godności, stanowi łącznik między doczesnem a przyszłym życiem, między światem zjawisk a duchowemi potęgami, działającami po-za sferą dotykanej rzeczywistości. Miłość ma znaczenie sama w sobie, a nie służy samemu tylko pożytkowi ludzi. Skrzydlaty geniusz miłości nie da się razem sprzęgnąć z roboczym koniem egoizmu. Pielęgnowanie miłości jest z tego powodu nietylko cnotą ekonomiczną, podtrzymującą ludzkość, a tem samem i jednostki, lecz nadto cnotą, która, jako od Boga pochodząca i do Boga wiodąca, odrywa człowieka od poziomu życia ziemskiego i wie dzie ludzkość na tory uszlachetnionej działalności. Czasy, w których egoizm ustępował przed uczuciem miłości, stanowiły zawsze z tego powodu okres podniesienia się ludzkości i przejęcia się nowemi siłami. Jeżeli miłość jest moralną potęgą i cnotą, duszę człowieka wewnątrz pobudzającą, to wchodzi w związek z przykazaniem prawnem o tyle, że stawia kres, do którego sięgać może ustępstwo dla egoizmu jednostki. Kresem tym jest przykazanie: Nie krzywdź bliźniego twojego ani materyalnemi, ani duchowemi środkami. Oszustwo jest z tego powodu nietylko złem, wykraczającym przeciw prawidłom ekonomicz-

nym i szarpiącym samo serce obrotu, lecz nadto zbrodnią przeciw idealizmowi ludzkości, występkiem przeciw potędze miłości, która ludzkość ożywia i do Boga winna ją zbliżyć.”

*

*

*

Takie przedstawienie miłości, jako najwyższego regulatora interesów, mogło dziś wyjść z pod pióra prawnika w rozprawie treści prawniczej chyba tylko jako pobożne życzenie, a raczej jako dygressya. W takim przedstawieniu bowiem mieści się niedościgniony dla ludzkiego prawa ideał etyczny, obejmujący oczywiście i dobrą wiarę w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu, dobrą wiarę, streszczającą się nie tylko w przykazaniu: a mowa wasza niech będzie: tak—tak, nie—nie, lecz w tem drugim, które nie pozwala bliźniemu czynić, co samemu czyniącemu było-by niemiłym. Dobrej wiary w takim podniosłem znaczeniu prawo skutecznie osłonić nie może, już z tej prostej przyczyny, że, mając do czynienia z ludźmi zwyczajnej miary i ich sprawami materyalnemi, na taką wyznięć wznieść się nie zdoła, a gdyby tam wznieść się usiłowało, straciło-by poniekąd z oczu główne pole swojej akcji, ową szarą masę ludzi pospolitych i interesów codziennego życia. Ale ideał ten powinien przynajmniej przyświecać prawu, oblewać je swojemi ożywczemi promieniami, jak słońce ziemię. Jeżeli niepodobna, jak to zaznaczył Kohler, krępować, a raczej paraliżować spekulacyi w ten sposób, żeby każdy interesant miał być obowiązany odsłaniać całą swoją sekretną, ale godziwą rachubę, opartą na przewidywaniach, które interesowi w danej chwili zwyczajnemu zapewnić mogą w przyszłości nadzwyczajny rozkwit i znaczenie, żeby kto, podejmując jaki interes, miał rozgłaszać widoki korzyści, widocznej dla niego, ale przez innych niedostrzeganej, to nie wypływa stąd, żeby tej wolności spekulacyjnej utworzona została droga aż do granic brutalnej zasady: *homo homini lupus!* A takim wilkiem, co gorsza, bandytą, z zasadzki na ofiary z nienacka napadającym, staje się człowiek, który np., jak wyżej wskazaliśmy, w grze giełdowej z prawa sekretu spekulacyjnego korzysta ze złą wiarą w ten sposób, iż z zamilczeniem i wyyskiwaniem wyludzonej wiadomości, która na kurs giełdowy wpłynąć musi, łączy dla odwrócenia uwagi kłamliwe manewry, umożliwiające wydobyć jak najwięcej nieprawego zysku z cudzej kieszeni. Takim wielkim, czy bandytą, jest ten, kto w wolnej konkurencyi walkę o zdobycie większego popytu i o większe wzięcie prowadzi nie samemi godziwymi środkami, jakich dostarczają mu dziś ciągle techniczne udoskonolenia produkcji, zabiegliwość w rozpowszechnianiu towaru,

uprzejmość wobec klienteli, punktualność w załatwianiu interesów i t. p., lecz podstępnie wyzyskuje to, co jego współzawodnik już sobie własną pomysłowością i własnym trudem zdobył, podszywając się pod jego znaki, marki i odznaczenia, naśladowując zewnętrzną formę jego towaru, nadużywając jego firmy tak, aby nie w sposób uczciwy i jawny dla każdego, lecz podstępnie pozorami zdobyć klientelę u obalamuconej niemi publiczności.

Oczywiście nie myślimy tutaj wyczerpywać szczegółów takiego bezkarnego dziś grasowania złej wiary w świecie interesów przedsiębiorczych i kupieckich, prowadzonych pod dewizą wolnej konkurencji, lecz pragniemy tylko zaznaczyć te, któremi obecnie świat prawniczy najwięcej się zaprzęta, a w których zarazem jego przemysłowanie nad skutecznymi środkami zaradczeni jest tak bardzo utrudnione z powodu zbytńiego oddalenia się prawa pozytywnego od ideałów etycznych.

W świecie kupieckim, w przedsiębiorczym wogóle, najdotkliwiej, bo stratami materyalnemi, warunki bytu podkopującemi, uczuwać się daje ten dzisiejszy zanik dobrej wiary w zawieraniu interesów. Specyjalnemi ustawami o ochronie znaków fabrycznych, marek handlowych i t. p. zaradzono w danej chwili najpilniejszym potrzebom, ale od tego czasu powstały inne, palące, a dobitnie do inicjatywy ustawodawczej przemawiające kwestye, które rychło rozwiązać należy. W każdym mieście spostrzega się to na licznych przykładach, jak tandeciarstwo, sprzymierzone z beczelną a krzykliwą reklamą, staje do walki z firmami poważnemi, które, polegając na klienteli uczciwemi zabiegami zdobytej, początkowo z lekceważeniem, nawet z pewną pogardą patrzą na takie współzawodnictwo, ale już wkrótce na stanie interesów uczuwają niebezpieczeństwo. Wierne naśladownictwo zewnętrznej formy, czy to samego towaru, który już zdobył sobie więtość, czy tylko jego opakowania, z małym znizieniem ceny przy nierównie znaczniejszym pogorszeniu gatunku, przybieranie firm i godeł, które tylko nieznaczną, na pierwszy rzut wcale nie uderzającą, zmianą różnią się od innych, już dobrze znanych, a przytem poważanych, i z tego powodu z łatwością mogą obalamucać niedość uważnych kupujących, fingowanie wyprzedzaży po wrzekomo znizonej cenie, lub innych na łatwowierność obliczonych okoliczności, które miały-by uzasadniać wrzekome nadzwyczajne opusty w cenie i t. d., oto próbki tych sztuczek nierzetelnej konkurencji, która dziś, jak rak, rozsiadła się wszędzie, nawet na takich zdrowych organizmach, do jakich nie bez racy zaliczał siebie zawsze francuski świat kupiecki.

Szereg projektów ustawodawczych, wniesionych do kilku parlamentów europejskich właśnie w ostatnich czasach, i obfita bieżąca literatura prawnicza na ten temat, świadczą wymownie, że zaradzenie

złemu w powyższym kierunku bardzo zaprzęta uwagę kół, powołanych do działania, i że, mimo usilnych starań w tej mierze, cel jest bardzo trudny do osiągnięcia. Ktoby chciał mieć dokładniejsze wyobrażenie o tych trudnościach, poinformować się może z dwóch premiowanych na konkursie rozpraw niemieckich (d-ra Alfreda Simona i d-ra Teodora Weissa), pod identycznym tytułem: *Die Concurrence deloyale, ihr Begriff und ihre Behandlung im Civil- und Strafrecht*. Rzecz rozdrabia się tam na mnóstwo przykładów i szczegółów, a mimo ich ściślego zestawienia rezultat wypadł dość mizernie, gdyż autorowie nie doszli w końcu do takiego zasadniczego określenia podstawy, aby na niej oprzeć można było jednolity systemat odszkodowań i kar, jako środków zapobiegających grasowaniu nierzetelnej konkurencji.

Jak w ochronie praw autorskich, tak i w sprawie ochrony tych interesów, które, opierając się na uczciwie zdobytej wziętości i pozyskanej klienteli, powinny-by uchodzić za rodzaj indywidualnej własności, prawo nowoczesne, nie mogąc się wznieść po-nad fundamentalne rzymskie pojęcia prawne i oryginalnymi definicjami objąć sfery interesów, nieznanym prawnikom rzymskim, jest niemal bezradne i dla tego gubi się w szczegółach z obserwacji zebranych, do których chciało-by środki niejako mechanicznie dopasować. Czasem i ta droga wiedzie do celu, ale na widowni obrotu dzisiejszego, zwłaszcza w powyżej wskazanym zakresie, rzecz to bardzo trudna. Już w chwili bowiem, gdy ustawodawca dobiera z arsenału swojego broni, którą zwalczyć zamierza pewne pozytywnie określone objawy złego, nieuczciwości i zła wiara mają obmyślane sposoby obejścia rygoru prawnego i nowe środki prowadzenia walki.

Tak się ma rzecz i z obecnie przygotowywanymi projektami ustawodawczymi, z tego szczególnie powodu, że na pierwszym planie stoi nie zasadniczo pojmowana osłona dobrej wiary, lecz zawsze jeszcze najszersza swoboda obrotu i nieograniczona wolność konkurencji, którą chciano-by ścieśnić tylko pod naciskiem nieprzepartej konieczności i jedynie w stopniu, ściśle zastosowanym do spostrzeżeń danej chwili. Gdyby przynajmniej zapanowała stanowczość i jasność w tych teoretycznych rozbiórach kwestyi, w jakim zakresie i jakimi środkami prawo ma zasłonić uczciwość i dobrą wiarę w świecie obrotowym przed nierzetelną konkurencją. Świat kupiecki mógł-by jednak dotąd jeszcze z żalem powiedzieć, że zanim zejdzie słońce ustawodawczej akcji zaradczej, rosa nieuczciwości i złej wiary wyżre oczy!

Od tych definicyjnych, wogóle teoretycznych, zachodów niemieckiego świata prawniczego dziwnie odbija przykład Francji, której inicjatywa w rozpoczęciu kampanii prawnej przeciw nierzetelnej konkurencji już w tem się uwydatnia, że niemieccy prawnicy, jak świad-

czą tytuły obu powyżej przytoczonych rozpraw konkursowych, posługują się francuskim terminem (*la concurrence deloyale*) i to nietylko w tytułach, lecz i w tekście, tak, jak gdyby uważali to—w czem zresztą nawet mają rację—za najtrafniejsze i najzrozumialsze dla ogółu określenie rzeczy. Dopiero w ostatnich czasach dla honoru narodowej terminologii zaczęły się w Niemczech ustalać terminy niemieckie (*unlauterer* lub *unredlicher Wettbewerb*).

Dlaczego z Francyi wyszła inicjatywa i dla czego stamtąd czerpane są dziś głównie przykłady praktyczne, a nawet poglądy teoretyczne w tej mierze? Nie jest to przypadek, lecz wynik tego faktu znamiennego, że nie teoria prawna rozpoczęła we Francyi akcję prawną, lecz praktyka sądowa. Niema tam bowiem zamkniętej w paragrafie definicyi *de la concurrence deloyale*, ale swobodne w swojej akcji sądownictwo francuskie nie czekało na teorię, żeby ona dopiero ukuła taką definicyę i przyczepiła do niej środki zaradcze, lecz samo poszło drogą szerszej, w ducha prawa materialnego sięgającej, interpretacyi, i wyświadczyło tem interesom francuskiego obrotu nieskończenie większą przysługę, aniżeli wszystkie dotychczasowe pomysły niemieckiego pedantyzmu i doktrynerstwa.

Czy w tym fakcie nie należy upatrywać wskazówki głębszego i ogólnego znaczenia, mianowicie tej, że punkt ciężkości reform prawnych w powyższym rodzaju i w kwestyach pokrewnych, z równie wątpliwymi liniami granicznymi czysto prawnej i moralnej sfery, spoczywa dziś poniekąd więcej w prawie moralnem, aniżeli materialnem, więcej w odpowiedniej duchowi i potrzebom czasu reformie sądownictwa i postępowania procesowego, aniżeli w takim uzupełnieniu prawa materialnego, aby sędzia automatyczny, skrępowany w swojej działalności subtelnym formalizmem, postępować musiał niewolniczo krokiem paragrafowo miarowym, bez swobody ruchow, a tem samem bez tego szerszego widnokregu, który-by obejmował także względy słuszności i godziwości, dyktowane głosem sumienia? Czy takie myśli ogólne nie muszą się nasuwać na widok sztywności prawa materialnego, którego szybkie, do potrzeb bieżącej chwili zastosowywane, więc gorączkowe, przekształcenie jest niemożliwe, a zmiana nawet w dłuższych okresach czasu natrafia, pomimo wszelkiego nacisku stonsunków, na tak nieprzewyciężone trudności, jak np. w Niemczech ułożenie nowego kodeksu cywilnego, zadekretowane uroczyście zaraz po obwołaniu cesarstwa, a niedokonane dotąd po upływie 25 lat od uchwały ciała reprezentacyjnego? Gdyby nawet wiek nasz posiadał więcej zdolności ustawodawczej, aniżeli w swoim czasie przyznał Savigny ku zgorszeniu patryotycznemu niemieckich prawników, a jednak, jak się dotąd pokazało, całkiem słusznie, i gdyby nowoczesny ustawodawca

parlamentarny nie był tak nieporadny, czy nawet nieudolny, jak jest rzeczywiście, to zawsze jeszcze pamiętać trzeba o tem, że w okresie prawdziwych cudów techniki obrót i wogóle wszystkie stosunki rozgądzają się, komplikują i zmieniają formy z tak gorączkową szybkością, z jaką rozwój prawa pozytywnego z natury rzeczy nigdy odbywać się nie może. Obecnie elektryka ruguje parę, jako siłę poruszającą, a o jutrze pewni postępu swojej wiedzy technicy mówią tak, jak gdyby zawitać miał dziś nawet dla wyobraźni nieprzystępny okres ewolucyjny. Ile luk powstanie znówu w prawie, ile kwestyi otwartych dla teoryi i dla — szalbierstwa konkurencyjnego.

W takich czasach dzisiejszy typ sądownictwa ociążonego i formalizmem skrępowanego przyczynia się może znacznie do pogorszenia sytuacji, do zaostrzenia niezgodności lub niedostateczności prawa pozytywnego wobec potrzeb chwili bieżącej. A tymczasem, na nieszczęście, dotąd jeszcze świat prawniczy patrzy, jak się to na każdym kroku pokazuje, z pewnem zawodowem uprzedzeniem i niechętnie na wszelkie pomysły rozwinięcia i wzmocnienia wyższą powagą takiego, dzisiejszemu okresowi szybkich zmian i skocznego rozwoju stosunków odpowiadającego, typu sądownictwa, jakim były-by w pewnych zakresach interesów, a przede wszystkim w dziedzinie obrotu nowoczesnego, sądy pokoju, polubowne, rozjemcze i t. p.

Jest to tylko myśl, rzucona mimochodem, której rozwinięcie wymagało-by osobnego i to fachowego studyum. Nawet na szerszą dygręsyę w tej mierze niema miejsca w szkicu niniejszym, na pogadankę tylko zakrojonym.

*

*

*

W tych wszystkich medytacyach i projektach prawników na temat nierzetelnej konkurencyi uderza jeszcze to, że po-za kola bezpośrednio interesowane nie zwraca się ich uwaga, przynajmniej nie w takim stopniu, jakby tego oczekiwać wypadało, jeżeli już nie ze względu na tę, zewsząd wyzyskiwaną i w takiej bezwzględnej walce konkurencyjnej na pastwę szarlataneryi i szalbierstwu wydaną publiczność, to przynajmniej z zasadniczych powodów, które tutaj w grę wchodzi i dla teoretyka obojętne być nie mogą. Przecież dobra wiara, jako dobro moralne wysokiego a ogólnego dla całego społeczeństwa znaczenia, zasługuje na osłonę prawa tak samo, jak inne dobra moralne, których od obrażenia strzeże prawo w interesie publicznym. A jak dziś ta dobra wiara jest narażana i obrażana na każdym kroku z widoczną szkodą dla łatwowernej publiczności przez te nieuczciwe, co najmniej

podstępne, zabiegi kupców, przemysłowców, wogóle przedsiębiorców, starających się z bezwzględnym współzawodnictwem wprowadzić jak największą ofiar w zastawione sidła!

Trzeba-by koniecznie wysunąć granice oszustwa o tyle naprzód, aby w jego obręb wpadały także i takie zabiegi oszukańcze, jak powyższe, przynajmniej wtedy, gdy tak znamiona zdrożne, jak i szkoda wyrządzona, wymagają ostrzejszej repressyi. Myśl ta może być niepopularna, bo jest to w każdym razie nie dobry symptomat czasów, jeżeli granice karno-prawne, zamiast zwięzać się, jakby tego po nieprzerwanym postępie cywilizacyjnym oczekiwać należało, okazują się za ciasne. Cóż począć jednak, jeżeli ów postęp, jak wszystko na świecie, ma także ujemną stronę, jeżeli zło, ów Proteusz, zmieniający nieustannie oblicze swoje, skorzystawszy z wielu zbiegających się przychylnych okoliczności, zaczyna się szastać tam, gdzie go dotąd nie widziano? Chyba rozbudzenie silnej a jednolitej reakcyi społecznej, której Kohler w rozprawie swojej porucza pomocniczą rolę zaradcą wobec prawa, mogło-by uwolnić prawo karne od powyższej niemiłej ewentualności. Byłby to niezawodnie środek najlepszy, a że doprowadził-by on do celu, o tem przekonać się można z rezultatów, osiągniętych tam, gdzie rozwinęła się taka reakcja, niestety, dopiero na tle rozbudzonego silnie prądu antysemitckiego. Ale reakcja pożądana nie zbiega się z owym prądem, nie zostaje w nim wyczerpana i wcale nie zyskuje na tem mimowolnem przymierzu, gdyż, mówiąc otwarcie, tylko zaślepionym aktorom ruchu antysemitckiego może się wydawać, że zło, o którym tutaj mówimy, jest wyłączną specjalnością semickiego ducha spekulacyjnego. Sięga ono z pewnością nierównie dalej, więc i owa reakcja społeczna musiała-by zakreślić sobie nierównie szersze koło.

Co się mówi tak często z pewną przesadą o wszechwładnej potędze prasy w czasach dzisiejszych, ma w tej, poza sferą polityczną leżącej, dziedzinie interesów niezaprzeczone a realne znaczenie. Ile dobrego mogła-by prasa zdziałać tutaj dla podniesienia, a przynajmniej osłaniania dobrej wiary, ile złego mogła-by odwrócić, gdyby, nie zapominając zresztą nawet o przedsiębiorczej stronie każdego wydawnictwa dziennikarskiego, jako kwestyi bytu, nie zapomniała także i o tem zupełnie, że na pielęgnowaniu przedsiębiorczej strony nie powinno ponosić uszczerbku jedno z głównych zadań prasy, jakim jest niezawodnie należyta informacja czytelników. Mamy tu na myśli dział inserratów, o którym utarło się zdanie, że jest wyjęty z pod kontroli i odpowiedzialności, nawet moralnej, redakcyi, że stanowi niejako omnibus, do którego za uiszczeniem taryfowej opłaty wsiadać wolno każdemu bez obowiązku legitymacyjnego. Zgoda na to, że nie potrzeba ścisłej moralnej legitymacyi, ale niechby przynajmniej wzbroniony był

wstęp indywiduom, z których powierzchowności już przebija, że są rzeźmieszkami lub nawet bandytami nowoczesnego kroju i że wsiadają do tego omnibusu inseratowego w niegodziwych zamiarach, za które pewna odpowiedzialność spadać musi przecież i na tego, kto w jakikolwiek sposób umożliwił lub ułatwił ich spełnienie. A popatrzmy tylko bezstronnie na ten dział inserratowy prasy europejskiej, na ten omnibus codziennie po brzegi wypełniony. Ilu tam siedzi obdartusów i rzeźmieszków, którym już z oczu patrzy niegodziwość, którzy kogoś skrzywdzą niezawodnie, chociaż-by tylko w tym omnibusie jedną stację przejechać mieli, t. j. ograniczyli się na jednorazowym ogłoszeniu inserratu, na jednorazowym zastawieniu połapki inserratowej.

Jak miała-by wyglądać taka kontrola bez uszczerbku dla przedsiębiorczej strony wydawnictwa, to stanowi kwestyę otwartą, wymagającą odrębnego rozbioru. Tutaj chodzi tylko o stwierdzenie, że potrzeba takiej kontroli zachodzi rzeczywiście, że w miarę wzrostu znaczenia prasy i zaniku dobrej wiary jest ona w sferze interesów obrotowych coraz pilniejsza. Może jednak to wszystko, cośmy o złem powiedzieli, jest przesadą, a wskutek tego pretensya ta wobec prasy wyda się dziką? To już nie kwestya teoretyczna, nad którą trzeba-by staczać wystudyowane dysputy z wyrozumowanemi argumentami *pro* i *contra*, to kwestya obserwacyi i doświadczeń, które każdemu pozwalają uwagi nasze sprawdzić i ową pretensyę do prasy ocenić. Jedno tylko zastrzeżenie jest tutaj niezbędne. Obserwacya, jako podstawa sądu, nie powinna ograniczać się do czytelników wielkomięjskich, przeglądających tuzin dzienników w jednej chwili, aby przelotnie pochwytać najświeższe wiadomości i najciekawsze zapiski, a znających się dobrze z codziennej praktyki na sztuczkach inserratowej reklamy i humbugu. Trzeba pamiętać głównie o tych czytelnikach zaściankowych, co to otrzymują dzienniki często dopiero za drugiej lub trzeciej ręki, a biorą się do ich czytania z równem nabożeństwem, jak do czytania książki. Taki czytelnik zaczyna od wstępnego artykułu, a nie jak mieszczuch, od telegramów, czyta wszystko aż do ostatniego wiersza inserratowego, jeżeli nie z równem zajęciem, to z tem przekonaniem, że „co stoi w gazetach“, nie może być prostem kłamstwem lub błagą, na łatwowiernych głupców obliczoną. Takiego naiwnego czytelnika u nas dziś jeszcze nie można uważać, przynajmniej nie wszędzie, za typ już przeżyty. Jeżeli nawet połapał się już na tem, że dziś polityka nie jest zbyt skrupulatna w swoich względach na prawdę, a dziennik w traktowaniu rzeczy politycznych nie może pomijać nawet wierutnych nieprawdopodobieństw, które flukta ruchliwego prądu politycznego na powierzchnię wyrzuciły, to nie zasłania go to jeszcze dostatecznie wobec reklamy inserratowej, obliczonej na proste oszuki-

wanie łatwowiernych. Gdyby tutaj przynajmniej dotkliwe doświadczenie jednego wychodziło, jak w innych wypadkach, na korzyść drugich, jako zbawienne ostrzeżenie! Zdarza się to bardzo rzadko, bo najczęściej oszukany wstydzi się lekcyi otrzymanej i ukrywa swoją deceptycę. Gdyby to jaki dziennik urządził na sposób francuski ankietę w tej sprawie w gronie swoich czytelników! Otrzymał-by niezawodnie mnóstwo zażaleń na ten lub ów oszukańczy inserrat, byle tylko nie wymagał od żalących się a zawstydzonych wyjawiania nazwiska!

Mogło-by się wydawać, że wchodzimy w drobiazgi, z których nie godzi się wysnuwać wniosków o podkopaniu dobrej wiary w dzisiejszych czasach wogóle. Ale najpierw drobiazgami nie są wcale krzywdy tego rodzaju biednych ludzi, a powtóre, jeżeli to miało być drobiazgiem, to można wejść na szerszą widownię i przekonać się, że i tamten symptomat czasów dzisiejszych występuje na jaw w sposób znaczący. Weźmy np. dyplomację, posiadającą już z natury rzeczy takie rozległe, a uznane uprawnienie do zbaczania z drogi szczerości i otwartości, że nikt nie gorszy się nawet znanym paradoksem Talleyranda, iż mowa daną jest człowiekowi na to, aby mógł myśli ukrywać. W dyplomacyi skrytości nie można uważać za złą wiarę, tak samo, jak złą wiarą nie jest ukrywanie planów przemysłowo-spekulacyjnych, dopoki chodzi o sekret, przez własny interes dyktowany, ale nie obliczony na wprowadzenie w błąd interesowanych z ich szkodą widoczną. Tymczasem dyplomacya w naszych czasach właśnie posunęła się w osobie najgenialniejszego reprezentanta swojego, Bismarcka, daleko po-za dotychczasową granicę, tak daleko, jak spekulant, wysnuwający z prawa ukrywania własnych planów i rachub prawo okłamywania drugich z otwartym zamiarem oszukańczym i ze świadomością, że tem drugiego na szkodę wystawia. Czyż nie świadczy o tem dosadnie np. słynna depesza emska z r. 1870, wielkie fałszerstwo historyczne, w którem przez nieznaczną, ale z wyrafinowanym podstępem dokonaną, zmianę, Francya popchnięta została do wypowiedzenia wielkiej wojny i do wielkiej katastrofy? A cała ta gra parlamentarna ks. Bismarcka ze stronnictwami, które po kolei okłamywał i w pole wprowadzał, stosownie do celów danej chwili, raz zarzekając się wędrówki do Canossy, a wkrótce potem szukając w Canossie ocalenia wśród nadzwyczajnych trudności społeczno-politycznych. Co ks. Bismarck pozwał sobie z brutalną otwartością i prawdziwym cynizmem politycznym, to inni tuzinkowi mężowie stanu dzisiejszej doby czynią wstydliwie i z przestrzeganiem jakich takich pozorów godziwości, ale za to z mniejszym sukcesem i w sprawach mniej głośniejszych. Swoją drogą także i stronnictwa parlamentarne poduczyły się tej metody, i wskutek tego systemat parlamentarny zakrawa czasem na parodję tego, czem

miał by być w polityce z założenia swojego, t. j. systematu jawności, otwartości i dobrej wiary.

A gdybyśmy jeszcze w tej pośpiesznej wędrówce z jednego pola na drugie zwrócili się ku dzisiejszemu życiu towarzyskiemu wogóle? Czy z tego punktu obserwacyjnego promienny ideał dobrej wiary nie wydaje się być zastonionym lub co najmniej zamglonym szarą smugą fałszu i perfidy, jak w świecie obrotowych i wogóle gospodarczych interesów, jak w świecie dyplomacji i polityki? Tutaj mogli-byśmy odpowiedzieć szeregiem świetnych cytat z pism Tarde'a o wielkiej ewolucji kłamstwa w dzisiejszej dobie cywilizacyjnej. Wolimy jednak tylko krótko odesłać czytelnika do tego źródła, bo i on, i autor najlepiej wyjdą na tem, jeżeli powyższe pytanie pozostawimy bez wyraźnie sformułowanej odpowiedzi, a raczej jeżeli odpowiedź pozostawimy każdemu czytającemu. Pod tym względem swoboda obserwacji i subiektywizm w ocenianiu stanu rzeczy mają takie szerokie pole, a punkta obserwacyjne jednostek tak się mogą rozbiegać, że od dalszych uwag powstrzymuje autora obawa, aby nie popadł w jakie nieporozumienie z tymi czytelnikami, z którymi dotąd w harmonii pozostawał. A w dodatku sam temat nie wymaga wcale zboczenia na to ostatnie pole, gdyż, jak już na wstępie zaznaczyliśmy, chodziło nam głównie o stosunki nowoczesnego obrotu i o te reformy ustawodawcze, o które świat interesowany tak głośno się dziś upomina.

Obraz tych stosunków i stan prac przygotowawczych nie jest wcale różowy, ale z tego nie wypływa jeszcze, aby to miało być znamieniem takiego upadku moralnych czynników w prawie i życiu, którego-by nie można było już ani uchylić, ani powstrzymać. Prawo tylko tam, gdzie podejmuje zadania twórczo-organizacyjne, może do pewnego stopnia wyprzedzać rozwój stosunków, torując mu drogę albo wytykając kierunek, a gdzie chodzi o zaradzenie potrzebom uczuwanym, zwłaszcza o zaradzenie złym objawom, o poskromienie złego, tam nie wyprzedza ono tego rozwoju, lecz w najlepszym razie postępuje z nim równym krokiem, jak cień z człowiekiem idącym. Obrót dzisiejszy stanowi niezawodnie wielkie dobro, ale obciążone wielu ujemnymi stronami, o których w pierwszej chwili za mało myślano, dobro, które, nieogłędnie wyzyskiwane, może przynieść społeczeństwu niejedną szkodę. Gdyby takie nieogłędne, a wskutek tego ze szkodą połączone, wyzyskiwanie jakiegokolwiek dobra, miało zasadniczo kwestyonować jego wartość wogóle, to jak obrotowi, który w nadużyciach umożliwił podstępowi, oszustwu i t. d. utworzenie sobie nowych krętych ścieżek i kryjówek, wypadło-by chyba złożyć także wielu z tych nadzwyczaj ważnych wynalazków i kreacji (np. maszyny pa-

rowe, materiały wybuchowe i t. d), któremi technika w ostatnich czasach postęp materyalny ludzkości tak potężnie naprzód popchnęła.

Dla życia gospodarczego obrót dzisiejszy stanowi taką ewolucyę, jak koleje żelazne dla lokomocyi. Analogię tę można rozszerzyć także na stosunki powyżej omówione. Podróż koleją żelazną jest nie tylko niesłychanie przyspieszona, lecz nadto bezpieczniejsza w porównaniu z dawną długą i ciężką przeprawą kołową po bezludnych drogach. Chyba gdzie w Ameryce jeszcze obawiać się dziś można napadu opryszków na pociąg kolejowy. Za to jednak w samym sercu cywilizowanej Europy, na dworcach miast stołecznych, podróżny na samym wjeździe spotyka się dziś z tem fatalnem, w różnych językach jednakowo sformułowanem, przypomnieniem: ostrzega się każdego przed złodziejami kieszonkowymi! Także i w dzisiejszej pośpiesznej podróży obrotowej interesów bezpieczeństwo jest pod wielu względami bez porównania większe, aniżeli w przebytych już okresach rozwoju prawnego i ekonomicznego. Ale i tutaj potrzebne są ostrzeżenia przed złodziejami kieszonkowymi, przed rzezimieszkami nowego typu, nastawiającymi sidła na dobrą wiarę. Ostrzeżeniami takimi były-by tutaj owe ustawy specjalne, o jakie się dziś w Niemczech, Austrii i t. d. upomina świat przemysłowy i kupiecki wobec nadużyć niezdrowej i nieuczciwej konkurencyi. Ustawy takie nie zdołają, jak to już podnieśliśmy, ani przewidzieć, ani objąć wszystkich możliwych wypadków złego, które poskromić trzeba, tak samo, jak policya miast stołecznych nie jest zdolna wyłowić na ożywionych dworcach kolejowych wszystkich rzezimieszków. Ale jak policya nieustannie doskonali swoje środki walki z owymi kieszonkowymi złodziejami i apelluje do pomocy samej publiczności, tak ustawodawstwo w osłanianiu dobrej wiary i uczciwości w obrocie musi ciągle myśleć o doskonaleniu środków walki z rzezimieszkami obrotowymi i, nie zapominając o idealach etycznych, apellować do samego społeczeństwa, aby z reakcyą swoją pośpieszyło w pomoc. Ustawy specjalne, normujące rygor karny na polu obrotowem, będą w najgorszym razie przynajmniej ostrzeżeniem tak dla samych podróżnych, jak i dla rzezimieszków, t. j. tak dla ludzi, zanadto polegających na dobrej wierze, jak i dla tych, którzy jej nieuczciwie nadużywają. Społeczeństwo przyjmie już i te ostrzeżenia z wdzięcznością, chociaż nigdy nie zrezygnuje wobec prawa z pretensyi do zasadniczej moralnej assanacyi stosunków w zakresie powyżej wskazanym.

ZE STOSUNKÓW RODZINNYCH

Juliusza Słowackiego.

Wydane tu po raz pierwszy listy Juliusza i jego matki, zawdzięczają czytelnicy Dr. J. Korzeniowskiemu, naczelnikowi stacyi naukowej w Paryżu, i panu Łukaszewiczowi, ostatniemu członkowi rodziny poety, którzy pozwolili na ogłoszenie tych pamiątek. Zaczynamy od najwcześniejszego: listu Juliusza Słowackiego do Hipolita Błotnickiego, nauczyciela z lat najmłodszych poety. Autograf listu jest własnością zaszczytnie znanego pisarza, Ludomira Gadona w Paryżu.

Kochany Błotnicki.

Posyłam ci rzeczy, przeznaczone przez damy florenckie dla bazaru polskiego w Paryżu, racz je złożyć Księżnie (Czartoryskiej). Spodziewam się, że się znajdzie regiestrzyk w listach, które ci wczoraj odałem.

Między rzeczami temi znajduje się tabakierka, mająca inne przeznaczenie, niż dywaniki włóczkowe, jest to dar Księżny Survilliers. (Listy Juliusza do matki, wydanie trzecie, tom II, str. 24 i 31) dla pana Niemcewicza — zapewne i o tej tabakierce znajdzie się w listach

wzmianka, inaczej wypadło-by względem tej tabakierki dokładniejszych zasięgnąć wiadomości, albowiem oddana mi była w chwili wyjazdu mego przez Hermana Potockiego, (Listy II, 22) a choć mówił mi dla kogo przeznaczona, głowę tak miałem zabałamuconą, że teraz nie jestem pewny, komu ją oddać. Zdaje mi się jednak zawsze, że Niemcewiczowi. Ściskam Cię drogi nauczycielu.

Twój Juliusz Słowacki.

N. B. Z donoszeniem o mnie Matce mojej: ostrożnie!!! albowiem lękam się, aby *ja* (tak) gorzej nie skompromitować.

Flor. Niech to będzie świadectwem mojego roztargnienia — zacząłem pisać Fiorencyą, a powinienem (niestety!) Paryż, d. 21 Grudnia 1838 r.

Adres: à Monsieur *Hippolite Błotnicki.*

Faubourg de Roule Nr. 25.

Kiedy Księżę (Czartoryski) jedzie do Londynu, donieś mi.

W autografach zakładu Ossolińskich l. 1792 mamy list J. Słowackiego do stryjecznego brata, znany w części i niedokładnie z „Gazety Codziennej“ (1860, Nr. 225). Przytaczamy go w całości z rękopisu.

14 Marca 1845 roku. Paryż.

Najukochańszy Bracie!

Ośmaście lat blisko czekałem, aż się ta dziecina, którą ja niegdyś widział na ręku piastunki, odezwie do mnie... List twój drogi mi był, ucałowałem go, jak gdyby to było czoło twoje, albowiem jak na czole człowieka, malowała się na nim męska duma, dobre serce i szczere jakieś braterstwo. Niechże ci Bóg rozjaśnia te stepowe pola, po których ty z dumą na ustach lecisz za biednym zającym, niech Ci będzie dobrze w tym domku Twoim, którego ja nie znam, lecz maluję sobie myślą, oczom duszy mojej, że jest drewniany, otoczony zielenią drzew, a cichy wewnątrz i przeświecony często strzałami brylantowego słońca... Ty masz godziny spokojne; ja, mój drogi, mam tylko uczucia wypełnianego ciągle obowiązku, a Tyś to jedyne uczuciowe szczęście pojął — boś

mi w liście wyraził, że mnie za to kochasz, i że to praca moja połowicę całej miłości braterskiej zyskała u Ciebie, do której Ty drugą połowę pokrewnej, a zawsze w szlachetnych sercach odzywającej się, miłości dodałeś... I tak całego mam w Tobie brata — na sercu Twojem nieraz oprę znużone czoło ducha mego — z ufnością myśli moje do Twojego domku poszlę w odwiedzinę. .

Duchy ojców naszych przytomne Ci były, kiedyś powziął myśl odwiedzenia Matki mojej... Oni oba wiedzą teraz i widzą i chcą związku między nami — i wiedzą, że ten tylko być może, kiedy się w bolesnem sercu tej wdowy spotkamy i umilujemy. Do niej więc zbliż się mój Władysławie, i ukochaj Ją. Bez niej, drogi mój, oto ja przez piętnaście lat walczyłbym nie o sławę imienia naszego, ale o nędzny kawałek chleba, który tu na bruku leży — błotem nieraz okryty — a jednak celem jest walki ludzi zgłodniałych. Bo wiedz, że dopiero po dziesięciu latach książki moje zaczęły, tak jak Twoje łany, ziarno mi posiane oddawać. Ona więc, mnie starego, drugi raz piersią karmiła, a cóż powiedzieć o łzach i boleści za mną uronionej... Na tę pamięć zaklinam Cię, mój Władysławie, bądź dla niej jako syn, a ja wiem, że ona będzie Ci matką. A ty przy niej, chłopcze stepowy, skraśniejesz, bo dzieci przy matkach mają rumiane twarze i rosną prędko... Co do mnie, proszę Cię, niech ja będę przytomny w domku Twoim, czy to doń szczęście, czy niepomyślność jaka zapuka. — Serce moje, które teraz dziwnie odkwitło i pełne jest miłości dla ludzi, i pełne cierpienia nad światem, wierz mi, że całe serce Twoje pojmie i z wielkiej piękności w Tobie odkrytej uraduje się... Nie zmieniaj się, bo z listu Twojego i z poezji Twoich widzę, żeś pięknym jest i wzniosłym duchem, ale rośnij... Z tych niebios szerokich, nad Tobą rozwieszonych, pij Boga, i tym Bogiem, w siebie wetchniętym, działaj. Niechaj Władysławem otchniona otoczy Cię gromadka przyjaciół, którzy w Tobie Erazmową i Euzebiuszowską (ich ojców) razem potęgę myśli i czucia poczują, a tak dusze nasze, chociaż przestrzenią rozdzielone, zbliżą się do siebie, a nie rozłączą się na wieki... Gdybym Cię tu miał, przez ogień serca mego przepuściłbym Ciebie i stopił, jak kawał ołowiu, albo z tego uścisku oddał ludziom złotem szczerem i godnem choćby uwieczniać najwyższych świata... Daruj mi ten wykrzyknik. — Są to nieraz krzyki ducha mego, kiedy walczy ze światowej formy oporem ..

Twój Juliusz.

Władysław Słowacki, do którego ten list pisany, urodził się 5 listopada 1826 r. we wsi Iliaszówce, w okolicy Żytomierza, z ojca Erazma i matki Anny z Rohozińskich Słowackich, a umarł 16 kwietnia

1858 r. Erazm Słowacki, rodzony brat Euzebiusza, ojca Juliusza, członek Izby kryminalnej od wyborów, mieszkał w Żytomierzu, w ustronnym domku, położonym pośród ogrodu, zacienionego odwiecznymi lipami. Staruszek, aspirując do zawodu poetyckiego, tradycyjnego niejako w rodzinie Słowackich od 16 wieku — pisał wiele, próbując formy dramatycznej, lecz rzeczy te nie ukazały się w druku. Natomiast uwiecznił dwuwierszowemi sentencyjami wszystkie ławki swego ogrodu — i patronował amatorskim teatrykom, ale przedewszystkiem zajmował się gorliwie wychowaniem syna, jedynaka Władysława. Wkorzeniło się od dawna między naszą szlachtą przekonanie, że panicz „dobrze urodzony” nie potrzebował nauki, ani zawodu, bo był od pieluch geniuszem... Władysław, zawcześnie straciwszy ojca, korzystał z tej niezależności i wylał się na życie hulaszczce, „kozacze”: koń, burka i step stały się jego ideałami, a chwilowy kierunek naszej poezyi ukraińskiej usprawiedliwiał i podsyczał te rojenia młodej głowy. Zamiast cichej pracy ducha i przyjaciół, jakich mu życzył Juliusz, otoczyło go towarzystwo „złotej młodzieży” i zmroziło swą atmosferą pierwsze, najgorętsze uczucia. Pośród chaosu drobnych uciech, na jakie się rozbiły, nie mogły się oddziedziczone zdolności jego rozwinąć, i oskrzydlić. W tych warunkach pióro, lekkomyślnie chwyczone, mogło tylko notować zygzaki samopas leżącej myśli i marnotrawionego uczucia. I w tych utworach jednak widue iskry talentu, przytłumione narciskiem fałszywych, dotąd, niestety, popularnych wyobrażeń tej klasy społecznej (obywateli ziemskich), do których się zaliczał Władysław. Można-by powtórzyć o nim to, co sam o sobie wyśpiewał pod koniec życia:

„Zmierzcha dzień mego żywota,
 „Oj jesienny był to dzień!
 „Trochę mgły i wiele błota...
 „Czyż nie miłszy nocy cień?

W „Ukrainkach” gra na teorbanie Bohdana Zaleskiego, ale z szerokiego stepu zalatuje doń czasem smutna nuta pieśni ludowej. W powiastce romantycznej: „Uścisk trupa”, młody bohater, rżąc o wysokich celach przyjaciela ludzkości, ginie w pojedynku z powodu intrygi miłosnej, w którą się zaplątał. Jako myśl ostatnią, wkłada mu autor następujące zdanie: to kara sprawiedliwa — kapłan ludu, jak kapłan wiary, nie powinien przykuwać się do ziemi łańcuchem osobistego uczucia, bo zginie i śmierć jego nie będzie miała nawet zasługi męczeństwa.

(Jan Prusinowski: Jeszcze słówko o J. Słowackim i próbki pism Władysława Słowackiego, Gazeta codzienna J. I. Kraszewskiego z 16 (28) sierpnia 1860 r., Nr. 225).

W literaturze zostawił po sobie jedyną pamiątkę: zbiorek nowel, ogłoszonych p. t. „Narracye”, na dwa lata przed śmiercią Juliusza. Młodego autora powitał J. I. Kraszewski ostrą ale sprawiedliwą krytyką w Tygodniku petersburskim (z 19 (31) lipca 1849 roku, str. 336), zarzucając mu słusnie zepsucie języka ojczystego obcemi wyrazami i styl sfrancuziały, ale widząc w nim prawdziwy talent powieściowy, wychodzący po za granice przeciętnych pisarzy. W istocie jest w tej książce, pomimo dziwacznej pstrokacizny języka, iskra talentu Bożego. Obrazki Słowackiego drobne, ale starannie wykończone, tak są lekkie i wiotkie, że się kołyszają, jak na pajęczej niteczce. Wszystkie jego opowiadania, niektóre nie bez wdzięku poezyi, obracają się około kobiety. Znać tu młodzieńca i romantyka. Dla niego kobieta jest jeszcze całym światem, jedyną tajemnicą ducha. W powiastce „Szósty zmysł” gra główną rolę rączka; w „Trzech pocałunkach” jej ramię, a wyrazy „rozkoszy” wracają nieustannie pod jego pióro. W ogóle jest w obrazach więcej ramion, piersi, kształtów, niż myśli... Obrazki te nadto są rozdrobione może, a niektóre, jak bańki mydlane, w środku próżne, ale jak one połyskują czasem wszystkiemi barwami tęczy, wypracowane, wychuchane, wypieszczone jak cacka.

W bezimiennym artykule p. t. Rodzina poetów, umieszczonym w „Końku rodzinnem” (Lwów, 4 września 1860 r., Nr. 27, str. 385) tak opisano Bajronistę pod koniec życia: Przed 1858 r. widywano na ulicach lwiego grodu młodego mężczyznę o twarzy przerażającej bladeści i dziwnego na niej rozstroju. Głęboko osadzone oko patrzyło na świat z pewną obojętnością, koło ust sinych zarył się głęboko wyraz na pozór zimnej acz bolesnej ironii.

Widziano go często w kawiarni i restauracyi, dopóki nie rozeszła się wieść z Brodów, że jakiś młody podróżny życie sobie odebrał w hotelu, wystrzałem z rewolweru. Powodem samobójstwa była prawdopodobnie melancholia. (Widocznie słabość dziedziczna w rodzinia Słowackich)

Matkę Juliusza, której dwa listy, skrypt dłużny i testament tu po raz pierwszy drukujemy, znamy tylko z listów syna.

Z jedyne go obszernego nekrologu, poświęconego tej, bądź co bądź, niezwykłej kobiecie, dowiadujemy się bliższych o niej szczegółów.

Salomea z Januszewskich, pierwszego ślubu Słowacka, drugiego Bécu, urodziła się w końcu zeszłego stulecia i mieszkała z rodzicami w Krzemieńcu, gdzie ojciec jej, Teodor Januszewski, miał sobie powie-

rzony zarząd dóbr, należących do liceum wołyńskiego. Wychowana przez bogobojną matkę, która w nią najszlachetniejsze wpoila zasady, była, jak powiadają współcześni, „pociechą rodziców i ozdobą płci swojej”. W dojrzałym już wieku została żoną Euzebiusza Słowackiego, profesora literatury polskiej w Krzemieńcu, później w uniwersytecie wileńskim, i z nim zamieszkała w Wilnie. Zostawszy matką jedynego syna, Juliusza, cała się oddała jego wychowaniu. Kiedy w 1814 roku śmierć zabrała jej męża, a jednemu jej synowi ojca, ona mu była i ojcem i matką zarazem. Wróciła z nim do Krzemieńca i zamieszkała w domu rodziców, na których łonie koła boleść swoją po stracie męża. W owym czasie owdowiał August Bécu, profesor medycyny w uniwersytecie wileńskim, po śmierci żony, która mu dwie zostawiła córki. Oddany służbie publicznej, nie był w możności zająć się ich wychowaniem. Zastanawiając się nad tem, komu-by powierzyć opiekę nad sierotami, powziął za radą przyjaciół szczęśliwą myśl, aby im dać za opiekunkę tę, która tak godnie dopełniła obowiązków macierzyńskich, t. j. pojąć za żonę wdowę po Słowackim. W tym celu przybył 1817 roku z Wilna do Krzemieńca, oświadczył się i po odbytych ślubie zabrał ją z synem do Wilna.

Pani Bécu, piastując podwójne macierzyństwo, z całą gorliwością poświęciła się wychowaniu córek swego drugiego męża i stała się dla nich prawdziwą przyjaciółką. Wydała obie za mąż, jedną za profesora uniwersytetu warszawskiego, Mianowskiego, drugą za swego rodzinnego brata, Teofila Januszewskiego, malarza i obywatela ziemskiego. Pierwsza wcześniej umarła, druga, Hersylia, zostawszy bratową swej przybranej matki, nie przestawała okazywać jej tego należnego uszanowania, i jak opowiada Bolesław Dunin „czciła ją zawsze dostojnem matki imieniem”. Za pobytu jej w Wilnie, młodzież uniwersytetu miała wstęp do jej domu, w którym nieraz znajdowała macierzyńską radę i wsparcie. Owdowiawszy po raz wtóry 1824 r. po śmierci prof. Bécu, który rażony został piorunem we własnym domu, bawiła jeszcze czas niejaki w Wilnie dla wychowania syna.

Ale, gdy 1828 r. wyprawiła go dla *dla dalszego kształcenia się* do Warszawy, wróciła do Krzemieńca, do swych rodziców, których stratę oplakała łzami kochającej córki i oboje w jednym złożyła grobie. Po stracie najbliższych, jedyną jej pociechą na ziemi został syn ukochany, chluba matki i narodu.

Oddalonej miejscem pobytu od syna, były jedyną radością jego listy i wiadomości o jego powodzeniu. Jakżeż rozpromienioną była, gdy jej doniesiono, że jacyś podróżni, widząc Juliusza, zalewającego się łzami przed grobem Zbawiciela w Jerozolimie, taką czcią byli dla niego przyjęci, że, zbliżywszy się do klęczącego, zaczęli go całować po

rękach. Jakżeż rozradowało się serce macierzyńskie tej, która wlała w niego wszystkie najszlachetniejsze uczucia, która go uczyniła godnym tego uwielbienia, kiedy sława twórcy „Kordyana” i „Ojca Zadźmionych” obejmowała coraz szersze koła wielbicieli.

Uczucia matki dla Juliusza, posunięte do zupełnego zaparcia się swej osoby, odwzajemniał syn głęboką, bezgraniczną miłością.

Od pierwszego dzieciństwa swego, aż do zgonu, przez wszystkie życia koleje, czy to wzrastając pod jej okiem, czy trawiąc na wygnaniu długie lata w samotności, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłączenie i, jak powiada Małeckci, religijnie czcił i kochał. Ze szczerą ufnością dziecięcia, a potem ze swobodą przyjaciela, zwierzał się jej z każdej nadziei i pociechy, z każdej boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a czasem nawet i z szaleństw swego wrażliwego usposobienia.

Czując rozwijającą się w sobie chorobę piersiową i słabnące siły, przygotowywał ją w listach do ciosu, który niebawem miał ugodzić w jej serce. Sam ją uzbrajał w moc duszy, aby z chrześcijańską rezygnacją poddała się „wyrokom niezbadanym”. To też każdy list jego zlany był jej łzami.

Jedynem jej pragnieniem było widzieć go jeszcze przed śmiercią i choć raz jeszcze przycisnąć do łona macierzyńskiego. Pokonawszy więc wszystkie trudności, pojechała za granicę i zjechawszy się z synem we Wrocławiu, dokąd poeta przyjechał był na jej spotkanie, bawiła tam z nim dni kilkanaście w 1848 r., napawając się rozkoszą jego obecności. Z tem większym przeto żalem rozstawała się z nim, kiedy przynaglała do tego konieczność. Wróciła potem do Krzemieńca, wzmocniona na duszy tem widzeniem się z synem, a zupełnem poddaniem się woli Bożej. Żyła spokojna, choć tęskna, że razem z nim nie mogła pozostać. A kiedy, wprzód niepokojona przecuciem, odebrała wieść o jego zgonie, nikt jej łez nie widział, bo zdawało się tej matce boleści, że one obrażały Stwórcę, a razem cienie jej syna, z którym jej dusza tak ściśle była zespoloną. Zamknęła się tylko w swoim pokoju, nikogo z domowych nawet nie przypuszczając do siebie. Została samotną w boleści swojej i tę potrafiła zamknąć w sobie, a zbrojna pokorą, z jaką ten cios przyjęła, po kilku dniach dopiero ukazała się przyjaciółom, bez łzy w oku, z obliczem, na którym jaśniał tylko majestat boleści macierzyńskiej...

Od tego czasu, otoczywszy się pamiątkami zmarłego syna, w nich tylko żyła, przesiadując najchętniej przed medalionem brązowym, oddającym wiernie rysy jego postaci, a wykonanym przez Oleszczyńskiego.

Zbierała i porządkowała jego listy i pisma, odczytywała je i zagłębiała się w tych pomnikach jego myśli i serca, lecz nigdy o nim nie mówiła.

Odziedziczywszy po zmarłej ciotce swej razem z bratem Teofilem Januszewskim piękną majątność *Ubień*, niedaleko Lwowa położoną, pojechała do Galicji, gdyż formalności prawne wymagały, aby się sama tam udała dla objęcia w posiadanie dziedzictwa. Zimę całą przebyła we Lwowie, mając zaś ułatwioną najważniejszą przeszkodę, t. j. paszport, powzięła myśl odwiedzenia grobu syna, aby skropić łzami tę ziemię, na której ostatnie jego uleciało technienie, i w której spoczęły jego zwłoki. Udała się więc do Paryża, i tam pozbierawszy wszystkie pozostałe po nim pamiątki i postawiwszy mu piękny pomnik na grobie, kazała zdjąć z niego dagerotyp, dla rozdania na pamiątkę krewnym i przyjaciółom. Wróciła do Krzemieńca, i tam do końca życia mieszkając, żyła skromnie, poświęcając dochody swe na cele dobroczynne. Wspierała wdowy i sieroty. W roku 1855, dotknięta grasującą w tym czasie w całej Europie cholera, czując zbliżający się koniec życia, zrobiła z zupełną przytomnością umysłu rozporządzenie majątku. Część, pozostałą po pierwszym mężu, Euzebiuszu Słowackim, przekazała jego krewnym; to, co miała po rodzicach, przeznaczyła synowi młodszego brata (podobno Stanisławowi, synowi Jana Januszewskiego); to zaś, co oszczędziła z swoich dochodów, oddała na cele dobroczynne, jakby na uwieńczenie pasma dobrych uczynków. Tak uspokojona w swoich obowiązkach, oczekiwała ostatniej życia chwili.

Wiść o jej chorobie, jak błyskawica, obiegła miasto. Przyjaciele i znajomi zbiegli się do jej łoża, niosąc ratunek, jaki był tylko możliwy. Nic nie pomogło. Umarła 26 lipca 1855 r. (Bolesław Dunin, Rz... W Sielcu, Dziennik literacki, 1856 r., Nr. 29, str. 231 — 2).

Rok 1855 zabrał wiele ofiar literaturze. 7 lipca t. r. umarł we wsi Kochaczynie, blisko Orszy, Tomasz Zan; 19 października w Petersburgu, ks. Ignacy Hołowiński, autor Pielgrzymki do ziemi św. i pierwszy tłumacz Szekspira; 26 listopada A. Mickiewicz.

16 sierpnia zakończył życie na Podolu w Kuryłówce Józef Jeżowski, profesor filologii klasycznej na uniwersytecie moskiewskim.

5 czerwca w Krakowie, Zygmunt Anczyc, artysta dramatyczny i tłumacz, tudzież wielu innych.

Przytoczone tu z autografów bibl. Ossolińskich listy matki Juliusza, pisane są znaną mi z dopisków na Listach Juliusza ręką, pisownią dawniejszą. (Jotę zastępuje jeszcze *i* lub *y*, np. korzystaiąc, lepiey.

W siódmym przypadku przymiotników i zaimków, na rodzaj nijaki, mamy końcówkę *ym* nie *em*, np. o czym rozpocząć, a równocześnie „przy tem liście”. Pisownię „bydź” podściwy i t. p. Spotykamy w nich zwykłe ówczesnych kobiet grzeszki gramatyczne. Pani Bécu pisze stale ludzko (ą), pozostało (ą). nastompi (nastąpi), późni (później).

Autograf listu matki z marca 1850 r., złożony pod Nr. 2852, ma format większego kwartantu (25 cm. długości i 19½ cm. szerokości, siwy papier z wodnym herbem u góry po lewej stronie i napisem „Paris”. Adres znajduje się na czwartej stronie listu, służącej za kopertę, przypiętą różowym lakiem. Autograf Nr. 2853 (list z lutego 1850 r.) w formacie ósemki o 19½ długości i 12⅓ szerokości, papier jak powyższy, złożony tylko z połowy poprzedniego arkusza, z napisem rossyjskim obcej ręki i kopertą z pięcioma pieczęciami.

Listy Salomei Bécu do Teodora Łukaszewicza.

Krzemieniec 13 lutego 1850.

Odbieram list Twój, kochany Teodorze, i spieszę dogodzić żądaniu Twemu, posyłając Ci pięćdziesiąt rubli srebrnych, abyś miał o czem rozpocząć zawód w służbie rządowej, i nie wątpię, że mając poczciwe serce i szczerą chęć pracowania, potrafisz zjednać sobie przychyłość i pomoc ludzką i błogosławieństwo Boże. Może też korzystając jeszcze z drogi sannej, przyjedziecie do mnie z Władysławem (Słowackim), a miło mi będzie widzieć Was obuch i poznać lepiej, gdyż bracia Juliusza nie mogą mi być nigdy obojętni. Szczerze Ci życzliwa

S. Becu.

Pozdrów odemnie, proszę — Władysławowstwo. — Niedawno pisałam do niego, że odebrałam część rzeczy, które mi przysłał, i chciałabym mieć i resztę pozostałą u niego. Jeżeli zaś nie możecie przyjechać, to mi piszcie o sobie i Waszem powodzeniu, czy Władysławowie mają dzieci i t. p.

Wszakże nietylko pomiędzy rodzeństwem, ale wszyscyśmy sobie winni w prawdziwej potrzebie pomoc. Bądź tylko poczciwym, skromnym i pracowitym, a Bóg i ludzie dopomogą ci niezawodnie. Posyłam Ci teraz piętnaście rubli srebrnych, abyś miał o czem pojechać do Żytomierza i tam odebrać pięćdziesiąt posłanych. Pozdrów Władysławowstwo ode mnie. Słyszałam o niej, że dobra kobieta. — Niech więc Wam Bóg błogosławi. Kochajcie się, wspierajcie się, a jakos to

będzie, Bóg nie opuszcza dobrych. Bądźcie zdrowi, szczęśliwi. Felicję, siostrę Łukaszewicza, pozdrów także odemnie, jak ją zobaczysz.

Życzliwa Wam

S. Becu.

Władysław niech mi odeśle książeczkę pozostałą, a ja mu za to później przysię kompletne.

Adres: A Monsieur Théodore Łukaszewicz à Drenniki.

Krzemieniec 22 marca 1850 r

Zaraz po odebraniu pierwszego listu Twego, kochany Teodorku, za pierwszą pocztą odpisałam ci i posłałam pod adresem Nepomucena Szczepanowskiego pięćdziesiąt rubli srebrem; na dowód posyłam ci receptę z poczty tutejszej. Prosiłam także, abyście z Władysławem, korzystając z sannej drogi, przyjechali do mnie, bo chciałabym Ciebie poznać i teraz proszę, jak ci się zdarzy sposobność niekosztowna, to przyjeźdź. Tym czasem, nim to nastąpi, napisz i donieś mi o sobie wszystko i o Władysławostwie, jak się im powodzi, czy mają i wiele dzieci i imiona tych dzieci, bo Julka krewni nie mogą być dla mnie obojętnymi nigdy. Nie mogę temu wierzyć, aby siostra Twoja Felicja nie chciała Ci dopomóc w projektowanej przez Ciebie karyerze, mając po temu sposobność, bo i blisko Żytomierza, gdzie ma tyle znajomych i przyjaciół. Trzeba, abyś ją umiał sobie zjednać i przekonać, że załogujesz na jej współzucie i protekcyę.

Upraszam pana Szczepanowskiego Dobrodzieja, aby ten list i pieniądze raczył przesłać Teodorowi, do wsi Drenniki, niezwłocznie.

Adres:

Panu Teodorowi Łukaszewiczowi, mieszkającemu u Władysława Słowackiego we wsi Drenniki. Przy tym liście pięćdziesiąt rubli sr. przylączy się.

Na kopercie, pieczęcią pocztową rosyjską przypieczętowanej, pisem odmiennem: „Listy od wujenki mojej, matki J. Słowackiego”.

O stosunku Juliusza do Łukaszewiczów daje pewne wyobrażenie następujący dopisek poety na karcie, poprzedzającej tytuł dzieł Euzebiusza Słowackiego (Wilno, 1824 r., t. I, bibl. Ossoliń., l. 93, 702 w 8a).

„Kochanej Cioci i Wujaszce Łukaszewiczom dzieła mego ojca na pamiątkę ofiaruję,

Juliusz Słowacki.

Między autografami, złożonemi przez Łukaszewiczów w bibliotece Ossolińskich, l. 1792, Nr. X, znajduje się następujący list dłuższy, pisany w języku rosyjskim, z którego tu podaję przekład.

Dnia 20 maja 1854 r., niżej własnoręcznie podpisani obywatele (właściciele wsi) powiatu Krzemienieckiego: Klara, córka Michała, Wyszpolska, wdowa, matka, Zenon, syn Ksawerego, Wyszpolski, i Witalisa, panna pełnoletnia, pożyczyli i otrzymali rosyjską srebrną monetą w gotówce od pani Statskiej Sowietnikowej (żony radcy stanu), Salomei Becu, wdowy, córki Teodora, dwa tysiące pięćset rubli srebrem za prawem przepisane odsetki po sześć od sta, z terminem zwrotu za ośm miesięcy, to jest do 25 stycznia 1855 roku, w którym to dniu podpisani będziemy obowiązani, nie powołując się na stosunki przyjacielskie, całą tę sumę 2500 rubli pani Statskiej Sowietnikowej, Salomei Becu, zapłacić. Gdyby zaś jaka kwota nie została zapłaconą, ma prawo pani Becu poszukiwać jej na nas wedle obowiązujących praw, na co się własnoręcznie podpisujemy: Klara Wyszpolska (po polsku), Zenon, syn Ksawerego, Wyszpolski (po polsku), Witalisa Wyszpolska (po polsku). Przy pożyczce tych pieniędzy, tudzież przy wydaniu i podpisie niniejszego skryptu dłużnego byli świadkami i na to się podpisali: Jan, syn Jana, Czosnowski, tytularny radca, Kiryło, syn Michała, Sokołowski. Od wymienionej w tym skrypcie dłużnym sumy odsetki za jeden rok w ilości 150 rubli srebrem spłacono 21 lutego 1855 roku. Salomea Beccu. W parę miesięcy później umarła wierzycielka tego skryptu...

W końcu, przytaczamy testament matki Juliusza w dosłownem brzmieniu:

„Na wypadek mojej śmierci robię rozporządzenie takie: że wszystko to, co mam u Ożarowskich, to jest dziewięć tysięcy rubli srebrem nr. 9 i tysiąc rubli u Karola Kuczalskiego, wszystkie moje srebra, meble, bielizna stołowa, futra, szale, obojgu Słowackim Władysławowstwu, dla ich dzieci. Teodorowi Łukaszewiczowi dwa tysiące pięćset rubli srebrnych, co mam u Wyszpolskiego, za które pan Cyryl Sokołowski poręczył, więc wkładam na niego obowiązek, żeby się starał, aby były odebrane. Statskaja Sowietnica Salomeja z Januszewskich, córka Teodora Beccu”. Ten testament własnoręcznie pisany i podpisany dnia 25 lipca 1855 r. w Krzemieńcu, świadczy jej spowiednik ks. Hipolit Koźmiński, wikary parafii krzemienieckiej.

Ten testament duchowny pisany i podpisany jest własnoręcznie przez p. Salomeję Beki — co potwierdzam jako koleśki Registrator, Jan Martynowicz Zapiórkowski. Że ten testament napisany jest własnoręcznie, przytomnie i przy dobrej pamięci i podpisany przez Salomeję Beki, potwierdzam, Radca dworu Aleksander Iwanow Borszczów.

DR HENRYK BIEGELEISEN.

Przyp. Red. Melancholia Władysława Słowackiego, o której wspomniano wyżej (zob. str. 94), była wynikiem tragicznego wypadku w jego życiu. Był to człowiek niezmiernie popędliwy, często w swych uniesieniach wpadający w zapamiętałość, w której go żadne wpływy pohamować nie mogły. To też, gdy sąsiad jego, pan Trypolski, graniczący z jego majątkiem, kazał, pomimo jego protestacyi, moczyć konopie w stawie, leżącym pomiędzy ich dworami, doprowadził go tem do takiej zaciekłości, iż kłótnia skandaliczna zakończyła się pojedyńkiem, dla pana Trypolskiego śmiertelnym. Skutkiem tego Słowacki musiał szukać schronienia za granicą, i tam, trawiony snadź zgrzyotą sumienia, życie sobie odebrał. Szczegóły powyższe łaskawie zostały nam udzielone przez Adama Pługa.

Pośmiertne Dzieło W. Roschera o pauperyzmie.

W. Roscher. „System der Armenpflege und Armenpolitik v. Bd. des Systems der Volkswirtschaft 1894“, Cotta's Nachfolger, Stuttgart, 322.

Zmarły Roscher nietylko był ekonomistą i historykiem w politycznej teorii, lecz Niemcem i protestantem gorliwym; nadto zaś, jak opowiada jego syn, filantropem czynnie w przybranem ognisku akademickiej działalności (pochodził z Hannowerskiego) w Saksonii zatrudnionym w sprawach miłosierdzia. Snadź dobrze też zdaje sobie autor sprawę z głośnego za granicą, choć u nas mniej znanego, tak zwanego elberfeldzkiego systematu dobroczynności, którego istota polega na większem zbliżeniu i kontroli ubogich do ofiarodawców, oraz na dozrze ściślejszym obdarowanych, a który w nadreńskich prowincjach sprawił, że w Crefeld, naprzykład, żebractwo ustało zupełnie po zaprowadzeniu układu dobroczynności z Elberfeld i Barmen. W roku 1890 dopiero, a więc już w wieku zgrzybiałym niemal, zacny uczony miewał w lipskiej wszechnicy wykłady o dobroczynności, uczęszczane, jak pisze syn, nietylko przez zwykłych filozofów i prawników, studujących nauki ekonomiczne, lecz przez medyków, a zwłaszcza teologów. Potem, jak dalej zobaczymy, nadaje Roscher opiekunowi ubogich rolę napoły duchownego Seelsorgen, na poły lekarza ciała i politycznego męża, t. j. obywatela. Warto zapamiętać to sobie, bo w naszych katolickich społeczeństwach tracimy często z oka ścisły związek między miłosierdziem

praktycznem a obywatelskiemi w tej mierze obowiązkami, kiedy „teologowie” skąd inąd miru u pisarzy wolnomysłnych nie zażywają. Inaczej dzieje się, co prawda, nie tylko w Niemczech, lecz i w protestanckiej Anglii. Intelligencya „postępowa” zapomina, że tak katolicka, jak protestancka etyka w sprawie miłosierdzia głoszą jedno i to samo. Nadto z powyższego wynika, a i autor podnosi znamienny rys, że opiekunowie ubogich powinni kształcić ich moralnie i wywierać wpływ etyczny na charakter obdarowanych. Jakoż *clergymanowie* i pastrowie, filantrop, jak Wichern, pedagog dla skazańców i „zaniedbanych”, elberfeldzcy i t. p. mają zacięcie pedagogiczne, od duchownego protestanckiego nieodłącznie.

Zewnątrznie ostatni umiarkowanej objętości tom „Systemu” korzystnie odbija od poprzednich. Wiadomo tym, co je studyują lub czytali, że mnogość przypisków odstręcza często lubowników od czytania i tekstu, i odsyłaaczy Roschera. Otóż tu, podobnie jak w dziele o „Polityce” i o „Osadach i Wychodztwie”, autor daje niezbyt obfite odsyłacze u dołu stronie, nie zaś w końcu paragrafów. M. Block, acz wielbiciel nieboszczyka, zdaje się dopatrywać w tym tonie pewnego znużenia starca, spieszącego się ku kresowi. Wyznajemy, że nie podzielamy tego zdania. I owszem, lipski erudyta poucza, jak zwykle, za pomocą dobranych trafnie przykładów i danych statystycznych; historyczne jego pomysły i wnioski są wielce umiarkowane, etyka podniosła; w cytatach nawet Roscher bywa, wbrew zwyczajowi, wstrzeźliwym, bo bez kwestyi zna np. takich nowszych francuskich pauperystów, jak Hubert Valleroux „Charité dans les campagnes de la France avant 1789 et après”, (1890) Dufau „Science de la misère sociale” (1850), a jednak ich nie powołuje. Nad grobem stojący starzec jest nie tylko ekonomistą, lecz chrześcianinem w każdym calu, oczywiście w duchu np. Schleiermachera, z którego etyką protestancką ma najwięcej punktów stycznych, jak to już dawno zaznaczył węgierski dziejopis nauki ekonomicznej, Kautz²⁾.

Obok wstępu, zatytułowanego „Patologia ubóstwa”, dzieło rozpadają nadwie tylko księgi, p. n. „terapeutyki” czyli środków leczniczych i usmierzających i „dyetetyki”, dotyczącej zapobiegania ubóstwu. Nie ulegało nigdy kwestyi, że temat ubóstwa nadaje się do roztrząsania przez tych, co zgłębiają „zasady bogactwa” ludów, a obeznani z rozwojem nowszej systematyki ekonomicznej wiedzą, że Schaffle, zwłaszcza zaś Adolf Wagner (Grundlegung der politischer Oekonomie), w układzie części gospodarstwa społecznego osobne wyznaczają ramy i poczet tak zwanemu „Caretation System”, choć Wagner poprzestaje na rysach ogólnych. Świetny, niegdy uczeń St. Simona, prof. Collège de France, senator drugiego cesarstwa, Michał Chevalier, w prelekcji

wstępnej 1849/50, o związku moralności z ekonomiką, obstaje za tem, aby ostatnia w zakres swój przyjęła *économie charitable*, lecz, niestety, znamy tylko ułamek kursu z owych lat, ¹⁾ gdy wykłady ogłoszone drukiem, w 1 tomie zawierają wstępne odczyty z 1842 — 1852 lat. W każdym razie w urywku tym unniema on, że „*l'économie politique ne s'est jamais (!) rangée à la doctrine de l'unique intérêt individuel*”. Mniejsza o to, że szkoła prawowierna, która Chevaliera, przyjaciela Cobdena i współpracownika traktatu handlowego franko-angielskiego z r. 1860, wyprzeć się nie może, inaczej to rozumiała i głosi; to pewno, że miło nam przypomnieć słowa, ²⁾teścia zięciowi Chevaliera, równie znakomitemu dziś następcy jego w Collège de France, Pawłowi Leroy Beau-lièu, którego i Roscher nazywa: „Der bedeutendste unter den französ-sisch-n Volkswethen”. Chodzi jeno o to, czy, oprócz ekonomiki, in-na społeczno-polityczna nauka nie może zaprzętać się zagadnieniem pieczy nad ubogimi. Wiadomo, że nagłówki „Armenpolizei, Armenpo-litik” spotykamy wciąż w nauce administracyi i poprzednim jej preten-syonalnym całokształcie badań, w teorii tak zwanej „krajowej poli-cyi”, prawo zaś administracyjne, tak w Niemczech (Flottevell, Löning, dawniej Rösler) jak we Francyi, Pradier, zwłaszcza zaś de Gérando, kla-syczny ongi pisarz o naszym przedmiocie), poświęca mu sporo miejsca. Niewątpliwie ustawodawca krajowy wprost lub przez filantropijne sto-warzyszenia, w myśl zasad prawa administracyjnego, winien też obok innych zadań zająć się losem istot, popadłych w nędzę. Znać odnośne przepisy jest obowiązkiem każdego światłego obywatela, tak samo w samorządzie — dziś bowiem głównie gminy stanowią podmioty pra-wa dobroczynności względem ubogich — jak w autonomicznych i „pry-watnych” po temu organizacyach. Nadto ekonomiczna tylko strona, np. przytułków, prawa do wsparcia i t. p., stosunkowo nie jest jedyną, a na-wet ogół funkcyi odnośnych przywykliśmy odawna zwać administra-cyjnymi. Z tych tedy względów, dwie następne księgi traktatu Rosche-ra pomieścilibyśmy raczej w ramach teorii wewnętrznego zarządu. W samej rzeczy, oprócz Motla, powszechnie znanej *Polizeivissenschaft* (1860), t. I (Armenpolizei), oraz dzieł Inama Sternagga i Steina, i Gum-płowicz w swej *Verwaltungslehre* (1884) poświęca tematowi naszemu ustęp, bezpośrednio przed (sic) ochroną robotników!

Roscher bardzo często powołuje się na nadmienionego i u naj-starszej generacyi znanego pauperystę de Gérando. Kto wie, azali wy-tyczną w jego dwuksięgowym układzie nie były słowa francuskiego fi-lantropa i teoretyka, który rozróżniał: *assistance préventive et subventive*

¹⁾ Cours d'Économie polit., 1858. vol. I, Capelle, 1) Disc d'ouverture

za pierwszą poczytując „hygiene” Roschera, to jest np.: kasy oszczędności, lombardy, stowarzyszenia robotnicze i assekuracye na życie, kiedy drugą u Roschera, a pierwszą u de Géranda, *unemèdec ine purement palliative et calmante*. Zestawienie wręcz innego badacza, jakim jest Gumpłowicz, pesymista i czciciel przemocy, z Roscherem, daje dużo do myślenia. Boć autor *Reichstaat und Socialismus* nie bez powodu (choć koryfeuszom ruchu robotniczego to bardzo nie w smak) — mówi o pauperyzmie, a zaraz potem o ustawodawstwie ochronnem robotników. Roscher, co prawda, nie obraża się takim zestawieniem żebraków z „obywatelami czwartego stanu”, lecz tak się jakoś składa, że człekolubny ekonomista czytelników III tomu „Systemu” przygotował do roztrząsania w paragrafie „dobroczynność” kooperacyi, ubezpieczeń, spraw niepauperystycznych. Skądinąd znużony starzec oprzeć się nie mógł pokusie i sposobności pomówienia o doniosłem z lat ostatnich ustawodawstwie swej ojczyzny, zabezpieczającym dolę robotników, skoro dawniejsze tomy o tem milczały. Na „dobie” było bez wątpienia „socyjalne” to ustawodawstwo. Pytanie tylko, czy mimowolne to zestawienie z przeciwnikiem wszelkiego socyalizmu wychodzi na dobre nestorowi realistycznych lecz człekolubnych ekonomistów? Ścisłe biorąc, i ono wchodzi, jak wykazał Stein w III tomie *Handbuch der Verwaltungslehre* (1885), w obręb administracyi spraw „socyjalnych” razem z polityką pauperyzmu, tylko że Roscher pierwszą książkę uważa za administracyjną, drugą, jako ekonomicznej osnowy. Rozpatrzmy pokrótce tedy osnowę wstępu księgi „terapeutycznej” i „dyetetycznej”, przyczem nadmieniamy z góry, że niezmiernie trudno przychodzi streszczać pisarza, który, jak Roscher, streszcza sam wyniki setek dzieł i przedsięwzięć tak literackich, jak miłosiernych.

„Ubogim”, według określenia we wstępie, jest osobnik, zależny przez czas dłuższy od wsparcia darmo udzielanego przez innych, do tego nie zobowiązanych. Więć rodzice np. nie są dobroczyńcami swoich niemowląt. Źródłem ubóstwa jest bądź za mała wytwórczość, bądź za wielkie spożycie. Przyczynami jego są: 1) fizyczna do pracy nieudolność; 2) wstręt do pracy, stąd pociąg do żebraniny; 3) społeczna nieudolność do pracy, na którą bardzo często składają się przesilenie w odbycie, częściami przeludnienie. Dalej 1) ze strony konsumpcyi: marnotrawstwo, lekkomyślne i niestosunkowe do zamożności; 2) wielka liczba dzieci. Nie ulega wątpliwości, że wraz ze wzrostem społecznienia wogóle polepsza się dola niższej klasy, co atoli nie wyklucza możliwości ubóstwa mas, czyli pauperyzmu. Peciesza nas tylko fakt, że gdy w życiu osobnika po młodzieńczym rozkwicie zwykł następować zgrybiały zanik, u ludów nie jest wcale nieodzownem, aby życie, doszedłszy tej mety, cofało się ku upadkowi i zanikowi. Średni stan,

od którego krzepkości zawisło społeczne zdrowie i żywotność, odświeżają pokolenia narastające i luzujące te, co z pola schodzą, przez narost — mówiąc z naszym Supińskim — „pracy a wiedzy”, i dla tego wiedza jest najlepszym przeciw zubożeniu narodów środkiem ochronnym, n. b. wiedza nie tylko rozumowa, lecz więcej jeszcze *hart charakteru* kształcąca.

Następne maksymy ustanawia w liczbie 11 autor co do „przewodnich miłosierdzia zasad”. 1) Tak moralnie, jak ekonomicznie, szkodliwą jest rzeczą, gdy jałmużna przekracza granice, człokolubnością (Humanität) zakreślone. 2) Głównym warunkiem należytej pieczy nad ubogimi jest zgodne postępowanie klas postawionych nad nimi. Można winni współdziałać z mniej obdarzonymi dostatkami, ci ostatni zazwyczaj mniej rządzą się od pierwszych przesądami i krótkowidztwem. Ważnym też jest udział kobiet w dziele miłosierdzia. 3) Nie wspieraj nigdy bez zbadania uprzednio wszystkich stosunków ubogich. To właśnie cechuje zapoczątkowaną po 1850 r. i przeprowadzoną reformę w *Elberfeldzie* nadreńskim, że wspierani i wspierający stykają się z sobą oko w oko. Każdy obywatel tego miasta przyjmuje wybór do dozoru ubogich i daje im więcej niż pieniądze, bo czas uczciwego, zkądinąd pracowitego, człowieka. Przed rzeczoną reformą na ogół ludności wypadło 7%, co najwięcej 8%, ubogich w złych latach; potem nigdy więcej nad 4%. Ciężar wsparć zmniejszył się o połowę; od zaprowadzenia reformy 1846 — 52, przeciętnie wynosiły dodatki gminy na ten cel 2.80 marek na głowę, od 1853—1878 jeno 1.52 marki; za to premia wzrosły od 1878—1880 na 2.97 marek, ile że społeczne życie pulsowało rażniej, niż zwykle, w każdym ognisku przemysłowem. 4) Dbaj tak samo o duszę ubogiego, jak o jego ciało, w myśl szczytnych słów angielskiej filantropki El. Fry: *Charity to the soul is the soul of charity*. Wiedza, dawana ubogim, powinna być praktyczną i nie obejmować ochłapów powierzchownej „kultury” umysłowej, lecz uczyć ich np., że kilogram sera do rozsmarowania po 40 fenigów więcej zawiera pokarmu od kilogramu wołowego mięsa, trzy razy tyleż kosztującego. „Solą miłosierdzia bywa miłosierdzie, pod okiem kościoła sprawowane”. Dla tego mylnem a sekciarskiem jest wygluzowanie za trzeciej francuskiej rzpltej duchownych z zakładów filantropijnych publicznych. 6) Przedewszystkiem starajcie się zapobiedz ubóstwu kłójącemu. Tu leży doniosłość kas oszczędności i zapomogowych. 7) Wspieraj lepiej, dając sposobność do pracy, niż dary in natura, lepiej naturaliami niż pieniędzmi. 8) Ubożego wspieranego zostaw o ile możności na łonie rodziny. 9) Trzeba dążyć do tego, aby jałmużna nie przykładała się, tak bezpośrednio, jak pośrednio, do powiększenia ubóstwa. 10) W zasobach (kollektach) ze-

branych starać się należy o to, aby być i oszczędnym, i zarazem wyczerpującym. Balów, koncertów na ubogich, autor nie zaleca, powołując zdanie Katzingera, zasłużonego historyka miłosierdzia kościelnego, że „jałmużna winna mieć zawsze w sobie coś z postu a umartwienia”. 11) Nakoniec piecza nad ubogimi staje się systematyczniejszą w miarę większej kultury, przyczyniając już do tego łączny udział państwa, prywatnych filantropijnych stowarzyszeń i kościoła, jak tego żądał Rau w „Volkswirtschaftspolitik”. Nadto unikać trzeba wielkich kapitałów na cele dobroczynne, gdyż przez to osłabia się ich uznanie u publiczności.

Obszerny drugi rozdział o systematach polityki pauperyzmu charakteryzuje rysami znamienymi, których przytaczać trudno w braku miejsca, miłosierdzie starożytności, w wiekach średnich i nowszych czasach. Jeżeli średniowieczne ludziło się mniemaniem, że grzechy okupywać można jałmużną, czego ewangelie nie uczą, bo i w dobie reformacji zbyt Luter klerykalizował dobroczynność (*Ordnung des gemeinen Lustens* (1523), przyczepiając je tylko do zarządu miejskiego. Nastąpiły czasy połowicznego legalnego miłosierdzia, gdzie władza świecka daje to tylko, czem rozporządzić dla ubogich zdoła, i filantropii legalnej, zupełnie na podatku na ubogich (system angielski) opartej. Autor kreśli zarysy tej doby, rozstrząsa sprawę, w administracyjnym prawie arcyważną, o wsparciu w stosunku do miejsca zamieszkania, (*Unterstützungswohnsitz*) kwestyę, opartą o prawo swojszczyzny (*Heimathsrecht*), w prawodawstwach różnie i dowolnie traktowane. Następnie przytacza wiele zdań ekonomistów, wrogo dla dawniejszego systemu angielskiego (przed reformą 1834 roku) usposobionych; wyklada urządzenia legalnej dobroczynności we Francji, Niemczech i ocenia angielską w 1834 roku dokonaną reformę.

W trzecim i czwartym, Roscher rozpatruje zakłady dla ubogich dzieci i dla dorosłych, domy podrzutków, gdzie tak zwane „koło” odrzuca, przytaczając sąd swego ulubionego de Géranda, żłobki, domy sieroce, przytulki głuchoniemych, kolonie wakacyjne, które chwali, domy pracy (*Workhouse*) przymusowej na wzór angielski, domy wywiadowcze o okazjach pomocy, wreszcie przytulki (*hospices*) i właściwe szpitale (*hospitaux*) w nomenklaturze francuskiego prawa administracyjnego. Pełno tu poglądów zdrowych. Czytelnik zapyta może: jakaż była różnica ustawy o ubogich za panowania Elżbiety z r. 1606 i później, a nowej z r. 1834? Nawiasem mówiąc, Malthus, znany przeciętnemu ekonomście jedynie z jego demograficznych, naciągniętych progressyi, przyczynił się do reformy swą ciętą krytyką „legalnej” dobroczynności, tego rozsądnika rozleniwiałych „pauprów”, wspieranych na koszt publiczny. „Dawniej majątność, przynosząca 645 L. str. czynszu dzierża-

wnego, obarczona była 427 l. str. podatku na ubogich, którzy, zatrudnieni pracą przymusową na gościńcach, grali między sobą w półpensy". Podatek na ubogich absorbował $\frac{1}{6}$ renty ziemskiej. 22 lata przed reformą, rozchód państwa na ubogich wynosił 6,505,037 funt. st.; w ćwierć wieku po 1834 r. tylko 5,169,073 funt. st., a z funduszów tych wystawiono nierównie więcej „workhousów” niż wprzód. Po r. 1834, 1) ubogich ściślej dozoruje się, dając im jedynie nieodzowny a jednakowy bez względu na zasługę fizyczny sumpt. T. z. *outdoor relief* ustępuje coraz bardziej zaopatrzeniu ubogich wewnątrz domów pracy, co prawda, wbrew maksymie 8-ej Roschera; 2) dozorczy i inspektorat, którego dawniej nie było, jest obecnie płatny ze skarbu, co gorliwość ich podtrzymuje skutecznie; 3) wprawdzie wpływ rządu sięga obecnie dalej, a samorządu mniej, bo komissya centralna to rodzaj ministerjum spraw lokalnych, nadzoru centralistycznego nad hrabstwem, samorządnej administracyi nietylko w rzeczach miłosierdzia, lecz innych. Inspektorowie ubogich miewają przeciętnie pod sobą po 50 parafii. 4) Dawniej parafie same obciążone były podatkiem na ubogich, dziś, na wniosek $\frac{1}{10}$ opodatkowanych, zlano je w większe obwody (*Unions*), mające (siedm) po 2,229,000 mieszkańców. Wiele z tych *Unions* obejmuje więcej, niż jedno hrabstwo.

Armenverbunde istnieją wprawdzie też od r. 1842 i 1870 w Niemczech, oraz tak zwana instytucya der „Landarmen”, przyczem gminy, w zasadzie za utrzymanie ubogich odpowiedzialne, starają się pozbyć brzemienia tego na rzecz krajów i państw rzeszy. Atoli jurydycznie niepodobna rzecz, iżby ubodzy, tak jak w Anglii, mieli prawo pod względem formalnym do wsparcia. Państwo jedynie zniewala dobroczynne związki prowincjonalne do utrzymania odpowiednich ubogich, przyczem dwuletni w gminie pobyt uzasadnia pretensyę popadłego w nędzę. Roscher żąda, aby po należytem uregulowaniu swego prawa do wsparcia miejscowego (*Unterstützungswohnsitz*), koszta wsparcia ponosiły w połowie gmina rodzinna ubogiego, w połowie gmina czasowego pobytu, i to po 5-letnim aż pobycie w niej, zgodnie z myślą z Ecksteina, wyrażoną w przeglądzie *Im Neuen Reich* za r. 1887. Wszystko razem wzięwszy, autor nie jest przeciwnikiem bezwzględniego, jak prawowierni koledzy, „legalnego” miłosierdzia; uznaje jego niezbędność tam, gdzie poczucie miłosierdzia zanika, lecz wskazuje, jako na konieczne dopełnienie, na ustrój czujniejszej a sprawniejszej prywatnej i assocyacyjnej dobroczynności. W tej samej Anglii, kraju podatku na ubogich, jest w samym Londynie 1013 stowarzyszeń o $4\frac{1}{2}$ mil. funt. szt. dochodu, a w reszcie kraju o 7 mil. funt. szt. dochodu.

Gorąco przemawia autor za fundacyami dobroczynnymi i w tej mierze zajmuje przeciwne Turgot'owi i zeszlówiekowym encyklopedy-

stom stanowisko. Należało-by biurokratyczne w tym względzie wścibstwo i pedanterję ograniczyć, bo fundacye najskuteczniej łączą przeszłość z przyszłością w sprawach miłosierdzia.

W II księdze (Dyetyka) zasługuje na uwagę bogaty w dane statystyczne rozdział o Kasach oszczędności, w których autor rad-by widzieć nie tyle instytucję bankową, ile raczej szkołę ludową, t. j. w myśl pedagogicznego wpływu wszelkich dobroczynnych zakładów, urzędzenia, „elementarnie zaprawiające do tworzenia kapitałów dla klasy robotniczej”, jeśli spółki zaliczkowe, spożywczo-magazynowe, będziemy poczytywali raczej za szkoły średnie. W ogólności Roscher przeciwny jest upowszechnionym dziś dosyć w kasach oszczędności bankowym w ścisłym znaczeniu operacyom, obrotom powierzonymi im przez uboższe warstwy oszczędnościami, gdyż doświadczenie uczy, że korzystają z nich zastępy osób zamożniejszych, dla których urządzenia te „w zasadzie” nie są przeznaczone. Książeczek np. służących nie powinny-by skupować spekulanci i możni. „Dla kwot większych zaleca się w Belgii przyjęta zasada, aby zamieniano wkładki za zgodą strony deponującej na papiery renty publicznej”. Rozróżnić należy maximum wkładki jednorazowej od maximum całkowitego zapisu dłużnego (Guthaber) w kasie; włożone 1500 mr. np. odpowiadają, średnio biorąc, zamożnym osobom, lecz zapis 1500 marek nieraz przedstawia owoc wieloletniej oszczędności uboższego. Co się tyczy trybu użytkowania wkładek w Anglii i Francyi, lokują się one w długu państwowym, gdzieindziej na hypotekach. Najlepiej „połączyć system niemieckiej lokacyi hypotecznej z pewną liczbą papierów na okaziciela, łatwo pozbywalnych, co w czasach burzliwych da się zrealizować wprawdzie nie bez strat, lecz łatwiej, niż hypoteka”. Roscher słusznie ma wątpliwości co do franko-angielskiego trybu, że skarb ma we wkładkach „olbrzymi weksel ubogich depozytaryuszów naraz do spłacenia”, a słowaz 1848 r. Lamartin'a, jakoby kasy oszczędności były „le grand livre de l'ouvrier”, nie mogą budzić ufności. Nowi też ekonomiści, jak Leroy-Beaulieu, ostrzegają przed taką lokacyą wkładek w samych papierach publicznego długu. We Włoszech ruch wkładek w kasach oszczędności przybrał ogromne i pocieszające rozmiary. 1865 r. było tylko 225 mil. lirów złożonych w nich, w 1885—954.5 mil. w 1,189,167 książeczkach, w 1886 10,332,324,000 lirów w 1,248,360 książeczkach, co prawda z wielkimi odcieniami co do prowincyi, gdzie w Lombardyi wkładka przypada na 21 mieszkańców, w Bazylikacie zaś na 159,021.

Autor wielkim jest zwolennikiem pocztowych kas oszczędności, które przyjęły się i prosperują na zachodzie, wtedy, gdy w Niemczech zaprowadzeniu ich opierały się i opierają gminy, nb. same posiadające zwykle miejskie kasy oszczędności. Na Saksonię najwięcej przypada

tak zwykłych, jak i pocztowych kas oszczędności. Wprawdzie, „powierając bezwarunkowo w ten sposób wkładki władzy państwowej, nie tylko wzmacniamy tę ostatnią, lecz forytujemy niewytwórcze wkłady kapitałów, jeśli porównamy je z produktywnymi nakładami rolników a przemysłowców”. Mniej uśmiechają się Roscherowi tak zkądinąd popularne „kasy oszczędności dzieci szkolnych”, pomysł belgijskiego prawnika i historyzofa, F. Laurent. „Dla dzieci oszczędność najlepiej forytuje się, gdy te obchodzą się oszczędnie z odzieżą, książkami, zabawkami swemi; oszczędzanie pieniędzy zaś bywa dla nich uludą, skoro produkować wartości za pieniądze nie zdołają. Tylko w nielicznych, choć w pożądanym razach, gdy dzieci zarabiają same ekonomicznie, kasy oszczędności dla nich są właściwemi”. Zbliżone do kas oszczędności są towarzystwabudowlane w Anglii, w Północnej Ameryce, Danii i Włoszech, lecz mało upowszechnione w Niemczech. Wszelako, choć ważnym dla klasy roboczej są środkiem samopomocy, mają one z trudnościami do walczenia i głównie w tem, że członkowie ich, chcąc się oswobodzić „od płacenia komornego, pragną jak najprędzej zbudować dom za zaliczką stowarzyszenia, które w początkach przychodzi z trudnością do pozbycia potrzebnych na to zasobów, a pod koniec cierpi zaiów na nadmiar takowych”. Stowarzyszenia budowlane stały się raczej spółkami kredytu realnego dla średniej klasy, umarzającemi zaliczone kapitały na budowę domów.

O lombardach autor mówi raczej jako historyk, zaś jako ekonomista i socyalny polityk nie jest wielkim ich zwolennikiem. Pominąwszy wielkie koszta zarządu przy małej wartości zastawnów i stosunkowo wysokie odsetki procedur zastawniczych, prowadzi zazwyczaj do konsumpcyjnego zgoła, rzadko zaś do produkcyjnego użycia kredytu. Wogóle jednak klientela lombardów ograniczyła się dzisiaj do warstw niższych, gdyż spółki spożywcze a zaliczkowe wielu drobnym przemysłowcom ułatwiają sposoby obchodzenia się bez kredytu zastawniczego, stosunkowo drogiego.

Czytelnicy III tomu spodziewali się, iż autor przy sposobności traktować zechce o spółkach spożywczych, tej postaci najdawniejszej współdzielczości, zarazem wyprobowanej wziętości w społocznem dziele podźwignięcia ekonomicznego klasy robotniczej. Sposobność ta nadarza się tutaj w „Armenflege”, gdzie, co prawda, związek ten jest miśternym i naciągniętym. Ścisłe biorąc, jedynie zastawnicze urządzenia wchodzą, (jak to pisarze administracyjni rozważali i traktują od dawna) w zakres pieczy nad ubogimi; jako „dyetetyczny” środek są bardzo lichym półśrodkiem zażegnania ubóstwa w porównaniu np. z omówionemi kasami oszczędności. „Główną zaletą spółek spożywczych w stosunku do handlu detalicznego stanowi to, iż posiadają zakres ścisły

i stały odbiorców, gotówką płacących, niema tedy potrzeby ogłoszeń, zapasy nie potrzebują leżeć nieużytkowane. Jeśli drobny handel cierpi na tem, to dla gospodarstwa społecznego nie jest to nieszczęściem, ile że gałąź ta przemysłu prześladowana jest w wielu krajach i skłonna przeto do współzawodnictwa nierzetelnego, do sprzedaży towarów bez właściwej ich ceny. Jeśli wiele państw niemieckich obłożyło wysokimi przemysłowemi podatkami stowarzyszenia spożywcze, przypisać to trzeba w części zawiści ze strony kramarzy. Spółka spożywcza, sprzedająca towary nie członkom, powinna ulegać temu podatkowi.

Nie rozumiemy dobrze 4 rozdziału o assekuracji na życie wyższych klas. Wszak chodzi tu głównie, co roztrząsa następny 5 rozdział tej części, o niższe. Autor widocznie pragnął tylko zastąpić próżnię poprzednich w tej mierze tomów. Roscher mniema, że co do assekuracji wzajemnej i akcyjnej (spekulacyjnej), najlepiej aby oba systemata współdziałać i poprawiać swe braki mogły. Mówi też o 1) kasach narzeczonych w Włoszech, 2) tontynach, 3) kasach pensyi wdowich, 4) rent dożywotnich, 5) pogrzebowych.

Ostatni rozdział książki, zatytułowany „Assekuracja życia klas niższych”, w dwóch pierwszych § mówi o *friendly societies* i o *trades unions* angielskich robotników, jako stowarzyszeniach pomocy wzajemnej (o roli ich, jako wojowniczych związków anty-kapitalistycznych, była mowa w § 156, tomu III), reszta do końca roztrząsa nowe niemieckie ustawy emerytury, ubezpieczeń od wypadków i t. p. robotników z lat 1883, 1889, pokrótce przechodząc odnośne usiłowania obcych prawodawstw w tej mierze (§ 64 — 69). Prawdziwy to testament socjalno-polityczny zmarłego ekonomisty.

„Z wielu względów stowarzyszenia druhów” przerzeczzone uważać trzeba za świetny stan życia społecznego Anglii. Zaradzają one słabości, myśląc o potrzebach uajwiększej ilości robotników dostatecznie, i podziwiać trzeba, że ludzie tak prości umieli bez pomocy nauki tak długo gospodarować wobec zagadnień trudnych. Hasbach, badacz społecznego ruchu angielskiego, wspomina o 10 mil. uczestników *Friendly societies*, rozporządzających 26 mil. F. str. mienia. Właściwie jeden w 1793 r. ustawodawca uprościł im ścieżkę, lubo wielu pisarzy pomija to prawem milczeniem. Towarzystwa te uwolniono już wtedy od kosztów sądowych i stempli, dozwolono im dochodzić nadużyć obieralnych własnych urzędników i t. p. Mimo to, gdy od r. 1875 wolno im podawać statuty swe i rachunki, celem uprawomocnienia ich, ledwie 21% czynią zadosyć temu. Nadto wiele stowarzyszeń tych znajduje się w stanie niewypłacalności. Co się tyczy ustawy angielskiej o odpowiedzialności przedsiębiorców z r. 1880 za wypadki z robotnikami wydarzone, autor zarzuca jej: że maximum odszkodowania ogranicza

do zarobków trzyletnich, że akcyje robotników przekazuje drodze sądowej i przedawnia je, jeżeli nie wytoczono skargi w przeciągu 6 tygodni i miesięcy. Wiadomo, że najnowsze „socyjalne niemieckie ustawodawstwo” wielokrotnie opracowane prawniczo i ekonomicznie, składa się właściwie z trzech ustaw: o assekuracji od chorób (1883), od wypadków (1884), wreszcie od nieudolności. *Invaliddittsversicherung* w (1889). Wszystkie trzy ustawy co do assekuracji różnią się od niej przymusowym charakterem i przepisany ciężaru rozkładem: przy chorobach: chlebodawcy $\frac{1}{3}$, $\frac{2}{3}$ robotnicy, przy wypadkach — chlebodawcy, kiedy przy emeryturach robotniczych porówny dzieli się między te grupy ciężar z subwencją od Rzeszy. Autor wnosi wogóle doniosłość i potrzebę rzeczonych ustaw, a zwłaszcza o assekuracji od chorób. „Oдноśne kasy—choćby nie przymusowe — trzeba uznać za podwalinę, na której zbudować się daje assekuracja od wypadków i wieku podeszłego”. Wierny metodzie swej, jak w sprawie miłosierdzia „legalnego”, Roscher pragnie, aby obok urzędowych i zapomogowych instytucji istniały też dobrowolne urządzenia assekuracji od chorób, w celu izby robotnicy, lepiej położeni, mogli też assekurować się wyżej, tak, iż stanowiły-by one uzupełnienie tamtych. Prawda, że ustawodawstwo to sprzyja nieraz udawaniu chorób przez dotyczących robotników, lub przedłużaniu choroby. Lepiej tedy, aby np. w Berlinie było zamiast 63 kas miejscowych, 63 kasy według zawodów i lokalności. Ubezpieczenia od wypadków w przemyśle pochodzą z Ameryki Północnej. „Idealem było-by, aby robotnik dotknięty lub jego rodzina mogli znaleźć opatrzenie zupełne, aby ominięto wszelkie nasuwające się sporne kwestye i aby produkcya sama ponosiła koszta одноśne”. Trudno, aby robotnik w danym razie dokładnie mógł dowód przeprowadzić. Lepiej tedy, aby wynagrodzenie ponosili chlebodawcy i to uorganizowani w trwałe związki. Jest to interesem robotników niegospodarnych częstokroć, aby w rencie byli wynagradzani nie zaś w kapitale. Wszystko razem wzięwszy, traktat Roschera jest bardzo godnym uwagi przyczynkiem do nauki administracji o zaopatrzeniu ubóstwa. Druga zaś część jego świadczy o tem, że ekonomista historyk odczuwa prądy epoki najnowszej.

JÓZEF OCZAPOWSKI.

Z cyklu „ITALIA.“

INCANTO.

Brzask chłodny, szary. Mgły zroszonym piórem
Od Lido ciągną wskroś, przez senne wody.
W tem plusk... Za starym arsenału murem,
Łódź robotnicza cichemi mknie chody.

I nagle śpiewać zaczyna głos młody
Starą wenetów pieśń; a za nim chórem,
W oczarowaniu bezbrzeżnej swobody,
Sto męskich głosów wybucha mu wtórem.

Ucichli. We mgłach na Murano płyną,
Słuchając rychło dzwon z huty uderzy.
I znowu śpiewać zaczyna głos świeży.

I znów z stu męskich piersi, za dziewczyną
Pieśń bucha... Zanim łódź dotknie wybrzeży,
Do nich niebo i morze i brzask ten należy.

„RIVA DEGLI SCHIAVONI.“

Na marmurowej tamie, na ostatniej płycie,
 W którą fala od wschodu lecąca kołata,
 Gdzie barka białą pierśią uderza skrzydlata,
 Jest znak. Morze go ciche dwoi w swym błękiecie.

Srebrzystych traw splątana objęła go krata,
 Wskroś fali świeci, jakby cięty w malachicie,
 Gdy noc z miesięczną lampą przychodzi tam skrycie,
 W drżących blaskach go szuka i czyta: „Damnata.“

Ćwiekiem swych kajdan, nagi i od razów siny,
 Wyrznął go tu niewolnik z dalekiej krainy,
 Ciśnięty na ten marmur, co od słońca pała.

Wenecjo, pani morza! W tym nędznym otroku
 Znalazłaś sędzię. Los swój znalazłaś w wyroku,
 Jaki on dał na ciebie. Gdzie dziś twoja chwała?

CORREGGIO ¹⁾.

A na tych pagórach gasną ciche zorze,
 A na twojem łonie śpi dzieciątko boże.

Dwaj anieli takie grają cudne pieśni,
 Ten jeden radośnie, ten drugi boleśnie.

A temu jednemu gęśliki się złocą,
 A drugi ma prostą ligawkę sierocą.

¹⁾ Florencya Gal. Pitti.

A jedna pieśń w niebo tonami rajskimi,
A druga pieśń płynie w westchnieniach ku ziemi.

Ta jedna o wiosnie, co kwitnie wieczyscie,
Ta druga o wicherze, co z puszczy rwie liście.

Ta jedna o jasnych jutrzeńkach świtanium,
Ta druga o głuchem po nocach wołaniu.

Ta jedna o wielkiej lazurów wszechciszy,
Ta druga o gromie, nad światem co dyszy.

Ta jedna o krzywdzie, ta druga o sile,
Ta jedna o życiu, druga o mogile.

I niesie wiew pieśni zachodni ci obie,
Tę jedną we złocie, tę drugą w żalobie.

Ty słuchasz—i patrzysz oczyma smutnemi,
Na tego anioła, co śpiewa ból ziemi.

R a f a e l.

„SISTINA.“

I.

Przez gwiazdzistą rosę,
Przez miesięczne blaski,
Stopki stawia bosa,
Idzie pełna łaski,

Idzie na tę ziemię,
Co po nocach wzdycha,
Pani zadumana,
Śpiesząca a cicha.

Głów anielskich za nią
Świecą dna liljowe,
Rąbki owiewają
Zadumaną głowę.
Nie idzie w koronie,
Ani w majestacie,
Ale w tej bielonej
Z lnów cieniuchnych szacie.

W siną dal puściła
Źrenice wyroczone,
W pola osamiałe,
W bory smutkiem mroczne.
Idzie owionięta
Seraficzną tęczą,
Święci zastępują
I na drodze klęczą.

— A pocóż tak spieszysz,
Królowo ty raju?
— Bo płaczą słowiki
Po nocach mi w gajul..
— A pocóż ty rzucasz
Niebieskie te wrota?
— Bo skarży się nocą
Ta ziemia sierota!..

— A pocóż tak patrzysz,
W bolesnej zadumie?
— Bo jęki tam lecą
W wichrowym puszc szumie!
— A po cóż ty niesiesz
Dzieciątko to boże?
— Bo groby wołają
O żywot i zorzę!

I idzie i patrzy
W dal mroczną i siną,
I tak ją obaczył
Młodzianek z Urbino.
I taką ją widzi
Oczyma smutnemi,
Ten pątnik, co niesie
Proch z mogił swej ziemi.

MARYA KONOPNICKA.

MATERYAŁY I NOTATKI.

Z DWÓCH SEJMÓW.

Niedawno na tem miejscu, przy rozważaniu niektórych momentów polityki pruskiej, wypadło nam wskazać doniosłość dwóch niedoszłych sejmów 1744 i 1746 roku. Przebieg obu jest niedostatecznie znany i tłómaczony opacznie. Ofiarujemy poniżej w tym przedmiocie parę nowych przyczynków źródłowych.

I.

Wiedeński traktat sasko-austryacki z grudnia 1743 roku mieścił w sobie, ze strony Augusta III, obietnicę wprowadzenia Polski do sojuszu przeciw Prusom i Francji. Urzeczywistnienie tej obietnicy miał przygotować sejm grodzieński 1744 r. Trzy główne cele sejmu, podług myśli dworu drezdeńskiego, przewidywał gabinet wersalski, ostrzeżony przez króla pruskiego: aukcyę wojska, sukcesyę jednego z królewiczów, wreszcie sojusz, zmocnionej w ten sposób militarnie i politycznie, Rzpltej, z Austryą, a w dalszym planie z Rosyją i Anglią¹⁾. „Upewniają, — głosiła instrukcyja posła francuskiego, który miał te

¹⁾ por. Bibl. Warsz., lipiec, 146, 147.

zamysły zniweczyć, — iż hr. Poniatowski posiada sekret wszystkich sprężyn, jakie zamierza poruszyć król, aby skłonić sejm do uchwalenia rzeczonych trzech punktów..., oraz, że dwór drezdeński działa w tej materii w zupełnej zgodzie z dworem wiedeńskim i londyńskim.

Nie ziściła się żadna z tych obaw. Opór republikantów, ośmielony, kierowany przez silne wpływy pruskie i francuskie, wziął górę nad chwiejną taktyką dworu i jego sprzymierzeńców. Znany jest oplakany koniec sejmu, zamkniętego niebywałym skandalem, brzękiem srebników pruskich, ciśniętych na stół sejmowy przez cuotliwego denuncyanta, skruszonego Wilczewskiego, nastawionego przez Brühla. Fortel niegodny, i co gorsza, niezdarny, obrócił się przeciw kuglarzowi, który go wymyślił. Nie powetowana sposobność podniesienia Rzepltej straconą została na marne.

Rząd wiedeński reprezentowany był w Grodnie przez posła Esterházego i rezydenta Kinnera v. Scharffensteina. Reprezentowany był nader niefortunnie. Poseł, wielki pan a mały dyplomata, nie znał i nie chciał znać spraw i stosunków polskich; mizerną odgrywał rolę wobec takich działaczy, jak zgromadzeni naówczas w Grodnie: Kayserling, Bestużew, Wallenrod, Saint-Séverin. Rezydent, lepiej informowany, niewielkiego był sprytu, żadnego nie miał znaczenia. Jaki Mercy na miejscu Esterházego, van Swieten na miejscu Kinnera, niezawodnie rozwinięliby wtedy akcyę zręczniejszą i żywszą. Czy skuteczniejszą? — wolno wątpić.

Esterházy do Ulfelda. ¹⁾

Grodno, 14 października 1744 r.

... Co się tutejszego sejmu tyczy, to dotychczas, jak W. E. wiadomem będzie z doniesień Kinnera, zaprzątano się li tylko zwykłemi formalnościami i przemowami senatorów. Zaś od dnia wczorajszego posłowie, odzieliwszy się od senatu, rozpoczęli deliberacye. Nikt nie wie, jakie powziąć zdanie o wyniku niniejszego sejmu. Wprawdzie dwór i ministeryum obiecuje sobie skutek pomyślny i wszelkich dokładają starań dla zjednoczenia umysłów. Jednakowoż ci, którzy mają doświadczenie w sprawach tutejszych, wobec wyraźnych już śladów poróżnienia między familiami, są raczej mniemania, iż sejm spełźnie bezowocnie, lub bodaj nawet zerwany zostanie. Jak wiadomo, naród

¹⁾ Kanclerza. Tekst niemiecki oryginałów dajemy w dosłownym przekładzie.

polski jest wielce chciwy grosza i zysku, zaś partya przeciwna, a mianowicie francuska i pruska, czyni wielkie nadzieje nasycenia onej chciwości. W istocie, pewną jest rzeczą, iż Saint-Séverin ¹⁾, w tych dniach oczekiwany, jak również Wallenrod (t) ²⁾ otrzymali znaczne fundusze dla uskutecznienia swoich szkodliwych zamysłów...

P. S. ³⁾ Je suis fort édifié du comportement du compte de Bestucheff ⁴⁾, comme aussi de la façon qu'il anime cette cour de suivre les bons principes qu'elle semble avoir pris. Il a dit ces jour(s) passés en termes clairs pour ménager le roi de Prusse, puisque tout cela ne servira pas pour arrêter le roi de Prusse dans l'exécution de ses pernicieux desseins (s) contre la Saxe...

Tenże do Maryi Teresy.

Grodno, 2 listopada 1744 r. ⁵⁾

... Na sejmie dotychczas im dalej, tem gorszy obrót rzeczy biorą. Średnia i drobna szlachta, zwłaszcza zaś Małopolska, nie chce dać zgody na projektowaną aukcyę wojska. Wobec tego król uczynił propozycę, ażeby, skoro niepodobna na razie znaleźć odpowiednich funduszów, pomyślano przynajmniej o przystąpieniu do aukcyi częściowej. Atoli nawet ten umiarkowany półśrodek spotkał się z taką opozycją, iż widocznie sejm, chociaż-by nie został zerwany, przecie dobiegnie kresu bez żadnego pożytku... Śród rozmaitych sposobów utrzymania sejmu, wzięto też pod rozwagę takie wyjście, aby król, na wypadek odmówienia nawet częściowej aukcyi, mógł limitować sejm, nie wiążąc się oznaczeniem czasu, ani miejsca reasumcyi. Wszakże wszystkie owe termina: zrywać, expirować, limitować i t. p., sprowadzają się ostatecznie do jednego rezultatu, a mianowicie, że żadną miarą niepodobna oczekiwać od Rzepltej in genere poparcia słusznej naszej sprawy. Średnia i drobna szlachta tak dalece jest oddana chciwości i prywatnie, iż nie dostrzegają zagrażającego im samym niebezpieczeństwa i lekceważą dobro publiczne własnego kraju. Król, skoro został-by

¹⁾ poseł francuski.

²⁾ poseł pruski.

³⁾ dopisek ręką Esterházego.

⁴⁾ Michał, poseł rossyjski.

⁵⁾ *praes. d. 17 Nov.*

zaopatrzony w stosowne fundusze, mógł-by sobie poradzić tym jedynie sposobem, ażeby dobrze myślący magnaci dostarczyli mu, za wynagrodzeniem, wojsk i rekrutów. Jak dalece w tym kierunku powiodło się dworowi, okaże załączona tabela, doręczona mi od ministerium ¹⁾. Jednak skutek dopiero może okazać, o ile liczba żołnierza, wystawiona tutaj na papierze, w oznaczonym czasie istotnie będzie do dyspozycji.

Tenże do tejże.

Grodno, 9 listopada 1744 r. ²⁾

... Nie mogę zaprzeczyć, iż będę się czuł dużo spokojniejszym, jeśli poprzednik (Bestużewa), hr. Kayserling, nareszcie zostanie oddalony od dworu elektorskiego ³⁾. Rzeczony poseł, nietylko we wszystkich sprawach bierze stronę dworu saskiego, lecz nawet umacnia jeszcze w szkodliwych dążeniach tutejsze ministerium, które jest dla niego z zupełnem zaufaniem. Zarazem, aż nazbyt często, powstrzymuje on i opóźnia rozpoczęte już rokowania przez najrozmaitsze subtelności i postrzeżenia filozoficzne.

Tenże do Ulfelda.

Warszawa, 19 listopada 1744 r.

(Król został jeszcze w Grodnie). Mimo to, zarówno ja, jakoteż Villiers ⁴⁾ i kilku innych obcych posłów, mianowicie nuncyusz papieski i hr. Kayserling, przybyliśmy tutaj, idąc za radą hr. Brühla, aby przyspieszyć o parę dni nasz wyjazd. Uczyniliśmy to tem łacniej, iż

¹⁾ załączona *Tabella über sämtliche Capitulationen, so wegen Erricht- und Anwerbung neuer Corps und Regimenten, welche ulto^o Jan. 1744 in völlig completen Stande seyn sollen, geschlossen werden ingl. was einige Herrschaften an Mannschaft und Pferden gegen baare Bezahlung zu stellen versprochen; wyszczególnione tu pozycye obejmują w sumie 9714 ludzi i 9170 koni.*

²⁾ *praes. d. 23 Nov.*

³⁾ Kayserling, już wtedy zastąpiony przez Bestużewa, tymczasowo miał sobie polecone być obecnym w Grodnie podczas sejmku.

⁴⁾ poseł angielski.

rzeczony minister zapewnił nas, że... niema co liczyć na sejm, na który należy zapatrywać się nieinaczej, jak gdyby został zerwany, lub też spełz bezowocnie jakimkolwiek innym sposobem. ¹⁾

Brühl do Esterházego. ²⁾

à Grodno, ce 17 de novembre 1744.

Monsieur, après avoir enterré la diète, j'ai un devoir vous instruire de son trépas. Elle est morte d'extinction et ne pouvant plus se soutenir, après les fortes convulsions dont elle a été tourmentée pendant sa maladie. Dieu aye son âme, car Lui seul pouvoit conduire et diriger tant de ressorts différens et opposés à une même fin...

II.

Warszawski traktat poczwórnego przymierza ze stycznia 1745 r. pomiędzy Saksonią a Austryą i jej aliantami, mieścił znowuż zapowiedź przystąpienia Polski, a zarazem zapowiedź, niezbędnej w tym celu, uprzedniej naprawy urzędów polskich ³⁾. Tymczasem przypadło najście Fryderyka na elektorstwo; August, z nożem na gardle, przyjął pokój drezdeński i ubył z walki. Jednak traktat warszawski ciągle wiązał go z Austryą. Polityka francuska założyła sobie zerwać ten związek za wszelką cenę. Od początku 1746 r. trwały potajemne rokowania między Wersalem a Dreznem. Brühl gotów był powtórnie sprzedać Maryę-Terese: rozchodziło się tylko o cenę. Minister francuski, następca skąpego Fleurego, oszczędny Argenson, dawał milion dwakroć liwrów „Nigdy nie ośmielę się uczynić podobnej propozycji mojemu monarsze, — mówił ze zgrozą Brühl, — *ce seroit vraiment le dégrader*“. Wstawił się za bratem Maurycy Saski, uratował go od „degradacyi“, uzyskał żądane pełne dwa miliony; tedy szczęśliwie doszedł tajny traktat sasko-francuski z kwietnia t. r., zapewniający Francyi neutralność elektora. Był to krok pierwszy polityki drezdeńskiej po

¹⁾ *dass auf dem Reichstag gar keine Rechnung zu machen, und derselbe nicht anzunehmen sey als oder zerrissen, oder sonst in anderem Wege vollkommen grundlos abgelaufen wäre.*

²⁾ to pismo mieści się, jako załącznik przy depeszy Esterházego do Ulfelda, z Warszawy, 21 listop.

³⁾ Bibl. Warsz., l. c., 155.

nowej drodze. Drugim, jeszcze ważniejszym, było małżeństwo delfina z królową polską, Maryą-Józefą, urzędowo zdecydowane w październiku.

Zbliżenie do Francji pociągnęło za sobą, przynajmniej na pozór, pewną poprawę stosunków Saksonii z Prusami. „Jestem Prusakim od stóp do głowy, — deklarował się Argenson, — albowiem jestem dobrym Francuzem“. Z takiego stanowiska wychodząc, czynił wszystko, co było w jego mocy, aby Augusta naprawdę pogodzić z Fryderykiem. Planom reformy polskiej, z jakimi nosił się August i jego doradcy, nie chciał okazać się przeciwnym minister francuski; chciał natomiast zaszcześcić w królu ufność, iż tych planów, a więc aukcyi, przedewszystkiem zaś ustalenia sukcesyi, łatwiej dopnie przy pomocy Francji i Prus, aniżeli za zgodą Austrii i Rosyi. Zresztą Argenson nie ludił się bynajmniej co do niebezpieczeństw, zagrażających Rzepltej od Prus; owszem, z niepowszednią przenikliwością zdawał sobie z nich sprawę; wszakże, dla celów swojej polityki bieżącej, rad był uspić najzasadniejsze z tej stron obawy opinii publicznej w Polsce. Ten francuski polityk był tutaj zaprawdę bardziej pruskim od pruskiego króla. Instrukcyja z marca t. r., jaką dał na drogę do Warszawy swemu wysłannikowi, Casterze. pozostanie pod tym względem jednym z najbardziej kompromitujących pomników dyplomacyi francuskiej, na równi z memoryałem Praslin'a i wnioskiem Robespierre'a.

Wolimy już tym razem zachowanie się Fryderyka. Było nie tak dwuznacznem. Trzymał się on otwarcie na tem samym stanowisku, co przed dwoma laty: nie chciał słyszeć o naprawie Rzepltej. Kiedy poseł francuski, Valory, podczas przejazdu Castery przez Berlin, napomknął ministrom pruskim o ewentualności poparcia reform polskich, otrzymał wyraźną odpowiedź, iż „w interesie Francji i Prus należy zapobiedz wszelkim próbom zapewnienia korony (polskiej) synowi panującego króla, jak również wzmocnienia wojsk Rzepltej“. Argenson łatwo dał się przekonać. W instrukcyi z lipca t. r., dla posła Issarts'a: udającego się również na sejm warszawski, w wyrażeniach nader oględnych, nader zawitych, lecz dostatecznie wyraźnych, zlecił mu, ażeby z zachowaniem pozorów, bez narażenia świeżej zażyłości z dworem saskim, niemniej przecie w myśl życzeń pruskich przeszkodził dojściu projektowanej na sejm reformy. W tym samym oczywiście duchu, jeno dobitniej, brzmiały skazówki Fryderyka dla posła pruskiego w Warszawie, Klinggraeffena. „Rzez główna, — zerwać sejm *a tempo*, skoro dojdzie do aukcyi wojska, lub nieprzyjaznych dla mnie sojuszów“. Jednak teraz był dużo spokojniejszy, niż przed dwoma laty. Iż wtedy był bardzo zaniepokojony, wątpić niepodobna, gdyż wtedy w Grodnie

wydał nieco gotówki. Obecnie uprzedził Klinggraffena, że starczy samej wymowy, perswazyi, i niema potrzeby narażać się na koszta. Miał najzupełniejszą słuszość, jak najtrafniej ocenił sytuację.

W rzeczy samej, z relacyi des Issarts'a, w tym czasie ze wszystkich posłów zudzoziemskich najlepiej może wtajemniczonego w zamysły Augusta i Brühla, okazuje się niezbitcie zupełna beznadziejność projektów sejmowych. Dwór ciągnął w jedną stronę, za aukcją wojska i sukcesyą ks. Ksawerego; Czartoryscy — w drugą, za sojuszem z Rossyą; opozycya republikańska — w trzecią, za niedojsściem sejmu. W tej ostatniej intencji zeszli się ostatecznie wszyscy: i dwór, który nie mógł akceptować propozycyi książąt, osadzenia wojsk cudzoziemskich po województwach zamiast aukcyi; i książęta, związani z Rossyą i Austryą, zaskoczeni z nienacka, dotknięci przez odnowienie przyjaźni francuskiej. Co najważniejsza, brakło teraz wszelkiej pomocy obcej dla uskutecznienia reform. W istocie, projektowana naprawa 1746 r. była pierwotnie w analogicznym stosunku względem przymierza warszawskiego z 1745 r., jak projektowana naprawa 1744 r. względem przymierza wiedeńskiego z 1743 r. Ale wówczas można było liczyć na szczere poparcie Austryi, pomoc materyalną Anglii, zgodę Rossyi. Teraz nowy zwrot polityki drezdeńskiej ku Francyi wywołał zmianę radykalną. Wprawdzie jeszcze traktat petersbuski ausrto-rosyjski z czerwca 1746 r. obliczony był na przystąpienie Rzepltej, a tem samem powinien był sprzyjać pomyślnemu końcowi sejmu. Lecz wiadomość o dokonanyim potajemnie traktacie z Francyą, o zamierzonym małżeństwie delfina, musiała zbudzić podejrzenia i niechęć w Wiedniu, Petersburgu, Londynie. Teraz, po subwencyi francuskiej, nie masz pieniędzy angielskich na sejm; Austrya trzyma się zdala od spraw sejmowych; Rossya wprost występuje przeciw projektom naprawy. Bestużew, który na sejmie grodzieńskim otwarcie szedł z dworem, obecnie w ostatniej chwili stara się o zepsucie sejmu. „Mojem zdaniem najlepiej będzie utrzymać Polaków w nierządzie i osłabieniu, aukcyi wojska nie dopuścić..., a nawet zapobiedz dojsciu sejmu, zachowując wpływ W. C. M. na sprawy tutejsze“. Sejm warszawski 1746 r., z góry pozbawiony pomyślnych warunków, jakie zaprzepaścił sejm grodzieński, z góry był skazany na zaturę ¹⁾.

¹⁾ instr. Castery, 20 marca 1746 r.: ils ne doivent pas être sans crainte, que deux voisins aussi dangereux se concilient ensemble ne voulussent s'approprier de concert l'un la Prusse royale, l'autre une grande partie de la Lithuanie, auquel cas ou ne voit pas ce qui pourroit garantir de ces démembrements la république de Pologne. Le sr. de Castera... s'attachera sur toutes choses à détruire les craintes qu'il pourra remarquer dans leurs esprits contre les desseins du roi de Prusse: instr. dla

Zastrzegamy, iż w postrzeżeniach powyższych ograniczyliśmy się do najniezbędniejszego wykreślenia sytuacji, wyłącznie z uwagi na losy sejmu warszawskiego. Negocjacje 1746 r. należą do najważniejszych i najawansowanych w historii dyplomatycznej ubiegłego stulecia. Zbliżenie między Saksonią a Francją było wstępem do dokonanego po dziesięciu latach sojuszu między Francją a Austrią. Jednoczesne przymierze między Austrią a Rosyją było wstępem do wynikłych po czterdziestu latach związków sprzymierzeńczych. Były to zaczątki głębokiego przewrotu w stosunkach politycznych Europy, który sprawił wojnę siedmioletnią i jeszcze u schyłku stulecia zdecydował o losach świata przy wybuchu wojen rewolucyjnych. Zakładamy sobie na innem miejscu i w innym związku szczegółowiej rozważyć te wielkie sprawy.

Dyaryusz sejmu 1746 r. nie był dotychczas znany. Z kilku zgodnych w głównej treści odpisów wybieramy następujące wyjątki ¹⁾.

Sessya pierwsza, Poniedziałek, 3 października... „Kazanie na otwarciu sejmu w farze miał J. X. Wołowicz, pisarz I., super thema, ex epistola Pauli ad Epheseos: observo vos ut digne ambuletis in vocatione qua vocati estis, servare solliciti unitatem spiritus in vinculo pacis; drugie ex evangelio Matthiae: ut quid cogitatis male in cordibus vestris; radził zgodnie radzić, zapowiadał zgubę, cytował tekst Daniela: et apparuit super parietem digitus scribens“... Horain, poseł wileński, zagaił sessyę, „dziękując Bogu za konserwacyę narodu polskiego w po-

des Issarts'a, 31 lipca: s'il n'est pas possible de parvenir a concilier les vues du roi de Pologne et du roi de Prusse sur les principaux points dont il sera question dans la diete, ... il (poseł) doit sur toutes choses prendre garde que le caractère dont il sera revêtu ne se trouvât compromis, s'il paroissoit vouloir contrecarrer directement et ouvertement le roi de Pologne, — jest-to sens moralny tej całej długiej instrukcyi, Farges, II, 57 sq., 93; Vitzthum, Gesch. d. sächs. Cub., 112, Broglie, Marie-Therèse, impératrice, II, 335 sq., oraz Maurice de Saxe et le marquis d'Argenson (1891). I, 304 sq. Fryderyk do Podewilsa, 18 lipca, i instrukcyę dla Klinggraeffena. P. C., V. 136. 197 pass.; relacya des Issarts'a. ogł. przez W. K(alinkę), Bibl. Warsz., 1853, III, 455 sq.; doniesienie Bestużewa, 22 paźdz., u Sołowiewa, XXII, 142 sq.; Bestużew otrzymał na zepsucie sejmu 10 tys. rs., z których jednak nie miał potrzeby wydać ani grosza.

Przedstawienie rzeczy u Waliszewskiego, Pot. i Czart., I, 63 sq., zgoła fałszywe; stwierdzamy przy tej okazji, iż odkryty tutaj memoriał Błędowskiego z paźdz. 1746 r., jest znanym oddawna z ogłoszenia tej elukubracyi u Flassana, V, 292 sq.

¹⁾ ustępy w cudzysłowie dosłownie z dyaryusza; reszta w streszczeniu. Do wiadomości podanej przez nas na tem miejscu, l. c., nota, przydamy, iż w Arch. wied. w depeszach Kinnera z paźdz. i listop., znaleźliśmy bardzo dobry dyaryusz ła-ciński, zgodny ze znanymi nam odpisami polskimi.

koju, Królowi zaś JMCi pro sollicitudine indefessoque studio et documento ojcowskiego ku Rzepltej serca“, i podniósł łaskę, poczem przystąpił do głosowania, zaczynając od wdztwa krakowskiego. „Lecz W. Działyński, poseł poznański pierwszy zatamował głos, i tak tylko in silentio, a raczej in infructuoso murmure kilka strawiono godzin“. Działyński wykazuje „facunde, iż Wielkopolska prioritare tempore primum ma jus, Małopolska zaś vi nominis proporii posledniejsze ma prawo, ex quo accessit do Wielkopolski, i że Wielkopolanie po prawej ręce siadają, i którzy pierwsi są do podatków, do wszelkiej mieszczelności, a bez alternaty i bez swojej prerogatywy być mają“. Z przeciwnej strony przemawiają za pierwszeństwem głosów małopolskich Horain, Skarbek halicki, Męciński krakowski, Małachowski oświęcimski. Zgodzili się w końcu Poznańczycy pozwolić panom krakowskim pierwszeństwa pod starą łaską, zastrzegając je dla siebie pod nową. Jednogłośnie obrany marszałkiem Lubomirski, sta kaźmirski, na czem, po zwykłych mowach gratulacyjnych i dziękczynnych, salwowana sessya.

Sessya czwarta, 6 października. Marszałek ubolewa nad bezpłodnością dotychczasowych obrad ¹⁾: „timendum, żebyśmy nas samych i naszej wolności nie stracili, i to królestwo, co niegdyś innym dawało imperia, aby się nie stało derisio et divisio nationum“. Zabiello koniński oświadczył się przeciw sessyom, jako spóźnionym po obiorze marszałka, grożąc w przeciwnym razie ze swej strony wstrzymaniem obrad. Marszałek, „nad wątpliwością zgody i niezgody pro et contra concertantium zadumiany, na obie strony żalonym spoglądając okiem, do zgody animował, pytając się, jeżeli ma izba zostawać sub passivitate na cóż się tedy tu zjechaliśmy; interea JMP. oświęcimskich o powrócenie activitatis wczoraj zatamowanej upraszał. Szlachty z protestacyami wychodzących i rugów wyglądających, było wiele, którzy głośno wołali o rugi; w tem panowie posłowie, powstawszy z miejsc swoich in longo murmure persistebant“. Sapieha, łowczy l., radzi posłać do króla, „aby nam chciał jakie z łaski pańskiej providere medium, ponieważ i litewska prowincya także stitit activitatem... Było pro et contra interlocutorie et confuse extra loca concertantium niemało objekeyi, ale partykularnych. Skarbek, Jackowski kaliski i in., przeciw rugom, za niezwłoczne przystąpieniem do obrad. Już marszałek decyduje

¹⁾ Na poprzedniej sessyi Mikucki wiski, za nim Małachowski i wielu in., gwałtownie upomnieli się o rugi; „tymczasem szlachcie wyszedłszy, cały aktorat z dwunastu dekretami, jako powiadał trybunałskimi, prezentował i zatamował activitatem“.

się na rugi, lecz nie masz zgody, „alii affirmative, alii negative odpowiedzieli“, na czem salwowana sessya.

Sessya szósta, 8 października. Marszałek wyraża radość z pomysłnego załatwienia sprawy rugów ¹⁾. Działyński upomina się o deklarację alternaty, uczynioną przez województwo krakowskie pod starą łaską. Sierakowski sandomierski wraca do materji rugów, żądając, by posłowie dobrzyńscy, nieoczyszczeni dostatecznie z wyniesionych zarzutów, pozostawali in passivitate, „co się i na tych ma extendi, którzy, unikając rugów, na pół sejmu dopiero stanąć mają, o których sam wie.“ Marszałek i Horain obiecują ściśle podług prawa sprawdzać mandaty opóźniających się posłów. Tarło podolski „zalił się, że zasłużeni w ojczyźnie ad panem benemeritorum docisnąć się nie mogą; objećci także JP marszałkowi, że dla polityki tylko exquisit sensum JP posłów, kogo-by rekomendowali do wakansów, a wszystkie już te są rozdane, o czem i gazety publiczne są napełnione.“ Granowski—rawski, uprasza, aby obcokrajowcy, w myśl paktów konwentów i konstytucyi 1583 i 1588 r., „żadnych w Polsce nie mieli funkcji, i aby marszałek o tem majestatem informować raczył.“ Marszałek sprawę wakansów puścił per turnum, lecz, gdy dawał głos pierwszy posłowi poznańskiemu, panowie krakowscy ruszyli się z miejsc z hałasem i mówić mu nie pozwalali. Męciński radzi, „aby ten interes (wakansów) per interpositionem ministrów był decydowany w domu, nie w izbie.“ Gorąco wznowiona rozprawa między posłami krakowskimi a poznańskimi o pierwszeństwo, na czem solwowana sessya.

Sessya dwunasta, 15 października. W obecności króla odczytane pakta konwenta oraz uchwały rady senackiej grodzieńskiej. Po podziękowaniu Załuskiego za biskupstwo krakowskie, następuje oddanie pieczęci w. k. Małachowskiemu, zwykłe mowy gratulacyjne i dziękczynne. „JP Kanclerz w. k., stanąwszy przy tronie, oświadczył się stanom Rzpltej, że JKM. żadnych od tronu nie daje propozycyi, cale się spuszcza na Stany Rzpltej, że to przejrzą, co potrzebnego i najzbawienniejszego do utrzymania interna et externa tranquillitatis będzie, i na to wszystko JKM gotów przystać; atoli jednak rekomenduje zmocnienie sił Rzpltej, na którem cała zawisła wszystkich państw ca-

¹⁾ na poprzedniej sessyi zarzucone były kondemnaty Zielińskiemu płockiemu, Dąbrowskiemu żytomierskiemu, oraz Działyńskiemu i Podoskiemu—dobrzyńskim, lecz po długiej dyskusyi wszystkie „te manifesty, które bardziej personas posłów, niż ziemi dobrzyńskiej tykały, annihilowane zostały.“

łość ¹⁾). 2-o zaleca JKM. bezpieczeństwo handlującym, zniesienie ceł i myt partykularnych i zmniejszenie ceł Rzpltej, przez co upadła obywatelów do kupiectwa ochota wzbudzi się i intrat znaczna będzie aukcyą. 3-o konserwacyę miast przy prawach dawnych, wprowadzenie rzemioł różnych i rzemieślników, a nietylko lustru krajowi przydadzą, ale i te pieniądze, które teraz wychodzą, w kraju się zostaną. 4-o gór olkuskich reparacyę, bicie monety, ponieważ dalej cyrkulacya mniejszych pieniędzy ustanie, będąc teraz tak rzadka. 5-o sprawiedliwość, tak w trybunałach, jak w innych szwankującą sądach, poprawić. 6-o ustanowienie nowych taryf lustracyi starostw. 7-o oświadczenie dobrej ze wszystkimi potencyami przyjaźni, jako jest potrzebne, JKM. życzy przyprowadzić do skutku konstytucyę ann. 1726 et 1736 przez reassumpcyę konferencyi z pełnomocnymi sąsiedzkich potency ministrami. 8-o Kurlandya, ogolocona z księcia swego, który z interesów państw rossyjskich sam sobie prokurował upadek, dowód swego posłuszeństwa we wszystkich pokazała cyrkumstancyach, więc zaleca JKM, aby swoje od Rzpltej miała posiłki ²⁾).

Sessya dwudziestu, 25 października. Czartoryski—wislicki, domaga się, aby nareszcie odczytać projekta i wcześniej na żadne nie pozwolić glosy. Czeczott braclawski sprzeciwia się odczytaniu. Granowski występuje z illacyą o oddanie cudzoziemcowi pocztmistrzostwa. Po długich sporach następuje odczytanie projektów od tronu przez Latańskiego, sekretarza k: „quoad primum, że ponieważ postronne potencye z tem się ku Rzpltej oświadczyły, że nietylko dawne foedera illae se et sacrosancte obserwować, ale, co większa, ścisłą na dalsze czasy przyjaźń zachować obiecują, zaczem Rzplta wzajemną ad mentem konstytucyi 1726 et 1736 ann. oświadcza się przyjaźnią “ Jełowicki kijowski pragnie „rzeszonych konstytucyi nie specyfikować, ale tylko sub data anni praesentis amicitiam cum vicinis oświadczyć.“ Czeczott żąda illacyi w tym projekcie o gwałtach od wschodu oraz kozackich. Męciński uskarża się na napaści od granicy węgierskiej. Czartoryski nalega, aby czasu na poszczególnych preteusyach nie tracić, kontynuować czytanie projektów; sam w swojej instrukcyi ma osmdziesiąt punk-

¹⁾ skp. bibl. ord. Krasińskich ma tutaj takie brzmienie: „zalecił JKM PNM smocnienie się Rzpltej, widząc na każdym sejmie generalną do tego żądzę, toż samo i teraz potwierdza, widząc dobrze, że strażą żołnierza wszystkie się utrzymują państwa; ale kiedy zbawienna propozycya nietylko znajduje wielkie trudności, lecz i do rozjęcia sejmów bywa okazyją, zaczem JKM, oddawszy ten punkt czyli dobremu czasowi, czyli na los fortuny, do wewnętrznej państwa ekonomii myśl swoją obraca.“

²⁾ „we wszystkich dolegliwościach“ przydaje skp. bibl. ord. Krasińskich.

tów grawaminów, które przecież na późniejszą porę odkłada. Czytany drugi projekt „tak o pospolitym ruszeniu ad mentem konstytucyi ann. 1621, 1624 et 1677, ażeby ad omnes casus Rzplta była gotowa, jako też o prezentowaniu się suo loco et tempore sub praescripto vigore,“ na który powszechna zgoda.

Sessya trzydziesta druga, 7 listopada. „Marszałek te przynajmniej zakończyć życzył projekta i iść z niemi ad beatificam JKMPNM visio-nem, które już są czytane, approbowane i podpisane, inne zaś, na które z niejakiego skrupułu zachodziły kontradykcye, do przyszłych sejmów w reces odłożyć zalecił. Zaszedł potem universalis assensus a propinatione wszelkich trunków dziesiąty szeląg na aukcyę wojsk ofiarować, także i na pogłównę żydowskie, ażeby bogatszy żyd talar bity z domu swego, średni pół talara, uboższy i rzemieślnik złotych dwa, lat zaś piętnaście mający et ulterius groszy piętnaście zapłacili. I lubo W. Grabowski, poseł inflancki, dla pewniejszego procentu żydów wszystkich annexerę glebae usiłował, na to jednak inni Ichm. z JP. Wereszczyńskim, posełem chełmskim, nie zezwolili, mówiąc, żebyśmy na potem arendatorów nie dostali, i że gdy żyd podupadnie, nikt mu nie może praeccludere viam, ażeby nie miał pójść na żebraninę. IP Czartoryski, poseł sandomierski, similiter o żydach, aby glebae annexi byli, ad sensum IP Grabowskiego referował się, twierdząc, że, jak włożą na nich ciężki podatek, zadłużą się i pouciekają i miasto za nich wyderkafy i inne podatki będzie wypłacać musiało. Lecz na tę propozycyę wielu Ichm. z IP Walewskim, posełem sieradzkim, turmatim nie pozwoliło“, na czem bez skutku solwowana sessya ¹⁾).

Sessya trzydziesta siódma i ostatnia, 14 listopada. „Marszałek animował, aby zaczęte obrad publicznych prace do pożądanego na tym dniu przynieść raczono końca i z niemi iść gloriose in adorationem na tronie oczekującego Pana“ ²⁾). Czytane projekta komissyi podatkowej i cła generalnego. Ale posłowie „vario sensu przymawiając się, mało co nie przez cały dzień pro et contra z sobą certowali, meliorując aliter et qualiter, jak się komu podobało. I na te projekta, et ultimate na projekt cła generalnego, znoszący cło brzesko-litewskie, godziną

¹⁾ na następnej nazajutrz sessyi, Mokronowski warszawski otwarcie wskazał sekret ciągłych zbroceń w obradach: „jedna materya, upadłszy, tysiąca ma sobie racyi et in varias pro libitu cuiusque distrahit partes, dla pokrycia politycznych tych Ichm. sposobów, którzy-by dla utajonej prywaty, dojścia sejmu nie chcieli.“

²⁾ podł. skp. bibl. publ. warsz., podobnież i Horain „lubo dla krótkości czasu, byle była zgoda koronnych, skutek jeszcze sejmowi tuszył.“

przed wieczorem obiedwie prowincye koronne między sobą zgodziły się. Na co Ichm. litewscy obruszyli się, nie pozwalając na tak znaczny skarbu WXL deces przez zniesienie cła brzeskiego, które ab aevo practicator. Pomieniona kontradykcya specialiter cła generalnego w ciemny zmrok zabrnęła, tak, iż już litewskich projektów bez świec czytać niepodobna było, na które, gdy ad requisitionem x. marszałka ultra mentem prawa zezwolić nie mogli, ani chcieli, unanimi voce pożegnania dopraszali się ¹⁾, których votis annuendo, IP marszałek izbę poselską pożegnał, hac adjecta in bonos benedictione: angelus comiteur cum eo, kto zaś jest okazją rozejścia się sejmu: stet diabolus a dextris ejus.

Na zakończenie jeszcze niektóre ustępy z doniesień austriackich:

Kinner do Ulfelda..

Warszawa, 9 listopada 1746 r.

...wydaje się niezawodnem, iż Francya, związana obecnie z dworem elektorskim saskim przez małżeństwo księżniczki Józefy, nosi się nadto z innemi niebezpiecznemi zamiarami. Siostra (Maryi-Józefy), księżniczka Maryanna, odkryła pewnej zaufanej osobie ze swego otoczenia, iż czynią się starania względem małżeństwa ks. Ksawerego z jedną z mesdames de France, przyczem Francya była-by pomocną rzeczonemu księciu do otrzymania korony polskiej.

14 listopada.

Sejm tutejszy ma się ku końcowi, a jeszcze w izbie poselskiej nie nastąpiła zgoda między Wielkopolską, Małopolską i Litwą względem wniesionych projektów pro augendo milite et correctura tribunalium

¹⁾ skp. bibl. publ. warsz.: „*et gdy sera nox jui nastąpiła, tak, że sami siebie rekonoskować nie mogli, zatem IP Święcicki, poseł miński, o świece dopraszał się, na co gdy wszyscy Ichm. ultra mentem prawu pozwolić nie chcieli, lucem fujendo et tenebras amplectendo junctis vocibus o pożegnaniu dopraszali się.*“

in administranda justitia. Żadnej już niema nadziei owocnego zakończenia sejmu, tem bardziej, iż poseł francuski niemal jawnie miesza się do polskich spraw publicznych, a nawet złożył królowi spis wszystkich osób, które, jego zdaniem, są przychylne, lub też przeciwne dworowi. Wynikną stąd niechybnie niesnaski, a nawet łatwo wyrodzić się może konfederacya przeciw królowi.

19 listopada.

Król tak dalece jest niekontent z ponownego niedojścia sejmu, iż nawet nie chciał zwołać senatores i ministros status na odbycie senatus consilii, jako jest zwyczajem in casu ruptorum consiliorum. To też większość dygnitarzy już rozjechali się do domów, jakkolwiek wyjazd dworu oznaczony został dopiero na 12 grudnia. Do niedojścia sejmu przyczyniły się skargi posłów z powodu nadużyć, popełnianych w kraju przez lekkie wojska saskie; jak niemniej osadzenie na znacznych urządach cudzoziemców lub akatolików. Długa nieobecność króla w Rzpltej również dała powód do żalów. Zresztą są to wszystko rzeczy przeciwne paktom konwentom. Głównym atoli powodem niedojścia sejmu była ta okoliczność, iż poseł francuski przedstawił królowi w nieprzyjaznem świetle niektórych magnatów, dotychczas wiernie trzymających z dworem, co mocno dotknęło tych panów i może pociągnąć za sobą dalszą fermentacyę umysłów. W dodatku, familie, będące w posiadaniu znaczniejszych starostw, tem mniej życzyły sobie dojścia sejmu, ile że w razie uchwalenia funduszu pro augmento militis, były-by zmuszone płacić znacznie większe, niż dotychczas, quantum ze swoich starostw, à proportion czwartej części dochodu. Jest to pobudka główna, dla której pod różnemi pozorami kazały w sekrecie swoim kreaturom w izbie poselskiej przemawiać przeciw lustracyi istotnych dochodów ze starostw i taryf, a tem samem niedopuszczyć niezbędnego dla dojścia sejmu consensus omnium et singulorum. Posłowie tym razem stawili się w liczniejszem komplecie, niż kiedykolwiek widziałem na uprzednich sejmach; było ich 260 osób; zaś należy dodać, iż brakło deputatów trzech województw pruskich, za zerwaniem tamtejszego sejmiku.

SZYMON ASKENAZY.

Sprostowanie. W „Materiałach i Notatkach“, sierpień, str. 344, wiersz 24, zamiast *pensare*, czyt.: *pentere*.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Die polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie“; von dr Heinrich von Struve, professor der Philosophie an der Universität zu Varschau. Berlin, 1895.

W kołach naszych literacko-naukowych była niejednokrotnie mowa o napisaniu monografii, obejmującej historię filozofii w Polsce, dzieła, które-by stanowiło najważniejszy przyczynek do ogólnych dziejów cywilizacji narodu. Uważano to nawet za rzecz tak ważną, iż proponowano w tym celu ogłoszenie konkursu; tylko, jak wiele innych rzeczy, propozycja spełzła na niczem. Że jednak była ona rozsądną, przekonywa świeża, pod powyższym tytułem, praca prof. Struwego. Powiadamy „praca”,—i istotnie, tym tylko wyrazem, w całej jego moralnej i materyalnej rozciągłości, nazwać można rzecz, która, mrówczą skrętnością, z mnóstwa drobnych szczegółów systematycznie ułożona, daje wyborną podstawę do wielkiej budowy, jaką właśnie była-by wzmiankowana przez nas historia filozofii w Polsce.

Pr. Struve, jakby przewidując lub przeczuwając blizkiego do pracy takiej ochotnika, podaje mu cały materiał bibliograficzny, z mnóstwem cennych wskazówek i orzeczeń, a zwłaszcza wymieniając, z miejsca, daty i stronicy, wszystkie źródła krajowe, w danym razie i obce, tak, iż w wielkiej części ułatwia lub i zgola niepotrzebną

czyni przyszłemu historykowi ciężką robotę szperacza, którą z zadziwiającym mozolem wziął na siebie samego. Jeżeli zaś przypadkiem pominął, to chyba jakiś drobiazg, ale w części największej rozłożył on, jakby na stole, przed oczyma przyszłego badacza, wszystko, co potrzebnem jest do utworzenia wiekowego obrazu dziejów filozofii u nas.

Niech jednak czytelnik, z tego co powiedziałem, nie wnosi, żeby to miał być szkic jakiś, próbka właściwej historii filozofii naszej. Wcale nie: jest to tylko opowiadzenie, ale opowiadzenie umiejętnie i bardzo szczegółowe, jak się *literatura* polska od najdawniejszych czasów miała do właściwej filozofii, bądź własnej, bądź obcej; boć przecie,— i w całym wywodzie p-ra Struwego przegląda to rozróżnienie—inna rzecz jest być samemu filozofem i pisać traktaty filozoficzne w większym lub mniejszym zakresie, inna, przy pewnym ukształceniu filozoficznym i znajomości rzeczy, pisać o cudzych pracach filozoficznych, być ich sprawozdawcą, lubo i oba te kierunki łączyć się mogą w jednej osobie. Owóż za zadanie swej obecnej pracy autor położył sobie ten drugi kierunek; z samych jednak warunków dobrego przeprowadzenia rzeczy wynikło, że, przynajmniej w znaczeniu bibliograficznym, dostało się sporo miejsca temu, co do pierwszego kierunku należy.

Ażeby w tym lesie spostrzeżeń dać możność zorientowania się, autor rozłożył naprzód pracę na dwa działy główne. W pierwszym mieści się to, co literatura nasza powiedziała o dziejach filozofii, wyłącznie polskiej; w drugim, co powiedziała o dziejach filozofii powszechniej. Działy te mają znowu swoje poddziały. W pierwszym wymienia autor nasamprzód tych, co zajmowali się sprawozdaniem z całości dziejów filozoficznych u nas; następnie odbywa przegląd prac, traktujących o oddzielnych epokach lub pojedynczych pisarzach. Podobny systemat wprowadza i do działu drugiego, któremu nadto przypadają kategorie oddzielnych umiejętności filozoficznych, albo też idących w porządku narodów. W chronologicznym, przy każdym dziale czy podziale, szeregowaniu prac, autor okazał się tak sumiennym i cudze usiłowania szanującym, że nie tylko nie zapomniał o żadnej książce, ogłoszonej w języku polskim, lub przez Polaka w obcym, ale powołuje się nawet na artykuły, pomieszczone w różnych czasopismach i z różnych lat, nie mające odbitek.

Nie wina autora, że, wycisnąwszy z tego czterowiekowego zbioru wszystko, co tylko z filozofią ma związek, otrzymamy może mniej nawet (mówiąc już tylko liczebnie), niż gdzieindziej daje jedno jakie pokolenie; lecz nie sama przecież filozofia nasza zostaje w takim stosunku do Europy zachodniej; podziela ona losy wszystkich innych gałęzi umysłowych. O tyle ona bardziej od innych jest u nas upośledzoną, że, bez względu na dawność i liczebność, społeczność nasza

w niektórych innych gałęziach umiejętności zdobyła się choć na kilku wszechświatowych koryfuszów, gdy w filozofii, nasi nawet najwięksi nie posiadli znaczenia europejskiego, choćby takiego, jak z pobratymców naszych Czech Komeński i Chorwat Boskovic; chyba, że do swoich zaliczymy (i poniekąd słusznie, jakkolwiek kształcił się na wzorach niemieckich i po polsku nie pisał), Kantystę, żyda nowogrodzkiego, Salomona Majmona, który, lubo myśli w kierunku wielkiego mistrza, ale ma też nieco swoich własnych poglądów (w duchu sceptycznym), jednających mu małe miejsce, własne, w panteonie filozoficznym. Ktokolwiek zatem zna nieco przebieg spraw filozoficznych wśród narodów nowoczesnych i wie, jak tam pracowała myśl, która pomiędzy tylko wiekiem IX a XV, to jest do epoki Odrodzenia, wydała przeszło sto znakomitych nazwisk. począwszy od Alkuina, temu smutno robi się w duszy, gdy mu pr. Struve, widocznie usiłujący cudzoziemcom przedstawić nasz udział jak można najlepiej, podłoży pod oczy cztery, pięć, dajmy na to dziesięć nazwisk przez wszystkie wieki historycznego istnienia narodu, nazwisk, zdolnych rywalizować do pewnego stopnia z tamtymi, i to nie z pierwszego szeregu.

Jak cały ruch umysłowy, tak i filozoficzny, zapoczątkowywa się u nas dopiero w wieku piętnastym. Fr. Krupiński, w dodatku do przekładu Schweglera, na czele tego ruchu stawia Jana z Głogowy, który umarł w r. 1507; pr. Struve, we wstępie do swego „Wykładu systematycznego logiki”, sięgnął jeszcze wyżej, i wśród przodowników reformy wynalazł nominalistę, Mateusza z Krakowa, kwitnącego na złamie czternastego wieku z piętnastym. Krupiński i Struve (pomijając pobieżny rzut Hankiewicza, w niemieckim języku napisany), są jedynymi pisarzami, którzy odbyli przegląd całkowitego u nas ruchu filozoficznego, aż po swój okres, a jeżeli prace ich nie mogą jeszcze rościć tytułu do miana wyczerpującej historii filozofii, zasługa ich wielka jest w tem, że ją wyczerpująco naszkicowali i ułożyli ramy. Obszerniejszym jest zarys pr. Struvego; ale treściwszy Krupiński zyskuje niezapomniane uznanie przez to, że pierwszy wydeptał ścieżkę na drodze, przed nim zarosłej chwastem, co mu też przyznaje współzawodnik jego, prof. Struve ¹⁾. Oprócz tego, szczęśliwą Krupiński miał myśl podania w swym zarysie nietylko prac, oznaczonych urzędowymi cechami filozofii, ale usiłował wykryć błakającą się tu i owdzie myśl filozoficzną wśród pism innej natury i podać ją jako zamię epoki. Bardzo małą on wreszcie wagę przywiązuje do tej naszej filozofii przed wiekiem

¹⁾ Den ersten Versuch, die polnische Philosophie in ihrer historischen Entwicklung als ein Ganzes darzustellen, unternahm 1863, F. Krupinski, str. 10.

dziewiętnastym, więcej ceniąc filozofię praktyczną, rozrzuconą po piśmiach naszych humanistów. Prof. Struve nie jest tak radykalnym, nie odbiera znaczenia żadnemu na tem polu zjawisku; przyznać jednak zmuszonym jest, że nasi nawet najgłośniejsi koryfeusze filozoficzni do by ostatniej, umysły niezaprzeczenie wyższe, nie mają w sobie oryginalności i postępują jedynie drogą, wskazaną przez Hegla, zbaczając w strony, niekoniecznie łączące się z punktem wyjścia, ażeby nie dobieg do panteizmu.

Jeżeli niewielu pisało o filozofii naszej, jako o całości, sporo za to posiadamy dzieł, traktujących o jej pojedynczych objawach, i są to może najdrogocenniejsze karty naszej literatury: krytyka, monografie, oparte na badaniach samodzielnych, roztrząsające naturę umysłów wpływowych, poruszające sprawy, połączone z powszechnym ruchem myśli narodowej i zmuszające do częstego zaglądania w archiwa. Jakkolwiek zatem owi wielcy koryfeusze nasi, począwszy od Trętowskiego, nie wcielili się w ruch europejski, hołd im należy się za to, że oni to, młodzi wówczas zapaleńcy, wielbiciele nauki Hegla i Szellinga, w pięknym, wykwintnym, a często ognistym języku, „nowości potrząsając kwiatem”, — zbudzili uśpiony w społeczeństwie naszym instynkt filozoficzny, przejęli zapałem dla tej nauki, która, lubo na razie nie wydała sama przez się owoców świetnych, ale pogłębiła myślenie, wskazała wyższe kierunki, nadała lot myślom, czego natychmiastowe okazały się skutki we wszystkich gałęziach literatury bieżącej, zwłaszcza w belletrystyce: dość zajrzeć do współczesnych czasopism, jak „Przegląd naukowy” i „Biblioteka Warszawska”, które też w imię działalności tych koryfeuszów, jak Trętowski, Cieszkowski, Libelt, Kremer, powstały, — nie licząc już „Roku” i „Orędownika Poznańskiego”, gdzie prace ich obrwały sobie bezpośrednie ognisko, — dość porównać je z czasopismami poprzedniemi, ażeby się przekonać, jaki niesłychany przewrót głos tych koryfeuszów wytworzył w piśmiennictwie naszym, przewrót, odbijający się zarówno na treści i doniosłości mowy pisanej, jako na jej formie i stylu. Co większa, ruch, nadany podówczas, nie ustał dotąd i trwa w całej swej sile, modyfikowany stosownie do ducha czasu i umiętliwości. Wysokość, z jakiej mistrze ci spoglądali na rzeczy świata i myśli, narzuciła się sama przez się, jako warunek, piszącym, i dziś jeszcze w oczach ogółu odróżnia ona prawdziwego literata od pospolitego bazgracza, choćby umiał gładko frazesy ustawiać. Koryfeusze ci sprawili, że piśmiennictwo, w jakim bądź rodzaju, przejęło się myślą filozoficzną, i nadal sobie to za warunek położyło. Nie dziw też, że odnoszące się do zbadania u nas tej epoki prace, na których czele stoi, jak mnie się zdaje, Tyszyński, a ciągnące się aż do Krupińskiego, Struvego i Straszewskiego, którym w swym obecnym przeglądzie nie

mieckim autor zaledwie dziesięć stronic poświęca (dla obcych może nie mają one tego znaczenia), stanowią—po pracach historycznych—najsławniejszy dział literacki ostatniego wieku.

Najobszerniejsza mozaika autora dotyczy naszej literatury, objaśniającej filozofię powszechną, i nie dziwnego: prac tych posiadamy daleko więcej. Nasamprzód, przedmiot jest nierównie obszerniejszy; powtórę, główniejsi myśliciele świata byli już tylokrotnie i tak wszechstronnie opracowani przez obcych, że każdy nowy komentator znajduje na tem polu drogi ułatwione, gdy przy pracy nad autorem własnym trzeba ich dopiero wyszukiwać. Wprawdzie i tu samodzielność pisarza, przy zastanawianiu się zwłaszcza nad zjawiskami epokowymi, ma jeszcze wiele do wyzyskania; ale wobec takiej masy opracowań poprzednich bardzo trudno jest sprawdzić i odróżnić kompilację od pracy samodzielnej. Niemniej jednak z zadowoleniem ujrzy każdy w tej części książki pr. Struvego wielką obfitość prac, w krótkim stosunkowo czasie dokonanych; bez względu bowiem na kilka dawniejszych próbek, zastanawianie się nad dziejami powszechnemi filozofii rzeczywiście rozpoczyna się naprawdę dopiero w okresie Heglowskim, trwa zatem mało co więcej od połowy wieku. Wychodzą dzieła tomowe, broszury, monografie, rozprawy, artykuły, a im dalej, tem liczniej i umiejętniej; literatura filozoficzna opracowuje nie tylko pojedynczych autorów, ale całe okresy, sięga nawet mniej znanych, jak systemata indyjskie i chińskie; w ostatnich mianowicie czasach wzmaga się ten ruch sprawozdawczy, skutkiem wkroczenia do nas kierunku pozytywnego. Wszystko to znajduje chronologiczne zaznaczenie w książce naszego autora, aż po rok bieżący.

Praca pr. Struvego jest przeważnie bibliograficzną, wykonaną z tym widocznym celem dla jednego z czasopism berlińskich, poświęconych filozofii (*Archiv für Geschichte der Philosophie*); dlatego też, zrzekając się szczegółowych ocen, autor głównie obeznawa z treścią. Mniej przez to czytelnik dowiedzieć się może z tej książki wartościowego rozróżnienia pomiędzy jedną pracą a drugą, obszerniejsze tylko lub pobieżniejsze rozpisanie się służyć może za wskazówkę doniosłości i wagi, jaką do dzieła wymienionego przywiązuje autor, często po prostu na samym tytule i nazwisku pisarza. O rozwojowym postępie nauki filozoficznej u nas mowy tu być nie może, gdyż książka, powtarzamy, nie ma pretensyi być historią, lecz tylko dla historii ułatwieniem faktycznym. Lubo przeznaczona dla cudzoziemców, pilnie domaga się przekładu, dla nas bowiem służyć-by nawet mogła za warty podęcznik encyklopedyczny.

Konstanty Górski. Historia piechoty polskiej. Kraków, 1893. Stron 295.

Jakkolwiek literatura polska, odnosząca się do wojskowości, była w ubiegłych stuleciach dosyć bogata, dotąd nie posiadamy pracy, która by choćby nawet w sposób elementarny przedstawiła dzieje organizacyi i zarządu wojskowego w dawnym państwie polskim. W podręcznikach prawa państwowego z przeszłego wieku, jak np. Lengnicka, Skrzetuskiego, spotkać się można po prawdzie z ogólnymi wiadomościami, dotyczącymi wojska i władzy hetmanów, ale wszystkie owe traktaty, nie wyjmując nielicznych rozpraw, jak np. Bartoszewicza „o hetmaństwie”, dalekimi są od wyczerpania przedmiotu i zaspokojenia wiedzy specjalnego badacza. Nie tylko organizacya wojska i dzieje dawnego zarządu wojskowego polskiego były w pożałowania godnym zaniedbaniu, ale to samo dotyczyło i opracowania literatury wojskowej, pozostałej nam w spuściznie po ubiegłych wiekach. Pojedynczy pisarze wojskowi zwracali na siebie niekiedy uwagę dzisiejszych historyków, ale dotychczas nie posiadamy pewnego obrazu umysłowej pracy w dziedzinie wojskowości, która bywała swego czasu poważną i bynajmniej na lekceważenie lub zapomnienie nie zasługiwała.

Pojawienie się więc „Historyi piechoty polskiej” było dla literatury naszej faktem zewszehmiar pożądanym. Nasamprzód bowiem występował z rzetelnym naukowym dorobkiem pułkownik Konstanty Górski, znany już z ciekawych i starannie opracowanych opisów licznych wojen polskich, a następnie w przedmowie do swej „Historyi piechoty polskiej” powiadał czytelnika, że „traf szczęśliwy podał mu do rąk nieznane dotąd a bardzo ciekawe i cenne źródła do historii wojskowości w dawnej Rzeczypospolitej polskiej”. Historia piechoty polskiej, którą wzbogacił literaturę naszą, opierała się zatem na źródłach archiwalnych, dotąd niespożytkowanych, a w dodatku w przedmowie autor obiecał nam dać w przyszłości historię jazdy, historię artyleryi, a w końcu historię urzędów i urzędów wojskowych w dawnej Polsce — oparte również na źródłach dziejowych, dotąd nie wyzyskanych.

Piechota, stanowiąca dziś podstawę armii europejskich, zdaniem autora, była w Polsce bronią pomocniczą jazdy. Odgrywała też ona w Rzpltej zawsze podrzędną rolę i zostawała w cieniu, gdy jazda, jako broń główna, odnosiła wszystkie wawrzyny z pola bitew i wyrobiła sobie szeroki rozgłos w Europie. Do przyczyn, dla których w Polsce piechota rozwinąć się nie mogła, należy w części położenie kraju geograficzne i sąsiedztwo z narodami, które używały przeważnie jazdy do boju, a w części przesady szlachty polskiej, nie obce i szlachcie Europy

zachodniej: że tylko wojna na koniu godna jest szlachcica. Jeżeli dodamy do tego, że piechota w Polsce składała się przeważnie z mieszczan i włościan, i ze stanów upośledzonych w Rzpltej, to stanie się jasnym, dla czego broń ta zostawała u nas w poniewierce.

Studując piechotę polską ze źródeł pierwszorzędnych, pułkownik Górski przyszedł do wniosku, że w wieku XVI piechota nasza nie ustępowała, a nawet pod pewnym względem przewyższała piechotę europejską. Zaprowadzenie w Polsce piechoty węgierskiej w końcu XVI wieku może być uważane za postęp, choć używano jej czasem nieumiejętnie. Gruby błąd popełniono potem, że zamiast kształcenia własnej piechoty, w miarę postępu sztuki wojennej w Europie, stosownie do miejscowych warunków i potrzeb, wprowadzono żywcem piechotę niemiecką z wadliwym sposobem jej tworzenia z jej uzbrojeniem, szykiem i nawet z oficerami niemieckimi i niemieckim językiem. Gorszem daleko było, że zwykle nieliczna i zajmująca dotąd podrzędne stanowisko piechota polska cudzoziemskiego autoramentu, uchwałą sejmową z 1717 r., została sprowadzona do jeszcze szczuplejszej liczby, a w stosunku do potrzeby, można powiedzieć, do zera. Gdy należało się zbrojną Rzepltej ugruntować na piechocie i podnieść jej liczbę w stosunku odpowiadającym obszerności granic państwa i w proporcji do sił państw sąsiednich, rozwijano jazdę, która już w końcu XVII wieku znajdowała się w zupełnym upadku.

Pierwszą wzmiankę o piechocie w Polsce spotykamy u Długosza pod rokiem 1410. Dokumenta urzędowe, wydawane przez królów wojsku, jak: kwity, obligacye, rekognicye, i assekuracye, świadczą również o obecności piechoty w wojsku polskiem XV wieku. Z innych znowu dokumentów, mianowicie z tak zwanych litterae indemnitate, któremi królowie obowiązywali się szkody poniesione przez żołnierzy na służbie wynagradzać, dowiadujemy się, że przywódcy tych większych lub mniejszych oddziałów piechoty nosili nazwę rotmistrzów, a oddziały ich zwano rotami. Roty znowu składały się z mniejszych pocztów czeladzi, którym przewodniczyli towarzysze. Poczty towarzyskie połączone formowały częstokroć bardzo słabe rotę, które z tego powodu musiały się łączyć, aby wytworzyć rotę bojową, która winna była obejmować 150 — 200 pieszych. Sposób powyższy formowania rot przynieśli prawdopodobnie do Polski Szlązacy, Morawianie i Czesi, których nazwiska spotykają się tak między czeladzią, jak między towarzyszami i rotmistrzami piechoty polskiej.

Sposób powyższy tworzenia piechoty zmienił się nieco w wieku XVI, mianowicie, królowie, zaczynając od Zygmunta I, wydają znanym żołnierzom, rekomandowanym przez hetmanów, upoważnienia na piśmie, zwane „listami przypowiedniami”, na formowanie rot pieszych.

Ci zaś wchodzili w porozumienie z towarzyszami, którzy się zobowiązali dostawić poczty, złożone z pewnej liczby ludzi uzbrojonych i przygotowanych do wojny. Uzbrojenie pierwszej, znanej nam, roty pieszej polskiej rotmistrza Marka z r. 1471 składało się z kusz czyli samostrzałów, pawęży, szabel i mieczy. Niepodobna jest ta piechota do żadnej ze współczesnych piechot europejskich; bronią bowiem szwajcarskiej i niemieckiej piechoty były kopie i alabardy, bronią angielskiej—łuki, Hiszpanie zaś przy niewielkich tarczach opatrzeni byli w krótkie piki i miecze. Włosi tylko, a głównie Genuieńczycy, znani byli ze zręcznego używania kusz czyli arbaletów. Trudno jednak przypuścić, abyśmy kusze zapożyczyli u Włochów, tem więcej, że jak Strykowski świadczy, znane one były u nas już od bardzo dawna.

Uzbrojenie pawężników wskazuje, że przeznaczeniem ich była osłona kuszników, i to nie tylko z czoła, ale z boków i z tyłu. Stanowili oni jakby gród ruchomy, otaczający ze wszystkich stron kuszników. Taktyka podobnie zorganizowanej piechoty mogła być następująca: zbliżywszy się do nieprzyjaciela na odległość strzału z kuszy, którą dziś oznaczyć trudno, rota dawała salwy, lub też, strzelając pojedynczo, wypuszczała chmurę strzał. Możliwym to było, mimo głębokości szyku, gdyż kusze przy wystrzale trzymano pod znacznym kątem podniesienia, tylne więc szeregi, strzelając, przednim szkodzić nie mogły. Sposób ten strzelania z tylnych szeregów, ponad głowami poprzedników, nazywał się u Polaków „Navia”. Po silnem ostrzelaniu nieprzyjaciela, rota szła do ataku. Jeśli nieprzyjaciel był uzbrojony w kopie, to, okrywając się pawężami, starano się wedrzeć do środka, gdzie bój toczono krótką bronią, która była dogodniejszą, aniżeli broń długa. Przeciwno jeździe, uzbrojonej w kopie, rzecz wątpliwa, czy taka piechota mogła stawić czoło. Długą kopią z konia można było dosięgnąć za pawężę, a w walce w pomieszaniu szable i miecze mało mogły szkodzić jeźdźcom.

Piechota polska z r. 1496, 1497 i dalszych lat zupełnie się różniła od poprzedniej, tak pod względem uzbrojenia, jakoteż pod względem szyku. Być może, że się przekonano o niedostateczności poprzedniego uzbrojenia piechoty przeciwko jeździe, gdyż w pierwszym szeregu i w drugim ukazują się kopie; czasami znowu łączą się w pierwszym szeregu kopijnicy z pawężnikami i tworzą jakby jednostki zaczepno-odporne. Dalsze szeregi są uzbrojone częścią w kusze, a częścią w rusznice, których pomiędzy latami 1477 a 1496 pojawiła się w naszej piechocie wielka mnogość. Szyk także stał się cieńszym i dochodził ledwie do 8 szeregów; kopijnicy, stojący w pierwszym szeregu, mieli zwykle na sobie pełną zbroję, t. j. kirys, przyłbicę, zarękawie, obojczyk i kopię, a pawężnicy, jak dawniej: lepkę, miskę i inne przybory.

Panowała wielka różnaitość nawet w broni jednego rodzaju. Kusze np. bywały drewniane i żelazne; jest także nazwa – podzelowane, i być może, że przez ten wyraz należy rozumieć kusze naprawiane. Pa-węże bywały: złoczone, srebrzone i w różne kolory malowane, a zda-rzały się i proste; około roku 1522 kusze znikają zupełnie i miejsce ich zajmują rusznice, już oddawna używane. Panuje jednak i w tej broni różnaitość; oprócz bowiem różnic w kalibrze istniały różnice w samym urządzeniu broni; i tak np. używano rusznic z podżogiem czyli knotem, z krzesem hubczastym albo brodatym, i nareszcie arkebuzów. Strzela-nie odbywało się w ten sposób: naprzód strzelał szereg ostatni, wszy-tkie zaś stojące przed nim przyklekały, potem szereg przedostatni, aż do drugiego lub trzeciego, gdyż te zazwyczaj rusznic nie posiadały. Ogień wszakże rot polskich, przy małej liczbie szeregów i powolnem nabijaniu, w owe czasy musiał być bardzo słaby.

Piechota polska nawet w XVI wieku, gdy różnice w uzbrojeniu znacznie się już wyrównały, nie potrzebowała prowadzić ataków na piechotę nieprzyjacielską, ani bronić się od jazdy. Rola jej polegała na tem tylko, ażeby strzałami osłabić nieprzyjaciela przed uderzeniem własnej jazdy, i w tym celu stawiano piechotę w szyku bojowym przed jazdą a razem z artylerją. Roty piesze polskie nie łączyły się w wyż-sze jednostki taktyczne, przynajmniej nigdzie ani nazwy takiej jedno-stki, ani odpowiadającego jej stopnia hierarchicznego nie spotykamy. I to właśnie stanowiło słabą stronę piechoty polskiej, rozstrzelone bo-wiem i samopas działające siły nigdy do pożądaných rezultatów do-prowadzić nie mogły.

Ilość jazdy w wojsku polskiem zwykle znacznie przenosila liczbę piechoty. Wprawdzie, podczas wojny pruskiej w latach 1519 — 1520, piechota przewyższała jazdę, było jej bowiem 6500 na 4310 jazdy; ale ta piechota siedziała na załogach, na zamkach, walkę zaś w polu to-czyła jazda. I z tego więc względu należy przyjść do wniosku, że pie-chota w wojsku polskiem była tylko podrzędną, pomocniczą bronią, i że ciężar wszystkich wojen i bitew spoczywał przeważnie na jeździe. Piechota zachodnio-europejska nic wspólnego z polską nie miała. Roty cudzoziemskie liczyły więcej żołnierzy, łączyły się w pewnej liczbie i tworzyły ciężkie, nieobrotne masy, zawierające i do 10,000 ludzi. Ma-sy te piechoty szykowały się w kolosalne czworoboki, czasami o 100 szeregach głębokości, i główną jej broń stanowiły piki, a broń palna odegrywała podrzędną rolę.

Wojsko w Polsce zbierało się, jak wiadomo, tylko w razie wojny. Ale na granicy Ukrainy i Podola trwał niepokój chroniczny z powodu napadów tatarskich. Po przyłączeniu województwa Kijowskiego i Wo-łyńskiego do Korony, spotykamy w tamtych stronach znacznieszą

ilość piechoty, ale zawsze w charakterze załóg zamkowych. Płaca piechocie ku końcowi XV wieku wynosiła po pięć złotych na kwartał. Dopiero w r. 1573 żółd piechoty podniósł się do 8 zł. i pozostał takim, aż do czasów Stefana Batorego. Oprócz pieniędzy, wydawano piechocie sukno, ale był to właściwie handel. Królowie bowiem nabywali sukno od kupców i wydawali je żołnierzom na rachunek żółdu. Zresztą wszystkie potrzeby żołnierzy, jak: umundurowanie, uzbrojenie i całkowite sporządzenie na wojnę zaspakajano z żółdów, których pewną liczbę potrącali sobie rotmistrze, stawiając w tymże stosunku mniejszą liczbę żołnierzy.

Oprócz wypłaty żółdu, obowiązywali się królowie wynagradzać szkody, poniesione przez żołnierzy na służbie. Albo królowie zobowiązywali się tylko swem słowem żółd należny wypłacać i szkody wynagradzać, albo pozwalali, w razie niewypłaty, upominać siebie, a gdyby i to nie skutkowało, wjechać w dobra stołu swego i pobierać z nich dochody, dokąd pretensya zaspokojona nie będzie. Niektórzy z wojskowych i tem się nie zadawali, wymagając assekuracyi, czyli poręczenia możnych panów rady.

Za panowania Stefana Batorego zaszły pewne zmiany w piechocie polskiej. Odrzucono dawne uzbrojenie ochronne a zatrzymano szable, siekierkę i rusznicę z prochownicą, ładunkami, t. j. miarkami, z gotowemi nabojami prochu i knotem. W gruncie rzeczy, roty piesze pozostały nadal strzeleckimi, czyli, że służyły i nadal za broń pomocniczą jeździe. Batory podniósł także żółd piechocie i po raz pierwszy spotykamy się w wojsku ze służbą zdrowia w osobach kilku chirurgów. Najważniejszą jednak instytucją, którą Batory do życia powołał, byli wybrańcy. Z jego zalecenia została uchwalona konstytucya w r. 1578, według której wsie królewskie winny były wystawić z 20 łanów jednego pieszego, który-by się tego dobrowolnie podjął, a zarazem czynił zadość wymaganiom służby wojennej, co miał ocenić przeznaczony do tego poboru rotmistrz. W r. 1595 zastosowano ustawę wybrańecką i do Litwy, a zarazem rozciągnięto powinność służby pieszej podczas wyprawy i na strzelców do leśnictw królewskich. Piechota wybrańicka przyjmowała już udział w wojnie 1580 roku w liczbie 1,446 ludzi; na wojnie zaś w r. 1581 pod Pskowem było jej 1,803 ludzi.

Używano wybrańców rozmaicie, albo jako żołnierzy czynnych, albo jako saperów przy budowie szańców i innych robotach oblężniczych; za Sobieskiego znowu oddano ich pod rozkazy generała artyleryi, zapewne do pomocy przy jej obsłudze. W r. 1596 była na służbie największa znana liczba wybrańców 2,306 głów. Przyjmowali oni jednak udział w wojnach nie wszyscy, a powoływano częstokroć wy-

brańców z niektórych tylko województw. Słaby udział wybrańców w oblężeniu Smoleńska i zbiegostwo wskazują na brak karności i naprowadzają na domysł, że instytucja wybrańiecka na początku XVII wieku już się psuła i wadliwie funkcjonować zaczęła. W r. 1726 zapadła uchwała, aby starostowie i dzierżawcy płacili z łanu wybrańieckiego 100 zł., a za te pieniądze miała być utrzymywana piechota, zwana łanową, kompletująca się dobrowolnym zaciąganiem. Oficerami w tej piechocie mogli być tylko szlachta, katolicy osiedli, za rekomendacją hetmanów.

Podczas wojen Batorego występuje obok piechoty polskiej piechota węgierska i niemiecka. Rota piechoty węgierskiej obejmowała zwykle około 100 hajduków i dzieliła się na dziesiątki. Lanca czyli spisa, albo pika, była bronią hajduków węgierskich. Zdaje się jednak, że byli oni jednocześnie uzbrojeni i w rusznice; co zaś do szyku, to znane były węgierskie wielkie bataliony, w kształcie potężnych czworoboków, zawierających w jednej masie po kilka tysięcy ludzi. Podobna masa piechoty musiała być ciężka i nieobrotna w poruszeniach, a więc i niedogodna w boju.

Roty niemieckie obejmowały od 400 — 500 żołdaków i posiadały liczną a bardzo rozgałęzioną administrację, a formowały się tak, jak i węgierskie, w wielkie bataliony, w uzbrojeniu zaś posługiwały się w części spisami i mieczami, a w części rusznicami. Już w roku 1575 znajdowało się na służbie Rzpltej 300 kozaków niżowych, których liczba w r. 1579 urosła do 530. Kozacy niżowi szykowali się w wielkie roty po 500 ludzi w każdej; były one za ciężkie, a w każdym razie podobniejsze do pułków węgierskich, aniżeli do rot polskich, tem bardziej, że i uzbrojenie kozaków, składające się z pik i rusznic, których używali wedle potrzeby na przemian, było takie samo, jak u Węgrów.

W końcu XVI wieku piechota polska przekształca się na sposób węgierski. O ile tym sposobem udoskonaliła się przez powiększenie liczby oficerów w stosunku do liczby ludzi, o tyle cofnęła się w tył pod względem miejsca, zajmowanego w szyku wojska, a tem samem pod względem swego przeznaczenia i użycia. Piechota u Zamoyskiego pod Byczyną stała podczas bitwy z tyłu za jazdą i w walce żadnego nie przyjmowała udziału. Podobnie zajmowała piechota miejsce w bitwie pod Kirchholmem. Piechota węgierska panowała u nas wszechwładnie, mniej więcej od początku XVII stulecia aż do roku 1632, w którym została zaprowadzona piechota cudzoziemskiego autoramentu. Odtąd piechota węgierska schodzi na drugi plan, zaczyna się modyfikować pod wpływem piechoty cudzoziemskiej, zmniejsza się coraz w liczbie, a ku końcowi XVII wieku resztki jej pozostają w dwóch kompaniach, stanowiących straż przyboczną hetmanów.

Ojcem piechoty cudzoziemskiej był Władysław IV. On pierwszy przed wyprawą pod Smoleńsk sformował piechotę z żołnierzy polskich na wzór niemiecki. Pierwsze te regimenta niemieckie zawierały w sobie od 200 do 1200 pieszych i miały za komendantów częścią cudzoziemców, częścią zaś swoich, ze służbą niemiecką obeznanych. Pod Smoleńskiem było wszystkiej tej piechoty 10,700 ludzi. Podług praw Rzepltej można było czynić zaciągi tylko włościan i mieszczan z dóbr królewskich i duchownych, a prawo wojskowe wymagało aby zaciągano tylko ludzi zdrowych, trzeźwych i porządnych, od 16 — 45 lat wieku, wzrostem nie mniej, jak 72 cale. Termin służby dla swoich nie był oznaczony, z cudzoziemcami zaś zawierano kapitulację na 6 lat.

Szyk niemieckiej piechoty był wprawdzie szerszy od polskiego, a więc podawał możność większej liczbie żołnierzy do przyjmowania bezpośredniego udziału w boju, ale za to mała liczba pik czyniła go niezdolnym do zaczepnego działania. Piechota niemiecka nie była też dobrą ani do napadu, ani do obrony, gdy polska odpowiadała zupełnie swemu przeznaczeniu broni pomocniczej dla jazdy. Gospodarstwo niemieckie było też nie najlepsze, a wprowadzenie piechoty było pod każdym względem rzeczą chybną. Sobieski starał się podnieść liczbę piechoty za pomocą wypraw dymowych i w tym celu wyjednał w roku 1673 konstytucję tego brzmienia: „aby król z dóbr własnych, ekonomicznych i tak zwanych królewskich, w dożywocie lub dzierżawę oddanych, z dymów 20 jednego pieszego z rynsztunkiem, odzieżą i żywnością dostawił. Żydzi z dóbr królewskich i duchownych także z 20 dymów jednego dostawić powinni, a do ludzi tych mieli być wybraną pułkownicy i rotmistrze na sejmikach. Wyprawy te przyjmowały udział w wojnie 1673 r., znaczna jednakże ich część rozbiegła się już w drodze, a reszta zaraz po bitwie pod Chocimem uciekła do domu, wykradłszy mnóstwo koni z wojska.

Jedynem ulepszeniem, które wyrosło z polskiego gruntu dla piechoty cudzoziemskiej, była zamiana pik na berdysze, w które opatrzone i muszkietarów, tak, że całe regimenta jednostajnie uzbrojono w berdysze i muskiety. Była to najstosowniejsza kombinacja broni białej i palnej przed wynalezieniem bagnetu.

W XVII wieku występują jeszcze w wojsku Rzepltej dragoni. Byli oni wprawdzie opatrzeni w konie, ale te służyły tylko do przejazdu na marszach, oni zaś sami walczyli zawsze pieszo i dla tego należy zaliczyć ich do piechoty. Co się tyczy organizacyi, to kompanie dragonie małe się różniły od pieszych; uzbrojenie zaś dragonów składało się z krótkich pik i muszkietów. Wzajemny jednak stosunek tych dwóch broni jest mniej znany. Szyk kompanii dragonów mało się róż-

nił od szyku piechoty. Do boju dragoni spieszali się wszyscy, spętawszy konie na trzy nogi, z wyjątkiem kilku tylko ludzi, którzy pozostawali do pilnowania koni. Dragoni byli ulubionem wojskiem Sobieskiego. Używał on ich za broń zaczepną i sam prowadził swój regiment gwardyi dragonów do szturm na okopy chocimskie. Na początku wieku XVIII dragoni przeistaczają się w jazdę, nieprzystając być piechotą, i w taki sam sposób używał Karol XII swych dragonów podczas wojny w Polsce.

Za panowania Sasów piechota cudzoziemska doznała kilku reform. W roku 1711 spotykamy po raz pierwszy nazwę batalionu, a wkrótce potem nazwę grenadyerów. Pierwotnem przeznaczeniem tych ostatnich było rzucanie granatów ręcznych. Trudno oznaczyć czas, kiedy mianowicie w piechocie polskiej został zaprowadzony bagnet i broń z krzosem, zwaną u nas flintą. Pierwszą o nich wzmiankę spotkać można w obrachunku kosztów na urygowanie regimentów pieszych w r. 1718. Można wszakże z pewnością twierdzić, że piechota polska w r. 1718, pod względem uzbrojenia, organizacyi i szyku, stała na jednym poziomie z piechotą Europy zachodniej. Wyjątek stanowił regiment w. buławy koronnej.

Najważniejszą była reforma, która dotknęła całe wojsko w roku 1717. Na sejmie w tymże roku został ustanowiony stały komplet dla wojska, a jednocześnie wyznaczono mu stałe kwatery i stałą płacę. Sejm ten jednakże ufundował bezpieczeństwo, całość i honor obszernej Rzepltej na 4088 bagnetach, a przytem popełnił jeszcze i drugi błąd, a mianowicie, że nie uwolnił się od predylekcyi dla jazdy, pomimo, że była już bronią stanowczo przeżyta. Prócz tego sejm 1717 roku, ani funduszów na erekcyę regimentów nie obmyślił, ani gaży dla inspektora piechoty, którego urząd świeżo ustanowił, nie wyznaczył, a o korpusie artyleryi jakby zupełnie zapomniał, chociaż broń ta, w odpowiedni materyał nie zaopatrzona, już prawie nie istniała i wymagała wszelkich ofiar do podniesienia się z upadku.

Ku końcowi panowania Augusta III, niewiadomo napewno w którym roku, został ułożony regulamin dla piechoty w języku polskim. Obejmował on wszystkie działy służby pieszej, jak to: regulamin egzer-cerunkowy, obozowy, garnizonowy o służbie wewnętrznej i prócz tego przepisy: o zaciągu, gospodarstwie regimentowem, kompanicznem i narzeszcie o dyscyplinie. Brakowało mu tylko oddziału o służbie polowej. O ile można wyrozumieć z zawitej jego frazeologii, to pułkownikowi i kapitanowi pozwalało się okradać żołnierzy z tym warunkiem, aby im zręcznie szczodrość pokazywać i ze starszymi się dzielić. Ciężki też musiał być w owych czasach los garnizonu, choć nie lepiej się działo w innych armiach europejskich.

W okres panowania Stanisława Augusta wstąpiła piechota polska cudzoziemskiego autoramentu z niezmiernie rozrosłymi sztabami, z ogromną liczbą pasorzytów, nazywanych supernumeraryuszami, i z uszczuploną liczbą gemajnow. Dopiero z ustanowieniem Komissy wojskowej, która poczęła funkcyonować od 1 marca 1765 r., daje się dostrzegać pewne krzątaanie się około naprawy siły zbrojnej Rzeczpltej. Komissya była prawdziwem dobrodziejstwem dla wojska i, kształcąc się sama pełnieniem swych obowiązków, wykorzeniła umóstwo nadużyć, zaprowadziła porządek w urlopach, abszejtach, awansach, w kompletowaniu wojska oficerami, podniosła subordynację i dyscyplinę, posunęła wykształcenie i w końcu stworzyła armię, nieustępującą żadnej europejskiej współczesnej. Bez wątpienia popełniła Komissya także niemało błędów, jak np. w organizacyi wojska, w niezachowaniu potrzebnej oszczędności w wydatkach, w braku samodzielności w reformach i w ślepem naśladownictwie obcych wzorów, bez uwzględnienia miejsca i czasu, w słabości względem osób. Wolną jest jednak od zarzutu, że nie utworzyła armii tak licznej, która mogła-by sprostać potędze sąsiadów; bo, jako organ podrzędny, mogła tworzyć tylko z tego, co jej do rąk podano.

Komissya wojskowa zwróciła też uwagę skonfederowanych stanów i na to między innymi, że sejm 1717 r. nie wyznaczył żadnego funduszu ani na broń, ani na rekwizyta polowe, ani też na utrzymanie artyleryi i inspektorów, wskutek czego czerpano środki na te rozchody z porcyi regimentowych, przez co umniejszała się liczba głów tych ostatnich. Z powyższych powodów proponowała Komissya wojskowa odpowiednie podwyższenie porcyi i żołdu, a w końcu dopraszała się stanów o wyznaczenie corocznego funduszu w kwocie 150,000 złp. na zabezpieczenie bytu starym, zasłużonym żołnierzom.

Wreszcie piechota, wytworzona przez sejm czteroletni, była doskonale uzbrojoną, należyście umundurowaną i opatrzoną każdym razie nie gorzej od innych armii europejskich. Nie była też niższą od innych pod względem wykształcenia, a jednak nie zdała należytego egzaminu na polu bitwy. Powód główny leżał w szczupłości sił, gdyż sejm czteroletni główne staranie poświęcił kosztownej, a mało użytecznej jeździe.

Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę czytelnika jedynie na najważniejsze myśli, zawarte w pracy pułkownika Górskiego; dodać jednak winienem, że znajduje się w jego „Historyi piechoty” wielkie bogactwo szczegółów nowych, wydobytych z archiwalnego materiału. Niewątpliwie też dziejom wojskowości polskiej przysłużył się autor znakomicie i literaturę naszą obdarzył cenną pracą. Wobec zaś tylu przymiotów można śmiało zapomnieć o drobnych usterkach studyum, zwłaszcza,

że mamy przed sobą autora, który dopiero w późniejszym wieku, rozstawszy się z szabłą, wziął się z prawdziwym zapalem i sumiennością do pióra. Ośmieliłbym się jednak, ze względu, że pracowitość autora zapowiada nam jeszcze nie jedną pracę, zwrócić uwagę Sz. pułkownika Górskiego na jedną niewłaściwość, którą w przyszłości łatwo usunąć może. Oto niech dziejów wojskowości nie łączy z dziejami politycznymi, a zwłaszcza z dziejami prawa państwowego polskiego. Obarczanie bowiem wszelkie sejmów zarzutem, że nie troszczyły się wcale o organizację wojenną, musi przedewszystkiem wnikać daleko głębiej w istotę ówczesnej konstytucji państwowej i nie może się ograniczać ogólnikowym sądem. Tego, czego można wymagać od monarchizmu dziedzicznego, nie należy oczekiwać po monarchizmie elekcyjnym; to co wykształcił i rozwinął zdołał ustroj oświeconego absolutyzmu, zanikać musiało i prowadzić potrafiło zaledwie suchotniczy żywot w porządku stanowych konstytucji. Porównanie przekonano, że nie stanowiliśmy bynajmniej wyjątku w tym, zarówno jak i w innych wypadkach.

Angerstein. Der Conflict des polnischen Königs Boleslaus II mit dem Krakauer Bischof Stanislaus. Toruń, 1895 (stronnie 34).

Praca pana Angersteina, pastora gminy luteranńskiej w Łodzi, ukazała się pod powyższym tytułem w r. 1888 w Czasopiśmie towarzystwa historycznego poznańskiego (niemieckiego). Autor w przekonaniu, że opis ważnego konfliktu między państwem ówczesnym, a kościołem, nie będzie bez pewnego ogólnego interesu, wydał w roku bieżącym odbitkę swej dawniejszej rozprawy, na której czele znajduje się wypisane zdanie z dziejów polskich Bobrzyńskiego, utrzymujące, że jedną z największych zagadek w całej historii polskiej jest niewątpliwie panowanie Bolesława Śmiałego.

Nasamprzód autor uważał za stosowne przejrzeć krytycznie źródła, które mu służyły za podstawę przy badaniu kościelno-państwowego sporu. Na czele została przytoczona kronika Marcina Galla, Wincentego Kadłubka i Jana Długosza, a następnie autor przeszedł do opisu początku samego konfliktu, w którym uwzględnił poglądy nowszych historyków polskich. Opisując katastrofę, która się skończyła gwałtowną śmiercią biskupa, autor wyraża przekonanie, że dostojnik kościelny nie został bynajmniej zamordowany przez króla, lecz jako

skazany za zdradę został straconym, a czy po wyroku egzekucję przeprowadził król osobiście, lub czy zabicie miało miejsce przy czytaniu Mszy Świętej, to istoty samej sprawy nie zmienia zupełnie.

Dalej autor uważa Bolesława II za przedstawiciela idei ludowej (Volksidee) i zwiastuna zasady równości wszystkich przed prawem. O jego energii świadczy fakt, że po zabiciu biskupa, gdy cała szlachta oburzyła się na niego, potrafił jeszcze przez cały rok prowadzić rządy. Mimo też wszelkich stron ujemnych, wydaje się autorowi, że Bolesław II był monarchą, kochającym swój lud i więcej zbliżonym do niego, oraz bardziej dbającym o jego dobro, aniżeli biskup Stanisław z całą swoją pobożnością. Kończy zaś pastor Angerstein swą opowieść zdaniem, że: czyj wzrok jest ultramontańskimi okularami przyćmiony, lub kto ceni więcej papieństwo nad prawdę i nad dobro własnego narodu, ten podzieli zdanie Długosza, a nie Galla, o konflikcie króla Bolesława z biskupem krakowskim. Przeciwno przesądom bowiem walczą bogowie, a my powiedzmy, walczy prawda nadaremnie.

Jakkolwiek pastor Angerstein wsparł swą opowieść historyczną na źródłach i pracach znanych i spożytkowanych, ta jednakże rozprawa jego mogła-by stanowić dla społeczeństwa niemieckiego pewną nowość, a tem samem oddała-by i naszej literaturze pewną usługę. W każdym razie dobrze-by było, ażeby autor, spełniający czynności luterańskiego pastora, zdołał się uwolnić od wszelkich wyrażen, zdradzających jakąkolwiekby tendencyę, bądź polityczną, bądź wyznaniową... Wszelkie też wzmianki o ultramontańskich okularach i t. p., uważam za niewłaściwe w opowieści historycznej i żywią to głębokie przekonanie, że dla naukowych studyów, zarówno ultramontańskie, jak i luterańskie okulary są szkodliwemi — jeżeli naturalnie przez okulary rozumieć będziemy tendencyę, starając się sprowadzić prawdę na manowce, lub oświecić fakta zawodnem światłem błędnych ogników.

Kazimierz Gorzycki. Kwestya lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza za rządów Kazimierza Wielkiego. Lwów, 1895 (stron 48).

Dyplomy pokoju kaliskiego z roku 1343 stwierdzały, że Kazimierz Wielki, za zgodą Stanów, oddał Pomorze Krzyżakom „in perpetuum elemoynam“ i żadnych praw do niego sobie nie zastrzegł. Następnie jednak odstąpienie powyższe było przedmiotem sporu i po długich a bezskutecznych układach Polski i Litwy z Zakonem, zjechał do Pol-

ski w lecie r. 1422 komisarz papieski, Antoni Zeno, ażeby raz jeszcze przeprowadzić proces kanoniczny, mający na celu przekonanie się, która ze stron została istotnie pokrzywdzoną; wyrok zaś miał być podstawą zawrzeć się mającego pokoju.

Ze strony polskiej podniesiono zarzut, kwestyonujący wyraźnie i po raz pierwszy tytuł posiadania Zakonu w ziemiach, objętych traktatem kaliskim, bo chociaż niema w nim wyrazu „*fendum*“, to jednak podniesione fakta, że Zakon miał płacić haracz „*Regi et Regno Polonie*“, i że był zobowiązany do zbrojnej pomocy Polsce przeciw każdemu nieprzyjacielowi, mają znaczenie zwykłych obowiązków lennych i jako takie należały się „*Regno et Regi Polonie in signum subjectionis et recognitionis domini*“. Ponieważ, jak akt oskarżenia twierdzi, Zakon zaniechał swych obowiązków wobec Polski po śmierci króla Kazimierza, otóż winien był zwrócić ziemie sporne, jako buntowniczy wazal, za felonję. Robiąc powyższy zarzut, nie powoływała się dyplomacja polska na dyplomy traktatu kaliskiego, ale na „*communem vocem et famam*“ i dla tego-to dowód prawdy przeprowadzony został przez świadków. Powołano ich w ogóle 29-iu, a najstarszych wiekiem pytano o te punkta aktu oskarżenia, w których sformułowane było twierdzenie, że Zakon posiadał Pomorze, względnie także Ziemię Chełmińską i Michałowską, nie bezwzględnie, ale pod powyżej wymienionemi warunkami.

Pierwszym świadkiem w procesie z r. 1422, który dał pewne wyjaśnienie w kwestyi przynależności ziem: Pomorskiej, Chełmińskiej i Michałowskiej do Polski, jest Piotr z Kobyлина, dziekan poznański. Świadek ten daje stanowczą odpowiedź, że ziemie sporne leżą w obrębie granic polskich: że „*ex publica fama audivisse*“, jako król Kazimierz wizytował Pomorze, ziemie Chełmińską i Michałowską, że Krzyżacy przyjmowali go gościnnie, odnosili mu klucze twierdz, dawali mu także pewien trybut „*in recognitionem veri domini*“ króla i korony polskiej. Świadek miał w czasie śmierci króla Kazimierza zaledwie lat ośm, ale za czasów Ludwika był już wyrostkiem, a dopiero po śmierci Ludwika Zakon zaprzestał dań płacić.

Drugi świadek, kantor poznański, twierdzi to samo, co pierwszy, a trzeci świadek, Andrzej, biskup poznański, na potwierdzenie dwóch pierwszych zeznań przytacza fakt, że z ust starego sługi słyszał przed 40 laty piosenkę, ogólnie wówczas śpiewaną, której krótka treść była następująca: „*Tu! rex Kazimire, nunquam habebas pacem cum Pruthenis, donec recuperares Gdańsk, id est terram Pomeranie*“. Bardzo szczegółowe jest zeznanie szóstego świadka z kolei, Klemensa, altarzysty poznańskiego. Świadek ten, w czasie śmierci Kazimierza, miał lat 28, a więc był w całym tego słowa znaczeniu naocznym, i twierdził, że

dań pomorską płacił Zakon jeszcze królowi Ludwikowi na ręce wojewody Sędziwoja. Dziewiątym z rzędu świadkiem był rajca poznański, Paluka, który, równie jak Klemens, mógł pamiętać czasy Kazimierza W-go. Wie on dokładnie o daninie, ponieważ widział, jak za panowania królów Kazimierza i Ludwika przywożono ją do domu dziekana Ded'ka, skarbnika królewskiego.

Jako dziesiąty świadek występuje prawdziwy Matuzal, bo 150-letni mieszczanin poznański, Szatkowski. Był on przez siedm lat dworzaninem króla Kazimierza i wówczas widział, jak corocznie przywożono królowi dań krzyżacką. Ważnym także świadkiem z procesu 1422 r. był zaledwie 44-letni prymas polski, Mikołaj Trąba, który zeznał, że słyszał od wielu prałatów i baronów, że pokój kaliski był wymuszony i że Zakon zobowiązał się w nim płacić dań Polsce. Uwzględnivszy wszystkie okoliczności, autor przyszedł do przekonania, że więcej faktów przemawia za wiarogodnością zeznań świadków, aniżeli za stanowczem zaprzeczeniem jej, co wyraził Voigt i pr. Caro. P. Gorzycki nie poprzestał jednak na samych zeznaniach świadków i krytycznem ich ocenieniu, lecz zastanowił się nad wzmianką, zamieszczoną w Roczniku Świętokrzyskim, w którym pod rokiem 1338 zapisano wiadomość o obowiązku płacenia Polsce daniny z Pomorza, zresztą danina pomorska nie była wyrazem zwierzchnictwa lennego nad Pomorzem i dla tego-to milczenie o niej kronikarzy współczesnych i Długosza jest zrozumiałem. Danina powyższa była jedynie zwykłą w średniowieczu obowiązkową grzecznością Zakonu, jako instytucyi kościelnej, za nadane mu przez Kazimierza W-go „beneficium“.

Niezależnie jednak od tego król Kazimierz zwracał się zawsze do Zakonu o pomoc zbrojną i dawał mu do poznania, co go czeka w razie odmowy. Niewątpliwie też w pokoju kaliskim zobowiązał się Zakon za nadane mu „beneficia“ Kazimierza W-go i poprzedników dostarczać Polsce jakiegoś kontyngensu rycerstwa na obronę przeciw poganom. Gdy zaś Zakon zaczął obowiązek lekceważyć i zaniedbywać, Kazimierz W-ki pojechał w r. 1366 do Marienburga, jako gość, ale dał w ten sposób Zakonowi jeszcze raz do poznania, że obowiązki Krzyżaków względem Polski są nie tylko honorowe, ale konieczne dla utrzymania pokoju z r. 1343. Tego rodzaju dyplomacya króla przyczyniła się sama najwięcej do tego, że w Polsce wzrosło ogólne przekonanie, jakoby ziemie, oddane w Kaliszu Krzyżakom, były lennem korony polskiej.

Zdaniem autora, Kazimierz W-ki nie zdołał zastrzedz sobie zwierzchnictwa lennego nad ziemiami, odstąpionemi w 1343 r. Krzyżakom, ale umiał zapewnić Polsce pewne honorowe obowiązki ze strony obdarowanego z konieczności Zakonu, które nie były bez znaczenia.

Traktakt też kaliski, uważany już przez Długosza za największy błąd Kazimierza W-go, przedstawia się dzisiaj, jako jedna z dobrze przeprowadzonych kombinacji politycznych tego króla i stanów polskich.

W studyum swem p. Gorzycki starał się wyrozumieć należycie źródła historyczne, rozważyć skrupulatnie zeznania świadków i ocenić chłodno a bezstronnie przeciwne zdania historyków. W pracy też swej złożył dowód sumienności i przyczynił się do rozjaśnienia kwestyi, która dotąd wywoływała spory w literaturze historycznej.

A. R.

Kluczycki Stanisław. „Niebo i Ziemia“ Pogadanki spisane dla panien Hr. R. i Z. Potockich. Kraków, 1894. 8-vo XXXIII, 520. Ozdobione 203 wizerunkami, oraz chromolitografowanemi tablicami.

Pogadanki o niebie i ziemi! co za ponętny tytuł! od czasu świetnie pisanych gawęd naukowych Apolinarego Zagórskiego, posiadaliśmy w naszej popularno-naukowej literaturze tylko kilka artykułów tej treści w książce p. St. Kramsztyka. Teraz oto mamy przed sobą wielki tom, poświęcony wyłącznie niebu i ziemi. Przypomina on bardzo znaną miłośnikom nauki książkę p. A. Guillemin „Le Ciel”, z tą różnicą, iż w dodatku rozpatruje ziemię z punktu geologicznego i zawiera opisy niektórych zjawisk, nie wchodzących w zakres zwykłych kosmografii lub popularnych astronomii. Wogóle treść książki p. Kluczyckiego jest tak różnorodną i obfitą, iż alfabetyczny spis przedmiotów zawiera 69 kolumn. W całym dziele nie widać zbyt wyraźnego planu i autor niejednokrotnie powraca do tegoż samego przedmiotu w rozmaitych miejscach książki. Pan K. podzielił książkę na LXXXIII pogadanki, nie dając im własnych nagłówków, gdyż, z powodu różnorodności treści wielu pogadanek, byłoby to nawet niemożliwe.

Pierwsze VIII pogadanek poświęca autor historii astronomii, a lwią jej część Kopernikowi. Historię tę autor rozpoczyna od Adama, który już obserwował dwa światła, mówi o Eonach, Mojżeszu, budowach nawodnych i o wielu innych rzeczach. W końcu podaje imiona i wylicza zasługi 22 kobiet, które zajmowały się lub przyczyniły do rozwoju astronomii. Zaczyna od Hypaty i kończy: „Nakoniec miłem jest, że możemy wymienić jeszcze jedną „Panią”, która wprawdzie nie zajmowała się astronomią, lecz pod której stopami wygina się kształt młodego księżycy, której skronie zdobi wieniec gwiazd.

Jest to Królowa Nieba, Marya. Do tego dołączony rysunek Stachewicza—Po gwiazdzistej drodze.

W pogadankach od VIII—XI podane są wstępne wiadomości o poziomie, zenicie, układzie słonecznym, miarach, prawie Titiusa i t. p. Następne dziesięć autor poświęca słońcu, — nie małą część stanowi tu analiza widmowa. Treścią pogadek XXII—XXXIV jest ziemia. Autor rozpoczyna od historii powstania ziemi, mówi pokrótce o formacjach i zawartych w nich szczątkach zwierząt i roślin, charakteryzujących okresy, aż do czasów najnowszych—do pojawienia się człowieka, o którym, idąc za zdaniem Cuvier'a, utrzymuje, iż nie istnieje w stanie kopalnym (str. 145) i nie możemy dokładnie wyrozumieć, czy autor przyznaje istnienie człowieka w epoce czwartorzędowej. Dalej opisuje p. K. oceany, życie w ich głębi, przyływ i odpływ, mówi iż przyczyną tych ostatnich zjawisk jest przyciąganie księżyca i słońca, ale sposobu działania bliżej nie wyjaśnia. Opisując w końcu atmosferę, poświęca znaczny ustęp zorzom biegunowym. Poczem całą jedną pogadankę poświęca autor światłu zwierzęcemu.

Siedm dalszych pogadek zajmuje księżyc, zaćmienia słońca i księżyca, poczem następuje opis planet (XLIV—LX). Przytem autor uwzględnia nie tylko ich ruchy i wielkość, ale rozważa przypuszczalne ich klimatyczne stosunki, istnienie atmosfery, wreszcie możliwość życia organicznego.

Po planetach następują gwiazdy spadające i komety. Mówiąc o meteorach za Hahnem i Weinlandem, skłania się p. K. do zdania, iż niektóre meteoryty zawierają szczątki istot organicznych, podobnych, choć nie identycznych z ziemskimi. Przytacza jednak wywody Vogta, zbijające to przypuszczenie. Reszta książki poświęcona jest gwiazdom i mgławicom.

Autor omawianej przez nas książki nie ograniczył się samą faktyczną stroną przedmiotu. W ciągu pogadek napotyamy ciągle zboczenia w sferę filozoficzną i dydaktyczną, któremi książka przeladowana jest do przesytu. P. Kluczycki należy do szkoły usiłującej pogodzić naukę z pojęciami religijnymi. Ta część ogromnie powiększa objętość i utrudnia jasność wykładu. Dla przykładu podajemy nagłówki, określające treść str. 122 i 123: Szerzenie się oświaty. Trudności nabywania oświaty. Pozorne wykształcenie. Fałszywi prorocy. Wiemy. Kant—Laplace powiedział „Samowolny stwórca. Homo credulis. Laplace bez Boga. Analiza spektralna. Walka o byt. Duchowa absorbcya. Fałszywe nauki. Świat bezbożny. Bezbożna natura—i to wszystko na niespełna dwóch stronicach! Wszystko wypowiedziane jest stylem tak ciemnym, iż rzecz często staje się wprost niezrozumiałą i nawet czytelnik, obyty z przedmiotem, zmuszony jest niejednym ustęp

przeczytać kilkakrotnie, aby na koniec (i to nie zawsze) zrozumieć, o co autorowi chodzi lub czego chciał dowieść. Styl to wcale nie pogadankowy. Liczne wyrazy obce utrudniają jeszcze bardziej zrozumienie; spotykamy tu np.: konkluzye, kalkulacye, spektrum, rezultują, intermitujący, dymenzye, intensywność, koincydencya, relacyonować, obje-cya, experyment, peryferya, grawitacya, repulsya, detector, votujący, wydedukowany i t. p. Nie zawsze też właściwie używane są wyrazy polskie; tak np. czytamy, iż woda zmieniając się w lód, „rozdyma się”; że „opary” (t. j. zgęszczone gazy) mogą rozsadzić ziemię; pojęcia ruchu współśrodkowego z dośrodkowym (str. 79) zupełnie są pomieszane, i t. p.

Autor lubuje się też w anegdotach i przysłowiacz, w czem naśladował Steczkowskiego, przewyższając go o wiele, niektóre ustępy nawet od niego zapożycza: opisując np. dziesięciogodziną dobę na Jowiszu, mówi o krótkości balów. Po księżycu oprowadza nas selenita Gerwazy, na pamiątkę Mickiewiczowskiego klucznika, i pokazuje dworzec Imć. pana kanonika Kopernika.

Spotykamy również pewne błędne określenia, które dziwią niepomalu, ze względu na odczytanie autora. Tak na str. 30 podane są trzy prawa Keplera, następnie (str. 511) p. K. mówi: „ruch gwiazdy byłby, stosownie do II prawa Keplera, stopniowo i stosunkowo rańniejszy, ponieważ promień wodzący wszystkich gwiazd opisywał-by w równych czasach równe powierzchnie”, zupełnie błędnie. Coś podobnego znajdujemy w określeniu foto- i chromosfery słońca. Nie lepszą jest definicya: „kąć bardzo ostry, prawie tylko szpara” (str. 337). Z fig. 109 wynika, iż autor niejasno rozumie lub tłómaczy kierunek, w którym posuwa się zaćmienie słońca po powierzchni ziemi, przedstawiając tak, jak gdyby posuwało się ono z Z ku W. Błędnie twierdzi, iż w lutym dzień średni dłuższy jest niż słoneczny o 15' a w listopadzie o 16' krótszy, zachodzi tu bowiem tylko różnica chwili południa, nie zaś długości dnia. Na str. 187 autor mówi, iż: „stwórca w nieskończonej swej dobrotliwości zlagadza prawa natury, iż one nigdzie nie występują w swych ostatecznościach”; takie twierdzenie prowadzi wprost do cudowności, a zatem i do odrzucenia istnienia tych praw, gdyż niezmienność jest właśnie ich cechą.

Autor wogóle skąpi dowodów i dostatecznych wyjaśnień; tak każe na wiarę twierdzenia Kopernika przyjąć ruch wirowy ziemi, uważając jako zbyteczne wzmianki o doświadczeniach Galileusza lub Fancault'a. Nie wyjaśnia powodu różnicy dnia gwiazdowego i słonecznego, ani nawet nie tłómaczy dostatecznie powodów różnicy długości dnia fizycznego latem i zimą, za pomocą opisu 3 sfer. Mówiąc o meteorach, nie wspomina, iż promieniowanie ich z pewnych punktów jest tylko

złudzeniem. Dziwi nas też brak pogadanki o podziale czasu i kalendarzu.

W odsyłaczach autor podaje liczne cytaty z Maedlera, Ule'go, Clarkego, Litrowa, Secchiego, Kleina, Brunsza, Flammariona, Diesterwega, Zolnera, G. Hubera, Jędrzejewicza, Steczkowskiego i w. in., najwięcej jednak z „Jahrbuch der Erfindungen.“ Widać, iż autor obeznany jest z historią astronomii i jej odkryciami do najnowszych czasów.

Wogóle, pomimo swego tytułu, książka p. Kluczyckiego nie jest ani popularną, ani poczytną. Powodem tego jest, jak już zaznaczyliśmy, niejasny i rozwlekły styl, gawędziarstwo, nakoniec nadmierny dodatek przedmiotów niemających nic wspólnego z główną treścią. Natomiast strona zewnętrzna przynosi prawdziwą chlubę drukarni „Czasu.“ Papier, druk, drzeworyty, gustowna okładka, stawiają książkę w pierwszym rzędzie naszych ozdobnych wydawnictw. Niektóre drzeworyty, wykonane przez pannę Wandę Strażyńską, dobrze świadczą o jej talencie. Wiele drzeworytów zapożyczono z Guillemin'a „Le Ciel.“ Chromolitografie zostały wykonane w Wiedniu u Th. Bannwarta.

„Zarys Geografii Powszechnej (poglądowej)” napisał *Wacław Nałkowski*, 8-vo, str. 327, figur 418. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1895.

Autor Geografii Rozumowej daje nam obecnie Geografię Poglądową, mającą na celu rozwój strony obserwacyjnej. Dosięgnąć tego, według p. Nałkowskiego, można dwojaką drogą: za pomocą obserwacji zjawisk naturalnych, lub sztucznych, t. j. modeli, widoków, map i t. d. Rzecz prosta, iż pierwsza metoda może być stosowana tylko za pomocą wycieczek, co, szczególnie u nas, napotyka znaczne trudności a w wielkich miastach prawie jest niepokonanem. Pozostaje tedy naturę zastąpić modelami lub rysunkami i tę właśnie drogę wybrał autor. Podobne pomoce znajdujemy i w obcej literaturze; przed kilkunastu laty p. Hennequin wydał: „Cahiers de dessin topographique”, w których, postępując systematycznie krok za krokiem, objaśnia znaczenie mapy i uczy odtwarzania w wyobraźni szczegółów na niej wyrażonych. Do geografii fizycznej wydał p. Delaunay „Cent tableaux géographique” (z przeszło 200 wybornemi rycinami i odpowiednim tekstem); „Geographische Bildertafeln” Ferdynanda Hirta, skąd Geografia poglądowa zaczerpnęła ogromną większość rycin, nie posiada tekstu.

Książka p. Nałkowskiego, podobnie jak dzieło p. Delaunay, posiada tekst (około 60 str.), ale tak samo jak u Hirta zawiera wszystkie części geografii, oraz stara się wyjaśnić znaczenie mapy. Tekst podzielony jest na 276 numerów, zawierających krótkie określenia, ale rzadko daje wyjaśnienia, jest to niby szczegółowy program, według którego nauczyciel, dopomagając sobie rycinami, wyjaśni uczniowi pewne zjawisko, albo formę geograficzną.

Część I zawiera obserwację zjawisk naturalnych: stron świata, widnokregu, nieba, oświetlenia i ogrzania ziemi, a nadto objaśnienie mapy i jej znaków—co mieści się w 81 numerach. Część II podaje obserwacje zjawisk sztucznych. Opisane są tu i objaśnione: globus, telluryum i planetarium. Jest tu geografia fizyczna ziemi, są wreszcie krótkie, często kilkuwierszowe, opisy części świata i państw.

Książka p. Nałkowskiego o tyle będzie pożyteczną, o ile znajdzie się w ręku dobrze obznajomionego z przedmiotem nauczyciela, który potrafi dopełnić i wyjaśnić krótkie określenia.

Ryciny, stanowiące główną część książki, zostały wybrane z rozmaitych dzieł ilustrowanych, przeważnie jednak, jak już wspomnieliśmy, z Hirta. Strona zewnętrzna nie wszędzie jest zadawalniająca. Wiele drzeworytów zupełnie zużytych przedstawia po prostu zbiór ciemnych plam, na których bardzo trudno coś wyrozumieć. Szczególniej stosuje się to do widoków miast. 50 rycin poświęcono rzeczom krajowym, z których, niestety, wiele należy do najlichszych; Mapa systemu rzeki Wisły (fig. 80) jest wprost bez żadnej wartości.

W.

Dr Bronisław Łozński: „Prawo zwierząt.“ Studium socyologiczne. Lwów, str. 83.

Autor uważa za stosowne swemu badaniu stosunku człowieka do świata zwierzęcego wytknąć taki kierunek, który strzegł-by przed zboczeniem na pole szczegółów niejako „muzealno-historycznego“ znaczenia. Jego więc zdaniem, najodpowiedniejszym punktem wyjścia jest zawsze dla prawnika elementarz prawa: prawo rzymskie, chociażby nie zostawiło po sobie wydatnej spuścizny, lub nawet zawierało w tej mierze lukę. Otóż w zakresie stosunku człowieka do zwierzęcia, *corpus iuris civilis* zawiera ślad jedynej, mianowicie postanowienie, wzbraniające znęcania się nad końmi, używanymi do publicznych transportów. Krytyka usiłowała odjąć temu przepisowi prawnemu charakter zarządzenia, podyktowanego przez względy ludzkości i, jako dowód,

przytacza prócz rozmiłowania Rzymian w krwawych walkach zwierzęcych, jeszcze tę okoliczność, iż w prawie rzymskiem niema dalszego śladu obrony zwierząt domowych. Przedewszystkiem zaś predylekcyą owa do srogich igrzysk cyrkowych może rzeczywiście obudzić mniemanie, iż do społeczeństwa rzymskiego nie miały przystępu motywa szlachetne, na których opiera się ochrona zwierząt w dzisiejszych państwach cywilizowanych. Ale, według d-ra B. Łozińskiego, trzeba odróżnić zdrowy stan Rzymu od okresu zwyrodnienia, w którym odbywały się owe widowiska, pochłaniające mnóstwo ofiar ze świata zwierzęcego. Igrzyska bynajmniej nie świadczą o tem, aby kiedyś nie było lepiej i aby zwierzęta były zawsze w Rzymie oddane na pastwę obojętnej dowolności. Autor gotów widzieć poparcie swojej tezy również w tym fakcie, że, według Pliniusza, pewien Rzymianin surowo ukarany został za zabicie wołu, oraz że cenzura rzymska, będąca w Rzymie wyrazem opinii publicznej, karciała okrucieństwa, na zwierzętach popełniane. Dopiero po upadku cenzury, gdy cesarze przyjmowali tytuł cenzorski tylko dla pozoru, bez świadomości zadań moralno-społecznych z nim połączonych, dopiero wtedy otwarto na oścież wrota wyrafinowanemu okrucieństwu względem zwierząt.

Wędrówka ludów rozpoczyna nowy okres. Ale w prawach barbarzyńców, kiedy nawet ochrona życia ludzkiego była w dzisiejszem pojmowaniu rzeczy oplakaną, nadaremnie szukali-byśmy śladów ochrony zwierząt, jaką dzisiejsze prawo zawiera. Jednak nie braknie tam wątku dla hipotez. Prawa starogermańskie szanowały życie zwierząt domowych i przyznały za nie okup właścicielowi tak samo, jak za zabicie osoby niewolnej. Autorowi nie wydaje się, ażeby ochrona owa miała jedynie charakter prywatno-prawny odszkodowania, bo, jego zdaniem, przeciwko temu przemawia zwyczaj dawanych wymiarów: kto psa zabił, usypywał właścicielowi jego górę pszenicy tak, aby ona pokrywała całego psa. Musiały się chyba zachować pewne zabytki zwyczajowe z czasów pierwotnych, każące widzieć w zwierzęciu coś innego, aniżeli my w niem widzimy. O takim pochodzeniu owych przepisów, oraz jednocześnie o innem pojmowaniu wzajemnego stosunku pomiędzy człowiekiem a światem zwierzęcym świadczy wymownie ów dziwaczny pomnik, jaki zostawiło nam społeczeństwo średniowieczne w procesach karnych przeciwko zwierzętom. Człowiek przypisywał im winę, jak gdyby posiadały wolę i świadomość celów i mogły być pociągane do odpowiedzialności. Dr B. Łoziński mniema, że dla objaśnienia tego faktu trzeba w rachubę wziąć sprężyny nie tylko prawnej natury, lecz przedewszystkiem motywa religijno-pogańskie, związane z filozofią, właściwą pierwotnemu umysłowi. Wreszcie chrześcijaństwo, zapuściwszy korzenie wśród ludów germańskich, w ciągu wieków oddziaływało

na ukształtowanie stosunku człowieka do świata zwierzęcego. Nadto wpływ swój dołączyły jeszcze idee filozoficzne z końca przeszłego oraz z początku obecnego wieku. Zwolna powstało ustawodawstwo o zwierzętach. Nad niem zatrzymuje się autor krótko, poprzestając jedynie na podniesieniu rysów charakterystycznych. Swój przegląd przepisów, obowiązujących obecnie co do zwierząt, kończy on analizą bezładu dzisiejszego. Stan prawny w rozpatrywanej kwestyi jest bardzo niejednolity i niesystematyczny, a nadto pozbawiony jasno określonej zasady. Reforma jest zatem niezbędna w tej dziedzinie. Ale ona nastać może tylko wtedy, kiedy zdołamy ją oprzeć na należytej podstawie teoretycznej. Na jakiej? Na to dr Br. Łoziński usiłuje odpowiedzieć, przedstawiając uprzednio dzisiejszy stan umysłów w sferze obchodzącego nas zagadnienia.

Na paru stronicach mówi on o dążnościach, uwydatniających się w obecnej filozofii „pozytywnej“ oraz socyologii, i zaznacza istnienie tam prób, które usiłują wprowadzić zwierzę w sferę, wyłącznie dotychczas zawarowaną dla człowieka—w sferę prawa. Przedstawia on poglądy nowej szkoły antropologicznej, prawa karnego, które sprowadzając istotę przestępstwa na poziom jednakowych w świecie ludzkim i zwierzęcym popędów, a istotę kary na poziom czysto materialnej reakcy przeciwko takiemu instynktowi, tem samem—według d-ra B. Łozińskiego—dąży poniekąd do wskrzeszenia średniowiecznego postępowania karnego przeciwko zwierzętom. Pod wpływem tych nowych powiewów rozpoczęło się starcie różnych poglądów filozoficznych co do zwierząt. Właśnie wśród takiej sytuacji filozoficznej ogłoszono świeżo w Niemczech konkurs na temat o prawie zwierząt. Jedną z rozpraw, G. H. Wetzlicha została uwieczniona nagrodą, ale niestety, nic nie przyniosła, bo nasz autor nie znajduje w niej żadnych nowych poglądów, lub nawet praktycznych wskazówek. Konkurs zrobił fiasko: postawiona kwestya filozoficzno-prawna nie została rozwiązana. Ale w literaturze prawniczej niemieckiej skutkiem konkursu odżyły dawne sprzeczności i polemiki, zostawszy przeniesione na grunt współczesnych prądów filozoficznych. Rozprawy te rzuciły więcej światła na stronę prawno-praktyczną kwestyi, aniżeli rozprawa konkursowa. W polemice wypowiedziano zdanie, że ochrona zwierząt ma właściwie nie zwierzęta na celu, ale ochronę człowieka i jego interesa moralne, zagrożone gorszącym widokiem brutalnego postępowania względem zwierząt. Pogląd ów jest właśnie owem cennem światelkiem, za którego pomocą można sobie torować dalszą drogę. W tem zdaniu bowiem mieści się uznanie, że chociaż nie można mówić o prawie zwierząt w kodeksach pozytywnych, dla których przedmiotem może być tylko człowiek, jako istota rozumna i wolą obdarzona, to prze-

cież zakres strzeżonych w tych kodeksach interesów człowieka może być tak szeroko zakreślony, ażeby w ramy jego wchodziła także rekojmia dla obowiązków moralnych człowieka względem jestestw żyjących niższego rzędu. Bądź co bądź, jest to charakterystyczna oznaka luki w dzisiejszym prawie karnem, że trzeba aż konkursy rozpisywać na określenie prawa zwierząt, chociaż chodzi tutaj właściwie nie o ochronę zwierząt, lecz o interesa ludzkie. Inną równie, charakterystyczną oznaką jest także fakt, że ci, którzy uznają bezwarunkowo potrzebę zaostżenia przepisów karnych co do dręczenia zwierząt, szeroko się nad tem rozwodzą, w którym rozdziale kodeksów karnych przepisy tego rodzaju pomieścić należy bez uchybienia logice lub celowi. Z tego położenia znaleziono wyjście, które polega na tem, że przepisy co do obrony zwierząt mają być pomieszczone w rozdziale przekroczeń, naruszających moralność publiczną. Autor, korzystając z okazji, zastanawia się wogóle nad lukami kodeksów w zakresie spraw moralnych i wreszcie wyznacza przyczyny takiego stanu, które zawierają się w tem, że „dzisiejsze kodeksy karne powstały w czasie, gdy rozpoczynający się rozwój nauk przyrodniczych mącił zaczął pojęcie o odrębności duszy ludzkiej.” Prawo karne zamknęło się zatem w sferze materialnych interesów człowieka, a duchowe i moralne dobra objęło swoją opieką o tyle, o ile łączyły się one z poprzednimi. Ostatecznie dr Br. Łoziński swoje rozmyślenia nad obecnym stanem prawa w obchodzącej nas kwestyi zamyka następującą uwagą:

„Rozszerzenie opieki prawa karnego na życie psychiczne w szerszym zakresie uważać należy za akt udoskonalenia, którego dokonanie stanowić powinno tylko kwestyę czasu... Po takim wypełnieniu luki w dzisiejszym prawie karnem łatwem będzie także porozumienie się co do zakresu ochrony świata zwierzęcego.“

Autor więc rozszerzył ramy tematu tak, aby podnieść wogóle niedostateczność dzisiejszej osłony prawnej dla psychicznego życia człowieka. Uczyniwszy to, udziela on odpowiedzi na pytanie, na jakiej zasadzie teoretycznej prawo powinno oprzeć ochronę zwierząt. Z góry z uwag nad dzisiejszym stanem prawa można się już domyślić jego stanowiska. Mianowicie w brutalności i okrucieństwie człowieka wobec świata zwierzęcego widzi niebezpieczeństwo, a przynajmniej zaród niebezpieczeństwa dla samej istoty ludzkiej, ponieważ takie postępowanie zaraża złemi instyktami naturę człowieka. Tem samem w obronie zwierząt zbiegają się ze względami na świat zwierzęcy także własne interesa człowieka. Niepodobna nam wdawać się w relacyę wywodów autora nad wiwisekcyą, która ściśle się wiąże z kwestyą ochrony prawnej, zwrócimy więc uwagę jeszcze na podkreśloną przez autora konieczność reformy postępowania sądowo-karnego w za-

kresie roztrząsanych przez niego przestępstw. „Gdyby każdy obywatel—powiada on—mógł w przestępstwach tego rodzaju z mocy prawa objąć funkcje prokuratorskie i występować jako oskarżyciel publiczny w każdym wypadku, gdy organa prokuratury z interwencją wystąpić nie myślą, była-by w tem nie mała rękojnia skuteczności akcji karnej w wielu a wielu wypadkach, dziś płazem puszcanych, nadto była-by kontrola, pobudzająca prokuraturę do żywszej czujności i akcji wogóle... Właśnie ten systemat skargi, który najwłaściwiej należało-by nazwać społecznym, najlepszą dawał-by rękojmię skutecznego stosowania repressyi karnej na tym wielkim, ale zaniedbywanym obszarze małych przestępstw, składających się razem na ponury obraz wzrastającego zepsucia.“

Taką jest zasadnicza, pozytywna treść studyum socyologicznego d-ra Br. Łozińskiego o prawie zwierząt, na którą każdy może się zgodzić, bez względu na swój filozoficzny punkt widzenia. Ale prócz tego jądra, istnieje jeszcze skorupa filozoficzna, odznaczająca się tak silnem zacięciem publicystycznym, że nawet stojąc na odmiennem stanowisku pod względem filozoficznym, można książkę d-ra Łozińskiego z przyjemnością przeczytać.

I. K.

Dzierżanowska M., Niewiadomska C. i Warnkötter J. „Ćwiczenia do wykładu gramatyki i nauki języka podług zasad gramatyki Małeckiego i uchwał akademii Umiejętności w Krakowie. Kurs elementarny. (Książka ucznia i nauczyciela). Warszawa, 1895

Książka ta, nie bez zalet pedagogiczno-dydaktycznych, stanowi ważny podręcznik nie tylko dla ucznia i nauczyciela, ale poniekąd i dla samouka, dla którego, okrom niniejszej pracy, nie masz w tym przedmiocie dziełka, co-by w sposób prawie poglądowy dozwoliło mu oswoić się z zasadami języka. Podręcznik, składający się wyłącznie z ćwiczeń do gramatyki, autorki podzieliły na dwie książki, przeznaczając jedną dla ucznia, drugą dla nauczyciela.

Wykład rozpoczyna się od nauki o zdaniu. W przykładach: matka pracuje, człowiek myśli, należy znaleźć podmiot i orzeczenie, albo też mając orzeczenia: pisze, uczy, uczy się, kuje i t. p., tudzież podmioty: tokarz, murarz, uczeń, księżyc i t. p. uzupełnić pierwsze przez podmioty, drugie przez orzeczenia. Z rzeczowników: Bóg, budowniczy, suma, dżban, wiśnia i t. p. powybierać osobne rzeczowniki osobowe,

zwierzęce, nieżywotne i umysłowe. Napisać nazwy z każdego działu tych rzeczowników. Przykłady: Lublin jest.—Jeleń jest,—leży nad Wisłą i t. p., uzupełnić za pomocą rzeczownika własnego lub pospolitego.

Te i tym podobne ćwiczenia wypełniają całą książkę.

Nie ujmując w niczem niepospolitej wartości tej dość obszernej książki, sądzymy, że kilka uwag naszych może być małym przyczynkiem do dalszej na tem polu pracy, do której uzdolnione pod względem pedagogicznym i dydaktycznym autorki najzupełniejsze mają prawo.

Wyszukiwanie rzeczowników zbiorowych, jak: rodzice (ojciec i matka), rodzeństwo, miesiąc, pułk, snop, naród i t. p., uważamy za zbyteczne; gdyż rzeczowniki te nie przedstawiają właściwych sobie znamion formalnych, któremi-by się wyróżniały od innej kategorii podobnych im wyrazów. Rzeczowniki zbiorowe mają wartość znaczeniową (semazyologiczną). Niektóre z nich, jak np. *liście* w języku staropolskim, w serbskim, chorwackim i w innych narzeczach słowiańskich, miały znaczenie zbiorowe np. *liście* z drzew *opadło* i t. p. Przytoczywszy powyżej jeden z przykładów, wymienionych przez autorki, między innymi wyrazami, przywiedliśmy rzeczownik *rodzice* w znaczeniu zbiorowym, którego wszakże nie mają, jak to sama forma wskazuje; gdyż *rodzice* jest liczbą mnogą w stosunku do pojedynczej *rodzic* i *rodzica*; wtakim razie *starościce*, a nawet imiona własne: *Skierniewice*, *Opatowice* i t. p., należało-by zaliczyć do kategorii zbiorowych.

O rzeczowniku *wakacje* ucza autorki, że nie ma liczby pojedynczej; owszem, wyraz ten, wzięty z języka łacińskiego (*vacatio*), w spolszczeniu ma liczbę pojedynczą: *wakacya*.

W głosowni nie odróżniają autorki *e* (ie) miękkiego od twardego, gdyż tylko pierwsze miękcy poprzedzającą spółgłoskę (żaba, żabie, t. j. zab'e), a nie druga (prąd, prądem). Sądzymy, że trudno było-by dziecku odróżnić temat od końcówki w takich wyrazach, jak *kość*, *ośn*, a nawet *cztery*. Formy te nie mogą być wyjaśnione bez morfologii porównawczej.

Mimo tych zarzutów, przynajemy książce wartość niepospolitą. „Ćwiczenia“ świadczą chlubnie o pilności i uzdolnieniu pedagogiczno-dydaktycznem autorek, których praca pomysłnym w nauczaniu wynikiem może być wynagrodzoną. Zachęcamy je też do dalszej w tym kierunku działalności w opracowaniu odpowiednich podręczników naukowych, radując się w duchu z ich szlachetnych i zacnych intencji.

„Mgławica“, powieść Estei. Nakładem S. Lewentala. Warszawa, 1895 r.

„Mgławica“—ostatnia praca Estei, powieść, mająca widoki powodzenia. Trudnego w niej jęła się autorka zadania, i założeniem, i typem tytułowej bohaterki.

Halka Drohińska, to jedna z tych,—jak często spotykanych dziś, ale jak też niełatwych czasem do rozplątania!—panien wielkomiejskich a salonowych, co przez matki, skromnemi bardzo rozporządzające środkami materyalnymi, na nieustannem kłamstwie i pozorach wychowane, bogatemu zamążpójściem okupić mają w przyszłości całe lat szeregi, w upokorzeniu i nędzy prawie spędzonych. Ale jak operacja wychowania takiego więcej bywa skomplikowaną, niż-by się to na pierwszy rzut oka wydać mogło, tak i rezultat jej, panny, bogatych ścigające mężów, nie zawsze bywają, zwyczajną sobie, łatwą do odczytania prozą. Zatrute od dzieciństwa fałszem dusze ludzkie niezawsze wszelaki w sobie pierwiastek szlachetniejszy zatracają, a bywa, iż życie samo, okoliczności zgoła nieprzewidziane budzą w nich, lub tylko w zawieszeniu utrzymują, skłonności, wręcz wychowaniu przeciwnie. Owocem rezultatu tej połowiczności jest połowiczność charakterów, chaotycznych, działających nieświadomie, drogi swej niepewnych, słusznie przez Esteję do mgławicy kosmicznej przyrównywanych, bo niewykluczoną jest możność przeobrażenia się w słońca, nawet gdy z warunkami spotkają się odpowiednemi.

„Mgławica“ jest Halka Drohińska, a oto pyszny jej rysopis: „Bardzo jasne blond włosy, tak jasne, że ją, jako dziecko, Albinoską matka nazywała, a po cichu nieżyczliwi do dziś dnia mianem tem ją darzyli; niezmiernie blada, przejrzysta cera, usta ślicznie zarysowane, ale zimne, barwą do różowego koralu podobne; wielkie oczy popielate, czy też zielone, czy może niebieskie, czasem stalowe, czasem prawie czarne nawet, najczęściej jednak bezbarwne, o zagadkowym wyrazie, zdziwione, czy pytające, czy trochę wystraszone, nie wiadomo: może bezmyślne. Nos niewielki, bez klasycznego zakroju, twarzy nie szpecący; włosy, zaczesane *à la vierge*, nad nizkiem czołem ani śladu grzywki; jasne brwi i rzęsy, łagodny owal twarzy; ślicznie wygięta, może nieco za długa, szyja; ramiona spadające; zresztą figura nadto wątła, szczupła, eteryczna. Wyższą się wydawała, niż nią była w istocie... Sprawiała wrażenie *d'une blonde fade*—fizycznie. A moralnie? Na zapytanie, co o niej myślisz?—odpowiadano: Ona nie daje do myślenia. Musi być nic nie znacząca.

A jednak już z tego rysopisu, subtelnie, jeżeli nie *de visu* pochwyconego, to przynajmniej artystycznie wiarogodnego, cała zagadkowość i złożoność pozornie nic nie mówiącej postaci bije, i zgoła nas

to nie dziwi, że w Halce takiej rozkochać się mógł i kochać namiętnie taki Czesław Złoczowski, szczerłość i prawdę po nad wszystko stawiający na świecie, a w fanatycznej czci swojej dla nich wszystko im poświęcić gotów.

Zdając sobie sprawę z niesłychanego odsłoku usposobień i wzajemnej wartości moralnej, Halka, pod wrażeniem nadto samobójstwa, jakiego się dla niej i przez nią (wiedziała o tem) dopuścił towarzysz jeszcze lat dziecinnych, a dopuścił nie z miłości już tylko dla niej, ale wprost z obrzydzenia do jej natury, postanawia nawiązane z Czesławem narzeczeństwo zerwać, gdy staje temu na przeszkodzie brat jej, Waclaw, tej samej wychowawiec szkoły, co to nie po to ślęczał po biurach i dopomagał matce do utrzymywania domu na fałszywej stopie, siostrę zaś woził po balach, aby, gdy się nareszcie bogaty znalazł Złoczowski, i on, braciszek, korzyści też nie miał swojej. Kochała się w nim kuzynka Czesława, na którą ten, z roli już opiekuna. wielki wpływ posiadał; owóż kuzynka ta panną była bogatą, a Halka, raz poślubiwszy Złoczowskiego, i jemu do panny ułatwić miała drogę.

Takiem jest założenie powieści, założenie, najeżone trudnościami, z którymi ani rusz wykręcić się figlem, ani rusz efektem, pomysłem, fantazyą. Halka, z miłością w sercu dla zmarłego, wychodzi za Czesława, przywiązanie do niego udając, brata wpływem swoim żeni z Luńką i rozpoczyna życie ciężkiego za wszystkie winy okupu. Twardy, nieprzełamany w zasadach swoich mąż, uosobienie surowej sprawiedliwości, z zupełnym niemal w duszy zanikiem uczuć pobażania i wyrozumiałości, odstrasza ją raczej od siebie, ją, co jakkolwiek nie straciła jeszcze zdolności odczuwania prawdy, tak przecie długo fałszem żyła, takim się murem kłamstw od męża odgrodziła, że musi chyba do końca w ciężkiej tej roli wytrwać. A tu i dostatki zadowolenia nie przyniosły z sobą: u boku od rana do nocy zajętego pracą męża, zamknięta w sobie, w nudzie trwa nieustannej, okropnej, obostrzonej, niby więzienie postem, okropniejszym jeszcze rozpamiętywaniem brudnej przeszłości.

Autorka, która dwutomową powieść zamknęła w *tête-à-tête* prawie męża z żoną, epizodycznie tylko, rodzajem komentarza w akcji, wprowadzając do niej osoby trzecie, tyle w znajomości duszy ludzkiej, a tak przetrawionego umiała znaleźć materiału, że nam się oto w towarzystwie niewesołej pary Złoczowskiej czas wcale długim nie wydaje, że od rozdziału do rozdziału zaciekawienie nasze rośnie, a z niem i zadowolenie.

Stopniowo, w miarę oddziaływania na nią męża, w umyśle Halki coraz jaśniej, coraz silniej formuluje się przekonanie, jako tylko ofiarą szczerą przed Czesławem spowiedzi zdoła odzyskać równowagę mo-

ralną i w oczach własnych podnieść się i uszlachetnić. Zrazu, jakkolwiek i pojmuje doniosłość podobnego zadośćuczynienia, myśli o niem, jako o rzeczy wobec surowości męża wprost niewykonalnej, myśli jednak coraz częściej pod wpływem rodzącego się w niej uczucia dla Czesława; aż wreszcie, gdy wyczekiwanego długo a gorąco macierzyństwa staje przed nią pewność, Bogu na ofiarę, dziecku na szczęście, okropne to dla siebie ślubuje wyznanie. Ale odkłada je, odkłada jeszcze z dnia na dzień, długo, i dopiero nagła choroba dziecka decyduje ją ostatecznie. Wszystkie na sobie plamy, wszystkie winy swoje spisuje szczerze i, w formie listu, półmartwa, składa mężowi.

Ale minęło lat kilka, i nie doczekała się zmiłowania. Ślicznymi rysami pokory, poddania się i uległości wyposażyła ją autorka w ciąg tej długiej pokuty, męczeństwa prawie, z żelazną konsekwencją do ostatnich doprowadzając wyników proces starcia się dwóch tak odmiennych wychowaniem i ideałami natur. Sam złamany zawodem, Złoczowski, do końca na przebaczenie się nie zdobył, a raczej zdobył się za późno, gdy Halka, korzystając z lekkiego przeziębienia, po-nad siły znużona, z rozmysłem do tego stopnia rozwinęła w sobie chorobę, że już jej opanować nie zdołano.

Pominąłem w krótkim powyższym szkicu wszystko, co po-za jądro samo bajki sięga, nie dotknąłem roju całego rozrzuconych po niej szczegółów, i pomyśłem, i obrobieniem „koronkowych”, a w których otoczeniu konsekwencja psychologii figur i plastyka ich z nadzwyczajną dobywa się prawdą i siłą. Tak Halka, jak i Czesław, to dwa pełne ciałem i duszą twory, ludzie z krwi i kości, a czyn ich każdy, myśl każda w przyczynowym stoi z charakterami ich i usposobieniami związku. Złoczowski nie dla tego nie przebacza żonie, że tak się autorce podobało, ale dla tego, że zdolności przebaczenia nie miał w sobie, że właśnie tylko dowolność i niekonsekwencja autorska mogłaby go w nią wyposażyć. Raz wyszedłszy z postawionego sobie założenia, doprowadziła Esteya rzecz do końca bez zarzutu.

Na sam jeden tylko epilog książki nie bardzo bym się godził. Przedstawia nam w nim autorka Złoczowskiego, straszną katastrofą śmierci żony, samobójczej nieledwie, odmienionym na nice—miękkim, wyrozumiałym, pobłażliwym. Psychologicznie odmiana ta zupełnie zrozumiała, po co jednak owa niesmaczna kropka nad i, ów morał w formie wypisu z „Boskiej komedyi”, którym jakby groził na nosie Złoczowski czytelnikowi, upominając go, aby „w sądach swych nie był zanadto ufny.” Autorka zaś przytakuje mu od siebie z za okładki. Kto książką pewnych nie obudził myśli, ten ich nie obudzi morałem, a kropka nie uratuje sytuacji.

Obok Złoczowskich, wiele poświęca miejsca Esteja figurze, bądź co bądź, drugoplanowej, opracowanej jednak starannie, wychowańca, a jak się pokazuje później, naturalnego brata Czesława, pełniącego obowiązki rządcy, Kilańskiego. Wprowadzony do akcji, jako *repoussoir* dla bohaterów jej, nerwowy ten malkontent społeczny, w rysunku subtelny, jednolity i konsekwentny. niepotrzebnie chyba tylko, a właściwie niekoniecznie, znalazł się w owym drastycznym rodzaju pokrewieństwa ze swoim chlebodawcą. Sytuacja to sama w sobie trochę wodewilowa, niczem tak bardzo znowu nie ułatwiająca autorce zadania, i sam już wychowańca do opiekuna stosunek starczył na wytworzenie odpowiadającej założeniu akcji. Oczywiście trudno to grzechem nazwać, a nawet błędem, powieść jednak zyskała-by, zdaniem mojem, na nieobarczaniu jej epizodycznie podobną *nadcharakterystyką*.

Na zakończenie wzmianka o sylwetkach: Luni, dzieci jej i małego Stasia Złoczowskiego. Wszystko to żyje.

Kilka stroniec refleksyi zbytecznych a zawiłych bez szkody dałoby się z książki usunąć, jak i ustępów kilka, tonem nie odpowiadających treści. I jeszcze jedno: pomiędzy szeregiem udatnych bardzo i odczutyh opisów natury, spotkałem się z kukającą po nocy kukułką. Wypadek to niesłychanie rzadki, na bezsenność cierpiąca kukułka, tak rzadki, że choć-byśmy go już na wiarę autorki przyjęli, żadną miarą przyjąć go nie możemy za jeden z rysów, obraz znamionujących nocy. Zdrowy derkacz np., lub przepiórka, skutecznie w danym razie zastąpiły-by chorą kukułkę.

W. KARCEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W sprawie armeńskiej zaszedł niespodziewanie epizod, który ją bardzo powikłał. Oto dnia 30 września, w Konstantynopolu, *Softowie* wymordowali kilkuset Ormian. Ormianie szli gromadnie ku pałacowi W. Porty, niosąc W. Wezyrowi petycję, którą zamierzali podać. W. Wezyr uprzedzony był o tej petycyi, ale nie miał zamiaru jej przyjąć, skutkiem czego policya zagroziła drogi, wiodące do pałacu. Kiedy niosący petycję spotkali się z kordonem policyjnym, trudno im było pogodzić się z myślą, że trzeba wrócić do domu, nie złożwszy petycyi, choć to było-by właśnie politycznie najmądrzejsze. Byli już podnieceni, wychodząc z domu, teraz widok wojsk jeszcze bardziej ich podniecił. Zaczęły się dyskusyje z szefem oddziału policyi, które się skończyły bitwą. Kto uderzył pierwszy, różnie mówią: Turcy twierdzą, że Ormianie, którzy byli uzbrojeni, rzucili się na dowódcę kordonu i zranili go, zmuszając tym sposobem policyę do użycia broni. Ale to, co się stało w starciu petycyonistów z policyą, było dopiero wstępem do znacznie straszniejszego dalszego ciągu. Na rozproszonych przez policyę i uciekających petycyonistów zaczęli napadać po ulicach *Softowie* i mordować ich. Rozochoceni widokiem krwi, zaczęli się potem rzucać na wszystkich Ormian. Tym sposobem przyszło w końcu do formalnej rzezi. *Softowie* napadali najspokojniejszych przechodniów, atakowali kawiarnie ormiańskie, sklepy, mieszkania. Przerażenie padło na wszystką chrześcijańską ludność Konstantynopola, i posłowie

mocarstw zmuszeni byli wystąpić do porty z wezwaniem, aby otoczyła skuteczniejszą opieką ludność miasta. Porta przyrzekła, rozwinęła nawet pewną energię dla przywrócenia porządku; ale fanatyzm mahometański tak się rozbujał, że kiedy mu zamknięto w Stambule drogę do wybuchów, przeniósł się na prowincję. Piszemy to w półtrzecia tygodnia od dnia rzezi, a pomimo tak długiego czasu, nie mija dzień, żeby depesze nie przyniosły wiadomości o mordowaniu Ormian przez Turków w jakim miasteczku.

Czy Porta sama przygotowała te wypadki? Czy, zwątpiwszy o możliwości poróżnienia mocarstw, chciała im przez zaburzenia wykazać, jak chwila jest mało stosowną do reform? Tak powiadają ci i owi, ale nie zdaje się, żeby tak było. Wypadki te przyszły dla wszystkich niespodziewanie, nawet dla W. Porty, która jest dziś przez nie w sytuacji trudniejszej, niż przed niemi. W sprawie samych zaburzeń, choć-by nawet Ormianie zawinili zaczepką, późniejsze okrucieństwa Softów i policji pokryły całkowicie tantą winę. Wszakże Softowie siekali ludzi i posiekanych wrzucali do morza. Wszakże policja w lokalach biurowych dobijała samych aresztowanych. Mocarstwa teraz z większą niż poprzednio energią domagają się reform dla Armenii, pomimo, że Turcyja powołuje się na rozbudzony fanatyzm opinii mahometańskiej, jako na przeszkodę, która ją krępuje. Turcyja ze swego punktu widzenia może mieć rację, bo nienawiść do Ormian wśród ludności tureckiej urosła istotnie do tego stopnia, że musi się z nią liczyć spadkobierca tronu Abdul Azisa. Ale mocarstwa, pomimo to, są zdania, że rozpoczętego dzieła interwencji nie można teraz przerywać. Możeby lepiej było, nie tylko dla Turcyi, ale i dla Armenii nawet, żeby go nie wszczynano; skoro jednak stało się inaczej, rzecz powinna być doprowadzona do końca, bez względu na fanatyzm Softów. Bo gdyby ten fanatyzm miał urosnąć do znaczenia władzy decydującej, powstały-by obok niego inne narodowe i religijne fanatyzmy, i wszystkie razem przyspieszyły-by upadek państwa. Reformy armeńskie wydają się potrzebnymi i teraz jeszcze, jako rękojmia przeciwko rozpanoszeniu się fanatyzmów. Mahometański powinna W. Porta poskromić, armeński przez reformy rozbroić, a gdy to nastąpi, wszelkie inne same przycichną. Mocarstwa muszą być mocno przekonane o trafności swoich poglądów, skoro, wobec nowych ociągów Porty, zagroziły jej wystosowaniem ultimatum. To ostatnie bowiem, gdyby nie było następstwem mocnej wiary w zbawienność reform armeńskich, jako środka, który Turcyję wzmocni, nie dało-by się wcale wytłómaczyć w tych trudnych okolicznościach.

Rząd turecki jednak wiary tej nie podziela i skutkiem tego znalazł się w położeniu bardzo kłopotliwym. Napierają na niego własni

poddani i wpływy zagraniczne w dwóch przeciwnych kierunkach, on zaś obawia się uledez każdemu z tych nacisków i chciał-by, żeby go zostawiono w błogim spokoju, który mu jest właściwy, ulubiony i, jak twierdzą Turcy, najzdrowszy politycznie. Cokolwiek bądź z resztą Porta postanowi, będzie to miało wielką doniosłość, bo chwila jest przelotową.

W dniu 1 października objął władzę w Austrii nowy gabinet, któremu przewodniczy hr. K. Badeni, a którego członkami są: br. Gautsch, jako minister oświaty, br. Gleispach — sprawiedliwości, Bieliński — finansów, hr. Ledebur — rolnictwa, br. Welsersheimb — obrony krajowej, br. Glanz — handlu. Gabinet nie jest parlamentarnym, ale jest konstytucyjnym. Według przyjętej już formuły, będzie on „stał po-nad stronnictwami“. Zadanie jego polega na tem, żeby rządzić państwem przy pomocy parlamentu, w którym niema stałej większości. Rządzić państwem nie zawsze jest łatwo nawet tam, gdzie się można oprzeć na większości; gdzie tego oparcia brak, rządy stają się możliwemi tylko dla osobiwie zręcznych polityków. Hr. Taaffe, który uchodził za wyjątkowego ekwilibrystę politycznego, upadł jednak wkrótce po porażce staroczechów, którzy stanowili część składową większości. Ks. Windischgraetz, choć miał za sobą koalicję stronnictw, nie potrafił przez dłuższy czas utrzymać ani koalicji, ani gabinetu. Hr. Badeni przychodzi bez większości, bez koalicji. Wobec państwa ma do spełnienia kilka gotowych, a ważnych zadań, jak ugoda z Węgrami, reforma wyborcza i reforma podatkowa. Wobec stronnictw stoi bez zobowiązań. Jak i przy czyjej pomocy zadania owe spełniać będzie, tego nikt dotychczas nie wie. Jego kunszt okaże się dopiero w praktyce, w pokonywaniu trudności, w redukowaniu przeciwności, w zaprzęgnięciu do ustawodawczego wozu ryby, raka i ptaka i kierowaniu niemi tak, żeby wóz posuwał się naprzód. Czy to potrafi lepiej od swoich poprzedników? Powołując hr. Badeniego na urząd prezesa ministrów, cesarz Franciszek Jozef wystosował do niego list własnoręczny, w którym zamieścił wielkie pochwały i wyrazy wielkiej ufności. Ten list sprawił wrażenie na stronnictwach przedlitawskich, podniósł urok gabinetu i niezawodnie przyczynił się bardzo do tego, że nowy rząd doznał ze wszystkich stron uprzejmego przyjęcia. Ale uprzejmość to nie jest jeszcze życzliwość. Do niczego ona nie obowiązuje i o przyszłej postawie stronnictw nie przesądza. Wszystkie stronnictwa mogą się zachowywać uprzejmie względem gabinetu, dopóki ten jest dla nich zagadką. Kiedy zaczną działać, uśmiechy zejną z wielu twarzy, a wstąpią na nie zmarszczki. Z ilu twarzy zejną, a na ilu zostaną? W tem się właśnie okaże miara uzdolnień nowego prezesa. Zadania ma przed sobą bez porównania zawilsze, niż trzej poprzednicy, tru-

dnosci do przewycięzenia więcej, niż oni. Żeby wszystkiemu sprostał, czego po nim wymaga zaufanie korony, musi się zdobyć na mistrzostwo w kierowaniu ludźmi. I to jest chyba wszystko, co można w tej chwili powiedzieć o nowym gabinecie i jego przewodniczącym. Nie potrzebuje on szukać swego programu, bo znalazł gotowy. Winien tylko użyć odpowiednich środków do urzeczywistnienia go przy pomocy parlamentu, w którym różnorodne wpływy polityczne wzajemnie się paraliżują. Jak tego dokona, jeśli dokona, to dopowiedzą przyszłe wypadki. Dziś trzeba tylko dodać, że zadanie jest niesłychanie trudne, i jeśli nie wprost nad siły ludzkie, to w każdym razie tylko na siły wyjątkowego męża stanu.

Wyprawa do Madagaskaru, która tyle wzbudziła we Francyi niepokojów, uwieńczona została powodzeniem. W dniu 30 września generał Duschene zdobył stolicę wyspy, Tananariwę, a nazajutrz, 1-go października, zawarł z królową traktat pokoju. Zwłaszcza to zawarcie pokoju ucieszyło Francuzów. Że generał Duschene opanuje w końcu Tananariwę, o tem nikt nie wątpił. Ale można się było obawiać, że nie zastanie w mieście królowej. Przez cały czas pochodu korpusu ekspedycyjnego, wojska królowej, zamiast stawiać opór nieprzyjacielowi, cofały się, niszcząc po drodze wsie i zapasy żywności. Powtarzało się to tak niezmiennie, że można było upatrywać w tem stale przyjętą taktykę i mniemać, że się ona powtórzy i pod ścianami stolicy. Depesze angielskie, uprzedzając wypadki, doniosły już nawet, że królowa wraz z pierwszym ministrem, zbiegła w głąb wyspy. Gdyby tak było naprawdę, zdobycie Tananariwy nie zakończyło-by wojny. Przeciwnie, wtedy zaczęła-by się ona dopiero na dobre. Rozproszone po wyspie oddziały Howasów mogły-by utrudniać prowiantowanie korpusu ekspedycyjnego. Tępienie ich w okresie deszczów było-by połączone z trudnościami, a i później nie o wiele łatwiejsze. Zanim-by w końcu Francuzi wytępilli wszystkie wojska królowej, a ją ujęli i zmusili do podpisania traktatu pokoju, mogło upłynąć wiele czasu i, co ważniejsza, urosły-by znacznie wydatki wyprawy, oraz straty w ludziach. Nareszcie trudno przewidzieć, jakby się te wszystkie wypadki odbijały na stosunkach politycznych w samej Francyi, to pewna wszakże, iż nie przyczyniały-by się do nadania im spokojnego biegu. Nie jeden minister został-by obalony, może niejeden gabinet. Wszystkich tych przykrości oszczędziła Francuzom królowa przez pozostanie w swojej stolicy. Podpisany przez nią traktat kończy nie tylko tę kampanię, ale wojnę, i oddaje Francuzom wyspę w ręce za cenę znacznie mniejszą, niżby zapłacili, gdyby na ten traktat trzeba było czekać do przyszłego roku. Królowa zasłużyła się dobrze zarówno gabinetowi, jak generałowi Du-

schesne'owi, armii francuskiej i skarbowi. Było-by też aktem niewdzięczności, gdyby, pomimo to wszystko, zrzuceno ją z tronu.

Nie uczyniono tego na razie. Warunki pokoju, podyktowane przez zwycięskiego generała, wyrażają poprostu wzmocnienie i ugruntowanie protektoratu Francyi nad Madagaskarem. Królowa zostaje na tronie, administracya miejscowa zostaje także. Francya będzie tylko wywierała kontrolę i nadawała impulsy; ale wobec zagranicy Francya zupełnie zasłoni rząd krajowy. Tak sobie można było wyobrazić warunki pokoju z depešy generała Duchesne'a, która jednak zawierała uwagę, że traktat zawarty został z zastrzeżeniem ratyfikacyi przez rząd rzeczypospolitej.

Oczywiście generał stosował się do instrukcyi, jakie z sobą przywiózł z Paryża. Jeśli nie detronizował królowej i poprzestał na wzmocnieniu protektoratu, znaczy to, że takie rozwiązanie wydawało się najstosowniejszem rządowi francuskiemu. Pomimo to, wobec trudności wyprawy, wobec osiągniętego powodzenia i wobec warunku o przyszłej ratyfikacyi, we Francyi wszczął się spór, czy należy wyspę tylko wziąć pod skrzydła wzmocnionego protektoratu, czy też wprost zaanektować. Zdania są bardzo podzielone i opinia się waha. Według sprawozdań z prowincyi, większość Francuzów, mianowicie zaś chłopci, są za aneksyą, która im się wydaje jedynie logicznem następstwem podboju i która według ich zdania zakończyła-by „raz na zawsze“ intrygi dworskie na wyspie, oraz intrygi zagraniczne przeciwko wpływom francuskim. Lud jest, jak mówią francuzi „*simpliste*“, czyli istotą, lubiącą pojęcia proste i także rozwiązania w polityce. Protektorat, który daje korzyści posiadania bez tytułu własności i bez jej ciężarów, wydaje mu się czemś nadto skomplikowanem. Sądzi on też, że pod temi zawiłościami kryje się poprostu tchórzostwo wobec Anglii, albo wobec miejscowych doktrynerów anty-kolonialnych.

I jest w tem prawda, bo rząd istotnie dla tego tylko nie polecił generałowi zaanektować wyspy, że się obawiał następstw aneksyi. Mogła-by ona pociągnąć zarówno wewnętrzne, jak zagraniczne zawiąkania. Co się tyczy pierwszych, to na głównym planie stoją tu możliwe kłopoty finansowe. Nie wyobrażano sobie, że tak względnie łatwo będzie wyspę podbić; na podbój trudny nie śmiano się ważyć, sądząc, że pokój na warunkach protektoratu da się osiągnąć o wiele taniej. Już i tak malkontenci krzyczą, że Francya dokłada do swoich kolonii, zamiast z nich ciągnąć korzyści. Gdyby tę wyspę wzięto na własność, z początku przynajmniej, przy kosztownym sposobie administrowania przez urząd kolonialny, i tutaj trzeba-by dokładać. Rząd się tego wszystkiego bał i zakresił sobie skromniejszy plan, polegają-

cy na wzmocnieniu i ustaleniu protektoratu, którego Howasi dotąd uznawać nie chcieli.

Co się tyczy zagranicy, to ta, mianowicie zaś Anglia i Niemcy, zgodziły się formalnie na uznawanie protektoratu francuskiego nad Madagaskarem. Czy przystały-by na coś więcej? Prawda, że ze zwycięstw, według przyjętych zwyczajów i pojęć, rodzą się prawa. Francuzi jednak obawiali się, że aneksya Madagaskaru może dać pobudkę Anglii do aneksyi Egiptu. Przez cały czas przygotowań do kampanii, chodziło im o skłonienie królowej do poddania się protektoratowi Francyi. W tym też tylko duchu dali instrukcyę dowódcy wyprawy. Wychodząc po-za obręb tych instrukcyi, mogli-by dać Anglii, jeśli nie przykład i nie powód, to chociaż pozór do ogłoszenia się na zawsze panią Egiptu, którego dziś jest, wobec świata, niby tylko czasową rezydentką.

Nie ulega więc wątpliwości, że rząd francuski bał się aneksyi. Inna rzecz, czy źle robił, że się bał. Pod tym względem trzeba mu oddać sprawiedliwość, że był umiarkowanym i przezornym, i nie dziwić się, że takim chce pozostać do końca. Protektorat może w istocie dać wszystkie korzyści posiadania bez ciężarów tegoż. Wyłączny wpływ na wyspie, posterunki militarne, porty handlowe i wojenne, wszystko to Francya mieć może przy protektoracie. Dalej Francya sama będzie zawierała traktaty handlowe imieniem królowej, zaczem też będzie mogła takie zapewniać korzyści swemu przemysłowi, jakie zechce, i takie stwarzać dla swoich obywateli warunki udogodnionej kolonizacyi, jakie zapragnie. W dodatku przy protektoracie rząd centralny nie potrzebuje wydawać znacznych sum na administracyę wewnętrzną, którą jednak przy pomocy kilku wyższych dygnitarzy, od siebie zależnych, może doskonale trzymać pod swoim wpływem. A obok tego utrzymanie się w granicach protektoratu istotnie daje innym państwom przykład umiarkowania i obowiązek równej powściągliwości.

Chodzi tylko o to, żeby rząd rzeczypospolitej, który potrafił tak trafnie kwestyę postawić, umiał się utrzymać do końca przy swoim, przeciwko pogładowi odmiennemu, który z dość znaczną siłą pcha do aneksyi wyspy. Przyjdzie z okazji traktatu do rozpraw w izbie. Jest prawdopodobne, że prąd aneksyjny wystąpi z wielką paradą frazesów patryotycznych i argumentów polityczno-ekonomicznych. Temu trzeba będzie stawić czoło. Dopiero po wygraniu tej kampanii w parlamencie, rząd będzie mógł sobie powiedzieć, że się wyprawa madagaskarska i jemu, i Francyi udała.

Dzień 20 września przeszedł w Rzymie według z góry określonego planu. Rząd z wielką wystawnością święcił dwudziestą piątą rocznicę opanowania wiecznego miasta. Odsłonięto pomnik Garibaldięgo.

Crispi wypowiedział dużą mowę, w której przekonywał papieża o korzyściach, jakie wyciągnął kościół z utraty Rzymu i przyległych terytoryów. Urzędowe Niemcy winszowały Włochom, biorąc udział w ich radości, co było na swoim miejscu po niedawnych obchodach niemieckich zaboru Alzacy i Lotaryngii. Swoją drogą świat katolicki nie dał się olśnić ani blaskiem uroczystości, ani wymową Crispiego, i starał się okazać w tym dniu i w następnych współczucie swoje papieżowi. Płynęły telegramy, sypały się oliary. Ażeby zaś nikt nie pozostał w wątpliwości, że argumenta Crispiego nie przekonały także i Watykanu, Papież wystosował do kardynała, sekretarza stanu, Rampolli, list, w którym stwierdza, że kościół uważa jurysdykcję terytoryalną za koniecznie sobie potrzebną do zupełnej niezawisłości ruchów, tem konieczniejszą, iż przeciwnicy kościoła nie wahają się często grozić kościołowi zawieszeniem przez rząd włoski ustawy gwarancyjnej. Jakąż gwarancyję daje ta ustawa „gwarancyjna“, jeśli może być według widzimisię polityków zalecane jej zawieszenie?

To też te uroczystości z dnia 20 września zostawiły spór między państwem i kościołem tam, gdzie go zastały, nie zrobiwszy nic dla myśli pojednania. Nie mogło być inaczej, skoro przedstawiciele jedności włoskiej przez pojednanie rozumieją poddanie się strony przeciwnej. Nie ma ona powodu poddawać się, bo, jak to już dawniej powiedzieliśmy, może czekać. Daleko bardziej może czekać, niż rząd włoski, gdyż w tej rozsterce kościół nie przestaje kwitnąć i wzrastać w siły, zaś Włochy rozpaczliwie borykają się z trudnościami politycznymi, z których walka z papieżem utrudnia im wyjście.

Stara maksyma mówi, że się można do wszystkiego przyzwyczaić, a życie i codzienne jego sprawy dowiodły, że w tem twierdzeniu mieści się bardzo dużo prawdy. Ludzie się przyzwyczajają stopniowo do tak dużych dawek silnej trucizny, że człowiek normalny (jeżeli taki jest w świecie cywilizowanym) po spożyciu jednej, natychmiast padł-by trupem. Społeczeństwo nasze jest już dostatecznie oswojone z różnemi jadami życia. Na pokaleczenia nożem, pobicia, morderstwa, patrzymy bodaj obojętniej, niż na pierwszy lepszy pożar w mieście. Mistrzynią zaś w tem zobojętnianiu wrażeń jest prasa codzienna. Skrzętnie ona prowadzi kronikę tych wypadków ze stałemi tytułikami; od lat wielu nie pamiętamy, żeby rubryka *Krwawe zajścia* znikła z powierzchni bibuły drukowanej, chociaż na jeden tydzień. Przeciwnie—przygodną ona jest w dniu powszednie; z soboty zaś na niedzielę pęcznieje i temi rozmiarami więcej mówi, niż samą treścią awantur szynkowych. Moralisci i humanisci już oddawna przy-

szli do przekonania, że głównym bodźcem do zbrodni wszelkiego rodzaju—jest alkohol; ale łatwiej było scharakteryzować to zjawisko, niż wynaleźć środek na jego wyplenienie. Wprawdzie rozwinęły się na całej kuli ziemskiej stowarzyszenia wstrzemięźliwości, ale, wobec powszechnego nałogu i jego siły, znaczą one tyle, co kropienie wielkiego pożaru rozpylaczem salonowym.

Podobno niedawno ktoś zrobił podanie do władzy o towarzystwo *umiarkowanego* picia i bodaj w tym pomysle większą ma rację, niż surowi i bezwzględni wrogowie trunków. Alkoholizm bowiem wynika nie tylko ze spraw bytu, ale poniekąd tkwi dziedzicznie w organizmie społeczeństwa. Nie tak więc łatwa jest z nim walka, jak sądzą szerzyciele bezwzględnej wstrzemięźliwości. Co gorsza, pomimo przeciwdziałania w tej formie, alkoholizm rozwija się w najlepsze, ogarnia nie tylko warstwy ciemne, oddane pracy fizycznej, nie tylko klasy średnie intelligentne, ale nawet świat wytworny, zamożny, i to tak dalece, że już nie jest właściwością wyłączną mężczyzn. Nałóg ten zawładnął damami *high-lifu* w Anglii. Prasa jest zwykle dobrą roznościelką baśni i plotek, ale i w nich częstokroć zawiera się dużo prawdy, więc poniekąd na wiarę zasługują oskarżenia kobiet Albionu. Podobno one nie mogą już żyć bez koniaku i likieru; piją je na wizytach, w cukierniach, u modystek nawet i w teatrach, noszą je przy sobie zawsze i wszędzie. Już dziś upijanie się nawet małoletnich jest zjawiskiem powszedniem.

W przyszłości zatem do różnorodnych stowarzyszeń, rozciągających opiekę nad dziećmi, może jeszcze jedno przybędzie—Towarzystwo opieki nad małymi alkoholikami. Wogóle te latorośle, z których mają w przyszłości powstać pożyteczni członkowie społeczeństwa, w wielu wypadkach po macoszemu traktowane, pozostawiane bywają samopas bez żadnej kontroli, albo też podlegają zbyt surowej władzy rodzicielskiej, zanadto często nadużywanej. Przykłady znęcania się rodziców nad dziećmi nie należą do rzadkich, szczególnie w warstwach nieoświeconych, a wtrącenie się społeczne nie ma tu żadnej siły, więc musi, jako regulator i hamulec, wejść prawo. Nie każdemu może wiadomo, że w państwie rosyjskiem dotychczas rodzice mieli niemal nieograniczoną władzę nad dziećmi, że za różne nadużycia, obrażę, nieposłuszeństwo, posiadali oni przywilej karania bez sądu. Każdy ojciec miał prawo zamknąć syna, nawet dorosłego, na dwa do czterech miesięcy w więzieniu. Surowi posiadacze tego przywileju nie zawsze poprzestawali na tem; bywały wypadki przedłużania kary do roku i więcej, w ten sposób, że po wyjściu winnego z więzienia, ojciec

natychmiast oświadczał, iż syn się nie poprawił, więc znowu go zamknięto. Obecnie, przy ogólnej reformie kodeksu karnego, zwrócono uwagę na to zjawisko. Prawo nadal będzie wchodzić we wzajemne stosunki rodziców względem dzieci i odwrotnie. Można więc oczekiwać, że ojcowie będą pozbawieni przywileju samowolnego karania bez sądu. Ale prócz tego, prawo także będzie karcieć niedobre dzieci, znęcające się nad niedołężnymi rodzicami lub odmawiające im środków utrzymania. Dzisiaj, szczególnie wśród gminu miejskiego i wiejskiego, należy do spraw powszednich wysyłanie zniepełnych starców na zebranie, jako członków rodziny, którzy, oddawszy swe siły, nie mogą już być produktywnymi w gospodarstwie. I tutaj więc nowe prawo wejrzy.

Zaczyna ono coraz głębiej i szerzej wnikać w warunki pracy nieletnich, a obecnie, z powodu zamordowania chłopca, pozostawionego na straży w kantorze bankierskim w Petersburgu, zrodziła się nowa kwestya. Opinia publiczna wymaga uregulowania warunków pracy dzieci i wyrostków w sklepach. Sfery prawodawcze dają posłuch takim żądaniom, więc zapewne i ta sprawa wejdzie wkrótce na porządek dzienny.

Tymczasem, za nim to nastąpi, w szeregu wielu spraw z kolei będzie roztrząsane aptekarstwo, głównie—nauka praktykantów. Podobno postawiono, jako jeden z ważniejszych warunków, podniesienie cenzusu umysłowego farmaceutów w taki sposób, że zamiast ukończenia czterech, będzie wymagane świadectwo z sześciu klas gimnazjalnych. Wogóle podnoszenie cenzusu umysłowego ludzi, przysposabiających się do wszelkich zawodów, jest dążeniem bardzo pięknym, ale nie zawsze właściwym, bo oto zobaczymy, jaki rezultat może wyniknąć w razie zastosowania powyższych środków względem farmaceutów. Kto dziś obiera zawód aptekarski?—Ludzie wykolejeni, którzy się potknęli w nauce średniej, musieli opuścić szkoły z braku albo zdolności, albo pieniędzy na dalsze kształcenie się, wreszcie tacy, którzy, spróbawszy szczęścia na innych polach, wszędzie doznali niepowodzenia. Pozostaje tedy tylko farmacya, jako jedyna deska zbawienia. Tam więc szuka chleba młodzież, niezdolna do nauki gimnazjalnej, lub zdolna, lecz uboga. Czyż zatem, wobec tego, można przypuszczać, że kandydaci z wykształceniem sześcioklasowem zechcą się poświęcić owemu zawodowi? Mają oni przecież inne drogi otwarte: weterynaryę, szereg szkół specjalnych i t. d. Gdyby więc wprowadzono powyższą reformę, mieli-byśmy ciekawe zjawisko: zupełny brak nowych szeregów pracowników aptekarskich, z wyjątkiem chyba jakiejś szczupłej garstki synów właścicieli aptek, którzy, chcąc w przyszłości być do-

brymi gospodarzami, muszą się obeznać z fachem. Otóż nie taka reforma jest pożądana. Dzisiejszy sposób przygotowywania się do aptekarstwa jest całkiem nienormalny; należy więc stworzyć specjalne niższe szkoły farmaceutyczne, które-by obejmowały przedmioty ogólne, niezbędne dla rozwoju umysłowego i ułatwienia następnie wiedzy fachowej. Młodzież dzisiejsza, poświęcająca się zawodowi aptekarskiemu, oprócz niepowodzenia, dźwiga niepotrzebny balast w głowach. Z podniesieniem cenzusu ten balast zwiększył-by się jeszcze bardziej, bo przecież ani całkowity kurs algebry, geometrii, ani trygonometrya, ani skandowanie ustępów z „Iliady” i „Odyssey”, ani wreszcie tłumaczenie Xenofonta, lub klasyków łacińskich, bynajmniej nie ułatwi umysłowi przyswojenia farmakopei, farmakologii i receptury. Zwróćmy jeszcze i na to uwagę, że młodzież dzisiejsza, skazana przez los i warunki na poświęcenie się aptekarstwu, traci lat pięć, sześć, a nawet siedm na przebycie z trudem tych czterech klas gimnazyalnych. Gdyby dodano jeszcze dwie, to okres nauki szkolnej przy niepowodzeniach mógłby dojść do lat ośmiu, a nawet dziesięciu, gdy odrębne szkoły średnie dla farmaceutów, oczyszczone z niepotrzebnego balastu, mogły-by być najwyżej czteroklasowe i o wiele lepiej przysposobiły-by młodzież do rzezonego zawodu, niż obecnie gimnazyja. Szkoły takie należało-by urządzić również i dla kobiet, które w ostatnich czasach zaczynają się garnąć do farmacyi i mogą stworzyć w tym zakresie szeregi pilnych i zdolnych pracownic.

Z dziedziny wychowawczej mamy do zaznaczenia niezwykle zjawisko: *pięćdziesięcioletni* jubileusz pedagoga, Jana Pankiewicza. Pół wieku wytrwać na tak mozolnem stanowisku mógł tylko człowiek o niespożytych, wyjątkowych siłach duchowych i fizycznych. W żadnym chyba innym zawodzie tak się one nie ścierają i nie szarpią. Praca bowiem pedagogiczna, to wieczna wędrówka po niepewnych i nierównych drogach. Proszę wskazać najdoświadczonego nauczyciela, który-by mógł się pochwalić, że zbadał gruntownie tajniki umysłów, dusz i serc dziecięcych, że wynalazł jakąś ogólną modłę, czy formułę, która-by się dała stosować do każdej jednostki wychowywanej. Pedagogii nie można *posiąść*, jak np. inżynierię, budownictwo i t. d. Tu potrzeba wrodzonych uzdolnień, trzeba nie tylko *uczyć*, lecz *uczyć się* całe życie, badać nieustannie charaktery młodociane i, pomimo to, błąkać się w ciągłych niepewnościach, ciągle napotykać niespodzianki. Pedagogia—to najczęściej torturowanie cierpliwości, szarpanie nerwów, a więc na tem polu bywa najwięcej ludzi, przedwcześnie wyczerpanych, schorzałych i zniechęconych. Pankiewicz jest w tej mierze jednostką, godną podziwu, bo dotychczas zachował hart charakteru

i zdrowia, które oby mu najdłużej służyło. Liczni wychowańcy uczcili swego przewodnika uroczystością jubileuszową i położyli fundament do najpiękniejszego i najodpowiedniejszego dlań pomnika: jednorazowo złożyli podpisy na 4000 rs., jako fundusz stypendyalny imienia jubilata. Wychował on w ciągu swej długoletniej pracy parę tysięcy ludzi, z których bardzo wielu dziś zajmuje wybitne stanowiska, pracuje z pożytkiem dla dobra ogólnego. Są między nimi już i posiwiali, i młodzi, w pełni sił i energii.

Pankiewicz urodził się w Kopyłowie gub. lubelskiej 22 grudnia 1816 r.; do szkół uczęszczał w Hrubieszowie i Lublinie. Następnie studyował matematykę w Petersburgu i r. 1840 skończył uniwersytet ze stopniem kandydata. Poczem brał udział czynny w wyprawie akademika Baera do brzegów morza Białego i oceanu Lodowatego. Roku 1840 mianowany nauczycielem matematyki w gimnazjum realnem w Warszawie, wykładał jednocześnie geometryę wykreślną w szkole sztuk pięknych przez lat 14. W r. 1854 zajął stanowisko inspektora gimnazjum i członka komisyi egzaminacyjnej do przedmiotów matematycznych, a w r. 1860 był prezydującym tej komisyi, wreszcie r. 1862 został dyrektorem i rektorem gimnazjum w Szczepieszynie, z delegacją do gimnazjum II w Warszawie. Rektorem gimnazjum III był przez lat dziesięć (od r. 1870), w którym utrzymywał inspektorat gimnazjum I. W ostatnich latach kierował szkołą prywatną cztero, później sześćo-klasową. W ciągu lat 18 zakład ten liczył 3,189 uczniów, cieszył się wielkiem powodzeniem i zasłużonem uznaniem. Jak widzimy, czcigodny jubilat nie zmarnował swego żywota, przez długie lata dzielnie służył społeczeństwu i wychował parę pokoleń.

Dawno nie pamiętamy takiego ożywienia w zakresie wystaw, jak obecnie, u progu jesieni. Mielśmy ogrodniczą, dwie przemysłowe; odbyła się też rolnicza w Wilnie. Nadto na listopad zapowiedziano wielką wszechrosyjską wystawę rolniczą w Moskwie; wreszcie coraz bardziej się ożywiają przygotowania i narady około przyszłorocznych wystaw: powszechnej w Niższym Nowogrodzie i higienicznej w Warszawie. Ogrodnicza, jakkolwiek wyglądała okazale, zawiodła nieco nasze oczekiwania co do udziału ogrodników z całego kraju. Był to popis niemal wyłącznie warszawski, urządzony gustownie, pięknie. Szczególnie dla profanów wielce była zajmująca ogromna hala, przypominająca lasy podzwrotnikowe. Publiczność przy świetle elektrycznem mogła się przechadzać w alejach palmowych, podziwiać śliczne okazy tuberóz, chryzantemów, storczyków, begonii, auraukaryi, laurusów. W dziale owocowym pierwsze miejsce zajęły wybitne firmy warszawskie. Słowem, cały popis wyglądał okazale

i udał się zupełnie. Publiczność obdarzyła go swoją szczególną uwagą, pomimo pogody niezbyt pomyślnej. Gdy wszakże rozejrzymy się w praktycznej stronie wystawy, miała ona wiele braków. Przedewszystkiem uie przyniosła prawie żadnego pożytku ludziom, zajmującym się ogrodnictwem na wsi, nie wskazała im, gdzie i na jakich warunkach można nabywać szczepy, krzewy i t. d. Po szczegółowem obejrzeniu całej wystawy, najuważniejszy człowiek nie mógł sobie wyrobić jasnego pojęcia o stanie ogrodnictwa naszego w całym kraju. Znalazł tylko kilkadziesiąt wybitnych firm z miasta i stron poblizkich, ale za to nie wie, co się daje hodować w tej lub innej okolicy, w jakim stanie jest kultura ogrodnicza tu i owdzie, o ile lud nasz uprawia ogrodnictwo i jakie są jego owoce. Wystawa pokazała wiele, ale nie pokazała wszystkiego. Miejmy nadzieję, że te luki na drugim popisie będą całkowicie zapełnione.

Niemal zupełnie nowem zjawiskiem są u nas obecne wystawy przemysłowe na prowincyi. Traktowane po macoszemu przez tego rodzaju popisy w Warszawie, postanowiły wystąpić samodzielnie w dwu naraz punktach (Łodzi, i Sosnowicach), a prąd tej odrębności tak dalece zaczął nurtować wśród przemysłowców, że nawet pabjanicy i zgierscy podobno chcieli urządzić wystawy na własną rękę. Oczywiście nie miało-by to właściwego celu gdyż tu chodzi o przedstawienie obrazu pewnych pokrewnych działów produkcyi w danych okręgach przemysłowych, których granice stanowią odrębne warunki wytwórczości i odrębne ich gałęzie. Już ze względu na ogromny rozwój u nas przemysłu wielkiego, wystawy te musiały być bogate i urozmaicone. Ale powinny one nietylko odzwierciedlać stan materyalny i techniczny, lecz obejmować jeszcze osobny dział, który-by dawał pojęcie o tem, jak dalece udoskonalono środki bezpieczeństwa dla pracowników w fabrykach, kopalniach, hutach, co w tym względzie zdziałała wynalazczość ludzka i co jeszcze, zrobić należy. Oczywiście od wystaw, doryweco urządzanych, niepodobna wymagać tego w całej rozciągłości. Ale ta strona życia, jak również higiena pracy, wreszcie potrzeba różnych zakładów dla inwalidów przemysłu już wychodzi z granic dobroczynności, jako wynik produkcyi. Kwestye te dzisiaj coraz natarczywiej cisną się na porządek dzienny i coraz gwałtowniej wymagają ulepszeń.

Krawcy warszawscy również na tę stronę swego życia zwrócili uwagę. Niedawno na półrocznej sessyi cechu poruszyli oni sprawę utworzenia przytułku dla paralityków—pracowników z tego zawodu. Przyczem spostrzeżono charakterystyczne zjawisko: znaczny procent rzemieślników z tej dziedziny, podlegających paraliżowi. W ciągu ro-

ku przeszłego np. padło jego ofiarą aż sześciu majstrów krawieckich. Z braku atoli funduszków, interesowani nie mogą myśleć o osobnym zakładzie, więc bardzo praktyczny projekt podał p. Juszczyk: aby przy istniejącym w Warszawie zakładzie Św. Stanisława Kostki dla kobiet sparaliżowanych otworzyć oddział męski. Ponieważ instytucja ta nie bierze płacy za pensjonarzków, więc cech postanowił tytułem ofiary jednorazowej złożyć początkowo rs. 200, a za każdego członka, który będzie tam umieszczony—po 120 rs. rocznie. Tym sposobem kwestyę prawie odrazu załatwiono, bez uciekania się do dobroczynności publicznej, tej wszechstronnej u nas szafarki, od której żądamy częstokroć takich uczynków, jakie nie wchodzi nawet w jej zakres.

Kaliszanie stworzyli sobie nowe źródło dla zasilenia dość skromnych funduszków miejscowej instytucji dobroczynnej; wydali jednociąwkę p. t. „Prośna.” Pomimo, żeśmy oddawna wiedzieli o tem zadaniu, książka jest dla nas niespodzianką. Zewnątrznie jest to wydawnictwo staranne i ładne, wewnątrz treść obfita składa się z aforyzmów, poezji, nowelek, artykułów literackich, społecznych i ekonomicznych. Całość stanowi datek 97 autorów, oczywiście rozmaity, nie tylko pod względem treści, lecz i wartości. Z wielu poruszonych tam kwestyi żywoźnych, zasługuje na uwagę jedna, która dotąd nie dostała się na szpalty pism naszych: myśl, podana przez p. Konstantego Przeddzieckiego—zakładania u nas ochotniczych straży zdrowia. Jak wielkie znaczenie mają tego rodzaju instytucje, niech za przykład posłuży wiedeńska. Przed stacyą stoi para koni, zaprzężonych do karety i zmienianych co 12 godzin. Powóz ten, tragi, nosze i wszelkie aparaty ratunkowe wyruszyć mogą natychmiast na wezwanie bezpośrednie przez telefon, czy inną drogą. Osobny drut telefoniczny łączy stacyę z biurami policji, a nawet są specjalne gołębie pocztowe, przeznaczone na to, ażeby w razie wysłania karety w okolice, nie objęte siecią telefonów, lekarze mogli jak najprędzej zażądać pomocy dodatkowej w ludziach lub materyałach. Najczęściej wszakże idzie tylko o ratunek przy wypadku jasno określonym: w razie złamania członków, potłuczenia, nagłych porodów wśród ludności ubogiej, zgniecenia, stratowania i t. d. Wiedząc już z góry o charakterze wypadku, jeden z lekarzy dyżurnych siada do karety i zabiera z sobą odpowiednią szkatulkę z zapasem niezbędnych narzędzi chirurgicznych i środków. Konie pędzą cwałem w taki sposób, jak wozy straży ogniowej. W razie powołania do chorych zakaźnych, idzie osobny powóz, cały blaszany, pomalowany olejno. Straż zdrowia stawia się z taborem swoim także na miejsce wielkich pożarów lub powodzi i współdziała z ogniową, albo oddziałem ratunku rzeczowego: pokrzepia koniakiem strażaków,

znużonych pracą, i w razie potrzeby, karmi ludność, dla której nieraz podczas powodzi niemożliwy jest dowóz żywności. Zrazu probowano zużytkować ochotnicze siły całej ludności, przekonano się wszakże prędko, że lekarze i studenci medycyny wystarczają dla obsłużenia ogółu. Niezależnie atoli od tego, urządzono na użytek powszechny specjalne nosze, ustawione w różnych punktach miasta. Miejsca takie poznać łatwo po daszku przy ścianie domów, który wraz z kawałkiem płótna ochrania tragi od wiatru i kurzu. Każdy przechodzień ma prawo je wziąć do przeniesienia chorego. Towarzystwo nie poprzestaje na służeniu tylko po fakcie. Ustawia się ono regularnie z całym taborem w takich punktach, gdzie jest wszelkie prawdopodobieństwo wypadku. Posterunek znajduje się przy wyścigach i wszędzie, gdzie bywają tłumne zgromadzenia publiczności. Instytucya ta w Wiedniu cieszy się wielką sympatją ogółu, który daje jej hojną pomoc materyalną. My nie mamy dotąd tak pięknych urządzeń. Oby więc głos p. Przedziedzieckiego nie pozostał przysłowiowym głosem na puszczy!

Obok wystaw, dawno nie pamiętamy tak znacznej liczby kongresów i zjazdów, jak w sezonie obecnym. Poruszono na nich żywotne sprawy, dotyczące różnorodnych zjawisk bytu, niedomagań i potrzeb ludzkich, materyalnych i duchowych. Na zjeździe penitencyarnym, o którym wspominaliśmy już w poprzedniej kronice, postanowiono zwołać osobny kongres dla obmyślenia środków walki z handlem białymi niewolnicami (*traite des blanches*). Szerzy się on bezkarnie w świecie cywilizowanym, pochłania tysiące ofiar, które są zarazem ofiarami warunków bytu. Niedawno czytaliśmy sensacyjną wiadomość, podaną w pismach codziennych, o losach jakiejś Łodzianki, którą pod pozorem korzystnej służby wywieziono gdzieś aż na wschodnie krańce morza Czarnego, gdzie nieszczęśliwa znalazła się w niewoli haremowej i cały rok przebyła, aż ją wreszcie ojciec odszukał. Dochodzą nas również dość często wieści o całych karawanach, ciągnących z tym towarem przez Galicyę. Idzie on nietylko na Wschód, ale i do lupanaryów „świata cywilizowanego.” Dziewczęta, nieznające języka obcego i stron, gdzie je wywieziono, tem łatwiej wpadają w męty życia i prawie nigdy nie mogą wybrnąć z połapki. Handel taki szczególnie wielkie rozmiary przybrał w Anglii, która przy swojej surowości moralnej i wielu urządzeniach, godnych naśladowania, wyrobiła sobie zarazem sławę dostarczycielki białych niewolnic dla całej Europy zachodniej. Tym sposobem wszystkie państwa cywilizowane powinny się zainteresować tą smutną sprawą i na przyszłym kongresie przedstawić plan walki energicznej i solidarnej. Rzecz prosta, że jednocześnie musi wejść na porządek dzienny kwestya uregulowania nierządu.

Był-by bardzo naiwny lub patrzył-by nadzwyczaj różowotem, kto-by mniemał, że za pomocą środków prawnych lub administracyjnych można tę chorobę usunąć. Jest ona tak już zrosła z rdzennymi warunkami bytu, że niepodobna jej brać odrębnie i leczyć, że tak powiem, chirurgią społeczną. Jakkolwiek projekt walki z tem złem wyszedł z łona kryminologów, nie można im tylko wyłącznie zostawić tej sprawy do zbadania. Należy tu zawezwać do współpracownictwa ludzi z różnych zakresów działalności, wnioskom i referatom nadać jak najszerszą formę i wszystkie państwa zachęcić do wysłania na zjazd jak największej liczby wytrawnych, rozumnych przedstawicieli. Tego rodzaju zjazd nie jest przecież, jak wiele innych, sposobnością do odczytania kilku kwestyi, otrzymania oklasków i zakończenia uroczystości bankietem, z oznaczeniem *rendez-vous* za parę lat. To musi być stała instytucja, wysyłająca reprezentantów od czasu do czasu na zjazd dla przejrzienia rezultatów pracy ciągłej, dla wytknięcia jej szerszych i łatwiejszych dróg. Taką instytucją stałą powinny być i zjazdy, mające na celu wytepienie handlu „białemi niewolnicami.”

Nietylko do pewnego stopnia niewolnicami, lecz białemi murzynkami są nauczycielki, w których obronie tysiące piór i rzeki atramentu zużyto, a jednak, pomimo to, oprócz bardzo skromnego schronienia, w razie niedołęstwa, nic one więcej nie otrzymały. Niedawno znowu p. Julia Unszychówna naszkicowała ich dolę w jednym z dzienników i obliczyła, że przeciętna płaca takiej pracownicy wynosi 10 rs. miesięcznie za godzinę dziennie. Pobierające 15, 20, a nawet 30 rs., należą do nader rzadkich wyjątków. Rs. 10 – to norma średnia, a przecież przeważna liczba otrzymuje jeszcze mniej: po 8, 6, 5 i 3 rs. miesięcznie. Budżet wydatków nauczycielki, według obliczeń p. U., wynosi 40—43 rs. miesięcznie. Potrzeba więc tylko czterech godzin pracy dziennej dla zarobienia tej sumy i było-by więc utrzymanie jakie takie przy niewielkim wysiłku. Ale ponieważ wakacje w ostatnich czasach coraz bardziej są przedłużane przez rodziców dla dzieci, uczących się w domu, więc nauczycielki również skazane są na przymusowy wypoczynek trzymiesięczny. Chcąc więc na ten czas zaopatrzyć się w środki, niezbędne do istnienia, muszą w ciągu 8, 9 miesięcy pracować forsownie. Ale i te należą do szczęśliwszych. Gorsza dola tych, o których nie wspomina p. Unszychówna: „*demi-placówek*” i „*kondycyonerek*.” Zaprzędają one nietylko całkowity czas, lecz i swoją osobę, zajmują się zupełnie wychowaniem dzieci, t. j. pilnują, ażeby te nie opierały się łokciami, nie dokazywały przy obiedzie, aby nie swawoliły w łóżku, nie darły ubrania, nie wysuwały w nocy poduszek z pod głowy, nie rozkrywały się przez sen i t. d. W zamian za tę wieczną

czynność w dzień i w nocy, za bezustanne natężenie uwagi, otrzymują oprócz zwykłego honorarium, pewną dozę pogardy, jako istoty... nieco wyższe od pokojówki. Niedawno spotkałem jedną z takich pracownic, a wiedząc, że powinna być gdzieś na głębokiej wsi, wyraziłem swoje zdziwienie.—Uciekłam!—odrzekła mi na to,—wyrzekłam się nawet rzeczy swoich—z konieczności, bo mi je zatrzymano, dopóki nie zwrócę 10 rubli, danych mi na podróż.—Cóż panią spowodowało do tej ucieczki?—„Moje psie prawo”, o którym na każdym kroku przypominała mi pani domu.“ I niema na to rady! Istnieje pewna, niestety, dość liczna rzesza mieszkańców prowincyi, którzy zawsze będą uważać nauczycielkę za osobę, należącą do składu służby pokojowej. Nie pomoże tu ani żadna etyka, o której nigdy nie słyszeli, ani zawarowywanie się kontraktami. Ja-bym adeptkom zawodu pedagogicznego dał jedną radę: jak najmniej poświęcać się nauczycielstwu. Przepelnienie tej dziedziny w znacznej części jest przyczyną złego: ponieważ, nędzy i ostatecznie upadku ducha, co właśnie wytwarza z takiej pracownicy automat. To też, powiedzmy prawdę, i to ich nauczanie nie przynosi takiej korzyści w wychowaniu ogólnem, jakiej należało-by się spodziewać. Kobiety nasze idą drogą udeptaną, bez względu, że w poczynionych na niej rozdołach można doznać szwanku. Wszelkich nowych szlaków, dających pracę niezależną a produkcyjną, boją się one bardzo.

Nie wiem, czy dziś potrafił-bym już zliczyć te rzesze panien, które udawały się do mnie z prośbą o wyrobienie miejsca kasyerki lub buchhalterki w jakiej redakcyi. Miejsc tych w Warszawie, stale zajętych, jest, zdaje się, kilkanaście, a jednak kilka dziesiątków kandydatek nie tracą nadziei, że zajmą te płacówki z czasem, więc w tej błogiej nadziei nie myślą o innem zajęciu.

Nie można atoli w czambuł potępić wszystkich panien, garnących się do miasta. W pewnej ich grupie spostrzegamy nieco odmienny objaw: dążność do kształcenia się na drodze technicznej. Podobno już mamy kilkanaście takich specjalistek wykwalifikowanych, które zajęły miejsca przy wykonywaniu różnych planów nie tylko w Warszawie, ale nawet na Kaukazie. Oddają one swoją pracę tanio, więc chętnie są poszukiwane.

Słyszac ciągle to narzekanie na biedę i brak pracy dla młodych dziewcząt, wdów, rozwódek, separatek, trzeba było-by przyjść do przekonania, że jest nadmiar rąk niewieścich do wszelkich zawodów, i w istocie nadmiar ten uderza najbardziej w fachu krawieckim. A jednak dzieją się rzeczy dziwne i wielce znamienne. Pewna właścicielka pracowni ubiorów damskich w mieście prowincjonalnem od paru miesięcy poszukuje bezskutecznie pracownicy uzdolnionej, która mogła-

by zarządzać jej zakładem na warunkach bardzo dobrych, bo z płacą 50 rs. miesięcznie i utrzymaniem całkowitem. Podobno jedna się znalazła, ale prędko porzuciła to zajęcie, bo było jej... zbyt nudno w mieście prowincjonalnem... Ten na pozór drobny fakt rzuca jaskrawe światło na popyt i podaż pracy niewieściej.

Śród biadających na brak zajęcia jest znaczna liczba emigrantek z dworków wiejskich, a podobno w tych samych dworkach panuje bieda z powodu zaniedbania pewnych gałęzi gospodarki, które mogły-by podnieść energiczne kobiety i poprawić warunki ekonomiczne. Śród zatem intelligencji wiejskiej (niewieściej) panuje to samo zjawisko, jakie spostrzegamy śród ludności włościańskiej w odległości 30—40 wiorst od ogniska przemysłu wielkiego.—„Panie, bieda wielka!—skarżył się przede mną niedawno pewien ziemianin z okolic Łodzi.—Nie mogę dostać ani najmitów podziennych, ani parobków. Wszyscy poszli do fabryk, zostali tylko kulawi, ślepi, garbaci, bo tych przemysłowcy nie chcą przyjmować. Musimy więc korzystać z owych inwalidów.” Między emigrantkami pannami a ludnością włościańską zachodzi wszakże ta różnica, że ostatnia dostaje dość korzystny zarobek w fabrykach, jakkolwiek i tu pewien procent niezdarnych lub leniwych doznaje zawodu.

Do długiego zatem szeregu trosk przybywa ziemianom jeszcze jedna: przemysł wielki, odciągający siły robotnicze. Tu już nie pomoże ani zbiorowa praca, ani żaden syndykat, t. j. takie ogniwa, o których całkiem racjonalnie rolnicy zaczynają myśleć w ostatnich czasach. Radzą oni także nad utworzeniem syndykatu chmielarskiego, który jakoś od dwóch lat jest tylko... na ustach i w salach posiedzeń. Zresztą nic dziwnego, bo nie jest to tak łatwa rzecz, jak się zdaje, i słusznie ktoś postronny, nie chmielarz, woła: Zobowiązać się moralnie i stworzyć syndykat, to pięknie, ale wobec potrzeby gotówki—furda zobowiązanie! Wywozić wprost—ale wtedy także trzeba dać towar na kredyt i czekać, a tu trzeba gotówki. Przytem browar nie kupuje nawet na kredyt od razu całej ilości, jakiej potrzebuje. Bierze on naprzód towar świeży, później siarkowany w wańtuchach, w końcu kampanii—siarkowany i prasowany z puszek hermetycznych. Należy więc mu go dać takim, jakim on potrzebuje. Tego nie robi ani plantator, ani Towarzystwo, dopóki nie będzie miało swojej siarkowni i swoich składów, swojego dyrektora handlowego i swojego poważnego kapitału. Gdy to wszystko będzie miało Towarzystwo, stanie się samo handlarzem, na którego nie należący do Towarzystwa będą się patrzyli i skarżyli tak samo, jak się patrzy i skarżą na innych, obecnie działających handlarzy. Syndykaty francuskie nie dla nas, nie przywykłych

do kredytowania i najczęściej kredytować nie mogących. Drobne spółeczki bez środków do konkurowania z handlowcami, samem istnieniem swoim niczego nie zwalczą. „Jak robić, to już robić!—woła trzeźwy człowiek.—Pół i ćwierćśrodki do niczego nie prowadzą i same się zjadać i tępić będą. Przeciw sile potrzeba siły, a jak się na nią zdobyć nie możemy, to płacmy i basta!” Słusznie! Nasi ziemianie dopóty będą stękać, dopóki się nie zorganizują ekonomicznie, dopóki nie stworzą takich podstaw, które pozwoliły-by im nawet *kredytować*. Tymczasem oni, działając pojedynczo, sami potrzebują kredytu w każdej porze nietylko roku, ale i dnia. Dlaczego przemysł fabryczny daje sobie rady? Dlaczego ci sami rolnicy (więksi), gdy są akcyonaryuszami cukrowni, czują swą siłę? Być może dla tego, że nie sami tu stanowią grupę przedsiębiorczą, że wśród nich jest cementem ekonomicznym żywiol energiczny, zabiegliwy. Czyż o takie siły odżywcze nie można było-by się postarać np. w organizacji handlu chmielarskiego?

Dnia 17 września w Krakowie zmarł arcybiskup warszawski, Zygmunt Szczęsny Feliński. Urodzony r. 1821 we wsi Wojutynie, powiecie Łuckim gub. Wołyńskiej z ojca Gerarda i matki Ewy z Wendorfów. Nauki gimnazyalne pobierał w Klewanu, w r. 1844 skończył wydział matematyczny uniwersytetu w Moskwie, następnie wyjechał do Paryża, gdzie pozostawał w przyjaznych stosunkach ze Słowackim, któremu najsmutniejszą posługę oddał, bo, jak wiadomo, poeta zgasł na rękach Felińskiego w r. 1849. Czując powołanie do stanu duchownego, w r. 1850 wrócił do kraju i w r. 1855 otrzymał święcenie kapłańskie z rąk arcybiskupa Hołowińskiego, pracował lat kilka na parafii w stronach rodzinnych, poczem r. 1859 był powołany na zaszczytne stanowisko profesora logiki i filozofii moralnej do Akademii duchownej w Petersburgu, R. 1862, na przedstawienie margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, ks. Feliński otrzymał nominację na arcybiskupa warszawskiego. Konsekracyi dopełnił metropolita arcybiskup Żyliński, w asystencyi biskupów Bereśniewicza i Platera w Petersburgu, w kościele Św. Katarzyny. D. 12 czerwca 1863 r. arcybiskup opuścił Warszawę. R. 1883 wyjechał za pasportem za granicę, osiadł w Dźwiniacze, majątku hr. Koziembrodzkiego, w Galicyi. Arcybiskup Feliński pracował także na niwie piśmienniczej. Oprócz książek treści religijnej, napisał „Wspomnienia z życia i zgonu Ignacego Hołowińskiego“ (r. 1856). Najświeższa jego praca—wspomnienia z ostatnich chwil Słowackiego, ukazała się w obiegu księgarskim dopiero przed paru miesiącami.

W miesiącu ubiegłym zakończył życie, bardzo ceniony, wytrawny muzyk i krytyk, Jan Kleczyński. Położył on zasługi nietylko jako autor, kompozytor, pedagog, ale i twórca Towarzystwa muzycznego w Warszawie, którego był duszą przez wiele lat. Jemu także zawdzięcza istnienie pismo specjalne—*Echo muzyczne*. Nieboszczyk był miłośnikiem i znawcą Chopina; przez całe życie poszukiwał wszelkich danych, dotyczących wielkiego kompozytora, był jego tłumaczem dla ogółu, opracował o nim obszerne studjum. Prócz tego, napisał parę prac teoretycznych w zakresie pedagogiki muzycznej. Wreszcie fortepianowe i wokalne utwory Kleczyńskiego zyskały uznanie i powodzenie. Ś. p. Jan urodził się w Lublinie r. 1840, studia odbył w Paryżu i już w wieku młodzieńczym zwracał powszechną uwagę, jako niepospolity wirtuoz. Oprócz powyższych zasług, pozostawił po sobie żal powszechny, jako zacny człowiek.

Dnia 29 września b. r. zmarł Ludwik Pasteur, jeden z najznakomitszych uczonych naszego stulecia, twórca bakterjologii, który pracami swemi naukowemi nadał kierunek badania współczesnej medycyny. Zasługi, położone przez Pasteura dla wiedzy ludzkiej i życia praktycznego, tak są olbrzymiej wartości, że mowy być nie może o wymienianiu ich w krótkiej notatce. W jednym z następnych zeszytów „Biblioteki“ poświęcona im będzie obszerniejsza praca. Z. P.

Wiadomości bibliograficzne.

— *L. Bridel* (profesor na wydziale prawnym w Genewie). Prawo kobiet i małżeństwo. Studya krytyczne z zakresu prawodawstwa porównawczego. Tłómaczyła Marya Chojecka. Warszawa, Gebethner i Wolf, 1895 (8-ka, str. 194). Książka ta stanowi jeden z ostatnich tomów „Biblioteki filozofii spóczesnej“, wydawanej w Paryżu. Autor już w poprzednich pracach (*La puissance maritale* i *La femme et le droit*) wystąpił publicznie, jako obrońca sprawiedliwości przeciw prawu mocniejszego. Z jego inicjatywy zawiązano w Genewie komitet dla reformy stanowiska prawnego kobiety; owocem zaś starań i zabiegów tej instytucji było przeprowadzenie rewizji prawa małżeńskiego. Tymczasem, zanim opracowany będzie całkowicie projekt reformy ogólnej, Komitet ten już się przyczynił do wprowadzenia w kantonie genewskim reformy częściowej, polegającej na nadaniu kobiecie zamężnej prawa swobodnego rozporządzania własnym zarobkiem. Autor na czele niniejszej książki rozpatruje ruch feministyczny, zaznacza jego rozwój i rozmaite odcienie, powołuje się na literaturę w tym zakresie dawniejszą i najnowszą, jak np. Johna Stuarta Milla „O poddaństwie kobiet“, lub książka deputowanego niemieckiego, Bebla: „Kobieta w przeszłości, terażniejszości i przyszłości“, wreszcie dzieła Secrétana, filozofa szwajcarskiego, i wielu innych. Kwestya ta rozwija się również w życiu: spotykamy wszędzie utworzone lub zawiązujące się stowarzyszenia, —jedne w widokach zdobycia praw politycznych, inne

zajmujące się polepszeniem bytu ekonomicznego kobiet, lub mające na celu skuteczne zapewnienie im opieki prawa pod względem obyczajowym, wreszcie—podanie im tylko sposobności zgromadzenia się i niesienia sobie wzajemnej pomocy. Po-za tem istnieją również towarzystwa, dążące do reformy prawa o małżeństwie. Ruch feministyczny nie zaznacza się atoli jedynie na drodze „rewindykacji“ różnych praw. Izby prawodawcze niektórych krajów przeprowadziły już reformy w celu polepszenia losu kobiet. Prawdziwej rewolucji dokonano w prawodawstwie angielskiem r. 1870 i 1882 przez uchwalenie praw, dających kobiecie zamężnej legalną niezależność. Innym faktem ważnym jest to, iż rządy zaczynają się liczyć z głosami kobiet i uwzględniają ich poważne dezyderaty. Bridel rozpatruje „prawo kobiet“ z rozmaitych punktów widzenia, a więc najpierw kwestyę pedagogiczną, prawo polityczne, warunki kobiety po-za małżeństwem, wreszcie prawo cywilne. Ciekawe jest zestawienie praw w różnych krajach, np. w zakresie traktowania niewiary obojga małżonków.

Obszernie jest traktowana kwestya niezdolności prawnej kobiety zamężnej. Jedną z żywotniejszych spraw jest również prawo kobiety do jej własnego zarobku. Jeżeli jest jaka zasada, przyjęta ogólnie w krajach, gdzie nie istnieje już niewolnictwo, to mianowicie zasadą ową powinno być twierdzenie: zarobek powinien należeć do tego, kto jest jego twórcą. Jednak w niektórych krajach panuje zasada przeciwna tak logicznemu wnioskowi. Jakież reformy prawne powinny być wprowadzone w tej dziedzinie? „Trudno zdaje się odpowiedzieć inaczej na to pytanie—pisze autor—jak powołując się na to, co już uczyniono w królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandyi, gdzie niedawno, idąc za przykładem Stanów-Zjednoczonych, przekształcono z gruntu prawodawstwo w kwestyi prawa małżeńskiego pod względem stosunków majątkowych.“ Bridel przychodzi w końcu do następujących wniosków: 1) Wymazać z prawa: „żona winna posłuszeństwo mężowi“—zachowując zresztą zasadę, że mąż jest „głową rodziny“, póty przynajmniej, póki spełnia obowiązki względem swoich. 2) Równość w traktowaniu obojga małżonków pod względem wierności małżeńskiej w dziedzinie prawa karnego i cywilnego. 3) Przyznać kobiecie zamężnej całkowitą zdolność cywilną. 4) Nadać sankcyę prawną przepisowi kodeksu, na mocy którego mąż winien utrzymywać swoją żonę i dzieci. 5) Przyjąć jako porządek prawny separacyę majątkową. 6) Zapewnić kobiecie zamężnej prawo swobodnego rozporządzania własnym zarobkiem. 7) Dać znaczny udział w sukcesyi pozostałemu przy życiu współmałżonkowi. 8) Zastąpić wyrazy: „władza ojcowska“ przez — „powaga rodzicielska.“ Uznać prawa matki obok praw ojca. 9) Kiedy powaga (władza) rodzicielska przypadnie matce, po-

winna ona mieć te same prawa, co ojciec. 10) Po śmierci ojca, matka powinna być opiekunką swych dzieci małoletnich. 11) Dozwolić, ażeby kobiety wogóle, zamężne lub nie, mogły być wybierane na opiekunki i członków rady familijnej. 12) Dozwolić, aby kobiety mogły być wybierane na świadków przy rozmaitych aktach publicznych i prywatnych.

— *Paweł Guiraud* (profesor Wyższej Szkoły Normalnej). Opowiadania historyczne. Grecya. II Instytucye publiczne. Przełożył J. L. Popławski. Warszawa. Paprocki. 1896. (8-ka, str. 386). Autor w siedmiu rozdziałach tej książki rozpatruje religię, rząd, sądownictwo, podatki, charakteryzuje wojsko i flotę, tudzież stosunki międzynarodowe ówczesne, wreszcie kończy dzieło osobnym dodatkiem o Persach. Cała rzecz opowiedziana nadzwyczaj barwnie, zajmująco, w sposób, jaki nie może znużyć najleniwszego czytelnika.

— *Henryk Wernic*. Historia powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami. I. Dzieje starożytne. Z tablicą chronologiczną. Warszawa. Paprocki. 1896 (8-ka, str. 240). Podręcznik ten dla młodzieży ułożony jest według bardzo dobrej metody; pytania ułatwiają powtórzenie, dzięki czemu rozwinięty i pilny uczeń może sam kontrolować swoją znajomość przedmiotu.

— *J. Wł. Dawid*. „Zasób umysłowy dziecka.“ Przyczynek do psychologii doświadczalnej. (Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego“). Warszawa, 1896, (8-ka, str. 96).

W umysłowym rozwoju osobnika decydujące są dwa czynniki. Muszą być dane pewne siły pierwotne, pewne uzdolnienia i instynkty. Ale żeby te siły wejść mogły w stan czynny, wyrazić się w pracy myślowej i twórczej, muszą podziałać pewne podniety zewnętrzne, których dostarcza życie, książki, obcowanie z ludźmi, przyroda. Przyjąć można, że o ile podniety zewnętrzne są czynnikiem rozwoju umysłowego, to ilość ich, przyjętych przez umysł, pod postacią postrzeżeń i wyobrażeń, służy za miarę tego, o ile umysł znajduje się w warunkach korzystnych dla siebie. Ta dziedzina duchowego życia i rozwoju dziecka posłużyła autorowi do bardzo ciekawych badań i spostrzeżeń. Scharakteryzowawszy zasób umysłowy dzieci niemieckich i amerykańskich, na mocy materiału już gotowego, przystąpił dalej do takiej pracy nad dziećmi polskimi. Już dawniej, w broszurze, wydanej r. 1887, wskazał on cały zakres badań, jakie w sposób dla każdego dostępny mogą być robione nad umysłowością dziecka. Jednym z zadań było właśnie statystyczne obliczenie zasobu doświadczeń i wyobrażeń

według bardzo szczegółowego kwestyionariusza, złożonego aż ze 136 punktów. W układzie tym autor ograniczył się do sfery bezpośrednio i zmysłowego doświadczenia. Wszystko, co należy do dziedziny moralnej lub jest produktem wewnętrznej przeróbki wyobrażeń, wszelkie pojęcia ogólne, abstrakcje, poglądy, objął oddzielną rubryką i przeznaczył dla odrębnego badania. Z chwilą ogłoszenia kwestyionariusza, p. Dawid otrzymywał odpowiedzi, zawierające rezultat badania nad dziećmi pojedynczemi. Ale dopiero w roku 1893, gdy mu się udało zebrać większe grono współpracowników intelligentnych, przeważnie nauczycielek i nauczycieli, praca wydała wyraźniejsze owoce. Warunki były dość trudne. Zbadano jednak ogółem 520 dzieci. Ale z materiału tego część pewna jest nieużyteczną dla tego, że nie oznaczono wieku dziecka i że badanie nie objęło wszystkich pytań kwestyionariusza, wreszcie, że sama osoba badająca zaznaczyła, iż dziecko daje odpowiedzi podejrzone, których sprawdzić nie można. Po wyłączeniu zatem kartek niezupełnych lub wątpliwych, pozostało do opracowania 479, przedstawiających dane możliwie wiarogodne. Liczba ta obejmuje chłopców i dziewczęta w wieku lat 6—12, dzieci chrześcijańskich i żydowskich. Na mocy tego materiału, ugrupowanego w tablicach odpowiednich, autor przychodzi do wniosku, iż największy procent wyobrażeń (80%) dzieci naszych były to pojęcia, dotyczące człowieka — jego powierzchowności, wyrazu uczuć. Potem idą zjawiska natury (słońce, księżyc, gwiazdy, burza, rosa i t. d. (72%), fakta geograficzne i gatunki ziemi (71%), rośliny i zwierzęta (66 i 65%), wreszcie zajęcia ludzi i kształty siedliska ludzkiego (po 63%). Tak więc stosunkowo najmocniej w umyśle dziecka tkwi człowiek. Rozpatrzywszy zasób pojęcia dzieci różnej kategorii i płci, wreszcie warunki, na jakich pojęcia te się rozwijają, autor w końcu zaznacza jeden rys charakterystyczny dzieci z przytułków i ogródków: Pomimo ogólnej przewagi w ilości wyobrażeń, przedstawiają one w porównaniu z dziećmi z rodzin znacznie mniejszy procent znajomości pojęć religijnych oraz szczegółów „osobistych“, dotyczących życia rodzinnego, jak nazwisko i zajęcie ojca, miejsce zamieszkania. Fakt ten świadczył-by, że wychowanie publiczne, w tej formie dawane, zubożnia dziecko dla życia rodzinnego i mniej je kształci w kierunku religijnym.

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— *Antoni Piłcki*. Kobiety-poetki, odczyty, wygłoszone w sali Ratuszowej w d. 9, 11, 12 i 13 marca 1894 r. na rzecz Osad Rolnych. (Przedruk z „Bluszczu“). Warszawa. 1895, (8-ka, str. 106).

— *Posnet*. „Literatura porównawcza“ Dodatek do „Prawdy.“ Kwartał III. 1895. Ark. 12—17.

— *Adam Mickiewicz*. „Złote myśli.“ Zebrała Szczęsna. Wydanie drugie poprawione. Petersburg. Grendyszyński. 1895, (8-ka, str. 384).

— *Eliza Orzeszkowa*. „Australczyk.“ Powieść. Petersburg. Grendyszyński. 1895, (8-ka, str. 384).

— *Piotr Nansen*. „Dziennik Julii.“ Z upoważnienia autora przełożyła z duńskiego R. Bernsteinówna. Warszawa. Paprocki. 1896, (8-ka, str. 229).

— *Teodor Łamianowicz*. „Jedynaczka.“ Szkic z natury. Warszawa. Paprocki, 1896, (8-ka, str. 148).

— „Pięcioksiąg Mojżesza.“ Tłómaczył i podług najlepszych źródeł objaśnił dr. J. Cyłkow. (I. Genesis, księga rodzaju. II. Druga księga Mojżesza, Exodus. III. Trzecia księga, Leviticus. IV. Czwarta księga, Numeri. V. Piąta księga, Deuteronomium). Kraków. Nakładem tłómacza, 1895.

— „Encyklopedia Rolnicza“, zeszyt L. (Krochmal—Krochmalnia—Kura).

— „Przysłowia Salomona“ (Proverbia Salomonis). Wyjątek z pisma Świętego. Z hebrajskiego tekstu spolszczył wierszem Numa v. Joachim Nirstein. Żyd polski—Intrologator. Nakładem tłómacza Warszawa. 1895, (8-ka, str. 78).

— *Henryk Rodakowski* „Kilka słów o malarstwie.“ (Przedruk z „Tygodnika Ilustrowanego“). Warszawa. Gebethner i Wolff). 1895. (8-ka, str. 35).

— „Podręczna Encyklopedia Powszechna“ (Dodatek miesięczny „Przeglądu Tygodniowego“). Arkusz 32—38, Tomu II.

— „Geografii powszechnej ilustrowanej“ zeszyt 37 i 38.

— *Franciszek Konarski*. „Metodyczna gramatyka języka polskiego.“ Warszawa. Paprocki. 1896. (8-ka, str. 140).

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

K R Y S T A.

Porwała się z wysoko usłanych poduszek i na łóżku usiadła.

— Jezu... Jezu... — zaszepiała niskim, dyszącym gorączką głosem. — Co się to porobiło?.. Co się to stało?..

Zgarnęła rozrzuconą koszulę na piersi i wodziła po izbie niespokojnemi, szeroko otwartemi, oczyma.

W izbie nie było nikogo. Mały ogień dogasał na kominie, pełgając modro po niedopalonych głowniach; żółty kudłaty pies węszył ostrożnie po niezmytych garnkach, trącając nosem rozstawione w nich warzączwie i łyżki; w sionce, za drzwiami słychać było furkot i trzopoty kur, gnieźdzących się po wyszkach i grzędach.

Dzień gasnął. W sonej jasności, która się sączyła przez mętne szyby małego okienka, szczupła i śniada twarz siedzącej wprost niego Krysty zachodziła osobiwem błękitnawem światłem, przy którym dziwnie odbijały drobne, ciemne aż niemal, tak żywym ogniem pulsujące, usta, i rozjarzone gorączką, błyszczące wskroś długich rzęs, oczy.

Szeroka cisza późnej pory dnia i roku zapadła nad wsią. Odgłosy życia skupiły się po zamkniętych obejściach, po chatach, dolatując tutaj niewyraźnym i stłumionym szmerem.

Po kątach izby gęstniały już zmroki, snując się około komina i u niskiego pułapu, gdzie na zatkniętej w belkę żerdzi wisiała różna odzież.

Wśród ciszy rozległ się teraz łoskot rąbiącej drwa siekiery. Łoskot był równy, miarowy, silny; dolatywał z blizka.

Słuchała go przez chwilę Krysta, patrząc nieruchomo w siniejące wśród zmierzchów izby okienko, poczem podniosła obie wychudzone ręce, ścisnęła niemi skronie, i przymknąwszy pociemniałe powieki, zakłósała się w niemej jakiejś rozpacz.

Z pod białej, cienkiej, luźno związanej chuściny, rozsypały się jej przez palce drobne pasma ciemnych włosów, wyraz niezmiernej goryczy okolił spalone usta, pierś pod luianą koszulą podnosiła się wysoko, szybko.

Nagle zwróciła Krysta głowę w bok i wstrzymała oddech.

W kątku u ściany, w nogach łóżka, leżała przewiązana chustką poduszczyna, z której się dobywało ciche, kwilące krząkanie. Krysta wpatrzyła się w ten kąt tępy, osłupiałym wzrokiem.

Ręce jej opadły, otwarły się usta.

— Żeby tak Antek!.. — odezwała się w półgłosnym szeptem — Żeby tak teraz Antek... Jezu miłosierny!..

Rozszerzyły się jej źrenice, zęby szczekać zaczęły, cała twarz zachodziła wielkim, nieprzytomnym strachem. Kwilenie tymczasem cichło, poczem zupełnie ustało.

Wyciągnęła wtedy Krysta ręce przed siebie, załamała je gwałtownym ruchem, nad głowę rzuciła i z głuchym jękiem na poduszki padła.

Nastala cisza.

Zmierzch już był zupełny, kiedy pod okienkiem zaczęły drobne, spieszące się kroki. Ktoś szedł, potykając się, mrużąc i szukając drogi.

Pierwszy pies poczuł, że to idzie gospodyni, i podebrawszy ogon pod siebie, cichaczem do drzwi zmierzał.

Jakoż wchodząca do izby stara Karbowiaczka natknęła się na niego w samym prog.

— Wszelki duch!.. A pójdziesz! A do budy leżeć!.. A któż to też psa między garnki puścił?.. O mały figiel, że mnie z nóg, choroba, nie zwalił! — Śpisz córusz? — Nie czekając odpowiedzi, pod okno szła, kierując się mdławą sinością szybek, i składała na ławce przyniesione z miasteczka zapasy.

W tem kot zbudzony zeskoczył z zapiecka i otarł się o nią, miauczając z cicha.

— A psik! — krzyknęła stara — Ciebie tu jeszcze nie było! Ty mi tu jeszcze pod nogi leż.

Zwróciła się teraz do komina, trącając po drodze szafiki i zydle.

— W kominie czarno, w izbie czarno, łaska boska będzie, jeśli ja tu w tej ćmie nie rozbiję czego. Śpisz Krysta? Przykucnęła przed kominem i silnie dmuchać zaczęła, zakasłując się i mruczając naprzemian.

Błysnął ogień pod popiołem tlejący, rzucona na niego garść chruštu zajęła się z trzaskiem, a żywy płomień oświecił zaschłą, pomarszczoną, energiczną twarz starej Karbowiaczki i rześiste na jej szyi krezy i paciorki.

Na blask ten nagły otworzyła Krysta zamknięte dotąd oczy.

— Pić! — przemówiła cichym, słabym głosem.

Matka już była przy niej, już jej podawała blaszanny półkwatek z wodą.

— Pij z Panem Jezusem, córuchno, pij! Będziesz chciała, to ci i herbaty zagotuję.

Przychyliła się nad łóżkiem, do związanej poduszczyny sięgając.

— Cóż, chłopak, śpi? Nie krzyczał? Chwałaż Panu Bogu, niechaj śpi na zdrowie! Kajź Paweł? Drwa rąbie? Do miasteczka będzie musiał jeszcze po mąkę przed nocą...

Mówiła sama do siebie, krzając się po izbie, pytając i odpowiadając razem.

Zapaliła lampkę, na okapie komina stojącą, przyłożyła dREW na ogień, miski i garnki w cebrzyk do mycia wstawiła, odwróciła do góry dnem suszącą się pod zaczyn chleba dzieżę, poczem do ławy poszła.

— Albo je wszystko, albo i nie wszystko! — zagadała, oglądając swoje zakupno. — Harbata i harak je, wątroba i letkie je, kiszka je, mydło je, cukier je...

Odwróciła głowę do chorej.

— Wódki żem tylko garniec wzięła, ale tej lepszej. Gałki i cynamonu do zaprawy też. Sadła wzięłam solonego; będzie czujne w grochu. Golonkę też do barszczu kupiłam u Wąchacza godną. Dwa złote bez dziewięci groszy dałam za nią. Jak mają być chrzciny, niechże ta już będą!

Krysta stękała z cicha.

Podeszła do niej matka i u łóżka stanęła, głaszcząc chorą po rozpalonej twarzy ciemną i kościstą ręką.

— Cóż tak stękasz, córuchno, co? Coż cię tak donagla?.. Cóż cię tak, na to mówią, najbardziej boli?..

Krysta westchnęła ciężko.

— Oj, boli mnie, matko, boli! Oj, boli mnie, matko, serce o Anka, tak... że...

Nie dokończyła i zaniosła się płaczem.

Zafrasowała się stara, na łóżku siadła, i podparłszy brodę, kiwała przez chwilę głową.

— Co tobie, córko, Antek znów na myśli? Co tobie znów z Antkiem?.. A on już pewno, chudziak, ziemię gryzie!

Dwa lata, córko, to ma swój czas! A toby się choć słówkiem odezwał, żeby żywy był. Toć Kacpra Małgoški Kowalczanki razem pognali, a co ten już wypisał!.. Daleko, daleko! Juźci prawda je, że daleko. Ale i z dalekości pismo przyjdzie, choć-by też z największej; urzędy od tego są, różne sposoby! Przez morze przepławią, a doślą. Nie mógł-by sam, a toby choć przez ludzi orędownał. Toć we wsi o wszystkich, co poszli, wiadomo, jak i co, a o nim, chudziaku, ani słychu. Kamień w wodę!..

Westchnęła, a po chwili mówiła dalej:

— Antek... Antek!.. A cóż ci Antek poradzi teraz, niebogo, choćby i żył na to mówiąc?.. A toby i gorzej wypaść mogło. Ale nie żyje, nie! Jak amen w pacierzu, nie żyje! Jeszcze mi się onegdaj, chudziak, śnił, że sól owcom dawał. Sól siwą taką, że to jak ten popiół w kominie. To nacóż-by to, jak nie na śmierć? Wiadoma rzecz, że sól na śmierć pokazuje... Ty sobie Antka, córko, jak możesz, tak wybijaj z głowy. Już on się, chudziak, nie wróci do ciebie, nie!..

Podniosła fartuch i ocierała zwolna stare oczy; Krysta płakała gorzko. Ogromna fala bólu zalewała jej piersi, podnosząc się, opadając i podnosząc znowu. Szczupłe jej ramiona drżały, zacisnęły się palce rąk załamanych i na pościeli leżących, z pod przymkniętych powiek lży padały bujne, gorące. Chwilę trwała cisza. Osunęły się głównie w kominie i poczęły ugasać, trzeszcząc. Nierówne, migające blaski chodziły po sprzętach, po ścianach, włącząc za sobą dziwaczne i rucho-me cienie.

Nagle wyciągnęła Krysta załamane ręce i spojrzała na matkę z jakimś rozpaczliwym wyrzutem.

— Ach matko, matko, matko!.. Poco my, poco, parobka do chahupy brały!

Stara opuściła fartuch, przechyliła głowę, i z otwartymi od dziwu ustami patrzyła na chorą.

— Co ty, córko?.. Błąd w głowie masz, czy co?.. A przeżegnaj ze się ty lewą ręką, córko!.. A któż-by, na to mówiąc, koniowi i bydłu radę dał? Ktoby z tego korczyka podatek wytrząsł?.. Ktoby na szarwark stanął? Czyja-by wszyskiemu głowa była, czyje zarządzenie, kiedy gospodarza nie stało? Co ty, córko?..

Mówiła coraz krzykliwiej, coraz bardziej przechylała głowę, coraz szerzej otwierała małe siwe oczy, coraz wyżej podnosiła brwi na

nizkiem, pomarszczonem czole, prawie, że się zachodząc od wielkiego dziwu.

— Co ty?.. Co ty, córko?..

Ale Krysta zdawała się nie widzieć i nie słyszeć tego.

— Ach matko, matko! — powtarzała przejmującym głosem — POCO on tu w chalupie siedział? POCO za mną dniem, nocą zaglądał?.. POCO mi na każdy czas w oczy wlaził?.. Ach matko, matko, matko!..

Głos jej się zламаł, ręce zmęczone opadły, leżała na wznak, świecąc w mroku izby śniadą bladością drobnej, szczupłej twarzy. Po chwili odezwała się cichym, gorącym szeptem:

— Czy ja na tańce latała? Czy ja za węglami wystawała? Czy ja do ludzi lgnęła?.. Toć ja wiarzę chciałam otrzymać! Chciałam czekać... Jakem przysięgała, takem chciała żyć. I nie mogłam... nie mogłam... nie mogłam!..

Stara wzdychała z cicha.

— Juźci to prawda je! Juźci to wszystko prawda! Ale co poradzić teraz?.. Co poradzić?.. Juź ci tera nie poradzi nikt, niebogo! .

Znów nastala cisza.

Po chwili odezwała się Krysta, jak gdyby sama do siebie:

— Tak mi zawierzył! Tak mi, jak tej własnej duszy, zawierzył!.. Pamiętaj, Krysta! — mówił — Pamiętaj, Krysta!.. Juź go strażnik za plecy pchał, juź insi na moście byli, a on jeszcze głowy odwracał, jeszcze wołał: pamiętaj, Krysta! A ot, jak ja pamiętała! Ot, jaka ja wierna była!

Umilkła wyczerpana i dyszała ciężko.

Łoskot siekiery ustał za ścianą: jakieś silne ręce ciskały teraz z rozmachem pod szopę niedorąbane szczapy. Pojaśniały mętne szybki i uczyniły się modre. Księżyc wschodził.

Ale stara Karbowiaczka przygarbiła się, brodę kułakiem podparła i patrzyła w komin. Siwe źrenice jej małych oczu nieruchome były i szkliste. Może sięgała myślą dalekich czasów, może gorzkich wspomnień.

— Nie za nas się to zaczęło,— rzekła wreszcie, kiwając głową,— nie za nas się skończy. Jeszcze takiej żołnierki we wsi nie było, coby utrwała. Juźci że źle, że — grzech. A co robić? Ochfiarować Panu Jezusowi i juź!

Strzegła ja cię, córko, pókiś dziewczką była; a potem ty juź sama sobie gospodynią byłaś... Źle wypadło... bieda... A co robić?..

Jeszczeć tobie, córko, nie krzywda! Wyleżysz się ciepło pod pierzyną, nikt cię do roboty o trzeci dzień nie woła, nie pędzi, matka ci poda, posłuży, jeszczeć to, jeszczeć... A te insze, to i na komornem muszą, w cudzej izbie, w cudzem posiedzeniu muszą... A co mają robić?..

Przyjdzie taka do swoich, to jej za każdą łyżką w gębę patrzą. Więcej ona we łzach owe dzieciarstwo ukąpie, niż w tej wodzie... A co będzie robić?.. Druga się i upomnieć nie ma gdzie i u kogo. Zdradzi ją taki, jeszcze się jej naśmieje. Ta go przeklina, zbereznika, a ów przez zęby gwizdże, — bo ja wiem! — powiada...

A z tobą, córko, dziękować Bogu, wcale co inszego. Jużci ja matka, tobie nie przychwałę, nie! Jużci-by na mnie grzech był, żebym ci tu powiadała tak, abo tak! Ale Paweł zarówno do roboty mocny chłop, głowę dobrą na wszystko ma, pracy się nie boi, jak we swoim robi, nie pije, grosza nie utraci, za inszemi nie pogłada, mnie matkę szanuje, o zapłatę nie woła...

A to nie, ino jakby co, Panu Jezusowi ochfiarować, i na zapowiedzi dać! A toć ino patrzeć, jak do kancelaryi papier przyjdzie.

— Oj nie, matko, oj nie! — przerwała Krysta cichym, zmęczonym głosem. — Oj nie będzie tego nijak, z wolą czy przez woli... Nie chcę ja Pawła, matko, nie, choćby on mi też miód robił, nie chcę!.. Wiedział, poganin, że ja za Antkiem oplakuję, a nie przepuścił!.. Oj, ogłupił mnie on, co on mnie ogłupił!.. Oj, podszedł on mnie, jak tę rybę na tej płytkiej wodzie, jak tego ptaka na gnieździe!.. A żeby on, poganin!..

Stara poruszyła się szybko.

— A cóż go tam będziesz kląć, córko! Nie daj Boże w złą godzinę! Jużci cię nie musiał, jużci, żeś na niego i ty mile pogładała...

— Oj pogładanie, pogładanie!.. Oj żeby się ono przepadło! Lepiej mi było pogładać na tę osikę, co z niej deski na trumnę rzna, niżeli na niego! Oj rozmyśliła ja sobie, wszystko rozmyśliła teraz w głowie! Oj roztrząsnęła ja sobie to teraz, jak ten październik lniany!.. Już ja teraz insze pomyslenie mam... Już on mi ze wszystkim obrzydł, poganin! Żeby nie on...

Stara poruszyła się niespokojnie.

— Co ta spominać, córko! Co ta spominać! Zjednaliście się i już! Teraz tego tylko patrzeć, żeby dobrze było!

Westchnęła Krysta, trzęsąc głową.

— Oj nie będzie tu dobrze, matko, nie będzie, ino źle będzie! Źle się naczęło i źle skończy!

Stara Karbowiaczka, przy swojej energicznej naturze dość miała biadania tego.

— Laboga! — zawołała, zrywając się z pościeli. — Ja tu gadam, a tu na kominie do cna ugasio!

Dmuchała jeszcze, przystawiwszy do ognia garnki, kiedy się drzwi na rozcież otwarły, a do izby wszedł rosły parobek, schylając się w uszaku.

Głowę miał dużą, kędzierzawą, czarną, twarz pochmurowatą, pochyle ramiona i krótki spencer na grzbiecie.

Wszedł szeroko, głośno, jakby tu gospodarzem był, siekierę u drzwi postawił, wody się z wiaderka napił, i do Karbowiaczki się zwrócił:

— Gospodyni! Jechać to na ten wiatrak po mąkę, czy nie jechać?..

— Jodź, Pawełek, jedź! — odrzekła skwapliwie stara. — A to ci tymczasem klusek kartoflanych do mleka zwarzę!

— Co mi ta kluski!..

Na środku izby stał, czapkę z czupryny zesunął i w głowę się drapał, poglądając z podełba ku łóżku.

— Krysta śpi? — zapytał wreszcie. -- Nie spała, ale od chwili, jak wszedł, odwróciła głowę do ściany i przymknęła oczy.

Matka pośpieszyła odpowiedzieć za nią:

— Nie śpi, nie! Coby miała spać? Bo to nrcy nie będzie do spania?

— Krysta?.. — przemówił parobek grubym głosem, zbliżając się do łóżka.

Krysta nie otwierała oczu

Parobek rozśmiał się z przymusem, przykro.

— Oho! — rzekł. — Odeźwie się wam ona! Prędeż się ta ściana odeźwie, niż ona, jak się zatnie!

— Coby się tam miała zacinać! — łagodziła stara. — A może się i zdrzemnęła, chudziątko! — Podeszła do łóżka i pierzyny targnęła.

— Krysta! Paweł na wiatrak jedzie!

— Niech jedzie! — przemówiła chora, nie odwracając głowy.

— A toć się przecie spojrzysz na niego, kiedy już tak Pan Jezus dał. Przecie nie wilk!

Krysta milczała.

— Dajcie spokój, gospodyni! — odezwał się parobek ponuro. — Komu ja nie wilk, a jej i wilk może! Już ona nie od dziś patrzeć na mnie nie chce! Dajcie spokój! Niech ta!..

Poszedł w kąć i worka szukać zaczął.

Karbowiaczka zaturbowana od łóżka nie odchodziła. Ten chłop, do roboty mocny, który na wszystko dobrą głowę miał, a o zapłatę nie wołał, zasługiwał, bądź jak bądź, na jej względy. Chciała mu życzliwe serce pokazać, zjednać go, załagodzić. A toć tylko patrzeć, jak on tu ze wszystkim gospodarzem będzie... Toć już i teraz zięć jakby...}

Sięgnęła do poduszeczyny i rozwiązała ją w nogach łóżka, na którym leżała Krysta.

-- A pójdzi ino Paweł — zawołała, — a obacz syna! Jak rzepa dzieciak! Ktoby powiedział: już tydzień ma, a temu trzy dni ledwie? O, jak mi to palec ścisnął! Jaki to rak mocny! Przypatrzcie się, moi ludzie, jak to trzyma, jak się to rozpatruje! A bodaj że cię Pan Jezus chował!

Śmiała się, pochylona ku dziecku, owijając je w powijaki i w pieluszki, a na Pawła wołając.

Parobek nie szedł. Zły był i zółt w nim wzbierała. Na Krystę zły był, na siebie, na starą. Coś się tutaj odmieniło w chałupie. Coś się tutaj popsulo!

Jużci nie co, tylko się jakiś dyabeł wszyl! Krysta patrzeć nie chce, gadać nie chce... Jużci nigdy nie była do gadania; ale przecie nie taka! Zadali jej co w tej chorobie, czy jak? A może za tamtym znowu?.. Rychło wczas!

Klął z cicha, mrużąc przez zęby, poczem popędliwie zapytał:

— A kajże to ten worek, co go mam brać?..

— Zarówno tu i z workiem!—odrzekła stara.—A przecie chodźe, kiej cię wołam!

Nie ustępowała. I ona miała dyplomacyę swoją. Co, jak co, ale przecie dziecko ujedna ich ze sobą! Powiada Krysta, że go nie będzie chciała. Mało co która nie powiada, a te słowa, to ino ten wiatery po świecie nosi... Jużci się tamten, chudziak, nie powróci, jużci tu Paweł, prędzej, później, gospodarzem będzie! Nie ustępowała tedy.

Podszedł parobek, ociągając się, markotny, niechętny jakby, i w nogach łóżka stanawszy, patrzył pochmurowato na dziecko i na odwróconą ku ścianie Krystę. Nagle podniosła stara ku niemu głowę i spytała prędko:

— A jakże mu damy, kiej się na Urszulę rodził?..

— Niech tam Krysta obiera! — odrzekł Paweł chmurnie.

Podparła stara brodę, sprostowała grzbiet i namyślać się zaczęła.

— Choć-by my mu dali Wojtek?.. Ale to tu tych Wojtków zatręsenie we wsil! Choć-by Jasiek?.. Ino, że już trzech Jasków chrześniaków mam... Albo Stacho?.. E.. nie! Nie trzeba daleko w pozad w kalendarzu sięgać, bo-by chłopak zyza miał. Jakże Krysta? Odezwiw że się! Cóż leżysz, jak drewno?

— A dajcie mu tam, jak chcecie! — przemówiła niecierpliwie chora.

Karbowiaczka klasnęła nagle w ręce.

— A choćby my mu, na to mówiąć, Jantoś dali?..

Odwrociła się Krysta gwałtownie od ściany i na łóżku siadła. Oczy miała rozgorzałe, brwi ściągnięte, na czole podłużną zmarszczkę.

— Nie, matko! — zawołała, trzesąc głową. — Nie! Aby nie Antek! Jak chcecie, dawajcie, aby nie Antek, nie!..

Mówiła prędko, namiętnie, z wielkim ogniem w twarzy, z oburzeniem w głosie.

Stara zamilkła. Nie wiedziała, co rzec.

Paweł od łóżka odstąpił, i trzaskając w palce z powstrzymywanej passyi, czapkę o ławę cisnął.

Chwilę było cicho. Krysta ręce do głowy podniosła i zakolysała sobą. Żałość ją ogarnęła po tym nagłym gniewie.

— Nieszczęśliwa moja głowa! — mówiła ze skargą w głosie. — Nieszczęśliwe moje życie, i z dolą taką! A żeby ja już raz ludziom się umyka! A żeby ja im już raz z oczów zeszedł..

Stara Karbowiaczka głaskała ją po twarzy.

— Cichoj już, córuś, cichoj! Już cichoj! Już dobrze! Nie pierwszy Antek w kalendarzu, ani nie ostatni. Nie chcesz, to nie, i cichoj, i już!

Odwróciła się do parobka.

— A weźcie jeszcze Paweł z półgarnca miodu od Szymisowej. Tego pieprznego! Niech tu jedzą, piją, a nam dobra zyczą..

— Co mi ta po ludziach! — burknął Paweł. — Co mi ta po ludzkiem jedzeniu albo picciu! Kto ta będzie pił!..

— Nie bój się! Będzie tu pełna izba, jeszcze się i sieni dostanie! Niech się ino po wsi obniesz, że czerninę warzę, niech ino wątrobę zaczują, a wódkę, to ich tu będziesz za wiwat miał. Misek i łyżek braknie, a gąb nie.

— Bo było we czworgo iść. — odezwał się chmurnie parobek, — dzieciaka po cichu ochrzcić, nie tam..

Nie skończył. Na Karbowiaczkę uderzyły ognie. W pośrodku izby stanęła, podparła się w boki, skry poleciały z małych siwych oczu.

— A ty sobie co rozumiesz? — krzyknęła, tupnąwszy nogą. — A ty się tu skąd taki wziął? Czego ja się będę przed ludźmi kryła?.. Czego się będę wstydziła?.. Czy to Krysta na gościńcu znalazła, abo na pogrąbkach? Czy to w płachcie ze służby przyniosła?.. Gospodarska córka jej!.. Sama sobie gospodyni jej!.. We swoim gruncie, we swojej chałupie siedzi! Z matką siedzi!.. A wara komu do niej! .

Jakże na pokrytkę przed ludźmi robić chciał, toś se mógł inszej szukać! Parobczyńskiej dziewczki mogłeś sobie szukać! Po komornicach chodzić! Za wiwat tego we wsi jej!..

Zatknęła się od gwałtowności słów, uczuła i krzyku.

Parobek stał skruszony, drapiąc się za ucho.

— A dyć mnie tylko o to, co-by nie publikować po wsi!

Na starą buchnęła nowa fala gniewu.

— Co to nie publikować?.. Przed kim nie publikować?.. Dziada z babą będę w kumotry prosiła?.. Brzozową witką dzieciaka ochrzczę, czy co?.. Jak wieś długa, mały duży wie, że się to Kryście przygodziło wedle sakramentu! Wedle tego świętego stanu małżeńskiego! Mały duży wie, że ino patrzeć, jak papier o tym ta chudziaku do kancelaryi przyjdzie, jako nieżyjący, a ty na zapowiedzie poniesiesz! A dyćbym ci łeb obdarła, żeby nie to! A dyćbym ci ślepie wyparzyła!

Chrypła aż prawie, wygrażając mu pięściami z największą passją.

Sluchał chłop i pojaśniał na twarzy. Jakoś mu się ciepło koło serca zrobiło, jakoś miło. Grunt był żytni, pewny, dobry szcerk... Na dołkach i z pszenicą próbować-by można... Sprzężaj, jak się patrzy, krów cielnych dwie, jałowizna, piętnaście owiec, pobudynki. A to byłby całą gębą gospodarz! Do Krysty go też ciągnęło okrutnie. Wprost ogień od niej na niego szedł... Schylił się, podebrał starą pod kolana i w rękę ją pocałował.

— Toć ja rad, matko! — rzekł. — Toć ja jednej chwili rad! Niech mnie tu zaraz piorun trzaśnie, jeśli lżę! Jeśli dobrego pomyslenia nie mam! Żeby aby Krysta chciała!

Starą Karbowiaczkę udobruchała pokora przysłego zięcia.

— Co nie ma chcieć? — krzyknęła. — Twoja w tem głowa, żeby cię chciała! A cóżes to. nie chłop, żebyś sobie kobietv ujednać nie umiał?—Mówiła jeszcze, a już ją obawa chwyciła, że istotnie może się Krysta uprzeć i nie zechcieć.

Więc jak stała, tak się z pięściami do łóżka zwróciła.

— Dałabym ja jej, zatraconej, żeby cię nie chciała!.. Na lesne jabłko-byłm sprzął! Pierzynę-byłm z niej ściągnęła! Z chałupy-byłm wygoniła i z dzieciakiem razem! A toć-by ją Pan Jezus ciężko skarał za moją krzywdę za mój wstyd na stare lata...

Podniosła fartuch do oczu i zaczęła szlochać, tając we łzach z onego gniewu, a urzewniając nad sobą i nad swoją dolą.

Krysta obracała niespokojnie głowę na poduszkach, z piersi jej dobywało się ciche jęczenie.

Blysął Paweł ku niej raz i drugi okiem.

— Jakże, Krysto? — zapytał wreszcie. — Będiesz mnie chciała? Milczała. Do łóżka podszedł i chciał pogłodzić jej rozrzucone włosy.

Szarpunęła się i zastawiła ręką.

— Idź! Idź! — krzyknęła popędliwie. — Idź!..

— A cóże ty, Krzysia?—zapytał chłop miękkiem głosem. — Cóże ty taka zła na mnie?.. Przecie ty dobra na mnie była?.. Jakże?..

— Byłam, to byłam! A teraz nie! Na wiatrak miałes jechać!..

Złość się w chłopie zaczęła gotować, więc się nasprostował, popatrzał ponuro w ziemię, potem się plecami na izbę obrócił i do okienka podszedł.

— Jak jechać, to jechać! — odezwał się, pomilczawszy. — A to i miesiąc już nad stodołę wylazł. Brrr!.. -- dodał, otrząsając się z jakiejs wewnątrznej goryczy, z jakiegoś wewnętrznego zimna.

Starej Karbowiaczce przypomniawszy się nagle, że ten parobek, nie wołający o zapłatę, kozucha nie ma.

Opuściła tedy fartuch, i wytrzeszczyła zaczerwienione oczy na Pawła.

— To jakże ty, Pawełek, bez kozucha na ten wiatrak?

— A w lejniku! — odparł chłop pochmurnie. I on przypomniał sobie, że tu darmo robi, że grosza nie widzi, ot tyle jego, co poje. Więc w nim coraz bardziej kipiało.

Stara patrzyła zafrasowana to na córkę, to na parobka, to na żerdź, zatkniętą w belkę, na której wisiała odzież.

— Krysta!.. — odezwała się, pomilczawszy. — A słysz ino, Krysta! Kiedy już ta ci to przyszło, to Panu Jezusowi ochfiarować i niechaby tu Paweł Antków kozuch brał..

Mówiła głosem niepewnym, jak gdyby próbując i szukając drogi.

Ale Krysta porwała się z poduszki i klasnęła w ręce.

— Laboga! Laboga! — krzyknęła gwałtowniej jeszcze, niż przedtem. — Tera znów kozuch!.. Tera znów Antków kozuch!.. Laboga!..

Starą gniew brał.

— A nie bądź głupia, i nie wrzeszcz, kiej cię nikt ze skóry nie drze! Głupia! Nie wiesz to, że Paweł cały rok o pieniądze nie wołał?.. Że kozucha nie ma?..

— To mógł wołać! To czemu nie wołał? Ja tam jego niewołania nie chcę! Niech idzie do półskrzynki! Niech pieniądze za wieprzka bierz!.. Niech moje korale poprzeda! A Antkowego kozucha nie dam!.. Nie dam!..

Szarpnęła z szyi sznur grubych korali, które się po łóżku i po izbie rozsuły.

Karbowiaczka załamała rękę.

— A cóż ty, córko, najlepszego robisz? A ciebie co znów podleciało?.. A toć Antek i tak już tego kozucha nie pożyje! A toć mu i tak nic po nim.

— Niech tam nie pożyje! — wołała Krysta. — Niech mu tam będzie nic po nim! A ja nie dam i nie? — Pięścią o pięść uderzyła, drobne lzy trysnęły jej z gorejących gniewem oczu.

— Pssia!.. — warknął parobek, na izbę splunął, i trzasnąwszy drzwiami, wyszedł.

Spała jeszcze Karbowiaczka nazajutrz po chrzcinach, które się w kilka dni potem odbyły, kiedy ją zbudził głos Krysty.

— Matus!..

— A co, córucho?

— Wstanę ..

— Po co? Leżałabyś oto, kiedy ci pod pierzyną ciepło!

— Wstanę!.. — powtórzyła Krysta.

— A cóż ci tak pilno? Robota cię woła, czy co? W izbie zimno, w kominie zimno, po co będziesz wstawala?..

— Wstanę, matko!.. Zaduszki dziś... Poniosę księdzu za Antka..
Lżej będzie!

Starej błysnęły oczy. Rozbudziła się i na łóżku siadła.

— Jużci że mu lżej będzie, chudziakowi, jak za niego ludzie ten paciorek święty pomówią... Jużci że!

— Mnie lżej będzie, matko! Mnie może lżej będzie!

Westchnęła głęboko, jak gdyby wielki ciężar piersi jej przygniatał, i mówiła zwolna:

— Niech ta już na nim będzie ta mogiła, kiedy tak! Niech ta już na nim ta trawa porasta! Niech on ta już nie widzi, nie słyszy, kiedy tak! Niech ta już...

— Bo i pewno, córuś, pewno! — przywtarzała Karbowiaczka, rada, że myśli Krysty taki obrót wzięły. — Bo i pewno!.. Panu Jezusowi ochfiarować do tych pięci ran, i już! Radziła ja się wczoraj u kumotrów, i sołtysa, i innych. Każdziuski mi przytwierdził, że niema co, tylko Panu Jezusowi ochfiarować!

Krysta milczała, odziewając się drżącymi rękami wśród chłodu i nieładu izby, wśród śladów po wczorajszej biesiadzie. Pilno jej było stąd iść, — pilno za Antka na mszę dać. A toć go tu pochowali jakby... Toć tu jakby na pogrzebie jego pili...

Starej Karbowiaczce takóŜ się ręce trzęsły z pośpiechu i z jakiegoś tajemnego wzruszenia. A i roboty w izbie było choćby na dwie. Ludzie się rozeszli późno, czasu nie było na sprzątanie: po pieprznym miodzie, po wódce z galką, stara Karbowiaczka, jak stała, tak się rzuciła spać, z głową rozchmieloną, rozgrzaną, z oczyma zmrużonemi od śmiechu i płaczu razem, kontenta, że się chrzciny udały, że wszyscy radzi byli wątrobie i czerninie z gęsi, wszyscy dobra życzący, a głowami kiwający, jako że to imo patrzeć, imo patrzeć, jak Paweł na zapowiedzie poniesie. Ba! Toć mu się jeden i drugi na wesele przymawiał! To i dobrze! To i chwalić Boga, kiedy tak! To się i skończą one płacze, one lamenty... A i obrazy Boskiej też nie będzie, i zaproszenia oczów...

Rozmyślała to sobie stara Karbowiaczka, drepcąc po kątach i odmawiając poranne pacierze, kiedy nagle przypomniała coś sobie i na środku izby stanęła.

— A jakże będzie z jarmarkiem, Krysta?.. A toć ja się z kumotrami namówiła razem na jarmark do Brzeźnicy iść! A toć my byski poprzedać mieli? Paweł też brony kupić miał!.. To jakże teraz będzie?..

— A idźcie, macie iść!..

— A jakże z dzieciakiem będzie, kiej do Kościelnicy chcesz?.. Toć się tu zawrzeszczy, przegłodnieje na nie!

— A niech się tam robi co chce!

Stara się zamyśliła.

— Głuchej-by chyba zawołać? Niech se kartofli uwarzy, poje, a dzieciaka popilnuje i mlekiem popoi... Jakże?..

— A niech go ta popoi...

— Bo to na jarmark krótka droga, ale z jarmarku długa... Człowiek się spotka z tym owym, tu stanie, tu pogada, to się i noc przybliży... Długoż ty tam będziesz siedzieć w tej Kościelnicy?

— Bo ja wiem? Sztuk drogi jest... Dobrej siły nie mam do ena w sobie... Tylko we mnie te żyłki dygocą ..

— Hm!.. Hm!.. — pomrukiwała stara. — Bo to widzisz, córko, jakby co, tobyś i jutro mogła...

— Nie, matko, nie! Pójdę... Zadzuszki dziś... Niech tam, pójdę!..

Zawiązała pieniądze w szmatkę, schowała je w zanadrze i schyliła się do matczynej ręki.

— Ostańcie z Bogiem...

— Idź z Bogiem, córuchno, kiedy tak!.. A nie zagłędziesz to do dzieciaka...

— Niech ta śpi, kiej śpi... Co będę zagłądała?..

Wyszła. Zamyśliła się na to stara i podparła brodę.

— Wyszła — i ani na dzieciaka spojrzała.

— Oj będą tu jeszcze termedyje, będą, nim Paweł wesele wyprawi!.. Oj będą!—mówiła sama do siebie, stojąc na progu chaty i patrząc za idącą ku Kościelnicy Krystą.

Ranek był bezsłoneczny, mglisty, powietrze ciche, ciepłe. Jakaś miękość w niem była, jakaś słodycz, coś, co człowieka tuli i spokoi.

Smętność szła polami pustymi, wypoczywającymi; nad ziemią czylniła się wielka, przedsenna, przedzimowa cisza.

Okolica była otwarta, dalekowidna, wskroś siniejąca aż po nieba skraje. W szarości ranka pobłyskiwała rzeka, rznąca się pod wieś półkrągło, jakby sierpem jasnym; nizkie łąki, pełne rozlewisk jesiennych, leżały nad nią w parach modrawych. Wskroś okolicy, het na zachód

słońca, ciągnęła się droga topolami sadzona, w której dalekiem, siniejącem przezroczu majaczyła wieża, stojącego na wzgórzu kościoła.

Drogą szła Krysta. Szła wymizerowana, chwiejącą się, blada. Głowę jej owijała duża, cienka chusta, gładkie pasma ciemnych włosów przylegały do zapadłych skroni, spuszczone rzęsy kładły na śniadawe lica cień długi i drżący. Szła spiesząc. Oczy utkwiała w ziemię, ręce pochowała pod gruby, jaskrawy, zarzucony na ramiona fartuch.

Miała ona właściwy sobie, jak gdyby w siebie tulący się, ruch, który ją czynił drobniejszą na oko, niż była. Teraz, po świeżo przebytej chorobie, ten ruch powracał jej często. Mimowoli podnosiła barki, tuliła w nie głowę, zakładała ręce na piersi i przyciskała do boków łokcie, jakby się chroniąc przed czemś szorstkiem, przed czemś zimnem, ostrem.

Długą chwilę tak szła, ogłuszona jakby, z głową ciężką od wczorajszej wrzawy, nie czując nic, prócz wielkiego zdumienia nad tem, co się stało.

Tak ją to wszystko obkoczyło od jednego razu, jak ten potrząsk ptaka. Z Pawłem nigdy o kochaniu mowy nie było, a ot co się stało. Za tym swoim mizerakiem na koniec świata-by szła, duszę-by dała, a ot co się stało!

Dopóki dzieciak nie był ochrzczony, zdawało jej się, że nie prawda chyba, że zhora taka jest, z której przecknie. Ale teraz się skończyło. Wszystko się teraz skończyło! Teraz dzieciak imię ma, chrzestnych ma, w książce zapisany stoi... A toć u nich w chałupie chrzciny wczoraj były...

— Chrzcziny były... — powtarza sobie w myśli; wazkie jej brwi podnoszą się wysoko na smagłem, nizkiem czole, a głowa się chwieje z jakiegoś wielkiego, żalosego dziwu.

— ... Reta! Reta!.. Co się to porobiło! Co się to stało!

Uderzają na nią nagłe ognie wstydu, buntu, gniewu. Chce się porwać i iść, iść, na koniec świata iść, a nie patrzeć na to dziecko, na Pawła... Wstręt nią wstrząsa, wstręt i strach; uciekać od wszystkiego chce. Podnosi barki wysoko, jak ptak złamane skrzydła do lotu. Ale cisza szerokich pustych pól spokoju ją zwolna. Ramiona opadają, podnoszą się źrenice na powietrze sine, na twarz jej wybija surowa zaduma.

... Nie za nas się zaczęło, — i nie za nas skończy... Słowa matki wracają do niej posępne, wyroczone jakieś, a takie ciężkie, jak ten młyński kamień!

... Chybaż to ono i prawda... Chybaż musiało na to paść... Chybaż to tak musiało być... Chybaż to tak ze wszystkimi zawsze musi być...

— Jezu! Jezu! — szepce Krysta, i w jakimś nagłem i głębokim porozumieniu z dołą, chwieje głową z wolna.

Ciemne poczucie konieczności zagłady wszystkiego co było jasne, kwitnące, żywe, bije na nią z tych pól nagich, obumierających.

... Chybaż to już po ziemi chodzi taka moc... Taka ślepa, ślepa moc... Ślepa taka i stara taka... Gdzie! Starsza od wsi całej i od wszystkich ludzi! Co sobie ziemia kwiatuśzków napieni, co sobie radości podhoduje, co guiazd naściele, to ta moc wszyściusko zdusi ..

I co sobie ludzkie serce dobra i wesela nasieje, co zakwitnie kochaniem, jak ta płonka kwiatem, zaraz ona się zamachnie i zdusi Taka moc jest! Taka ślepa moc!

Tuli Krysta głowę w ramiona, dreszcz idzie po niej, jakby od nagłego wiatru powiania. Ale wiatru niema. Jest cisza. Długi rząd огоłconych z liści, przejrzystych już topoli, przeprowadza ją ulotnym, delikatnym szmerem. Drobnie, nagie gałązki chwieją się i trącają o siebie, jakby ruszone tchem cichym, dalekim...

Idzie Krysta po przydróżku, szmeru tego słucha i przyśpiesza kroku.

Kościelna wieża przybliża się coraz, jakby przez powietrze płynęła z krzyżem i dzwonami. Naraz zakolysały się dzwony i bić zaczęły daleko gdzieś, wysoko. Dźwięk ich głuchy, stłumiony, wzmagą się, ustaje, i znowu się wzmagą, i znowu ustaje.

Są to jakby ogromne, płynące nadziemne westchnienia. Fala ciszy bierze je w siebie i czyni się niespokojna i drżąca.

Z piersi Krysty dobywa się jęk przeciągły, długi. Twarz jej staje się jeszcze śniadsza, w oczach zapala się posępny ogień. Ścisną rękę szmatkę z pieniędzy i kiwa głową.

— Już tobie ament, Jantochna, już tobie ament! Już ty się skończył dla mnie, a ja się skończyła dla ciebie. Już tobie krzyż, Jantochna, i gromniczna świeca...

Oj, pomarł ty, pomarł dla mnie, czyś żyw, czyliś nie żyw... Oj pochowała ja ciebie głęboczko w ziemię, oj usypała ja tobie mogiłę, Jantochna, oj usypała! Nie usypała ja ci jej z tego piasku, z tego drobnego, ale ci ją usypała z grzechu śmiertelnego... Oj urosła mogiła, urosła, oj stanęła od ziemi do nieba, oj nie daje tobie do mnie, ani mnie do ciebie. Już ty śpij, Jantochna, już ty śpij, już ty się nie przebudzaj!

Już ja za ciebie mszę zmówię dam, już ja tobie na dobrą noc we dzwony dzwonić dam, już ja z tobą ament zrobić idę!..

Cichnie i przyśpiesza kroku.

Chce się coprędzej odgrodzić od kochania swego krzyżem i gromniczną świecą. Może lżej będzie... może lżej...

Jak się do chaty wróci, jak zmocnieje, to po miesięcznem świetle przede dniem wstanie i kamień do rzeki zatoczy. Największy, najcięższy, jaki ino gdzie, — zatoczy. Powiadają ludzie, że jak taki kamień na głębię, na duo pójdzie, to człowiek o wszystkim zapomni. Żeby go nożem w serce pchnął — zapomni. Ot, kamień w wodę!.. — mówią.

Idzie coraz prędzej. Drobnny perlisty pot okrywa jej niskie, śniade czoło, siły biją na nią. Dzwony milkną. Milkną zwolna, jeden po drugim, w szerokich echach i westchnieniach. Nareszcie robi się cisza. Topole tylko szepcą w niej lekkim, ledwo słyszalnym szmerem nagich gałązek, jakby po nich szedł głos z daleka gdzieś, z daleka...

.. Krystal.. Krystal.. Krystal..

Odwraca Krysta głowę, otwiera szeroko oczy i patrzy.

Jak zajrzeć, puste, puste pole. I wieś i chatę nakryły pary sine; ledwie coś nie coś modrzeje. Droga jakby się rozplynęła, roztajała, za nią tylko topole idą... idą... idą...

Krysta czuje się jakby zgubiona, jakby zatopiona w tej szarej pustce, w tej cichości pól, która aż dzwoni nad nią. Ogarnia ją to tak, jakby wielka, wielka woda. Tuli głowę w ramiona, mruży oczy i powtarza z cicha:

— Nic, tylko kamień na duo... tylko kamień...

Siada, odpoczywa, potem znów idzie. Godzina za godziną płynie, a drogi nie ubywa prawie.

Tymczasem od szarości widnokregu oderwała się sylweta pośpiesznie idącego człowieka.

Na pierwszy rzut oka poznać można było, że albo drogę skrócić chce, albo też jej nie zna.

Ciężkimi, dużymi krokami na przełaj przez ugór szedł, wynurzywszy się z poniża od strony zarosłych trzeciną torfowisk, że prawie, jakby w oczach z pod ziemi wyrosł. Zaraz też musiał zobaczyć Krystę na pustej, wyniesionej nieco nad polami drodze, bo zaczął ręką machać, krzycząc co siły:

— Hej!.. Hej!.. Hej!..

Krysta obejrzała się i stanęła.

Człowiek był podróżny i zdawał się cudzy. Zdaleka widać było, że węzełek u kija uwiązany na ramieniu niesie, a kiedy się przybliżył zasiwiała na nim żołnierska kapota.

Z boku jej zachodził, skacząc przez zagony, przez rowy i ciągle wołając.

W Kryście zaczęło się serce tłuc. Zdawało jej się przez chwilę... Jezu miłosierny! Co jej się to zdawało!

Człowiek już blisko był, kiedy zobaczyła jego twarz dziobatą i śmiejącą się, a zapadłe oczy. Krysta nie była pewna.

— Zna, albo i nie zna!.. Chyba, że taki zna!..

— Walek! — krzyknęła wreszcie, klasnąwszy w ręce. — Toć Walek! A ty się tu skąd wziął?

A już i on stał i, patrząc na nią, śmiał się i wołał:

— Krysta!.. Dalibógże Krysta! A ja myślał, co Marcychna Pawłowej. Ha... ha... ha!..

A wtem go schwycił gwałtowny, nieuhamowany kaszel. Zaniósł się chłopak raz i drugi głęboko, ode dna piersi gdzieś, aż posiniał w twarzy, we dwoje się ku ziemi zgiął, za piersi chwycił, i kaszłał, kaszłał, kaszłał!..

Parę razy podnosił głowę, chciał mówić, oczyma i twarzą znaki dawał, ale go ten rozdzierający kaszel nie puszczał do słowa.

Po długiej dopiero chwili uspakając się zaczął zwolna, jęcząc i śmiejąc się naprzemian, a zdjąwszy kaszkiet żołnierski, ocierał pot z krótko postrzyżonych, czarnych włosów i zapadłych skroni.

— A to ci chrypota! — mówił zmienionym, urywanym głosem. — A to mnie umordowała! A żeby ją!..

Stał chwiejący się, zmęczony, spotniały, z trzęsącą się na cienkiej szyi głową.

— U — ha! — Trza mi też było na prom isć!.. A tom się zbrodził po tych bajorach, jak kaczor... O kęs, zem duszy nie zatopił!.. U—ha!..

Kaszłał, śmiał się i stękał, odpoczywając, i dech łąpał ledwie.

— Zkądże się ty tu wziął?.. — spytała Krysta z dziwem.

— A ze światła!

Skoczył przez rów, dzielący go od drogi.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł. — Witajże Krysta! Antek przyszedł?

W Kryście dech stanął. Zbielałe usta otwarła bez głosu i zaczęła na całym ciele drzeć, ściskając konwulsyjnie niesione na mszę pieniądze.

Walek się śmiał.

— Cóż ty tak zesłupiała? A przecie jego razem ze mną z lazaretu na poprawkę puścili! Przecie my aż do Grannego razem szli! Tylko że się potem Antek na prom, na Rybitne puścił, a ja przez kępy chciałem, że niby bliżej... Ale to ta może i na Rybitnem prom zniosło, kiedy taka woda! To on chyba na Mosty musiał, kiedy tak!.. To jego i na zachód słońca nie będzie!.. Cóż ty? Nie wiedziała?.. Cóż się, jak ta osiaka trzęsiesz?..

Targnął ją za rękaw.

— Krysta! A gadajże przecie! A odezwij-że się tak, albo tak Cóż ty?..

Odetchnęła głęboko, przeciągając ręką po twarzy, po czole. I twarz i ręka wydały jej się, jakby trupie, cudze...

— Jezu... — zaszeptała martwym, bezdźwięcznym głosem. — Jezu miłosierny...

Ale ją ten własny szept przeraził, jakby huk stu dzwonów.

Skuliła głowę w ramiona, zmrużyła rzęsy, i obróciwszy się nagle na szarość i siność pól, które leżały za nią, zaczęła iść spiesznie i cicho.

— Czego lecisz?.. — zawołał Walek. — A czekajże! Hej... Krysta!.. Powiedz tam Antkowi, żem do Kościelnicy do Pawłów poszedł!.. Marcyhnę nastraszył!.. Hej!..

A w tem go schwycił nowy paroksyzm kaszlu i do ziemi przygiął.

Krysta szła. Topole, droga, szare bezsłoneczne niebo, wioska modrzejąca w torfowych oparach, wszystko to kołowało przed nią. Co-fnęła raz i drugi głowę mimowolnym ruchem, bo jej się zdawało, że lada moment zwali się co na nią, że się wprost czołem o to wirujące powietrze uderzy. W uszach miała szum, jakby wielkiej wody, a w piersiach taką pustkę i taką czarność, jak kiedy kto głęboki dol w ziemi wybierze.

Nie czuła nic, ani troski, ani radości, ani zmęczenia; wiedziała tylko, że może iść, iść...

Szła tedy prędzej coraz. Topole migwały jedna za drugą, szare, bezlistne, jednostajnie wyniosłe i drobnymi gałązkami chwiejące. Każda się z nich zbliżała z cichym delikatnym posmerem, i mijała, szep-cąc, idącą spiesznie Krystę. Ledwie ją jedna minęła, już druga szła.

... Na Mosty poszedł!.. Na zachód słońca będzie!.. — szeptały wszystkie. Pełne powietrze było tego szeptu.

Kołująca, zmęczona myśl Krysty, chwyciła się tych słów i zwiśla na nich, jak ptak w sidle.

... Na Mosty poszedł!.. Na zachód słońca będzie!.. Na Mosty po-szedł!.. Słowa te jednak były dla niej tylko pustym dźwiękiem. Popro-stu nie zdawała sobie sprawy o kim tu mowa, kto to na Mosty poszedł, kto na zachód słońca będzie. Te słowa, które ją przyprawiły o obłąd niemal, były dla niej niezrozumiałe, obce. Nie czuła nawet, że je szep-cą własne jej zimne i zmartwiałe usta.

Tak doszła do miejsca, gdzie się kończyła wysada. A kiedy topo-le przestały szemrać nad nią, i Krysta szept swój urwała, także nie wiedząc o tem.

Szła teraz piaszczystą spłazą, szeroko rozjeżdżoną przez wózki chłopskie, i racicami pędzonego tedy była zdeptaną.

I nagle na tym piasku, w który oczy jej były utkwione, ujrzała

z wielką dokładnością rynek miasteczka, z którego przed dwoma laty nowobrańcy szli. Ot, wszystko jakby żywe przed nią.

Kilkunastu chłopów w kozuchach i mieszczan w kapotach przy podwodach stoi... Pod długim żółtym murem szereg skulonych postaci kobiecych... Z pod grubych chust słychać szloch i lament... Trzęsą się pod nimi głowy siwe, niemowe, wyplakane oczy patrzą na idących w świat synów-żywicieli... W pośrodku rynku ustawiają się czwórkami rekruci... Antek w ostatnim rzędzie, przystaje się, ociąga, zawraca do niej jeszcze. Już na niego starszy dwa razy fuknął, już za plecy pchnął, ale ich ręce, ich głowy, ich usta rozłączyć się nie mogą...

— Będziesz mnie czekać, Krysta!

— Będę...

— Wiernie?..

— Wiernie.

— Tak ci Panie Boże dopomóż?..

— Tak mi Panie Boże dopomóż!..

— Pamiętaj!

W tem bęben zahuczał głucho.

— Antek! — krzyknęła Krysta, a krzyk ten, w pustem polu odbity, ocucił ją z jej martwoty. Ogromna jasność uderzyła w nią, jak pożarna łuna. Zrozumiała teraz, że Antek wraca, że go na poprawkę puścili, że na Mosty idzie, że dziś jeszcze tu będzie. Wszystko, wszystko teraz zrozumiała. Jak w godzinę śmierci jasno się czyni konającemu od gromnicznej świecy, tak jej się teraz uczyniło jasno. Strach, strach, jak jasno!

Szczęście, ból, trwoga były na nią razem i przenikały ją, jak ostre noże. Nie widziała, gdzie się co kończy, albo gdzie zaczyna, bo szczęście było, jak sam ból bolesne.

— Reta! — krzyknęła, zaciskając pięście, jakby się temu gwałtowi mieszanych uczuć bronić chciała. Dusiły ją, mordowały, dreszczem i ogniem po niej szły...

Otarła zimny pot z czoła, szarpnęła koszulę pod szyją.

— Co ona teraz robi?.. Co robi?.. Co?..

Podniosła w niebo rozpalone oczy i utkwiała je w jego bezbrzeżnej, przezroczystej szarości, z natężeniem śmiertelnej trwogi i rozpacz. Aż nagle zaszklila w nich rosa.

— O Matko Boska!.. O Matko Boska Częstochowska!.. Ratuj duszy mojej!

Złożone ręce przyciskała do piersi, głos jej był żarliwy, gorący, spojrzenie udręczone, błagalne, strzeliste. Szła tak czas jakiś, przebi-

jając oczyma niebiosą, a utykając na piasku, kiedy droga jej zniżyła się nagle.

Krysta dochodziła do wsi. Zdaleka już słyhać było gwar głosów ludzkich i porykiwanie bydła. Ludzie wracali z jarmarku, z Brzeźnicy. Kupkami szli, pokrzykując na wolce, na krowy i gwarząc z sobą.

Z oddalenia, w jakim była Krysta, tworzyło to jednostajną, zmieszaną z turkotem wozów i z gęganiami gęsi stadek wrzawę, z pośrodku której tryskały, jak race, pijane okrzyki, przyspiewki, trzaskanie z biczów i poryk buhaja.

Myśli Krysty gwałtownie zwróciły się w tę stronę.

... Ludzie z jarmarku idą, to i matka idzie,.. albo i przyszła już może... I Paweł..

Imię to odbiło się w jej myślach jakimś dziwnym echem. Zastanowiła się nad niem, jakby je słyszała raz pierwszy.

— Paweł..

I nagle ciemna czerwoność oblała jej twarz, czoło, szyję. Krysta uczuła wstyd sama przed sobą, w tej szerokiej pustce uczuła wstyd pałacy, dziewiczy, i spuściła oczy.

Szła tak czas jakiś w wielkiej, z dna serca dobytej łunie, która na niej ugaszała z wolna. Gwar głosów zbliżał się wprost; był coraz już bliższy, coraz wyraźniejszy.

Obejrzała się Krysta w bok i z drogi zeszała.

... Przez ogrody pójdzie, nie przez wieś.. Ku Mostom pójdzie... Droga aż się krzyżem przetnie... Pójdzie daleko, a-że Antka spotka... Choć-by do samych Mostów przyszło iść, pójdzie. Zdaleka go uwidzi, zdaleka .. On ją też zaraz uwidzi.. Zdaleka ją pozna.. Sokołem do niej polecą. Wichrem do niej polecą.. A ona do niego... do niego...

— Niech co chce będzie! Niech się co chce dzieje! Niechże on choć jedną godzinę dobrą ma! Niechże on choć raz, choć raziczek dobrem sercem przytuli ją do siebie! Niechże on choć przez tyła, co ten jeden pacierz, rad i szczęśliw będzie, że się do dom wrócił.

Mówiła głosem słodkim, stłumionym, przejętym. Gwałt uczuć w niej opadł, ucichł; ogromna, smętna rzewność zalewała jej serce, jej duszę.

... Niechże on, chudziak, choć ździebło radości ma.. Niechże mu się powróci wierność i kochanie!.. Niechże mu jeszcze ten świat zapachnie kwiatem!..

Mówiła i myślała o wracającym, jak się mówi i myśli o umierającym, który już jutro słońca nie obaczy. Aby dziś... Aby dziś... Aby chwilę jeszcze!

O tem, co się z nią stanie, co z nią będzie, nie myślała jakoś. Jej strach, jej przeraźliwa trwoga roztajała w tem jednym pragnieniu:

... Aby raz... Aby raziczek jeszcze!..

Była teraz na grobli, za którą czerniał krzyż w powietrzu mglistem. Wyteżyła oczy i wydało jej się, że z pod krzyża podnosi się człowiek. Nie widziała go prawie, ale jej się wydało.

Żar buchnął na nią, serce się w niej zatrzęsło, rozpadło jakby...

— Antek! Antek! — krzyknęła wielkim głosem i, wyciągnąwszy ręce przed siebie, rzuciła się przez groblę biedz, jakby ją wiatr poniósł.

Ogromny gwałt bólu i kochania zadźwięczał w tym krzyku. Gruba chusta spadła jej z głowy na ramiona, zarzucony na plecy fartuch powiewał za nią w mgle sinej, niby wielkie skrzydła, a ona, jak ptak oślepiiony, leciała w tę siność i w tę mgłę, z odrzuconą w tył głową, krzycząca, szlochająca, w łzach i w ogniach cała.

Poznał ją Antek z daleka.

— Krysta! — zawołał. — Krysta!

Lecz nim się opamiętał, już mu na piersiach leżała, już jego szyję rękami obejmowała, już twarz swoją śniadą ze łkaniem do niego tuliła.

— Jantochna!.. Jantochna!.. Laboga reta, Jantochna!..

W krzyku spoiły się ich usta, i tak stali — niemi.

Młody żołnierz ocknął pierwszy z tego upojenia. Wziął oburącz jej ciemną, podniesioną ku sobie głowę, odsunął nieco i patrzył. Patrzył długo, cheiwie, pilnie.

— A cóżeś ty mi się tak wyciągła, Krysta? Cóżeś się tak zmizerowała?

Splonęła nagłym rumieńcem, sypiąc iskrami łez ze spuszczonej rzęsów.

— Bez ciebie tak, Jantochna, bez ciebie!

— To ci tęskno było za mną?

— Oj tęskno, Jantochna, tęskno tak... jak bez tej wody! Jak bez tego chleba!

— Toś rada, żem się do ciebie wrócił?

— Oj rada, Jantochna, rada! Jakby mi się ta dusza własna wróciła, takim rada!

— W chałupie wszystko dobrze?

— Wszystko, Jantochna, wszystko!

Stała przyciśnięta do niego, nie puszcżając mu rękoma szyi; a i on nie puszczał jej głowy i patrzył w twarz, od której bił żar męki i szczęścia razem.

Milczał chwilę, poczem się ku niej pochylił, oczy w jej oczach utopił, i rzekł z cicha:

— A była ty mi tu wierna, Krysta?

Zadrgały jej rzęsy.

— Oj, była, była, Jantochna!

— Tak ci Panie Boże dopomóż?

— Tak mi Panie Boże...

Głos jej się zarwał i buchnęła płaczem.

— To i czegoż ty płaczesz, kiedy tak?

— Z radości płaczę, Jantochna! Z radości i z kochania płaczę...

Wtedy chłop głowę jej puścił, z głowy czapkę zdjął i do krzyża jasny wzrok obrócił.

— Dziękuję ci, Panie Jezu Chryste, żeś mnie łaską swoją prze-najświętszą z tej drogi do dom szczęśliwie powrócił, a wszystko dobro w opiece swojej miłosiernej uchował!

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen!

Przeżegnał się szerokim krzyżem, powoli rękę z ramienia na ramię przenosząc, poczem zaraz mile na Krystę spojrzawszy, do piersi ją sobie przytulił.

— No, już nie płacz, nie płacz, Krzysiu! Mojaś ty!.. Moja?.. Moja?..

— Twoja, Jantochna, twoja!..

Drżała pod wrażeniem modlitwy Antkowej; zęby jej szczykały z cicha.

— A niech tam!—myślała.—Niech się tam co chce dzieje! Niech tam goreję w piekle na wieki wieków!..

— A czegoż się tak trzęsiesz, niebogo?

— Zimno...

Skuliła głowę w ramiona i zmrużyła rzęsy.

— Pójdźmaż prędzej do domu, to się pogrzejesz!

Ruszył się iść, nie puszczając jej szyi.

Teraz dopiero zauważyła, że Antek kuleje nieco. Nie rzekła przecież nic. Czy jej to widziały, ale nie doniosły aż do duszy, na której leżała wielka ćma, wielka czarność jakaś. Dopiero widząc, że Antek ku drodze się obraca, ocknęła nagle.

— Przez groblę pójdźma, Jantochna, nie przez wieś... Bliżej będzie.

On się śmiał.

— Oj ty, ty!.. Abo ty wiesz co to blisko, abo co daleko!.. Mnie się pytaj o to, mnie! Toć ja na takim okraju świata był, że to za morzem jeszcze... Tom już ani pisać dużo nie pisał, bo gdzież-by to papier mógł, kiedy ja ledwo doszedł.

— Oj uglądała ja twego pisania, uglądała, jak ta kania dżdzu uglądał.. Oj czemu ty, czemu, choć tyle nie napisał, żeś żywy...

— Napisałem! Dalibógże napisałem! „Zakazane“ pismo napisałem! Jakże?. To mi je tera dopiero w Artelu oddali, że nie mogą trafić! To chodziło więcej niż cztery miesiące po świecie. Powiadają w Artelu: źle pisane. Jakże źle pisane?.. — mówię Toć wyraźnie stoi: Do Krysty Żułnierki. Powiadają: mało! Jakże mało nie ma być na tyle drogi? A tożem przecie zakulał do ciebie idący!

— O Jezu! Jezu!.. I bardzo cię boli?

-- Eee... tak, niebardzo! Nie tak bardzo! W drodze to mnie tego bolało! Ale tera niebardzo. Tera bym i do Kościelniczy zaszedł!

Szli zwolna przytuleni do siebie.

On głowę podnosił wysoko, jasnym okiem po polach spozierał, całował ją, po włosach gładził, mówił, pytał. Od razu chciał-by jej wszystko powiedzieć, od razu o wszystkim wiedzieć. Tak wiele szczęścia w piersiach miał, że chwilami urywał mowę i śmiał się głośno do tego szarego nieba, które ich obejmowało wczesnym mrokiem, do tych pustych ugorów, do życia.

Krysta szła, przygięta nieco jego ramieniem, ze schyloną głową. Miała ona wielkie, obłądne spojrzenia, jak ten, który w przepaść idzie. Coś nie coś tylko z tego, co mówił Antek, dolatywało jej uszu. Szła w zamysłach cała, w jakiejś wielkiej naradzie z duszą własną; wązkie jej brwi podniosły się wysoko na czole, przeciętem grubą w podłuż zmarszczką.

Tak weszli na groblę.

— Takim rad Krzysia,—odezwał się Antek, — takim rad, jakby mi tu kto sto rubli pieniędzy na rękę naliczył! Gziel.. Więcej!.. Żeby mi kto i stodwadzieścia naliczył, tobym jeszcze taki kontentny nie był, jak z tego jestem kontentny, że się do ciebie wrócił! Okrutniem się stęsknił! Takem ci się stęsknił, Krzysia, że to ha!

— Co mówisz..

Nie mówiła nic. Może usta jej zaszepotały same jakie słowo rozpacz, ale nie wiedziała o tem.

— A nie patrz-że w ziemię, tylko na mnie patrz!.. A dyć ja te oczy twoje precz przed sobą widział!.. het... aże za morzem!.. To ci Walek powiedział, że idę?

Podniosła głowę.

— A ino...

— Kiedyż on tam do was zaszedł?

-- Na drodze go spotkała...

— To gdzieżeś szła?..

Ogień buchnął na nią.

— Tak szłam..

Przypomniała sobie, poczuła raczej, że dotąd ściska w szmatce pieniądze, które za duszę jego niosła. I mimowoli, owszem, jakby z musu jakiegoś, rzekła:

— Zaduszki dzisiaj.

Westchnął na to żołnierz.

— Wieczny odpoczynek racz im ta dać Panie, a światłość wiekuista niech im ta świeci!

— Ament! — dokończyła Krysta cichym głosem.

Ale on już głowę podniósł, rozśmiał się i, spojrzawszy przez groblę ku wsi, rzekł:

— A to ci z chałup dym wali! Abo baby chleb pieką, abo co?..

Widzisz Krzysia? Jakże?..

I nie oczekując odpowiedzi, mówił dalej:

— A witaj, przewitaj, ty dymie siwy! Dymie jałowcowy!.. Hej!.. Hej!.. A ja już myślał, co się nijak nie dobiję do chałupy... do ciebie!.. A dzięki ci Boże!.. A pódźmaż sporzej, Krzysia! Matka wiedzą?

Drżał prawie z niecierpliwości, szczęście biło mu z twarzy pochudłej i wiatrem spalonej.

Więc się pohamować nie mogąc i odpowiedzi Krysty nie czekając, chwycił ją w pól i całował jej usta, jej oczy.

— Hej, Krzysia! Krzysia!.. A toć my znów razem!

— Razem, Jantochna. razem!..

— To się radujesz, kobieto!..

— Oj raduję się, raduję, mało mi to serce nie pęknie na dwoje!..

Przycisnęła ręką piersi i jęknęła z cicha.

Była teraz to blada, to czerwona, oddech miała urywany, krótki, świszczący, spojrzenia niespokojne, ulotne...

Za groblą już byli, w ogrodach, o jakie trzy staja ode wsi.

W tem Antek syknął.

— Chciałem pośpieszyć,—rzekł,— ale nie idzie!.. Tęgom się sfor-sował w tej drodze!

Zatrzymał się i nogę rozcierał.

Krysta przełknęła ślinę, miała jakby chwilę wahania.

Aż nagle podniosła ku niemu twarz poszarzałą, jakby w nią kto popiołu dmuchnął, i rzekła bezdzwięcznym głosem:

— To idźże se, Jantochna, wolniuško, a ja przodem skoczę!..

Matce powiem!..

— E... nie!.. Czekaj lepiej!.. Pójdziema razem!

— Za półpacierz wróć! Wolniuško se idź! Ja w mig skoczę.

Odwróciła się i zaczęła śpiesznie iść.

— Czekał, Krzysia!.. Toć czekał!.. — wołał Antek.

Ale nie czekała. Szła prędzej coraz. Z pół stajania już uszła, kiedy on jeszcze w miejscu stał i nogę rozcierał.

A w tem się biegiem wróciła i na szyję mu padła.

— To mnie miłujesz, Jantochna?

Chciał coś rzec, ale mu usta gorące do ust przycisnęła i przez chwilę na piersi mu zawisła.

Był jakiś jęk w tej pieszczocie, jakiś gwałt śmiertelny.

Antek, rozpromieniony, się śmiał.

— A taki wróciłaś do mnie!..

Oderwała się od niego przemocą.

— To idźże teraz pomaluszku,—mówiła,—a we drzwi patrz, bo ja tyle, że wpadnę, matce powiem, i zara się wrócę.. Jeszcze do tej wierzby nie dojdiesz, jak ja się wrócę, Jantochna!

Biegła już. Ostatnie słowa rozplynęły się w powietrzu mglistem.

Siedział na ławie za stołem Paweł w nowym kozuchu, w zesuniętej na tył głowy czapie, i pieniądze, wzięte na jarmarku za dwa wolce, — liczył. Przy nim siedziała stara Karbowiaczka, w odświętnych szatach, w rzęsistych krezach i paciorkach. Łokcie podparła na stole, brodę na rękach, i na pieniądze liczone patrzyła, trochę zaproszonymi poczęstunkiem u Szymsiowej oczyma. W kącie, przy kominie, kołysała „Głucha“ dziecko, wyjadając łakomie z garneczka pozostałą od obiadu polewkę.

W tem drzwi się otwarły cicho i wbiegła Krysta.

Wbiegła, po izbie spojrzała i u łóżka stanęła.

Liczący głośno parobek zająknął się i urwał. Stara odwróciła głowę.

— Krysta! — odezwała się trochę mętnym głosem. — A ty gdzie tyle czasu była?

Nie odpowiedziała. Usta miała zacięte, twarz zbieła, oczy rozszerzone, jak dwie czarne plamy. Zrzuciła chustkę, zrzuciła fartuch, cisnęła na poduszki szmatkę z pieniędzmi, spojrzała na matkę, na dziecko, szkaplerz z szyi zerwała i drugimi drzwiami wypadła z izby.

— Co to?.. Co to się stało? — spytała Karbowiaczka, gdy ją wiatr z otwartych na przestrzał drzwi nagłem zimnem obwiał.

Parobek wytrzeszczył oczy; pieniądź, który w ręku trzymał, potoczył się z brzękiem po stole.

Krysta biegła. Do rzeki biegła, jak błysk nagły, cichy. Przeleciała ogród, przeleciała łączkę, aż kiedy zalsniła przed nią wielka, wezbrana, z głuchym hukiem tocząca się woda, zmrużyła oczy, stuliła ramiona, i chwyciwszy się oburącz za głowę, bez krzyku skoczyła na głębię.

W tej chwili Antek we drzwi izby wchodził.

MARYA KONOPNICKA.

Elekcya za życia króla.

Electio vivente rege.

(Wyjątek z niewydanej monografii „Dola i niedola Jana Sobieskiego“).

I.

Pomysł obrania następcy tronu za życia Jana Kazimierza zrodził się w umyśle Ludwiki Maryi i w jej otoczeniu, pierwotnie w gorzkiej chwili tułaczego życia na Szląsku, po ucieczce przed tryumfującym Karolem X. Gustawem w r. 1655, w naradach z nielicznymi senatorami, jacy przybyli do boku prawowitego króla. Dla pozyskania pomocy zbrojnej od kogokolwiek z sąsiadów ofiarowano wtedy koronę polską zawczasu najprzód Rakoczemu, potem arcyksiężętom domu cesarskiego czterema poselstwami, nareszcie carowi moskiewskiemu. Ta ostatnia oferta sprowadziła nawet poważny skutek dyplomatyczny, ponieważ ułatwiła chwilowe przymierze polsko-moskiewskie przeciwko Szwedom¹⁾. Nie czyni zaszczytu ani królowi, ani senatorom polskim takie

¹⁾ Wydźga Jan Stef. i jego pamiętnik 1655—1660, wyd. K. Wł. Wójcicki Warsz. 1852, str. 80—90: „Jan Leszczyński, wojewoda pozn. prosił króla, aby z miłości ku ojczyźnie, uchylił prawa swego, czyniąc sobie sukcesora. Królowa nie przez ambicję abo chciwość panowania, bo od takowych affektów próżne ma serce, ale... żeby ginącą Polskę dzwignąć... bierze na siebie tę pracę, proponować to wszystko królowi małżonkowi swojemu.“ Otworzono to areybiskupowi, kanclerzowi Korycińskiemu i wojewodzie poznańskiemu. O poselstwie do Rakoczego zebrał informacye Plebański: Jan Kazim. Waza, Marya Ludwika Gonzaga, str. 287—288. Poseł od cara moskiewskiego z ofiarowaniem zwrotu wszystkich zajętych ziem za obiór jego, lub

obnoszenie korony swojej po całym świecie na handel za chwilowe dogodności lub naiwnie obliczane korzyści; zaznaczmy atoli, że sejm nie zbierał się w ciągu trzech lat ¹⁾, aż do r. 1658, a więc nie dał upoważnienia do tych frymarków; nie uczestniczyły też w nich sejmiiki. A mianowanie następcy tronu niweczyło główną podstawę istniejącej od XIV wieku formy rządu: wolną elekcyę króla. Wiadomo, z jaką trudnością pozyskał Jagiełło uznanie następstwa dla syna swego, Władysława Warneńczyka; najwybitniejszym dowodem popularności Zygmunta I było nadanie w r. 1530 tytułu królewskiego Zygmuntowi Augustowi obok „Starego“ króla i to za wystawieniem dokumentu, warującego wyraźnie wolny obiór przez sejm generalny elekcyjny, na który „przybyć może każdy, kto zechce.“ Ani Batory, ani z Wazów nikt łaski takiej u narodu szlacheckiego nie dostał. Musiał więc powstać gwar wielki w całej Rzeczypospolitej, gdy na jaw wypłynął plan nowy przyznania następstwa tronu jednemu z książąt francuskich, i to w czasie, kiedy największe niebezpieczeństwo minęło, i kiedy w rozpoczętej cichaczem robocie politycznej dostrzeżono rękę królowej-cudzoziemki.

Ludwika Marya Gonzaga, niewłaściwie dziś zwana Maryą Ludwiką, ²⁾ księżniczka Niwerneńska (de Nevers), dała się poznać z niespo-

syna Fedora znajdował się we Lwowie już przed d. 18 IV 1656 r. (Rykaszewski: *Relacye nuncyuszów o Polsce*, 1864, II, s. 297). Obietnice obioru były ponawiane do r. 1658; traktat przymierza w Niemieży pod Wilnem stanął d. 3, XI 1656 (oprócz historyków polskich, Sołowjew: *Ist. Rossii*, t. XI, st. 446—99. MS senatus consilia 1658—1668 bibl. Czartor. nr. 401 zawiera notę z obozu pod Toruniem 12, XI, 1658, opiewającą, że Jan Kazimierz dla przyspieszenia pokoju z carem zlecił komisarzom, aby ustąpili Suoleńsku na wieczne czasy, a kraj po rz. Iwatę do koronacyi, pro certitudine coronationis z zastrzeżeniem, „żeby possessia nasza tam była“, str. 159. Poseł cesarski, Lisola, donosił pod d. 23, III, 1657, że Polacy ofiarują następstwo i Habsburgom, i carowi (Pribram: *Die Berichte des K. Gesandten Franz v. Lisola in Archiv. f. Österr. Gesch.* LXX, s. 252—253). Arcyksiążę miał swój obiór zapewniony formalnym dyplomem, który został unieważniony dopiero w 1683 r. traktatem przymierza z cesarzem Leopoldem I przed wyprawą wiedeńską (Dogiel: *Codex Diplom. I.* s. 340).

¹⁾ Zamieszczony w *Catalogus Comitiorum Braunii (De juriis regnandi fundamentalium in Regno Poloniae ratione et praxi moderna. Coloniae 1722)* sejm 1656 w Tyszowcach zbrany był tylko zgromadzeniem delegatów z kilku województw dla zawiazania konfederacyi.

²⁾ Liczne pisma urzędowe z kancelaryi królowej, znajdujące się w każdym większym księgozbiornie, noszą podpis własnoręczny: „Ludowika Maria królowa“ czasem tylko: „Ludowika.“ W listach francuskich widzimy zawsze: „Louise Marie“, albo „Louise.“ Morsztyn w Prologu do Cida woła: „Żyj Kazimierzu! Żyj Ludowika!“

kojnej ambicyi od lat młodych najprzód we Francyi. Żeby cały spadek po ojcu posiąść, oddała obie młodsze siostry do klasztoru, lecz z nich jedna tylko została zakonnicą; druga zaś, doszedłszy do pełnoletności, wyszła za mąż najpierw za Henryka Gwizyusza (awanturnika, tytularnego arcybiskupa Rheims) potem za księcia Rzeszy Niemieckiej, Edwarda Palatyna. Mimo to, Ludwika Marya rządziła sama księstwem. Pałac jej, w pobliżu Luwru położony, nabrał znaczenia politycznego podczas małoletności Ludwika XIV, jako jedno z ognisk „intrygi pyszałków“ (cabale des importants) i budził obawę w umyśle Mazariniego. Obawa ta zwiększyła się, gdy Ludwika Marya zawiązała stosunek serdeczny z młodym zwycięcą z pod Rocroi, Kondeuszem, pierwszym po Orleanczyku księciem domu królewskiego. Rozerwanie związku obojga ambitnych osób stało się dla Mazariniego pobudką do swatania Ludwiki Maryi za króla polskiego. Jakoż nastąpiły zaślubiny per procuram d. 5 listopada 1645 r. w Paryżu. Władysław IV, niemłody, chory, nadmiernie otyły, nie mógł obdarzyć małżonki szczęściem rodzinnem, a nawet źle ją przyjął, dowiedziawszy się o jej romantycznych przygodach z królewiczem Gastonem Orleańskim, z margr. de Gesvres, z Cinq-Marsem, który podobno dla poślubienia jej wdał się w fatalny dla siebie spisek, wreszcie z d'Anguieniem, czyli „Wielkim Kondeuszem“¹⁾. Trzeba było wdania się pani ambasadorowej

(wyd Lewentala. 1883. str. 313) Książę d'Aumale w swojej Histoire des princes de Condé (Paris, Calman Lévy, t. V, str. 22) powiada, że we Francyi nazywano ją „M-lle Marie“, albo „M-lle de Nevers“, lecz panowała pod imieniem Ludwiki (Louise), ponieważ małżonek jej (Władysław IV) żądał, aby zaniechała imienia Maryi przez uszanowanie dla Najświętszej Panny. Wiadomość ta pochodzi z Lettre de Roncali 12, VII, 1645 A. C. str. 26. Kochowski wszędzie nazywa ją „Ludovica Maria“, albo „Ludovica“; raz tylko w opisie pogrzebu przytacza ułożone przez jakiegoś poetę Epicedium condito ex literis Maria Ludovica anagrammate Ira Claudio Vitam adscripto disticho:

Iratos orat, Maria Ludovica Polonos

Ira tibi claudio, iam moriendo viam (Climacter III, p 283).

¹⁾ Stosunki te oświetlił dokumentami z archiwum familijnego Kondeuszów książę Henryk d'Aumale najprzód w Revue des deux Mondes 15. II. 1882, str. 734 (artykuł Le duc d'Anguien et les dames): „sans rien ajouter sur les folies de Cinq-Mars, mais certains chroniqueurs jugèrent avec moins d'indulgence ses relations avec le duc d'Anguien.“ Wyrażenia te złagodził wszakże w później wydanym V tomie Hist des princes de Condé str. 21—28: „N'était elle pas pour beaucoup dans des folles entreprises de Cinq-Mars? On l'affirmait Sans rien ajouter de fâcheux pour sa réputation, mais certains chroniqueurs jugèrent avec moins d'indulgence ses relations avec le duc d'Anguien.“ Powiadano, że z tego związku urodziła się Marya Kazimiera de Lagrange d'Arquien, lecz to nie było prawdą. Niewiarogodną też wydaje mi się wiadomość Salvandego (Hist de Pologne avant et pendant le regne de Jean Sobieski, 1824, I, s. 188), że Ludwika Marya poczuwała się do wdzięczności względem matki Kondeusza za doznaną od niej protekcję do królowej-regentki Anny.

marszałkowej de Guébriant, żeby nakłonić Jego Królewską Mość do zadosyćuczynienia ostatecznemu warunkowi związku małżeńskiego 8 kwietnia 1646 r. Więc Ludwika Marya politykowała znowu, a chociaż nie mogła zdobyć w sprawach rządowych żadnego udziału, potrafiła jednak przez rozdawnictwo pieniędzy, dóbr, a czasem i urzędów wytworzyć sobie taką gromadkę stronników, że odegrała pewną rolę w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV i przygotowała dla siebie powtórny związek małżeński z nowo obranym królem, Janem Kazimierzem, zawarty d. 1 marca 1649 r. Nie omieszkała poddać umowy ślubnej pod zatwierdzenie młodocianego Ludwika XIV i wyjednać sobie zapewnienie „wszelkich praw, przysługujących Francuzom, prawdziwym krajowcom i poddanym króla arcy-chrześcijańskiego bez żadnej ekscypcy i wyjątku“ ¹⁾. „Ten drugi małżonek dochodził też do końca piątego krzyżyka; miał † twarz szpetną, ale postawę dumną i dość okazałą, umysł ociężały, niewykształcony i bezładny, charakter bardzo niestały i przytem uporczywy, do miłostek pochopny, ale dla Ludwika Maryi wcale dogodny. O serce jego nie była zazdrosną: poprzestawała na wyzyskiwaniu jego stanowiska i podpisów przy operacyach swoich politycznych, które z każdym rokiem coraz bardziej rozszerzała. Staczała z nim czasami sprzeczki, ale przeważnie działała przez otoczenie. Skompletowawszy personel dworski ze swoich kreatur, zapobiegała wpływom postronnym i wszystko tak urządziła, żeby jej żądania wciskały się nieustannie do uszu królewskich. Przy lenistwie umysłowem Jan Kazimierz przyznawał zwykle słuszość temu, kto mówił ostatni ²⁾.

Rok 1665 był okropny dla kobiety ambitnej. Znalazła się na wygnaniu; ujrzała się pozbawioną tronu. W tem nieszczęściu otrzymała niespodzianie 100,000 liwrów od siostry swojej, palatynowej Anny, przy liście serdecznym ³⁾. Musiała uczuć silne wzruszenie, przypomniawszy sobie własną względem niej winę. Odtąd pragnęła wywdzięczyć się jej przygotowaniem świetnego zamążpójścia dla córek. Najprzód nasunęła się na myśl kombinacya dziwna, bo z całą jej przeszłością nie zgodna: wydać najstarszą siostrzenicę, Annę, za arcyksięcia

¹⁾ Portofolio kr. Maryi Ludwiki, wyd. przez E. hr. Raczyńskiego, 1844, Poznań, str. 42. Ratyfikacya datowana w Compiègne d. 6 sierpnia 1649.

²⁾ Wcale trafną i ze źródłami zgodną jest charakterystyka Jana Kazimierza, skreślona przez Wiktora Czermarka w Kwartal. Histor. 1889, str. 1—27. Mniej udatną wydaje się nam przeróbka w książce pod t. „Z czasów Jana Kazimierza studia historyczne“, Lwów, 1873, str. 1—57.

³⁾ Bossuet: Oraisons funèbres... d'Anne de Gonzague 9, VIII, 1685, édition stéécotype, 1815, Firmin Didot. Paris, str. 148.

austryackiego Karola Józefa, członka domu Habsburgów, tak nienawistnego królom francuskim. Ale w owym czasie cesarz był sprzymierzeńcem Polski przeciwko Szwedowi i posiłkował ją znacznym korpusem wojska, Francya zaś utrzymywała dawne swe przymierze ze Szwecyą. Ludwika Marya przedewszystkiem chciała pozostać królową; więc kierowała się pobudką elementarnego egoizmu, którą wypowiedziała sama bez ogródek w takich wyrazach: „Nie włada mną miłość narodowości; gdyby dopomogli mi Francuzi, kochała-bym ich, lecz ponieważ są przyjaciolmi Szwedów, więc jestem ich nieprzyjaciółką.“ Zapewniała przytem, że nie wejdzie w żadne układy z postem francuskim ¹⁾.

W istocie poseł de Lumbres, dowiedziawszy się o poczynionych w Wiedniu obietnicach popierania elekcyi jednego z arcyksiążąt, nie mógł dobać się rzeczywistych zamiarów Ludwika Maryi: nie dowiedział się od niej wcale o natarczywej agitacyi pomiędzy senatorami w Częstochowie na rzecz arcyksięcia; nasłuchiwał się tylko obłudnych zaprzeczeń lub zapewnień; doniósł jednak Mazariniemu, że zachodzi niebezpieczeństwo osadzenia na tronie polskim albo Austryaka, albo Moskwicina. Wtedy Mazarini zrobił zwrot mistrzowski w dyplomacyi swojej. W październiku 1657 r. zaproponował Ludwice Maryi na męża dla jej siostrzenicy księcia Anguien lub innego ze sprzymierzonych z Francją domów. Skutek był doraźny: de Lumbres d. 10 listopada mógł raportować, że królowa po razy kilka zapewniała go o swej gotowości popierania elekcyi księcia francuskiego ²⁾. Wysłańcy jej, sekretarz królewski Fantoni i kanonik krakowski Wojeński, pojechali: pierwszy do Paryża, drugi do Kondeusza, przebywającego wówczas w Brukselli u Hiszpanów ³⁾. Złożyli zapewne doniesienia zadawalnijące.

Przez parę lat wszakże sprawa nie mogła się wyjaśnić z powodu rozlicznych zawikłań. Wahał się Mazarini, bo nie mógł udzielić urzędowego poparcia Kondeuszowi, który wyrokiem sądowym parlamentu paryskiego był ogłoszony za zdrajcę swego króla i kraju, jako wódz

¹⁾ La passion de la nation ne me domine pas. Si les Français m'avaient secouru, je les aimerais; mais étant amis des Suédois, je suis leurs ennemi—w liście z d. 24, IV, 1657, do posłującego w Wiedniu podskarbiego, Bogusława Leszczyńskiego (Waliszewski: Polsko-francuskie stosunki 1889, Akta, LXXVIII, str. 227).

²⁾ Raporty z d. 4, VI, 1657, tamże, LXXIX, str. 227 i z d. 10, XI, LXXXVI, str. 230, porównać raport Lisoli z d. 18, III, 1657, wyd. Pribrama w Arch. f. österr. geschich. LXX, str. 387. Farges: Recueil des instructions données aux ambassadeurs et ministres 1648—1789 Pologne, str. 24.

³⁾ A (ndrzej) O (lszowski): Censura Candidatorum sceptri polonici E. 2.

wojsk hiszpańskich, zmazany w wielu bitwach krwią swoich rodaków. Była więc w depešach mowa o jego siostrzeńcu, księciu de Longueville. Ludwika Marya rozumowała w tej kwestyi z temperamentem iście politycznym. Zapytywała: kogoż kardynał wyznacza, zastrzegając tylko ze swej strony, że chciała-by mieć księcia młodego, który-by jej siostrzenicę zaślubił ¹⁾. Ma też i ona przed sobą zadanie trudne: odciągnąć od Austrii męża swojego, Jana Kazimierza, którego wiąże z domem cesarskim węzły krwi, bo matka jego była Austryjczką. Przytem Lisola, poseł cesarski, a zagorzały wróg Francuzów, wystąpił z propozycją Leopolda lub innego arcyksięcia dla palatynówny. Królowa nie okazała wcale niechęci; obawiała się tylko, że mogła-by osiąść na koszu, jeśli by Polacy porozumieli się bez jej pośrednictwa z Austrią ²⁾. Więc gdy Jerzy Lubomirski w Gdańsku złożył naradę z ministrami w grudniu 1658 co do elekcyi, roztrząsano różne kandydatury z całego świata: arcyksięcia, elektora bawarskiego, jakiegoś księcia florenckiego, księcia Jorku Jakóba Stuarta, późniejszego króla angielskiego, Longueville'a i księcia d'Anguien, lecz przeciwko ostatniemu wysuwano zarzut, że jest synem buntownika, a Ludwika Marya proponowała tylko wyłączenie arcyksięcia Leopolda z powodu, że jest za stary dla jej siostrzenicy ³⁾. Główna działalność jej była wtedy skierowaną ku nadaniu Francyi niezasłużonych praw pośrednika przy układach mocarstw wojujących; jakoż zdobyła dla ambasadora de Lumbres a prezydencję na kongresie Oliwskim.

Nareszcie wypogodził się horyzont polityczny nad całą Europą: Francya zakończyła wojnę hiszpańską traktatem pyreńskim i Kondusz na klęczkach przeprosił Ludwika XIV w Aix (1659); Polska uwolniła się od wojny szwedzkiej i od wszystkich swych wrogów, oprócz cara moskiewskiego, traktatem oliwskim (podpisanym d. 3 maja 1660 r.). Teraz dopiero Ludwika Marya zajmie się wyłącznie sprawą elekcyi, czy sukcesyi księcia francuskiego. W grudniu rząd francuski

¹⁾ Raport z d. 20, IV, 1658, u Waliszewskiego XCIII, str. 234.

²⁾ Raport z d. 20, IV, 1658, tamże XCIV, str. 234 cfr. Pribram: Die Berichte von Lisola etc. z d. 10 i 18 marca, 1658, str. 384, 387; jeszcze 24 maja 1659 r. Ludwika Marya nonnullis etiam proponi curavit personam archiducis Caroli, seque, si e re videretur, non fore alienam (tamże str. 599).

³⁾ Raport de Lumbres'a z d. 7, XII, 1659, u Waliszewskiego XCVI, str. 235. Mazarini też proponował wtedy d. 26, II, 1659 księcia neoburskiego, albo jakiegoś brata księcia Modeny (Tamże XCVII, str. 236). Powodem narady gdańskiej było zawiadomienie o złym stanie zdrowia Jana Kazimierza, złożone przez przybocznego lekarza królewskiego, oczywiście za sprawą królowej. Lubomirski przyznaje, że chętnie radził wtedy „o sposobie zgodnej elekcyi“ a nawet, że propozycya królowej „osobliwie go do niej przywiązała.“ (Manifest jawnej niewinności, str. 18).

powziął decyzję stanowczą: zalecić księcia Anguien. Więc książę ten, oraz ojciec jego, Kondeusz, otrzymali od Ludwika XIV pozwolenie „mieć i utrzymywać stosunki w Polsce wedle rad i propozycji królowej polskiej w sprawie odziedzczenia (succession) korony polskiej“¹⁾, ambasador de Lumbres otrzymał pełnomocnictwo królewskie do uczynienia formalnej propozycji Janowi Kazimierzowi i stanom, oraz 200,000 talarów (écus) na kosztą agitacji; z tych 10,000 mogły być użyte na wybicie medali, które, wedle życzenia Ludwiki Maryi, miały być rozdawane jej stronnikom, jako znak rozpoznawczy do porozumienia się. Z czasem odznaczyli się też „elektorowie kondeuszowscy“ barwą: czarnymi kontuszami i zielonemi żupanami przy długich czuprynach, „niemal jak dragoni włosy noszą.“ Tym sposobem stronnictwo przybierało cechę jakiegoś spisku, sprzysiężenia. Bo też królowa polska już przed d. 11 grudnia 1660 r. sporządziła dwa dokumenty: na jednym podpisali się, prymas, ministrowie, hetmani i wielu znacznych senatorów, zobowiązując się do zgodnego mianowania następcą tronu tego kandydata, który zaślubi jej siostrzenicę; drugi był podany do podpisu tylko najzaufańszym, a zawierał zobowiązanie do mianowania księcia Anguien, z wyłączeniem domu austriackiego²⁾.

Dla kogo i przeciw komu służyć miało to sprzysiężenie, bo dowiedzmy się odrazu, że podpisy nie będą wystarczały, lecz będą żądane przysięgi przed Najśw. Sakramentem w kościele?

Autentyczne dokumenty tej sprawy, mianowicie zobowiązania jej uczestników, zostały spalone przez Jana Kazimierza w gabinecie³⁾. Chodziło tu nasamprzód o rozwiązanie umów z rządem francuskim przy zmianie sytuacji politycznej, a potem i o zagrzebanie całej intrygi w tajemnicy wiekustej. Ten ostatni cel wszakże został chybiony. My dziś, rozporządzając rozleglejszą wiedzą i dwuwiekowym doświadczeniem, mając odsłonione sekrety i zamiary wszystkich dworów owoczesnych, rozczytując się w raportach posłów cudzoziemskich i w zwie-

1) Upoważnienie z d. 30, XII, 1660, u Waliszewskiego nr. CIII, str. 239.

2) Pełnomocnictwo z d. 30, XII, 1660, u Waliszewskiego CIV, str. 239, instrukcja z d. 20, XII, tamże CVI, str. 241, raport o rewersach z d. 11, XII, tamże CV, str. 240. Źródło: Pamięt. wyd. Żegota Pauli, Kraków. 1858, str. 77.

3) Bonzy do Lionne'a d. 27, I, 1668. Wtedy spalone były w komnacie Ludwiki Maryi przez Jana Kazimierza w obecności kanclerza, marszałka izby poselskiej kilku senatorów obu stronnictw, niektóre pisma „powszechnie znane“, dotyczące elekcji księcia Anguien, ale później miały być spalone najtajniejsze z tych pism w obecności tych tylko, których osobiście dotyczyły. Jakoż spalenie nastąpiło, świadczy o tem list Jana Sobieskiego do żony z d. 2, IX, 1668, u Helcla nr. 129, str. 152.

zeniach Polaków różnego stanowiska, możemy określić wszystkie czyny tego pokolenia z dostateczną dokładnością i ścisłością. Areopag, złożony z historyków europejskich XIX wieku, dostarczył już tylu wyjaśnień, że cała ta sprawa „elekcyi“ za życia Jana Kazimierza może być wytłómaczoną aż do pierwotnych pobudek i do ostatnich rezultatów.

Dziś więc nie jest już tajemnicą ów cel, dla którego Francya podjęła trudy dyplomatyczne i znaczne koszta pieniężne na elekcyę w Polsce. Mazarini określił go wyraźnie: „wziąć cesarstwo w kleszcze pomiędzy Francyę i Polskę, jak poprzednio Francya tkwiła pomiędzy cesarstwem a Hiszpanią“ ¹⁾. W kilka miesięcy później Ludwik XIV, objawszy rządy samowładne po śmierci Mazariniego, przejął i popierać dalej postanowił tę sprawę. Sam on w pamiętnikach, przeznaczonych dla syna, wyłożywszy swoje pragnienia sławy, swoją dążność do uczynienia Francyi władczynią świata, rozwodzi się nad rywalizacją z cesarzem. „Nie zadawalniając się upokorzeniem próżności jego (przez uszczuplenie tytułów), pracowałem, aby coraz bardziej rujnować jego kredyt i zupełnie zniszczyć tę supremacyę w Niemczech, jaką dom austriacki ustalił tam od dwóch wieków.“ „Kazałem dostarczyć znacznej sumy królowi polskiemu, żeby dać mu środki do podtrzymania wojny ze zbuntowanymi jego poddanymi i kazałem wypłacać pensye wielu z najmożniejszej szlachty tamecznej, aby ułatwić wykonanie planów, jakie powziąłem co do tego królestwa.“ „Sądziłem, że należy to uczynić w tym czasie szczególnie, kiedy nie miałem większych zatrudnień i kiedy mi robiono nadzieję, że niedługo korona ta dostanie się w ręce jednego z książąt mojego domu“ ²⁾. Jest to gra, wielce podobna do tej, jaką nieco później prowadził w Anglii z Karolem II Stuartem; tam jednak opłacał się jeszcze grubszeni sumami. Minister spraw zagranicznych, de Lionne, pisze w tonie dużo gorętszym, powtarzając zresztą wyraźny rozkaz: „król (Ludwik XIV) rozumie w zupełności ważne znaczenie tej sprawy, pragnie zaś tak namiętnie pomyślnego jej załatwienia, widząc w niej uwikłany swój interes, a nawet honor, że uczyni wszystko, co tylko jest w jego mocy“ ¹⁾. Dla posłów i agentów francuskich wystarczała taka wskazów-

¹⁾ Instrukcyja ambasadorowi de Lumbres z d. 20, IX, 1660, u Farges'a op. cit, str. 32.

²⁾ Mémoires de Louis XIV écrits par lui-même, composés pour le grand dauphin publiés par J. L. M. d. Gain-Montagnac I partie, Paris. Garnery, 1806, str. 27, 74, 159.

³⁾ Depesza Lionne'a do Lumbres'a z d. 3, VI, 1661, u Waliszewskiego CXII, str. 243.

ka do najgorliwszych i najsmielszych usiłowań służbowych ku dogodzeniu zamiarom pana. Zresztą otrzymywali oni z rozwojem akcji coraz bardziej stanowcze zalecenia aż do d. 18 lipca 1667 r.

Po stronie polskiej nie mogło być takiej jednolitości działania i celów. Pomińmy na teraz wikłaninę egoistycznych popędów, sprzęgających i rozprzegających sprzysiężoną fakcyę Ludwika Maryi. Weźmy pod uwagę odrazu to hasło, z jakim wystąpiła jawnie przed sejmem, a więc przed narodem. Znajdziemy je w mowie Jana Kazimierza z d. 6 czerwca 1661 r., przytaczanej przez historyków naszych z jednomyślnem prawie uwielbieniem ¹⁾.

„Konsyderując ja tedy, iż to już od dwóchset lat z linii macierzystej, a do siedmudziesiąt z ojczystej, dom mój wolnemi Waszmościów głosami na tym tronie jest posadzony; zem i sam w tej ojezyźnie zrodzony, wychowany i od WMościów obrany panuję, życzyłem sobie ten pomnik wdzięczności w umysłach waszych zostawić, żeby dobrodziejstw wzajem, i miłości domu mojego, i mojej pamiątka zaraz ze mną nie wygasła; żeby ja mógł i po śmierci mojej, na wdzięczne wspomnienie zasłużywszy, w sercach WMościów trwać, przywiódłszy WMościów przez zachęcenie i zezwolenie moje do wolnej elekcji, która tylko za żywota mojego przedsięwzięta, istotnie wolną być może... Nie potrzeba WMościom wywodzić, co wszystkim wiadomo, jakie są korzyści elekcji, a jakie niebezpieczeństwa bezkrólewia. To tylko przypomnę że lubo Rzeczpospolita nieraz szczęśliwie dotąd bezkrólewia przebywała, teraz jednak z pewnością runąć-by musiała. W dawnych bowiem czasach większa była prostota i szczerłość, i miłość sprawiedliwości w przodkach naszych; nie znaliśmy się na interesach i względach panów cudzoziemskich, a dopiero na fakcyach. Oni też nie przejrżeli bogactw naszych, przyjaźń naszą lekceważyli. Na ten czas wojsk żadnych zaciągowych nie było; o borgowej służbie i z niej idącej konfederacyi nigdy nie słychano; nie było niebezpieczeństwa, żeby jedna strona drugiej przemocą wpychała na tron pana; a lubo-by to bywało, nie trzeba się było bać, żeby nas sąsiedzi między siebie rozerwali

¹⁾ Mowę tę po łacinie znajdujemy w dość zgołnych, lubo nie jednobrzmiących tekstach, u Rykaczewskiego: *Relacye nuncyuszów w Polsce*, 1864, t. II, str. 305 i 308 (podług MS. biblioteki Barberinich, 3003) i u Kochowskiego (*Climacter II*, str. 506—509, wyd. 1683); po polsku podał ją Ostrowski-Danejkwicz w *Swadzie I*, str. 219 oraz tłumacz Kochowskiego w wyd. Raczyńskiego „*Historji Jana Kazimierza*“, 1859, II, 115. Walewski w swojej „*Historji wyzwolonej Rzeczpltej*“, t. II, str. 272 tłumaczył podług tekstu nuncyusza, ale ze znacznemi skróceniami. Wybieram z polskich tekstów najobfitsze, najdokładniejsze wyrażenia, biorąc za podstawę tekst Swady i zastępując makaronizmy polszczyzną.

Obecnie, niestety! (o gdybym był fałszywym prorokiem!) wszystkie te nieszczęścia zagrażają z coraz większą pewnością i obawiać się należy, iż bez takiej elekcji stanie się Rzplta łupem okolicznych narodów. Moskwa i Ruś odwołają się do ludów jednego z nimi języka i Litwę dla siebie przeznaczają; granice Wielkopolski staną otworem dla Brandenburczyka, a przypuszczać należy, iż o całe Prusy certować zechce, czy przez ugodę ze Szwedami, czy przez wojnę na własnym teatrze; wreszcie dom austriacki, spoglądający łakomie na Kraków,¹⁾ nie opuści dogodnej dla siebie sposobności i przy powszechnem rozrywaniu państwa nie wstrzyma się od zaboru... A kto nam zaręczy, że i same wojska nasze albo działów sobie osobnych nie uczynią, albo się z potęgą najezdniczą nie połączą? Przybył Rzpltej nowy jakoby naród, kozacy, którzy za mego żywota żadnego do obrad publicznych nie mają przystępu, ale podczas zamieszania w bezkrólewiu wszystkiego sobie pozwolą“.

My dziś stwierdzić możemy, iż elekcya po śmierci Jana Kazimierza, jako ostatniego potomka dynastyi, musiałabyć i była groźna dla państwa z powodu swej wadliwej organizacyi. Jeśli nie zawsze godni wybrańcy wychodzili z conclave kardynałów, z weneckiej rady, z niemieckiego kolegium elektorów; to w Rzeczypospolitej szlacheckiej uzdolniony do urzędu królewskiego kandydat mógł wyjść z elekcji tylko szczęśliwym przypadkiem, cudem, czyli, jak mniemano powszechnie, natchnieniem Ducha Świętego. Obdarzony ogromnym talentem politycznym Zygmunt August nie zdołał przeprowadzić ustawy elekcyjnej, ani w r. 1558, ani w 1569²⁾; po jego śmierci padło na rzesze szlacheckie z ust młodego podówczas Zamoyskiego niebaczne słówko: „viritim“ i potem już w ciągu stulecia nie znalazł się ani jeden mąż stanu, ani jeden polityk teoretyczny, któryby temu „viritim“ obmyślił formy i warunki organiczne — takie np. jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nic dziwnego tedy, że Jan Kazimierz, „natężając umysł“ (słaby i nieukształcony), nie znalazł skuteczniejszego sposobu nad elekcję przedśmiertną. Sądzimy przytem, że wielu Polaków ówczesnych mogło również widzieć w takiej elekcji pożyteczny dla ojczyzny i jedyny środek zaradzenia hazardom i klęskom bezkrólewia. Ta strona projektu pozyskać mogła sympatyje ludzi uczciwych i pa-

¹⁾ W wydaniu Raczyńskiego: na Województwo Krakowskie, na ziemię Wielką i Księstwo Siewierskie.

²⁾ Porównaj T. Korzon: „Historia Nowożytna“ Kraków 1889, t. I str. 242, 344 na podstawie dyaryuszów sejmowych, wydanych przez księcia T. Lubomirskiego Działyńskiego i Kojalowicza „Dziennik Lublińskiego Sejmu“.

tryotów szczerych. ¹⁾ Ludwika Marya odzywała się wtedy do stronników swoich w imię zwykłej „czułości ku podniesieniu Ojczyzny“, przekonywała ich, że „tym jedynie sposobem Rzeczpospolita dźwignąć się może“ ²⁾).

Atoli drugi ustęp mowy, w którym król występował jako prorok późniejszych rozbiorów Polski, musiał brzmieć fałszywie na świetnym, niezwykle licznym sejmie 1661 r., kiedy się odbyło tryumfalne rzućenie przed tronem chorągwi, zdobytych na nieprzyjacielu ³⁾. Składali je Lubomirski, Czarniecki, Sapieha po świeżych zwycięstwach nad Moskwą i kozakami, a już poprzednio, przed 1660 rokiem, wodzowie ci na czele dzielnego rycerstwa pokonali i Szwedów, i Brandenburczyka Fryderyka Wilhelma, i Rakoczego, t. j. wszystkich zdobywców, którzy Polskę rozszarpać sprobowali. Wszak nie było przesady w prologu poety Morsztyna do przetłómaczonej z francuskiego (Corneille'a) „komedyi hiszpańskiej, Cid albo Roderik“, wystawionej w zamku warszawskim podczas tegoż sejmu, gdy „persona Wisły“ śpiewała na scenie:

Jam też pilno śpieszyła,
Żeby tu na czas była
Upaść do nóg z swą danią
Przed mym panem i panią...

¹⁾ Stwierdza to Jerzy Lubomirski: Jawnej niewinności Manifest: 1666 str. 17—18.

²⁾ Patryotyczna stylizacya owoczesnych odez w Ludwika Maryi okazuje się np. z listu do Grzymułtowskiego d. 6/XII 1660 Kraków w Ms. bibl. Czartor. nr. 3467 str. 207 (oryginał).

³⁾ Dwie „tryumfalne, solenne kawalkaty“ hetmana Czarnieckiego, na ten czas wojewody ruskiego, odbyły się w niedzielę i poniedziałek 12 i 13 czerwca. Prowadzono kilkuset jeńców moskiewskich, pomiędzy którymi znajdowali się urzędnicy carscy, bojarowie dumy, wojewoda nowogrodzki Goleniszczew z żoną i dziećmi, książ Kozłowski, zwany hetmanem polnym Moskiewskim. Na zamku w izbie sejmowej rzućono przed królem jednego dnia 137, drugiego 190 kilka zdobytych sztandarów. We czwartek d. 16 czerwca, w święto Bożego Ciała rzućono je pod nogi postępującemu z Przenajświętszym Sakramentem biskupowi krakowskiemu, potem na rozkaz króla podniesiono i umieszczono w kościele nowomiejskim (Merkuryusz Polski 1661 r. nr. XXXV, XXXVI) ekstraordynaryjny z d. 17 czerwca; z pewnością opuszczeniami powtórzył całą opowieść L. Jenike w monografii p. t. Stefan Czarniecki, Warszawa 1891 str. 99—101. Sejm ten ściągnął do Warszawy tak wielką liczbę przybyszów, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali (Kochowski Clim. II, 500) „Wspaniałością, ozdobą i konkursem mnóstwa wielkiego ludzi każdemu jest podziwieniem, a oraz argumentem zacności i możności tej Korony, która po tak wielu ciężkich paroksyzmach z własnych ruin i popielisk eo augustius powstawa, im bardziej osądzoną była u świata“ (Merkuryusz l. cit.).

Oddaję mu pokłony
 Za bieg oswożony
 I za zdjęte okowy.
 U Torunią, Grudziądza, Malboga i Głowy...
 Widziałam się niedawno
 Tam, kędy w pruskie i inflandzkie brzegi
 Wlewają swoje biegi,
 Z siostrzyczkami mojami,
 Dźwiną, Niemnem, Wilią,
 Któreć, o królu, przez mię czołem biją.
 Widziałem, jako Dźwina
 Na swem odzieniu modrem
 Niosła z krwie Moskwicina
 Szatę, szkarłatem napojoną szczodrym.
 Wilia zaś i z Niemnem,
 Krzycząc głosem przyjemnym,
 Niosły pęta już zdjęte
 Prosto ku Neptunowi,
 Aby temu królowi
 Poddał się prędko, który wziął tak pilno
 Kowno i Wilno...¹⁾

Wśród takich widowisk i pieśni tryumfalnych, dla senatu, który składał się z prawdziwych wojewodów, dla izby poselskiej, w której zasiadało mnóstwo pancernych i husarzy, groźny obraz przyszłego bezkrólewia był nie jasnowidzeniem przyszłości, lecz nieudatnem i uwłaczającym określeniem zamachu, już odpartego siedmioletnim bohater-skim bojem. Słuchacze Jana Kazimierza dotknięci byli chorobą umysłową, ale serca mieli mężne i prawice silne. Groźbę rozbiorów mogli oni odpychać z oburzeniem, tem bardziej, że to była chwila najpomysłniejsza właśnie w ciągu tego nieszczęsnego panowania.

Jeszcze gorsze wrażenie zrobić musiał ustęp mowy, pozornie najserdeczniejszy: „Bogiem się świadczę, że nie powoduje mną żadna namiętność i żaden wzgląd osobisty ani na krew, ani na łaski, ani na korzyści... że wolności naszej uszczerbku nie pragnę i nie zamierzam; owszem, jestem sumiennie przekonany, że swobód tych niczem silniej, tylko elekcyą, za życia mego uchwaloną, utwierdzić nie zdołam.

¹⁾ Morsztyn: Poezye oryg. i tłómaczone; pierwsze wydanie zbiorowe P. Chmielowskiego 1883. Lewental w Warszawie str. 311—312.

I aby was tem więcej ubezpieczyć, ślubuję z mojej strony uroczyscie, że się do tej elekcyi mieszać nie będę, zupełną wolność wyboru wam zostawię i tego potwierdzę, kogo najpierw Najwyższy, a następnie lud obierający jednomyślnie głosami uznają być godnym tronu. Zastrzegam jedynie: żeby był z urodzenia katolikiem, z dawnego panującego rodu; nie był wassalem sąsiednich monarchów; nie był księciem świeżej kreacyi, albo takim, którego posiadłości zależne są od nieprzyjaznego chrześcianom monarchy, tudzież aby wojny tureckiej na Rzpltą nie ściągnął. Podobnież pragnę, aby kandydat znacznie ode mnie był młodszym, tudzież nie chciałbym, iżbyście sobie nadali pana, który z tem królestwem wojnę prowadził, ani syna takiego monarchy, któryby chciał orężem i przemocą tyrańską sobie koronę polską przywłaszczyć“.

Zastrzeżenia takie usuwały od kandydatury każdego Polaka, jako nie należącego do żadnej dynastyi; cara moskiewskiego i syna, bo wojnę prowadził; elektora brandenburskiego z potomstwem, bo nie był katolikiem, chociaż w tym czasie właśnie ofiarował Polsce nader korzystne za swój obiór warunki ¹⁾; szwedzki dom dla obu powyższych

¹⁾ Tajemną, własnoręcznie napisaną instrukcyę przez Fryderyka Wilhelma II dla Overbecka z d. 16/26. IV 1661 ogłosiło Historische Zeitschrift Sybel'a 1884. I Heft str. 62—64 z wyrażeniem radości, że instrukcyja ta nie urzeczywistniła się. Przytaczamy ją w wyciągu: Lieber Overbeck. Ewre relation hab ich mir vorlesen lassen, ihn (= in) welcher ihr den weitlenftigen discours, so mitt dem Chron Marschalck (= Lubomirski) gehalten berichtet, verspähre darauss desselben gutte affection so er gegen mich undt mein Haus treget. Der meinigen habt Ihr Ihme hindwider bestendig zu versichern, sonstn hab Ihr Ihme meine Interessen zu recommendiren... Das der Reichs Marschalck meiner bey zukünftiger Wahl gedenken wollen, deswegen bin ich Ihme zum hochsten obligir, das ich aber meine Religion desswegen verenderen undt nur zwey Messen horen undt darnach zu glauben, was ich wolte, solches hoffe ich werde nicht begeret werden, den wie kunnte Ich Ihnen tren sein, da ich meinem Gott nich treu were, undt umb ein Chron mein religion zu enderen wurde mir von der boshaften Weltt übell geduttet undt einen bossen nachklanck verursachen. Sonsten wan Gott mich hirzu berufen tette und ich in meiner Religion verbleiben kunnte, so halte ich dafür, das keiner sein wurde, der Chron Pollen mehre Avantage zubringen koute, den ich, Auf solchen fall erbitte ich mich erstlich die 400,000 Rxthl wegen Elbingen, undt dan die 120,000 Rxthl wegen Thraheib (=Drahim) der Chron zu überlassen; zum zweiten. wann dieses noch zu wenig Mein Preussen, wan meine Vetteren beligen wurden, wieder zu Lehn von der Chron Polen zu empfangen, iedoch musste die Appellation und Formb der Regirung in solchen stande verbleiben, wie es gegenwertig, und ich mich mitt meinen Stenden dessfals verglichen hette. Ja Ich kann in Zeit der Nott der Chron mittein 10,000 Mann zum Wenngsten zu Hulfte kommen, auss meinen anderen Churlanden. Ich wurde nich allein auf die freiheit der Chron sehen, sonderen Ihnen noch mehre privilegia undt freiheiten geben... Das Ich als ein Tirann vom bossen Leuten, der seine Unterthanen ubell tractire, muss

przyczyn; arcyksięcia austriackiego i księcia neoburskiego, bo sąsiadnemu monarsze, cesarzowi, podlegali; Jakóba Stuarta, bo w owym czasie był jeszcze anglikaninem (jawnie bowiem przyjął katolicyzm dopiero w 1670 r.) i t. d. A więc „nieograniczona wolność wyboru“ zacieśniała się tylko do książąt dawnego panującego rodu Kapeta: Anguien'a, Kondeusza, Longueville'a, a może jeszcze księcia Modeny, o którym wspominał dawniej Mazarini. Kogo innego Jan Kazimierz nie zatwierdził-by, a zatwierdzenie to było niezbędnem wobec przysięgi, wykonanej przez naród na posłuszeństwo i wierność jemu jednemu. Przypomnienie tej przysięgi starczyło za wypowiedzenie wojny domowej wszystkim, którzy-by się ośmielili obrać następcę, nieodpowiadającego zastrzeżeniom.

Czyliż doprawdy miał Jan Kazimierz na myśli wojnę? Czy wyrzeczone przez niego słowa wdzięczności dla narodu, bezinteresowności swojej i poświęcenia dla ojczyzny były kłamstwem?

Dziś, patrząc w karty odkryte, możemy odpowiedzieć: Tak! Może nie wszystko wiedział i rozumiał, co się po-za jego plecami działo; może powtarzał automatycznie to, co mu do głowy nakładła Ludwika Marya, która teraz właśnie urządziła w sali sejmowej „ganek“, t. j. łożę na wprost tronu, i podczas mowy królewskiej otworzyła kratę dla przypatrywania się, albo raczej dla magnetyzowania mówcy wzrokiem swoim. Niech to pozostanie tajemnicą jego sumienia. Źródła zaś historyczne mówią, że poseł francuski w Sztokholmie zamawiał wysłanie korpusu szwedzkiego do Polski; że w regencyi szwedzkiej jedno stronnictwo spekulowało na rozterkach polskich, aby utrzymywać w Polsce 12 do 16 tysięcy wojska za francuskie pieniądze; że bawił w Warszawie ze stosownymi propozycjami poseł szwedzki, Bielke, i pierwsze posłuchanie u „Królestwa Imci“ miał d. 31 maja; że odpowiedni traktat francusko-szwedzki zawarty z nimi został w Fontaineblau (19, IX 1661 r.) z obietnicą 1,600,000 talarów na subsydyja za 6 lat; że minister spraw zagranicznych Ludwika, de Lionne, pisał do ambasadora w Pol-

ausgerufen werden, solches gehet mir sehr zu hertzen... Ich auss dem selbigen hause, da der itzige König von Pollen aus entsprossen ist, herkomme, undt des halben ich billig für einen frembden fürziechen were, ia auch das Vertrauen der Pollen, von der Nation ieg entsprossen, groser als vielleicht einigen anderen sein wirdt. Die Königin zu befridigen, so kundte eine heiradt zwischen einen meiner Sohne und Ihrer Niesse getroffen werden, dadurch erhielte Sie das jenige, so sie suchte“. Zaleca się ściśle tajemnica i wskazany do korespondencyi w tym przedmiocie adres sekretarzy: Menarts lub wan Heidekamp. W przypisku dodano jeszcze: Dion Lubomirsky hab Ich zu versichern das er der negste und beste freund bey mir aldan sein solte.

sce o użyciu „siły“; że Ludwika Marya rozpisywała się do siostry o swych projektach wojny z Austryą ¹⁾. Ta kobieta, przynajmniej, nie miała dla Polski nie tylko żadnego przywiązania, ale nawet uczucia litości, jeśli na stratowane pola, na spalone wioski ²⁾, na zrabowane i zrujnowane miasta chciała sprowadzić znowu wojska łupieżców.

Nie będziemy się teraz dziwili, że, mimo zebranych podpisów ³⁾, sejm odpowiedział na gorącą, łzami zroszoną, mowę Jana Kazimierza chłodnym milczeniem, a nazajutrz protestacją, przez usta Andrzeja Maksymiliana Fredry. Zrozumiał, o co tu chodzi, nie tylko bowiem przygotowany był do rozumienia przez uniwersały królewskie, wydane do sejmików, ale i przez agitację, jaka się roztoczyła przy obiorze posłów i układaniu instrukcyi dla nich.

Rezultat wystąpienia Jana Kazimierza da się wyrazić w dwóch faktach: a) marszałek nadworny, Andrzej Potocki, chorąży kor. Jan Sobieski, Jan Sapieha, Jakób Potocki i Stanisław Jabłonowski podpisali zbiorowo list do Kondeusza z oświadczeniem „wierności i stałego postanowienia działać dla sprawy, od której zależy ocalenie i zachowanie kraju“; podobne, lubo mniej wyraźne, napisali: prymas Leszczyński, kanclerz w. k. Mikołaj Prażmowski, Stanisław Rewera Potocki, hetman w. k. i wojewoda krakowski, Stefan Czarniecki, w-da kijowski, Jan Klemens Branicki, marsz. nadw.; b) Odmówił takiego pisma Lubomirski, marszałek w. hetman polny kor. i z tego powodu na radzie senatu

¹⁾ A. O.: Censura candidatorum, karta F. Merkuryusz Polski: 1661 nr. XXXI str. 235. Carlson: Geschichte Schwedens IV. 413—416. Farges: op. cit. mówi o traktacie tajemnym Ludwika XIV z Janem Kazimierzem z r. 1661 w przedmiocie przysłania mu armii szwedzkiej I, 80 na podstawie Memoires de M. Saint Pret i Archives des Affaires Etrang. Pologne Mém. VI f 56; de Lumbres zawiadamiał pod d. 30, VII 1661 o przyjeździe posła szwedzkiego Totta, z którym zaczęto układy o traktat formalny co do dostarczenia dużego korpusu kawaleryi Królowi polskiemu do dyspozycyi, a d. 10. II 1662 sam Ludwik XIV zawiadomił o podpisaniu dodatkowego artykułu, obowiązującego Szwedów dostarczyć 12,000 wojska na pierwsze wezwanie Jana Kazimierza. u Waliszewskiego CXXI i XXXVII str. 247—250. Depesza de Lionne'a do Lumbres'a z d. 3. VI 1661 r. u Waliszewskiego CXII str. 243 i wyciąg z listu Ludwika Maryi do siostry z d. 14. II 1660. tamże: CI I str. 238.

²⁾ Nie widzieć tylko doły i pogorzeliska.

Żeśmy dymem prześmierdli zdaleka i zbliska. (Wacława Potockiego: PoczciHerbów).

³⁾ Łoś: Pamiętn. wyd. Ż. Pauli, Kraków 1858 str. 72: „Ta Megiera (Ludwika Marya) piekielna zdemontowała senatorów, urzędników i custodes legum, że, zapomniawszy świeżych konstytucyi, cisnęli się do podpisów na tę to elekeję tak dalece, że ich było więcej niż dwa arkusze pisanych.. Znalazł się jeden tylko wzór i przykład cnoty polskiej — Fredro“.

wyrażono wielkie obawy, a stronnictwo francuskie gotowało się do zerwania sejmu, co jednakże nie nastąpiło ¹⁾.

Najgorszym zapewne ze skutków porażki samego króla było zbudzenie sporu inter Majestatem et Libertatem. Fredro w mowie swojej wytlómaczył i niezgodność z prawami, i niebezpieczeństwa elekcyi przedśmiertnej. Po całym narodzie szlacheckim zaraz przebiegł dreszcz trwogi, żeby „sprawy nie pokawić, jak Węgrowie i Czechowie“, którzy z utratą wolnej elekcyi wolność i swobodę utracili. Nadto kandydat Francuz wywoływał w umysłach szlachty niesympatyczne wspomnienia o Henryku Walezyszu ²⁾.

Ludwika Marya nie uległa się. Odwagi jej nie brakowało. Wszak podczas bitwy pod Warszawą sama kazała wciągnąć dwie armaty na brzeg Wisły kołmi, wyprężonemi z własnej karety, i wyrzuciła je na Szwedów. Bitwy wprawdzie nie wygrała, ale strzelała przez rzekę. Dla czegożby więc nie miała stoczyć walki z obrońcami wolnej elekcyi? Rozpoczęła ją tedy z namiętną skwapliwością, z „furyą francuską“ i z bezwzględnością machiawelską. Gotowa była stawiać wszystko na kartę, bo kazała zapytać Ludwika XIV: czy w razie niepowodzenia da we Fracyi schronienie jej z małżonkiem Janem Kazimierzem ³⁾.

Najwięcej liczyła na wyprobowane już dwa działa: intrygę i, przekupstwo. Sama posiadała saliny w Bochni i starostwo, czyniące za dobrych czasów 800,000 złr. intraty ⁴⁾ Ułożyła dla Ludwika XIV suty kosztorys na 4,600,000 liwrow. Z tych 600,000 otrzymała już ambasada francuska przed d. 30 czerwca 1661 za pośrednictwem bankierów gdańskich; na obrobienie przyszłego sejmu (1662 r.) zażądała miliona franków i te miała obiecane pod warunkiem zwrotu, jeśli obiór księcia Anguien dokonany nie będzie; na rachunek 3-ch pozostałych milionów miała nastąpić wypłata 1,200,000, gdy książę, otrzymawszy nominację na następcę tronu, stanie na ziemi polskiej. ⁵⁾

Na kraj, wyniszczony wojnami, sumy takie byłyby deszczem złotym. Z powodu niewypłaconego żółdu skonfederowało się powtórnie

¹⁾ List zbiorowy z d. 26.VII 1661 u Walisz. CXX str. 247, oraz s. 94; raport de Lumbres'a z d. 8.VIII. tamże CXXII str 248.

²⁾ Kochowski w wyd. Raczyńskiego II str. 119, 60

³⁾ Raport Caillet'a do Kondeusza z d 2.XII 1661 u Walisz. CXXVI, str. 250.

⁴⁾ Tous les revenus de la reine montaient dans les bons temps à 800:000 livres de rente — pisze poseł francuski w r. 1665 (Tekę Lukasa XIII str. 398).

⁵⁾ De Lionne do Lumbres'a d. 30 VI 1661 (u Walisz. CXIII str. 243); przypomina zarazem, że przy rozpoczęciu sprawy była mowa tylko o 800,000 (écus): z których połowa miała być użytą na zapłacenie długu Rzpltej, zahypotekowanego na Elblągu, i zwróconą z czasem.

wojsko koronne, a potem i litewskie. Pozostawała w karchach karno-
ści tymczasowo tylko dywizya regimentarza Czarnieckiego.

Dla Polski były te konfederacye nowem nieszczęściem: niweczyły
skutek zeszlórocznych zwycięstw, ściągaly na lud poddańczy w do-
brach królewskich i duchownych kwaterunek chorągwi żołnierskich,
a na cały kraj ogromne straty pieniężne. W oczach Ludwika Maryi kon-
federacye takie miały być tylko narzędziem do zdobycia tronu dla fran-
cuskiego księcia. Jeszcze d. 11 lipca (1661) odbyła naradę z najza-
ufańszymi stronnikami swymi: Pacem, w-dą wileń., Stefanem Czarnie-
ckim, w-dą ruskim, Prażmowskim, kanclerzem w. kor., Andrzejem Po-
tockim, marszałkiem nadwornym, Trzebickim, b-pem krak., Leszczyń-
skim prymasem, co do środków poparcia sprawy. Obstawala przy
projekcie utworzenia nowej konfederacyi, która-by zawichrzyła skon-
federowane już wojska ¹⁾, i cierpko odrzuciła odradzające uwagi Lubo-
mirskiego, podkanclerzego, a nawet całkiem sfrancuziałego Morsztyna.
Bardzo liczyła na Czarnieckiego, którego demoralizowała już oddawna,
namawiała bowiem w r. 1657 do przyjęcia służby we Francyi i wypro-
siła mu uprzejme zaprosiny w imieniu króla Ludwika XIV z pensją
4000 reichstalarów rocznie. ²⁾ Obecnie dała mu 1200 liwrów dla niego
osobiście i 30,000 na korpus jego. Swoją drogą do wojska skonfede-
rowanego Jan Kazimierz miał wysłać komisarzy „niby dla przypro-
wadzenia do posłuszeństwa hetmanom, w istocie zaś dla podtrzymania
konfederacyi i pozyskania jej starszozny“. Wzywano księcia Anguien
z ojcem, aby przyjechał do Polski; obiecywano mu komendę wojsk
królewskich i szwedzkich, których się wciąż spodziewano. W ciągu
1661 wydano na przekupstwa 344,700 liwrów. ³⁾

¹⁾ Une nouvelle confédération, dont on mêlera les armées.-raport Caillet'a do
Kondeusza z d. 11, VI 1661 u Waliszewskiego CXV str. 244.

²⁾ Raport de Lumbres'a z d. 28, XII 1657 i list kardynała Mazariniego do sa-
mego Czarnieckiego z d. 25, I 1658, u Waliszewskiego LXXXVIII i XC str. 231 i 233.

³⁾ Waliszewski w Opowiadaniu; rachunek na 344.780 liwr. na str. 102 i 103;
raport de Lumbres'a z d. 8, VIII 1661 tamże w Źródłach CXXII i Caillet'a z d. 2, VII
1661 CXXVI str. 248—250. Jeszcze drastyczniejsze pomysły zawiera Skrypt ad Ar-
chivum 1661 dany ręką Ks. arcyb-pa gniezn., Wacława Leszczyńskiego, na sejmie Ks.
Michała Radziwiłła, natenczas podczaszego litewskiego, marszałka koła poselskiego.
Respons JM. PP. kanclerzów obudwu, wydrukowany przez Augusta Podgórskiego
(Pomniki Dziejów Polski w XVII w 1840, Wrocław): „Znamy się do tego. że
królowej Jmci P. N. Mił. winną naszą vovimus życzliwość i żeśmy całej Rzpltej
persuasione nostra mieli naklonić mentem, aby pro successore syn Ks. Jmci Condego
etiam viventi Principe.. od Rzpltej unaniami consensu był przyjęty. Jakoż widziała
królowa... starania naszego affekt, kiedy... major pars Korony Polskiej i Księstwa
Litewskiego, które i na terazniejszym sejmie unią raczej rwać z Koroną Polską,

I czyż nie dziwna, że Ludwika Marya nie lepszy osiągnęła rezultat w walce z narodem szlacheckim, jak w bitwie ze Szwedami pod Warszawą? Jest to jednak zwyczajna kolej przedsięwzięć, na korrupcyi politycznej opartych, na spodlenie natury ludzkiej obliczanych. Rycerstwo, które w tych bojach ojczyznę od wroga obroniło, czyż mogło zaprzedać ją za pieniądze? Więc związek koronny wojskowy oświadczył się wcale nie za księciem Anguien; przeciwnie, z rozwiniętymi chorągwiami ruszył z Piaseczna pod Warszawę, wykrzykując: „Precz z sukcesyą! Boże zachowaj Polskę!“¹⁾ Obradował wtedy w d. 20 lutego 1662 r. sejm walny extraordinaryjny. Tu poseł podolski, niejaki Telfus, przypomniawszy dawniejsze prawa o wolnej elekcyi, zażądał odnowienia ich i potwierdzenia przez nową konstytucyę. Daremne były wszystkie zabiegi dworaków i zawieszenie sessyi przez Jana Kazimierza: konstytucya p. t. „Reassumpcyja praw o wolnej elekcyi“ zapadła; wszystkie „jeśli jakie zaszły w tej materyi tranzakcyje i scripta z kimkolwiek i jakieżkolwiek tak w Koronie, jak w W. Ks. Lit.“ cofnięte, a ta wola Rzeczypospolitej do Księgi Praw wpisana.²⁾

Zdawałoby się, że sprawa elekcyi przedśmiertnej zamknęła się i zakończyła na długie lata, przynajmniej dopóki to pokolenie do grobu nie zstąpi. Jan Kazimierz mógł uspokoić się w sumieniu swoim, że uczynił więcej nawet, niż było wolno, dla przeprowadzenia reformy państwowej. Naród szlachecki lubo odrzucił „ofiara“, nie mógłby przecię zaprzeczyć jego miłości dla Rzeczypospolitej, a zapewne dzwignęłyby w duszach swoich „pomnik wdzięczności“. Nic więcej nie było do zrobienia, gdyby tak, jak niegdyś Zygmunt August, chciał ostatni z Wazów „prawem nie czem innem rozkazywać“.

niżeli słowa przezemnie przyrzczonego Jej Król. Mości nie dotrzymań deklarowała... Na upartych zaś mamy sposób, do którego nam podał drogę JP. de Lumbres z posłem szwedzkim, iż 24,000 wojska francuskiego do Prus możemy zamknąć, którego p. Korycki, generalny wszystkich fortec Pruskich gubernator, propter majorem securitatem żeby przyjął praesidia, postanowiliśmy... Zaś wojsko szwedzkie do Infant się zemknie i ztamtąd sub titulo concurrentionis armorum in succursum Księstwa Litewskiego do wojska litewskiego się zbliży, tamże z pomocą w-dy ruskiego i regimentów J. K. M-ści snadnie nachylone być może. A tak... z wojskiem szwedzkim Ichmość panów koronnych ad idem sentire wokować będziemy (str. 340—342). Nie ręczymy za autentyczność tego dokumentu; może to być pamflet polityczny nieznanego autora; lecz z pewnością jest wyrazem krążących podówczas wieści i intryg.

¹⁾ Salvandy op. cit. I, 206.

²⁾ Vol. Leg. IV fol. 831.

Ale Jan Kazimierz nie zatrzymał się przed prawem, przed własną przysięgą, wykonaną na *pacta conventa*, przed wyraźną wolą narodu. Wstąpił na drogę, wiodącą do zbrodni stanu. Czy pod działaniem uniesienia patriotycznego, lub jakiejś potężnej idei, albo jakiegoś usystematyzowanego w głowie programu reformy państwowej? Nie. Zaprzeczenie to stanie się aż nadto jasnym z dziejów późniejszego sześćoletnia, które się zaczyna od zezwolenia na ofiarę największą, jaką monarcha uczynić może — na ofiarę z korony. Ludwika Marya, której formalnym aktem z r. 1659 król pozwolił prowadzić sprawę sukcesyjną¹⁾, miała też od niego przed dniem 11 czerwca 1662 r. oświadczenie gotości do ustąpienia z tronu²⁾. Teraz nie chciała robić z tej gotowości użytku dla dwóch powodów: 1) że szlachta nie zgodzi się na konwokacyę; 2) że, wiedząc, jak jest znienawidzoną w kraju, ona, Ludwika Marya, obawia się, aby nie chwycono króla za słowo, gdy zamiar abdykacyi ogłoszonym zostanie. Dla psychologów i moralistów ciekawe to jest stadło, gdzie Ewa podaje nie jabłko Adamowi, ale propozycyę wyniesienia się za dziesiątą granicę — naturalnie do Francyi; Adam zaś nie nie „wziął“ i nie „jadł“, ale na wszystko przystawał ze strachu³⁾ przed swoim „małym Etyopczykiem“. Czy przynajmniej Ewa opuściła-by raj wespół z Adamem? O, wcale nie! Zamówiła dla niego kilka opactw we Francyi już w 1663, lecz pozostała-by w Warszawie. I później powtarzała, że chce mieszkać w Warszawie po przyjeździe księcia francuskiego do Krakowa; zawczasu odbierała nawet przysięgi na posłuszeństwo rozkazom swoim w razie śmierci Jana Kazimierza.⁴⁾ Tu dopiero otwiera się przed okiem naszym do głębi ta

1) Akt jest wydrukowany w Lubomirskiego Jawnej Niewinności Manifestie 1666 r. str. 21, co się potwierdza depeszą de Lumbres'a: *Je crois que mes précédentes auront fait voir, jusqu'où le pouvoir de la Reine va, puisque le Roi de Pologne lui a permis la conduite de toute cette affaire avec les ministres et les principaux sénateurs.* Raport z d. 11, XII 1660 u Waliszewskiego CV str. 240.

2) De Lumbres do Ludwika XIV z d. 11, VI 1662; odpowiedź de Lionne'a z d. 2, VII 1662 z zapewnieniem, że zamiar abdykacyi Jana Kazimierza będzie zachowany w sekrecie, T. Luk. X. 166, 206.

3) *Je ne crois pas que le roi et la reine étouffent d'amitié l'un pour l'autre.. la crainte que le roi a d'elle. la rend maîtresse de ce qu'elle veut.* Raport Bonzy z d. 11, IX 1665 u Walisz. CLXIX str. 287.

4) *J'ai parlé autrefois à Caillet de s'informer, si en France le roi (Louis XIV) se trouverait en volonté de donner au roi monseigneur (Jean Casimir) quelques abbayes... Ce, n'est point pour demeurer en France, ni en Pologne, mais en Suisse, ou il y a une maison de Jésuites qu'il connaît. Pour moi, ma pensée est de demeurer à Varsovie (list z d. 30, VI 1663; późniejsze projekty w raportach Bonzy'ego z d. 24, IX, 31, VII 1666, w Tekach Lukasa XIII i XIV); dosadnie wyraził się Millet w raporcie Bonzy'ego z d. 31, XII 1666 (str. 467): Il est certain que la reine ne pourrait et ne voudrait pas demeurer en Pologne, s'il n'y avait un Roi qu'elle pût gouverner.*

egoistyczna dusza, wstrząsana jedynie namiętnością panowania. Po śmierci jednego męża wyszła za drugiego i utrzymała się na tronie; ale w razie śmierci tego drugiego niepodobna już było myśleć o trzecim, chociażby dla spóźnionego wieku (urodziła się bowiem d. 18 sierpnia 1611 r.). Można było utrzymać się na jakimś górującem stanowisku tylko matkując trzeciemu królowi. Gdy własnych dzieci nie miała ¹⁾ więc spekulowała na córkach siostry palatynowej i znalazła dobre warunki do spółki w ambitnych popędach króla francuskiego. Oddaje się zatem na służbę Ludwikowi XIV; zapewnia, że „jest do niego przywiązana i że nigdy nie odstąpi go”: w obszernej korespondencji omawia wyłącznie interesa Francyi. Dwór polski stał się wielką agencją rządu francuskiego. Ludwika Marya przyjmowała polecenia tak dalece poufne, że ukrywała je przed swoim mężem, panem i królem. Urzędnicy: Trabuc, Badule, Bolain i Desnoyers przesyłali do Francyi wszelkie wiadomości gabinetowe. Ostatni chwalił się nawet, że komunikuje wciąż ambasadorowi francuskiemu „wszystkie korespondencye, nie wyłączając i tych, które król własną ręką do królowej pisuje, ani tych które są cyfrowane ręką sekretarza królewskiego“. Miał zresztą nie tylko pensyę, ale i order św. Michała, i tytuł radcy stanu (*conseiller d'etat*) od króla francuskiego. Jakużnik królowej, Saint-Martin, jest również korespondentem Kondusza ²⁾. W tej agencji znajdowali się i Polacy (jak np. Morsztyn), którzy mogli się oświadczać z ofiarą życia swojego dla oszczędzenia królowej przykrości zawodu, mogli jednocześnie składać życie i fortunę w ręce Kondusza i przyznawać się, że listy dwa, do niego napisane, „były-by uznane za bardzo zbrodnicze“, gdyby je ogłoszono we Francyi ³⁾.

Ministrowie, hetmani, senatorowie są pociągani wszelkimi sposobami i pokusami do zapomnienia o godności narodowej, do wiązania wszystkich swych interesów z faworami Ludwika XIV. W województwach kaptowano wpływowych ludzi do kierowania sejmikami; w wojsku starano się pozyskać znaczniejszych oficerów.

¹⁾ Powiła wprawdzie córkę, Maryę Annę Teresę, i syna, lecz oboje zmarli w 1652 r. w niemowlęcym wieku: *Curieuseur Geschichts-Kaleuder, darinnen die merckwürdigsten Geschichten des Königreichs Polen u G. H. Lithauen von 1500 bis 1697.* Leipzig bey Johann Ludw. Gleditsch 1698. Kochowski I 259, 308.

²⁾ A. O. *Censura Candidatorum*, karta F. Portofolio Maryi Ludwiki II 324. List St. Martin'a z d. 4 i 11, XII u Waliszew. str. 279, 280. Depesza de Lumbres'a z d. 31, X 1664 w Tece Lukasa XII k. 156.

³⁾ List Morsztyna 26, VII 1661 u Waliszews. CXXII str. 245.

Wśród takiego werbunku, trafił Sobieski do apartamentów Ludwika Maryi, wiedziony przez jej wychowankę, „królową serca“ swego, swoją „świętą panią“ wojewodzinę sandomierską. Właśnie latem 1661 r. porozumiewali się w Warszawie przy pośrednictwie Koryckiego i panny Beaulien; teraz będziemy widzieli Sobieskiego między poufalszymi powiernikami intrygi, a co dziwniejsza — na liście płatnych ze skarbu francuskiego jurgieltników: w roku 1661 przy nazwisku jego (raczej przy urzędzie: chorąży kor.) figuruje suma 4800 liwrow, w r. 1662 już 8000, potem 12,000, a za panowania króla Michała i po 20,000 w ciągu roku ¹⁾.

Cóż to? Dziedzic na Żółkwi i Złoczowie, który niedługo będzie żonie do Paryża po stokilkadziesiąt tysięcy zł. posypał, jeden z 60 magnatów Korony ²⁾, wyciągał rękę po grosz cudzy? Miałabym na to pozwolić matka, która żyła jeszcze do d. 27 listopada 1661 r.? Dochodzi nas wprawdzie jakieś echo jej żalu do Jana, którego upośledzała w macierzyńskim uczuciu swoim przed Markiem, nieustannie opłakiwanym i przez fundacye pobożne łasce Nieba polecanym: ale chodziło tu podobno o wybryki krewkości młodzieńczej, o narażanie życia w pojedynkach, o romantyczne przygody na dworze królewskim i w Jaworowie ³⁾. A może zacna matrona przeczuwała lub odczuwała zatruwające wpływy Ludwika Maryi i jej otoczenia.

O przedajności urzędników w Polsce rozpisywali się cudzoziemcy już dawniej. Tak np. poseł wenecki, Tiepolo, współpracownik Władysława IV w sprawie wyprawy na Turcję, wymienia kanclerza w. kor., Jerzego Ossolińskiego, podkanclerzego Andrzeja Leszczyńskiego, wojewodę poznańskiego Krzysztofa Opalińskiego, którym trzeba dać po 5 lub 6 tysięcy, a doliczając kilku „podobnych“, podaje sumę ogólną na 40 do 50 tysięcy talarów, lecz tę sumę miał król rozdać. Nie była jednakże dostarczoną mu i Tiepolo widzi przyczynę niepowodzenia projektu w niewczesnej oszczędności urzędu weneckiego. Ossolińskiemu zarzuca frymarchenie sprawiedliwością na sądach kanclerskich,

¹⁾ Waliszewski: op. cit. str. 102 i 111. Farges w instrukcyi dla Forbin Jansona z d. 30, III 1674, op. cit. I 131.

²⁾ Jan Sobieski pisał do biskupa krakowskiego: Rzecz to jest pewna, że w Koronie jest najmniej 60-ciu, którzy jesteście tanti, że po 100 ludzi możemy nullo negotio kosztem naszym własnym wyprawić przynajmniej na pół roku (u Kluczyckiego nr. 288 str. 649.

³⁾ Szajnocha: Szkice III str. 258, Opowiad. 154 Napomknienia i wyrzuty o bałamuctwa z kobietami przebijają się też w listach Marysienki.

czyli zadwornych; lecz nie powiada, aby sam dawał pieniądze wymienionym osobom lub komukolwiek innemu. ¹⁾

We 20 lat później poseł francuski, Bonzy, wśród wywołanej przez Ludwikę Maryę wojny domowej, żąda bez porównania większych sum dla panów polskich, ponieważ są to „wielcy panowie na obszar ziemi i na produkta żywności, lecz o pieniądze im trudno; jak tylko trzeba kupić wszystko, to zaraz robią się pustki w kieszeni ²⁾. Chodziło wte dy o wydatki na projektowany sejm elekcyjny. Ale każdy sejmik ciągał też znaczne koszta dla pana, jeśli chciał zjednać licznych stronników dla swego wniosku; jeśli zaś wypadło gotować się do zbrojnej wyprawy i opłacać żołnierza, to już nie mogła wystarczyć żadna fortuna wielko-pańska. Gdy zaciąg nie był opłacony ze skarbu Rzeczypospolitej, musiał dawać pieniądze król ze skarbu swojego.

To też zapewne dawała najprzód sama Ludwika Marya tym, którzy zgadzali się na popieranie jej planu. Przypuszczamy, że początkowo w latach 1659—1661 dawała we własnem imieniu, skoro żądała zobowiązań piśmiennych i przysięg dla siebie: a czemuż-by Polak miał odrzucać zasiłki lub chociaż-by łaskę, chociażby dar hojności, pochodzący od królowej polskiej? Widzimy np., że Czarniecki dostawał sumy na opłatę żołdu dla swojej dywizyi oraz pomniejsze dla siebie. Nie podobna przecież uwierzyć, aby mógł się zaprzedać człowiek, który mawiał z dumą parweniusza: „Nie z soli i nie z roli, ale z tego, co boli, urostem“. Jego żołnierską prostotę i wierność królowi wyzykiwała królowa; ale tylko do pewnej granicy. Wszak nie poszedł na służbę do Francyi w r. 1658 ani w 1659, mimo zaprosin Mazariniego, lecz poprowadził wojsko polskie do Danii przeciwko Szwedom, a następnie na Litwę i Ukrainę przeciwko Moskwie i kozakom ³⁾. Otóż i Sobieski przyjął owe 8000 liwrów zapewne tytułem kosztów na agitacyę w interesie dworu, nie zaś jako zapłatę za zaprzędane sumienie obywatela. Nigdy bowiem urzędnicy francuscy, nazywając go w swoich

¹⁾ Finalrelation des Giovanni Tiepolo (1647) u Ehrenberga Urkunden u. Actenstücke zur Gesch. der in der heutigen Provinz Posen vereinigten ehemals polnischen Landesteile (Leipzig, Veit, 1892) nr. 293 str. 454, 465.

²⁾ „Car ses messieurs sont grands seigneurs en terres et en denrées, mais l'argent est rare; quand il faut tout acheter ils sont bientôt à sec et la guerre de Hollande et d'Angleterre, qui empêche la vente de leurs blés, les rend misérables“. Depesza z d. 27, IX 1666 do ministra de Lionne w Tece Lukasa XIV k. 375.

³⁾ Pasek: (wyd. Węclewskiego str. 243) zapewnia, że „Kondensza wprowadzić za sprawą Czarnieckiego — tego-by byli nigdy nie dokazali, bo ja wiem, co on o tym obiorze sądzi“. Świadcstwo takie prostego towarzysza chorągwi pancерnej nie ma dostatecznej wagi, ale jest prawdopodobne.

raportach pensyonarzem króla francuskiego, nie śmieli traktować go jako najemnika, ani najmniejszego rzucać cienia na patryotyczne jego uczucia.

Jad przedajności był szczepiony delikatnie, zręcznie, a w dozie tak wielkiej, jak nigdy dotąd, boć nigdy król ani królowa w Polsce nie rozrządzali sumami takimi. Regestr pobierających pensye, lub jednorazowe datki, jest długi i mieści wszystkich prawie ministrów, hetmanów, nawet z żonami, wielu senatorów. Później, gdy wszyscy zabrnęli w intrygę, potępioną przez konstytucye sejmowe i związki wojskowe, pieniądź obcy stał się już niezbędnym środkiem politycznego działania; więc ambasadorowie francuscy z jednej strony, a cesarscy i brandenburscy z drugiej, śmiało wchodzili w bezpośrednie układy z magnatami. Korupcyja polityczna ogarnęła rychło cały stan senatorski, niszcząc w umysłach pojęcie godności narodowej. Do wypaczonego rozumowania o zatargu inter Majestatem et Liberatem przybyła jeszcze jedna plaga: gotowość służenia cudzoziemcom. Ludwikę Maryę porównywali zbliżeni do niej Francuzi, najwłaściwsi w takiej materji rzeczoznawczy, z Katarzyną Medicis; ¹⁾ ale to porównanie dla badacza historii polskiej nie jest wystarczającym. Katarzynie bowiem przypisywano niegdyś wprowadzenie do Francji włoskich trucizn, działających na ciało: Ludwika zaś Marya zadała Polsce gorszą truciznę, bo działającą na rozum i serce, niszczącą patryotyzm w całych pokoleniach rządzącego stanu—owoczesnem i późniejszym.

II.

Sobieski stał się przedmiotem zabiegów Ludwiki Maryi od r. 1661, kiedy przybył na sejm w liczbie 12-stu posłów od wojska koronnego z pod Korosteszewa, ponieważ udział w tem poselstwie świadczył o nabytej już popularności jego między żołnierzami. W roku następnym 1662 był obrany na posła sejmowego w województwie Ruskiem, a lubo obiór ten tracił moc swoją skutkiem zerwania sejmiku, ²⁾ jednakże Sobieski bawił w Warszawie podczas sejmu i uczestniczył

¹⁾ Sekretarz jej, Des Noyers, w znanej charakterystyce dworu polskiego (*Farges Recueil des instructions... Pologne... I. 68 i Portofolio M. Ludw. wyd. Raczyńskiego II str. 254—322*); potem ambasador Bonzy i minister francuski de Lionne w depeszy z d. 12, II 1666 w *Tece Luk. XIV str. 35*.

²⁾ Raport de Lumbres'a do Ludw. XIV z d. 16, II 1662 w *T. Luk. X k. 49*. Zerwanie sejmiku dwór przypisywał wpływom Lubomirskiego.

w naradach i intrygach dworskich po sejmie ¹⁾). Stosunek z dw reńzacieśnił się bardziej w czasie całorocznego pobytu królewskiej pary na Rusi, 1662—1663 r. dla załatwienia sprawy ze związkiem wojskowym: d. 22 sierpnia zjeżdżają oboje królestwo do Żółkwi, skąd król wyjechał 30 sierpnia do Lwowa, Ludwika Marya zaś zatrzymała się do 11 września; przyjechali znów oboje na Boże Narodzenie, a królowa spędziła tu dni ośm; w czerwcu 1663 r. gościła Ludwika Marya w Jaworowie, a do Warszawy odjechała dopiero 16 sierpnia 1663 r. ²⁾ Chorąży koronny podejmował najjaśniejsze Państwo wystawnie, dopomagał też w układach z konfederacją wojskową.

„Związek Braterski“, w wojsku koronnem pod dyrekcją Jaskólskiego, a w litewskim pod dyrekcją Michała Paca, powstał na wiosnę 1659 r. przed wyprawą królewską do Prus, i w pierwszych swoich „manifestacyach“ uskarżał się tylko na zatrzymanie „krwawie zaharowanych zasług“, na niedostatek „chlebów“, na brak „prochów, kul, armat i innej wojsku należącej municyi“, na absentowanie się starszyny wojskowej—jednym słowem na wady zarządu wojskowego. ³⁾ Jednakże uchwały sejmowe z r. 1659 i zabiegi wodzów, trochę pieniędzy i dużo obietnic, poskutkowały tak dobrze, iż wojska wszystkie służbę pełniły i w roku 1660 szereg chlubnych zwycięstw odniosły.

Wtedy-to rozpoczęła się, jak wiemy, intryga królowej o obiór następcy tronu. O projekcie tym dowiedziano się najprzód z odgłosu festynów królewskich w Krakowie, które trwały od października 1660 do stycznia 1661 roku, i z uniwersałów przedsejmowych 1661 roku.

Przy rozbudzonem poprzedniemi klęskami i świeżemi zwycięstwami uczuciu patryotycznym, szerząca się z dworu królewskiego intryga

¹⁾ Znajdują się o Sobieskim dość częste wzmianki w raportach francuskich Caillet'a i de Lumbres'a, marcowych, kwietniowych i czerwcowych 1662 r. (Teki Lukasa X k 77, 128, 137, 144, 152).

²⁾ Z korespondencyi dyplomatów francuskich widać, że Jan Kazimierz wyjechał z Warszawy razem z żoną 11.VIII, do Lwowa wjeżdżał 30.VIII, a Ludwika Marya 11.IX 1662: list jej do Zamoyskiego był datowany 31.VIII w Żółkwi; potem jest mowa już tylko o Lwowie, w T. Luk. X k. 213, 220, 231, XI, k. 109. O przyjeździe późniejszym do Żółkwi i Jaworowie. Kochowski III; str. 32, 50.

³⁾ Kochowski: Climacter II,350. Manifestacya wojsk J. K. M-ci dywizyi G. P. Gosiewskiego... w Kurlandyi 17,V zaniesiona. w Księdze Pamiętniczej Medekszy (Kraków 1875) str. 227—128. Jan Kazimierz w liście do Grzymułtowskiego z d. 18.VII 1659 wspomina jako żołnierz koronny na Comissiey przeszłej Lubelskiey uknowawszy sobie związek szkodliwy, od niego teraz nie tylko recedere nie chce... quanti periculi sit ta incipiens lubo nondum adulta seditio... umyślnie od boku Naszego wyprawujemy Wiel. Księdza Andrzeja Miaskowskiego. regenta kancelaryi Naszej“ (Ms. bibl. Czartor. nr. 3487 str. 199, oryginał).

musiała wyrzucić drażniące wrażenie na umysły rycerstwa, które „z niemłą zdrowia utratą, krwi i dostatków postradaniem pro fide, rege et patria wszystkie Rzpltej niebezpieczeństwa nieustraszonem ponosili sercem i odważnemi dźwigali ramiony“. Chociaż sejm ów tryumfalny z 1661 r. uchwalił ogromne podatki, dochodzące w wielu województwach do 50-ciu poborów; chociaż podwyższył cło i rozciągnął na wszystkie stany, nie wyłączając zakupów króla i królowej; chociaż wymyślił w koronie akcyzy, a w W. Ks. Litewskiem opłatę od tabaki; ¹⁾ wojsko przeciw nie uspokoiło się, lecz uformowało w ciągu jesieni nowy „Święcony Związek“ (Nexus Sacer) już z programem politycznym, bo oświadczało „nie tylko swoich dochodzić zasług“, ale i „zepsowane w ojczyźnie prawa restaurować“. Wyłamując się z pod komendy hetmanów, koło koronne obrabło marszałkiem swoim Świderskiego, a litewskie Żeromskiego, dając im po tuzinie konsyliarzy, sędziów i pisarzy. Oba koła zawarły sojusz i wysłały delegatów do wzajemnego porozumienia się. W „juramencie“ marszałek zaprzysięgał, oprócz dochodzenia zasług, pilnowanie „wolności dawnych, zostawionych od przodków naszych“ i zobowiązał się, że żadnemi faworami, korrupcyami tak ode dworu, jak ex alia sinistra parte uwdzielić się nie będzie. ²⁾

Patryotyczny nastrój żołnierza koronnego odbija się we społecznej mowie Paska, który bez wątpienia szczerze wykrzykiwał: „to Rzeczpospolita nie węgierska, nie niemiecka, ale polska, własna

¹⁾ Vol. Leg. fol. IV 626, 730, 768, 822, 813, 817, 718; niesłusznie zatem sądzi Kochowski Clim. II. 213, że sejm nie o żołnierzach nie myślał.

²⁾ Przygotowania zaczęły się przed sejmem, bo Lubomirski (Manifest str. 61) powiada, że konfederacya zaczęła się circiter in Februario et Martio 1661; „spisek“ zaczął się formować w wojsku litewskiem d. 7 września, najprzód za sprawą Parczewskiego i Szczygielskiego, 11-go nastąpił obiór marszałka Żeromskiego, 12-go konsyliarzy, sędziego (Parczewskiego) i sekretarza (Górskiego). Wiemy to od uczestnika, od J. Wł. Poczobut-Odlanickiego (Bibl. Ord. Krasieńskich Warsz. 1878, t. III 48 i 49). Artykuły koła rycerskiego zostały zaprzysiężone d. 29, IX; suffragium militis oppressi wydane d. 27, X pod Kuszlikami; informacye marszałkowi 28, X po bitwie z Chowańskim. Postowie od związku koronnego byli oczekiwani „co godzina“ dla zawiązania ligi d. 18, XI (Medeksa op. cit. 231, 234, 229, jurament 248; list do Gosiewskiego z d. 18, XI 1661 str. 261). W archiwum hr. Konstantego Przezdzieckiego Ms. nr 47 znajdują się społeczne odpisy dokumentów z małą różnicą w datach, mianowicie: Związek i spisek wojsk W. Ks. Litewskiego w r. 1661 m-ca Septembris d. 12 po wygranej bitwie pod Kuszlikami i tegoż dnia jest datowane Suffragium oppressi militis et nobilitatis. O zgodności działań i uchwał obu związków świadczy Kochowski Climact. II, 315, stwierdza de Lumbres np. 5 II 663, gdy w punktach, królowi od wojska koronnego podanych, znajduje się żądanie wypłaty żołtu Litwinom (T. Luk. XI, k. 4).

matka nasza". Litwini znów zapewniali, że się udali do spisków. „nie dla żadnych buntów, ani konfederacyi.. ani przeciwko J. K. M-ci... ani też przeciwko Ojczyźnie, matce naszej... i owszem na wsparcie jej i poratowanie". Poważniejszą od dźwięcznych wyrazów rękojmię stanowi przeszłość przywódców. Oto marszałek wojska litewskiego Kazimierz Chwalibóg Żeromski, stolnik wileński, starosta opeski, należał do liczby tych pięciu pułkowników, których ukazał Sienkiewicz w jednej z najpiękniejszych scen „Potopu”, jak rzucali swe buzdygany pod nogi hetmana Janusza Radziwiłła, gdy się dowiedzieli o jego zdradzieckiej ugodzie ze Szwedami. Scena taka nie miała podobno miejsca w rzeczywistości, ale przechował się akt d. 23 sierpnia 1655, w Wierzbolowie spisany, w którym rycerstwo „za postrzeżeniem jawnej zdrady i traktatu ze Szwedami... że mu wrodzona ku Panu i Ojczyźnie cnota i wiara łączyć się z tamtym wojskiem (hetmańskim) nie dozwoliła, wyszedłszy z pod tamtego regimentu ku całym poniekąd jeszcze W. Księstwa województwom i powiatom, abyśmy z niemi zjednoczonymi siłami (conjunctis viribus) mogli piersi nasze potędze nieprzyjacielskiej opponere”. W oczekiwaniu szczęśliwego przybycia w-go podskarbiego i hetmana polnego W. Ks. L. (Gosiewskiego) jako wodza swojego, powierzyło sądy i rządy nad sobą i czeladzią poręcznikom: Żeromskiemu, Sam. Kmicicowi, St. Lipnickiemu i Konstantemu Kotowskiemu, czynienia egzekucyi według występku każdego, by na gardle karać, w ręce dawszy ¹⁾. Ten-to Żeromski został marszałkiem, Kotowski jego substytutem, a Kmicica i Lipnickiego chorągwie znajdując się w spisku na „kompucie” prawego skrzydła. Najbardziej zaś przekonywającymi powinny być czyny. Otóż tej samej jesieni, nie otrzymawszy należnej zapłaty, wojsko związkowe litewskie idzie z Janem Kazimierzem na nieprzyjaciela; Żeromski walczył obok Czarnieckiego pod Głębokiem, zdobył wiele chorągwi, a dwaj konsyliarze polegli w tej zwycięskiej, ale trudnej bitwie (6 listopada). Wojsko koronne nie chciało ruszyć się bez pieniędzy. Stąd wnioskuję, że związek litewski czystszy powodował się patryotyzmem; w jego też łonie, jak miemam, wytwarzały się idee i projekty polityczne, które związek koronny zapewne przyjął, wcielając do własnego „Postanowienia“ z d. 6 lutego w Kielcach.

Związek litewski rozpisywał „instrukcye” do sejmików i wyprawił w poselstwie do sejmu 1662 r. Kotowskiego z Drozdowiczem, domagając się naprawy rządu. Obwinał podskarbiech, że wybierane

¹⁾ Uchwała wojska Litewskiego z pod regimentu Ks. W-dy Wileńsk. Hetmana W. W. Ks. L. w archimium Nieswieskiem teka g. nr. 926 (w kopii spólczesnej).

z podatków miliony nie dochodzą do wojska, bo w znacznej części są odwracane ku prywatnie; potępiał łączenie kilku urzędów, kilku lub kilkunastu starostw w rękach jednego możnowładcy, uderzał na władzę hetmańską, na „potencję buławy”, która przerasta nawet powagę monarchy.

Podobne „Postanowienie” przynieśli na sejm posłowie od koła rycerskiego koronnego.¹⁾

Któżby nie przyznał słuszności zarzutom takim? Zbadajmy tylko, jakie były proponowane środki zaradcze?

Od kradzieży, od nieprawego, niezgodnego z konstytucjami szafunku grosza publicznego skarby Rzplitej, tak koronny, jak litewski, były zabezpieczone lepiej, niż gdziekolwiek w Europie, rewizya deputacyi sejmowych, którą dziś jeszcze widzieć i sprawdzić możemy w nieprzerwanym szeregu ksiąg, opatrzonych tytułem: „Rachunki Sejmowe”. Opieszałość, nieład i rozmaite malwersacye tkwiły w manipulacyi poborowej.²⁾ Związek litewski proponuje aby pieniądze zostawały „przy powiatach”, u poborców powiatowych, podskarbi zaś, t. j. ministerjum finansów, ma odbierać tylko rachunki do sprawdzania. Środek taki trafny nie był; zamiast udoskonalenia administracyi skarbu państwowego, wiódł do ostatniego jej rozprzężenia i zniszczenia. Niestety! Już od pierwszych lat panowania Jana Kazimierza

1) Instrukcyja wojsk W. Ks. Lit. starego i nowego zaciągu polskiego i cudzoziemskiego narodu... na sejmiki rozesłane przed sejmem 1662, str. 368, 269, 270, 272, Instrukcyja .. na sejm 1662 r. 276, 477, 278, Supplement instrukcyi posłom wojskowym... z Kobrynia d. 15 marca 1662 r. s. 362, 363 w Księdze Pamiętniczej Medekszy. Przewodnia rola wojska litewskiego odbija się w depeszach francuskich, np. 11. I 1663 pisał de Lumbres: „l'armée de Lituanie qui est la plus fiere et où il y a un corps d'infanterie de 8000 hommes T. Luk XI k. 6). Kochowski podaje 22 artykuły z instrukcyi danej dnia 6 lutego 1662 r. w Kielcach przez koło związku koronnego, a w 10 ym jest mowa o zniesieniu dożywotniego hetmaństwa (Clim. III str. 19 14). Całkowity tekst w języku polskim p. t. „Postanowienie Koła Rycerskiego Generalnego Wojsk J. K. M-ci koronnych tak polskiego jak cudzoziemskiego zaciągu” w Kielcach jest przepisany w MS. Bibl. Uniwers. Warsz. nr. 14₁₃₈ str. 901—905; składa się z 40 artykułów.

2) Rachunki Sejmowe (oddział II) księgi nr. 54, 56, 58. Tu znajdziemy np. w Percepcie r. 1658—9 niektóre zaległości z 2¹/₂ poborów, uchwalonych na supplement wojska pod Beresteczkiem jeszcze w 1651 r., a w rachunkach z lat 1661—1662 nie opłacony począwszy pobór z r. 1650 w ziemiach Halickiej, Liwskiej, w województwach pruskich etc. Nawet mieszczanie wyptaćli nie całą należność składnego, winnego z r. 1661 do d. 26. XI 1664. Podskarbi ze szczupłym swoim personelem służbowym złożonym z pisarza najwyższego i dwóch pisarzy przy kilku lub kilkunastu dworzaczach, nie egzekwował żadnych zaległości, tylko notował w rachunkach swoich, odbierając gotowiznę od poborców. Bezpośrednio mogli dopilnować tylko myncarzy i dzierżawców ceł lub innych dochodów „niestałych”, pośrednich.

rozpoczęły się „rządy sejmikowe”, które Rzeczpospolitą przekształcały na rzeszę powiatów, lub, jeśli wolno użyć neologizmu, na rzecz powiatową.

Poborcami byli obierani w powiatach na sejmikach ziemianie-szlachta, nie przyzwyczajeni do akuratności urzędniczej, nie ujęci w karby subordynacyi służbowej. Do odpowiedzialności można ich było pociągać tylko przez pozwy sądowe, t. j. powolną drogą procesu. Przy tak nieakuratnych wpływach nie dziw, że i wypłaty odbywały się nieakuratnie, że chorągwie i regimenty odbierały należność swoją w r. 1658 jedne z roku 1652, drugie z 1653, inne z 1655 ćwierć darowną, Żwaniecką, inne część żołdu (płacą adriatunkową, t. j. ad rationem, na rachunek, zaliczenie) z r. 1655 i na lata następne. W r. 1659 były płacone tylko zaliczenia; w r. 1661 ukazują się różne „ćwierci“ z 1655, 1656 i 1657. W ogóle zaś żaden oddział wojska nie miał opłaconej należności całkowitej, chociaż rachunek 1658 zamknął się poważną sumą dochodów 12,076,420, a z r. 1661 7,034,237 złp. ¹⁾

Więc nie możemy przyznać politykom związkukom petencyi w sprawach finansowych.

Również nieudatną była protestacya przeciwko panoszeniu możnowładztwa przez nadanie licznych starostw, dzierżaw, wszelakich królewszczyzn, a szczególnie przez nadawanie kilku urzędów jednej osobie. Wiemy dziś, że to było winą dobrowolną i grzechem niepoprawnym królów; bo ileż to razy uchwalane i do konstytucyi sejmowych wpisownne były prawa: de incompatibilibus! Ile razy przekonwali się królowie o bucie i niewdzięczności tych, których wyposażali godnościami i dostatkami z pogwałceniem rzeczonych konstytucyi! Związek proponował teraz, aby przez „wyraźne prawo dobra takowe były odebrane” i na przyszłość zakazem wieczystym obwarowane. Dla czegożby to prawo miało być skuteczniejszem od praw poprzednich, w tym przedmiocie wydanych i zupełnie wyraźnych?

Ale co do ustosunkowania wyższych władz rządowych politycy związku żołnierskiego wymyślili przecię jeden środek, który niewątpliwie mógł być skutecznym do wzmocnienia władzy najwyższej, oraz do zapobiegania skutkom nieodpowiedzialności dożywotniej komendy—oto, ograniczenie urzędu hetmańskiego trzyletnim terminem i odpowiedzialnością doraźną. W Kobryniu mianowicie, d. 15 marca 1662 r. sformułowano ten ustęp reformy państwowej w następujących wyrazach: „aby prawa JPP. hetmanów były utemperowane, t. j. aby nie byli dożywotni,

¹⁾ Rachunki Sejmowe Skarbu koronnego księga nr. 53, płace: pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma i księga nr. 55.

jeno ad triennium; aby byli przysięgli i pańskim (królewskim) ordynansem retinentes, tudzież o zgubę wojska aby byli na sejmie sądzeni; gdyby się niezdatnymi do urzędu (in quantum incapaces officii) pokazali, aby wolno było królowi J. M-ci *privare officio*", a więc wyraźnie dać dymissyę za niezdatność służbową.¹⁾

Była też propozycya, aby pieczętarze, t. j. kanclerze, posiadali swoje urzędy nie dożywotnio, ale tylko na czas dwuletni, od jednego do drugiego sejmku ordynaryjnego. Pod względem techniki dyplomatycznej propozycya taka wygląda niepraktycznie, lecz łatwo ją było przekształcić na odpowiedzialność przed królem na równi z hetmanami. Żądanie koła Olickiego „aby buława przy pieczęci i skarbie niechodzila” było niezawodnie dla zasady monarchicznej korzystnem, oligarchię zaś mogło wyzuć z najszerzej szufli od zagarniania bogactw i władzy.

Pomyślmy teraz, jaką postać przybrały-by dalsze dzieje Polski, gdyby Jan Kazimierz, albo raczej zdolniejszy od niego król,²⁾ pochwycił program taki i pokierował jego wykonaniem! Bez przekupstw, intryg, bez machiawelskich wybiegów wzmocnienie władzy królewskiej było ofiarowane przez wybór szlachty, przez wojsko dzielne, waleczne, zwycięskie. Siła jego była przez posła francuskiego obliczana na 30,000, ale ta rachuba obejmuje tylko wojska koronne, taką bowiem liczbę podaje Kochowski. „Komput“ samego wojska litewskiego, wprawdzie zaokrąglonemi liczbami spisany, wynosi w prawem skrzydle 12,310, w lewem 10,092, a więc z górą 22,000 „w spisku zostających“, oba więc wojska razem przeszło 50,000. Chorągwie usarskie, gwardye królewskie i cała dywizya Czarnieckiego, liczone razem na

¹⁾ Medeksa op. cit. str. 289. Wcześniej, ale nie tak dokładnie wyrażony był ten punkt w Postanowieniu z d. 6, II koła koronnego: „Upatrując to Rycerstwo, iż buławy dożywotnie J.P.P. Hetmanów tak stanowi szlacheckiemu jak i żołnierskiemu są szkodliwe, które excedunt Majestatem principum in libero dominio, tedy stawa ta declaratia, aby Hetmani dożywotniami nie byli, w czym J.P.P. posłowie i Izba Posłów wniosą się“ (MS. Uniw. Warsz. 14¹/₂₃, str. 901). Sejmowi żądania te przełożyło poselstwo wojskowe d. 1, III (Caillet do Kondusza 3, III 1682 w Tece Lukasa X, k. 78).

²⁾ Kazimierz Jagiellończyk np. pod Cerekwicą i Opokami (1454) umiał rozsądnie i uczciwie obrócić wielce podobne wzburzenie rycerstwa przeciwko dostojnikom na pożytek narodu; ustawodawstwo bowiem Nieszawskie wpłynęło na rozwój tych urządzeń, któremi Polska była szczęśliwą, sławną i ulubioną w XVI w., Cfr. Starzyński St. „Konstytucya Trzeciego Maja na tle społecznego ustroju innych państw europejskich“. Lwów 1892 I, 49. Nie sięgając zaś do dawnych dziejów, można było obejrzeć się na słynną współczesną zupełnię, bo w r. 1660, przeprowadzoną w Danii rewolucyę monarchiczną przez Fryderyka III w przymierzu z mieszczanami i duchowieństwem przeciwko oligarchii

16,000 żołnierza,¹⁾ nie weszły do związku, oświadczając się za bezwzględną wiernością dla Majestatu, ale też niewątpliwie służyły-by królowi i w sprawie reformy. Więc było-by z górą 60,000 szabel, wedle rachuby Paska. Takiej siły przecież nie mieli ani Cezar nad Rubikonem, ani Napoleon Bonaparte w d. 18 brumaire'a, gdy za pomocą hazardownych zamachów przywłaszczyli sobie władzę monarszą.

Ale to wojsko, przeważnie szlacheckie, nie chciało iść w niewolę do Cezarów i Napoleonów. Zgodnie z tradycją i społecznymi prądami pragnęło „na równej szali... mieć pieczę nad wolnością i Majestatem (*curam libertatis et majestatis*)” i widziało „groźące ojczyźnie niebezpieczeństwo z nowej nowego monarchy elekcyi (*ex nova novi principis electione*)”.²⁾ We wszystkich swoich „instrukcyach” i „punktach” do układów energicznie domagało się najprzód uchwalenia, później jaśniejszego sformułowania i ścisłego wykonania konstytucyi „o nieobieraniu Pana *vivente principe*”. Mamy nawet urzędowe oświadczenia w „punktach do Króla Imci i wszystkiej Rzpltej” podanych,³⁾ że obok doznanych krzywd „nie mniejszą do związku... pobudką była wniesiona przeciwko prawu wyraźnemu *vivente rege* elekcyja”. Król, wyprawiając biskupa Olszowskiego, Bogusława Radziwiłła i 8-miu innych komisarzy do Kobrynia na układy, zaleca im pracować przedewszystkiem, „aby wojska nie ruszyły się z konsystencyi swoich ku Warszawie”. Nie ruszyło w istocie wojsko litewskie, ale Świderski, jakeśmy wspomnieli, przyprowadził do Piaseczny 4000 koniarzy i groźbami swemi przyczynił się do przeprowadzenia konstytucyi potępiącej elekcyę za życia Jana Kazimierza (1662).

Komisarze, wysłani do Kobrynia, zapewniali, że król odstąpił od swej propozycyi; ale to nie było prawdą. On, czyli raczej żona jego nie zaniechała bynajmniej planu swojego osadzenia na tronie polskim Francuza i siostrzenicy swojej. Ten plan, już rozbierany w poprze-

¹⁾ Medeksza op. c. 259, 255. Kochowski: *Clim.* II 528. Pasek (wyd. Węglewskiego Lwów 1878) str. 137. Dywizya Czarnieckiego liczyła podobno 7,000, a gdy przyszły inne oddziały, podnieść się miała do 13,000 piechoty i 3,000 jazdy wedle rachuby Piekarskiego (*Caillet do Kondusza 17, III 1662 w T. Luk. X., k. 52*).

²⁾ Medeksza str. 270, 276. Porówn. jego list do Gosiewskiego z pod Kuszlik, s. 186. Podobnie Kochowski: *Clim.* III s. 4 uwydatnia, że *occasio malorum—electio vivente rege*.

³⁾ Medeksza str. 268, 301, 362, 395. Postanowienie albo Punkt na sejm podane i umówione: JPP. z Comisarzami od J. K. M. i Rzpltej zesłanemi w Kielcach dnia 31, III 1662 żąda sądu sejmowego na pieczętarzy za to, że nie dopełnili obowiązku swego jako stróżowie praw „tak o wydaniu uniwersału na Ukrainie jako też w przejmowaniu *vivente principe* nowego Pana manifestacyi, *ratione disjunctionis* (M. S. *Bibl. Uniw. Warsz.* 14, s. 906

dnich paragrafach, zniweczył pomysły skonfederowanego żołnierza, korzystne dla władzy królewskiej i dla Rzpltej, lepsze od wszystkich rad, jakie znajdujemy w ówczesnej literaturze politycznej, zbawienne jako reakcyja przeciwko samobójczej teorii Fredry.

Ludwika Marya, w ruchliwym mózgu płodząc liczne, lubo nie zawsze logiczne pomysły, zamierzała już to zwalczać związek wojskowy przez kozaków zaporoskich i Tatarów, już to zjednać go dla swoich widoków przez pozyskanie starszyny, już rozprządnąć go przez wpływy hetmanów, kanclerzy, senatorów, a więc atakowanych przez szlachtę oligarchów.

Wszystkie te zakusy nie miały powodzenia.

Kozacy zaprzysięgali wprawdzie wierność królowi przed Bieniewskim, a Ludwikę Maryę nazywali „matką”,¹⁾ ale zwodzili ciągle boje pod znakami spierających się o władzę hetmanów i pułkowników swoich. Tatarzy koczowali na Ukrainie i tam hiberny swoje odprawowali w r. 1662, ale oręż ich zwracał się przeciwko wkraczającej pod Romodanowskim armii moskiewskiej. Raz była sprowadzona orda pod Zbaraż, ale użyć jej przeciwko wojsku skonfederowanemu nie dopuścili senatorowie dzięki Jerzemu Lubomirskiemu, który nazwał to „okrutnem lekarstwem, aby nas poganie zagadzać mieli”²⁾. Potem w zimie 1663—1664 był „zaciągnięty” przez króla „sołtanik” tatarski, lecz przyszedł za późno po zawarciu ugody z żołnierzami: więc był użyty na wyprawę do Moskwy.³⁾

Świderski, marszałek związku koronnego, „pijak okrutny” wedle Łosia, ale „człowiek prosty i szczerzy” wedle Paska, chwalony przez Kochowskiego za pilność, za utrzymywanie karności, za oślanianie chłopów przed uciemienieniem i zdzierstwem,⁴⁾ miał od Ludwiki Maryi ofiarowane sobie jedno z jej starostw z dochodem 10,000 zł., drugie

¹⁾ D. 11 listopada 1661 (Sołowjew: Istorja Rossii XI, 128). Wydźga i jego pamiętnik, wyd. Wójcicki (Warsz. 1852) str. 178.

²⁾ Respons od J. K. M... na instrukcyę komisarzów... dany we Lwowie et consilio 12.I 1663 u Medekszy op. cit. 370, Manifest jawnej niewinności Lubomirskiego 1666 str. 80, 81.

³⁾ Pisał o tem Sobieski po 22 latach d. 2.VII 1692 do posła swojego w Wiedniu, Proskiego: „Hanem Krynskim ten to jest teraz sołtan, który podczas owego w Ojczyźnie związku swawolnego był zaciągnięty, ale że już po uspokojonym przyszedł do Polski, zażyty jest na Moskwę” (MS. Bibl. Uniw. Warsz. 1 $\frac{1}{2}$ depesza nr. 177).

⁴⁾ Kochowski: Climact. III, s. 6. Godnem jest uwagi, że związek litewski wzmiankował w swoim suffragium z d. 27.X 1661, że „utrapieni poddani do nieznanej przyszli ruiny”, a w artykułach z d. 20.IX 1661 zamieścił kilka (16—20) ku obronie chłopów: Medeksza str. 230, 233.

10,000 rocznie tytułem pensyi, zabezpieczonej na soli wielickiej, a nadto zegarki, sieci, wino, konie, srebra stołowe, szkatuły, dukaty i tytuł Wielmożnego od króla, od arcybiskupa i od kanclerza Prażmowskiego. Substytut czyli zastępca jego, Borzęcki, „człowiek uczo-uy, fantazyi górnej”, dzielny i dobry żołnierz (jak powiada Pasek) „surowy mściciel biednych wieśniaków za wszelkie na nich spełnione łupieztwo” (podług Kochowskiego) „mąż w męstwie i rozumie nieporównany” (zdaniem Łosia) miał nie tylko ofiarowane sobie starostwo królowej o 30,000 zł. intraty, ale i protekcyę do ładnej panny z fracymeru królowej, krewnej Czarnieckiego. ¹⁾ Takie poselstwo i swatowostwo sprawował Jan Sobieski, chorąży koronny, za pośrednictwem rehabilitowanego świeżo infamisa Radziejowskiego. ²⁾ Mniejsza, że swoje trudy zmarnował; smutniejsza, że odurzony intrygami nie mógł dojrzeć: gazie można-by znaleźć żywioly do uzdrowienia Polski, a gdzie się zaczęła jurgieltowa służba królowi francuskiemu.

Zdaje się, że przystępniejszym dla wpływów dworu okazał się marszałek związku litewskiego, Żeromski, ale też zginął ³⁾ za to z rozkazu substytuta swego, Konstantego Kotowskiego. Jest to epi-

¹⁾ List Ludwika Maryi do Kondusza 19,V 1662 r. u Waliszews. CXXXI, s. 253 ze szkodliwemi opuszczeniami, dokładniej w Portofolio Ludw. Maryi wyd. Raczyńskiego. Poznań 1844, II str. 250, jest tu bowiem natarczywe domaganie się pieniędzy dla ściągnięcia wojsk zagranicznych, szczególnie Szwedów. Lubomirskiego: Manifest str. 60 Borzęcki pod koniec tegoż roku umarł „nie bez podejrzenia, że był otruty... bo tak należało; mówiono, żeby tę świeczkę, która całej konfederacyi, świeciła... gdyż nad tego człowieka w całym związku nie było”. Tak sądzi Pasek (wyd. Lwów 1877 str. 227) i Łoś Pamiętn. wyd. Pauli str. 74. Kochowski (Clim. III str. 36), który się szczycił jego przyjaźnią, wysławia zręczność jego prawicy do szabli, rzeźwość, sprawiedliwość, wymowę, lecz otruci zaprzecza, przypisując zgon przedczesny frasunkom i bezaenności z niepokoju.

²⁾ De Lumbres do Ludwika XIV d. 22,V i 22,VI 1662 r. pisał o doniesieniu Sobieskiego, przyslanem zapewne z obozu, że Radziejowski przeciąga Borzęckiego (Borgelski. Borgenski) wraz z całym wojskiem, lub z większą jego częścią, na stronę królowej, lecz ta negocyacya Sobieskiego z Radziejowskim, a Radziejowskiego z Borzęckim, nie powiodła się (T Luk. X, k. 152, 178).

³⁾ Żeromski był wzięty w Wilnie z klasztoru Karmelitów Bosych pod pozorem zdania sprawy z urzędowania swego; lecz syn jego, chcąc wyzwolić ojca, strzelił z dubeltówki przy bramie Rudnickiej. Wtedy żołnierze wбили najprzód ówiek żelazny w głowę Żeromskiemu (clavo ferreo in caput adacto) na Antokolu, a potem zawieźli do Dubny o trzy wiorsty od miasta i rozsiekali szablami (Kochowski Clim. III str. 40).

zod z dramatycznej i doniosłej w skutkach sprawy Wincentego Gosiewskiego ¹⁾).

Goły fakt składa się z następujących szczegółów: „d. 25 listopada 1662 niejakaś kupa ludzi ze starszym swoim, panem Bohdanem Chlewińskim, do miasta... Wilna... w kilkaset koni człowieka z różnym orężem.. napadłszy i przed samą bramą kamienicy skarbowej, przeciwko ratusza wileńskiego stojącej, zordynowawszy się, potem z tej gromady więcej sta człowieka z koni zsiadłszy i gwałtownie do stancyi w pokoju JW. JP. Wincentego Aleksandra Korwina Gosiewskiego podskarbiego W. i hetm. pol. i pisarza ziemskiego W. X. L., oszmiańskiego, puńskiego, wieliskiego, łozdziejskiego, poszerwintskiego starosty, ekonomii mohilewskiej i okolicy administratora, dyrektora komisyyi, powagę całej Rzpltej reprezentującego, dobywszy się... z pokoju i tej samej stancyi, gdzie się sessye i sądy całej komisyyi odprowowały, wzięwszy i gwałtownie w wóz wsadziwszy, z miasta wileńskiego wyprowadzili ²⁾, a wzięwszy między się, tumaltuorio przez dzień pomieniony 25, 26, 27 i 28 w drodze za wielką strażą prowadząc, różnemi niewczasami turbowali, słowami i kalumniami niesłychanemi dysgustując. Potem 29, t. m. listopada niejakiś p. Jan Nowoszyński, zniósłszy się z p. Chlewińskim... we sto koni świeżych do dworu JP. Chładowickiego, nazwanego Kubrawka... gdzie już JP. podskarbi na nocleg naznaczony stanął był, konno przyjechawszy, z tego dworu wyjeżdżać kazał i, bez litości nad niezdrowym, na gościniec wileński... nieopodal od samego miasta Ostryni, w powiecie lidzkim leżącego, przyprowadziwszy i z karety gwałtownie pod krucyfiksem wysadziwszy... nie dając się w jawnej Bogu i całemu światu niewinności sprawować... respondował... że już nie może być inaczej, tylko tu musi (podskarbi) żywot swój kończyć... Niedopusciwszy panu podskarbiemu dostatecznie z Panem Bogiem się pojednać, ani żalosnej małżonce dyspozycyi dostatecznej uczynić, oderwawszy kapelana i spowiednika JX. Sam. Kudarowskiego Societatis Jesu od boku JPana, mianowicie tenże sam wyż pomieniony

¹⁾ Co do pisowni: Gąsiewski, czy Gosiewski wynika wątpliwość z tego najbardziej powodu, że pierwsza forma została użyta w Vol. Leg. Znaleźliśmy atoli własnoręczny podpis: „Wincenty Korwin Gosiewski“ na senatusconsilium z d. 6, VII 1662 r. (trzeciem z kolei w MS. Czartor. nr. 491). Tak samo podpisała się wdowa „M. C. Gosiewska“ na liście, adresowanym à Mr. Mr. Drzewiński soit rendu a Konopat d. 25 III 1667 z Warszawy (M.S. famlii Gosiewskich tamże nr. 392).

²⁾ Chlewiński wrócił jeszcze z drogi do Wilna sam jeden i stawił się przed hetmanem W. Sapiehą, żeby czyn swój usprawiedliwić otrzymanym od wojska rozkazem i upewnić Komisyyę o zupełnem bezpieczeństwie dalszych jej obrad. (Kochowski Clim. str. 40)

p. Nowoszyński i z nim niejacyś p. Awramowicz Mik., Wykowski Jan. Zdanowicz, Woroniecki, Jeż, Karłowicz Kazim., Iwidzki Wł., Czyż Piotr i inne wiadome, a do tego uczynku subordynowane osoby... z strzelby różnej kilkunastu pistoletów i bandoletów bezbożnie z tego świata znieśli. A lubo od postrzału pierwszego w głowę przy lewem uchu tegoż momentu Bogu ducha oddał, jeszcze jednak na większe tyraństwo... w ciało nieboszczykowskie, na oblicze ku ziemi upadłe, wznak owo z okrucieństwa obróciwszy, kilkanaście razy wystrzelili. Samo ciało rozsiekać chcieli".¹⁾

Cóż znaczy to morderstwo, dokonane przez żołnierzy na wodzu swoim, który przed kilku miesiącami zaledwie powrócił z czteroletniej niewoli moskiewskiej?

Sprawca intelektualny i winowajca główny, Konstanty Kotowski, marszałek powiatu mozyrskiego, substytut wojsk J.K. Mci, manifestacją, datowaną na sessyi w Olicie d. 2 grudnia 1662, a do trybunału zanesioną i po powiatach rozesłaną, wiadczył, że „się to dla szczególnej całości dostojęństwa majestatu J. K. Mci i konserwacyi Ojczyzny, jej praw i swobód stać musiało”. Wspominał ogólnikowo o dokumentach, z których miało się okazać, że pożoga wojenna pochodzi od pewnych osób, tajemnie w kraju i po za krajem „knujących na zgubę naszą et eversionem całej Ojczyzny”.²⁾ Wierszem ułożony przez kogoś „nagrobek” wspomina o „chytrych senatorach koronnych”, o kanclerzu koronnym (Prażmowskim), o wojewodzie ruskim (Czarnieckim), o Reju (kanclerzu królowej), o Lubowidzkim, kasztelanie wolińskim; co do Gosiewskiego zarzuca mu, że „Warszawą się opętał, fakcją nadęty; chytra dworska fakcya w grób go wprowadziła”³⁾.

Spółcześni uznali wiersze takie za paszkwil, obwinienia za oszczerstwa. Dowodów, zdaje się, sam Kotowski nie posiadał. Teraz dopiero my je znajdujemy w raportach posła francuskiego de Lumbres i w listach królowej Ludwiki Maryi, przechowanych we Francyi.

Gosiewski po powrocie z Moskwy sprzedał się Ludwice Maryi za 18,000 franków natychmiastowej zapłaty, za obiecane 100,000 tala-

¹⁾ Manifestacja etc. Magdaleny z Konopatu Gosiewskiej wdowy, u Medekszy op. cit. str. 348—352. Obszerniejsza manifestacja była zanesiona do trybunału. a następnie wcielona do dekretu sejmowego, który jednak nie daje się odczytać w całości z powodu zbutwienia rękopisu.

²⁾ Medeksza: op. cit. 320—321.

³⁾ Medeksza: op. cit. 318. Inny okolicznościowy świstek w kształcie nagrobku (Epitaphium J. D. Gosiewski w M.S. Bibl. Uniw. Warsz. 4¹⁾, str. 334) wkłada w usta nieboszczykowi podobne wyznanie: „Gallorum insidiis perii. Regina ministra est mortis. Vespilio (Vespillo?) Condeus et Pacius).

rów po elekcyi księcia d'Anghien i za jedno ze starostw, położonych nad brzegiem morza. Zwabiony do Warszawy, wahał się przez parę tygodni, aż d. 12 czerwca 1662 r. wieczorem złożył jasne oświadczenie przed królową, że odda się interesom Francyi i przeprowadzi elekcyę księcia". Obiecał stawić się w przeciagu dni kilku w klasztorze Panny Maryi i w obecności pana de Lumbres zaprzysiądz wierną służbę na Przenajświętszym Sakramencie. Zastrzegał tajemnicę przed kanclerzami, szczególnie przed litewskim.¹⁾

Plan jego, znany nam z depešy de Lumbres'a²⁾ zasadał się na utworzeniu nowego związku, do którego mieli być powołani: hetmani wielki koronny Potocki, Sapieha, pisarz polny lit., Stanisław Jabłonowski i Sobieski, oraz na pozyskaniu Jerzego Lubomirskiego. Ogłoszenia elekcyi zaraz lub użycia siły przeciwko wojskom skonfederowanym nie uznawał za możliwe. Zalecał na początek działanie tajemne z dyssymulacją. Takie też działanie Gosiewski rozpoczął zapewne, będąc mianowany „dyrektorem” komisyi, układającej się z wojskiem w imieniu króla i senatu. Szczegóły nie są nam znane. Wdowa Gosiewskiego pisała dokomisarzy koronnych, że na konfederacyi w Olicie, gdzie przyczyny śmierci pokazane być miały—i na to Ichm. PP. senatorowie jako Ichm. PP. posłowie zwołani byli—nie tylko nie pokazać nie można, coby starożytniej cnotie i nienaruszonej nigdy przeciwko JKMc i Rzpłtej (?) wierze małżonka mojego najmniejszą zmaę zadać mogło, ale jeszcze w sercach wielu samychże pobożnego rycerstwa W. Ks. Lit..., bez których zezwolenia uczynek ten popełniony, chrześcijańska niewinna krew znalazła kompassyą. Ta tylko wina, jeśli cnota występkiem nazwać się może, znajdować się przy nim będzie, dla której tę śmierć poniósł, że wszystkie bezsenne starania swoje i zrujnowane długiem więzieniem nieprzyjacielskiem zdrowie na to był odważył, aby wojska W. Księstwa Lit. uspokoić i do ustug J. K. Mc i Rzpłtej jako najprędzej mógł spólnie z drugimi JPP. kolegami nakierować”.³⁾

Nie podając szczeroci pani Gosiewskiej w wątpliwość, winniśmy jednak oświadczyć, że mąż jej nie uprawiał cnoty ani starożytniej, ani nowożytnej. Od czasu jak został hetmanem polnym, zawsze był w rozterce z hetmanami wielkimi. Januszowi Radziwiłłowi źle poma-

¹⁾ Powołany przez Waliszewskiego na str. 108 raport de Lumbres'a do Ludwika XIV z d. 22.VI 1662 r. w Archiwum Spraw Zagr. franc. Listy Ludwiki Maryi do Kondensza z d. 19.V i 13.VI 1662 także w Dokumentach CXXXI i CXXXII str. 252, 253.

²⁾ Teka Lukasa X, k. 189 nn., treść podana u Waliszewskiego str. 100, ale z mylną datą 14, zamiast 13.VII 1662.

³⁾ List z d. 1,II 1663 u Medekszy op. cit. str. 377—378.

gał przy szturmowaniu m. Bychowa i ściągnął na siebie zarzut spowodowania porażki pod Sepelińcami, czyli Szepielowem, w wojnie z Moskwą.¹⁾ Nie z patryotycznego uniesienia, lecz z egoistycznych pobudek odstrychnął się od podpisania d. 18 sierpnia 1655 unii W. Ks. Litewskiego ze Szwecją. Uwięziony zrazu przez Janusza Radziwiłła, wyostał się na wolność przez protekcję elektora brandenburskiego; potem, objąwszy komendę nad wojskiem litewskim, wkroczył do Prus Książęcych, pustoszył je i odniósł nawet zwycięstwo nad korpusikiem elektorsko-szwedzkim (pod Prostkami d. 8 października 1656); ale wziętego w niewolę Bogusława Radziwiłła oddał pod straż najbliższego krewnego, Michała Radziwiłła, co ucieczkę umożliwiło.²⁾ Jednocześnie jadący od niego w poselstwie do Moskwy Medeksza upraszał Szeremetiewa w Borysowie, aby „dla zatrzymania JP. Gosiewskiego przy stronie carskiej... pożałował (obdarował) go majątnościami” i prośbę tę powtórzył później w przykazie poselskim przed djakami dumnymi, Almazem Iwanowiczem i Jefimem Radiwonowiczem Jurjewem, wyliczywszy dowody życzliwości hetmańskiej, świadczonej carowi. W instrukcyi (z dnia 1 sierpnia 1657 r.) życzliwość tę Gosiewski określał w ten sposób, że aż „przyszedeł był do suspicyi u JKMc i Rzpłtej, że go zdrajcą zwano”, a w punktach dodatkowych, w razie gdyby Medeksza został aresztowany, wolno mu było dodać, że Gosiewski „może, unię z Koroną rozerwawszy, złączyć się z carstwem moskiewskim i wiele koronnych, tudzież wojsko p. Sapiehy (który bardziej Korony, a nie Księstwa Litewskiego pilnuje) do siebie pociągnąć”.³⁾

Ze słów tych wygląda „cnota” zupełnie taka sama, jak u Janusza Radziwiłła. Jeden zawarł unię Litwy ze Szwecją, drugi gotów był zawrzeć z Moskwą. Można by rozróżnić czyn dokonany od oświadczeń dyplomatycznych: ale gdzież pewność, że Gosiewski cofnąłby się przed czynem zdradzieckim, gdyby się znalazł w podobnych, jak Radziwiłł, okolicznościach? Obadwaj kierują się jednakowemi pobudkami: chciwością dóbr ziemskich i ambicyą. Gosiewski zazdrości buławy wielkiej Pawłowi Sapieże, który zasłużył na nią rzeczywiście i pracami wojennymi, i ogromnemi wydatkami na wojsko, w ciągu lat

¹⁾ Jul. Bartoszewicz w Encykl. Orgelbr. większej t. X str. 307. Własnoręczny list Janusza Radziwiłła do Kaź. Dowgiatły o nieszczęśliwej utarczce pod Szepielowem znajduje się w archiw. nieświeskim w tece 12, d. 18, IX 1655 z Kiejdan.

²⁾ Kochowski nasuwa domysł, że ucieczka znakomitych jeńców szwedzkich zasłała przy porażce, poniesionej od generała Steinbocka nad jeziorem Habem. Clim. II str. 173.

³⁾ Medeksza op. cit. 50, 127, 128, 159.

1655—1661 łożonemi z własnej fortuny. Zazdrość ta spowodowała występłą rozterkę pomiędzy hetmanem polnym a wielkim. Pobity pod Werkami, Gosiewski dostał się do niewoli skutkiem tej rozterki: niesłusznie więc żona jego lamentowała nad „zdrowiem od więz nieprzyjacielskich słabem“¹⁾. Istotną różnicę pomiędzy Januszem Radziwiłłem a Gosiewskim widzimy tylko w temperamencie, pierwszy bowiem był gwałtowny, drugi zaś zimny i skryty²⁾: to też wojsko nie domyślało się długo knowań jego i w r. 1661 uznawało go jeszcze za swego zwierzchnika, darzyło miłością i zaufaniem, uwolniło dobra jego od wszelkich ciężarów, noclegów, stanowisk, pokarmów, zajazdów etc. za staraniem Medekszy.³⁾

Nie znajdujemy wskazówek w aktach, jak daleko posunął się Gosiewski w wykonaniu zobowiązań swoich, przed Ludwiką Maryą zaciągniętych. Podobno przeprowadził rozszczepienie wojska na dwa „skrzydła”: prawe i lewe, co w istocie stało się przyczyną późniejszej rozterki, a więc i osłabienia związku. Czytamy jeszcze niewyraźne wzmianki o pogłoskach, które wyszły z komisyyi, oraz o „jawnych dokumentach na zgubę ojczyzny i samych wojsk”.⁴⁾ Czynem zaś, który spowodował katastrofę, było przepuszczenie Dźwiną strugów, naładowanych siemieniem luanem i konopnem, do Rygi, za uniwersalem Gosiewskiego i przyzwoleniem Żeromskiego. Sam Gosiewski pisał o tem na pięć dni przed aresztem swoim do kanclerza lit. Paca z wyjaśnieniem, że te strugi należały do mieszczan i kupców ryskich i że były przepuszczone w skutek rekwizycyi Sparra, gubernatora ryskiego, oraz następcy jego, Oxensterny, lecz niejacy traductores „ochrzczili te strugi moskiewskimi”. Irrytacya tłała w kole wojskowem przez kilka tygodni; potem wysłani byli inkwizytorowie i sprowadzeni do Wołpy na zebranie koła komendant jednego pułku, nazwiskiem Polski, i chorąży

1) Dziękowała jednak carowej Maryi Ilincznie za dodawanie doktorów w chorobie i opatrywanie potrzeb małżonka w więzieniu: Medeksza op. cit. 195.

2) Waliszewski op. cit. str. 257. w memoryale Caillet'a: „Gosiewski, personne dans le pays de plus d'esprit et plus capable de grandes affaires; froid, se déconvrant peu; la reine défère beaucoup à ses conseils, quoique n'aimant pas son temperament; a tardé à se joindre à notre affaire; tres zélé depuis.

3) Medeksza op. cit. 260. 262. Dobra są liczne i obszerne: Marków, Horodziłów, Polony, Punie, Łankieliszki, Królowo-Krzeseł, Olita, Jeminty, Krakopole, Wronowsk, Balbierzyszki, Wołczyn, Łozdzieje, Preny, Wierzbołów, Stokliszki. W nagrodę więzów król nadał jeszcze i Kiejdany (str. 425). Prawie każda z tych posiadłości pojedynczo stanowiłaby dzisiaj pańską fortunę.

4) Kochowski: Climac. III str. List od wojska W. X. Lit. do Trybunału str. 404 konjuracya na śmierć JP. podskarbiego i kopia listu Kotowskiego do JPP komisarzów s. 316, 317 u Medekszy.

Sipowicz, na dzień 20 listopada. ¹⁾ Ich zeznania zapewne stały się powodem sprzysiężenia starszyny na sessyi półrocznej d. 22 listopada, Zwołano wszystkich wojskowych przez trąbę do kościoła na „sessyę generalną”. Po odebraniu przysięgi na sekret, Kotowski „jął przekładać z żalością wielką, że już wszystkiemu wojsku o resztę idzie zdrowia i honoru... że ordę na nas sprowadzają”. I ukazał listy, cyframi pisane, kanclerza lit. Krzyszta. Paca do Gosiewskiego, „w których wprawdzie wspomiano ordę i ujęte (przekupionych) deputaty, ale cyfr nikt nie mógł wyłożyć, albo raczej wytłómaczyć—tak trudne były”. Powstała wrzawa wielka. Wołano: „rozsiekać”! ale w końcu stanęła uchwała, że Gosiewski ma być aresztowany. Tak rozumiał obecny w kole Poczobut, ale Kotowski z kilku konsyliarzami twierdzi, że „my, wszystko rycerstwo wojsk JKMei i W. Ks. Lit. poprzysięgliśmy unanimiter wykonać egzekucyę, zabiegając, aby się to złe w większy nie szerzyło płomień i utrapiona ojczyzna... do ostatniego nie przyszła zginienia”. ²⁾

Kotowski przed 7-u laty odegrał główną rolę w patryotycznym buncie przeciwko hetmanowi swojemu, J. Radziwiłłowi, ³⁾ za co zyskał (w spółce z kolegami) uznanie powszechne u współczesnych, pochwały jednomyślne dziejopisów późniejszych i świetny pomnik literacki, wyrzeźbiony artystycznie piórem Sienkiewicza. Cieszył się znać wielkiem zaufaniem u towarzyszków broni, jeśli mu powierzyli poselstwo do sejmu w marcu 1662 r. ⁴⁾ Teraz urządził drugą, poprawną edycyę buntu patryotycznego przeciwko zwierzchności wojskowej, ale sprowadził skutki wcale odmienne, tak dla siebie, jako też dla sprawy, której chciał usłużyć. Senatorowie pojedynczo i zbiorowo, prymas, hetmani koronni: Potocki i Jerzy Lubomirski, przesłali do rozżalonej

¹⁾ List Gosiewskiego do Krzysztofa Paca u Medekszy s. 313, 314. Senatusconsultum z d. 7, I 1663 we Lwowie (ósme w MS. Czartor. nr. 401 w punkcie 7-m) okazało „strugi ryskie puścić insistentą pactom Oliwskim, ale do Gubernatora Infant napisac, żeby się zaopatrzyły z nich w żywność fortece moskiewskie“.

²⁾ Poczobut—Odlanicki: Pamięt. str. 62—63, Medekaza s. 316, 317

³⁾ W liście do Bogusł. Radziwiłła z d. 26, VII 1655 r. Janusz Radziwiłł pisał: „Kiedybyś W. Ks. Mość, ostrożnie tych konfederatów mijając, a capita ich, jako jest Żyromski, Kmicic, Lipnicki, Kotowski (a ten z Kmicicem najgorszy) do siebie zaprosił, a powiązawszy zdrajców, do Prus uwiózł, żeby ich dostać mógł, albo, jeśli wykraść trudno, łby im pourzynać kazał, uczynił-byś W. Ks. Mość taką rzecz, którą-byś Litwę i dom swój ratował i rzeczy tak naprawił, żeby już w Litwie nikt przeciwko nam nie pisał”. (Michałowski: Księga Pamiętnicza Kraków 1864 r. wyd. Helela str. 768). Podejrzenia nasze co do wiarygodności tego listu rozproszyły się, gdyśmy podobnie gwałtowne znaleźli zalecenia w listach własnoręcznych Janusza Radziwiłła w tece 12 archiw. nieświeskiego.

⁴⁾ Kochowski: Climac. III str. 23.

wdowy wyrazy współczucia i zgrozy. Gosiewski przeistoczył się na ofiarę niewinną, na „prawdziwego męczennika Rzpltej”, na męża cnotliwego, wspaniałomyślnego, ojczyźnie zasłużonego, nagród narodowych godnego. Losem wdowy i potomstwa zajął się sejm; sumy pieniężne i dobra ziemskie były jej przyznane konstytucyami, wpisaniem do księgi praw i pismami królewskimi. Nareszcie wojsko litewskie, szczególnie skrzydło prawe, nie wtajemniczone do „konjuracyi”, przyjęło manifesty spiskowców z niezmiernem oburzeniem. Dnia 22 kwietnia 1663 r. zebrał się w Szadowie delegaci od każdej chorągwi. Kotowski, pojmany w drodze, gdy wracał z chrzcin, „za czuprynę wzięty” (bo się opierał), został wydany na sąd wraz z kilkoma spółnikami. Dekretem sejmowym poniósł karę śmierci przez ścięcie z następnem ćwiertowaniem, a trzech inni bez ćwiertowania; poprzednio kat palił w jego rękę akt konjuracyi i inne uwłaczające honorowi Gosiewskiego pisma. ¹⁾

Zaiste jest dla poety obficie pierwiastku tragicznego, a dla myśliciela moralisty materiału do wniosków smutnych w losach Kotowskiego i w dziejach obu konfederacyi wojskowych. Wodzowie i dostojnicy zaprzędawali ojczyznę obcym monarchom z pobudek oligarchicznej pychy i chciwości na pieniądź; ratować ją chcieli waleczni żołnierze buntem przeciwko zwierzchności swojej legalnej. Patryotyzm ich był zrozumiany i trafnie oceniony w 1655 r., gdy król i królowa pragnęli odzyskać tron utracony. Ale po powrocie do Polski Jan Kazimierz i Ludwika Marya nie uszanowali ani patryotyzmu, ani sprawiedliwości. Żaden z możliwych zdrajców nie poniósł prawem określonej kary, nie doznał nawet uszczerbku na stanowisku społecznym i fortunie. Janusz Radziwiłł zmarł śmiercią naturalną; imię jego nie jest dotknięte żadnym wyrazem chociażby najłżejszej nagany w księgach Praw; dobra były wprawdzie zajęte czasowo i przeznaczone na dar dla wojska litewskiego, lecz traktatem Oliwskim²⁾ przekazano je do zwrotu pozostałej po nim jedynej córce, Annie Maryi, i, pomimo powtarzanych kilkakrotnie zażaleń związku wojskowego, przeszły w posiadanie Bogusława Radziwiłła, który się z nią ożenił. ³⁾ A tenże

¹⁾ Medeksa: op. cit. 382, 319. Treść listu Paca Michała do króla z Gryniskiek d. 24, IV 1663 o poddaniu się dywizyi Gosiewskiego, liczącej 11,000 jazdy. o areztowaniu Kotowskiego, Jeśmana i Niewiarowskiego, tudzież o zabraniu artyleryi w T. Luk. XI k. 109 cfr. 132.

²⁾ Art. VII, Vol. Leg. IV fol. 746.

³⁾ We wszystkich powoływanych wyżej punktach i instrukcyach związkowych powtarza się artykuł o dobrach Radziwiłłowskich. Bogusław ożenił się d. 25. XI 1665, umarł 31, XII 1669 w pobliżu Królewca w podróży. Córka z tego małżeństwa, Louise Charlotte, wychowywała się w Królewcu pod opieką elektora, a z czasem stała

Bogusław, co to przyprowadził własny pułk do oblężonej przez Polaków Warszawy i bił się w szeregach szwedzko - brandenburskich z królem swoim, z hetmanami koronnymi i litewskimi na Pradze w trzydniowej słynnej bitwie, oraz pod Prostkami z Gosiewskim; co, uciekwszy z jego obozu, umawiał się z wrogami Polski i w traktacie z nowym najezdniczem, Rakoczem, d. 20 listopada 1656 r., miał obiecane sobie księstwo udzielne na Czarnej Rusi, gdy Polska rozebraną i podzieloną zostanie między Siedmiogrodzian, Szwecyę i Brandenburczyków; co w nagrodę swych usług, na szkodę Polski zwróconych, przy układaniu traktatu welawskiego otrzymał od elektora Fryderyka Wilhelma II dożywotni urząd generalnego namiestnika (Statthalter) czyli gubernatora Prus i sprawował takowy przez lat 12 do końca życia swego ¹⁾ — ten zbrodniarz, tyle razy winien śmierci haniebnej, otrzymał amnestyę, był zaszczycony w uchwale sejmowej 1659 pochlebniemi a kłamliwemi słowy, ²⁾ przyjeżdżał do kraju, ilekroć chciał zasiąść na sejmie lub w radzie królewskiej, a nawet do tegoż samego związku wojskowego zjeżdżał w liczbie komisarzy, wyprawionych od sejmu w kwietniu 1662 r. na układy do Kobrynia. I to nawet nie szkodziło mu w oczach gorliwej o katolicyzm królewskiej pary, że był kalwinem, a więc heretykiem, mało co lepszym od wywołanych z Polski Aryanów, których nawet bronił na sejmie 1662 r. tak energicznie, że wymógł zniszczenie przygotowanej już konstytucyi. Wszystko to się tłumaczy nie tyle pokrewieństwem zuchwałego magnata-zbrodniarza z Hohenzollernami (przez matkę elektorównę), ile zręcznością jego w ofiarowaniu swych

się przedmiotem konkurów 1680 — 1688 i zawiedzionych nadziei Jakóba Sobieskiego. (Die historische Stellung des Hauses Radzivil. Berlin 1893 in Commission bei R. G. Schenk. Deckers Verlag str. 2).

¹⁾ Pouczającą jest praca B. Kalickiego p. t. „Bogusław Radziwiłł“, Kraków 1878. Mylnie tylko przedstawiony, jest Gosiewski, jako „charakter prawy i szczery, żołnierz dzielny lecz nie biegły dyplomata... uczciwy Gosiewski, bo między współczesnymi niewątpliwie do uczciwych należał... sam skłonny do wdawania się w intrygi polityczne (a więc?)... jak kaźden niezręczny dyplomata grzeszył przedewszystkiem łatwowiernością bez granic“ (s. 33—37) Autor nie znał wcale stosunków jego z Ludwiką Maryą.

²⁾ Vol. Leg IV fol. 180: „A, iż W-ny Książę Bogusław Radziwiłł, koniuezy W. Ks. Lit. przez wszystek czas hostilitatis ludzie zaciągu cudzoziemskiego, pieszery, dragonskiego i raytarskiego, także piechotę węgierską własnym kosztem bez żołdu i chleba Rzpłtej na fortecy Słuckiej trzymał i nim odpór następującemu nieprzyjacielowi dawał... tedy ludzie te w komplet W. Ks. Lit. przyjmujemy“ (1659). Wcale inaczej wygląda ten „odpór“ w korespondencyi Bogusława z komendantem owego Słucka, prowadzonej w języku niemieckim, i w przytoczonych przez Kotłubaja (Galerya Nieświeska s. 19) dowodach, że Bogusław zostawał w ściślejszych stosunkach z Bohdanem Chmielnickim, który fortece Słucką zasiliał nawet żywnością.

usług królowi Imci „panu miłościwemu” oraz królowej jejmości i posłowi francuskiemu w sprawie elekcji. W tym czasie właśnie, d. 17 marca 1662 r., oświadczył gotowość stawienia 4000 żołnierza swego nadwornego dla przeprowadzenia obioru księcia d'Anguien. ¹⁾ Na tymże sejmie nastąpiło zniesienie infamii i przywrócenie do czci Radziejowskiego za protekcją Ludwika Maryi, która wysłała go do konszachców z Borzęckim i innymi oficerami więzkowymi. ²⁾

Wobec takiej bezkarności najcięższych zbrodni przeciwko ojczyźnie, wobec jawnego podeptania kardynalnych zasad sprawiedliwości państwowej przez władzę najwyższą, nie łatweż-to było zadanie wynaleźć sposoby legalne, prawowite, do zabezpieczenia sprawy narodowej od nowych zdrad, do „zatomowania tandem krwawego w ojczyźnie, osobliwie w W. Ks. Litewskim, potopu”. ³⁾ Co miało uradzić koło wojskowe w Wołpie, słysząc o zamiarach Gosiewskiego, o zamierzonym sprowadzeniu kozaków i ordy? „Rozsiekać!” jest jedynym bodaj wymiarem sprawiedliwości tam, gdzie na złoczyńców niemasz sądu legalnego a skutecznego.

Pierwiastek tragiczny wywiązał się stąd, że Kotowski, wzięwszy na się rolę oskarżyciela i wykonawcy, nie umiał zbudzić w towarzyszach broni chociażby moralnego przekonania o winie oskarżonego. Kozacy i orda nie uderzyli przecie na wojsko związkowe; cyfry z listu Paca nie były wytłómaczone, a może i nie zawierały dowodów zdrady. Więc rozgłośnem i przejmującym echem ozwały się przedśmiertne słowa Gosiewskiego: „Ja, będąc hetmanem tak wiele lat, najmniejszego-m pacholika bez sądzi nie stracił, a WPanowie mnie, hetmana, tak chcecie zabijać”? Słowa te zabiły i zniesławiły Kotowskiego, który przecieź lepszego był wart losu, skoro źródła historyczne przechowały

¹⁾ Medeksa: op. cit. str. 291. Bogusław otrzymał amnestję po zawarciu traktatu Welawskiego w Bydgoszczy, „do nóg upadłszy królowi, łaskawie od niego przyjęty”. Pisał do Januszowej d. 6.VIII 1657 z Labiau: „Jam już wojować przestał, spuściwszy się na łaskę J. K. Mci Pana Miłościwego”. Wcale pokorne listy (w Arch. Nieświeskiem) rozsyłał do senatorów w celu odzyskania dóbr sekwestrowanych. Offerta 4000 żołnierza znajduje się w liście Caillet'a do Kondusza, cytowanym przez Waliszewskiego str. 108.

²⁾ Vol. Leg. IV fol. 763. O intrygach Radziejowskiego w wojsku koronnem wspominają w depezach majowych i czerwcowych 1662 Caillet i de Lumbres (Teki Luk X, k. 143, 152, 179), ale już poprzednio d. 10.II|1662 Ludwik XIV pisał do ambasadora swego, qu'il veut tenir à Ragieński et à Pinotio les promesses que leur a faite la Reine de Pologne si l'affaire réussit (tamże k. 44).

³⁾ Wyrażenie to znajduje się w nieco późniejszej „Manifestacji Wojsk W. Ks. Lit.” z d. 5.V 1663 r. Medeksa str. 412, ale nie koniecznie w tej dacie miało się zrodzić; jest ono przypomnieniem klęsk z całego poprzedniego siedmiolecia.

nam tylko pamięć o jego zasługach dla ojczyzny, a żadnej nie podają wskazówki, żeby się powodował samolubnemi i przewrotnemi pobudkami nawet w ostatniej, tak fatalnej dla niego, sprawie. Przy prawidłowej działalności organizmu politycznego sąd wojskowy w imię zasady karności kazałby zapewne Kotowskiego rozstrzelać przy uznaniu jego zasług i bohaterskich porywów, ale ponieśli-by karę gorszą od ćwierwania: Bogusław Radziwiłł i Hieronim Radziejowski, za zdrady i morderdy, na ojczyźnie spełnione, tudzież hetman i minister Gosiewski za służbę, ofiarowaną dwom obcym monarchom, i za przewrotność w pełnieniu służby własnemu krajowi.

Następstwem tej tragedji było rychłe zniweczenie związków, najprzód litewskiego, a potem i koronnego. Sami uczestnicy ich uczuli w sercach wstyd i odrazę, wybuchali złorzeczeniami na sprawców mordu ¹⁾, wypierali się moralnego współnictwa z nimi, widzieli „wolność rozpustną“ w starszyźnie swojej, nazwali ją potworem (monstra), który, pod pozorem godziwego upominania się zasług, dopuścił się „lekkiego poważenia i wyrotu praw Rzpltej oraz dostojęństwa pańskiego i zwierzchności należytej”. ²⁾

Wielki akt skruchy i pokory odbył się najprzód w Szadowie na Żmudzi. Zjeżdżając się d. 22 kwietnia, oficerowie i towarzystwo lewego skrzydła uznawali, że związek „już jest rozwiązany i wywołany”. Przy takim ustposobieniu łatwo poszły układy związkowych z Jerzym Białożorem, biskupem wileńskim i komisarzem do „ujmowania wojsk” litewskich. Z obliczonych na 9 milionów zasług zaległych wojsko

¹⁾ Nie tylko Medeksza (str 238, 319, 321), zbliżony osobistym stosunkiem do Gosiewskiego i jego wdowy, opatrzył dokument rokoszu potępiającemi przypiskami (np. „Napisał ten związek świętobliwie, ale niecnotliwie i prawie piekielnie sprawowali się... i jam zrazu chwalił, ale teraz tę świętobliwość przekleństwem konkluduję i ten przeklęty będzie, który dalej tą drogą pójdzie“). Podobnie pisze Poczobut (s. 49): „Jako się pięknie sformował (spisek), przyzna każdy, że dobrze zaczęli; ale lada jako skończyli, że nam Hetmana zabili. Co gdyby nie było iyrtaamentem między nami samymi i przeszkołą... tedy-by siła rzeczy dokazali, przeciwko się którym byli spisali. Kochowski, będąc w związku koronnym. opowiedziawszy „smutny i przerażający wypadek“, wygłasza podobny pogląd: „Tak padł senator pod ciosami obywateli, wódz pod ciosami żołnierza... przez niezmierne, więcej niż barbarzyńskie, okrucieństwo, które słusznie może być porównane z dzikością czasów Sullańskich; zgładzony bez wszelkiego sądu tak co do czynu, iak co do osoby“ (Climact. III str. 41).

²⁾ Instrukeye... z koła generalnego w Szadowie... Maj 1663 r. u Medekszy str. 422.

zrzekło się połowy, a poprzestało na 400,000 płatnych w połowie za pół roku d. 16 stycznia 1664 r., trzeci milion miał być wypłacony za rok, 10 czerwca, czwarty po sejmie, który obmyśli termin i sposób wypłaty, piąty milion miał być przekazany Akademii Wileńskiej na odnowienie jej po zrujnowaniu nieprzyjacielskiem przez wojewodów morskiewskich. W traktacie zrobiono zastrzeżenie tylko co do elekcji; zresztą regulowano sprawy pomniejsze, osobiste. W imieniu króla biskup assekurował jeszcze dar 600,000 złp. z „munificencyi Pańskiej” za przybyciem wojska do JKMcI. Nastąpiła zaraz uroczysta restytucya ze strony wojska: rozesłanie listów i manifestacyi do trybunału litewskiego, do hetmana wielkiego, do prymasa z potępieniem „zabójstw niewinnej krwi” i domaganiem się kary na „ojcobójców“, „bandytów” (parricidas, sicarios); strzelanie z armat na cześć urodzonego w tym czasie syna-pogrobowca po Gosiewskim i nadanie niemowlęciu tytułów rotmistrza i pułkownika, nareszcie „zdrapanie spisku wojskowego” czyli dokumentu, opatrzonego podpisami, wtłoczenie do armaty i wystrzelenie na wiatr, d. 8 maja 1663 r. Prawe skrzydło przyjęło te same warunki traktatem, w Mostach zawartym d. 4 sierpnia 1663 r., obiecując przeproszenie publiczne króla, hetmana w. lit., senatorów, urzędów obojga narodów, pułkowników i rotmistrzów.¹⁾

Przykład lewego skrzydła litewskiego oddziałał też na związek koronny, który na układach w Wolborzu z Czartoryskim, biskupem kujawskim, po wysłuchaniu jego patryotycznej mowy, zmniejszył już w grudniu 1662 r. swoje pretensye z 15 i pół milionów do 9,300,000²⁾; z tych 7 milionów miano wypłacić we Lwowie na 15 lutego następnego 1663 r. Ale suma ta nie została skompletowaną z powodu nieakuratności dwóch województw wielkopolskich w składaniu podatków. Zaproponowano wojsku, aby przyjęło assygnacye do zalegających województw i samo egzekwowało należność swoją z dóbr szlacheckich. Starszyzna wojskowa nie przystała na taką propozycyę, a koło d. 3

¹⁾ Punkta od wojsk W. Ks. Lit. w kole generalnem w Szadowie d. 4 maja 1663 r. przez ks. Jerzego Białłozora biskupa wileńskiego, sejmem przeszłym naznaczonego, a teraz ze Lwowa od J. K. Mci i Rzpltej zesłanego podane i postanowione; Nowiny drugie z obozu d. 7 maja z Szadowa pisane; Druga assekuracya na 600,000 zł. Punkt około śmierci nieboszczykowskiej komisarzom J. K. Mci od wojska pod Czernonym Dworem podany; Actus Commissionis, który się w Mostach odprawował d. 4 sierp. 1663—wszystko to u Medekszy op. cit. str. 399, 400, 463, 396, 436, 437, 439.

²⁾ Kochoński: *Clim.* III str. 46, 47. Tekst traktatu wolborskiego u Medekszy 335, 372, z uzupełnieniem przez consilium Lwowskie d. 13 stycz. 1653 r. Ważne wyjaśnienia znajdują się w depeszach de Lumbres a z d. 18, I, 2, II i 9, III 1663 r. w *Tece Luk.* XI k. 16, 38, 76.

marca 1663 r. uchwaliło w obec niedotrzymania umowy, zajęcie dóbr duchownych, komisarskich i królewskich, pozostawiając wolnemi tylko dwie ekonomie (samborską i malborską); odmówiło też audyencyi przybyłym w roli komisarzy i medyatorów tak wysokim dostojnikom, jak prymas Leszczyński, marszałek wielki, i hetman polny kor., Jerzy Lubomirski, wojewoda sandomierski Jan Zamoyski, kasztelanów trzech i czterech delegatów ze stanu rycerskiego. Król uniwersałem, datowanym d. 12 marca 1663 r. ze Lwowa, wynurzał swój żal za wzgardzenie „wszelkich sposobów uspokojenia co jeno rozumiemy i siły ludzkie podawać mogły“ i zawiadamiał, że miliony te są już do Lwowa zwiezione; wzywał przeto do stawienia się po odbiór ich w ciągu 4-ch tygodni.¹⁾

Uniwersał nie poskutkował. Obie strony przybrały się w groźny rysztnunek. Świdzki bowiem skoncentrował wszystkie wojska związkowe pod Solcem, przepawił się za Wisłę pod Zawichostem i stanął obozem pod Baśnią; Czarniecki i 24 chorągwie pozyskane przezeń do Związku Pobożnego (Nexus Pius) pod laską Niezabitowskiego, posunęli się pod Koźnice czy Choźnicę w pobliżu Janowca; Jan Kazimierz wyjechał ze Lwowa d. 29 maja i zapowiadał rychłe przybycie Tatarów. Dopiero d. 3 czerwca, a więc w kilka tygodni po wystrzeleniu z armaty aktu litewskiego, związek koronny udzielił posłuchania wyżej wymienionym komisarzom w obozie pod Jaworowem i zawarł ugodę tegoż d. 3 czerwca 1663 r., okreśiającą wyłącznie prawie terminy i sposób wypłaty. Po otrzymaniu pierwszej raty nastąpiło w d. 2 lipca rozwiązanie związku, a 23 lipca oddanie dokumentu spisowego instygatorowi Tańskiemu, spalenie przez księdza nad świecą, z ołtarza zdjętą, i przeproszenie królewskiej pary.²⁾

Tak więc wszystkie chorągwie i regimenty starego i nowego związku, polskiego i cudziemskiego autoramentu, wróciły pod komendę

¹⁾ Medeksza op. cit. str. 387.

²⁾ Medeksza str. 431. Kochowski III str. 67—70, 75, 76. Baśnia i Koźnice nie dają się wyznależ w Słown. Geogr., ani w Statystyce, na mapie zaś Perthes'a z r. 1786 są oznaczone Baśunia i Choźnic. List Świdzkiego z obozu pod Baśnią dnia 20, VI 1563 do Trybunału Głównego koronnego, tudzież instrukcyja, dana posłom wojskowym w M. S. Bibl. Uniw. Warszaw. 1^{1/2}, str. 35, 30. Inaczej przedstawia zakończenie sprawy Lumbres w raportach swoich z d. 4, V, 1, VI, 8, VI, 15, VI, 6, VII i 27, VII: 1663 (T. Lnk. XI k. 109, 132, 134, 140, 150 i 157). Konfederaci ruszyli z Ilży, zostawili załogę w Zawichoście, przepawili się przez Wisłę, zatrzymali się w Urzędowie, a nareszcie posunęli się zaczepnie aż pod Gródek. Król wyjechał ze Lwowa d. 29, V do obozu, ale tylko o dwie mile, potem posunął się i on do Gródka. Widząc już wojsko konfederackie, kazał zreknoskować dwa wąwozy, żeby rozpocząć atak, lecz prymas i komisarze zapobiegli starciu. Konfederaci mieli nakłonić się do ugody

hetmanów i ruszyły ku wschodnim granicom na wojnę, na trudną kampanię zimową, darowawszy ojczyźnie przynajmniej połowę zaległego od lat wielu żołdu. Jak wielką była ta ofiara pieniężna, nie umiemy określić z zupełną ścisłością. Przeglądaliśmy rachunki skarbu koronnego i obliczyliśmy, że od 1 stycznia 1655 r. do końca 1661 (właściwie do sejmu 20 lutego 1662 r.) żołnierz koronny wybrał około 10 milionów zł.¹⁾ A więc nie zasługuje na wiarę powtarzający się tu i ówdzie frazes, jakoby krwawo zaharowane zasługi nie były płacone od r. 1655²⁾, gdyż nie było pono ani jednej chorągwi, która-by nie otrzymała mniejszego lub większego zaliczenia (ad rationem).

Przed dniem otwarcia następnego sejmu, 26 listopada, wypłacił po części skarb koronny, a resztę płatnicy województw, umówione w traktacie „miliony”, mianowicie: monetą 8,020,297 i fantami 961,540 zł. (zamiast 1 miliona, gdyż reszty zrzekły się chorągwie tatarskie); oprócz tego chorągwie, które do związku nie należały (27 konnych, 5 regimentów dragońskich i 7 regimentów piechoty polskiej) otrzymały 545,746 zł. i Litwini (lewego skrzydła), którzy, związku odprzysięgłszy się, pod komendę hetmanów i króla przyszli, 720,000 zł. Uregulowanie wszystkich dawniejszych obrachunków, opłata regimentów związkowych i zaliczenie nowych zastęg wraz z wydatkami służby cywilnej (t. zw. drugiej distributy) podniosły sumę generalną ekspensy do niezwykle wysokiej cyfry 19,217,274, która w zupełności, a nawet z małym naddatkiem, pokrytą została przez wpływy podatkowe.³⁾ Wymagało to niezmiernych wysiłków finansowych; to też sejm 1662 r. uchwalił niepraktykowany od r. 1520 pobór pogłówny generalny od szlachty i duchowieństwa na ten jeden raz.⁴⁾ Gdy i to nowe źródło

przez obawę, bo Pac z wojskiem litewskim posunął się na Podlasie, a 12,000 Tata-
rów zbliżyło się już na dwie mile do obozu królewskiego. Wszystkie takie relacje
są osnute na przechwałkach dworaczych, przesyłanych do Warszawy. Tylko datę
spalenia aktu bierzemy od Lumbres'a, ponieważ był mu przytomnym, przyjechawszy
do Lwowa d. 17.VII.

1)	Podług księgi 53 płace 4-ta, 5-ta i 7-ma wyniosły . .	2,960,337
"	" 54 suma ogólna na wojsko . . , . .	1,509,853
"	" 55 ćwierci, zaliczenia i donatywa lwowska	4,590,183
"	" 56 chorągwie i załogi	667,000
	Razem .	9,727,373

²⁾ Naprzykład Kochowski: *Clm.* III str. 37: Plus quam septem annorum retenta stipendia.

³⁾ *Rach. Sejm.* ks 58 z r. 1664.

⁴⁾ „Rzplta... liberae gentis libera” niezwyčajnemu w ojczyźnie naszej poddała ciężarowi capita tak duchownych jako i świeckich, większych i mniejszych, wszyst-

nie dostarczyło przy powszechnem zubożeniu funduszków dostatecznych do zaspokojenia wszystkich potrzeb skarbowych, komisarze sejmowi, we Lwowie zasiadający, upoważnili myncarza, Andrzeja Tümpę, do wybijania złotych, nazwanych wkrótce tynfami, z tak wielką domieszką miedzi, że zamiast 30-tu zawierały one srebra na 18 groszy. Tym sposobem cyfry, powyżej przytoczone z księgi 58 rachunków skarbowych, miały mniejszą znacznie wartość realną i żołnierze ponieśli nieprzewidzianą w czasie układów stratę, która dotknęła zresztą w równej mierze całą ludność kraju i stała się powodem licznych wyrzekań na spalenie monety.

Jan Kazimierz, a raczej kanclerz jego, Prażmowski, pisząc do Tetery wezwanie, aby w pierwszych dniach maja 1663 r. przyprowadził z 10 tysięcy kozaków na dobrych koniach i z należytem rynsztunkiem dla spólnego z Tatarami działania przeciwko związkowi żołnierskiemu, powiada, że wojsko to w ciągu dwóch lat wybrało w chlebach samych przeszło 18 milionów, co „zasługi ich na trójnasób przenosi”.¹⁾ Wypadało-by stąd, że wojsko koronne, godząc się na 9,300,000, i litewskie na 4,000,000, nie tylko nic nie ofiarowało ojczyźnie, ale ją jeszcze odarło. Sprzeczność tę rozwiązać stanowczo można tylko przez obliczenie żołdu należnego i wypłaconych, lub zaliczonych sum dla każdego oddziału. Pracę tę pozostawiamy przysłemu badaczowi specjalnemu związkowi, jeśli kontrole wszystkich oddziałów i obrachunki pisarza polnego znajdą się w komplecie. Dla mnie wystarczają wiadomości, czerpane od komisarzy, „do zapłaty i ujęcia wojska“ zsyłanych i z instrukcyi tegoż wojska. Otóż wiemy, że związek koronny podawał pierwotnie należność swoją na 40, a litewski na 20 blisko milionów, lecz cyfry te uważamy za przesadne, gdyż następnie zostały zmniej-

kich, nemine excepto, ciężko określiwszy konstytucyą ludzi. A że nie wiele tąd accepit do Skarbu W. Ks. Lit. nie rozumie JP. Wojewoda Krakowski, kogo-by inszego w tem obwiniać, tylko calamitatem temporum et egestatem publicam, która wszędzie w państwach J. K. Mci pustych dosyć narobiła kątów“. (Respons Potockiego het. w. kor. u Medekszy op. cit. str. 353). Bardzo niejasno, niemal tajemniczym szep-tem wspomina o tym podatku konstytucya koronna, odsyłając po szczegóły do instruktarza, który miał być przechowany w ograniczonej liczbie egzemplarzy Wyrażniej nieco określiła konstytucya litewska (Vol. Leg. fol. 847, 849 i 889). Jasno się zaś wyraża catalogus comitorum Braunii: De juriim regnandi fundamentalium in Regno Poloniae... 1822 Coloniae pod rokiem 1662.

¹⁾ Instrukcyja panu Mazeppie, pokojowemu J. K. Mci, jadącemu do p. Hetmana Zaporoskiego, dana z Cancelariay w. k. we Lwowie d. 31 marca 1663 r. u Kluczyckiego: Pisma I. str. 218.

szone i zaprzysiężone w kwotach 15 i pół i 9 milionów. Te ostatnie nie ulegały zaprzeczeniu i komisarze, upraszając o ustępstwa, odwoływali się już tylko do ofiarności wojska w imię patriotyzmu.¹⁾ Stąd wnioskujemy, że cała różnica pomiędzy temi ostatnimi sumami żądaniemi, a do ostatecznej likwidacyi w traktatach szadowskim, mostowskim i jaworowskim podanemi, stanowi dobrowolną ofiarę żołnierza dla ojczyzny: w wojsku koronnem 6,200,000, w litewskim 5,000,000; razem 11,200,000, t. j. prawie połowę należności. Ofiara ta zwiększyła się mimowolnie przez dokonanie wypłaty tyrfami w ilości, której nie znamy dokładnie. Twierdzenie zatem kancelaryi królewskiej o 6-ciu milionach należności nie zasługuje na wiarę tem bardziej, że się pojawiło w piśmie sekretne, zmierzającym do zgnębienia wojsk za pomocą kozaków i Tatarów. Zajechanie dóbr duchownych i królewskich dla wybierania „chlebów“ mogło zrzędzić szkody z 18 milionów, ale tych żołnierz z pewnością nie wziął do kieszeni, tylko przejadł i przepił. Trudno go oto obwinić, jeśli rząd Rzpltej tak długo nadużywał cierpliwości jego. Wszelka egzekucya przymusowa naraża nieakuratnego dłużnika na straty.

Na takiej-to operacyi finansowej zakończyła się akcya „Związku Świętobliwego“. A cóż się stało z jego postulatami politycznemi? Zostały one usunięte z traktatów. Litwini, wyrzekając się Kotowskiego, który bodaj czy nie był najbardziej wybitnym i energicznym przeciwnikiem oligarchii, zawstydzeni sprawą Gosiewskiego, nie śmieli popierać swoich kobryńskich instrukcyi i suplementów przy układach z komisarzami-oligarchami. W związku koronnym najprzód Czarniecki usiłował przeciągać chorągwie do nowego związku „Pobożnego“ (Nexus Pius) pod laską Niezabitowskiego, który ograniczał swoje zadanie tylko dochodzeniem zasług. Potem „pośrednicy“, znani nam już dygnitarze, oligarchowie, umieli sprowadzić układy polityczne do jedynej kwestyi następstwa tronu,²⁾ już dostatecznie określonej na sejmie 1662 r. Więc ta kwestya jedynie była w traktatach wspomianą, bez większego jak poprzednio skutku, przynajmniej bez wpływu na umysł Ludwiki Maryi, która nie zaprzestała intryg swoich, kierowa-

¹⁾ Instrukcya od J. K. Mci i całej Rzpltej... Andrzejowi Olszowskiemu, Bogusławowi Radziwiłłowi etc dana w Warszawie. Respons od J. K. Mci na instrukcyę komisarzów... dany we Lwowie ex Consilio 12, I 1663... podane i postanowione u Medekszy op. cit. str. 293, 372, 399. Kochowski Clim. III, 32, świadcząc o zaprzysiężeniu regestrów żołdowych przed komisją Lwowską, podaje sumę należności na 26,000,000 z górą, lecz cyfry takiej gdzieindziej nie napotkaliśmy.

²⁾ Kochowski Clim. III str. 67, 71.

nych wciąż ku najrychlejszej możliwie elekcji. Podnosiła ona wprawdzie pomysł trzyletniego hetmaństwa i punkt o niepołączalności urzędów, ale tylko w zastosowaniu do przeciwnika swojego, Lubomirskiego; do stronników zaś swoich stosowała dawne, oligarchiczne zwyczaje. Postępowanie takie nie usprawiedliwia przypisywanych jej zwykle zdolności politycznych wyższego rządu, ani trafności zmysłu monarchicznego.

Jaka była rola Sobieskiego w tej chybionej trzechletniej rewolucji?

Niewyraźna i prawie dwuznaczna. Widzieliśmy, że listem z d. 4 kwietnia 1661 r. piękna wojewodzina sandomierska oświadczyła mu życzenie królowej, aby został marszałkiem związkowym, lub starał się przeprowadzić w kole związkowym obiór człowieka „uczciwego“ i od królowej zależnego. Rozumiemy teraz, że przez taką agitację stałby się narzędziem intrygi francuskiej. Widzieliśmy atoli, że w maju ukazał się w Warszawie nie jako marszałek, lecz jako jeden z 12-stu posłów od wojska związkowego do sejmu. Można stąd wnioskować, że w kampanii cudnowskiej zyskał sobie u towarzyszków broni sympatyę i zaufanie, lecz marszałkowstwa otrzymać nie mógł lub nie chciał.

I oto znalazł się Sobieski wśród przeciwnych prądów. Do Ludwiki Maryi ciągnęła go „słiczna twarz“ Marysienki tak silnie, że upraszał unieżenie o „instrukcyę, jako się sprawować ma, aby w najmniejszym łaski jej nie naruszył terminie“, na czem mu więcej zależało, „niżeli na tych wszystkich światowych chimerach“, które sobie za nic miał „bez swej słicznej Jutrzenki i bez jej posessyi“. ¹⁾ Z drugiej strony wszakże był on wielce wrażliwy na głos opinii, na dobry stosunek ze szlachtą.

Miałże zdradzić zaufanie swoich mocodawców, swoich współtowarzyszów wojskowych? Po sejmie 1661 r. nadarzyła się taka sytuacja, że mógł obu stronom dogodzić: stronnictwo francuskie umyśliło wtedy wysłać komisarzy do wojska, pozornie dla nakazania mu powrotu pod władzę hetmanów, ale w rzeczywistości dla podtrzymania konfederacyi, którą spodziewało się pozyskać dla sprawy elekcji przedśmiertnej. Sobieski razem z Czarnieckim i kilku innymi oficera-

¹⁾ Helcel nr. 1 i 2.

mi przyjął taką missyę od króla.¹⁾ Pojechał w roli pośrednika i tak umiał się zachować, że, mimo pobranej pensyi francuskiej (która sowiec powetowała mu zrzeczenie się gratyfikacyi sejmowej, przyznanej ze skarbu koronnego posłom wojskowym), nie naraził się konfederatom. Na sejmie następnym 1662 r., lubo sam do poselstwa nie należał, był od poselstwa konfederackiego zalecony królowi i stanom na posłuchaniu d. 1 marca.

Stosunki jego ze stronnictwem francuskim zacieśniają się coraz ściślej. Wspominają o nim często de Lumbres i Caillet; Gosiewski liczy na niego, układając swój plan elekcyi Anguien'a; Jan Kazimierz daje mu pod d. 16 maja 1662 r. pełnomocnictwo „do realnego accomodowania pretensyi wojsk koronnych, w związku zostających“. Jeździł więc Sobieski na układy ze starszyzną, szczególnie z substytutem marszałka, lecz intrygancką czynność pozostawiał Radziejowskiemu, swemu ciotecznemu bratu, donosząc tylko dworowi o postępach, które zresztą wypadły niepomysłnie.²⁾ „Królowa serca“, pani wojewodzina sandomierska, znikła w tym czasie z widowni politycznej, ponieważ wyjechała do Paryża, ale królowa Ludwika Marya zjeżdża do Żółkwi i gości przez kilka tygodni pod dachem Sobieskiego. Długi pobyt królewskiej pary na Rusi podczas komissyi lwowskiej wikał go zapewne

1) De Lumbres do Ludw. XIV d. 8.VIII 1661 w Tece Lukasa IX k. 248: *secrètement et par des personnes affidées il doit tacher d'entretenir cette confédération... C'est aussi la conduite, que tient le Roi de Pologne, qui a envoyé le palatin de Russie, le grand enseigne et autres officiers pour notre dessein et qui sont agréables a ces troupes pour les gagner.*

2) Caillet powtarza Kondenszowi rozmaite nadzieje i projekty Ludwika Maryi co do przeprowadzenia elekcyi na sejmie, jaki mógł-by być złożony w Prusach lub na Litwie, wśród wznowionej wojny z Moskwą, przy poparciu wojska; w projektach takich wymienia zawsze Sobieskiego i „pisarza“ Sapiehy; żądała dla nich pieniędzy, motywując nieprawdopodobnym argumentem, że bez datku nie mieli-by oni o czem wyżyć w Warszawie i odjechałoby przed końcem sejmu (3,III i 21,IV 1662 w T. Luk. X k. 77, 128). Wierzyć tym gadaniom nie warto. I de Lumbres powtórzył raz plotkę Ludwika Maryi o natarczywym żądaniu pieniędzy przez Sobieskiego, Czarnieckiego, Potockiego, Jabłonowskiego, Koryckiego, i o dawanych obietnicach jechania na koniszę lwowską, co jest niedorzecznością, ponieważ komisarze byli wznaczeni od sejmu i tacy tylko zasiadać na ratuszu lwowskim mieli prawo; podobnież nie zasługują na wiarę uwłaczające ich godności osobistej bajania, jakoby obiecywali zaciągać nowe chorągwie, spełniać wszelkie bez wyjątku życzenia i t. d. (raport do Ludw. XIV d. 4.V 1662 tamże k. 137). W późniejszym raporcie (22,VI k. 137), tenże de Lumbres, donosząc o powodzeniu układów z Borzęckim, zarzuca Sobieskiemu obłudę i powodowanie się wpływami austriackimi: *La négociation de Sobieski avec Ragiowski et de celui-ci avec Borgenski... n'a pu réussir, soit que Sobieski n'ait pas procédé sincèrement, ou qu'il n'est pas sans soupçon a cause de la corespondence qu'il a avec Vienne.* Pełnomocnictwo od króla wydrukował Kluczycki ur. 37 str. 193.

w sieci intryg dworskich, lecz zachowanie się jego wobec stron ścieraających się było oględne i wstrzemięźliwe, skoro w aktach urzędowych imię jego nie ukazało się ani przy układach, ani przy zawarciu traktatów. Wystąpi dopiero w sprawie Lubomirskiego, która ze stanu ukrytej fermentacji przejdzie w stadyum jawnej rozterki już w chwili ruszenia wojsk na wojnę moskiewską w sierpniu 1663 roku.

TADEUSZ KORZON.

LISTY

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

do pani Joanny Bobrowej.

Właściciel jednego z najbogatszych naszych archiwów prywatnych pozwolił nam ogłosić pierwszy raz drukiem następujące listy. Ważność tych dokumentów dla życiorysu Słowackiego, wartość literacka tych prawdziwych poemacików epistolarnych, nie potrzebują komentarzy. Gdy historia życia i twórczości wielkiego poety zajmuje dzisiaj tylu zamięłowanych badaczów, gdy, w braku niewydanych jego dzieł lub nowych o nim świadectw, wyszukują częstokroć drobiazgi, tyczące się jego osoby, mamy nadzieję, że niniejsze listy przyniosą korzyść i przyjemność wszystkim znawcom i wyznawcom Juliusza Słowackiego.

Według łaskawie udzielonych nam wskazówek, następujące tu listy są jedynym przechowanym przez rodzinę fragmentem długiej korespondencji między genialnym śpiewakiem, a „wielką kobietą“, jak ją sam Słowacki nazywa. Listów tego rodzaju jest tak mało w naszym piśmiennictwie, że, choćby z tego tylko względu, zasługują obecne na szczególną uwagę.

I.

Paryż. Rue Castellane 11, d. 16 czerwca 1841 r.

P a n i !

Przebyłem nareszcie mój dzień Donkiszotowski, nogę silnie postawiłem na szali i podniosłem w górę całą zgraję jezuitów, potem zdjąłem ją i poupadali w błoto, ale w błoto, z którego się już nie wygrzebią tak prędko—niech spoczywają. Gdybym wiedział, że Cię Pani opis dnia tego cokolwiek mógł zabawić, nie lękał-bym się pisać, bo wiem, że Pani jesteś szlachetna i nie będziesz wątpiła, że to, co mówię, jest prawdą—staram się nareszcie tak żyć, abym o każdej chwili życia mojego mógł szczerze mówić, a teraz więcej niż kiedykolwiek dbam o to, aby tak było.—I na Boga tak jest!—Zaledwo przyjechałem do Paryża, wrogi moje, wychłostane w pierwszej i w trzeciej pieśni Beniowskiego, wydawcy Młodej Polski, jezuickiego dziennika, a obszerniej biorąc jeszcze rzecz, Litwini—postanowili zabić mnie lub upokorzyć; jakoż na drugi dzień zaraz przysłali mi jednego z eleganckiej litewskiej młodzieży, aby mię wyzwiał. Ten, z miną bardzo dumną i zimną, oddał mi bilecik, który tu w liście pani posyłam, abys widziała, do jakiej otwartej wściekłości przyszli ci jezuiti, którzy mię dotąd bezimiennie po różnych pismach kłębali. Przeczytawszy bilecik, schowałem go do kieszeni i odpowiedziałem, że papieru wzmiankowanego nawet widzieć nie chcę i będę się strzelał, przyjmując wszystkie warunki, które mi podadzą. Jakoż nazajutrz posłałem do nich mojego sekundanta, z poleceniem, aby na wszystkie pojedynkowe punkta, przez nich podane, przystał.—Przez dni pięć czekałem na ostateczną ich decyzję; w poniedziałek dopiero pod wieczór o jedenastej dowiedziałem się że pojedynek ma być nie w St. Germain, ale koło Paryża, na placu, otoczonym pustymi murami, w miejscu zamkniętem; że schodzić się mamy do mety o 20 kroków i strzelać, kiedy się podoba. Dowiedziałem się o tem od mego sekundanta, że mój przeciwnik, ten sam krytyk Balladyny, który podczas improwizacji mojej omdlał, przywieziony został z St. Germain, gdzie serce swoje u panny Pauliny Pl... zostawił, przywieziony bez serca, bledy, z czerwonymi obłąkanemi oczyma, bardziej do mdłości, niż do strzelania się skłonny. Jest to młody, 28-letni chłopak—ładny, lecz chorowitej i nieco nalanej cery, może byś go pani żałowała. Może byś... sam nie wiem, ale Pani i zawsze Pani nie-

szasz się teraz do wszystkich spraw moich—myśl o Pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w nim zawsze bez wstydu mógł przejrzeć.

Teraz z dziecinnemi szczegółami opiszę Pani ranek wtorkowy. Między 9 a dziesiątą godziną miał być pojedynek, aby zaś w razie napadu przez ludzi sądowych można się było czem od processu kryminalnego obronić,—pojedynki teraz bowiem są karane we Francyi, i chociaż sąd przysięgłych zwykle przez wzgląd na opinię, pojedynkowego zabójstwa, tak jak innych morderstw, nie karze, zawsze jednak sześciomiesięczne więzienie i kara pieniężna spada na zabójcę i sekundantów,—dla zapobieżenia więc temu, kupiliśmy królika, który miał nam służyć w razie napadu przez policję za wymówkę... biedny królik!—on był śmieszno-tragiczną stroną naszego pojedynku. We wtorek więc o godzinie 5-ej rano obudziłem się,—przysięgam Pani, zupełnie spokojny,—spojrzałem na drzewa, rosnące pod memi oknami, na słońce złote, wypaliłem cygaro, wypilem szklankę starego wina, zjadłem dwa ciasteczka, i ubrawszy się cały czarno, tak, aby żadnego celu na mojej osobie nie było, wyszedłem sam z domu o 7-ej do ogrodu Luxembourg, gdzie o pół do dziewiątej miał się zejść ze mną Nabelak i zaprowadzić na plac, niedaleko od ogrodu będący. Przechodząc koło kościoła Magdaleny przez targ kwiatów, kupiłem za grosz różę, abym ją przez ten ranek w rękę trzymał i mógł potem zwiędłą posłać—komu? Pani to odgadniesz. Idąc dalej, zaszedłem do kościoła Ascension i tam właśnie trafiłem, że ksiądz, kończący mszę, żegnał; schyliłem pokornie przed błogosławieństwem głowę—i wyszedłem... W ogrodzie, na który Pani patrzałaś, stanąłem znowu, i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znajomych oknach; ten dom teraz walą; okna były zamknięte, żaluzye pospuszczane—poszedłem dalej.—Pani nie wiesz, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w rękę, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo, w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie?—Dobrze jest jednak użyć takiej przechadzki, uczuć w sercu siłę dumną i niezłamaną, uczuć nawet zachcenie krwi, w ręce czuć broń, na sobie samym oprzeć się i uśmiechnąć się, czując, że dobrą jest podpora. W Luxemburgu o trzy kwadranse na 9-tą ujrzałem zbliżającego się Nabelaka.—Cóż, zapytałem, czy przychodzą?.. Tu mi Nabelak donosi, że nowa się rzecz stała: że Ludwik kasztelan Plater—przyjechał z St. Germain za moim przeciwnikiem; że nabożny Cezar Plater mu towarzyszy; że oba są u Ropel... i godzą sprawę; że oba mają natychmiast do mnie w prośby przyjechać. Zawrzała we mnie krew; postrzegłem, że Jezuci mi z rąk uciekają,—przeczułem, że ten blade-zielony wróg, który-by pod moim pistoletem omdlał, nie pokaże mi się na celu u już zapalonego krwią oka

mojego: spokojnie jednak rzekłem do Nabelaka, [że^o jestem na placu boju i nie ulegnę Nabelak prosił mię tylko o grzeczne z kasztelanem obejście się i o krew zimną; wkrótce zjawili się pacyfikatorowie. Kasztelan wziął mię pod rękę, Cezar wziął pod rękę sekundanta mego i tak w głębokiem milczeniu szliśmy przez ogrodową aleję. Nareszcie kasztelan zaczął lisią przemowę, przeciwnika mego oskarżył o nierozwagę dziecinną, mnie zaczął i moje postępowanie wynosić pod niebiosa, skończył pokorną, ale bardzo podstępną prośbą, abym go *upoważnił* do medyacyi... Tu odbiegła mnie już zupełnie rozważa.— „Nie upoważniam Panów do żadnej medyacyi, krzyknąłem, jestem na placu boju; jeżeli przeciwnik, który mnie wyzwał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mnie każdy bł... wyzywał, zwlekał od dnia do dnia i na plac mnie wyprawdzał napróżno.“ Tu obróciwszy się do Nabelaka,—Panie Nabelak—rzekłem,—proszę, aby mi wyznaczona była dziś, albo jutro, godzina pojedynku; ja na nią stanę i będę czekał.—Widząc Nabelak, że coraz bardziej w gniew wpadam, wydał nareszcie całą tajemnicę — Z kimże ty się bić chcesz, rzekł do mnie, chyba z wiatrem; oni się już cofnęli.—Czy tak?—zapytałem kasztelana,—czy się już cofnęli?—A tak, już się cofnęli;—rzekł kasztelan z miną pokorną, spodziewał się albowiem, że jeszcze nie mówiąc mi nic o tem, dla Pana Ropelewskiego wyrobi, że mu dam jaką słowną przynajmniej exkuzę; lecz, obaczywszy we mnie wściekłość tygrysią, on i Cezar Pl... zadrżeli o swoją błądą i drżącą lalkę—i prosto mi ją z pod pistoletu uchylili... Wtenczas poznałem, co to są za wrogi, ci przyjaciele, którzy więcej dbają o życie, niż o honor człowieka—tryumfowałem!—Chciał mnie jeszcze kasztelan Plater wmówić, że o tak zakończonym pojedynku pod słowem honoru milczeć należy. Na to mu rzekłem prosto, że słowa honoru na to nie dam, bo do kilku osób o pojedynku już pisałem, więc gdybym dalej milczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogły-by myśleć, że się ja upokorzył i dał jaką wymówkę słowną lub na piśmie—będę więc mówił i pisał o pojedynku, jak mi się podoba. Kasztelan i to przyjął—i tylko obróciwszy się do Nabelaka i wzniosłszy oczy do nieba, zawołał litośnie: „Jak on mnie traktuje!“ Tu jeszcze nowa przeprawa: Cezar Plater zaprasza na śniadanie, chce koniecznie, abym się tego samego dnia z moim przeciwnikiem widział, zgodził się i kochał. Na to mu odpowiedziałem, że kochać można tylko człowieka, którego się szacuje, a ja dla pana Rop. jeszcze szacunku mieć nie mogę; że będę z nim grzecznie i nie dam mu ucuć wzgardy, ani go poniżę w towarzystwie, ale z kochaniem wstrzymam się, aż Pan Ropelewski co dobrego zrobi. Od śniadania wyrwałem się, lecz Nabelak, który miał, jako sekundant,

prawo rozporządzać moim czasem i rozkazywać mi, zawiódł mnie koniecznie do Cezarego Platera i tam z moim przeciwnikiem widziałem się. Plater Ludwik miał przemowę, w której dowodził, że do pojedynku racyi nie było, że to swoje przekonanie wpoił w serce p. Ropelewskiego, że Pan Ropelewski wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego. Po której to mowie P. Rop. podał mi rękę, ja mu podałem moją, mówiąc mu zimno: „zapomnijmy o tem, ale jeżeli mamy zapomnieć, to zapomnijmy na zawsze.“ Na te słowa, choć nie bardzo czułe, p. Rop. rozplakał się, potem dano śniadanie, na którym jeden tylko z sekundantów Pana Rop. był przytomny, drugi (Kołyško) ¹⁾ przez wstyd został w domu i teraz z wroga stał się moim, to jest mojego tryumfu, rozgłosicielem. Stało się tak, że klub się cały o pojedynku rano dowiedział, wieczorem przyjęli mnie więc wszyscy po bratersku i we wszystkich oczach widziałem błyszczącą przychylność, wszyscy o poemacie się dobijają, wszyscy chcą czytać strofę, którą ja krwią moją pieczętowałem byłem gotowy, wszyscy się dziwią, że widząc mnie przez pięć dni przed moim pojedynkiem, nigdy żadnej zmiany we mnie, nigdy żadnego cienia na czole nie spostrzegli; ten mi przypominał, że mię w poniedziałek wieczór o jakąś książkę prosił, a ja mu ją dać we wtorek obiecałem, drugi, że mi jakąś sztuczkę teatralną chwalił i we wtorek na teatr iść ze mną proponował,—słowem, wszystko się do mnie nawraca. Jeden z moich przyjaciół mówił mi, że mię postanowił był sposobem Ganala na wieki balsamować i, włożywszy mi szklane oczy, w trumnie ołowianej złożyć, abym tak kiedyś do Polski cały i z otwartymi oczyma powrócił. Uściskałem go za to mocno, mocno, bo te oczy jeszczemy i na Panią spojrzwały z trumny ołowianej i może-byś przypominała Pani, żeś je często łzami zlane widziała... A teraz, choć się tak stało i ludzie mówią, że dobrze się stało, wołał-bym był, przysięgam Pani na tego Boga, który wczoraj do mnie przybliżył swoje łono i gotów był mnie wziąć w objęcia swoje, jak dziecko skrwawione, przysięgam, że wołał-bym wroga mojego mieć przede mną i tam go nauczyć, co to jest igrać z życiem człowieka temu, który nie gotów jest swoje zupełnie odważyć; ale i tak, nauka jest dana, a kara jego może jest gorszą, niż śmierć. Wrócił do St. Germain; Panna Paulina mu dziś poda herbatę.

Ja samotny jestem, jak zawsze. Róży Pani posłać nie mogę, bo w ogniu nie była. Jeżeli Pani chcesz mieć jakie o Alex. Pot., albo

¹⁾ nazwisko dopisane ołówkiem obcą ręką.

o panu Coudère nowiny, to proszę mnie o nie poprosić, inaczej będę milczał, jak gdyby mnie w pojedynku zabito.

Jul.

Przyjaciel, który mnie chciał balsamować, jest to ten sam, który do mnie do Frankfurtu pisywał.

II.

Okolo godziny czwartej szedłem do Pani w dwoistym zamiarze naprzód—aby powinszować Pannie Zosińce ¹⁾, której patronka Zofia z trzema córkami stoi w polskim kalendarzu; a ponieważ i w niebie agitować się musi kwestya o niebieskiej słodyczy, kiedy na ziemi agituje się kwestya cukru, chciałem to z mojem miłem dzieciątkiem przemienić w kwestyę cukierków. Tak idąc, spotkałem Pani służącą, która mi powiedziała, że Pani pojechała tam, gdzie się woda leje. Wyrażenie tak było materyalne, że zrazu pewny byłem, żeś Pani pojechała do pompy Grenille, czyli studni Artezyjskiej, i zdziwiony, chciałem Jej czekać aż do obiadu, lecz powiedziała mi służebna, że obiad gdzieindziej jest obstalowany; wtenczas obróciłem kroki moje do domu i w tym-to odwrocie przyszła mi nagle idea jasna, że wody się dziś leją w St. Cloud, że Pani musisz być w St. Cloud z Panią Audlej, z Panem Audlej, z doktorem Dagobertem, z Manem i z połową Paryża, jeżeli nie z czem więcej... I dobrze się stało, że się tak stało... bo to, co był-bym powiedział ustnie, powiem na piśmie. Oto żegnam Panią!—Nic w mojem sercu niema, co-by się mogło przydać Pani, owszem, wszystko może odwiodło-by Ją od egoizmu, od szczęścia... Jam ciągnął za Panią dawny jęk przeszłości, że mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna.—A ilem ja osobiście, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zaliczyć i tej nuty może nigdy Pani między różnemi tonami wspomnień nie znajdziesz. Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko się znajdzie w łonie Bożem, ale biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów. Znikajmy więc, abyśmy się odnaleźli... Na ostatnią pamiątkę zaimprowizuję Pani, jak gdybym żył jeszcze.

¹⁾ później małżonka Juliusza hr. Dzieduszyckiego.

O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady!
To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci błady
Śród leszczyn w Gisbach, a śród laurów w Terni.

Dzikię-bym zrywał na murawie kwiaty,
A Pani w skałach siadła-byś myśląca,
Jak Anioł, skrzydłem kaskady skrzydlaty,
Czekając z nad skał śpiewu—i miesiąca.

Gdybym ja Panią do kaskady woził,
Może-bym wieczną tam zatrzymał siłą—
Śpiewem skamienił i lodem zamroził,
I kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Dzisiaj siedzącej przed kaskadą w koczu
Sumienie Pani powie samo głuche...
Że niegdyś lzy się tak sączyły z oczu!
A dzisiaj! oczy patrzą—takie suche!

Czys tem przekłeta? czy błogosławiona?
Że serce zimne—oczy łez nie leją?
Powie ci kiedyś mogił drugą strona,
Gdzie serca pękną, albo się rozgrzeją.

Co do mnie—wiem ja, jak to praca pusta
Serce kobiece na czas przeanielić—
Dla tego odtąd—wiecznie zamknę usta,
I wolę nie być z Panią—niż zgon dzielić.

Gdybym był duchem Wersalskiej natury,
A taką Ciebie między tłumem zoczył,
Zleciał-bym na Cię jak kaskada z góry,
Porwał—i rzucił w przepaść—i sam skoczył.

O! dosyć już, trzeba się rozstać—bez groźby—ze smutną cichocią odchodzącego człowieka... Żegnaj mi Pani—do jaśniejszych i wyswietlonych czasów. Lolly ¹⁾ i Zosienka, niech będą zdrowe.

Juliusz.

D. 4 maja (1842) ²⁾.

Paryż.

III.

Wczoraj, po odebraniu listu Pani, udałem się do panny Gedge, którą natychmiast rezonowaniem zdobyłem—i jako rzecz zdobytą, w poniedziałek wysyłam... Przypomnij sobie Pani Donkiszota, który, uwolniwszy z kajdan rekrutów, każe im iść do Toboso i skruszone kajdany złożyć u stóp swojej królowej. Tak właśnie uwolniona od przestachów panna Gedge, pokonana moją wymową, w piątek przyszły pokaze się przed tronem Pani i powie jej, że ja zawsze sługą jestem gotowym na wszelkie rozkazy. A że w piątek panna Gedge będzie we Frankfurcie, o tem wątpić nie należy, albowiem obstalowane już ma miejsce na poniedziałek w dyliżansie i paszport już posłany do podpisów. Niechże więc Pani raczy wysłać kogo do biura dyliżansowego, aby na pannę Gedge w godzinę jej przyjazdu czatował i uwolnił ją od błakania się po oberżach; racz także na wszelki przypadek napisać do niej mały bilecik, z wymienieniem swego adresu i ten bilecik niech na nią w biurze Franfurkiem poste restante czeka. Co do warunków z nią pieniężnych, są takie, jakie Pani sama podałaś... Przyrzekłem Jej tylko, że koszt podróży zwrócony jej będzie, zda mi się, że tak słuszność nakazuje, wydatek ten nie będzie wielki. O innych drobiazgach zupełnie mnie nie zaczepiała. Wszystko to przekonało mnie, że wyglądam na bardzo poczciwego człowieka, albowiem, nie mając w ręku żadnego dokumentu, nie mogąc nawet pokazać listu Pani dla żartobliwego tonu, który w nim panuje, pokazałem się sam tylko, i zupełne zyskałem zaufanie... teraz więc gdyby mi się zachciało pannę Gedge wyprowadzić do wysp Kanaryjskich, albo do Australii, mógłbym to uczynić i udało-by mi się niezawodnie. Ale cóż mi z tego, że Panna Gedge będzie się po morzach błąkała?.. Zdaje mi się, że jest to osoba dobre-

¹⁾ później Maurycowa hrabina Potocka.

²⁾ rok dopisany obcą ręką czerwonym atramentem.

go serca i wielkiej prostoty; ubiór jej granatowy przypomina mi greckie czernice, czyli mniszki, nie chciał-bym jednak być kleftem na tej samej górze, gdzie klasztor, napełniony takimi czernicami, girlandą okien księżycowych pomiędzy cyprysami błyszczy. Lecz ponieważ tu nie idzie o klefta, ani o poezję, ale o Panią i jej codzienne życie, sądzę, że panna Gedge będzie prawdziwie na swoim miejscu. Podoba mi się zupełne dziecinne prawie zaufanie, z którym do Frankfurtu wyjeżdża; żadnych ode mnie nie żądała zapewnień, ani przyrzeczeń, wzruszony więc, przyrzekłem sam, nieproszony i nieupoważniony, że w Pani znajdzie trochę niespokojnego ale pięknego anioła, w pannie Sofinette zupełnego aniołeczka, a w pannie Lolly model najpiękniejszej anielskiej cierpliwości i posłuszeństwa, najcichszą i najbielszą z liliów, (sic) które nad Menem rozkwitają. To ostatnie zapewnienie mówiłem nieco niepewnym głosem i ze spuszczonego oczyma.

Okna Pani nadzwyczaj są smutne i puste, trotoar pod kościołem z asfaltu płonie pod moimi stopy, jak podłoga piekielna. Kolumny kościoła spoglądają na mnie litośnie, a St. Magdalena, stojąca na frontonie, już zda się płakać nie swoich, ale moich grzechów. Bo zaprawdę grzeszny jestem i pokutujący. Pana Berdona nie spotkałem jeszcze na widnokregu ziemskim i myślę pójść na *Morgue*, czy tam na płycie kamiennym (sic) ten biedny nie leży. Olizar pewnie żyje, wiem że żyje, ale go także dotąd nie widział. Potocki jeszcze się nie ukazał, słowem, został się tylko po Pani świat ducha, w którym teraz żyję, nie trącając o nic żywego, a jednak ciągle trącany przez coś, jak gdybym chodził po grzbiecie torped elektrycznych. Spodziewam się jednak, że to minie.

Kończę ten list, albowiem już godzina nadejścia poczty zbliża się, a chciał-bym, ażebyś Pani jak najprędzej o wypełnieniu przeze mnie rozkazów swoich i o przyjeździe blizkim panny Gedge była uwiadomioną... Spodziewam się, że mi Pani raczysz donieść, czy wysłana przeze mnie osoba rąk jej dojdzie.

Zda mi się, że nic więcej nie zostało.

Żegnam Panią.

Jul.

Paryż d. 3 czerwca 1842 r.

Rue de la ville l'Evêque 10 (bis).

IV.

Sama myśl, że Pani byłaś wczoraj w Wersalu, napełniła mnie nadzwyczajną trwogą. Patrzałem dziś z niespokojnością na okna Jej, zakryte frankami, byłem nawet u portiera, abym się dowiedział, czyś Pani wróciła do domu szczęśliwie, wszystko to jednak nie jest mi dostatecznem. Przypominając więc sobie, że niegdyś w domu Pani nie byłem zupełnie obcy, upraszam o kilka słów zaspakajających i te mi wystarczą i pomnożą liczbę szanowanych drogo pamiątek, które wieniem Pani dobremu sercu i szlachetności.

Jul. Słowacki.

Paryż.—Poniedziałek.

V.

Pozawczoraj odebrałem list krótki, ale mężny i hartowny, od Zygmunta; z listu tego dowiaduję się, że jest teraz w Kissingen... mocno dosyć chory, ale umysłowie zajęty apokalipsą przyszłości, ideą, która tu już stworzyła piorunowy obłok nad błękitnem niebem paryskim, która ma kapłana, sługi, prorocstwa, straszliwie spełniające się już teraz i straszliwiej jeszcze grożące przyszłości. Jemu więc w Kissingen, a mnie na asfalcie paryskim straszno i czarno. Świat zdaje się budzi, a my oba zmęczeni, stargani, napół senni, nie możemy się podnieść zupełnie, ani odrzucić przeszłej połowy nas samych..

...A gdybyśmy ją nawet odrzucili, to jeszcze straszniej i ciemniej będzie nam w oczach serca naszego, żal przeszłości, niemoc zupełna we władzach passyonowanych, serca podobne do czerepów zbitej porcelany saskiej, z kwiatkami tęczowemi i-pożłotą, ale już nie podobne czarom całym i urnom, w które kwiaty wkładają. O! tak jest ze mną... może mniej gorzej z nim, ale pewna jest, że oba cierpimy. Jeśli więc Pani piszesz do którego z nas, proszę i zaklinam, nie udawaj wesołości, ani cukruj słów swoich, ani mi odmawiaj tego szczęścia, abym jej prawdziwe i szczere serce mógł widzieć w każdym słowie; za taką szczerłość ja odplacę każdą cząstką i całem sercem mojem, które jest ludzkie, ale nie serce arlekina światowego, które nie igra z nikim i z niczem i nie chce, aby z niem grano. Tem sercem, które się tak teraz broni, piszę ten list i nie używam już bynajmniej strudzonej i bie-

dnej głowy mojej, owszem, przeklinam ją, bo mi dotąd nic nie zdobyła, oprócz pół urągającego Pani uśmiechu i politowania. Niech więc to, co było zapisane, zostanie w powietrznych kartach księgi przeszłości, a teraz uważaj mnie Pani za wiernego sługę, za dobrze nastrojoną harfę, z której ile razy zechcesz Pani prawdziwy ton wyciągnąć, da Ci go, ile razy fałszu szukać będziesz, fałsz będzie winą Pani—i głos, wydobyty ze mnie, nie pocieszy Jej.—Nie uśmiechaj się Pani! ten list, który trzymasz w ręku, zaczarowany jest wołą moją, czuciem mojem, prawdą moją—zaklęty jest, ma moc i władzę uzdrawiania nawet serca. Serce moje jest jak źródło Syloe na dolinie Jozafata, co trzy dni tylko wytryska; trzy dni, przez które nie było w niem wody, były okropne i długie; uczucia szczerze nauczyły się, jak jaskółki, odlatywać gdzieindziej po wodę... drzewa nade mną uschły, a tę martwość około mnie czułaś Pani przeczuciem, a ja przez cały czas czułem także, że serce pani lękało się—i cofało się ode mnie z przestachem... Teraz ta tortura moja skończona, bo zmartwychwstałem... Teraz wiedz Pani, że Ją kocham, jako pięknego ducha, który cierpi; co będzie we mnie mocy wskrzeszania, wydobędę z siebie, aby duchowi temu lżej było—i szerzej, i szczęśliwiej. —Widzę stąd, że Pani zadziwiona ten list czytasz, znajdując w nim ton różny od zwyczajnego; wołę więc przestać, a może jaki anioł dośpiewa reszty w sercu Pani, prowadząc ją za rękę par les jolis sentiers qui invitent à la promenade—oddaj się Pani temu aniołowi zamyślenia, i tym ścieżkom ocienionym; niech tam nie zalatuje niemiecka muzyka, ani zapach cygarów (sic); niech powietrze będzie czyste i kryształowe, a konwalie pachną, tak jak nam pachnęły w dzieciństwie.

Dosyć—dosyć już—tak dalej pisać nie mogę. Panienki by się śmiały ze mnie. Panna Gedge-by mnie nie poznała. Panna Gedge, która z taką dobrocią wspomina o mnie, choć się nasza znajomość wojną zaczęła, wojną kocią. Był-bym natychmiast odpisał na jej list, pieczętowany sentymentalną niezabudką i czarnym lakiem, ale nie wiedziałem, gdzie mam odpis zaadresować; teraz osobnego listu pisać nie jestem w stanie... *dunque*: Pray to tell Miss Gedge I am greatly indebted for the letter she deigned to write to me, and that, in the first very busy and distracting moments of her stay in Frankfurt. So great a proof of her remembrance powerfully shakes the botanical theory I had been forming of the longevity of a little flower called *forget me not* which grows particularly in Germany, and is not, I think, very much employed in the garlands adorning the heads of others but genuine German Ladies, not even in those of my mother country, where a full blown rose or a white lilly is preferred to the sentimental Ophelias wreaths. And when I think my theory being undermined by one

who some days before addressed me with the very words of Shakespeare saying I was a *cat to her* in the very moment I had been endeavouring to play a part of a trusty dog and to serve her with the utmost of my serviceable powers I feel completely palled and know not how to reconcile the two extremes, that of her past hatred, with her present graciousness. I conclude with asking her to forgive the joking tone of the lines, and to be assured, I will for ever be honoured and happy to occupy a place in the rear of a long list of her most constant and most willing friends and servants ¹⁾).

Przepraszam Panią za ten rozszerzony pomimo woli mojej, przypisek, ale nie wiedziałem, jak zawrócić—bez upadnienia do nóg — skończy się jednak na tem, że muszę upaść do nóg... ale Pani... i tak pożegnać Ją.

Jul.

Paryż,
Rue de la ville l'Evêque N. 10 (bis)
dnia 15 lipca 1842 r.

VI.

Paryż d. 6 czerwca 1844. Ponthieu 30.

W Dreźnie, niedaleko kościółka Panny Maryi, blisko także Grüne Gewölbe, i od Elby nie bardzo odległe, zostawiłem ja część mego tchnienia, — tchnienie to nie tak święte, jak powietrze kościoła, i nie

¹⁾ Proszę powiedzieć panie Gedge, że jestem bardzo wdzięczny za list, który raczyła do mnie napisać i to podczas pierwszego bardzo zajętego i rozrywanego pobytu we Frankfurcie. Tak wielki dowód Jej pamięci silnie wstrząsnął teorią botaniczną, którą utworzyłem o długowieczności małego kwiatka, zwanego *nieszapominajką*, który często rośnie w Niemczech i, zdaje mi się, nie bardzo często bywa używany do wieńców, ubierających głowy dziewic, z wyjątkiem Niemek, nawet nie w mojej ojczyźnie, gdzie wolą rozkwitłą różę, albo białą lilię, niż sentymentalny wieniec Ofelii. Na samą myśl, że moja teoria zostaje obalona przez osobę, która kilka dni temu mnie zainteresowała słowami Shakespeara, mówiąc, że byłem kotem dla niej, kiedy starałem się odegrać rolę wiernego psa i usłużyć jej z najzupełniejszym poświęceniem. Jestem zakłopotany i nie wiem, jak pogodzić te ostateczności—jej przeszłą nienawiść z jej teraźniejszą uprzejmością. Kończę, prosząc, żeby wybaczyła zajęć tobie ton tych kilku wierszy i chcę ją zapewnić, że będę zawsze szczęśliwy zajęć miejsce choćby ostatnie na długiej liście jej najwierniejszych i najpowniejszych przyjaciół i sług.

tak tęczowe, jak emaliowane złotem kruże i urny, w skarbcu saskim stojące, i nie tak spokojne, jak Elba, a jednak coś z tego wszystkiego w sobie mające, zmieniło się w jednego z tych duchów familijnych, które za Panią chodziły i latały, rozwiewając włosy i szeptać dawne wspomnienia.—Pani temu może nie uwierzysz, ale ja mocno przekonany jestem, że Skierce winienem drogie dla mnie wspomnienie Pani,—z drugiej zaś strony winienem je tu będącemu we mnie duchowi, sercu, które tęschni, myśli tej, która ściga za Panią, oczom moim, które dziś jeszcze patrzyły przy blasku brylantowym rannego słońca na zamknięte głucho okna dwóch domów Elizejskich. Pomimo wymówek w liście Pani, czuć w nim, że Pani wierzysz w słonecznikową pamięć serca mego, i dla tego ten list jest mi darem nad wszystkie dary, głosem nad wszystkie harmonie (nawet Liszta), słowem, prawdziwym mi jest szlachetnem dawno-polskiem udarowaniem. Ludzie świata zbliżają się teraz do kobiet, jak drewniane figurki, ubrawszy się zupełnie w fajerwerki; oko pierwszej kobiety, czy czarne, czy błękitne, zapala od razu te wszystkie młynki, sypiące skrami tęczowemi dowcipu, kręcące się na piersiach po szalonym.. znajdzie się czasami i słońce fajerwerkowe, palące się na czole u takiego człowieka, — a Panie zaraz krzyczycie, że to wulkan, że to człowiek z gwiazd, że to istota, która przez całe życie będzie się różnokolorowym ogniem paliła. Jeżeli w Dreźnie spotkasz Pani takie widmo, spróbuj go i każ mu pierwej skoczyć do Elby, nim w nieśmiertelność tych ogni uwierzysz; jeżeli z Elby wyjdzie równie jasny, to wtenczas możesz go Pani użyć za latarnię. Ale dla czegoż ja Pani daję tę przestrożę? Pani, która już o tem przede mną wiedziałaś. Wszakże mnie samego przeprowadziłaś Pani przez podwodne otchłanie, zostawiłaś mnie w nich tak długo między wielorybami, ślimakami, wśród gwiazd morskich nimfom świecących, zem zapomniał o ziemi i przywykł żyć w ciemni, wśród fal kołyszących ducha mego... Po takiej próbie co ja mogłem uczynić? Oto zbliżyć się znów do Pani, pełny milczenia, i zakłętej we mnie tajemniczej braterskiej miłości... to uczucie we mnie wezbrane działało na ducha Pani, jak natchnienie, jak siła wspierająca, karmiąca, ożywcza; nie wiedziałaś Pani, co czynię, i nie opierałaś się wpływowi ducha mego, to też nabalsamowałem niektóre ranne części serca Pani, i rany się pozamykały — i powietrze wspomnień, chwytaane ustami, już je nie tyle rani, niż (sic) przedtem... Taka jest zasługa moja pokorna u Pani i taka postać moja przed Panią, i takie powinno wspomnienie zostać o mnie na wieki. Przekonałem się teraz, że wszystkie prace nasze na ziemi, choć pod różnemi fermami pokazują się, nie są czem innem w głębi, tylko zdobywaniem duchów, których jak największa girlanda za nami idąca moc naszą stanowi, a mówię tu o umarłych i żywych. Gdybyśmy bo-

wiem umarłych nie mieli, któż-by nam dopomógł u osób dalekich? Któż-by nam listy od osób, będących daleko, otrzymywał? Bez tego podszeptu tych, którzy mię na niebiosach kochają, Pani mogłabyś była żyć dwa lata w Dreźnie i nigdy o napisaniu listu nie pomyśleć, albo nie zdecydować się na rzecz, która dla Pani jest tak małej wagi jest tak bladym epizodem życia Pani nawet w Dreźnie, a dla mnie jest takim wielkiem szczęściem, nawet śród wielkiego Paryża. Widzę więc, że moi *niebiescy* usłużyli mi, i tylko część jedną wdzięczności za list Pani posyłam, a drugą *Im* oddaję.

Pierwszego lipca wyjeżdżam znów nad Ocean do Pornik, i nie tyle dla zdrowia, ile dla pewnego Druidycznego monumentu, gdzie przeszłego roku zakląłem dawne cienie krwawych kapłanów... Uczucie to, z którym w noc miesięczną od tych ogromnych, na pustym polu leżących kamieni odszedłem, przywołuje mnie do nich napowrót. Sądzę, że nie krwi chcą te duchy, ale chcą człowieka, który przez lat tysiące nawet miłością przelecieć umie, i cienie bez imion przywołać... Nie strach mi tych krwawych kamieni, które mi się w myśli pokazują z całą czerwonością przedwieczną — owszem tęskno mi do nich, jak gdyby między krwią w dole, a smętnym ołowianym księżycem na górze mój duch stanąwszy pośrodku, najlepiej się harmonizował z temi bladeściami. Ale cóż ja piszę?!.. jeśli Pani tego duchem nie uczujesz, to zwierzenie się to z czucia, weźmiesz za akord waryackiej muzyki, za chromatyczną gamę ogromną ręką schwyconą w dwóch różnych światach tonów... A propos ręki—jest tu ręka jedna, nawet są obie ręce, prawa i lewa, z gipsu odlane i za oknem sklepowem leżące na ulicznym widoku... jedni mówią, że to są ręce fortepianisty, drudzy, że są fragmentem statuy nieodszukaney i nie odżałowanej, która wystawiała olbrzyma Goliata, czy też króla Katarachesa w naturalnej wielkości; dziesięć stóp miał w biodrach! Alexander P... zapisał je sobie z przyczyny, że są wielkie, a Pani?.. kto wie, może już leżą na Pani stoliku? Zresztą nic więcej interesującego z Paryża, -- i ja, i Małachowski bez listów jesteśmy. Plotek także niema. I dla tego list mój będzie się może pustym wydawał, i za dobroć Pani niewdzięcznym. Ale prawdziwie. że ja z całego serca służę i całym sercem radować się będę, widząc Panią rozweseloną, szczerą, dobrą, wierną wspomnieniom małym i wielkim, słowem odrodzoną podług natury dawnej i podług nowej już świątającej przed nami piękności, widząc Panią zawsze niezmienną, a jednak przemieniającą się.

Jul.

Nowina o pannie Lolly bardzo mnie pocieszyła, dobry przykład dla Sofinetki i dla mnie, którzy się nie możemy zaokrąglić... Upadam do nóg pańienkom.

Nie opuszczaj mię Pani i nie rwij tej cudownej, jakiejś małej niteczki, która podług listu Pani związek nasz stanowi i bez nieświętości zerwaną być nie może; ile razy pociągniesz Pani za tę nitkę, to odezwę się, jak dzwonek, nawet z po-za świata i po wiekach.

VII.

Pani! Aż z nad fal zielonego Oceanu, abym dowiódł, że nie są one wodą Letheiską, ale owszem słonemi łzami Nimf wodnych, piszę ten list. — Bo Pani jesteś jedną z tych osób, których wspomnienie, nie wiem dla czego, sięga mię w najodludniejszych chwilach życia. Wczoraj, na pustych i wietrznych polach, zbierałem kwiaty dla Pani, nie naśladowując w tem nikogo, tylko poddając się myśli jakiejś marzącej i niewytlómaczonej... Potem ten bukiet tysięczno kolorowy niosąc nad głucho szumiącym i błękitnem morzem, chciałem, aby mi ono dało koral i pereł, aby te w bukiet być mogły wplecione... i zaprawdę, że taki bukiet ze stepu i z morza, stojący przed Pani oczyma, oczarowałby podwójną siłą dwojga królestw natury. Wystaw go sobie Pani myślą i niech duch tego bukietu zjawi się Pani we śnie, lub w marzeniu, w oczach na pół przymkniętych, w tem półdziennem świetle, w którym jawią się nam wspomniane osoby... Co Pani robisz? Czem jesteś zajęta? gdzie jesteś? Czy to jest dziełem farfadetów, a sług Pani, że tu zajęchała do Pornic jedna osoba, trochę postacią i oczu błękitem i czarnem ubraniem Panią przypominająca? Po co egzystują na świecie te fałszywe semitony podobieństw, które jak muchy brzęczą około ducha i ciągle go utrzymują w niespokojności? A ja — czemu ja zupełnie nie mogę obronić się od wszystkich brzęczeń i promyków, i łechtań jakiejś próznej imaginacyi, a może skutków serca próznego. Królestwa nie straciłem, a jak król Lear włóczę się po wietrznych wrzosach i polach ciernistych. Nikt mię nie zdradził, jak córki Leara, a ja jednak, jak gdyby za zdradę jakąś, wiatr wyjący przeklinam, i nic nie straciłem, a jednak za wszystkich tęsknię, wszystkiego pragnę, a nic nie wzięlbym, choć-by mi wszystko dawano. Wytłómaczyłbym ja Pani te wszystkie dyssonanse, gdybym mógł być Pani jeden tylko klucz muzyczny mojego ducha wytłómaczyć, ale teraz muszę być względem Pani także dyssonansem. Smutno mi w Pornic, smutno, że wrócę do Paryża i tam Pani nie znajdę, bo pókim był w Paryżu, tom się był z tą

myślą oswoił, a teraz podróż ta moja, mało tak do przeszłorocznej podobna, gorzej mi czuć daje, że ten jedyny dom, gdzie się ja chronił z taką ufnością, gdzie siedzi z taką wiarą po trochę ciszy i współczucia, zniknął i uleciał gdzieś do wschodu, jak chata Loretańska. A tu w Pornic nic się nie zmieniło: ten sam żebrak siedzi na drodze i każdy łachman jego jest taki, jak dawniej. Moje druidyczne kamienie nie osunęły się do ziemi, mój doktor nie postarzał, oberżysta nie został deputowanym, sługi mnie poznali, żebrak, oberżysta, doktor nie zapomnieli, dla tych ludzi rok jest mgnieniem oka, chwilą—anieli jacyś przeprowadzają ich po ziemi, zmianę rzeczy zakrywając im skrzydłami. Nie tak dla nas, Pani moja, czy prawda? a dla czego? bo sami jesteśmy własnymi aniołami, ciągle sami, za wszystko odpowiedzialni, zawsze cierpiący, ja dosyć spokojnie, Pani, rzucająca się, jak płotka w kryształowej rzeczce Litewskiej. Powiedz mi Pani, ale szczerze, czy jeszcze są takie chwile, że się Pani rękami chwytasz za włosy, gładzisz je, a z takim gestem, jak gdybyś je wyrwać chciała? Opisz mi Pani szczerze stan serca swego, i wymaluj mi wiernie swoją osobę, ja zdaleka lepszym może będę doktorem, niż z bliska; ja jestem dla Pani człowiek daleki, w perspektywie niby jakiejś alei ciemnej, tam gdzie się ciemność kończy. widziany! . idź Pani zwolna i licz wszystkie drzewa alei, i zatrzymaj się czasem, czytając na korze ich suchej napisy — te drzewa to ludzie, a Pani właśnie między nimi teraz jesteś, a ja jestem daleko od nich, wszystkimi siłami duszy mojej z pośrodku nich wyrwany, co dzień więcej czujący, że choć dla ludzi, ale zupełnie ludzki nie jestem. Czemuż ja Pani pisać nie mogę o tych duszach, których tłum znajomy coraz mię wyraźniej otacza, i ziemię zamienia w jakieś niewidzialne królestwo, w którym ja jestem sługą i królem? Gdybyś Pani widziała te sprężyny, które ruszają człowiekiem, te dusze, które przez ducha jednego objawiają chęci swoje, tych umarłych, którzy przez jednego żywego są żywi; pojęłabyś Pani, jaka to rzecz straszna być człowiekiem — i zrozumieć, że jest w powietrzu mnóstwo, które kocha lub nienawidzi. Ale co to wszystko Panią obchodzi? Dla czego ja to piszę — dla czego ten list cały napisałem? Ja nie wiem, Pani — nie wiem prawdziwie. — Dalibóg nie wiem, bo ja z Panią nie powiązałem żadnej nadziei, bo mi Pani żadnej gwiazdy nowej nie zapalisz, ale nie wiem dla czego — chciałbym — ot, abyś Pani tu się zjawiła na dzień jeden... abyś usiadła na płycie granitu, który kościół podziemny Druidów pokrywa, abym ja stanął ze strony, gdzie włosy Pani powieją, aby tak na nas cicho tam będących psy pasterskie zaszczekały, jak na mnie szczekają; abyś Pani słyszała i złękła się na szelest trącej o kamienie paproci... abyś okiem obejrzała ten okrągły i smętnie blade ho-

ryzont, pełny morza i pustej ziemi. Takiej jednej chwili chciałbym teraz, albowiem pusty jestem, jak te stepy, i rozkochany w pustyni serca mojego, które się ani poddało, ani pękło.

Skarżę się i skarżę się bez końca, jak muszla z wymarłym w sercu ślimakiem. Ale Pani mi ten szum i te szumowiny wybaczysz, — chcąc widzieć w liście moim to, co jest w nim na dnie—szczerą i wielką, i pokorną przyjaźń, która nigdy nie przyrzeka więcej, niż chce dotrzymać, ale dotrzymuje czasem więcej niż przyrzeka.

Jul. Słowacki.

Widziałem na wystawie zwierciadło srebrne Dyanny, pełne dyablików i jaszczurek, tak jak skała Pornicka w mojej imaginacyi; przejrzałem się w tem zwierciadle i lękam się, aby w niem cień mojej twarzy nie został i nie pokazywał się w nocy upornie, zwłaszcza, że właścicielka przyszła tego lustra wierzy w pokazanie się widm zalustrzanych. Przeszedłem przed tem lustrem, jak może przed Pani pamięcią, nie zostawiwszy na tem szkle żadnego rysu, ale oczymoe w niem były. Wiadomo zapewne przyszłej właścicielce tego wodnego kryształu, otoczonego jaszczurkami, że Guguś wstąpił w śluby małżeńskie i w jednym z najstarożytniejszych zamków francuskich połączył herby Jagiellonów z herbami nie wiem jakimi—ubrany, sprowadzony do ślubu przez swatkę guwernantkę, która go do tak szczęśliwego celu doprowadziła, wszakże nie bez szwanków na drodze. Lada chwila czekam, że panna Lolla odpowie podobnem echem Petersburskiego żurnалу, na echo, które to małżeństwo w Paryskich ogłosiło. Kłaniam Panienkom.

Pornic d. 18 lipca 1844 r.

VIII.

Paryż, Ponthieu 30. 1845. 18 styczeń, n. s.

Przeczytawszy drogi list Pani, nazwałem Panią w obec duchów, które mnie otaczają, *wielką kobietą*. Wyrażenie to niezwykle może rozśmieszy, bo w całej Europie nie było dotychczas potrzeby takiego słowa, a odznaczające się dowcipem, lub sentymentem damy nazywano sławnemi — wielkość jest zupełnie różną od sławności, a wielkość kobieca jest jakąś rzeczą serdeczną, a tak posągową i ciężką, że nawet

pani Sand upadła-by pod ciężarem takiego płaszcza ze złotej lamy i zobaczywszy się tak ubraną w zwierciadle, obaczyła-by całą śmieszność sławy kobiecej. Plutarch opisuje matkę Grachów, że ta po śmierci obu synów utrzymywała w Rzymie dom świetny, otwarty, dom pełny zawsze sławnych ludzi. Plutarch powiada, że ta kobieta, dla której świat stał się zupełną pustynią, bez żadnej przyszłości, bez echa żadnego, otoczona ludźmi różnego rodzaju i miary, z największą spokojnością opowiadała im różne szczegóły z dzieci swoich dziecinnego żywota, a jeszcze spokojniej, jeszcze z miłszym na twarzy uśmiechem, śmierć synów swoich opowiadała, tak dalece, że ją niektórzy o nieczułość i twarde serce posądzali; ale powiada Plutarch, że źródłem tej spokojności była wielkość i piękność serca, które biło w piersiach smętnej Rzymianki. Tę wielkość więc Plutarch czuł i odmalował, ja czuję także w Pani, ale odmalować nie mogę... W tym ranku mroźnym Nowembrowym, obaczyłem czarną postać Pani, niby większą, na horyzoncie pól, czarnym wrzosem pokrytych, wobec tych firanek złotych i srebrnych, które aniołowie podnosili na niebie i niby na wałki zwijali.. Widzę blask złoty straszego słońca i twarz Pani oświeconą, i oczy i usta w pół otwarte, strój nawet Pani jakiś ciemny, obszerny, w złote łamiący się fałdy, i pytam się, jaki to żurnal poradził Pani krój i kolor tej sukni, w której mi się Pani pokazałaś w Paryżu? Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcza z błyskawicy wschodniej nie wdziewał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić... Dzięki za ten obraz! — dzięki także za tę myśl Pani o smutnym gdzieś człowieku, który na druidycznych kamieniach leży twarzą także do wschodzącego słońca obrócony — dzięki Pani! że zamiast szukać go myślą po błotnych ulicach Paryża, poszłaś o kilkadziesiąt mil dalej, nad morze grające, na smętne pola, gdzie on siedzi na białych kamieniach i drży jakąś krwawością ciemną podziemnych i przedpamiętnych ludzi. Na tych kamieniach zostawiłem jedną z najpiękniejszych postaci, kiedykolwiek oczom moim zjawionych. Prawdziwą Normę, prawdziwą Adalgizę, słuchaj Pani jej opisu... Raz przy zachodzie słońca... na tym kopcu druidycznym, z którego świat widać ogrągło i pusto na wszystkie strony, opasany przez pół węzłem błękitów morskich — dopaliwszy cygara, upity wonią tamarynow i chwastów, które mi u głów i nóg rosły... dwa kuszcze zielone, cyprysowym krzakom podobne, — zamknąłem oczy i myślałem, że prawdziwie jestem już jako Malboroug w piosence umarły, ale niezapomniany... Otóż, gdy z tego snu i letargu oczy otworzyłem na nowo, słońca już nie było nad morzem, tylko długa i smętna wstęga purpurowa łuny ciągnęła się na zachodzie,

a między tą luną i oczyma mojemi... postać sylficzna Druidessy, trochę biedna, trochę żebracka, ale cudownie ładna... i kształtna... zwłaszcza włosy jej, włosy złote, lekkie, jak pajęczyna, w jedną stronę wiatrem morskim odwiane, jak struny harfy ossyanicznej, a pod nią... dwa półmiesiące z gwiazd, to jest chodaki ogromnemi ćwiekami w półmiesiące podbite, które, ku zachodnim blaskom obrócone, prawdziwie paliły się meteorycznym blaskiem. Teraz więc Pani z tych chodaków wniesiesz, że to była prosta chłopka, którą ja przez egzaltację moją podniosłem i uczyniłem jakąś poetyczną figurą; sądząc tak, bardzo się Pani droga omylisz... Ciało tej dziewczynki dziesięcioletniej było prawdziwie pastusze, ale duch i ducha tego glos, melancholia, delikatność, przecucia, uczucia, reminiscencye, przenikliwość i mistyczność świadczyły prawdziwie o królewskim pochodzeniu, w prostej linii od Normy i Adalgizy.. Ona mi mówiła o węzach w złotych koronach, które siedzą pod tym kamieniem, na którym ja siadywałem, a jam czuł pod sobą tętno i śpiewanie, i świst strasznego królestwa. Nazwisko jej było proste, a jednak było dla mnie najbardziej czarodziejskim imieniem na świecie... Raz zastałem ją układającą ofiarę z małych błyszczących kamieni; ofiara była słońcu czyniona, bo te kamienie paliły się, jak węgle rozżarzone w jej rączkach. I nie myśl Pani, żeby ta dziewczyna naśladowała lud tameczny, albo się od kogo myśli swych nauczyła... lud albowiem nic nie wie, czarne są chłopcy — orangutanom podobne, a Woltera duch w karczmach i szynkach panuje, wygnawszy zupełnie Fausta i wszelkie Druidyczne wspomnienia. Dziewczyna ta więc była sama z siebie poezyą... z nią kilka wieczorów przegwarzyłem, a czasem do łez rozczulony, bo ona mi opowiadała czasem swoją mękę na ziemi, to lato na pracę przeznaczone, a zimę jeszcze gorszą... Żeby zaś Pani dać miarę delikatności jej domyślnej, przytoczę tylko jeden fakt z rozmowy. Widząc, że pasła krowę dość chudą, chciałem dowiedzieć się, czy ona jest córką domu, do którego ta krowa należy, czy tylko służącą... nie mogłem jednak prosto o to zapytać, tak dalece królewskość jej ducha panowała nade mną... zapytałem więc nie o nią, lecz o krowę, nie pamiętam już jakim frazesem... ale tak nieobrażającym jej duszy, że pewnie żadne inne dziesięcioletnie dziecko nie domyśliłoby się, o co chodzi. Ona jednak — natychmiast, jak jelonek wdrygnęła się... i bawiąc się niby z medalikiem złotym, który wisiał na jej szyi, podniosła drugą rękę do nieba i z dziwną melancholią odpowiedziała mi prosto na ducha pytanie... „O! Pan Bóg nie pozwolił jeszcze, abym ja obcym ludziom służyła!“ Takie są tajemnice Norm... które od kamieni druidycznych duchami odlecieć nie chciały... Są to w pastuszkach dumne i piękne dusze, które raz może spotykają człowieka, z którym

się rozmówić mogą... a widząc go, przychodzą śmiało — z prostotą gołębi — siadają przy śpiącym, czekają aż oczy otworzy. Mówią do niego, jakoby go brały na świadectwo, że wiedzą, czem są, i odchodzą spełnić swój żywot biedny i pracowity.. Nie śmieć się ze mnie Pani, proszę, ani posądzaj o żadną egzaltację wymuszoną i Sternostwo angielskie, głupio sentymentalne — ta mi dziewczyna była nauką — i pokorniejszy wstałem z tych kamieni, niżem był, gdym się na nich, jak marmurowy kto, rozciągnął. Lecz ta gołębicą już dawno odleciała ode mnie, a jam ją dla tego tylko w tym liście umieścił, aby spełnić żądanie Pani, i najważniejszy fakt z mego dwumiesięcznego życia nad morzem opisać... Inne mniejsze duchy w kitajkowych sukniach z falbanami, polkujące na zapyłonych posadzkach oberży, albo na osiolkach odprawiające pełne śmiechu podróże, nie warte są wspomnienia, nie warte aby pamięć zawędrowała tak daleko...

Żadnej błahej myśli nie ważyłbym się postać do domu tego, gdzie Matka moja, wszedłszy, musiała zaraz zalać się łzami — przez Zosieczkę rozczulona... Więc i w tej Zośce jest jakiś serdeczny aniołek, który wie, czego matkom potrzeba?.. Więc to jest także fortepianistka, która z serca matczynego całe girlandy tonów wydobywa, najczystsze perłowe nuty znachodzi?.. W różowej jakiejś była ta dziecinka halucynacyi, kiedy matkę moją przyjmowała, otoczyła ją wszystkim, czegom się ja dotykał — pieskiem, sztambuchem... i jakąś dziwną litością, niby matczyną, nad matką zapanowała... To też za to kwiatek wrzосу, przez nią urwany, będzie mi świętym...

Co do Judyty, przez jedną nawet chwilę nie miałem za złe, żeś ją Pani w tem miasteczku Izraelitańskim zostawiła; owszem, tak trzeba było, a ja tylko, jeszcze raz to Pani szczerze powiem, że pisząc te rzeczy, ani razu nie miałem na myśli związku przeszłości z terażniejszością i teraz sam się dziwię, że jest niby jakaś czasowa okoliczność w rzeczy, która czasu mieć nie powinna. Czas więc to wszystko zatrze, co pod jego stopą prochem być powinno... a bogdajby i ta dziecinka sławą swoją, jak karmazynową firanką, zasłoniła te kilka plam na imionach w przeszłości. ❧

Gadałem długo, a Pani poczujesz w liście, że mgła ciemna wisi nad Paryżem i od strony pól Elizejskich, gdzie mi dawniej jaśniej było, pędzi na ulicę Ponthieu swoje czarne kłęby z dymem zmieszane... Nic nowego nie słyszałem — z Z. zupełnie komunikację mam przeciętą jego miejscem pobytu, położeniem, a może też przez Fatum dawne, które stanęło pomiędzy nami. Sądzę jednak, że mi to serce nie uderzy fałszywie. Alex. P... wyjechał do Rzymu, także trochę, jak mi

się zdaje, na Z. zażalony. Proś Pani Boga, aby wrócił nam dawny dzień jasny, w którym-by te wszystkie półcienie zniknęły, bo teraz wszystko na winę czasu złożyć możemy,—jam temu przypisywał długie milczenie Pani względem najwierniejszego ze smutnych i niepotrzebnych przyjaciół.

Jul.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Zaznaczyliśmy już ważne dzieło socjologa, Marka Leclerc, o wychowaniu dziatwy angielskiej, dziś zwróćmy uwagę na nową publikację tegoż autora, pod tytułem: *Les professions et la société en Angleterre*.

Książka ta stanowi dopełnienie poprzedniej pracy. Autor śledził dotychczas rozwój dziecka w domu i w szkole, — obecnie wykazuje korzyści, jakie przynosi jednostce odebrane wychowanie. Zapytuje, o ile dyplomy szkolne i uniwersyteckie zapewniają młodzieży byt materialny? jaką gra rolę przy wyborze zawodu wykształcenie ogólne.

We Francji ogólny rozwój umysłowy najwyżej ceniony. Młodzież, dyplomowana w tutejszych zakładach naukowych, równie jest uzdolnioną do każdego zajęcia. Szkoła politechniczna dostarcza Francji biegłych inżynierów, przemysłowców, kupców, polityków, finansistów, nawet i agronomów. Opinia publiczna, zarówno jak dyrektorowie znacniejszych zakładów przemysłowych, oceniają ludzi jedynie według znaczenia tytułu naukowego. O rzeczywistej ich wartości całkiem niemal zapominają. Przeciwnie rzecz się ma u Anglików. Tam doświadczenie w technice, oraz gruntowne specjalne wykształcenie, starczą za wszelkie dyplomy. Kilkoletnia praktyka w obranym zawodzie pierwszym jest warunkiem do otrzymania w Anglii jakiegokolwiek miejsca.

Ogólny rozwój umysłowy, jednym słowem, zewnętrzny polor, zapewniający powodzenie, głównym jest celem edukacji francuskiej. „Nie brak nam, powiada Leclerc, umysłów otwartych, zdolnych objąć różnorodne gałęzie wiedzy. Ale, niestety, nie brak i dyletantów! wykształcenie bowiem nasze jest raczej zbytkowe, niż praktyczne. Angielski sposób wychowania w większej daleko mierze zabezpiecza materialny byt jednostce.“

„My, Francuzi, mówi dalej autor, siejemy hojnie oświatę pomiędzy młodzieżą, lecz mało dbamy o rozwój jej uczuć moralnych. To też liczba zbrodni wzrasta u nas z dniem każdym, kiedy natomiast w Anglii zmniejsza się bezustannie.“

Główną cechą charakteru Anglika jest nieodzowna potrzeba ruchu. Wysiłek fizyczny i umysłowy zapełnia mu życie, opór pobudza go do czynu. Choroba, nędza, złowrogi klimat, grożą mu z każdej strony. Zaspokojenie pierwszych potrzeb życia pochłania całą niemal jego istotę.

„Naród angielski, ciągnie Leclerc, nie jest tak dziki, tak gwałtowny i nieokiełznany w namiętnościach, jakim maluje go Taine i jego poprzednicy. Pod wpływem cywilizacji, pobudki do czynu stają się coraz to mniej silne. Szorstkość w obejściu, żarłocstwo, nadużycie trunków, ostatnie ślady barbarzyńskiej epoki, zmniejszają się ciągle i znikają pomalą. W duszy Anglika zachowała się jednak cząstka barbarzyńskiego żywiołu: nieugięta energia, konieczna dla spełnienia wielkich czynów.“

„Gruntowna uczciwość, chęć wystarczenia samemu sobie, większa skłonność do spożytkowania, niż do oszczędzenia zarobku, te główne cechy charakteru angielskiego sprzyjają pełnemu rozwojowi sił moralnych i fizycznych. Anglik z niesłychaną łatwością pochwyca wszelkie środki, któremi dochodzi do celu.“

W literaturze, w sztuce, w rzeczach duchownych nawet, pożytek i piękno zawsze się tu jednoczą. „W duszy angielskiej, według wyrażenia Taine’a, religia i pozytywizm żyją tuż obok siebie.“

Przykład arystokracji, bliższe jej stosunki z roboczym ludem, wpłynęły głównie na rozwój politycznego życia narodu. Społeczeństwo angielskie rozwija się ciągle w kierunku demokratycznym. Nie traci jednak z oczu tej wielkiej prawdy, której nauczyło nas dziejowe doświadczenie, że żaden naród, nawet powołany do samorządu, bez wodzów obejść się nie może; że zdolni wodzowie nie są wytworem chwili, że tylko drogą długiego doświadczenia i w szeregu kilku pokoleń, nabierają zalet niezbędnych dla dobrego polityka ¹⁾. Paradoksalnem na

¹⁾ Z wyjątkiem pierwszorzędných geniuszów,—dowodem na to Napoleon.

pierwszy rzut oka wydawać się może przywiązanie wolnego ludu angielskiego do arystokracji. Robotnik jednak usuwa się dobrowolnie od czynnego udziału w rządzie, ograniczając swą działalność do kontrolowania władzy w charakterze wyborcy.

Z łona klasy robotniczej wyrodził się cały zastęp gorliwych pracowników na polu naukowym i literackim; prosty tkacz, Gutteridge, zostawił nawet piękne studyum, pod tytułem: „Światła i cienie w życiu wyrobnika.“

Uczucie solidarności między klasami, przenikając stopniowo wszystkie warstwy społeczeństwa, nadaje miłosierdziu pozór najmniej obrażający osobistą godność ubogiego, jednym słowem, przeistacza głęboko samo życie narodu.

Sprawozdanie z dorocznego posiedzenia związku górników angielskich na rok 1894 określa temi słowy pomoc, przyslaną robotnikom podczas wielkiego bezrobocia.

„Nigdy jeszcze w żadnej innej sprawie braterstwo ludzkości, węzeł, łączący bogacza z nędzarzem, nie uwydatniły się tak świetnie, jak dzisiaj. Ubodzy dobyli ostatni grosz z kieszeni, bogacze poświęcili czeki i papiery procentowe; kobiety oddawały klejnoty, aby ulżyć cierpieniom i nędzy. Dzienniki liberalne, torysowskie i radykalne, z równą gorliwością broniły szlachetnej sprawy o polepszenie bytu robotnika.“

Tak ekonomiczny, jak i moralny stan kraju odmienił się do gruntu w przeciągu dwóch stuleci. Powolnym bywa wzrost ludności, dopóki rolnictwo samo dostarcza mieszkańcom głównych środków do życia. Przeciwnie, naród z niesłychaną szybkością wzrasta liczebnie, skoro szeroko rozwinięta działalność handlową i przemysłową. Użycie pierwszych maszyn nie obeszło się bez ciężkich przejść dla klasy robotniczej; byt jej polepszył się jednak znacznie, dzięki pieczołowitości prawa i dobrej woli właścicieli fabryk. Przy budowie nowych warsztatów uwzględniono ściślej przepisy higieny, niż to dawniej bywało. Większy zarobek, mniejsza liczba godzin pracy, mieszkania schludniejsze, lepszy sposób odżywiania, rozszerzają widnokrąg robotnika; czytanie książek podnosi umysłowy jego poziom. Rozmaga się suma bogactwa narodowego; większą liczbę głów powołano do podziału; sprawiedliwość ściślej dziś spełniana, niż przed laty.

Anglia, niegdyś zamknięta w sobie, posiada obecnie wielkie obszary po-za granicami kraju. We wszystkich częściach kuli ziemskiej rodzą się wierni jej synowie, zespoleni z nią węzłem przywiązania i wspólnego interesu.

Zmiana obyczajów w społeczeństwie angielskiem niemniej jest charakterystyczną. W początku bieżącego stulecia średnia szlachta

(gentry) stała na czele rządu i administracji gminnej. Dziś, przy nadaniu prawa wyborczego, atrybucye jej przeszły do ludu. Za pomocą owych stopniowych zmian, prowadzonych powoli, z wielkim rozmysłem, przygotowano panowanie demokracji. Naród był już politycznie dojrzały, gdy mu powierzono losy kraju.

Naukę ugruntowano w Anglii na podwalinie energii osobistej, bez żadnej pomocy ze strony rządu. Poeta i myśliciel nie stronią bynajmniej od burzliwego wiru życia, przeciwnie, usiłują zbliżyć się do wielkich mas ludu. Smak estetyczny kształci się też pod wpływem owych poetów i myślicieli.

W ciągu bieżącego stulecia, sceptycyzm wyższych warstw społecznych, zarówno jak niemoc moralna niższych, znikły wobec wewnętrznego życia narodu. Żarliwy głos Wesleya rozbudza ducha, uśpio-nego dawniej w ludzie. Uczucie religijne, odarte z fanatyzmu, równie głębokie dziś, jak i przedtem.

Wewnątrz naród angielski wzorem jest solidarności społecznej. „My, Francuzi, mówi Leclerc, rozumieliśmy dotychczas i praktykowali tylko solidarność ogólnie ludzką. Częste przewroty społeczne, płody młodzieńczego zapału, były naturalnym wynikiem naszych poglądów i uczuć. Zapewniły nam one szeroki wpływ moralny w ucywilizowanym świecie.

„Dziś czasy się zmieniły. Nowa doba historii obiecuje Francji pokój, powinna też skierować umysły ogółu na rzeczywistą stronę życia. Bohaterskie czasy minęły, nadeszła pora na rozwój cichych cnót domowych. Trzeba nam wesprzeć podwaliny gmachu społecznego, podać jednostce broń moralną do walki z życiem.“

„Ze wszystkich czynników podległych obserwacji rasa i otoczenie mają, według Taine'a, przeważny wpływ na ogólny rozwój narodu, obejmują bowiem wszystkie żywioły, z których się urabia materyalna strona człowieka. Świat zewnętrzny działa na duchową jego istotę.“

„Nam przeciwnie się zdaje, kończy Leclerc: czynniki moralne powinny tu stać na pierwszym miejscu. Taki zapewne będzie sąd czytelnika po przeczytaniu naszej książki.“

Na ostatnie zdanie autora zgadzamy się zupełnie, ale w poprzednim jego rozumowaniu odczuwamy fałszywy ton, panujący dziś, niestety, w nowym pokoleniu pisarzy francuskich. Miałby Francya wyrzec się na zawsze owej solidarności, ogólnie ludzkiej, która, jak przyznaje p. Leclerc, zapewniła jej szeroki wpływ moralny w ucywilizowanym świecie. Miałby zapomnieć wiekowego posłannictwa, uświęconego przysłowiem: *Gesta Dei per Francos*. Skąd-że ta pewność, że czasy bohaterskie minęły bezpowrotnie?

Dzisiejszy upadek serc i umysłów we Francyi za nadto jawny, aby mu kto chciał przeczyć, lecz nie tak ogólny, jak się na pozór wydaje. Azaliż tęsknota za wyższym ideałem nie objawia się w rozbudzonej legendzie Napoleońskiej, a bardziej jeszcze w hołdach, składanych przez naród bohaterskiej Joannie d'Arc, podniesionej dziś do najwyższej apoteozy?

W końcu roku zeszłego umarł w Rzymie głośny w świecie archeolog, Jan Rossi. Nie mówiliśmy o nim w swoim czasie, pobieżne bowiem nekrologi nie dały nam dostatecznego pojęcia o tym człowieku. Dziś dopiero znajdujemy w tutejszym Przeglądzie historycznym rozprawy dwóch erudytów: jedną pana Perote, współpracownika pomnikowego dzieła o Watykanie, drugą obszerniejszą Jana Guiraud. W obu występuje Rossi, jako jeden z tych olbrzymów, których imiona są chwałą wieku swego.

Urodzony w Rzymie 1822 roku, Rossi od lat dziecińczył umiłował naukę. Podania i legendy z pierwszych wieków chrześcijaństwa szczególnie porywały jego umysł. Opowiadał sam, jak w jedenastym roku życia czytał z zachwyceniem dzieła słynnego Bosio, archeologa z siedemnastego wieku, którego współcześni nazwali Krzysztofem Kolumbem Katakumb, on bowiem pierwszy podjął pracę nad ich badaniem. Młodzian postanowił iść w jego ślady i spełnić to, czego mistrz przed dwudziestu laty nie mógł dokonać dla braku materiałów.

Ukończywszy nauki w uniwersytecie rzymskim della Sapienza, i otrzymawszy stopień doktora, Jan Rossi, z Ojcem Marchi, uczonym starożytnikiem, układał plan do olbrzymiego dzieła pod tytułem *Roma Sotteranea*. Śmierć towarzysza nie przerwała pracy, ale cały jej ciężar złożyła na barki Rossiemu. Brat jego, Stefan, biegły geolog i inżynier, pomagał mu w odkopywaniu katakumb. Pierwsze odkrycie cmentarza Kalisty, gdzie spoczywali Papieże III wieku, stało się prawdziwym tryumfem dla archeologii. Imię jego zasłynęło w świecie naukowym.

Z pomocą Piusa IX, Rossi rozpoczął publikacye trzech dzieł pomnikowych: w roku 1861 ukazał się tom pierwszy *Napisów chrześcijańskich w Rzymie z wieku VII*. Następnie w ciągu lat trzynastu wyszły trzy wielkie woluminy *Rzymu podziemnego*. Pierwszy, wydany w roku 1864, obejmuje dokładne studia nad historią Katakumb i ich historyków; w drugim opisana szczegółowo katakumba Kalisty, w trzecim topografia cmentarzy chrześcijańskich. Czwarty, do którego wykonane tylko kolorowe tablice, obejmuje cmentarz Domicelli; tom piąty, poświęcony cmentarzowi Pryscylli.

Trzecia publikacja, pod tytułem *Mozaiki chrześcijańskie w kościołach rzymskich przed wiekiem XV*, ozdobiona pysznym zbiorem tablic chromolitograficznych, wychodziła częściowo. Autor na krótko przed śmiercią, pod dwudziestym szóstym zeszytem drżącą ręką nakreślił koniec. Brak tylko indeksu i przedmowy.

Pomnikowe te dzieła wymagały wiele czasu i ogromnych nakładów. Oprócz tego, Rossi wydawał od roku 1863 Buletyn archeologii chrześcijańskiej, przegląd trzymiesięczny. Przez lat trzydzieści nagromadził w nim mnóstwo rozpraw, dotyczących historii kościoła od pierwszych początków chrześcijaństwa. Mimo tylu prac, zasiliał stale przeglądy archeologiczne francuskie, niemieckie i włoskie.

Przed laty trzema, kiedy Rossi kończył rok siedmdziesiąty, uczeni wszystkich krajów pośpieszyli do Rzymu, chcąc mu oddać hołd zasłużony. Popiersie solenizanta umieszczono uroczyście w podziemnej bazylice Św. Sykstusa. Odśpiewano potem tryumfalne *Te Deum*. Liczna publiczność wzięła w tem udział, bez względu na różnicę wyznań religijnych. Była to istna apoteoza. Tłumy Anglików i Amerykanów przynosiły fotografie solenizanta, błagając go o własnoręczny podpis.

Ledwie parę miesięcy ubiegło od tych godów, Rossi zaniemógł, tknięty paraliżem. Pióro wypadło z bezwładnej ręki, ale umysł zachował krzepką siłę, pamięć pozostała nietkniętą. Zmuszony posługiwać się ręką cudzą, otoczony najtroskliwszą opieką żony i córki, wielki archeolog pracował do ostatniego tchnienia, z miłym mu przyjacielem, księdzem Duchêsne, obecnie dyrektorem szkoły francuskiej w Rzymie.

Uczniowie zmarłego erudyty rozpoczęli na nowo przerwane wydawnictwo buletynów archeologii chrześcijańskiej, zasilając się niewydanymi jeszcze pracami swego mistrza.

Z prawdziwym zajęciem odczytaliśmy świeżo wydane wspomnienia literackie Edwarda Grenier. Ten, powszechnie ceniony i wielokrotnie uwieńczony przez akademię, poeta, należy do starszej generacji literatów, ale napojony od młodu balsamicznem tchnieniem jodeł, wśród rodzinnych gór Jura, zachował umysł krzepki, uczucie żywe i młodzieńczą siłę wyobraźni. Rozpoczął on zawód literacki po roku 1840, kiedy umysły przyszły już do równowagi po pierwszych wybuchach romantyzmu, ale nie wpadły jeszcze w złowrogi pesymizm, rozpostarty nad dzisiejszym widnokregiem literackim.

Wspomnienia te ogarniają przeciąg lat pięćdziesięciu. Autor przebiega cały zastęp zmarłych już pisarzy, których imiona rzucają

blask na literaturę kończącego się wieku. Sądy jego pełne wyrozumiałości i dobrej woli: rad on w każdej osobistości upatrywać dodatnią stronę; nie tai błędów, ale nie chłoszcze ich sarkazmem. O nowym kierunku literatury unika wszelkiej wzmianki, nie spotykamy nigdzie imienia nowych koryfuszów. Zostawia to do pamiętników swoich, które przysposabia dla potomności, jak łatwo zgadnąć z kilku słów, pobieżnie rzuconych.

Grenier nie kreśli życiorysów, nie wdaje się w krytyczne sądy, mówi o współczesnych literatach, o tyle tylko, o ile miał z nimi osobiste stosunki. Lamartine'a stawia w pierwszym rzędzie: z radością widzi ogólny zwrot umysłów, objawiający się od chwili wielkiej manifestacji w setną rocznicę urodzin genialnego poety.

Dokładna znajomość niemieckiego języka zbliżyła Greniera z Henrykiem Heine. Słynny poeta niemiecki naglił go usilnie o przekład swych poezyi. Napróżno przedstawiał mu Grenier, że język francuski nie nadaje się do tłumaczenia poetów, zwłaszcza lirycznych, że niepodobna oddać ich wiernie z powodu odmiennych warunków rymu i miary, przekład zaś prozą będzie tylko słabem odbiciem oryginału, bez formy, bez kolorytu, słowem, bez życia. Ustąpił wreszcie usilnym naleganiom, zabrał się do pracy, ale ta szła powoli. Zniecierpliwiony Heine napisał list, pełen złośliwych sarkazmów; Grenier, dotknięty do żywego, odesłał mu przełożone poezye, odtąd go nie widywał.

„Takie były, mówi on, stosunki moje z tym pierwszorzędnym poetą. Dziwna ta postać, złożona z najsprzecznějších rysów. Znosił po bohatersku najsroższą boleść fizyczną, a nie mógł scierpieć najslabszej krytyki literackiej. Sztydził niemilosiernie tak z drugich, jak i z siebie samego. Nie wierzył w nic, występował zażarcie do walki przeciw instytucyom, przeciw prawom ludzkim i Bożym. Nie oszczędzał nikogo, a chciał, aby go nikt nie dotknął. Mściwy i zgoryczały, miał przecież chwile dobroduszości. Śmiał się z ran, zadanych przez siebie, gotów poświęcić wszystko dla dowcipnego słowa. To podnosił się do szczytu poezyi, to wpadał w grubiańskie żarty; słusznie nazwał się sam kwasem kapuścianym, zaprawnym ambrozyą.“

Po ukończeniu nauk uniwersyteckich, dwudziestoletni Grenier marzył z zapałem o poezyi, snuł w głowie rozmaite plany, zasięgał rady młodych literatów.

„Poznaj się z panią Georges Sand, rzekł do niego przyjaciel, znajdziesz w niej niemylną przewodniczkę.

Ów przyjaciel nie widział nigdy słynnej autorki, ale przedstawił młodego poetę pani Marliani, żonie konsula hiszpańskiego, która z panią Georges Sand w blizkich żyła stosunkach.

Wkrótce nastąpić miało spotkanie. Młodzian, zaproszony na wieczór przez uprzejmą pośredniczkę, nie posiadał się z radości. Przytaczamy tu słowa entuzjasty.

„Za chwilę zbliżę się do tej genialnej kobiety, której powieści, a szczególnie *Listy podróżnika*, czarowały myśl moją i upajały serce. Ujrzę tę wielką tajemniczą Lelię, otoczoną gronem słynnych ludzi, jak Sandeau, Musset, wreszcie Chopin. Cóż to za szczęście! a jak tu zatrzymać prąd rozigranej wyobraźni. Gdyby też jej wielkie czarne oczy zatrzymały się na mnie z ciekawością, może ze współczuciem! Kto wie, po tylu burzach, czego ona dziś pragnie? za czem goni? co poruszyć ją zdoła? może urok pierwszej miłości, szal młodzieńczego serca? Na ten temat biedna głowa moja rzucała cudne arabeski. Miałem lat dwadzieścia,—nie zapominajmy o tem.

„Było to 2 lutego 1840 roku. Przebiegałem gorączkowo aleje luksemburskiego ogrodu. Słońce przyświecało, jak wiosną, na niebie żadnej chmurki. Łabędzie pływały po sadzawkach. Chmara dziątek płaśała pod drzewami bez liści. „A więc dziś w wieczór, powtarzałem sobie w duchu. Mówić jej będę o moim zamierzonym poemacie, lub, co lepiej, o jej ostatnim dziele, o tym zarysie dramatów fantastycznych, gdzie porównywa Fausta i Manfreda z Dziadami Mickiewicza. Powiem jej tyle rzeczy, może ją zajmę i poruszę. A potem, zwracając myśl na życie moje, tak dotąd puste i bezbarwne, dodałem z cicha: „jutro wszystko się może zmienić, jutro może nowa rozpocznie się dla mnie hegira!“

„Wieczorem około 10-ej, ciągnie dalej poeta, z głową ufryzowaną, stawilem się w salonie pani Marliani Salon pełen gości; wchodząc, spostrzegłem trzy osobne grupy,—jedna ściągnęła szczególną uwagę moją: w pośród niej siedziała na sofie kobieta blada, w czarnej sukni, z cygaretem w ustach: poznałem ją, to była ona!.

„Serce uderzyło mi na gwałt, kiedy gospodyni domu ujęła mnie za rękę i przedstawiła przyjaciółce. Skłoniłem się, nie śmiejąc podnieść oczu, ni wybełkotać słowa. Pani Sand uniosła się lekko z poduszek, wśród których była zagrzebana, wyjęła z ust cygareto, rzuciła okiem na moją ufryzowaną głowę i usiadła w milczeniu. Pierzchyły moje sny i frazesy, pięknie przygotowane!

„Siadłem niedaleko, pozeralem ją wzrokiem. Znalazłem ją mniej piękną, lecz młodszą, niż sądziłem. Miała lat trzydzieści sześć. Krępa, w sukni czarnej, pod szyję; odznaczała się tylko głową, a raczej parą przeslicznych czarnych oczu. Te oczy, jakby z marmuru lub aksamitu, nie błyszczały bynajmniej, lecz miały zimny, jakoby martwy, pozór. Wysokie czoło, otoczone gładko czarnym włosiem, rozdzielonym w środku na dwie połowy, nadawało rysom charakter siły i powagi. Dół twa-

rzy nie harmonizował z wyższą jej częścią; mała broda, wsparta na wydatnym podbródku, wyglądała dość pospolicie.“

„O północy goście rozchodząc się poczęli, dodaje Grenier. Wieczór ten sprawił mi zupełny zawód. Nie wyrzekłem słowa do Georges Sand, ona też nie zwróciła na mnie uwagi. Marzenia moje rozbiły się o ziemię. Przykro mi było, ale nie uczułem goryczy. Cóż ona mogła dostrzedz we mnie? tylko ufryzowanego młodzieńca!—musiałem jej przebaczyć.“

Nieraz jeszcze spotykał poeta słynną autorkę. Grywał z nią w bilard, lecz już nie marzył o niej, nie wzywał nawet jej rady, co do zamierzonego poematu.

„Uderzała mnie, mówi on, nadzwyczajna jej prostota, nie było w niej śladu gorączkowej egzaltacji, jaką widzimy w *Lelii* i *Listach podróżnika*. Wszystko odbywało się w głębi jej ducha; ogień tlał pod tem czołem spokojnem, po za temi oczyma, jakby wykutemi z marmuru. Mówiła bardzo mało, słowa jej nie błyszczały dowcipem. Milczenie to zrażało nieraz gości. Kiedy Teofil Gautier, chcąc ją poznać, odwiedził dom jej w Nohant, nie wyrzekła do niego ani słowa. Obrażony, zabierał się do odjazdu. Widząc to, pani Sand, wyprawia za nim Dumas. „Dla czego—rzecze—nie powiedziałeś mi, żeś ja głupia.“

Głównym rysem jej charakteru było głębokie uczucie macierzyńskie. Rozciągała je nie tylko do dzieci własnych, ale zarazem do przyjaciół i ulubieńców. We wszystkich jej dziełach odbija się ten charakter.

Kilkakrotnie Grenier otrzymał wieniec akademicki za zbiory poezyi, lub zadane na konkurs poemata. Ulegając namowom przyjaciół, podał się wreszcie nauczonka Akademii. Otrzymał dość znaczną liczbę głosów, ale znalazł silnego współzawodnika w uczonym profesorze historii, Gastonie Boissier.

W ustępie pod tytułem: *Okolo Akademii*, opisuje w zajmujący sposób obowiązujące wizyty do grona nieśmiertelnych. Pomijając inne, powtórzmy za nim odwiedziny w domu Wiktora Hugo.

„Widziałem go parę razy, mówi Grenier, w młodości mojej u Nodiera: miał wówczas lat czterdzieści. Uderzyło mnie tylko czoło jego wysokie i rozwinięte, ale rysami twarzy nie mógł się równać z Mussetem i Lamartinem. Później starość złagodziła jego oblicze, a biała broda nadała mu wyraz powagi. Wyznaczono mi godzinę posłuchania na pół do dziewiątej wieczorem. Przybywam,—wprowadzają mnie do salonu, obok sali jadalnej. Dobiaża mnie gwar licznych głosów, szczepek grabek i talerzy. Na przeciw sofy widzę na podniesieniu fotel gotycki z baldachimem. Wtem drzwi się otwierają, ukazuje się Wiktor Hugo.

Gdy przedstawiłem rzecz, odparł mi z naciskiem i przesadą: „Rad jestem, że pana widzę, ale głosować będę za Arsenem Houssaye, da-

łem mu słowo. Rzadko kiedy chodzę do Akademii, ciągnął dalej, nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Guizot popsuł ją i zgubił, tak samo, jak zgubił monarchię.“ Przy pożegnaniu rzekłem do niego: „Bardzo żałuję, że nie mogę liczyć na tak zaszczytny głos pański, nagrodzą mi to inni poeci z Akademii. Lamartine, gdyby żył, byłby głosiwał za mną.“

Odszedłem pod przykrem wrażeniem. I czemuż to, pomyślałem, człowiek tak genialny nie wie, że prostota najlepiej przystaje do wielkości, że dobroć i uprzejmość główny urok nadaje starcom.

„Nie widziałem odtąd Wiktora Hugo, dodaje Grenier, ale widziałem jego pogrzeb. Godna to była jego apoteoza, bo przy całym przepychu miała też śmieszna stronę. Ta trumna, wystawiona pod bramą tryumfalną, ten tłumny pochód do Panteonu, wszystko to zakrawało na maskaradę pogańską, bez cienia uczucia religijnego.“

Nie ujmuje przecież Grenier geniuszu wielkiemu poecie. Mieni go potężnym mistrzem słowa. W liryzmie, ale tylko w liryzmie, podnosi go do szczytu.

Próżne były zabiegi Grenier'a, ubiegł go Boissier. Pierwsza próba zwykle się nie udaje, ale poeta nie zakołatał powtórnie w podwoje naukowego przybytku. Poufne zwierzenia akademika Laprade'a odebrały mu wszelką uludę. Laprade żalił się na doznany zawód. Kiedym wchodził do Akademii, mówił z goryczą, mniemałem, że wchodzę do sali, gdzie wszyscy trzymają się na równej stopie, złączeni wspólnym węzłem. Koledzy nie znają mnie; ci ludzie, którzy wotowali za mną, przypomniał mi sobie czasami.“

— Mój drogi, odrzekłem na to, wszyscy olimpianie jednacy, nie wyłączając bożków. Każdy ma własną atmosferę, własne państwo i poprzestaje na tem. Sami tylko prości ludzie mają braci i szczerych przyjaciół.

Do najzdobniejszych publikacji tegorocznych zaliczyć tu musimy wielki illustrowany wolumin in 4-to, wydany pod firmą Quantin, obejmujący życiorys i prace zmarłego przed dwoma laty malarza, Pawła Gailland. Opracował go Henryk Havard, inspektor generalny sztuk pięknych, autor wielu dzieł poświęconych sztuce.

Gailland należy do rzędu tych zapoznanych geniuszów, o których powiedziano: trudno być prorokiem w swoim kraju. Prawdziwi miłośnicy sztuki znali i oceniali artystę, ale ogół nie wiele wiedział o nim. Głównym tego powodem, że Gailland, nieprzyjaciel wszelkiej reklamy, nie brał nigdy udziału w wystawach publicznych. Świadomy własnej

wartości, nie chciał narażać się na sądy krytyków dziennikarskich którzy wyrokują o sztuce bez żadnego o niej pojęcia. Oklaski tłumów wcale go nie nęciły, nie pozyskał też popularności.

Wielki był podziw Paryżan, kiedy w roku zeszłym, wkrótce po śmierci mistrza, synowie jego urządzili w pałacu przemysłowym wystawę pozostałych po nim szkiców i obrazów, w liczbie czterechset z górą.

Z owych-to prac Havard wybrał najcelniejsze i reprodukcje ich pomieścił w ozdobnej księdze, obok życiorysu artysty, wraz z krytycznym ocenieniem jego utworów, rozrzuconych po całej Europie, a w części przeniesionych na drugą półkulę świata.

Do tego życiorysu wielce dopomógł własnoręczny dziennik artysty, kreślony na żądanie żony, obejmujący, obok codziennych przygód, historię półwiekowej blisko działalności. Gailland urodził się w roku 1822. Ojciec jego, biegły inżynier, zajmował się artystycznymi wyrobami ze srebra. Pod okiem jego chłopczyk wcześniej obznajmiał się z rysunkiem. Ale złotnictwo przestało popłacać, pyszne zastawy stołowe zastąpiono porcelaną. Troskliwy ojciec, widząc rozwijający się w synu smak artystyczny, zostawił mu zupełną wolność w obraniu przyszłego zawodu. Młodzian rozpoczął od architektury; po trzyletnim kursie pochwycił za pędzel; szczególnie pociąg wiodł go do sztuki dekoracyjnej, do czego architektoniczne studia wybornem były przygotowaniem. Dostał się do pracowni słynnego dekoratora Ciceri, a po kilku latach mozolnej nauki, jął malować na własną rękę.

Było to około roku 1848. Przewrót polityczny we Francji zamknął drogę artystom. Szczęście jednak sprzyjało Gaillandowi. Bogaty Ormianin z Konstantynopola, ulubieniec sułtana, postanowił zbudować pałac nad Bosforem. Zalecono mu młodego architekta, Melicha, pełnego talentu i przyszłości. Ten, powołany do pracy, przedstawił ze swej strony Gaillanda, przyjaciela swego i szkolnego kolegę. Obaj pośpieszyli na wschód, zabrali się rączy do dzieła. W miarę, jak szła budowa, dekorator przygotowywał sufit do honorowej sali! Przedstawił na nim w apoteozie najslynniejszych bohaterów, zaczawszy od Aleksandra Macedońskiego do Napoleona. Blisko dwuletnia praca tak mu nadwerężyła zdrowie, że musiał ją przerwać na czas jakiś; korzystając z wypoczynku, udał się do Włoch. W Wenecyi arcydzieła Weroneza i Tycyana, w Rzymie freski kaplicy Sykstyńskiej Michała Anioła i łoża Rafała, otworzyły przed nim świat nowy. Podczas gdy ukrzepiał ducha badaniem słynnych mistrzów, dochodzi go wieść, że Ormianin popadł w niełaskę u sułtana, że porzucił niedokończony pałac nad Bosforem i przepadł gwałtem bez wieści. Omylony w nadziejach,

ale wzbogacony widokiem tylu cudów sztuki, artysta powrócił do Paryża.

Szkice, przysłane z Konstantynopola, zwróciły uwagę mistrzów francuskich; tymczasem ład społeczny, ustalony we Francji, otworzył znów drogę artystom.

Powierzono Gaillandowi udekorowanie kilku kaplic w odnowionym kościele Ś. Eustachego; ogół jednakże nie wiele o nim wiedział. Imię jego większy znalazło rozgłos po-za obrębem kraju. Wezwany do Hiszpanii, udekorował pałac Calderona, w Londynie wykonał pyszny sufit Apollina do pałacu Rotszylda; w Stutgardzie pałac królewski. Milionowi Amerykanie zamawiali u niego sufity i ściany do wspólnych swych rezydencji.

Świetne czasy nowego cesarstwa obudziły ruch artystyczny we Francji. Wielcy panowie odnawiali dziedziczne zamki; spanoszeni przemysłowcy i koryfeusze finansów budowali pałace i wille. Gailland zaledwie wystarczył mógł niezliczonym zamawianiom.

Z polecenia rządu wykonał też dwie znakomite prace. Ozdobił pałac w Saint-Cloud i pałac ministerjum skarbu; pierwszy z nich zburzyły obozy pruskie, drugi puścili z dymem komunardzi.

Te niezliczone prace zapisywał artysta w dzienniku, kreślonym codziennie dla żony. Szczęście w domowym pożyciu, wśród grona dzieci, nagradzało mu poniesione straty i niezliczone utrapienia w zawodzie profesorskim. Kursa w szkole sztuk pięknych nie pociągały uczniów na wykłady niepopularnego profesora. Opowiada biograf, jak Gailland przeglądając wobec niego świeżo wydany słownik malarzy, nie znalazł w nim swego nazwiska.

— „Co chcesz, rzekł na to Havard, słownik ułożony według katalogów wystawy. Czemuż cię tam nigdy nie widziano?“

Głęboki idealista nie mógł się pogodzić z nowym kierunkiem sztuki. Zresztą sam rodzaj prac dekoracyjnych nie pozwalał mu odbiegać zupełnie od tradycji, umiał on przecież ożywić je samoistną twórczością, w ornamentach okazał się prawdziwie oryginalnym. On pierwszy klasyczne ozdoby zastąpił kwiatami i liśćmi roślin, które zbierał po lasach i polach. Wiadomo, jak wielki przewrót nowość ta wprowadziła do sztuki dekoracyjnej, nie tylko we Francji, ale i w innych krajach.

Osierocony po stracie żony, nie wypuszczał przecie z rąk pędzla. Przez ostatnie lat dziesięć wykonał kilka prac wielkiej wagi. Do najcenniejszych należy obraz pod kopułą Panteonu, przedstawiający Św. Dyonizego, apostoła Francji, gdy przemawia do tłumów. Na krótko przed skonem w odbudowanym ratuszu odmalował na dziesięciu ścianach rozmaite cechy rzemieślnicze.

Umarł w siedmdziesiątym roku życia. Po śmierci oddano mu hołd zasłużony. Wystawa prac i piękna księga Havard'a rozgłosiły wśród ziomeków imię znakomitego mistrza, zbyt długo zapomniane.

W drugiej połowie kończącego się wieku uderza nas niemały ruch w umysłach niewieścich. Na każdym polu sztuki praca ich wydaje owoce. Dostyc oto wspomnieć setki imion, napisane w katalogach dwóch tegorocznych wystaw na polach Elizejskich i na polu Marso-wem, aby przekonać się o ich działalności, tak w rzeźbie, jak malarstwie.

W zawodzie literackim liczba kobiet zapewne mniejsza, przechodzi jednak znacznie liczbę pisarek z przeszłego i pierwszej połowy tego wieku. Popęd do pracy umysłowej dają dziś ukoronowane głowy. Na czele ich stoi królowa Anglii, Wiktorya, autorka obszernych pamiętników, w części już ogłoszonych drukiem, w wielkiej części spoczywających w rękopisach. Królowa Rumunii, znana pod pseudonimem Carmen Sylva, dała się zarówno poznać, jako powieściopisarka i poetka, uwieczniona przez akademię francuską. Arcyksiężna Stefania, wdowa po następcy tronu austriackiego, znalazła w piórze ulgę i osłodę w dotkliwych cierpieniach; inna arcyksiężniczka, Marya Walerya, córka panującego cesarza Fr. Józefa, śpiewa rzewne pieśni, dopełniając je melodyą własnego utworu.

Nie wychodząc po-za obręb Francyi, wspomniemy tu imiona kobiet, które zdobyły miejsce w literaturze. Z pomiędzy zmarłych ostatnimi czasy wymienimy panią Crawen z hrabiów de la Ferronaye, autorkę ciekawych pamiętników; Markizę de Blocqueville, córkę marszałka Davoust'a, która uczciła pamięć sławnego ojca, jednego z bohaterów epopei Napoleońskiej; panią Witt, córkę Guizota, która z rękopisów, pozostałych po uczonym historyku, dopełniła ostatnie dzieło jego: *Popularne dzieje Francyi*; panią de Segur, znakomitą autorkę w wydziale pedagogicznym.

W roku zeszłym zmarła utalentowana poetka, pani Segalas, uwieczniona kilkakrotnie przez akademię francuską. Zmarła również pani Nadaillac, autorka wspomnień, spisanych z dnia na dzień. Ustępy z tego dziennika, znane tylko małej liczbie osób uprzywilejowanych, mają, zdaniem ich, wielką doniosłość literacką. Kilka tygodni temu zakończyła życie hrabina Peyronnet, głośna za czasów cesarstwa, jako współpracowniczka Debatów, pod pseudonimem Horacego de la Gardie.

Z pomiędzy żyjących dziś autorek trzy stanęły na czele założonych przez siebie przeglądów: pani Adam, zuana w powieściopisar-

stwie pod imieniem Juliette Lamber, współzawodniczy z Przeglądem *Dwóch Światów* dwutygodnikiem *Revue Nouvelle*. Księżna de Pomar w czasopiśmie p. t. *Jutrzenka* (*l'aurore*), występuje w obronie teozofii.

W publicystyce zdobyła rozgłos pani Gebhart, pod imieniem Seweryny obdarzająca dzienniki rozprawami, pełnymi życia i dowcipu. Pani Liguereux (Arsène Aras) zasila czynnie publikację *La vie parisienne*; Baronowa Steiff wzięła sobie za cel kierować Paryżanki do życia praktycznego w obrębie domowym; baronowa Double (*Etincelle*) kreśli pełne życia kroniki dziennikarskie; pani Daudet, żona słynnego powieściopisarza, uprawia po macierzyńsku wydział pedagogiczny.

Na polu krytyki literackiej występuje raz po raz pani Cognet w poważnych przeglądach paryskich. Pani Vincens, pod pseudonimem *Arvède Barine*, ożywia Przegląd *Dwóch Światów*; rok temu zdobyła nagrodę konkursową w akademii francuskiej gruntownym ocenieniem powieści *Perault'a*. Hr. Jansey w dziele, poświęconem Alfredowi Musset, wykazała całą piękność jego poetycznych utworów. Pani Teresa Blanc, znana pod nazwą *Bentzon*, oprócz wielu pięknych powieści, skreśliła ciekawy obraz społeczeństwa angielskiego i amerykańskiego. Pani Judyta Gautier wprowadziła świat chiński do literatury francuskiej.

Na niwie historii bogaty plon zebrała pani Herpin, pod pseudonimem *Lucyana Perrey*. Umie ona ożywić erudycyjne badania, czego dała dowód w wyczerpujących życiorysach hrabiny *d'Épinay*, w bratanku kardynała *Mazariniego*, i w bliżej obchodzącem nas dziele o księżnej *de Ligne* z *Massalskich*, zaślubionej następnie z hr. *Potockim*.

Baronowa *Goldencrone*, córka słynnego erudyty *Gobineau*, autora historii *Persów*, wydała świeżo poważne dzieło o *Achai* feudalnej. Wdowa po *Michelecie* wydaje prace męża, pozostałe w rękopismach, dopełniając je własnymi komentarzami. Przykład jej naśladowe wdowa po profesorze *Quinet*.

Pani *Carette*, dawniej dama dworska cesarzowej *Eugonii*, napisała ciekawe wspomnienia z czasów pobytu swego u dworu. Zbija w nich mnóstwo potwarzy, rozsiewanych przez wrogie stronnictwa. Obecnie pani *Carette* zabrała się już nie do samodzielnej, lecz bardzo pożytecznej pracy. Streściła dziesięciotomowe pamiętniki księżnej *d'Abrantes* z epoki pierwszego cesarstwa i wydała je w dwóch tomach, przez co uczyniła je dostępnymi dla ogółu, zwłaszcza dla młodych czytelniczek.

Jako podróżniczka, zdobyła uznanie pani *Dieulafoy*, towarzysząca męża w naukowej wyprawie do *Suzu*, którą opisała w wielkim tomie.

W pośród dzisiejszych powieściopisarek zasłynęła hrabina Martel, znana pod pseudonimem Gyp, pełna werwy malarka paryskiego społeczeństwa.

Pani Greville, niewyczerpana w pomysłach, zapełnia odcinki różnych pism obrazami, wziętymi z życia. Pani Małgorzata Poradowska, z domu Gachet, w Przeglądzie Dwóch Światów obznajamia czytelników francuskich z życiem galicyjskiem, znanem jej dokładnie. Pani de Baulny, córka ministra Rouher, otrzymała świeżo wieniec akademicki. Autorka ta znana równie i u nas, jako biegle władająca językiem polskim.

Pominęliśmy tu mnóstwo imion; liczba ich tak wielka, że obudziła zawiść w niektórych autorach. Jeden z nich, Cim, (podobno sfrancuziały nasz rodak) wystąpił ostro, niemal grubiańsko, przeciw tej niewieściej powodzi, w książce pod tytułem *Les bas bleu*; przyczyną tego paszkwilu, że kobieta zabiera w dziennikarstwie miejsce, należące wyłącznie uprzywilejowanej części społeczeństwa.

Iuni znów w delikatniejszy, ale niemniej złośliwy sposób, ukłasyfikowali korporację piszących kobiet na rozmaite pióra. Łabędzie pióra odnoszą do dzieł pobożnych i miłosiernych, lub występujących do walki z materyalizmem. Pióra orle należy do gorących zapasniczek wzniosłego ideału. Autorki dziennikarskich kronik i pobieżnych świstków otrzymały w udziale pióra sroczce: poetkom przyznano pióra pliszek; nakoniec pióra jaskółcze przypadły pracowitym kobietom, które szukają w literaturze środków do zasilenia domowego gniazda jakąś dobroczynną okrucną!

Wielka przewaga żywiołu krytycznego w literaturze zaczyna tu niepokoić umysły. Jedni zzymają się na akademię, która w palmy swoje ozdabia nietyle twórcze talenta, co krytyczne zdolności. Dwaj krytycy w ostatnich latach zajęli, jak wiadomo, krzesła w gronie czterdziestu. Jednym Juliusz Lemaitre, drugim Anatol France. Idąc za ogólnym popędem, rozdawcy krzyża legii honorowej udekorowali kilku krytyków: Gustawa Duchamps, kronikarza dziennika *Temps*, Doumic'a z Debatów, że pominiemy innych.

Wiek u schyłku odstąpił tradycyi początkowych bieżącego stulecia. W pierwszym ruchu romantycznej literatury autorowie, dumni z sypanych im oklasków, chłostali krytykę, widzieli w niej kamień na drodze swojej, przeszkodę do pełnego rozkwitu twórczej sily. Genialni promotorowie nowych idei, jak Wiktor Hugo i Aleksander Dumas, wpadali w gwałtowny gniew, zadraśnięci żądłem krytyka.

Alfred Musset, gdy mu zarzucano, że idzie w trop za Byronem, pomścił zniewagę pogardliwym dwuwierszem.

Co do mnie, głos krytyka puszczam mimo ucha;
On brzęczy lecz nie gryzie, — to natrętna mucha!

Flaubert, nie mniej zawzięty na krytyków, pazypominał, że Zoil plwał na Homera, przecież Homer został Homerem, gdy Zoil poszedł w pośmiewisko.

A jednak krytyka zdobywała pomалу swoje prawa. Głosy St Beuve'a, Juliusza Janin, Pawła St Victor, nie były pustym dźwiękiem. Ksawery Aubriet w dowcipnej rozprawie zapytuje, azali krytycy nie są czemś innem, niż czarnymi strażnikami haremów. Dowodzi on, że krytyk więcej niekiedy okazał twórczej siły, niż ci, którzy mienią się dumnie twórcami.

Podczas sporów, wywołanych tą rozprawą, wystąpiło na literacką widownię dwóch głośnych pisarzy, a zarazem krytyków: Taine i Renan. Ostatni wygłosił teorię, że umysł ludzki posiada dwie odrębne, wprost sobie przeciwne, własności: natchnienie twórcze i zdolność rozumowania; że w miarę, jak geniusz twórczy zaćmiewa się w społeczeństwie, krytyka zdobywa swoje prawa. Stąd-to literatura francuska przybrała krytyczny charakter. Objawia się to nietylko w ocenianiu utworów myśli ludzkiej, ale na każdym innem polu. Powieści i komedye dzisiejsze nie są czem innem, jak krytyką obyczajów, rozumowaniem, a nie wybuchem twórczej iskry natchnienia.

Właściwa tymczasem krytyka literacka odbiegła całkiem głównego celu. Nikt nie śmie wypowiedzieć jasno myśli swojej, jedni drugim rzucają w oczy niezastużone pochwały, by otrzymać wzajemny poklask. Krytycy wprowadzają w błąd publiczność, ogół zawiedziony mało kupuje książek; w ten sposób Francuzi tłomaczą dzisiejszy upadek pięknej literatury i zachwianie się handlu księgarskiego. Trudno jednak przypuścić, aby na zniżenie literackiego poziomu nie wpłynęły inne, ważniejsze powody. Wyjaśnienie ich przechodzi ramy nasze. Dodajmy tylko, że upadek ten dostrzegamy głównie w tak zwanej pięknej literaturze. Co zaś do działu erudycyi i wyższej krytyki, Francya daleką jest jeszcze od bankructwa literackiego.

Zbiór illustrowanych albumików, pod firmą Quantin, z opisem bliższych i dalszych miejscowości, powiększył się dwoma, tylko co wydanemi. Jeden z nich opracował p. Konstanty Chmieliński, ze zwykłą sobie dokładnością i werwą. W roku zeszłym objechał on całą Bel-

gię, zatrzymał się w każdym główniejszem miejscu, i nauczył turystę, jak ma krążyć w tym labiryncie dróg żelaznych, aby w ciągu dni dwudziestu poznać różnostronnie kraik, mały rozmiarem, lecz nadzwyczaj bogaty. Bliskość Paryża zaszkodziła Belgii, przyćmiła ją w oczach turystów, którzy, dążąc lotem ptaka do celu, nie radzi zatrzymywać się w drodze. A przecież Belgia zasługuje na uwagę: p. Chmieliński odkrył niezliczone jej skarby, nie mniej ważne dla przemysłowca, jak dla archeologa i artysty. Pod jego kierunkiem poznajemy Bruksellę i jej wspaniałą katedrę i ratusz, ów klejnot XV wieku, panujący nad rzędami domów, na których stare bractwa wycisnęły malownicze swe godła.

Niemniej godna zajęcia Antwerpia, ojczyzna mistrzów flamandzkich: Rubensa, Van Dycka, Dawida Teniersa; widzimy tu ich domy, ich posągi, ich arcydzieła, zachowane w muzeum i katedrze. Gdzie rzucę okiem, nowe dziwy. Przez Charleroi, istne piekło, skąd buchające kłęby dyma przyćmiewają pogodny błękit, gdzie poryk machin, wydzierających z ziemi węgiel, budzi mimowolny postrach,—przez dolinę, najeżoną lasem kominów, przewodnik prowadzi nas do Gandawy, „czarodziejskiej Hiszpanki“, jak ją nazywa Wiktor Hugo,—a raczej flamandzkiej Wenecyi, zbudowanej u spływu czterech rzek, na trzydziestu wysepkach, złączonych w całość setką małych i większych mostków.

Autor zatrzymuje się w Ostendzie, Blankenbergu i pomniejszych stacyach kąpielowych, a następnie poświęca ciekawy ustęp *miastom umarłym*, niegdyś pierwszorzędnym w Belgii, które skutkiem piaszczystych zasp, odsunięte od wybrzeża, utraciły dawną przewagę. Do tych należy Yport, małe dziś miasteczko, niegdyś liczące 200,000 ludności. Ale koroną tych umarłych grodów, to sławna Brugia, pełna przybytków Bożych, ogromnych baszt i karylionów, świadczących o minionej chwale; ojczyzna sławnych mistrzów flamandzkich XV wieku: Memlinga i Van Eycka, grobowiec Karola Zuchwałego, księcia Burgundyi i córki jego Maryi, z którą Flandrya przeszła w dom raskuski, a stąd pod hiszpańskie berło.

Brugia nie pozwala jednak, by ją zwano umarłą, przemysła o wielkim kanale, który prędzej czy później połączy ją z morzem i uczyni z niej drugą Antwerpię. Zeszłoroczne odwiedziny króla, właśnie podczas pobytu autora w Brugii, i uczynione przyrzeczenia, utrzymały gród w tej nadziei.

P. Chmieliński w żywym obrazie Belgii dał pobudkę turystom do poznania tego pięknego, a tak niesłusznie zaniedbanego przez nich, kraju.

Drugi albumik, wydany pod firmą Quantin, p. t. *Z Paryża do Konstantynopola*, z tekstem p. Cahu, zasługuje też na uwagę.

Lecomte de Lisle przed śmiercią polecił przyjaciółom, a szczególnie nowemu akademikowi Heredyi, wydanie pozostałych po nim rękopisów. Nowy tom ukazał się właśnie u Lemaira, uprzywilejowanego wydawcy współczesnych poezji, pod tytułem: *Dernières poésies*. Do utworów całkiem nieznanych dołączono tu ową *Drogę krzyżową*, *Passion*, o której wspominaliśmy poprzednio. Piękny ten poemat, poświęcony matce, nie znalazł miejsca w poprzednich wydaniach. Znać autor, odrzuciwszy wiarę, wstydił się religijnych uczuć, w jakich wychowała go matka. Wiadomo jednak, że w ostatnich czasach umysł jego złagodniał i pozbył się dawnych uprzedzeń. Może być, że on sam żądał od przyjaciół, aby religijny poemat zamieścili w pośmiertnym wydaniu.

Słynny grób Chateaubrianda na skale, o mało, że nie został sprzedany przez administrację dóbr narodowych. Miasto St Malo wdało się energicznie w tę sprawę i nie dopuściło takiej zniewagi.

Wiadomo, jak wielką wagę przywiązywał Chateaubriand do grobowca swego. Na dwadzieścia lat przed śmiercią, pełen krzepkiej siły, obrał sobie na miejsce wiekuistego spoczynku tę granitową skałę, sterczącą nad oceanem, której wściekle fale, wichry, przez wieki narużyć nie zdołały. Nabył więc od miasta St Malo zakątek dostateczny na pomieszczenie trumny. W myśli pysznego poety grób ten, oderwany od świata żywych, był symbolem jego dni, przeżytych wśród bezustannej burzy. Wyraził to w zagrobowych pamiętnikach; przytaczamy tu jego słowa.

„Z pomiędzy współczesnych mi autorów francuskich, ja sam jestem żywym wyrazem dzieł moich, jako podróżnik i żołnierz, jako publicysta i minister. Pod cieniem lasów opiewałem lasy, na pokładzie okrętu malowałem ocean, w obozach pisałem w takt ze szczękiem oręża. Na wygnaniu poznałem czem tułactwo; na dworach wśród spraw publicznych i parlamentarnych zgromadzeń zbadalem politykę i prawo. Szczególnym trafem po dniach, spędzonych w szałasie Irokeza lub pod namiotem Araba, w kaftanie dzikiego czerwonoskórego, lub burnusie Mameluka. w dalszej kolei lat zasiadałem u stołów królewskich, poczem znów przychodziłem do biedy. Mieszałem się do wojny i pokoju, podpisywałem traktaty i protokoły, byłem świadkiem kongre-

sów i konklawów; widziałem walące się i powstające z gruzów trony. Brałem udział w zdarzeniach dziejowych, mogłem pisać historię. Samotny i milczący przechodziłem wśród wrzaskliwych tłumów, prowadząc za sobą córy mej wyobraźni: Atalę, Blankę, Welledę, nie licząc już rzeczywistych istot, zarówno jak tamte, uludnych.“

Poeta pragnął całą przeszłość swoją dostroić do jednolitej harmonii i przekazać potomnym wiekom postać własną, jak ją pojmował w promieniach ideału. W tym celu napisał pamiętniki. Grób na opoce granitowej miał być ich uwieńczeniem.

Rozwiały się marzenia Chateaubrianda. Ledwie, że zamknął oczy, okrutny krytyk, Sainte Beuve, przyłożył anatomiczny nóż do pamiętników: erudycya pokonała poezję. Chateaubriand znalazł cichy spoczynek na opoce. Umysły tymczasem przyszły do równowagi, przy poecie pozostało ostateczne zwycięstwo.

Głos powszechny powstał silnie przeciw zniewadze genialnego pisarza. Grób Chateaubrianda pozostał nietknięty. Sława poety nową zabłysła dziś aureolą!

Najważniejszym dziś wypadkiem w świecie naukowym jest śmierć słynnego Pasteur'a. Szczegółowe o nim wspomnienie zostawiamy do przyszłej kroniki naszej.

PARCELACYA.

Zdania o ekonomicznem i społecznem znaczeniu parcelacyi są u nas bardzo podzielone. Rozdrabnianie większej własności ziemskiej ma u nas wielu przeciwników, którzy, opierając się rzekomo na danych statystycznych, utrzymują, że drobna, kilkunasto i kilkudziesięciomorgowa własność ziemska, będąca w ręku szlachty zagonowej i włościan, przeciętnie produkuje mniej, niżeli własność większa, posługująca się przeważnie udoskonalonemi narzędziami i gospodarująca według ulepszanego systematu gospodarskiego.

Nie ulega kwestyi, że drobne gospodarstwa u nas przeważnie bardzo dużo pozostawiają do życzenia i że przeciętnie stoją na niższym stopniu kultury od gospodarstw folwarcznych. Niema też powodu podawania w wątpliwość cyfr statystyki, wykazujących, iż produkcya ziarna w gospodarstwach mniejszych, włościańskich, jest stosunkowo mniejszą, niżeli na większych folwarkach. Ale do bardzo mylnych wniosków dojść może każdy, kto wyłącznie na produkcji ziarna oprze ocenę produktyjności gospodarstw chłopskich i porównanie pomiędzy wartością ekonomiczną drobnej i większej własności ziemskiej. Wszakże zresztą o ekonomicznej wartości jednostki gospodarczej w gospodarstwie ogólnem nie decyduje sama wysokość produkcji, lecz i korzyść, jaką ona przynosi w formie czystego dochodu. Na coż przyda się właścicielowi ziemskiemu wyprodukowanie znacznej ilości ziarna, jeżeli produkcya kosztuje go drogo, a cena zboża jest niska, tak, że nawet obfity plon zysku nie przynosi.

Nie mamy w tym względzie danych statystycznych, ale prawdopodobnie nikt nie zaprzeczy twierdzeniu, że produkcya w gospodarstwach włościańskich jest tańszą, niżeli na folwarkach. W gospodarstwie chłopskiem właściciel i robotnik w jednej się mieszczą osobie, a tym sposobem nietylko się oszczędza koszt nadzoru, lecz praca pilniej i dokładniej może być i też bywa wykonaną, niżeli pod nadzorem płatnym przy robotniku płatnym. Ileż skutkiem tego jest działów produkcyi gospodarczej, które na folwarkach się nie opłacają, gdy tymczasem w gospodarstwie włościańkiem mogą stanowić poważne stosunkowo źródło dochodu?

Weźmy dla przykładu jeden z podrzędniejszych działów produkcyi wiejskiej: drób i jaja. Od pewnego czasu czytamy często o znacznym powiększeniu się wywozu jaj i drobiu za granicę, a wartość eksportowa tych przedmiotów jest już ocenianą na miliony, nawet dziesiątki milionów rubli. Otóż nie ulega wątpliwości, że hodowla drobiu i sprzedaż jaj, o ile na bardzo wielką skalę nie są prowadzone, opłacają się jedynie w gospodarstwach drobnych, gdzie drób zwykle nie otrzymuje osobnego pomieszczenia w formie kurników, lecz mieści się z innym inwentarzem, tak, iż nakład na kurniki jest zbyt dużym, gdzie nadto chowu drobiu dogląda sama żona właściciela, bez jakiegokolwiek pomocy, a nareszcie gęsi i kaczki, indyki i kury, nie otrzymują ziarna na pożywienie, lecz po-za tem, co same sobie znajdują, zadowolnić się muszą odpadkami ze stołu. Zupełnie inaczej ma się rzecz na folwarkach, gdzie osobne kurniki, osobna posługa i znacznie większe koszty żywienia drobiu czynią go tak drogim, iż hodowla ta tylko w razach wyjątkowych korzyść przynieść może. Dla chłopki cała cena osiągnięta ze sprzedaży kury, kaczki, jaja, jest czystym zyskiem, na folwarku dochód z tego źródła nie pokrywa nakładu.

To samo powiedzieć można nawet o ogrodowiznach, o nabiałe i o hodowli nierogacizny tam, gdzie te działy gospodarstwa nie są szczególnie troskliwie pielęgnowane. Na folwarkach cały dochód z nich pochłaniają koszty produkcyi i utrzymania, w gospodarstwach chłopskich produkcya jest mniej udoskonaloną, pomimo to, czysty dochód z niej jest większy.

Uważamy za mylne twierdzenie wrogów większej własności ziemskiej, jakoby drobna własność ziemska zupełnie nie była dotknięta dzisiejszem przesileniem rolnem, a cała agitacya agraryuszów w państwach zachodniej Europy miała wyłącznie na celu zapełnienie kieszeni większym właścicielom ziemskim. Niema prawie gospodarstwa rolnego, w którym-by właściciel gruntu sam konsumował całą produkcję swoją. Nawet właściciel kilku morgów sprzedaje czy to część wyprodukowanego zboża, kartofli, czy też przychówek, aby za to kupić inne

przedmioty, niezbędnie potrzebne. Co więcej, nawet robotnik folwarczny cierpi pod wpływem niskich cen, bo i on część zboża, otrzymanego na wymiar lub za wymłócek, w tym samym celu sprzedaje. Obecne przesilenie rolne tedy wszystkim, co na roli pracują, daje się we znaki.

Atoli z drugiej strony uważamy za fakt niezaprzeczony, że mniejsza własność ziemska daleko łatwiej znosi przesilenie. Gdy właścianin w gorszych czasach ogranicza się w skromnych z natury potrzebach, oszczędza równocześnie na osobistych wydatkach, na kosztach nadzoru i na robociznie, bo sam jest u siebie wszystkim; tymczasem właściciel większego majątku, ograniczając się jak najbardziej w potrzebach osobistych, oszczędza tylko w jednej rubryce wydatków, na kosztą robocizny osobiste oszczędności jego nie wpływają, kosztą te pozostają niezmienione, a jak dziś, to pomimo przesilenia, niejednokrotnie wzrastają.

W tych-to okolicznościach należy szukać wytłómaczenia faktu, iż chłopci za mniejsze parcele ziemi zwykle więcej płacą, niżeli przynieść może sprzedaż całego folwarku, a ten stan rzeczy właściwie sam jeden rozwiązuje zasadniczą kwestyę parcelacyi w chwili obecnej. Pod wpływem przesilenia rolnego bardzo wielu większych właścicieli ziemskich widzi się w konieczności sprzedania; gdy zaś najwyższą cenę osiągnąć można przez parcelacyę, więc też bez względu na to, czy ekonomiści oświadczą się zasadniczo za parcelacyą, czy przeciwko niej, własność ziemska w tej chwili tą drogą pójdzie, bo to jest najdogodniejsza, a często jedyna droga wyjścia, a wobec tego, dyskusyja zasadnicza właściwie staje się jałową.

Nie przeczyimy, że bolesnem może być patrzenie na to, jak szerokie, niejednokrotnie starannie uprawiane, łąny rozdrabniają się na małe skrawki; z różnych względów jest przykrem, gdy stary, pochyłony dworek, którego widok niejedno miłe wspomnienie wzbudza, ginie z powierzchni ziemi, a stare drzewa w parku lub sadzie padają pod uderzeniami siekiery; ale zmienić tego nie możemy, to objawy ewolucyi, której własność ziemska, tak jak na zachodzie, po części i u nas uleść będzie musiała. Ludności przybywa i ciasno jej się robi, więc już pojedyncze osobniki zbyt wielkich obszarów zajmować nie mogą, liczba właścicieli ziemi musi wzrosnąć, a z czasem przyzwyczaimy się też do zmienionego wyglądu zewnętrznego i znajdziemy zadowolenie w widoku zwiększonej liczby samodzielnych egzystencyi, podnoszących się stopniowo materialnie i moralnie.

Niema powodu obawiania się, aby cała większa własność zniknęła; odmienne u nas warunki nie sprzyjają takiemu rozdrobnieniu, jakie widzimy np. we Francyi, lub w zachodnich Niemczech. Dla wschodnich krajów Europy było-by ono niepożądanem ze względu na

niższy stopień kultury gospodarstw włościańskich i potrzebę utrzymania we wszystkich częściach kraju tych rolników, którzy przyswiecają przykładem w postępie i rozwoju gospodarstw, a których dotąd prawie wyłącznie wśród większych właścicieli ziemskich szukać trzeba. Nowszy systemat gospodarowania wprowadza dużo zmian i ulepszeń, których zastosowanie i wyprobowanie tylko przy znacznym nakładzie, a więc na większych majątkach, jest możliwem. Nie wątpimy też, że znaczna część ziemi i nadal pozostanie w rękę większych właścicieli ziemskich, co i mniejszej własności ziemskiej, z przytoczonych co dopiero względów, na dobre wyjść musi.

Pewien ekonomista niemiecki utrzymuje, że najwłaściwszem byłoby, gdyby z całej własności ziemskiej mniej więcej 35% pozostało w rękę większych właścicieli.

Nie sądzimy, aby w tym względzie można przepisywać pewne, ścisłemi cyframi oznaczone, normy, — będą one mniej więcej dla każdego kraju odmienne, zależne od warunków klimatycznych, ekonomicznych i społecznych. W każdym razie zdaje się, że im dalej na wschód, tem większych jeszcze zmian w dzisiejszych warunkach podziału ziemi spodziewać się można, i to w kierunku większego rozdrobnienia ziemi. Sprzyjają jej zewnętrzne warunki, a poparcia doznaje ze strony czynników decydujących, władz rządowych. W państwie rosyjskiem istnieje w tym celu od lat blisko dwunastu bank włościański, w Prusach powstało w r. 1890 i 1891 prawo o t. z. włościach rentowych, jakby na wzór banku włościańskiego. Obydwie instytucye mają na celu ułatwianie parcelacyi ziemi, a cel ten osiągnąć pragną przez udzielanie na tworzące się na nowo mniejsze gospodarstwa znacznych a niewypowiedzialnych, przez kilkadziesiąt lat się umarzających, pożyczek.

W niniejszej rozprawie chodziło nam właściwie o krótki pogląd na działalność i rezultaty tych instytucyi, nie zaś o zasadnicze rozstrzygnięcie kwestyi parcelacyi. Nie zapuszczając się tedy w dalsze rozprawy teoretyczne, przechodzimy do zaznaczenia tych rezultatów.

O działalności banku włościańskiego i jego znaczeniu dla parcelacyi ziemi pisał niedawno p. Jan Bloch ¹⁾, poświęcając przedmiotowi temu cały szereg artykułów w tutejszej „Gazecie Rolniczej.“ Autorowi artykułów nie chodziło jedynie o rezultaty cyfrowe, lecz o krytyczne przedstawienie działalności banku; pójdziemy tedy za nim, ponieważ daje nam to z jednej strony sposobność zwrócenia uwagi na szczególności tej pracy (która niedawno w osobnej wyszła odbitce), z drugiej

¹⁾ Jan Bloch, „Bank włościański a parcelacya.“ Warszawa, 1895.

możność zaznaczenia zgodności z wypowiedzianemi tam poglądami lub wyrażenia zdań odmiennych.

Pau Bloch nie zapuszcza się w zasadnicze badania kwestyi parcelacyi, uważa on ją za przesadzoną przesileniem rolnem. Ziemia, według niego, jest nadmiernie zadłużoną, a likwidacya często jedynie możliwą w drodze parcelacyi.

„Parcelacya—powiada p. B.—w tej chwili, wobec ostrych objawów przesilenia rolnego, stanowi zjawisko ekonomiczne, niezmiernie doniosłe. Ciężkie czasy dla ziemian muszą mieć za skutek obniżenie się popytu i spadek cen ziemi, co wciąż złe pogarsza. Upadek własności większej pozbawia rolników drobnych zarobku, wiele sił usuwa od warsztatu. Parcelacya wszystkie te fatalne następstwa usuwa. Daje ona najpewniejszych i bodaj najlepszych nabywców własności większej, pozwala zużytkować siły i cnoty społeczne włościanina. Parcelacya też przez wszystkich(?) znawców naszych stosunków uznana została za objaw pomyślny, pożądany, bo niosący ratunek w ciężkich chwilach. Ale parcelacya musi mieć odpowiedni kierunek, musi być regulowana przez wolę świadomą celu i dróg, któremi kroczyć należy. Pozostawiona sama sobie, jako zjawisko żywiołowe, zamiast pożytku, szkodę tylko przyniesie, zamiast uregulować interesa własności większej, tylko ją okaleczy, a jednocześnie wytworzy gospodarstwa drobne, bez sił i warunków pomyślnego rozwoju.“

Trudno nie zgodzić się na ostatnie mianowicie uwagi, wymagające nadania parcelacyi pewnego, świadomego celów kierunku, oparte na znajomości warunków ekonomicznych i społecznych.

Bank włościański stosunkowo wielką rozwinął działalność. W r. 1893 w całym państwie włościanie nabyli za pośrednictwem banku 334,950 morgów ziemi; w Królestwo Polskiem, gdzie bank dopiero w r. 1890 czynności swoje rozpoczął, w r. 1893 rozparcelował 29,240 morg. Obszary te całe zostały nabyte przez 25,701 włościan (liczba nabywców w Królestwie wynosi 3226). Pomiędzy nabywcami 1) było bezrolnych ogółem 3090 (z których w Królestwie 1809, wreszcie państwa 1281), 2) posiadających niżej 3 morgów 5886 (796) 3) od 3—6 morgów 9549 (385), 4) od 6—12 morgów 5678 (152) 5) po nad 12 morgów 1498 (34).

Co do obszarów ziemi, to pierwsza z powyższych pięciu kategorii nabyła jej 54,188 morgów, (z tego w Królestwie 16,224), 2-ga 68,492 (6938), 3-a 115,708 (3628), 4-a 69,552 (1534), 5-a 26,010 (916).

Z cyfr powyższych widzimy, że bank włościański w Królestwie Polskiem najskuteczniej osiąga cel swój: zaopatrzenia w rolę tych, którzy jej dotąd nie posiadają, tu bowiem liczba bezrolnych dochodzi do 56% ogólnej liczby nabywców, gdy n. p. w guberniach litewskich

wynosi 7.6^o 0, zaś w Cesarstwie całem spada na 5 5^o 0. Dalej należy w Królestwie 24.8^o 0 nowonabywców do kategorii osób, posiadających niżej 3 morg, gdy w Cesarstwie do tej kategorii należy 22.8^o 0 nabywców.

Ilość ziemi, przypadającej na jednostkę wśród nowonabywców, wynosi w Królestwie 9—12 morgów, w Cesarstwie 17½—27 m. P. Bloch słusznie to przypisuje różnicy w cenie ziemi: w Królestwie ziemia jest daleko droższa i kosztuje przeciętnie 62 ruble, w Cesarstwie przeciętnie 21¾ rubli za morg. Z cyfr zestawionych w pracy p. Blocha widzimy, że najdrożej nabywcom za pośrednictwem Banku włościańskiego wypadła ziemia w Kieleckiem, bo po 84 ruble za morg, gdy tymczasem w gub. Płockiej morg przeciętnie kosztował 42 ruble, w Łomżyńskiej 49 rs.

„W ogólnej sumie nabyto przy pomocy banku włościańskiego do d. 1 stycznia 1894 w Królestwie Polskiem ziemi za sumę 3,936,954, rubli, z tego włościanie dali 1,131,287 rs., czyli 29^o 0, a resztę 2,805,667 rs., t. j. 71^o 0 wynosiła pożyczka bankowa.“

Na szczególną uwagę zasługuje, że prawie wszystkie kupna ziemi w Królestwie Polskiem, doprowadzone do skutku za pomocą banku włościańskiego, nie zostały dokonane przez pojedynczych włościan, lecz przez spółki włościan, którzy, zakupiwszy większy obszar ziemi i podzieliwszy go pomiędzy siebie, zaciągnęli pożyczkę z banku pod solidarną odpowiedzialnością wszystkich spółników.

Myśl łączenia włościan w podobnym celu w spółki bodaj najpierw została wypowiedzianą i w osobnej broszurce uzasadnioną przez d-ra Teodora Kalksteina, obecnego dyrektora banku ziemskiego w Poznaniu. O tych spółkach rolnych niejednokrotnie pisaliśmy, więc nad argumentami, przemawiającemi za nimi lub przeciwko nim, tu szeroko rozwodzić się nie będziemy. Zaznaczymy tylko, że myślą przewodnią p. Kalksteina, u którego po raz pierwszy z projektem spółek rolnych się spotkaliśmy, było połączenie pewnej liczby włościan, (nabywających większy majątek, dla podzielenia go pomiędzy siebie) w spółkę, celem wzajemnej kontroli i wzajemnej pomocy. Za wzór miały służyć stowarzyszenia systemu Schultzego z Delitsch lub Raffeisena, z tą tylko różnicą, iż spółki Kalksteina miały pośredniczyć w dostarczeniu uczestnikom swoim kredytu hipotecznego, dostarczać kapitału obrotowego, pośredniczyć w kupnie i sprzedaży produktów i potrzeb gospodarskich, nareszcie miały takie spółki nabywać do wspólnego użytku te inwentarze żywe i martwe, (np. inwentarz rozplodowy, maszyny rolnicze i t. p.), których nabycie dla włościanina jednego jest zbyt utrudnione. Co do własności ziemi, myślą Kalksteina było, aby przy jednej wspólnej hipotece, współwłaściciele jednakże

mieli wydzielone sobie osobne, wyłącznie do nich należące, w księdze hipotecznej określone działy.

Myśl tedy była zdrowa; chodziło o zsolidaryzowanie słabych ekonomicznie jednostek do skutecznej wspólnej pracy na roli. Przeciwnicy poglądów Kalksteina utrzymywali, iż chłop polski ma tak rozwinięty indywidualizm i tak mało poczucia wspólności interesów, że trudno go będzie złączyć w podobne spółki. Nie wiemy też, czy te spółki, które w Królestwie i Cesarstwie powstały celem nabycia ziemi za pośrednictwem banku włościańskiego, mają po-za jednym celem: otrzymania kawałka ziemi, jeszcze inne, o których Kalkstein myślał w swoim projekcie. W każdym razie łączenie się w spółki, co najmniej, ułatwia mniej zamożnym włościanom nabycie ziemi, dla banku włościańskiego bowiem odpowiedzialność solidarna grupy więcej jest warta od pojedynczej, lepsze on tedy uczestnikom spółek może stawiać warunki. To też widzimy, że w spółki łączą się mniej zamożni nabywcy, zaliczenia włościan bowiem, połączonych w spółkach, dla całego Królestwa w r. 1893 przeciętnie wynosiły 18 rubli na morg, czyli 28.7% ceny szacunkowej, gdy pojedynczy nabywcy zaliczyli 26 rubli za morg, t. j. 42% szacunku.

Bardzo ciekawe i ze względu na znaczenie parcelacyi w dzisiejszych warunkach gospodarczych doniosłe są cyfry, przytoczone przez p. Blocha co do cen, osiągniętych przy parcelacyi. Przeciętna cena morga, nabywanego przez włościan przy pomocy banku włościańskiego, wynosiła w Królestwie Polskiem w r. 1893: 63 ruble, w r. 1892: 62½ rubli, w r. 1891: 68 rubli. Tymczasem według informacji w „Statystycznych wiadomościach“ Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ostateczny szacunek morga dóbr stowarzyszonych, wogóle dla gubernii Warszawskiej obrachowany był na 54½ rs., dla Kaliskiej na 49½ rs. Przy sprzedażach przymusowych zaś płacono przeciętnie za morg: w gubernii Warszawskiej w r. 1891: 34 ruble, w r. 1892: 38 rubli, w gub. Kaliskiej 33 rs. i 39 rs.

Czyż cyfry te nie są w stanie wzmocnić w wypowiedzianem powyżej przekonaniu, że ci rolnicy, którzy w bycie swoim przez obecne przesilenie są zagrożeni, będą szukali ratunku w parcelacyi, bo ona im najlepsze zapewnia ceny? P. Bloch przypomina, że w r. 1878 statystyka w Królestwie liczyła 247,403 osad w obszarze mniejszym, niż 10 morg, i twierdzi, że są to prawie wszyscy kandydaci na nabywców, żądni rozszerzenia swych gospodarstw, którzy drogo zapłacić mogą. Do tego zaś jeszcze dodać należy masę bezrolnych włościan, biorących, jak to widać z przytoczonych powyżej cyfr, bardzo żywy udział w kupnie ziemi. Wszyscy ci kandydaci w aspiracyach swoich do kupna

ziemi za ledwie w drobnej części są zadowoleni i zawsze jeszcze obfity w tym względzie stanowią materyał.

Co do wielkości powstających gospodarstw włościańskich, dowiadujemy się ze sprawozdań banku włościańskiego za r. 1893, że obejmują one z nabytków tego roku przeciętnie w Królestwie Polskiem 8.7—10.9 morgów, w Cesarstwie 10.3—21.3. Przeważnie kupują włościanie, mieszkający w bezpośrednim sąsiedztwie lub w promieniu 10-wiorstowym od rozparcelowanych gruntów. I tak w r. 1893 w kupnach biorą udział: bezpośredni sąsiedzi: w Królestwie w stosunku 31.3% nabytej ziemi, w Cesarstwie w stosunku 53%, zamieszkali w 10-wiorstowym promieniu: w Królestwie 40%, w Cesarstwie 28%, tak, iż na nabywców z dalszej niżeli 10 wiorstowej odległości przypada: w Królestwie 30%, w Cesarstwie 19%. Taki sam mniej więcej stosunek zachodził w latach poprzednich.

Pytanie: czy szlachta, urzędnicy, włościanie lub żydzi, największy, a szczególnie jaki w sprzedażach mają udział, mniej nas interesuje. P. Bloch w rozprawie swojej, opartej na sprawozdaniach banku włościańskiego, i na to pytanie daje odpowiedź. Natomiast wielce interesującymi są cyfry, wykazujące, czy rozparcelowana ziemia przez sprzedającego otrzymana była w drodze spadku, nabyta w dobrowolnej tranzakcyi, czy też na licytacyi.

Powtórzymy w tym względzie szereg cyfr, zestawionych w rozprawie p. Blocha ze sprawozdania banku włościańskiego za r. 1893. Według tego zestawienia z rozparcelowanej i sprzedanej przy pomocy banku ziemi pochodziło:

	w procentach ogólnej sumy z kupna		
	ze spadków	z wolnej ręki	na licytacyi
w Królestwie Polskiem	11.9	31.5	54.0
w guberniach litewskich	45.	15.9	38.8
w " białoruskich	43.4	20.8	31.6
w " połudn.-zachod.	41.4	14.7	38.9
w całym Cesarstwie	45.	14.7	38.9

Pewna drobna część pochodziła bądź z darowizn, bądź nabytą była na zasadzie przywileju.

Ten sam stosunek pochodzenia sprzedanej ziemi istniał w latach poprzednich. Z obszarów rozparcelowanych i sprzedanych włościanom przy pomocy banku włościańskiego było ziemi

	nabytej		
	odziedziczonej	na licytacyi	z wolnej ręki
w r. 1891	11%	27%	53%
w r. 1892	14%	29%	56%

W Królestwie Polskiem tedy tylko niespełna $\frac{1}{8}$ część rozparcelowanych gruntów było majątków rodzinnych, reszta albo już była przedmiotem dobrowolnej tranzakcyi, albo była nabyta na licytacji. Z parcelacyi tedy korzystali przeważnie albo spekulanci, albo wierzyciele hipoteczni, do kupna danego majątku zmuszeni.

Wobec niewątpliwego przeciążenia ziemi długami, mogły-by zadziwiać cyfry banku włościańskiego, wykazujące, iż z sum, osiągniętych w r. 1893 za rozparcelowaną ziemię, 44—78% otrzymali właściciele do ręki. I tak np. w Królestwie Polskiem z ogólnej sumy rs. 1,858,600, osiągniętych za rozparcelowane majątki, 542,300 rs. (czyli 29.2%) poszło na spłacenie pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego, 470,900 rs. (25.3%) na wierzycieli prywatnych, zaś 826,200 rs (44.4%) otrzymali właściciele do ręki. W całym Cesarstwie zaś z sumy 6,028,600 rubli za kupioną przez włościan przy pomocy banku włościańskiego ziemię, banki ziemskie otrzymały 1,548,900 rs. (25.7%), wierzyciele prywatni 243,000 rs. (4%) do rąk właścicieli sprzedających dostało się 4,167,900 rs., czyli 69 1% (reszta poszła na należności skarbowe, gminne i t. d.).

Co się tyczy Królestwa, to, naszym zdaniem, cyfry powyższe w tem znajdują wytlómaczenie, że majątki, jak to powyżej wykazaliśmy, parcelują głównie osoby, które je nabyły na licytacji lub z wolnej ręki, a zapewne przy dokonaniu tej tranzakcyi znaczną część dawniejszych długów spłaciły. W Cesarstwie, przy braku hipoteki, nie wszystkie długi prywatne są ujawnione, a zresztą wogóle odłuzenie jest mniejsze.

Poprzestajemy na przytoczeniu powyższych cyfr i danych co do działalności banku włościańskiego w kwestyi parcelacyi. Każdemu, ktoby chciał poinformować się, jak te cyfry rozdzielają się w Królestwie na poszczególne gubernie, polecamy rozprawkę p. Blocha, której tytuł powyżej został przytoczony. Autor rozprawy dochodzi do wniosku, że działalność banku włościańskiego była dotychczas dosyć ograniczoną, co się tłómaczy tem, że instytucya w początkach swojej działalności musiała zachować pewną ostrożność; „dopiero zdobyte doświadczenie pozwoli na wprowadzenie modyfikacyi i na powiększenie ryzyka.“ Dotychczas bank udzielał pożyczek przeważnie spółkom, a dopiero jakby w formie wyjątku, jednostkom. Bank włościański z własnych sum może dawać w Królestwie pożyczającym włościanom 75% sumy szacunkowej i jeszcze 15% z funduszu użyteczności publicznej, razem więc 90%, tak, iż nie tylko mienni, ale wszyscy włościanie drogę do kupna tym sposobem mają utorowaną. Ale bank, jak z samej nazwy jego wynika, *tylko włościanom* kredytu użyczać może, w Królestwie zaś jest około 50,000 rodzin drobnej szlachty, w któ-

rej rękę pozostaje do 900,000 morgów. I jej, zdaniem p. Blocha, należało-by ułatwić jakimkolwiek sposobem kupno ziemi, bo tej kategorii właściciele nie posiadają więcej, jak dwie morgi na rodzinę. Ponieważ nadto i dla włościan, ze względu na to, że bank włościański posiada dotychczas w Królestwie tylko cztery oddziały: warszawski, łomżyński, lubelski i piotrkowski, komunikowanie się z bankiem jest utrudnione, więc p. Bloch radzi, aby Towarzystwo kredytowe ziemskie zaopiekowało się kwestyą parcelacyi, pośrednicząc niejako pomiędzy włościaninem, nabywcą ziemi, a bankiem włościańskim.

„Jest to potrzeba tak pilna i tak ważna, że żadne przeszkody, żadne przeszłe zawody, żadne względy, ani zrażać, ani nawet osłabiać energii w dążeniu do tak ważnego celu nie powinny... Tak, czy inaczej, kredyt drobnej własności dostarczony będzie, bo w świecie potrzeb ekonomicznych często, jak wśród zjawisk fizycznych, odbywają się rzeczy z mechaniczną niemal koniecznością, pilne zapotrzebowanie sprowadza zawsze (?) zaofiarowanie. O ile jednak było-by lepiej, gdyby się to odbywało przez Towarzystwo, lub przy pomocy Towarzystwa! lepiej dla włościan, lepiej dla ziemian, sprzedających ziemię, lepiej dla rolnictwa krajowego i dla całego społeczeństwa.“ Temi słowy kończy p. Bloch swoją rozprawkę o banku włościańskim i parcelacyi, po zachęceniu w niej kilkakrotnie, aby starano się poznać szczegóły prądu parcelacyjnego, aby pracowano nad nadaniem mu właściwego kierunku, odpowiadającego warunkom ekonomicznym i społecznym.

Żądanie to niewątpliwie zupełnie słuszne.

Pisząc ogólnie o obecnym ruchu parcelacyjnym, (i to oczywiście tylko w szkicu pobieżnym, bo na wyczerpujące traktowanie przedmiotu nie pozwalają granice, które Redakcja Biblioteki nam musiała zakreślić), nie możemy pominąć objawów jego w sąsiednich Prusach, gdzie urzędowa opieka nad parcelacyą powstała później, niż w państwie rossyjskiem. Gdy bowiem bank włościański rozpoczął działalność swoją w Cesarstwie już w r. 1883, zaś w Królestwie w r. 1890, ustawodawstwo pruskie, mające na celu poparcie parcelacyi, powstało dopiero w r. 1890 i 1891. W jednym z ostatnich roczników Biblioteki podałem już treść i charakterystykę tego ustawodawstwa pruskiego, to też tu ograniczę się krótkim przypomnieniem, iż sejm pruski z inicjatywy rządu w r. 1890 uchwalił ustawę normalną dla tworzenia średniej i drobnej własności ziemskiej. Działalność w tym kierunku oddał pod opiekę istniejących tam od dawnego czasu komisyi generalnych, których zadaniem było przeprowadzenie likwidacyi wszelkich stosunków, jakie powstały pomiędzy chłopem i dworem po przeprowadzeniu w początku wieku tego uwłaszczenia.

Ustawa z r. 1890 jednakże pozostała martwą literą, dopóki nie został otwarty kredyt hipoteczny dla włościan, taki sam, jaki posiadają tutejsi włościanie w banku włościańskim. Nastąpiło to w r. 1891, kiedy w drodze osobnej ustawy wymienionym powyżej komisyjom generalnym nadano prawo udzielania (w Prusach wszystkim, którzy nabywają średnie i drobne posiadłości z rozparcelowanych większych majątków)—pożyczek w t. z. listach rentowych. Pożyczki te, niewypowiedzialne, umarzają się w przeciągu 60 lat; ci, co je zaciągają, płacą rocznie $4\frac{1}{2}\%$ na oprocentowanie i umorzenie pożyczek.

W Prusach każdy nabywca takiej części rozparcelowanego majątku, którą do średniej lub drobnej własności ziemskiej zaliczyć można, otrzymuje pożyczkę, bez względu na stan, tak, że i szlachta od tego nie jest wykluczona. Wogóle rozciągnięcie ze strony rządu pruskiego opieki nad parcelacją inny miało cel i charakter, niżeli utworzenie banku włościańskiego. Gdy bowiem rządowi rossyjskiemu przy utworzeniu banku włościańskiego chodziło wyłącznie o wzmocnienie stanu włościańskiego i o danie ludności bezrolnej na wsi sposobności nabycia kawała ziemi, ustawy pruskie z r. 1890 i 1891 przysły jedynie do skutku dla ułatwienia dotkniętej przesileniem większej własności ziemskiej korzystnego zlikwidowania części lub całej swojej własności ziemskiej. Mówiono wprawdzie obok tego także o wytworzeniu silnego stanu włościańskiego i o wzmocnieniu istniejącego, wiadomo bowiem, że po wszystkie czasy był to żywioł najkonserwatywniejszy w każdym państwie, a wzmocnienie go, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, jest wielce pożądanem. Ale był to cel poboczny, główny był, jak się rzekło inny, a właśnie ten główny cel dowodzi, iż w Prusach urzędownie uznano parcelację jako jeden z najkorzystniejszych sposobów częściowej likwidacji większej własności.

Praktyczna działalność pruskich komisyj generalnych w kierunku parcelacji pozostała daleko po-za bankiem włościańskim. Niema też tak dokładnych sprawozdań, objaśniających o działalności komisyj generalnych, jakich dostarcza bank. To też możemy tylko ogólnikowe przytoczyć liczby następujące: W całej monarchii pruskiej od chwili wejścia w życie ustaw z r. 1890 i 1891 do końca r. 1894 na cele parcelacji przeznaczono 474 większych majątków z obszaru 112,683 hektarów (hektar równa się mniej więcej dziesięćcinie, czyli dwom morgom); rozparcelowano jednakże faktycznie tylko 40.208 hektarów.

Cokolwiek więcej szczegółowe cyfry mamy z Poznańskiego, gdzie np. w r. 1894 wogóle do parcelacji u komisyj generalnych zameldowano 52 większych folwarków, obejmujących 13,491 hektarów, z których faktycznie rozparcelowano 6326 hektarów, natomiast 7165 hektarów pozostało przeważnie przy dawnych właścicielach, tak, iż tu

mamy do czynienia z parcelacją częściową, mającą widocznie na celu zmniejszenie folwarków dla usunięcia nadmiernych ciężarów. Na rozparcelowanych 6326 hektarach utworzono 439 gospodarstw, z których 9 miało mniej niżeli po 2 $\frac{1}{2}$ hektara, 64 od 2 $\frac{1}{2}$ —5 hekt., 78 od 5—7 $\frac{1}{2}$ h., 42 od 7 $\frac{1}{2}$ —10 hekt., 187 od 10—25 hekt., zaś 59 powyżej 25 hek. Cena szacunkowa hektara wynosiła 719 marek, czyli przeszło 300 rubli za dziesięcinę, a przeszło 150 rubli za morg.

Ponieważ pruska komisyja kolonizacyjna, o której działalności niebawem pomówimy, płacąca stosunkowo korzystne ceny, od początku swego istnienia nabyła blisko 50,000 hektarów, przeważnie z wolnej ręki, za które zapłaciła przeciętnie po 607 marek za hektar, a cenę tę istotnie za przeciętną sprzedażną w Poznańskim przyjąć można, więc okazuje się, że właściciele, parcelujący grunta swoje, wyszli daleko lepiej, bo otrzymali po 719 mar. za hektar.

Cena szacunkowa rozparcelowanych w Poznańskim 6326 hekt. wynosiła 4,550,403 mar., z której to sumy nabywcy zaliczyli gotówką 629,804 mar., czyli niespełna 14%. Komisyja generalna udzieliła im listów rentowych w nominalnej wartości 3,291,157 mar., czyli około 73%, resztę, wynoszącą też jeszcze blisko 14%, sprzedający pozostawili na hypotece.

Przytoczyliśmy te cyfry, aby dać pobieżny obraz parcelacji urzędowej w Prusach, mianowicie wielkości wytwarzanych zagród, ich ceny, zaliczeń i pożyczek.

Zupełnie odmienny rodzaj parcelacji przedstawia nam się w działalności pruskiej komisyji kolonizacyjnej, utworzonej w r. 1886 z inicyjatywy ówczesnego kanclerza, ks. Bismarcka. Komisyja ta różni się bardzo od opisanych powyżej komisyji generalnych. Gdy bowiem ostatnie tak samo, jak bank włościański, nie kupują wcale na własny rachunek, lecz tylko czuwają nad tem, aby parcelacya prawidłowo, t. j. zgodnie z przepisami prawnymi i stosunkami ekonomicznymi, była przeprowadzoną, aby mianowicie nabywcy nie płacili cen wygórowanych; Bismarckowska komisyja kolonizacyjna kupuje i sprzedaje ziemię na własny rachunek. Na pierwszym planie u niej stoi cel polityczny; komisyja bowiem miała kupować od większych właścicieli polskich, sprzedawać zaś wyłącznie włościanom niemieckim, aby Niemcami skolonizować Poznańskie i Prusy Zachodnie.

Postępowanie komisyji kolonizacyjnej tedy jest następujące: Komisyja kupuje folwark, parceluje go, nie według gustu przyszłych kolonistów, lecz według własnych zasad gospodarczych, melioruje, jako to: przeprowadza drenowanie, nawadnianie i t. p., urządza stosunki prawne pojedynczych parceli co do gminy, ciężarów kościelnych i szkolnych. stawia budynki, oczywiście zuów nie według życzeń kolonistów,

bo tych w chwili stawiania budynków jeszcze niema, a urządziwszy tak zupełnie zagrodę, wystawia ją na sprzedaż.

W ten sposób powstają wprawdzie wzorowe drobne fermy, czyli zagrody, ale koszt urządzenia ich jest tak olbrzymi, że żaden nowonabywca nie jest w stanie zwrócić nakładu. Zważywszy, co wszystko przy określonym co dopiero postępowaniu zrobić należy, nie zdziwimy się, dowiadując się, że od chwili zakupu folwarku do chwili sprzedaży rozparcelowanych gruntów upływa 4—6 lat, a nawet więcej. To też komissa, mając do rozporządzenia 100 milj. marek, potrafiła wprawdzie do końca r. 1895 zakupić 81,638 hektarów ziemi za 49,556,446 marek, a w r. 1895 własność swoją nowymi nabytkami powiększyła. Natomiast z całych tych obszarów do końca r. 1893 faktycznie rozparcelowano i kolonistami obsadzono tylko 28,168 hektarów, na dalszych 30,000 hektarach rozpoczęto robotę parcelacyjną, czyli urządzenie kolonii, zaś przeszło 23,000 hektarów pozostaje jeszcze nietkniętych z dawną organizacją gospodarską.

Łatwo zrozumieć, że administracja tak wielkich obszarów, którą kieruje instytucja przy pomocy płatnych urzędników, jest niesłychanie droga. Według sprawozdań, za 9 ubiegłych lat istnienia komisji kolonizacyjnej, składanych corocznie sejmowi pruskiemu, niedobór roczny wynosi od 600,000—1,000,000 marek, nie licząc procentów od kapitałów na zakupno folwarków, za które komissa kolonizacyjna płaci gotówką, i jednego procentu od kapitałów użytych na meliorację. Rozumie się, że i przy nakładach tych niema wielkiej oszczędności grosza; budynki często są zanadto zbyt kosztowne, melioracje nie zawsze pożądane przynoszą korzyści.

Rezultat finansowy odpowiada temu sposobowi postępowania; jest on taki, że jakkolwiek komissa kolonizacyjna przy sprzedaży kolonii nie uwzględnia strat, które poniosła od chwili zakupu do chwili sprzedaży (a więc przez 4—6 lat) przez niedobory w administracji i nieprocentowanie się kapitału wyłożonego, otrzymana od kolonistów suma szacunkowa wystarcza zaledwie na oprocentowanie po $1\frac{3}{4}\%$ — 3% tych sum, które komissa wyłożyła gotowizną.

Objasnimy to na przykładzie folwarku, który-by np. komissa kupiła za 100,000 marek, a wkładając 50,000 marek gotowizną na urządzenie 10 kolonii i mając 1000 marek rocznie niedoboru z gospodarstwa, po pięciu latach sprzedała, otrzymując 4500 marek rocznej renty od kolonistów. W stosunku do transakcyi, jakie według sprawozdań swoich komissa robi, była-by to jedna z najkorzystniejszych. Otóż 1000 marek niedoboru gospodarskiego rocznie, czyni za 5 lat=5000. Strata procentu przez 5 lat po $3\frac{1}{2}\%$ w stosunku rocznym (tyle skarb państwa płaci od swoich pożyczek) równa się 17,500 marek, tak

iz niedobór wynosi 22,500 marek. Nareszcie renta 4500 przy stopie procentowej $3\frac{1}{2}$ za sto reprezentuje tylko procent od 128,570 marek, tak, iz wobec nakładu 150,000 marek strata na sprzedaży wynosi 21,430 marek, czyli cała strata na tej tranzakcyi parcelacyjnej równa się 43,930 markom. Jak na interes na 100,000 marek, jest to strata wcale poważna. To też od chwili, gdy w roku zeszłym profesor Hans Delbrück w piśmie swoim „Preussische Jahrbücher“ wykazał, iz zapoczątkowana przez ks. Bismarcka akcyja kolonizacyjna tak drogo kosztuje, a mimo to, do osiągnięcia celu kolonizowania okolic polskich przez Niemców bardzo mało się przyczynia, echo głosu tego bezustannie w prasie niemieckiej się odzywa. Sam ks. Bismarck przyznał w mowie swojej, wypowiedzianej do odwiedzających go w zeszłym roku Niemców poznańskich, że rezultaty nie odpowiadają oczekiwaniom, ale eks-kanclerz nie przypisywał tego pomysłowi swemu, lecz jego wykonaniu. Istotnie komisyja pomieściła na koloniach swoich do końca r. 1894 nie więcej, jak 1606 kolonistów, z których 601 pochodzi z Poznańskiego i Prus Zachodnich, 122 ze Szląska, tak, iz niespełna 900 sprowadzono takich kolonistów niemieckich, którzy istotnie ludność niemiecką w okolicach, zamieszkanych przez ludność polską, powiększyli.

Z ogólnego punktu widzenia, parcelacyi pruskiej komisyji kolonizacyjnej żadną miarą za wzór uważać nie można, pomimo, że komisyja istotnie wzorowe pourządzała kolonie, olśniewające zewnętrznym wyglądem swoim wszystkich, którzy je zwiedzają. Nie sztuka to, gdy się ma do rozporządzenia miliony skarbu państwa i ze stratami liczyć się nie potrzeba. Nabywcom to nie ułatwia położenia, lecz im je utrudnia. Najlepszym na to dowodem fakt, że na 768,028 mar. rent., jakie nabywcy mieli do płacenia od r. 1887—1894, do kasy komisyji faktycznie wpłynęło tylko 646,687 mar., zaś 121,341 mar., czyli 15.8% całej sumy pozostało zaległości. Dalej w r. 1894 nie mniej jak 25 kolonii zmieniło właściciela, z których tylko 4 drogą sukcesyji. Na ogólną liczbę 1606 kolonii jest to procent bardzo poważny; wielu sprzedało ze stratą.

Kulą u nogi komisyji, ze względu na parcelacyę, jest polityczny jej charakter. Komisyja przeważnie musi sprowadzać kolonistów z dalekich stron, stara się tedy nęcić ich niezwykle korzystnymi warunkami, oczywiście kosztem skarbu, czyli strat, które powyżej scharakteryzowaliśmy.

Że natomiast rząd pruski miał słuszną, gdy ustawami z r. 1890 i 1891 ułatwił parcelacyę, widząc w niej dla wielu właścicieli ziemskich ratunek od zupełnej ruiny majątkowej, że dalej w pruskich prowincjach wschodnich, gdzie jeszcze większa własność przeważa lub

stosunkowo znaczny obejmuje obszar, istotnie pod wpływem przesilenia rolnego parcelacya na wielką się prowadzi skalę, o tem świadczą przytoczone powyżej cyfry z działalności komisyyi generalnych. Widziny to też z rezultatów, osiągniętych przez bank ziemski, na czele którego stoi wymieniony powyżej inicjator spółek rolnych, dr Teodor Kalkstein.

Z cyfr, przytoczonych ze sprawozdań pruskiej komisyyi kolonizacyjnej, można-by dojść do wniosku, że parcelacya nie jest w Prusach tak korzystną, jak ją wykazały cyfry banku włościańskiego dla niektórych okolic państwa rosyjskiego. Ale byłby to wniosek mylny, jak to już powyżej stwierdziliśmy porównaniem ceny, płaconej przez komisyyę kolonizacyjną za większe majątki, z ceną, płaconą według sprawozdań komisyyi generalnych przy parcelacyi. Że zaś na mniejsze posiadłości i w Prusach łatwo się znajduje nabywców, o tem nas przekonują rezultaty działalności wspomnianego powyżej banku ziemskiego. Bank ten rozpoczął działalność w r. 1888, a do lipca r. 1889 rozparcelował 412 hektarów pomiędzy 38 kolonistów. Do 9 lipca 1890 r. bank miał już rozparcelowanych 1586 hekt., do 1 lipca r. 1891: 3587 hekt., do 1 lipca 1892: 5681 hekt., do 1 lipca r. 1893: 8173 hekt., do 1 lipca r. 1894: 9883 hekt., do 1 lipca r. b. przeszło 11,000 hekt.

Jeżeli w ostatnim roku działalność parcelacyjna banku ziemskiego cokolwiek się zmniejszyła, wynika to z niezmiernie ograniczonego kapitału zakładowego, który wynosi tylko 1,200,000 marek. Nie ulega najmniejszej kwestyi, że gdyby bank ziemski w r. 1888 odrazu był uposażony w kapitał 3—4 mil. marek, co przecież przy dobrej chęci nie było niemożliwością, zamiast 11,000 hektarów miał-by rozparcelowanych 30,000 hektarów, a znaczne obszary folwarczne, które przeszły w ręce pruskiej komisyyi kolonizacyjnej i przez nią z wielką stratą są administrowane, były-by oddawna w rękę włościan i z korzyścią dla ogólnych stosunków ekonomicznych i społecznych, przez nich zagospodarowane.

Z cyfr petersburskiego banku włościańskiego widzieliśmy powyżej, iż głównego kontyngensu nabywców na rozparcelowane majątki dostarczają włościanie, w najbliższem sąsiedztwie zamieszkali. Bank ziemski takim właśnie sprzedaje, gdy tymczasem komisyya kolonizacyjna stara się z daleka sprowadzać kolonistów i stąd jej trudność w znalezieniu nabywców i potrzeba trzymania majątku długo we własnej administracyi, co właśnie staje się powodem jej strat olbrzymich. Bank ziemski zaś tę jeszcze ma zasługę, iż dając ludności bezrolnej i małorolnej sposobność nabycia ziemi lub powiększenia swojej posiadłości, chroni ją od potrzeby szukania szczęścia za morzem i od emigracyi. Z tych-to względów działalność banku ziemskiego doznawa-

ła przez ostatnie lata przychylniej oceny ze strony pruskiej komisji generalnej, która jego pośrednictwo uważała za wielkie ułatwienie pracy parcelacyjnej i połączonych z nią formalności. Bank ziemski powiększa swój kapitał dla uniknięcia potrzeby ograniczenia interesów swoich, a wobec dotychczasowych jego sukcesów, które nawet akcyonaryuszom regularną 4%-wą zapewniły dywidendę, nie można wątpić, iż na drugą emisję akcji znajdzie się dostateczna liczba nabywców.

P. Kalkstein usiłował też zastosować przy parcelacyi systemat spółek rolnych, które w banku włościańskim mają tak gorliwego protektora. Ale już nie tu miejsce rozwodzić się obszerniej nad temi spółkami. Może innym razem znajdzie się ku temu sposobność, przedmiot ten bowiem osobnego wymaga rozpatrywania, a mianowicie cokolwiek dłuższego doświadczenia ze spółkami, istniejącymi w Królestwie Polskim z inicjatywy banku włościańskiego.

A. DONIMIRSKI.

ECHA WSI.

I.

Ukołysałaś mnie, wiosko cicha,
Ukołysała, —
Jestem, jak lilia polna, co wzdycha
W zadumie cała,
Jestem, jak dęby, co nad mogiłą
Szumią z wieczora, —
Serce się moje uspokoiło
I dusza chora.

W blaskach się słońca kąpię co rano,
W rosie srebrzystej,
I patrzę w przestrzeń, zielenią tkaną,
Lub w błękit czysty.
Zdała dochodzi cicha muzyka
Brzóz i topoli,
I dziwny spokój duszę przenika,
Serce mniej boli...

W sierpniowy wieczór idę w aleję
 Cichą i ciemną, —
 Przez liście grabów księżyc się śmieje,
 Wędrując ze mną.
 Nad wody zwiesza srebrzyste puchy
 Wierzba płacząca,
 I senne brzozy stoją, jak duchy,
 W blaskach miesiąca.
 A za brzożami na ciemnym stawie
 Łódź się kołysze, —
 Sen to, czy jawa — nie wiem już prawie,
 Idąc w tę ciszę.
 I chciałbym tylko brzegiem tej fali
 Iść długo, długo —
 Na mgliste łąki, co błyszczą w dali,
 Za srebrną strugą...

II.

Za ciemnym lasem skrył się już
 Krąg purpurowo-złoty, --
 Od modrych łąk, od złotych zbóż
 Dalekie echa niosą śpiew,
 Pełen łez i tęsknoty!
 Senną swą głowę chyli dzień
 W objęcia nocy cichej, —
 Gwiazdzisty płaszcz jej rzuca cień
 Na szare chaty pośród drzew;
 Na wonnych róż kielichy.
 Bociani klekot biegnie w dal
 Ze starej lipy szczytu
 I ginie w głębi ciemnych fal,
 W cichego stawu chłodną toń
 Odbity od błękitu.

Spowity w szatę z szarej mgły
Za łąką las już drzemie,
A łąkę srebrzą rosy łązy,
Jak gdyby tajemnicza dłoń
Rzuciła je na ziemię.

Przez liście brzoź księżycą sierp
W ciemnej się kąpie toni.
„Kochaj i cierp, kochaj i cierp“!
Zcicha wieczorny woła dzwoni,
Co gdzieś daleko dzwoni.

Ziemia, skąpana w srebrnej mgle,
Po dziennym trudzie dyszy, —
Człowiek westchnienia w przestwór śle,
A stara pieśń: „Plon, niesiem plon!“
Rozlega się wśród ciszy.

SELIM.

Na kresach ciepła i zimna.

„Zimny świat i zimne serce:
„Ciepła trzeba. Wiwat ciepło”.

Gdy w brzasku rozkwitającego stulecia toastem tym wielbił poeta wpływ ożywczy ciepła na przyrodę, nie przewidywał jeszcze, jak dalece potęgę ciepła do usług swych człowiek ujarzmić zdoła. Olbrzymi rozwój motorów cieplikowych pozostanie na zawsze wybitną cechą techniki i całego przemysłu wieku dziewiętnastego, podobnie, jak ujęcie istoty ciepła fizykę stulecia naszego szczególniejsz j znamionuje. Na pierwsze wprawdzie lata wieku tego przypada rozjaśnienie zagadki światła, a w oczach naszych rozrosła się i wygórowała elektryczność; ale wielkie odkrycia optyczne były już tylko uwieńczeniem badań dawno rozpoczętych, gdy elektryczność tajemnice swe przyszłym jeszcze zachowuje czasom. Znajomość zaś objawów ciepła, krom nieznacznych tylko początków, w naszym wieku w pełni się rozwinęła, a pojęcie energii, jakie się z niej zrodziło, góruje i przewodniczy obecnie całej wiedzy przyrodniczej. Na samym zaś schyłku stulecia nowe jeszcze tryumfy na polu tem nauka zdobyła, rozszerzono bowiem znacznie obszar temperatur, jakie dotąd sztucznie wytwarzać umiano, a o badaniach na osiągniętych dotąd kresach ciepła i zimna pragnę tu krótko opowiedzieć.

I.

Potęgę i grozę zarazem ogień w sobie mieści, daje moc człowiekowi i dobytek jego niweczy. Gdy panem ognia stał się człowiek, nauczył się metale z rud wytapiać i odniósł pierwsze nad przyrodą zwycięstwa, które początkiem cywilizacji były. Dla tego też pochodzenie mu boskie przypisywał, za świętość go uważał. W krzaku gorejącym ukazuje się Bóg Mojżeszowi, a Prometeusz, że płomień z Olimpu na ziemię ściągnął, do skał Kaukazu przykuty jęczy, orłom na pastwę rzucony, co ciało mu szarpia. Dziewicze westalki w Rzymie, a w gajach litewskich wajdelotki ognia wiecznego strzegą, — symbol jedności narodowej, jakby spotęgowanie ogniska domowego. I dotąd jeszcze, jak niegdyś, zasila ogień ciepłem mieszkania nasze, a znaczenie jego wzrosło, odkąd potężne maszyny nasze w ruch wprawia i wozy nasze pędzi.

Ciepło, jak je dziś pojmujemy, jest pewną formą energii i z przeobrażenia innych jej rodzajów wytwarzać się daje; głównem wszakże, wyłącznem niemal źródłem ciepła jest dla nas energia uśpiona w cząsteczkach ciał różnorodnych, a która się budzi i wyswabada, gdy cząsteczki te ku sobie się rzucają, by w nowe się związki zespolić. Wywiązywanie się to ciepła przy łączeniach chemicznych dostrzegamy wyraźnie we wrzeniu wody, gdy nią wapno palone zlewamy, z którym się w wapno gaszone, w wodan wapna jednoczy. Gaszeniem wszakże wapna nikt mieszkania swego ogrzewać nie będzie, a ze wszystkich działań chemicznych praktycznem źródłem ciepła jest jedynie najłatwiej następujące się łączenie ciał z gotowym zawsze tlenem, czyli spalanie ich—w pospolitem wyrazu tego znaczeniu. Obity zasób ciepła, który się przytem wywiązuje, rozgrzewa ciała tak silnie, temperaturę ich wzmaga tak dalece, że rozżarzają się i rozjaśniają, tworząc objaw ognia. Ogień jest żarem tylko, gdy wytwór spalania stan stały zachowuje i na powierzchni bryły płonącej pozostaje, jak zendra na żelazie; gdy zaś, natomiast, skutkiem procesu palenia wywiązują się substancje lotne, powstaje płomień. Płomień więc jest to zbiorowisko jedynie rozpalonych, świecących par i gazów.

Proste to wyjaśnienie nowsze dopiero zdobyły czasy. Dla filozofów starożytnych ogień był to jeden z czterech żywiołów, pierwiastek bezwzględnie lekki i w górę dążący, nadający ciałom własności gorąca i suszy; siarka, mówi Pliniusz, zawiera ogień w obfitości. Według tych zatem pojęć był ogień jakby odrębną substancją, w ciałach palnych ukrytą, która się z nich wrywać i uwalniać może; a i później jeszcze, gdy z faktów dostrzeganych dokładniej już sobie sprawę zdawać

umiano, wyobrażenia te wznowiły się, lubo w formie zmienionej nieco. Substancją ogniową nazwano flogistonem, a ogień był to uieledwie sameż flogiston, z ciał palnych uchodzący. Wtedy dopiero, gdy rozwinęła się znajomość gazów, a Lavoisier na tej podstawie nową chemię ufundował, przed stu zatem laty zaledwie, zrozumiano, że ogień nie jest bynajmniej substancją, materją osobną, ale zjawiskiem tylko, objawem, zdradzającym wywiązywanie się ciepła przy reakcyach chemicznych, a przedewszystkiem przy wiązaniu się pierwiastków w nowe, złożone ciała

Energia chemiczna spoczywa, złożona w substancjach, jako ich powinowactwo. Gdy dwa gazy, do wzajemnego połączenia się zdolnione, są pomieszane z sobą, oczekują tylko podniety, której udzielić im może iskra elektryczna, promień światła, lub też podsycenie ich temperatury. Działanie następuje wtedy gwałtowne; każda cząsteczka jednego gazu napotyka w bezpośrednim swem sąsiedztwie cząsteczki gazu drugiego, rzucają się ku sobie i jakby w uścisku wzajemnym jednoczą, w każdym punkcie zetknięcia żar się wzbudza, płomień rozwija się nagle, a cała masa, wraz z jej otoczeniem, doznaje silnego wstrząśnięcia. Taki więc wybuch zachodzi przy zapalaniu stynnej mieszaniny piorunującej, składającej się z tlenu i wodoru, nagle się w wodę łączących, albo, gdy blask słoneczny oblewa w cieniu przygotowaną mieszaninę chloru z wodorem. Tak samo też wybucha i proch strzelniczy, składające go bowiem materiały raptownie się w atmosferę gazów palnych przeobrażają.

W warunkach bardziej pospolitych proces ten przebiega spokojniej; gdy prąd gazów wdziera się zwolna w powietrze, łączenie chemiczne dokonywa się stopniowo, żar wzbudza się jakby na granicy zetknięcia przenikających się wzajemnie substancji lotnych, a ogień wciąż płonie, dopóki się wywiązywanie gazów nie przerwie. Są to zwykle nasze płomienie, a drobny płomyk świecy dobrze nam cały ten przebieg ujawnia. Wewnątrz mieści on w sobie jądro ciemne, otaczające knot, a utworzone z produktów gazowych, które z rozkładu stearyny powstają; gdy do przestrzeni tej kołiec płonącej zapalki wprowadzamy, ogień tam gaśnie, dając tem dowód, że w obszarze wewnętrznym płomienia palenie jeszcze nie zachodzi, a to dla braku tlenu, który się tam przedrzeć nie może. Dokoła ciemnego dopiero stożka roztacza się najjaśniejsza część płomienia, ale najgorętszą jego strefę tworzy błada i ledwo dostrzegalna powłoka zewnętrzna, gazy bowiem palne znajdują tu obficie potrzebny im zasób powietrza, łączenie więc chemiczne dokonywa się energicznie, spalenie szybko zachodzi, a stąd też ciepło najżywiej się wywiązuje. Do pośredniej zaś warstwy gazów mniejsza już ilość tlenu przenika, niewystarczająca do natychmiastowego spalenia

wszystkiego węgla, wydzielonego pod wpływem wysokiej temperatury; zanim więc on spłonięciu zupełnemu ulega, unosi się przez krótką chwilę w płomieniu, a skutek silnego rozżarzenia jasność mu nadaje. W taki sposób świecenie płomieni wyjaśnił Davy, obecność zaś pyłu węglowego w płomieniu zdradza warstwa sadzy, osiadająca na przedmiotach, które weń wprowadzamy; pomimo to w ostatnich czasach nasunęła się wątpliwość, czy tlómaczenie powyższe jest słuszne. Dostrzeżono bowiem, że gdy palenie dokonywa się pod znacznem ciśnieniem, jakich dziesięciu atmosfer przynajmniej, świecą jasno nawet płomienie gazów, które zgoła cząstek stałych nie zawierają, jak płomień wodoru w szczególności. Sądzą więc niektórzy, że również blask płomieni świec i lamp naszych sprowadzają, nie stałe cząstki węgla, ale unoszące się w nich gęste, rozżarzone pary ciężkich węglowodorów. Prosta tedy i napozór dawno już rozstrzygnięta kwestya świecenia płomieni teraz się zawiąklała; kłopotać się tem wszakże nie będziemy, przedewszystkiem bowiem obchodzi nas teraz temperatura płomieni.

Otóż, temperatura ta bardzo jest różna i w rozległych bardzo przypadać może granicach, — są płomienie chłodniejsze i gorętsze, albo raczej, mniej i bardziej gorące. Zależy to najpierw od ilości ciepła, jakie się przy spalaniu materiałów płonących wywiązują, a dalej od ciepła właściwego produktów spalania, to jest od tego, czy więcej, czy też mniej ciepła do rozgrzania swego zużywają; posiadając zaś te dane, możemy temperaturę płomienia obliczyć teoretycznie. Za przykład posłuży nam temperatura płomienia tleno-wodorowego, czyli gazu piorunującego. Z licznych doświadczeń wiadomo, że spalanie jednego kilograma wodoru wytwarza bardzo znaczną ilość ciepła, około 34500 ciepłostek, co innemi słowy znaczy, że przy spalaniu tem rozwijający się zasób ciepła wystarcza do ogrzania o jeden stopień 34500 kilogramów wody. Spalenie wodoru jest to połączenie się go z tlenem, ponieważ zaś z jednym kilogramem wodoru łączy się ośm kilogramów tlenu, produktem tego spalania będzie dziewięć kilogramów wody, każdy więc kilogram tworzącej się pary wodnej rozwija około 3830 ciepłostek. Aby stąd temperaturę jej ocenić, pamiętać należy, że do ogrzania kilograma pary wodnej o jeden stopień potrzeba 0.475 ciepłostki, powyższa zatem ilość ciepła wystarczy do ogrzania jej o $\frac{3830}{0.475}$, o 8000 zatem stopni. Jest to zar imponujący, w rzeczywistości wszakże temperatura płomienia tleno-wodorowego daleką jest od tak obliczonej granicy, para bowiem wodna, podobnie jak i inne związki chemiczne, działaniu potężnego żaru oprzeć się nie może, ale rozpada się zupełnie na swe części składowe już w temperaturze niedochodzącej do 3000°, a i w daleko, niższej już temperaturze częściowemu przynajmniej ulega rozpadowi

czyli dysocjacyi. Gdy więc wodór płonie, pewna tylko część jego z tlenem istotnie się łączy, reszta zaś z powodu wysokiej temperatury traci zdolność wiązania się z nim, a stąd też płomień daleko mniej ciepła wytwarza i słabiej się ogrzewa, aniżeli to z rachunku naszego wypływa. W każdym razie jest to zapewne najgorętszy płomień, jaki otrzytać możemy, ale temperatura jego znacznie się zniża, gdy spalanie wodoru ma miejsce, nie w czystym tlenie, ale w powietrzu; w tym bowiem razie, kosztem wytwarzanego ciepła ogrzewa się też azot i znaczną część jego wiąże.

Ilość wywiązującego się przy paleniu ciepła jest niejako miarą powinowactwa chemicznego ciał, z sobą się łączących. Gdy bardziej się obojętnie względem siebie zachowują, cząstki ich z mniejszą ku sobie biegną energią, z mniejszą gwałtownością o siebie uderzają, obfitość ciepła wzbudzonego jest mniejsza, a płomień niższą ujawnia temperaturę. Najchłodniejszy jest płomień pary fosforu, silnie przejętej obojętnym jakim gazem, azotem mianowicie. Płomień jest tak słaby, że w przyćmionej tylko izbie dostrzegać się daje, a tak zimny, że papier od niego zatlić się nie może. Pomiędzy zaś obie granice, które przytoczyliśmy, wtrącić można całą skalę płomieni, coraz silniej rozżarzonych, coraz gorętszych.

Od czasu badań Drapera (1847 r.), przyjmowano dotąd powszechnie, że wszystkie ciała stałe, gdy są ogrzewane, zaczynają świecić przy jednakiej temperaturze 525° C., i to jednakowem światłem ciemnoczerwonaawem. Przed ośmiu wszakże laty wykazał H. F. Weber, że metale oddziałują na wzrok nasz już w temperaturze znacznie niższej, około 400° , wydając pewien blask nieokreślony, mglisto-szarawy, który w widmie zajmuje miejsce odpowiadające promieniom zielono-żółtym, a przy wzroście temperatury widmo wydłuża się w obie strony. Blaskiem tym świecić zaczynają metale w temperaturze około 400° , — niezupełnie zresztą dla wszystkich metali jednakiej, a zależnej nadto od czułości oka obserwatora. Pomijając wszakże ten słaby i niedostatecznie jeszcze zbadany blask początkowy, temperaturę płomieni oceniać możemy, z pewnem przynajmniej przybliżeniem, z barwy, jaką przybierają rozżarzane w nich ciała. Do ciemnej czerwoności, jak nadmieniliśmy, rozpalają się ciała w temperaturze 525° , w ogniu zwykłych pieców naszych; w miarę, jak temperatura ciał rozgrzewanych wzrasta, do wysyłanych pierwotnie promieni czerwonych przybywają promienie wyższej łamliwości, żółte, zielone i niebieskie. Przy 900° blask ciał rozpalonych staje się wiśniowo-czerwonym, przy 1100° ciemno-pomarańczowym, przy 1200° jasno-pomarańczowym; przy 1300° rozżarzają się do białości, przy 1500° białość jest oślepiającą. Jest to żar najpotężniejszych ognisk hutniczych.

Wszystko, co szybkość i żywość palenia podsyca, podwyższa też i temperaturę płomienia. Tak działa więc komin wysoki, który dopływ powietrza przyspiesza, albo miech, który je do wnętrza płomienia wtrąca. Toż samo znaczenie ma w pracowni chemicznej dmuchawka, a w lampkach, które do ogrzewania służą, w kuchniach gazowych, płomienie świecą słabo, ale grzeją silnie, gaz bowiem dopływa do nich należycie już z powietrzem zmieszany, łączenie się więc z tlenem we wszystkich ich częściach bystro zachodzi. — Przez zespolenie warunków sprzyjających, przy zastosowaniu środków, jakimi technika dzisiejsza rozporządza, zdołano zbudować do badań naukowych piece, w których żar przenosi 2000 stopni, gdzie ulatnia się porcelana najtrudniej topliwa, a topi się nietylko platyna, której punkt topliwości wedle ostatnich oznaczeń przypadać ma przy 1775°, ale i iryd, przechodzący w stan ciekły dopiero w temperaturze o kilkaset stopni wyższej. Gdy zaś potężniejszy jeszcze żar osiągnąć pragniemy, nie pomoże już dalsze podsycać ognia, korzystnie natomiast służy nam prąd elektryczny, ten osobliwy i wszechstronny pośrednik w przeprowadzaniu, przeobrażaniu i przetwarzaniu wszelkich rodzajów energii.

Gdy prąd elektryczny po przewodniku, po drucie metalowym płynie, drut ten rozgrzewa się natychmiast, a ciepło wywiązuje się widocznie skutkiem oporu, jaki prąd w przebiegu swym napotyka. Dla tego też ilość wzbudzanego ciepła nietylko od natężenia samegoż prądu, ale i od oporu zależy, a druty dostatecznie cienkie, pod wpływem przebiegającego je prądu, rozżarzają się i topią nawet. Węgiel gorszym jest przewodnikiem, aniżeli metal, dla tego też w lampach elektrycznych cienkie włókno węglowe rozżarza się do białości już pod działaniem prądu niezbyt silnego, ale znaczniejszy jeszcze opór napotyka prąd elektryczny w lampach łukowych, gdzie dwa pręty węglowe, z biegunami stosu lub maszyny dynamoelektrycznej połączone, stykają się końcami swymi i pod wpływem prądu rozżarzają w punkcie zetknięcia. Skoro zaś zatlone końce rozsuwamy, rozpalone ich cząstki odrywają się i tworzą jakby pomost oporny, przez który prąd w dalszym ciągu mozolnie się przedziera, a stąd żar początkowy silniej się jeszcze wzmaga. Jest to ognisko najgorętsze, jakie środki nasze wytwarzać są w stanie, a temperaturę jego niedawno dopiero oznaczyć należyście zdołano.

Temperatura zresztą łuku voltaicznego nie jest we wszystkich jego częściach jednaka: najgorętszy jest biegun dodatni, co już tem się

ujawnia, że po przerwaniu prądu węgiel dodatni żarzy się jeszcze przez czas pewien, gdy węgiel ujemny natychmiast gaśnie. Dla oznaczenia więc temperatury węgla dodatniego wrzucał fizyk francuski, Violle, rozżarzone jego końce do kalorymetru, a z wywołanego stąd ogrzania obliczył, że temperatura tak oderwanego odłamka wynosi 3600°. Takież sam rezultat otrzymali inną drogą badacze angielscy, Wilson i Gray; posłużył im zaś do trudnych tych dochodzeń radyometr, czyli znany, choćby z wystaw w sklepach optyków, młynek świetlny, który obraca się pod wpływem padających nań promieni światła. Na młynek taki rzucano przez wązki otwór promienie światła łukowego, które go tedy wprawiały w obrót; z drugiej wszakże strony obrotowi temu przeciwdziałały promienie rozżarzonej platyny, a otwór, którym się one przedostawały, rozszerzano, dopóki promieniowanie platyny nie dorównało promieniowaniu badanego światła elektrycznego. Radyometr był tu więc jakby wagą cieplikową, którą równoważyły działania obustronne, a ze znanej temperatury platyny można już było szukać temperaturę łuku elektrycznego oznaczyć.

Badania te doprowadziły do ważnego i uderzającego wniosku, dozwoliły bowiem istotę światła łukowego wyjaśnić. Okazało się mianowicie, że temperatura węgla dodatniego pozostaje zawsze niezmienną, jakakolwiek-by była wielkość łuku i jakakolwiek potęga użytego prądu. Zestawić tedy można zjawisko to ze wrzeniem wody, która pod danem ciśnieniem zachowuje temperaturę stateczną, silniejsze zaś ogrzanie szybkość tylko parowania powiększa: tak samo więc i stateczność temperatury węgla dodatniego w świetle łukowym łatwo zrozumiemy, jeżeli przyjmniemy, że węgiel ten znajduje się w stanie wrzenia: w warunkach takich wzmoczenie siły prądu, albo raczej powiększenie wykonywanej przezeń pracy, podsyca szybkość jego wrzenia, ale temperatury jego nie podwyższa. Dzięki więc badaniom Violle'a wiemy teraz, że węgiel, który tak dzielnie opiera się wszelkim usiłowaniom stopienia go i którego w stanie ciekłym nikt nigdy nie widział, ulatnia się przy 3600°, w najwyższej, dotąd osiągniętej, temperaturze.

Z żaru tak potężnego już od początku stulecia korzystali dorywczo fizycy i chemicy do badań nad topliwością i ulatnianiem metali, oraz innych ciał, ale w ostatnich dopiero latach wprowadzono urządzenia, które pozwalają w wysokiej temperaturze łuku elektrycznego prowadzić doświadczenia na wielką skalę i według planu należyście obmyślanego. Budowa takich „pieców elektrycznych” nastęrcza znaczne trudności, już choćby dla tego, że tak silnemu ogrzaniu opiera się nie wielka tylko liczba materyałów, a z kilku różnych konstrukcyi najdogodniejszym jest nowy piec Violle'a i Moissana, zbudowany głównie z węgla, w pobliżu bowiem 3000° nawet wapno niegaszone, w skład

pieca wchodzące, topi się i splywa, jak woda. Szczegółów budowy tego pieca opisywać tu zresztą nie mamy potrzeby, ale niepodobna tu też przytoczyć całego mnóstwa ciekawych i zdumiewających doświadczeń, jakie w ciągu kilku lat ostatnich przy jego pomocy wykonał profesor Moissan. Dla przykładu jedynie nadmieniamy, że srebro bardzo łatwo doprowadzić się dało do wrzenia; platyna stopiła się w kilka minut i ulotniła, a następnie można było zebrać metal ten w małych, połyskujących kulkach; również szybko ulotniło się złoto, wydając parę zielonawo-żółtą, z której osiadły mikroskopowe kuleczki metalu. Łatwo też udało się zamienić w parę glin, mangan, żelazo i uran, podobnie i krzem, pierwiastek piasku i krzemionki, a nawet stopić i w stan lotny przeprowadzić zdolano wapno i magnezję, które dotychczas uważane były za nietopliwe; magnezja okazała się oporniejszą, aniżeli wapno.

Metale, które dotąd dawały się w drobnych ledwie otrzymywać okruchach, wytapiają się ze związków swoich w piecu Moissan'a szybko i w ilościach znacznych, tak, że teraz dopiero własności ich dobrze poznać się dają. Tlenki metaliczne i inne substancje po ulotnieniu osiadają na ścianach tygla, zdradzając swe formy krystaliczne, dotąd nieznane. Nowy obszar poszukiwań i dociekań stanął dla chemika otworem; rozwija się „pyrochemia” jako nowy dział nauki, następująca mu metody nowe i środki potężniejsze, aniżeli marzyć o nich mogli poprzednicy jego.

Z niemniejszym też zaciekawieniem i zajęciem spogląda na doświadczenia te mineralog i geolog, stawiają mu one bowiem przed oczy warunki, w jakich wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pozostawała niegdyś ziemia, gdy jeszcze w ognisto-płynnym znajdowała się stanie, a z ciekłego i rozpalonego chaosu wytwarzały się skały i minerały. Powstawanie minerałów należało do tajemnic, które przyroda najstaranniej przed okiem zaciekawionego badacza kryje, ale obecnie tajemnica ta odsłania się z wolna, znaczną już bowiem liczbę minerałów odtworzyć zdołano sztucznie, w pracowni naukowej, drogą doświadczalną; stara nawet i tak niedostępna dotąd zagadka dyamentów okazuje się do rozwikłania możebną. Wiemy dobrze, że dyament jest to tylko węgiel, węgiel skryształizowany i przezroczysty, przez spalenie go bowiem powstaje tenże sam kwas węglany, co i przez spalenie zwykłego, czarnego i bezkształtnego węgla. Aby więc czarny i pospolity nasz węgiel w dyament przeobrazić, trzeba go tylko było umieścić w warunkach, które-by mu dozwoliły przybrać postać krystaliczną, rozpuścić go zatem lub stopić. Ale wobec obu tych wymagań zachowuje się dyament oporniej, aniżeli jakiegokolwiek inne ciało na ziemi,—nie masz cieczy, która-by go rozpuścić potrafiła, nie sięgano do tempe-

ratur, w których-by płynnym się stawał, nie umiano więc nawet rozstrzygnąć pytania, czy w przyrodzie wykrył się z roztworu, czy też z masy stopionej, czy utworzył się drogą wodną, czy też ogniową. Niedawno jednak wykryto drobne okruchy dyamentowe w aerolicie, w pewnej bryle żelaza meteorycznego, a odkrycie to uzasadniło domysł, że dyamenty pochodzenia kosmicznego powstały w tenże sam sposób, co i inne minerały, w skład aerolitów wchodzące, które się niewątpliwie drogą ogniową wytworzyły. Ze spostrzeżenia więc tego zaczerpnął Moissan wskazówki do doświadczalnych swych dochodzeń, w których węgiel postanowił poddać zarazem wysokiej temperaturze, jak i ciśnieniu olbrzymiemu. Posłużyły mu zaś do obu tych celów własności żelaza, które w stanie stopionym znaczną ilość węgla rozpuszcza, a w temperaturze niższej jego nadmiar wydziela, krzepnąc zaś, objętość swoją powiększa, podobnie, jak woda marznąca. Wydobywający się więc z rozpuszczenia węgiel uległ gwałtownemu ściśnięciu wskutek rozszerzania się żelaza krzepnącego, a po rozpuszczeniu masy metalicznej we wrzącym kwasie solnym otrzymano w pozostałości, oprócz węgla, wydzielonego w postaci grafitu, jeszcze bryłki skryształizowane i przedstawiające wszelkie cechy dyamentu, a przede wszystkim jego twardość. Dla jubilerów sztuczne te, a niemniej prawdziwe i rzetelne dyamenty mało zapewne były-by przydatne, są bowiem drobnych, mikroskopowych ledwie wymiarów; nie osłabia to wszakże naukowej doniosłości tego doświadczenia, które w znacznej przynajmniej mierze wyświeśliło nam tworzenie się dyamentu w przyrodzie.

Może więc już teraz pyrochemia pochlubić się obfitym plonem nowych i ważnych odkryć; w dziedzinie tych badań przecież wrota dopiero co się rozwarły, a po za nimi ciągnie się długa droga, na której może głębiej, aniżeli dotąd, przeniknąć zdołamy budowę chemiczną materii.

Cały ogrom ciał różnorodnych w przyrodzie rozbił chemik na ich części składowe, wydobył z nich siedmdziesiąt różnych substancji, które już dalej rozkładać się nie dają, i określił je, jako ciała proste, pierwiastki. Czy są to jednak ciała stanowczo pierwsze, bezwzględnie z prostszych jeszcze substancji niezłożone, tego nigdy twierdzić nie mógł; przyznawał tylko, że środkiem, jakie ma w swem rozporządzeniu, opiera się dalszy rozkład pierwiastków dzisiejszych. Nastręczają się wszakże i mnożą świadectwa, które coraz wyraźniej za złożonością tych, tak zwanych, pierwiastków, przemawiają, a pewne zwłaszcza związki, jakie zachodzą między własnościami różnych pierwiastków i pokrewieństwo ich zdradzają, usprawiedliwiają domysł, że liczny zastęp dzisiejszych pierwiastków chemicznych powstał z kilku tylko prostszych jeszcze substancji, a może wytworzył się z przeobrażenia

jednej tylko, zasadniczej materji pierwotnej, przez jakieś, nieuchwytnie dotąd skojarzenie jej cząstek, atomów. Ciepło, które do pewnego wprawdzie stopnia tworzeniu się związków chemicznych sprzyja, staje się przemożnym ich wrogiem, gdy wyższego dosięga natężenia; w silnem ogrzaniu wszystkie znane nam związki rozpadają się, rozkładają. Nie daje to wprawdzie dostatecznej jeszcze zasady do przypuszczenia, że wśród żaru, potężniejszego nad najwyższe, dotąd osiągnięte temperatury, uległy-by dalszemu rozkładowi metale, lub inne pierwiastki dzisiejsze; zachowanie się wszakże niektórych przynajmniej pierwiastków w wysokiej temperaturze świadczy, że doznają one tam istotnego w budowie swej przeobrażenia. Tak, w szczególności, z doświadczeń Craftsa i Wiktora Webera wiadomo, że para jodowa w umiarkowanym już żarze gęstość swą zmieniać zaczyna, a przy 1400° gęstość ta zmniejsza się do połowy. Osobliwa ta zmiana znaczy, że dwuatomowa cząsteczka jodu rozszczepia się w wysokiej temperaturze na atomy swobodne, a temuż samemu losowi ulegają i pokrewne jodowi pierwiastki, chlor i brom, chociaż do przeobrażeń podobnych silniejszego jeszcze wymagają ogrzania. Rozszczepienie cząsteczki nie jest wprawdzie jeszcze rozkładem chemicznym halogenów, ale w każdym razie zaliczyć je trzeba do dokumentów, tyjących się ciemnej dotąd sprawy pierwiastków chemicznych. Nauka nawykła w ostatnich czasach do tego, że w najzawilszych kwestjach na właściwe tory wprowadza ją badanie gazów, w stanie lotnym bowiem materja w najprostszej przedstawia się nam formie; stąd też spodziewać się wolno, że i poczynająca się dopiero pyrochemia gazów i par nieznanie nam dotąd widnokreśli ukaze. Dotkliwą trudność napotykają wprawdzie badania te w przenikliwości materiałów; w wysokich temperaturach zbiorniki nie mogą utrzymać w uwięzi gazów, które się przez ich ściany przedzierają, tryumfująca wszakże zawsze technika znajdzie zapewne sposoby poskromienia i tej przeszkody.

Skorośmy poznali sposoby otrzymywania wysokich temperatur, wspomnieć należy i o metodach ich mierzenia. Tu wszakże z góry oświadczyć już musimy, że wszystkie dotąd wprowadzone metody i wszystkie dotąd zbudowane przyrządy zupełnie zadawalniających nie dają rezultatów. Od stu lat nie brakło wprawdzie usiłowań nad obmyśleniem przyrządów, które-by wysokie stopnie temperatury wskazywać mogły z równą dokładnością, jak termometr rtęciowy oznacza temperatury niższe; starano się do celu tego zastosować nietylko rozszerzal-

ność ciała, przez ciepło powodowane, ale i najrozmaitsze inne objawy, pomimo to zadanie dokładnego mierzenia wysokich temperatur stanowczo rozwiązaniem nie zostało.

Przyrządy do celu tego służące noszą nazwę pyrometrów, jakby ogniomierzy. Jest to nazwa dawna, tytuł bowiem „Pyrometrii“ posiada dzieło Lamberta, ogłoszone w r. 1779; obejmuje ono wprawdzie ogólny traktat o mierzeniu ciepła, ale autor wyróżnia już pyrometry od termometrów, rozumiejąc pod nazwą pierwszą przyrządy, które służyć mają do wskazywania wyższych, dla uczucia naszego niemożliwych do znośnienia, stopni ciepła. Właściwa jednak obecna pyrometria pochodzi od Jozjasza Wedgwooda. Słynny ten garncarz, wynalazca tak zwanych wyrobów kamiennych czyli sztejnutowych, skorzystał z własności gliny, która przez działanie ciepła zrycha się i kurczy, a urządzone na tej zasadzie pyrometr opisał w r. 1782. Składa się on z dwu prętów metalowych, osadzonych na płycie również metalowej w taki sposób, że zawierają między sobą zwięzający się kanał; brzegi prętów opatrzone są w podziałkę i posiadają dwieście kresk w równych odstępach. Nadto urabiają się z wyschłej gliny walce takich wymiarów, że w kanale pyrometru zatrzymują się przy zerze podziałki. Aby więc temperaturę ogniska ocenić, wprowadza się tam jeden z takich walców, a skoro przyjął temperaturę tego ogniska, wsuwa się go znowu między pręty pyrometru; wskutek wypalenia, glina zmniejszyła swą objętość, a walec nie zatrzyma się już przed zerem, ale da się wtłoczyć przed inną kreskę podziałki. Wedgwood starał się podziałkę tę związać ze skalą termometru zwykłego, nie zdołał jednak tego dopiąć; rzecz zresztą widoczna, że zmiana używanego rodzaju glinki wydać może inny zupełnie rezultat. W jednej wszakże i tejże samej fabryce, jeżeli posługujemy się jednaką zawsze gliną, pyrometr Wedgwooda dozwala łatwo poznawać, czy osiągnięta już została temperatura, potrzebna do należytego wypalania wyrobów. Do celów naukowych, oczywiście, przyrząd ten nadawać się nie może.

Dawniejszego jeszcze pochodzenia jest pyrometr metaliczny, polegający na rozszerzalności metali, zbudowany bowiem został przez Musschenbroeka w r. 1731. Ponieważ metale słabo się pod wpływem ciepła rozszerzają, aby więc drobne wydłużenie pręta metalowego uwidocznić, trzeba go opręć o skazówkę, która za słabem już pochyleniem drugim swym końcem obiega łuk wyraźny. I w tego rodzaju pyrometrach niepodobna również sprowadzić wskazań do stopni termometru zwykłego, a, co większa, wystawione na ciągłe działanie silnego ciepła, ulegają przeobrażeniom, które-by zmuszały do wprowadzenia nowej podziałki, gdyby nie było rzeczą prostszą, dawny przyrząd nowym zastąpić.

Są, dalej, pyrometry polegające na topliwości różnych ciał, a zwłaszcza stopów metalicznych, tak dobranych, że punkta ich topliwości niewiele są między sobą odległe. W jednym z takich przyrządów pierścienie wyrobione z podobnych stopów, ułożone na pręciku i ściśnięte sprężyną, wprowadzane są do badanego pieca, a w ten sposób łatwo ująć można chwilę, gdy temperatura dochodzi żądanej wysokości. Dokładność tej metody zależy, oczywiście, od ściśłości wyrobu stopów. Skorzystano też z przeobrażeń chemicznych, jakich ciała pod wpływem żaru doznają; taki pyrometr Lamyego polega na stopniu dysocjacji węglanu wapnia, dostatecznie ściśle wskazania daje tylko między 700° a 900°. Pyrometry znów optyczne są to właściwie fotometry, które stan rozgrzania ciała oceniają z jasności wysyłanych przez nie promieni.

Do użytku praktycznego okazał się podobno dogodnym zbudowany przez Saintignona przed kilku laty pyrometr o strumieniu wody (pyromètre à courant d'eau), w przyrządzie tym bowiem bezpośrednio działaniu badanego ogniska poddaje się przepływający przez umieszczoną w niem rurę prąd wody, a ze stopnia rozgrzania się wody temperatura ogniska ocenić się daje.

Do pewnego stopnia zdołano nawet i zwykły termometr rtęciowy zamienić na pyrometr, a przynajmniej posunięto znacznie granicę, do której służyć może. Termometr staje się nieprzydatnym, skoro rtęć wrzeć zaczyna; gdy jednak pustą przestrzeń rury, ponad rtęcią, zapelniono gazem obojętnym, który na rtęć działania chemicznego nie wywiera, jak azotem lub kwasem węglanym, zdołano pod tym uciskiem punkt wrzenia rtęci posunąć do 500 i 600 nawet stopni. Do wyższych jeszcze temperatur korzystać można z rozszerzalności gazów, a w szczególności powietrza, ujmą wszakże pyrometrów powietrznych jest to, że zbiorniki ich stają się przy silnem rozgrzaniu dla gazów przenikliwe.

W każdym razie, ze wszystkich pyrometrów najlepiej wymaganiom wszelkim odpowiadają elektryczne, polegające na ścisłym związku, jaki zachodzi między objawami ciepłikowemi i elektrycznemi. W miarę, jak się temperatura drutu podwyższa, wzrasta i opór jego, a tem samem słabnie prąd po drucie tym przebiegający. W pyrometrze więc Siemens'a drut platynowy, po którym płynie prąd, wprowadza się do badanego ogniska, a z natężenia prądu, wskazanego przez galvanometr, wniesić można o temperaturze, do jakiej drut się rozgrzał.

W badaniach naukowych przydatną być może zwłaszcza metoda kalorymetryczna, polegająca na oznaczaniu ilości ciepła, jaką traci ciało w badanem ognisku ogrzane. Dla oznaczenia temperatury ogniska tego wprowadzamy doń bryłkę żelaza, lub platyny znanego ciężaru, a skoro przyjmie już temperaturę swego otoczenia, wrzucamy ją do

kalorymetru, zawierającego odważoną również ilość wody. Ze stopnia ogrzania wody ocenić możemy ilość ciepła, utraconą przez bryłkę, a stąd, w dalszym ciągu, i temperaturę, jaką w ognisku przybrała. W ten właśnie sposób, jak wyżej już przytoczyliśmy, ocenił Violle temperaturę światła łukowego, ale i ta metoda nie jest wolną od pewnych trudności, które stosowanie jej ograniczają. W ogólności zaś wszelkie przyrządy pyrometryczne przybliżoną tylko dają ocenę, chociaż w wielu razach przybliżenie to daleko posuniętem być może.

Przebywaliśmy dotąd wyłącznie w obrębie pracowni naukowych, rozejrzeć się teraz wypada i w objawach samej-że przyrody. Zakrzepła na powierzchni ziemskiej nasza bryła kryje niewątpliwie we wnętrzu swym wysokie stopnie ciepła ¹⁾, pozostałość żaru pierwotnego, którym niegdyś i na powierzchni płonęła, a o którym słabo świadczą jeszcze strumienie lawy rozpalonej.

Temperatura lawy dotąd dokładnie oznaczoną nie była, dostęp bowiem do rozpalonego jej potoku trudny jest bardzo i niebezpieczny, a nadto opiera się wprowadzaniu do niej termometru, gdyż na powierzchni jej często bryły nawet żelazne pływają. Podczas ostatniego dopiero wybuchu Etny napotkał Bartoli warunki korzystniejsze, zdołał bowiem zbliżyć się do strumienia lawy na odległość dwu metrów i to w miejscu, gdzie wydobywała się z przewodu podziemnego, który ją od oziębienia chronił. Aby więc temperaturę jej zmierzyć, obmyślił odpowiedny termometr. Rozciąwszy mianowicie lufę pistoletu, złożył znów obie połowy w rurę, której koniec jeden zaostrzył dla łatwiejszego pograżenia w lawie; w rurze umieścił pręt platynowy i tak przerobiony pistolet osadził w odpowiedny sposób na końcu żerdzi z drzewa kasztanowego, a przy pomocy tego drążka właczał termometr swój w lawę. Przeciąg dziesięciu minut wystarczał do sprowadzenia jednostajności temperatury, po wydobyciu zaś przenoszono szybko lufę pistoletu nad kalorymetr, rozdzielano obie jej części, a pręt platynowy wrzucano do wody kalorymetru, której rozgrzanie dawało tedy możliwość obliczenia temperatury lawy. Badania te wykazały, że lawa, po opuszczeniu kanału podziemnego, w głębokości jednego metra posiadała temperaturę od 1060° do 970°, a tenże sam potok lawy, po przebiegu dwu kilome-

¹⁾ Obl. Szkice przyrodnicze. — Zagadka wnętrza ziemi.

trów, z szybkością ośmdziesięciu metrów na godzinę, stygl o 200° mniej więcej.

Skwar podobny było-by trudno gdzieindziej na ziemi napotkać, po wyższe więc jeszcze stopnie ciepła sięgnąć trzeba aż do słońca. Zapomniano już o tej teorii dziwacznej, która słońcu jądro ciemne i jaśniejącą tylko powłokę przypisywała; rozumiemy teraz dobrze, że dzienna nasza gwiazda, której promienie życie i wszystką działalność na ziemi utrzymują, jest to bryła ognista i wskroś rozpalona, ale — na nieszczęście — w całej fizyce słońca nie następuje się zagadnienie trudniejsze nad ocenę temperatury jego. Zmierzone starannie, jaką ilością ciepła darzy nas słońce w ciągu roku, obliczono, ile go na wszystkie strony przestrzeni świata rozsyła; ale stąd jeszcze temperatury słońca bezpośrednio wyczytać nie można, nie znamy bowiem zależności, jaka między promieniowaniem ciała a temperaturą jego zachodzi, przy silnem zwłaszcza rozgrzaniu; stąd też poglądy różnych badaczy tak dalece rozbiegają się między sobą, że gdy jedni o trzech lub pięciu milionach stopni ciepła na słońcu prawią, inni ledwie mu tysiące przyznają. Do pierwszych należy Secchi, który w obliczeniach swoich oparł się wprost na przypuszczeniu, że temperatura ciał proporcjonalna jest do natężenia wysyłanych przez nie promieni; natomiast zaś fizycy francuscy, Violle zwłaszcza, biorąc za punkt wyjścia prawa promieniowania, wyprowadzone doświadczalnie w temperaturach niższych, oceniają, że temperatura słońca nie przewyższa jakich 2000 stopni, nie dorównywa tedy nawet najwyższemu, na ziemi osiągniętemu, temperaturom. Odskok, jak widzimy, jest tu olbrzymi, pośrednia zaś liczba 28000 stopni wypadła Zöllnerowi na podstawie pewnych uwag, które mu następczyło badanie widma słonecznego.

Obliczenia powyższe mają charakter przeważnie teoretyczny, w ostatnich wszakże latach starano się kwestyę tę umieścić na gruncie bardziej doświadczalnym, odwołując się do pomiarów bezpośrednich. Rosetti w Padwie oznaczał natężenie promieniowania słońca za pomocą stosu termoelektrycznego i porównywał je z promieniowaniem źródła sztucznego, posiadającego temperaturę 2000°, a z rezultatów zestawienia tego wniósł, że temperatura słońca wynosi 10000°. Zapewne wszakże promienie słońca w samej już atmosferze jego ulegać mogą pochłanianiu i osłabione stąd do nas przybywają, a istotna temperatura jego winna być wyższa; uwzględniając więc taką utratę według tego, co o naturze powłoki gazowej słońca wiemy, przypisuje Rosetti słońcu 20000 stopni. Z podobnych jednakże podstaw eksperymentalnych wysnuł Paschen liczbę mniejszą; zestawiając promieniowanie słońca z promieniowaniem platyny rozrządzonej, dochodzi do wniosku, że gdyby

słońce było ciałem stałym, temperatura powierzchni jego nie mogła-by 5000° przechodzić.

Do porównywań takich innej znów metody użył Le Chatelier: przepuszczał on, mianowicie, przez szkło czerwone promienie słoneczne, jako też promienie ciał ogrzanych do 1700°, a z osłabienia, jakiego stąd doznawały, temperaturę słońca oblicza na 6500 do 8500 stopni. Z liczbami zaś temi dosyć są zgodne i rezultaty pomiarów najnowszych, przeprowadzone przez Wilsona i Graya tąż samą, opisaną już wyżej, metodą kompensacyjną, której badacze ci użyli i do oznaczenia temperatury światła łukowego. Znaczna liczba dokonanych pomiarów upoważnia ich do twierdzenia, że temperatura słońca nie odstępuje znacznie od 8000 stopni.

Jeżeli z liczb tak rozstrzelonych wnioszek jaki wyprowadzać można, to tyle chyba, że badania nowsze dążą w ogólności do ograniczenia przesadnie ocenianej pierwotnie temperatury słońca. Zresztą, niższe te stopnie tyczą się tylko powierzchni jego; we wnętrzu ogromnej bryły słonecznej panuje zapewne żar potężniejszy, który długo jeszcze wynagradzać będzie ubytki, jakie wierzchnie warstwy słońca wciąż ponoszą. Śród nieprzeliczonego wszakże zastępu słońc, w przestrzeni świata rozrzuconych, nasze ani najchłodniej-zem nie jest, ani najgorętszem, a w szczególności gwiazdy, które światłem białym jaśnieją, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w wyższym znajdują się stanie rozpalenia. Nie zatrzymamy się wszakże przy nich choćby dla tego, że o ich temperaturze nic już zgoła powiedzieć nie potrafimy, a od skwaru tak nadmiernego czas już schronić się na drugi kraniec skali temperatur.

II.

Śmieliśmy się za szkolnych naszych czasów z bajki o wizytatorze, który zapytał ucznia, co jest zimniejszem od lodu; ale takąż sama niedorzeczność tkwi przecież i w pospolitem porównaniu — zimny, jak lód; w określeniu tem bowiem lód jest jakby symbolem zimna, wyobraża ciało oznaczonej, statecznej temperatury. Błąd ten jest rzeczywiście bardzo rozpowszechniony i często napotkać można osoby, które nie zdają sobie należytej sprawy, że lód, podobnie jak żelazo, lub jakiegokolwiek inne ciało, oziębiać lub ogrzewać można dowoli. To tylko prawda, że wyżej zera termometrów naszych ogrzać lodu niepodobna, bo wtedy staje się on już wodą i przez cały czas topienia temperaturę zachowuje niezmienną, ale poniżej kresu tego temperatura lodu nie jest bynajmniej stateczną: może on być cieplejszym lub zimniejszym, albo, mówiąc jaśniej, mniej lub bardziej zimnym, a to zależnie od natężenia

mrozu, na jaki jest wystawiony, stygnąć może dalej i dalej, aż do ostatecznego kresu wszelkiego ciepła, aż do punktu zimna bezwzględneho.

Zimno bowiem nie jest objawem od ciepła odrębnym, wręcz mu przeciwnym, jest to tylko niedostatek ciepła, stan jego niski. Jakikolwiek zaś o istocie ciepła mamy wyobrażenie, pojmujemy, że ciągły ubytek jego zakończyć się wreszcie winien brakiem jego zupełnym. Według dawniejszej teorii ciepła, gdy sądzono, że jest ono substancją, płynem nieważkim, ciało stawać się musiało bezwzględnie zimnem po zupełnem ustąpieniu zeń tego ciepłika hypotetycznego; obecnie, gdy ciepło za objaw ruchu najdrobniejszych cząstek uważamy, a temperatura ciała jest wyrażeniem żywości tego ruchu, ciepło unicestwia się wraz z zagładą, z ustaniem ruchu cząsteczkowego, — ciało staje się bezwzględnie zimnem i dalej już stygnąć nie może, skoro cząstki jego, wykonywając drgania coraz wolniejsze, coraz bardziej opieszale, w martwym wreszcie zalegają spokoju.

Za czasów jeszcze ciepłika nieważkiego zrozumieli Desormes i Clément, że do oznaczenia tego krańcowego punktu ciepła, bezwzględneho zatem zera skali temperatur, posłużyć nam mogą własności gazów; dziś zdajemy sobie z tego sprawę jaśniej. Ruch cząsteczkowy gazów ujawnia się ich prężnością, dążnością do coraz dalszego rozprzestrzeniania się, ciśnieniem na krępujące je ściany. Gdy gaz ogrzewa się w warunkach, które swobodnego jego rozszerzania się nie dopuszczają, wzmożony ruch cząsteczek jego ujawnia się silniejszym miotaniem się ich o ich ściany, podsyceniem prężności; staranne zaś i liczne doświadczenia nauczyły, że wzrost temperatury o jeden stopień powoduje powiększenie prężności o $\frac{1}{273}$ jej część, a nawzajem, oziębianie gazu sprowadza w takimże samym stosunku osłabianie prężności pierwotnej. Jeżeli więc pewna objętość gazu, pozostająca w temperaturze 0° pod ciśnieniem atmosfery, ulega stopniowemu oziębianiu, to przy -1° prężność jej zmniejszy się o $\frac{1}{273}$, przy -2° o $\frac{2}{273}$, a przy -273° o $\frac{273}{273}$, co znaczy, że gaz traci prężność swą zupełnie, nie posiada już zgoła dążności do rozprzestrzeniania się, jest bezwzględnie, zupełnie zimny. Rozumując i rachując w ten sposób, przypuszczaliśmy tem samem, że gaz i do skrajnych, najniższych temperatur zachowuje własności swe niezmiennie, że jest zatem gazem doskonałym; chociaż wszakże najbardziej nawet typowe gazy do stanu tego tylko mniej lub więcej się zbliżają, nie osłabia to naszego wniosku teoretycznego, że poniżej temperatury -273° C. już dalej ciało oziębiać nie można; jest

to więc bezwzględne, istotne zero temperatury, niezależne od dowolnego doboru stałego punktu skali termometrycznej.

Jest to zapewne temperatura pustych przestrzeni wszechświata, chociaż ją bowiem we wszelkich kierunkach przebiegają promienie słońc niezliczonych, brak tam substancji, która-by je pochłaniała i niemi się ogrzewała. Próżnię wszechświata zimno zalega absolutne. I atmosfera nasza zresztą jest silnie przecieplająca, co znaczy, że w słabej zaledwie mierze zatrzymuje dostające się do niej promienie słoneczne: powierzchnia dopiero ziemi chwyta je i pochłania, a ogrzana niemi udziela ciepła zetkniętym z nią, dolnym warstwom powietrza, które stąd lżejszemi się stają i wznoszą się wyżej, gdy opadające z góry masy następnie takiejże samej wędrówce ulegają. Prądowanie to sięga wszakże pewnej tylko, ograniczonej wysokości, gdy górne warstwy atmosfery, udziału w niem nie biorąc, zadawałać się muszą jedynie słabą miarą promieni bezpośrednio pochłanianych i zimne pozostają. Aby więc temperaturę tych stref dalekich i dla człowieka niedostępnych zbadać, zaczęto wysyłać tam na zwiady samopas puszczone balony sporych wymiarów, opatrzone w przyrządy samopiszzące, które automatycznie kreślą przebieg elementów meteorologicznych. Tego rodzaju balon, wypuszczony w lecie 1894 roku w Berlinie, przez profesora Assmanna, opadł w dziesięć godzin później w Bośni, przebiegłszy w tym przeciągu czasu tysiąc przeszło kilometrów. Balon osłonięty był dla ochrony od bezpośredniego działania słońca, przyrządy zaś obserwacyjne notowały wskazania swe metodą fotograficzną. Balon wraz z przyrządami odwieziony został do Berlina, a bieg nakreślonych linii krzywych wykazał, że balon, opuściwszy powierzchnię ziemi pod ciśnieniem 764 milimetrów i przy temperaturze 17° C, osiągnął wkrótce wysokości 16325 metrów, jak to wypada ze spadku barometru do 85 milimetrów, a w wysokości tej temperatura zniżyła się do — 52°. Na tym przynajmniej punkcie zatrzymały się linie krzywe przyrządów notujących, których walce były zbyt krótkie do wskazania krańca wysokości osiągniętej. Przy następnem wypuszczeniu balonu, we wrześniu tegoż roku, gdy zaradzono tej niedogodności, ciśnienie barometryczne zniżyło się do 53 milimetrów, a temperatura w odpowiadającej temu wysokości 18500 metrów wynosiła 65° niżej zera.

Po tak niskie wszakże stopnie ciepła niekoniecznie wzbijać się trzeba na kilka mil w górę, zdarzają się bowiem i na powierzchni ziemi. Biegunami zimna, albo ośrodkami zimna, nazwano okolice niewielkiej rozległości, w których temperatura opada nader nisko, albo raczej punkta na ziemi, posiadające tę własność, że są zimniejsze od miejsc otaczających. Okolice najzimniejsze, z których posiadamy dostrzeżenia, przypadają w Syberji północno-wschodniej i na północy Ameryki,

na wyspach Parry. Najzimniejszym punktem ziemi, o ile wiemy, jest Wierchojańsk w Syberyi; w Ustjańsku, na wschód ujścia Leny, i w Jakucku, położonym nad tą samą rzeką, ale o 9° bardziej na południe, temperatura średnią stycznia wynosi — 42° , w Wierchojańsku zaś, który leży między obu temi miejscowościami, dochodzi ona do — 48° . Najniższa, w miejscu tem zauważona temperatura, była — 63° C. Bieg linii izotermicznych styczniowych wskazuje, że biegun północny nie należy do najzimniejszych na ziemi punktów, które przypadają po obu jego bokach, w stronie Azji wschodniej i Ameryki zachodniej.

Równie daleko posuniętego zimna, jak w powyżej przytoczonych, najchłodniejszych na ziemi miejscowościach, niezbyt dawno jeszcze sztucznymi środkami wywoływać nie umiano. Technika silnego oziębiania rozwinęła się dopiero w ciągu ostatnich lat kilkunastu.

Dawniejsze sposoby sztucznego ochładzania wystarczały ledwo do zamrożenia rtęci, a przynajmniej niewiele znaczniejsze dawały zimno. Postępowano w ogólności tak, jak to robią gospodynie, gdy dla dłuższego utrzymywania lodu w lodowni pokojowej obsypują go solą. Zachodzą tu mianowicie dwa działania, z których każde z pochłanianiem ciepła jest połączone. W obecności soli przyspiesza się tajanie lodu, by w powstałej stąd wodzie sól rozpuścić się mogła; stopienie zaś lodu wymaga pewnego nakładu ciepła, które się zużywa na przezwycięzenie spójności jego cząstek. Podobnie wszakże i rozpuszczanie się soli jest też poniekąd zmianą stanu skupienia, złączone jej bowiem cząstki rozrywają się i rozbiegają. Na wykonanie zaś obu tych prac potrzebnej ilości ciepła dostarczyć musi najbliższe otoczenie, a przede wszystkim samże lód pozostały, który tedy, wskutek utraty ciepła, ulega oziębieniu, przy odpowiedniej ilości soli, aż do 22 stopni niżej zera. Przez dobór innych materiałów oziębienie tą drogą doprowadzić można do — 50° przeszło, ale silniejszego już ochłodzenia dawne te „mieszaniny oziębiające” nie dają. Korzystne natomiast okazały się metody inne, które już nie na topieniu ciał stałych, ale na parowaniu ciekłych polegają.

Gdy się ciecz w parę przeobraża, cząstki jej rozrywają się między sobą, rozbiegają, rozpraszają, a pracę tę również ciepło spełniać musi. Gdy woda wrze przy ogniu, ubytku ciepła nie dostrzegamy wprawdzie, ale to dlatego, że ogień stanowi źródło, które dostarcza wciąż tyle ciepła, ile go wytwarzanie pary zużywa. Zwilgocona jednak ręka doznaje uczucia chłodu, w tym bowiem razie ulatnianie wody dokonywa się

kosztem własnego jej ciepła. Uczucie to chłodu jest silniejsze, gdy na rękę puścimy kilka kropel eteru, ciecz ta bowiem ulatnia się znacznie prędzej, aniżeli woda, a stąd gwałtowniej ciepło odciąga.

Proste więc te dostrzeżenia wskazują, że silne oziębienie sprowadzić możemy za pośrednictwem szybko ulatniających się cieczy, jeżeli zwłaszcza ulatnianie to przyspieszymy przez usunięcie wszelkich przeszkód, a przedewszystkiem samej-że pary, która, gromadząc się ponad cieczą, dalszemu jej ulatnianiu zawadza. W ten więc sposób przy udziale pomp, które oddalają rozwijającą się wciąż parę eteru, powstały fabryki sztucznego lodu, albo też maszyny do produkcji jedynie zimna, czyli raczej do chłodzenia powietrza w piwnicach lub na okrętach, przewożących do Europy w stanie zamrożonym ryby i mięso. Zamiast zresztą eteru, korzystniejszym jest amoniak płynny, jako ciecz znacznie jeszcze lotniejsza; aby zaś ilość zużywanej cieczy jak najbardziej ograniczyć, uchodzącą jej parę chwytają pompy zagęszczające i stan jej ciekły wracają. Jest to więc obieg ciągły ograniczonej ilości cieczy, utrzymywany bezustanną grą pomp rozrzedzających i zgęszczających, które w ruch wprawia motor parowy. W ostatniej zaten instancyi wzbudza się zimno działaniem ognia, kosztem węgla w motrze spalanego.

Innem jeszcze źródłem zimna może być nagłe rozszerzanie się gazów ściśniętych, powiększenie bowiem objętości gazu łączy się z przewyciężeniem oporu zewnętrznego, a na spełnienie tej pracy gaz łoży własny zasób energii i stąd się oziębia. Gdy powietrze ulega stłoczeniu pod naciskiem trzech atmosfer, ogrzewa się o sto przeszło stopni, a gdyby w warunkach tych objętość swą pierwotną odzyskać miało, wróciło-by i do temperatury pierwotnej; jeżeli wszakże, współcześnie ze ścisaniem, ulega powietrze oziębianiu, choćby działaniem zimnej wody, to po odzyskaniu objętości początkowej będzie już znacznie zimniejszym, aniżeli poprzednio. W taki sposób działające maszyny oziębiające utrzymywać mogą w piwnicach temperaturę niższą nad -50° .

Dla celów praktycznych tedy stopień ten zimna wystarcza w zupełności, okazał się wszakże zgola niedostatecznym dla fizyków, gdy podjęli ostateczną walkę z krnąbrnymi gazami, które poprzednio opierały się wszelkim wysileniom ich skroplenia. Odtąd technika otrzymywania znacznego zimna zespoliła się ze sprawą skraplania gazów.

Analogia gazów do pary wodnej i do znanych par innych cieczy dawno już nasuwała domysł, że gazy dadzą się, podobnie jak pary, pokonać i w stan ciekły przeobrazić. Walkę taką z lotnością gazów rozpoczął Faraday w r. 1820, gdy zdołał skroplić chlor pod działaniem ciśnienia, jakie gaz ten sam na siebie wywierał, skupiony w ciasnej przestrzeni rury zamkniętej. Gdy ciśnieniu przybyło w pomoc ozię-

bianie, uległy temuż samemu losowi i inne gazy; w szczególności zaś w większych ilościach skroplono kwas węglany, który w temperaturze — 1° wymaga ciśnienia 37 atmosfer, ale silnie oziębiony przechodzi w ciecz już pod ciśnieniem bardzo nieznacznem, przewyższającym niewiele ciśnienie jednej atmosfery, zatem ucisk normalny, pod jakim pozostają wszystkie na ziemi przedmioty.

W ostatnich czasach sposoby skraplania kwasu węglanego zdołano tak dalece udoskonalić i uprościć, że dokonywa się to fabrycznie, a kwas węglany w stanie ciekłym rozsyła się nabywcom w butelkach, mających postać długich walców, wyrobionych zaś z żelaza kutego, o ścianach grubości kilku centymetrów. Gdy zbiornik taki otwieramy wylotem ku dołowi, wtedy ponad cieczą w naczyniu zbiera się pewna ilość gazu, który ciśnie na nią siłą kilkudziesięciu atmosfer; ciecz przeto bardzo gwałtownie otworem wytryska i część jej ulatnia się niezmiernie szybko, zabierając potrzebny do tego nakład ciepła pozostałej jej ilości, skutkiem czego ta ostatnia oziębia się tak dalece, że krzepnie, przechodzi w stan stały, tworząc śnieg pulchny, którego punkt wrzenia, czyli temperatura, jaką przyjmuje, gdy się go pozostawia w zbiorniku otwartym, wynosi 80 stopni niżej zera.

W tak niskiej temperaturze poddał znów Faraday w r. 1845 ciśnieniu rozmaite gazy, a połączonemu tak działaniu potężnego ciśnienia i silnego oziębienia uległy wszystkie prawie; kilka wszakże wytrwalszych przewyciężyć się nie dało, jakkolwiek nie szczędzono usiłowań, stosując przeciw nim coraz silniejsze oziębianie i uciskanie. Ponieważ jednak brakło sposobów wzbudzania zimna zbyt natężonego, zadawano się zatem głównie wzmaganiem ciśnienia, w tej myśli, że jeden środek równie jest dobry, jak drugi, a gdy jednego używać nie można, wystarczy drugi, byleby z dostateczną działał siłą. Skoro wszakże i pod potężnym uciskiem, który je skupiał w objętości pięćset lub tysiąc razy szczuplejszej, niektóre gazy nie dawały się przemocą tą wyprowadzić ze stanu lotnego, uznano je za gazy trwałe, a pomiędzy nimi mieściły się gazy najważniejszego w przyrodzie znaczenia, jak wódór, tlen, azot, a zatem i powietrze atmosferyczne, które jest tylko mieszaniną dwu ostatnich.

Zagadkową przyczynę tego niepowodzenia wyjaśnił dopiero w r. 1869 Andrews. Każde mianowicie uciskanie gazu powoduje i jego ogrzewanie, podwyższenie zaś takie temperatury sprzeciwia się skraplaniu i uniemożliwia je wreszcie zupełnie, oziębianie przeto staje się niezbędnem, usuwa bowiem nadmiar wywiązującego się przy ściskaniu ciepła. Dla każdego zaś gazu i dla każdej pary istnieje pewna „temperatura krytyczna” taka, że gdy gaz posiada temperaturę od niej wyższą, nie daje się zamienić w ciecz przez usisk choćby najpotężniej-

szy; przechodzi on wtedy jakby w pewien stan pośredni, między stanem lotnym a ciekłym, ale nie staje się wyraźną cieczą, choćbyśmy go sprowadzili do objętości, jaka mu w stanie ciekłym przypada.

Tak kwas węglany, który jak widzieliśmy, przy 0° zamienia się w ciecz już pod ciśnieniem niezbyt znacznym, nie daje się żadną miarą skroplić, gdy jest ogrzany powyżej 31° C. Podobnaż temperatura krytyczna dla pary wodnej przypada dopiero w temperaturze 412° , i para więc wodna, gdy jest dostatecznie ogrzana, nie da się już w wodę zamienić, będzie gazem trwałym. Tlen wszakże, azot i wodór posiadają temperatury krytyczne niższe od stu stopni zimna; aby więc je skroplić, trzeba się było postarać o temperatury niższe od tych, jakimi się poprzednio posługiwano.

Skoro więc fizycy za radą Andrewsa w tym kierunku usiłowania swe zwrócili i zdołali wytworzyć zimno potężniejsze, dopięli wreszcie celu, a dnia 24 grudnia 1877 roku otrzymała akademia nauk w Paryżu zawiadomienie od dwu naraz fizyków, Cailletet'a w Paryżu i Pictet'a w Genewie, że zdołali wreszcie tlen sprowadzić do stanu ciekłego. Cailletet otrzymał tlen wprowadzając tylko w postaci mgły, ale Pictet zdobył rezultat wyraźniejszy, gdy bowiem poddał tlen ciśnieniu 320 atmosfer i oziębił go za pośrednictwem skroplonego kwasu węglanego, który przez szybkie ulotnienie wywołał oziębienie do -140° , wtedy za otworzeniem zbiornika, w którym tlen był ściśnięty, wytrysnął strumień skroplonego gazu.

W sposób dokładniejszy wszakże doświadczenia te przeprowadzili dopiero w r. 1882 profesorowie: Wróblewski i Olszewski w Krakowie, zdołali bowiem otrzymać tlen ciekły, już nie w stanie tylko mgły, lub w postaci prądu przemijającego, ale jako ciecz istotną i wyraźną, zawartą w zbiorniku. Do sprowadzenia pożądanego zimna posłużył im najpierw skroplony kwas węglany, który przy ulotnianiu sprowadza zimno dostateczne do skroplenia innego, bardziej opornego gazu, zwanego etylenem. Etylen skroplony wrze pod zwykłym ciśnieniem przy -103 , ale gdy powstającą stąd parę usuwa się szybko za pomocą pompy powietrznej, punkt wrzenia zniża się do -140° prawie; tak znaczne zaś oziębienie wystarcza do skroplenia tlenu już pod ciśnieniem dwudziestu atmosfer, temperatura bowiem krytyczna tego ostatniego gazu przypada przy -113° . Tlen zaś skroplony stał się w dalszym ciągu źródłem znaczniejszego jeszcze zimna, przez ulotnienie swe bowiem zniża temperaturę do -185° , co znów z kolei dało możliwość skroplenia azotu, którego temperatura krytyczna wynosi -146° . Skroplony azot wrze pod ciśnieniem atmosferycznym przy -194 , a w próżni już przy -213° ; w ten więc sposób, jak widzimy, skraplanie gazów coraz oporniejszych staje się źródłem zimna coraz silniej-

szego, coraz potężniejsze oziębienie sprowadza. Ulatniając się pod słabem ciśnieniem, wskutek wywołanego przez to dalszego jeszcze oziębienia, dał się azot zamrozić w śnieżne, krystaliczne kłaczkki. Skoro zaś oba główne składniki powietrza, tlen i azot, skropleni uległy, tem samem oczywiście przeprowadzono w stan ciekły i powietrze atmosferyczne, którem oddychamy i które jest typowym przedstawicielem stanu lotnego. Tlenu dotąd w stanie stałym otrzymać nie zdołano, ale Dewar w Londynie zamroził powietrze w ciało stałe, bezbarwne i przezroczyste, nie mógł wszakże rozstrzygnąć, czy stałe to ciało jest galaretą, utworzoną z zakrzepłego azotu, który zawiera tlen w stanie ciekłym, czy też jest to rzeczywiście lód z ciekłego powietrza powstały, w którym zarówno tlen, jak i azot w stanie stałym istnieje.

W r. 1888, skutkiem nieszczęśliwego wypadku, wydarty został przedwcześnie nauce Zygmunt Wróblewski, pozostawiając niedokończoną pracę o wodorze, który ze wszystkich gazów okazał się najoporniejszym, najtrudniejszym do skroplenia, tak dalece, że uważano go nieledwie za jakąś substancję ultragazową, co lotności swej wydrzeć sobie nie dozwoli. Ale i ten najwytrzymalszy, najkrnąbrniejszy z gazów uległ wreszcie, w połowie roku bieżącego, niespożytej wytrwałości profesora Olszewskiego, a tryumf ten na krótko przedtem zapowiedział inny profesor krakowski, p. Władysław Natanson, gdy, zestawivszy znane własności wodoru z własnościami innych, skraplanych już gazów, na podstawie teorii mechanicznej ciepła obliczył, że temperatura krytyczna wodoru przypadać musi w pobliżu — 232°. Bezpośrednie pomiary prof. Olszewskiego, przeprowadzone przy pomocy metod odpowiednio obmyślonych, potwierdziły te przewidywania, punktem bowiem krytycznym okazała się temperatura — 234°. Pod zwykłym ciśnieniem atmosferycznym skroplony wodór wrze w temperaturze — 243°, gdy zaś ciśnienie to ulega zmniejszeniu, temperatura wodoru wrzącego opadać może aż do 152 stopni niżej zera.—Skropleniem wodoru długa ta walka nie wyczerpała się wszakże jeszcze, niespodzianie bowiem wystąpił zapaśnik nowy, od niego bardziej uparty. Jest to gaz niedawno odkryty na ziemi, chociaż istnienie jego na słońcu dawniej już zdradziła analiza spektralna i stąd też dano mu nazwę „helium”. Otrzymałą z Londynu drobną próbkę tego gazu poddał profesor Olszewski znanym nam już torturom, ale dotąd wytrzymał on je dzielnie i skroplić się nie dozwolił. Gdy zaś po oziębieniu go do 215 stopni zimna i silnem uciśnięciu dozwolono mu nagle się rozszerzyć, temperatura jego spadła do 265 niżej zera. Jest to więc najniższa dotąd osiągnięta temperatura, a jeżeli przypomnimy sobie wyżej określony punkt zera bezwzględnego, widzimy, że jest ona o ośm zaledwie stopni od tego kresu wszelkiego ciepła oddalona. O czem więc nikt niedawno ma-

rzyć nie mógł, — odsłania się już możliwość dostępu aż do tego punktu krańcowego, który w teorii ciepła ma tak wybitne znaczenie.

Nie potrzebujemy dodawać, że badania te wymagają starannych i ścisłych bardzo pomiarów temperatury, pomimo trudności, jakie się tu nastroczą. Służą do celu tego termometry gazowe, a przede wszystkim termometry napełnione wodorem, gaz ten bowiem najtrudniej się skrapla, a stąd zmiany jego objętości i prężności najwierniej bieg temperatury oddają. Do temperatur najniższych trzeba będzie może zastąpić wodór przez helium, który okazuje się bardziej jeszcze do typu gazu doskonałego zbliżonym. Dobre usługi oddają też termometry elektryczne, polegające na tejże zasadzie, co i pyrometry elektryczne. Winny one być dosyć czułe, by mogły oznaczać temperaturę takiego nawet zjawiska, które przelotną tylko trwa chwilę.

Tak znaczne udoskonalenie techniki otrzymywania znacznego zimna otworzyło nowe zupełnie pole badań, dozwoliło dochodzić, jak zachowują się ciała poddane wpływowi zimna, tak znacznie przekraczającego zwykle warunki przyrody ziemskiej, jakim zmianom ulegają własności ich fizyczne, jak w nich procesy chemiczne przebiegają. Badaniami temi zajął się zwłaszcza p. Raul Pictet, który się z Genewy przeniósł do Berlina i tam pracownię założył.

Badaniom w temperaturach najniższych stanęła na zawadzie przeszkoda, jakiej nie przewidywano. Okazało się mianowicie, że niepodobna wtedy powstrzymać dopływu ciepła z zewnątrz; najgrubsze nawet ściany, z nieprzewodników utworzone, do przestrzeni tak oziębionej doprowadzają ciepło, jak metale w temperaturach zwykłych. Już i przy 200 jednak stopniach niżej zera zachodzą objawy, świadczące o zaniku wszelkiej energii, wszelkiego ruchu; materya zamiera z wolna, działalność jej ginie, ustają objawy chemiczne. Substancje, które w warunkach zwykłych gwałtownie się między sobą łączą, tracą tę dążność w nadmiernem zimnie i spoczywają obok siebie bezwładne. Wiadomo, jak chciwie wiąże się kwas siarczany z sodą gryzącą; gdy go wszakże zmieszano z sodą w temperaturze — 125°, obie te substancje pozostały względem siebie zupełnie obojętne; iskra elektryczna nie zdołała ich do wzajemnego połączenia znglić. Lód nawet metaliczny, który w warunkach zwykłych rozkłada wodę, pozostaje obojętnym zupełnie wobec kwasu siarczanego w temperaturze niższej od — 85°.

Nie zadawalniając się poddaniem wpływowi zimna ciał martwych, rozszerzył Pictet zakres swych poszukiwań i do istot żyjących. W tym

celu umieszczał on zwierzęta badane w „studni oziębionej”, chroniąc je od bezpośredniego zetknięcia się z zimnemi ścianami. Dotknięcie ściany takiej sprowadza bolesne bardzo „oparzenie zimnem”; kropla powietrza skroplonego, gdy na ciało pada, sprowadza rany bardzo złośliwe, trudno dające się zagoić. Tkanki przemarzłe tracą władzę odradzania się, jakby z części nadmiernie oziębianych życie zupełnie się usuwało.

Nie będziemy wszakże dalej zatrzymywać uwagi czytelnika opisem badań, rozpoczętych ledwie. Pojmujemy łatwo, jaką doniosłość mieć mogą dla dalszego rozwoju wiedzy przyrodniczej. Na obrazie Matejki, sławny alchemik, Sędziwój, bryłę złota z ognia wydobywa. Obraz ten symbolizować może w ogólności przymierze chemika z ogniem, ogień bowiem był zawsze pomocnikiem jego, gdy starał się ciała przeobrażać, rozkładać, łączyć. Podsyczał żar ognia, by jak najwyższą osiągnąć temperaturę. Teraz dopiero od strony wręcz przeciwej, w dziedzinie temperatur najniższych, otwały się dlań widoki nowe, które mu nowe zjawiska, nowe prawdy odsłaniają.

STANISŁAW KRAMSZYK.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Tadeusz Wojciechowski „O Piaście i piastie“. Kraków, 1895. (Stron. 51).

W przedmowie autor powiadamia czytelnika, że niniejsza jego rozprawa jest przygodną. Przy pracy i poszukiwaniach za innymi sprawami i osobami, pr. Wojciechowski napotkał w źródłach dwunastego i trzynastego wieku kilkakrotne wzmianki o urzędnikach dworskich, których ówczesna łacina nazywała *paedagogus*, albo *nutritor*. Na pytanie, jaka mogła być polska nazwa tych dygnitarzy, nasuwała się odpowiedź: że mogli nazywać się piastami. Rezultat też powyższej rozprawy jest, pod względem logicznym, wnioskiem, opartym na dwóch premissach: 1) że nie było imienia osobowego Piasta, 2) że był wysoki urząd piastów; skąd wynikało: 3) że ojciec Ziemowita, a raczej on sam, t. j. Ziemowit, zanim objął panowanie, był wprzód Piastem poprzedniego księcia.

Ojciec, dziad i pradziad Mieszka I, zdaniem p-ra Wojciechowskiego, to przedmioty historyczne, o których można słusznie rozumieć, że są z osoby i z imienia całkiem pewne. Ale inaczej rzecz się ma z czwartym protoplastą Mieszka, którego nie tak łatwo poczytać za osobę historyczną, skoro do jego imienia przyczepiły się podania treści mitologicznej. Podanie o Piaście przechowało się w dwóch postaciach: w starszej a krótszej—w kronice Galla, i w młodszej, a z przy-

mnożoną treścią, w tak zwanej kronice Wielkopolskiej. Później dopiero powstały transformacje podania: że Piast był bartnikiem, albo kłodziejem, a jako curiosum, warto przytoczyć, że i żydzi polscy obrobili to podanie na swój sposób.

Co szczególnie utrudniało i odstręczało od historycznego traktowania materiału, zawartego w tych podaniach, to nie tyle owo cudowne rozmnożenie pokarmu i napojów w domu Piasta, co jako cud, zdawało się, iż można po prostu usunąć na bok, ile ów tak mocno uwydatniony fakt: że ojciec książąt i królów polskich, i to nie tak bardzo odległy, był biednym chłopkiem—pauper pauperculus agricola. Piast w każdym razie panował w czasie, który w dziejach narodów słowiańskich już jest lepiej oświetlonym. Wszędzie dokoła narody słowiańskie miały już wtedy dziedziczne dynastye, a obok nich i szlachtę, mniejsza o to, jakim imieniem nazwaną, ale także dziedziczną. Kto zaś wtedy był chłopkiem, był przedewszystkiem czymś chłopkiem. Umiał orać i odprawiać różne służby, ale czy władał jakąkolwiek bronią, jest to rzecz co najmniej wątpliwa. Otóż, żeby owa szlachta miała sobie obierać panem i księciem, t. j. najwyższym sędzią i wojewodą, chłopka, a tem był Ziemowit, tak samo jak Piast, sprzeciwia się to wręcz wszystkiemu, co nauka wydobyła ze źródeł, jako wiedzę historyczną o stanie społecznym ówczesnych narodów słowiańskich. U Obotrytów, Lutyków, Czechów, Morawian i Chorwatów taki wypadek około roku 870 byłby wprost niemożliwym. Zaczem i w Polsce, chociaż brak świadectw źródłowych, niepodobna przypuszczać, aby Ziemowit, czy jego ojciec, miał być z chłopka księciem.

Nie mniejszą trudność sprawia też samo imię Piasta. Słownik języka polskiego podaje wyrazy: piastować, piastun, pieścić, które pochodzą z pierwiastka pit=nutrire, curare. Imię osobowe Piast zostało-by tedy w związku z czasownikiem piastować. Tylko, że oprócz imienia ojca Ziemowita, niema w Polsce i w całej Słowiańszczyźnie żadnego śladu, aby ktokolwiek nazywał się kiedy Piastem. Dziwna rzecz, ile było dynastyi, zawsze chętnie powtarzano i uznawano w potomkach głośne imiona przodków. Co więcej, w naszych podaniach mamy Leszków, drugiego i trzeciego, nawet Krakusa drugiego. Tylko w dynastyi Piastów nie powtórzyło się imię Piasta. Prócz tego, nazwy: piast (tłuczek) i piasta (kołowa) przeniesione na ludzi, nie były imionami osobowemi, a tylko przezwiskami. W dalszem pokoleniu osób tak przezwanym, przezwisko mogło się stać dziedzicznym nazwiskiem rodowem, ale nigdy nie mogło być imieniem. Wynika z tego wszystkiego, że imienia osobowego Piasta—chyba nie było.

Zeby jednak nie zostawić w tej sprawie żadnej wątpliwości, pr. Wojciechowski rozważył tę rzecz jeszcze z innej strony. Nie jedno

ślęca, imię jego zdaniem, zaginęło bez wspomnienia, ale przechowały się po takich imionach ślady w nazwach miejscowych, o ile wytworzonych z imion osobowych. Otóż istnieją wprawdzie wsie z nazwą Piastowo, ale nazwa powyższa jest albo poprostu reminiscencyą historyczną, wymyśloną przez jakiegoś późnego właściciela tej wsi na cześć praojca królów polskich, albo pochodzi od rzeczownika—piasek. Istnieje jednak Piastów w powiecie radomskim i Piastowo na Mazurach, oraz Piaszczyce w powiecie Noworadomskim, w których to trzech nazwach tkwi niewątpliwie źródłosłów—piast. Nazwy powyższe mogły mieć znaczenie podobne, jak np. Komorowo, Podstołowo, Koniuszyce, Podstolice i t. p. Bo z kolei nasuwa się pytanie: czy nie można było być piastem, tak jak można było być podstolim, koniuszym i t. p.

W źródłach XII i XIII wieku są wzmianki o urzędnikach dworskich, zwanych pedagogami albo nutrytorami; jaka zaś była polska nazwa tego urzędu, o tem niema wiadomości źródłowej. P-rowi Wojciechowskiemu udało się zebrać siedmiu dostojników tego tytułu, t. j. pięciu z trzynastego, a dwóch z początku dwunastego i z końca jedenastego wieku. Powodem i genezą pedagogii musiało być pierwotnie wychowanie małoletnich książąt, co też wskazuje sama nazwa urzędu. Nie trzeba jednak myśleć, że „paedagogus“ był nauczycielem w ścisłym znaczeniu, t. j. takim, który uczył czytać i pisać. Takiego nazwano-by magister i musiał-by być klerykiem, tymczasem pedagogowie - nutrytorzy byli laikami i mieli urzędowe wysokie znaczenie. W XI wieku urząd powyższy miał znaczenie i zakres władzy o wiele obszerniejszy, niż w wieku XIII. Ale najważniejszy fakt, o jakim tu może być mowa, jest ten, że w r. 1103, kiedy Bolesław Krzywousty miał już lat 19 i był żonatym, a od roku panującym księciem, że wtedy miał jeszcze pedagoga i, co więcej, że tym pedagogiem był nie kto inny, jak znany i głośny Skarbimir.

Skarbimir objął pedagogię po Wojśławie, ale otrzymał ją już w innych warunkach. Wojśław był bowiem pedagogiem-nutrytorem książęcego syna, a Skarbimir panującego księcia. W tej różnicy widzi autor możliwość przypuszczenia, że pedagogia przy panującym księciu łączyła się z komitatem pałacowym w jeden i ten sam urząd. Braknie jednak dowodów o ciągłości urzędu pedagoga między rokiem 1103—1218, czego powodem zdaje się być to, że nasz XII wiek nie miał historyka. Zapytuje też pr. Wojciechowski: jeżeli Wojśław i Skarbimir byli pierwszymi i jedynymi w XII wieku pedagogami-nutrytorami, a po nich dopiero owi z r. 1218, to jakież powód byłby naprzód kreacyi, potem zaniedbania, a w końcu znowuż wskrzeszenia tegoż urzędu? Zaprzeczać więc ciągłości urzędu niema racyi. Ale inna rzecz jest ta, że owi z XIII wieku mieli znaczenie o wiele mniejsze,

niż w XI i XII. To jest fakt historyczny, godzien uwagi, bo widoczna, że ten urząd im głębiej wstecz, tem większe miał znaczenie, i że około roku 900 lub wcześniej przypadł-by okres jego wzrostu i kwitnienia.

Te same urzędy, pod temiż imionami pedagogów-nutrytorów i pod innymi tytułami, wyrażającemi tę samą funkcję i myśl, były w średnich wiekach na dworach wszystkich panujących w Europie, i to zarówno w państwach słowiańskich, jak i germańskich. Wszystkie te godności wyrosły pierwotnie ze sfery domowego życia panujących i z obowiązku służby około ich osoby; a że ta służba przy osobie panującego wyniosła następnie owe sługi na stopień najwyższych urzędników państwowych, to już wynikało z ówczesnego ustroju, kiedy całe państwo zamykało się w obrębie dworu. W Słowiańszczyźnie najmniej danych jest z Czech. Wiadomo tylko o jednym pedagogu, który zginął w roku 1100 na wojnie. Prawdopodobnie było ich więcej, tylko monarchowie czescy przeszkadzali wczesnie rozrostowi takich urzędów, które mogły być niebezpieczne dla tronu. Za to w księstwach ruskich widać cały szereg takich dygnitarzy, pod tytułem: kormilec, diadia, detko. U Chorwatów ten sam urzędnik dworski nazywał się dziadem, a na dworze gospodarów wołoskich była godność pod tytułem: pitar, wielki pitar; pierwiastkiem zaś tej nazwy jest pit=nutrire.

W dawnej Polsce były trzy elementy, z których złożyła się władza tych potężnych dostojników, a raczej były to trzy okresy rozwoju. W pierwszym okresie był pedagog-nutrytor zwierzchnikiem nad dworem książęcym i zapewne już wtedy zwyczajnie grodzdziejczą gnieźnińskim; w drugim postąpił na „komesa pałacu królewskiego“ i objął szerszą władzę nad skarbem, juryzdykcyą i nad rozdawnictwem urzędów w całym Królestwie; a w trzecim okresie objął nadto jeszcze wojewodziństwo, t. j. ducatum exercitus, czyli principatum militiae. Od początku trzynastego wieku komitat pałacowy zaczął podupadać. Było to wynikiem, naprzód—wzrostu znaczenia innych wielmożów, t. j. biskupów, a następnie, skutkiem rozdziału monarchii na dzielnice, gdy czterech lub pięciu palatynów nie mogło mieć takiego znaczenia, jakie miał przedtem jeden.

Chodzi więc przede wszystkim o to, jaka mogła być polska nazwa tych dostojników, których łacina dwunastego i trzynastego wieku nazywała pedagogami i nutrytorami. Palatinus, a tak samo i castellanus, to byli urzęduicy, jakby dziś powiedziano, polityczni, a tytuły ich przejęte z łaciny; ale inna rzecz ci dygnitarze, którzy obsługiwali osobę panującego księcia. O tych mniema pr. Wojciechowski, że byli w Polsce dawniejszymi, niż tamci, i że musieli mieć własne nazwy polskie, starsze, niż epoka zetknięcia się polszczyzny z łaciną. Bo cho-

ciażby i przyznać, że nazwy: łowczy, podkomorzy, skarbnik i t. p., były po prostu naśladownictwem i tłómaczeniem łacińskich: venator, subcamerarius, thesaurarius etc, to przecież stolnik nie jest tłómaczeniem dapifera i wydaje się być z tego powodu prastarym w Polsce tytułem. A właśnie chodziło-by o to, czy nutritor nie był stolnikiem? Istnieją dwa wypadki usprawiedliwiające przypuszczenie, że nutritor mógł być stolnikiem, ale czemuże był, czyli jak się nazywał po polsku paedagogus? Pr. Wojciechowski utrzymuje, że nazywał się piastem.

Wyraz—piastun istnieje we wszystkich językach słowiańskich, a nadto udzielił się litewszczyźnie i madyarszczyźnie, co w każdym razie dowodzi wieku i dawności tego wyrazu. W języku staropolskim wyraz piastun może nie oznaczał piastującego, lecz piastowanego w znaczeniu biernem; gdy tymczasem słowo piast było całym i skończonym wyrazem. Skoro zaś nie było Piastów tego imienia, przeto ojciec Ziemowita chyba był piastem, czyli pedagogiem. W tak odległych czasach i przy tak szczupłym zasobie źródeł, dość będzie, zdaniem p-ra Wojciechowskiego, jeżeli potrafi uczynić prawdopodobnem, że paedagogus nazywał się kiedyś po polsku piastem i że ojciec Ziemowita mógł być takim pedagogiem. Można też powołać się na to, że taki urząd, jak piastowniczy, dowodził sam przez się systematu urzędów mało rozwiniętego i odpowiadał właśnie początkom organizmu państwowego. Wytłómaczyć: po co i kiedy ustanowiono taki urząd? autor się nie podejmuje i oświadcza zarazem, że nie zdołał-by również wykazać, dla czego potomkowie Ziemowita zezwolili na dalsze trwanie urzędu, tylekroć dla nich następnie niebezpiecznego.

Jest jeszcze jeden szkopał—chłopskie pochodzenie Ziemowitowego ojca. Biedny chłopiek nie mógł dostąpić wysokiego urzędu piasta, a gdyby go dostąpił, toć musiał-by mieć jakieś własne imię osobowe. Protoplasta dynastji nie mógł być bezimiennym. Baśń jednak o biednym i miłosiernym, a za gościnność cudownie nagrodzonym gospodarzu, jest rzeczą prastarą, bo spólną aryjską; a więc o wiele wieków dawniejszą, niż czas, w którym żył ojciec Ziemowita. Cudowne rozmnożenie pokarmu i napoju, udzielane przez gości pielgrzymów, oczywiście bogów, to także prastary i spójny mit ludów nietylko aryjskich i semickich, ale podobno wszystkich na świecie! Piast należy też niewątpliwie do mitologii polskiej, ale w sferze mityczno-społecznej nie był ani bogiem, ani półbogiem, tylko pospolitym śmiertelnikiem.

Jakże wytłómaczyć jednak ten fakt, że prastara baśń aryjska przyczepiła się do ojca Ziemowita, t. j. do człowieka żyjącego w drugiej połowie dziewiątego wieku po Chrystusie. Zdaniem autora, jedynem i najprostszem wyjaśnieniem faktu przyczepienia jest to, że bohater baśni nazywał się Piastem, a ojciec Ziemowita był piastem. Co

więcej, razem z tem usuwa się też owa trudność chłopskiego pochodzenia. Cudowne rozmnożenie pokarmu i napoju, nagroda za miłosierzną gościnność, nie mogła mieć miejsca gdzieindziej, jak tylko w domu człowieka biednego. Cud taki, dokonany w domu bogacza, nie miałby sensu. Piast baśniowy musiał być biednym chłopkiem; ale i ojciec Ziemowita musiał nim być także, od chwili, kiedy baśń o Piaście przyczepiła się do jego osoby.

Bajka o myszach, co zjadły Popiela, to także prastara i spólna aryjska baśń i przedmiot rozległych badań. Autor nie widzi tylko podstawy do upatrywania w Popielu elementu mitologicznego, gdyż jest w nim pewien pierwiastek realny i historyczny, jakiego właśnie nie było u Piasta. Jest nim dobre, t. j. stwierdzone imię osobowe, a następnie też nazwisko rodowe, znane w Polsce, na Rusi i w Czechach.

Nareszcie miejsce właściwe Piasta, jako rataja księżęcego, było gdziekolwiek na jakiejś wsi księżęcej, przy roli, a nie w podegrodziu, gdzie stały dwory szlacheckie. Ale ojciec Ziemowita jeżeli był piastem, to nietylko mógł, ale i powinien był mieszkać na podegrodziu gnieźnieńskim i musiał tam mieć swój dwór. Następnie, jeżeli ojciec Ziemowita był piastem, a z urzędu mieszkał na podegrodziu gnieźnieńskim, oczywiście we własnym dworze, to obecność księcia przy uroczystości rodzinnej w domu wysokiego dygnitarza nie przedstawia nic takiego, czego-by w połowie dziewiątego wieku nie można przyjąć za fakt realny.

Pr. Wojciechowski wyraża też swe mniemanie, że tradycya o Piaście i Ziemowicie sformowała się zaraz w dziewiątym i dziesiątym wieku, t. j. w stu latach między Ziemowitem a Mieszkiem, i że już była gotową przed przyjęciem chrześcijaństwa, skoro tak znacznie uwzględniła akt postrzyżyn. Taką gotową tradycyę usłyszał Gallus i przejął do kroniki, jako rzecz, o której już wszyscy wiedzieli i w której prawdziwość wierzyli. Autor wszakże przypuszcza, że Gallus wiedział, jaką drogą Piastowie dostąpili tronu, i że sprawy nie poszły tak gładko i bogobojnie, jak to opowiedziano w tradycyi. Gallus wiedział o wielu rzeczach, nierównie więcej, niż to, co napisał; ale nie śmiał pisać wszystkiego, bo w średnich wiekach los autora mógł być straszny, a dzieło zniszczonem. Pisano tedy bardzo oględnie, a Gallus, historyk sumienny i nierad prawdy chować pod korzec, radził sobie w taki sposób, że w wypadkach drażliwych, chociaż ich całkiem nie dotknął, to jednakże wtrącił w ich miejsce takie zwroty stylistyczne, iż czytelnik mógł się domyślić, że tam jeszcze było coś więcej. Wobec tego, ktoś wie, czy owa stylizacya: Semovit filius Past Chosisconis, sprzeczna z poprzedniem Past filius Chosisconis, nie była umyślnym błędem, t. j. skazówką dla czytelnika.

Jakkolwiek pr. Wojciechowski nazwał swą rozprawę o Piaście i piąście przygodną, poruszył w niej jednak sprawę niezmiernie dla dziejów Polski ważną, a z powodu odległej epoki i suchych źródeł, zawiłą i trudną. Hipotezę swą poparł autor niezwykłą erudycją i głębokiem wyrozumieniem pierwotnych dziejów, nie tylko całej słowiańszczyzny, ale i powszechnych. Autorowi nie tajemni były niebezpieczeństwa, towarzyszące zazwyczaj hipotezom, i dla tego też trzymał silnie wyobraźnię na wodzy, nie dając się ludzi pozornymi prawdopodobieństwami. Rozumowanie p-ra Wojciechowskiego jest zawsze silne swą logiką i gruntowną znajomością źródeł naszych i obcych. Czy jego hipoteza zyska w nauce trwałe prawo obywatelstwa, o tem sprawozdawca przesądzać nie może, ale bez względu na ten ostateczny rezultat, studjum p-ra Wojciechowskiego o Piaście i piąście, nie przestanie mieć dla nauki naszej pierwszorzędnego znaczenia i zdobędzie sobie uznanie niespożyte swem wzorowem opracowaniem i rozległą wiedzą.

A. R.

„Janka”. Powieść współczesna Gabryeli Zapolskiej. Dwa tomy. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1895 r.

Od pierwszego niemal występu swego na polu pisarskiem, objawiała autorka „Kaśki Karjatydy“ bałwochwalczą dla francuskich kierunków literackich na dobre admiracyę, w połączeniu z wielką na krzywdy i uposledzenie społeczne „maluczkich“ wrażliwością. Admiracya ta i wrażliwość, to znamienne cechy jej pióra, cechy w świeżo wydanej, dwutomowej „Jance“, jaskrawiej jeszcze, niż w którymkolwiek z dotychczasowych utworów jej, występujące, tak jaskrawo, że doprawdy powieść ta wielu ustępami wprost tłómaczonej robi wrażenie.

Bo wyznać trzeba: admiracyę dla obcych wzorów posunęła pani Zapolska daleko po-za granice dozwolonego, a miarkowanego rozumną krytyką przyswajania ich sobie, zaś altruistyczną wrażliwość do takich rozwinęła rozmiarów, że się w kosmopolitycznej, międzynarodowej, wszechświatowej rozplęnęła miłości bliźniego. Następstwem tego z jednej strony: przeciwna duchowi języka naszego i naturze maniera, wykręcająca talent znaczny tej autorki prawie do karykatury, a niedozwalająca mu zrozumiałe dla nas w całej rozwinięciem pełni i sile,—z drugiej zatracenie pierwiastku swojskiego u samych podstaw jego i źró-

dła. I tędy i owędy — bezwzględna dla literatury *naszej* strata — dla powszechnej zaś chyba zysk nie wielki.

Po-za tem wszakże „Janka“, to powieść z niejednego względu ciekawa: nie bajką, ta bowiem na ostatnim w niej stoi planie, nie manierą, która jedynie uczuciem niesmaku przejmuje, ale owym altruizmem, podszewką nie już mistycyzmu, ale okultyzmu podbitym—bo na widocznem stosowaniu teoryi spirytystycznych z lekką przymieszką hypnozy i magnetycznej sugestyi wspartym, ale tą wyraźną chętką stworzenia, czy naśladowania tylko, rodzaju impresyonizmu literackiego, a raczej językowego, usiłującego niemal żywcem „plamy“ malarzkie piórem i słowem oddawać i wprowadzić je, jako takie, do literatury.

Wzorując się na obcych, kosztem rodzimej oryginalności własnej, p. Zapolska nie zaległa pola. Naturalizm, któremu ongi hołdowała z zapalem, w ostatniej książce jej widnieje już tylko w stanie szczątkowym, tu i owdzie słabemi przebijając się błyskami, nabytą manierą, rodzajem nawyknienia, a na miejscu jego najnowsze występują kierunki paryskie, a występują, przyznać należy, tym razem, może dla tego, że zbierane na gruncie, mniej od dawnych powierzchownie, zewnętrznie, i nie „przedrzeźnianiem“ są już tylko rzeczy, ale wniknięciem w jej istotę.

Janka, to wcielenie spirytystycznego dogmatu: dusza czyli duch, oczyszczający się pod naciskiem bólów i przeciwności życiowych, i hartujący niby stal w ogniu, aż do zupełnego niemal zerwania pęt cielesnych na sobie, w zaparciu się sięgający prawie owych wyżyn abnegacyi, „na jaką duch najwięcej już wydoskonalony i najbliższy powrotu do swego pierwiastku (wedle wierzeń spirytystycznych, duchem tym—Chrystus. *Przyp. sprawozdawcy*) zdobyć się zdołał“.

Córka Podolskiego, zamieszkałego w Warszawie, po wydzierżawieniu majątku, jednego z owych satrapów ukraińskich, dziś może już tylko z powieści znanych, co to życie na szczuciu zajęcy po stepie trawia, a po-za splendorem rodu swego i herbu nic i nikogo nie uznają. Janka ani wychowaniem, a raczej zupełnym brakiem wychowania, ani antecedenjami, nie przedstawiała materiału podatnego zamiarom autorki. Przeciwnie, nawykła za przykładem rodzica pomiatać ludźmi, w egoistycznym wyzyskiwaniu życia widzieć cel jego, naturalnym biegiem rzeczy do zgoła innych przygotowaną była przeznaczeń, i inne były-by ją zapewne spotkały, gdyby — gdyby, zahypnotyzowana poprostu z woli p. Zapolskiej, nie była uległa sugestyi ducha wielce wyszlachetnionego już i wypotężniałego, w wątlę, marnem ciele Jana Kuniewicza wzięonego.

Kuniewicz, korepetytor jej brata, widmo to zaledwie człowieka, altruista jakiś zaciekły, który, jakkolwiek przez cały ciąg powieści nic dla bliźnich nie robi, a nad książkami jeno ślęczy i ciało poskramia, miłością jednak bliźniego nie żyje, ale oddycha. Wpływ jego na Jankę nadzwyczajny, chęćka zbiera rzecz, nadprzyrodzony — zbliżanie się jego dziewczyna po przez mury i ściany odczuwa, życzeniom jego, jak hypnotycznej sugestyi, ulega i miłuje go, miłuje, choć bez cienia wzajemności, z psiem, zwierzęcem poddaniem się i bezwolą. Po przeczytaniu paru książek, wypożyczonych jej przez młodzieńca-ducha, po kilku z nim rozmowach, w czasie których jak nieludzkie maltretował ją stworzenie, Janka, ten ciasny, nieokrzesany umysł, zaniedbanej i lekceważonej w domu ukraińskiego satrapy, dziewczyny, jako córki tylko, nic nie przynoszącej rodowi i nazwisku, nagle przejmuje się poczuciem i samowiedzą godności własnej do tego stopnia, że, gdy ojciec w celu wydania jej za męż, na balach bywać jej każe i zebraniach towarzyskich, oburzona dołą towaru na sprzedaż, samodzielności żądna i pracy, porzuca potajemnie ojca i rodzinę i, za Kuniewiczem zawsze, który tam dla studyów wyjechał właśnie, ucieka do Paryża.

Jeżeli do tej pory „ukraińska bodaj głupota“ Podolskiego stanowiła pierwiastek swojski tej powieści „duchów“, to z chwilą wyjazdu Janki do Paryża międzynarodowieje do reszty. Bohaterka jej, to już tylko dane medyum, błakające się dokoła hypnotyzera swego, hypnotyzera, działającego na nie bezwiednie, mimowolnie, bo Kuniewicz w istocie rzeczy niczem nie upoważnił czepiającej się go ciałem i duszą dziewczyny do jakiegokolwiek roszczenia sobie praw do niego z jej strony. Co prawda duch ten o tyle czasem, ale bardzo rzadko, cielesnej podlegał władzy, że oto raz w Warszawie jeszcze, w czasie jednej z nią schadzek, nagle ni stąd ni zowąd, uczoną przerywając rozprawę, „kazał“ się Jance pocałować; a później w Paryżu już, niespodziewanie także namiętami obsypał ją pieszczotami: ale to były jeno chwile słabości, po których wstydem się palił, uciekał między książki, „poskramiał“ się dalej i ani mu na myśl nie przyszło, jemu, kapłanowi miłości bliźniego i obowiązku, że i zapominania się takie — obowiązywać mogą. Zresztą nie rozumiał on Janki, ani się w położeniu jej orientował, uważając ją zawsze za kapryśną, zamożną, światową pannę, która ot bawiła się w samodzielność i altruizm.

Ani się też oglądał na nią, podczas gdy ona, samej sobie na bruku paryskim zostawiona, zwolna, w miarę wyczerpywania się funduszu, przywiezionego z sobą, staczała się po szczeblach nędzy aż do ostatnich jej granic, tułając się wreszcie po przytułkach noclegowych, a nawet przez policyę wraz z ladacznicami, włóczącemi się po norach więziona. I otworzyły się wreszcie oczy Kuniewiczowi, ale za późno,

gdy bowiem w steranej do ostateczności dziewczynie ducha w końcu bratniego dojrzał, sam, pracą i niewygodami zżarty, pada ofiarą przesadnej ciała pogardy i umiera w szpitalu.

Jankę, obłąkaną prawie z bólu, zamyka policya w zakładzie dla waryatów, skąd ją uwalnia ojciec, ale po to tylko, by ją dalej we własnym domu, niby waryatkę, więzić. Wreszcie po śmierci ojca i brata, a wstąpieniu siostry do klasztoru, odzyskuje wolność, a wraz z nią i możliwość rozpoczęcia życia pełnego czynu i poświęceń, zgodnego z nabytymi w ciężkich przejściach wierzeniami; albowiem: „nietylko ustrój społeczny ułożył się teraz przed nią w widoczne i namacalne kręgi, ale i to, co się nazywa popularnie „wiarą“, zaczęło nabierać w jej umyśle pewnych zdecydowanych form i cieni. Zrozumiała, że pierwszym czynnikiem zewnętrznego i wewnętrznego świata powinna być harmonia... odczuła i zrozumiała dwoistość, a nawet troistość (!) swej istoty... pojęła, że tylko od doskonałej harmonii tych trzech (!) istot, z których dwie były silnie zaznaczone, a trzecia (!) nie zaprzeczenie istniejąca, zależy możliwość różnej egzystencji na powierzchni świata... w ten sposób wytworzyła sobie kodeks moralności, polegający głównie na tem, aby nie przynosić szkody i krzywdy innym i nie torturować własnej duszy, każąc jej iść w służbę i wymagania ciała... nawzajem rozumiała, że ciało nie może być umartwione i tyranizowane przez duszę, bo w ten sposób powstanie ciągła walka i udręczenie, rozerwanie harmonii w dyssonans... i że udoskonalenie ducha pozostać musi na ostatnim planie, zaniedbane i odsunięte w przyszłość i w tej przyszłości w innych formach (!) całą pracę podjąć musi“.

Nie zastanawiając się tu nad „zrozumiałością przeciętną“ i „niezaprzeczalnością“ wyników, do jakich „chrzest nędzy“ doprowadził bohaterkę powieści, przyznać należy, że chrztu samego dopełniła na niej utalentowana ręka. Stopniowe opadanie Janki w coraz skąpiej wyposażone warstwy wielkomięskiej ludności wykazuje w autorce nie powierzchowną tylko warstw tych znajomość, a naszkicowane tu po drodze figury tryskają życiem i prawdą.

Powiodło się też p. Zapolskiej zupełnie przeprowadzenie przewodniej myśli, wyzwalania się potęgi ducha pod naciskiem bijących w ciało przeciwności, a przeobrażanie się powolne namiętnej, ciekawej zrazu miłości Janki dla Kuniewicza, w idealne ukochanie bliźniego, wydaje się czytelnikowi procesem, psychologicznie zupełnie normalnym. Powstanie tylko tej miłości w pierwszej jej fazie budzi niedowierzanie, a owa nadprzyrodzoność wpływu korepetytora-ducha na zdrową nerwowo dziewczynę, hypnotyczną sugestją motymowana, nie

zadawalnia. Najslabiej to w książce opracowany moment, jeżeli nie słabszą jeszcze jest postać cudaczna Kuniewicza, widziadło jakieś chorobliwe, a tak w rysunku mętne, że aż chwilami karykaturalne. To tylko wytwór bujnej a skłonnej do przechwycań i przesady wyobraźni autorki. Być może, że tak Janka nawet, jak i Kuniewicz, pozostawieni na gruncie warszawskim, mniej „prądami nowemi“ przenikniętym, wyraźniej byli-by się nam zarysowali i zrozumiałej, pierwsza zaś, między swoimi ucząc się miłości bliźniego, łacniej-by się jej może wyczyla.

Pozostaje mi jeszcze słówko rzec o „impresyonizmie“ językowym p. Zapolskiej i upodobaniach jej stylowych, jakże niekiedy cudacznych! Pierwszego dwa jaskrawe spotykamy między innymi przykłady w opisie ogni sztucznych i niebieskiego umeblowania pokoju, zajmowanego na razie przez Jankę w Paryżu. Czego tam te kolory i światła, mające niby to podnosić nastrój scen, rozgrywających się na ich tle, nie wyprawiają — i jak wręcz przeciwny założeniu odnoszą skutek. Jaka ona nieujęta i niepojęta ta chociaż-by np. zwykła sobie blond czupryna Kuniewicza, która, dzięki autorskiej żylce dopatrywania się wszędzie plam i refleksów, wszystkich bywa kolejno, jeżeli nie jednocześnie, kolorów tęczy, ani razu jednak, choć wspomniana często na przestrzeni dwóch tomów, pod naturalną swoją nie występuje barwą. Jeżeli autorka przypuszcza, że procederem tym utrwała w umyśle widza dany obraz lub postać i plastyczniejszemi je czyni, to się z gruntu myli. „Orgie“ te, „kaskady“, czy „farandole“ i „sarabandy“ plam barw, tonów, światła i cieni, samo słońce zamazać byłyby w stanie. Używane nadmiernie prowadzą przytem do najniewłaściwszych porównań, jak np. placu przed dworcem paryskim do łanu zboża.

A cóż tu rzec o owych „smutnych bucikach“, „spojrzeniach ko-uajających ryb“, „całych grobach smutku“, „rękach kobiety drżących i płonących, jak spłoszony i oslepy od ognia ptak“, „lila fularach, drapujących się ze skromną impertynencyą“, „klejnotach familijnych, z córki na matkę egoistyczną falą płynących, w jasnym blasku sali balowej, piekielną tańczących sarabandę“, „płwocinach suchotnika, zieleniejących tajemniczemi szmaragdami w spluwacze na złotej pościeli trocin“ i t. d., i t. d., i t. d.

Upodobanie do określeń: *brutalny, mistyczny, fatalny i doskonały* doprowadza autorkę do zupełnie niewłaściwego, czasem nawet przeciwnego znaczeniu, ich użycia, bo co np. *brutalnego* może być w podobieństwie syna do ojca? — i do powtarzania ich wraz z *orgią, kaskadą, farandolą i sarabandą*, tak upornego, że się ku nim w końcu nienawiścią czy-

tełnik przejmując, że rad-by je raz na zawsze ze wszelkich wykreslić słowników.

A wszystko to naleciałości, płynące z niekrytycznej admiracyi dla obcych wzorów, bezmyślnego ich nieledwie przedrzeźniania, wzorów, dla których, doprawdy, kosztem talentu swego tyle już p. Zapolska ofiar poniosła, że zwrót ku swojskim, także na admiracyę zasługującym, byłby chyba na czasie.

W. KARCZEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W ciągu miesiąca, który upłynął od ostatniej naszej „kroniki”, wypadki na Wschodzie rozwijały się szybko. Cztery tygodnie temu zadawano sobie pytanie, czy Porta zgodzi się lub nie zgodzi na zaprowadzenie reform w Armenii, i cały wysiłek ambasadorów skierowany był do tego, aby przyzwolnie na niej wymusić. Dziś mówi się przede wszystkim o zapobieżeniu wojnie, a reformy, na które się sułtan zgodził, zeszyły chwilowo na dalsze plany. Tu i owdzie dają się nawet słyszeć głosy, i to z ust, które do niedawna były innego zdania, że wogóle Turcyja nie może wprowadzać reform bez poważnego dla siebie niebezpieczeństwa, i że należy przestać nalegać na nią, jeśli się nie chce stosunków wschodnich popchnąć do ostatniego zamętu. Są to głosy zniechęcenia, świadczące, że w opinii publicznej Europy zaczyna się reakcyja przeciwko polityce czynnej opieki nad Turcyją. Gdyby nie interwencya, mówią zniechęceni, nie było-by wszystkich obecnych zakłóceń i mocarstwa nie potrzebowały-by obawiać się o utrzymanie pokoju. Popełnionego błędu odrobić niepodobna; ale można nie dodawać do niego nowych błędów, i — zostawić odtąd Turcyję samej sobie.

Czy jednak mocarstwa naprawdę popełniły błąd, występując z interwencyą, i czy one-to mają ponosić odpowiedzialność za raptowne wejście spraw wschodnich w fazę niebezpieczną? Sądzimy, że tak nie jest. Nie było błędu w interwencyi; owszem, wynikała ona z myśli zarówno uczciwej, jak mądrej.

Armeńczykom należały się reformy, które dla nich wymówił traktat berliński, i na które od lat siedmnastu czekali napróżno, widząc w losie swoim, zamiast poprawy, pogorszenie. Z drugiej strony reform potrzebuje państwo tureckie nie tylko w Armenii, ale na całym swym terytorium, jeżeli ma zyskać warunki trwałego na przyszłość istnienia. Turcja ma prawdziwie rozbójniczą administrację, wyzyskującą ludność materialnie, według widzimisię urzędników skarbowych i innych. Ma armię zacofaną, finanse w stanie oplakany, szkół nie posiada, nie posiada też przemysłu. Co się tyczy usposobienia ludności po prowincjach, to dość jest przypomnieć, że po traktacie berlińskim była Turcja widownią całego szeregu powstań. Oderwała się od niej Rumelia Wschodnia, było powstanie na Krecie, powstanie w Macedonii, teraz powstanie w Armenii, rozruchy w Syrii, gdzie napastują się wzajemnie plemiona i wyznania. A wszystko to, pomimo faktu, że Anglia ulżyła Turcyi kłopotu opiekowania się Egiptem, opanowując go militarnie. Doradzać takiemu państwu reformy wewnętrzne, jest to wskazywać mu jedyną drogę, na której może ono szukać ratunku. Bo jeśli kraj jakiś żyje w zacofaniu i nieładzie, ale ludność jego nie tęskni do innych form bytu i jest zadowolona, nikt nie ma prawa narzucać owemu krajowi form doskonalszych, lub grozić mu zagładą za to, że nie czyni zadość wyższym potrzebom, których nie odczuwa. Jeśli jednak to zacofanie utrzymuje formy, które się stały wstrętnymi masom ludności, jeśli skutkiem zastoju i nadużyć ludność po prowincjach przejmuje się duchem separatyzmu i zaczyna myśleć o oderwaniu się od państwa, jeśli powstania i rozruchy wybuchają kolejno w różnych zakątkach państwa, to wówczas kwestya reform przybiera inną postać. Wchodzi ona w zakres spraw międzynarodowych własną siłą, choćby mocarstwa postronne nie knuły wcale planów zaborczych. Kwestyę rozpadnięcia się państwa mogą wywołać wewnętrzne zaburzenia, a wraz z nią kwestyę podziału.

Takie właśnie stosunki panują w Turcyi i wobec nich państwa europejskie miały słuszną zasadę do porzucenia roli obojętnych widzów. Formalne prawo interwencji dawał im art. 61 traktatu berlińskiego; moralną pobudkę czerpały nie w samej chciwości, może nawet wcale nie w chciwości, ale raczej w poczuciu niebezpieczeństwa, jakim grozi turecki zamęt wewnętrzny, z którego może się sama wytworzyć i sama narzucić kwestya podziału Turcyi, prawdziwie już dla pokoju europejskiego groźna.

Powtórzamy tedy, że mocarstwa postąpiły uczciwie i rozumnie, interweniując. Dla czego jednak ta ich inicjatywa, zamiast zażegnać niebezpieczeństwa, wprowadzić ład, umocnić spokój, pogorszyła tylko sytuację do tego stopnia, że już dziś ci i owi żałują interwencji? Wi-

na za to spada całym ciężarem na Turcyę. Inaczej mogą mówić tylko ci, którzy Turcyę uważają za całkiem już nieodpowiedzialną, czyli za niezdolną do panowania nad zjawiskami swego życia wewnętrznego. Ci jednak nie zdają sobie sprawy, że przyjęcie takiej zasady „niepo-czytalności” politycznej Turcyi było-by właściwie wyrokiem zagłady na nią, nie zaś tarczą przeciwko obcym. Jeśli ten rząd nie panuje nad zdarzeniami, tedy zdarzenia będą nad nim panowały, tedy nie może na niego liczyć ani ludność miejscowa dla zaspokojenia swych życzeń, ani zagranica dla utrzymania pokoju, który jest niezbędnym warunkiem zarówno międzynarodowych stosunków handlowych, jak samego istnienia państwa. Byłby to wyrok niedołęstwa, kiedy od każdego rządu wymagana jest zaradność; wyrok chwiejności, kiedy pożądana jest moc i stałość. Byłby to przytem wyrok koniecznej a nieustającej interwencji. Bo jeśli rząd turecki naprawdę jest tylko błędem widmem rządu, niezdolnym do sprostania trudnościom; to przy każdym zaburzeniu wewnętrznem, przy każdym kłopotcie finansowym, tem bardziej przy każdym powstaniu prowincjonalnem, mocarstwa, przekonane, że Turcyja porządku nie przywróci, musiały-by same interweniować, jeśli-by nie chciały pozwolić rozwijać się anarchii, która-by mogła to państwo rozsadzić.

Otóż mocarstwa nie przyjmują takiego poglądu i słusznie. Uważają one rząd turecki za zdolny do utrzymywania porządku, gdyby chciał, do zaprowadzenia reform, gdyby ich pragnął, względnie za obowiązany do tego. Mechanizm administracyjny turecki jest przestarzałym, ale zapewnia rządowi dużą władzę i dostateczną swobodę kierowania ruchami życia. Mocarstwa wiedziały o tem i zażądały, aby z tej swobody i z tej władzy Turcyja zrobiła użytek. Ona, zamiast posłuchać rady, która jej interes, nawet jej byt własny, miała na względzie, zaczęła się opierać. Naprzód sprzeciwiała się reformom. Potem pozwoliła rozruchom rozwijać się, nie poskramiając ich z energią, na jaką ją było stać. Była w tem postępowaniu oczywista zła wola; Turcyja chciała przerazić mocarstwa skutkami ich interwencji, przypuszczając, że uda się jej wmówić w świat, iż były to rzeczywiście skutki interwencji. Tymczasem były to w znacznym stopniu skutki rozmyślnej taktyki rządu tureckiego. Pozornie udała się ona Turcyi, ale tylko pozornie. Mocarstwa, stanąwszy wobec zarzewia wojny domowej, istotnie zaprzestały na chwilę naciskać Portę o reformy. Ta przerwa jednak jest chwilową i wynikła z konieczności porozumienia się między gabinetami. Chodziło o to, żeby się upewnić, iż nikt w tym zamęcie na własną rękę nie będzie szukał korzyści ze szkodą innych. Porozumienie to nastąpiło, a z niem rozpoczął się nowy okres kwestyi tureckiej, w którym pokaże się, że Turcyja nie na swoim manewrze nie zyskała. Przez

jakiś czas będzie ona pozostawiona sama sobie. Jeśli poskromi zamieszki wewnętrzne, mocarstwa niezawodnie ponowią żądanie reform, zawsze jednakowo umotywowane. Gdyby zaś Turcja i wówczas jeszcze chciała się im sprzeciwiać, wtedy dopiero przyjdzie na stół pytanie, czy rzeczywiście rząd turecki, jeśli nie przez brak siły, to przez zaślepienie, nie powinien być zakwalifikowany, jako niepoczytalny politycznie, a więc dojrzały do formalnej kurateli nad sobą ze strony Europy. Turcja więc ma przed sobą alternatywę, że albo uspokoi zamieszki, które rozpętała, i weźmie się szczerze do reform, przy czym pokaże się, że krew wycoczona i łzy wylane nie przyniosły pożytku nawet przewrotnym wyrachowaniom ministrów Sultana, którzy nie chcieli reform; albo też narazi się na nieuniknioną kuratelę europejską, która była-by wstępem do rozbioru tego państwa. Pierwsze wyda się niezawodnie złem mniejszem nawet fanatykom starotureckim, o ile fanatyzm nie pozbawił ich zupełnie władzy logicznego myślenia.

Interwencja mocarstw zatem nie tylko nie była złą, ale nie była też bezowocną, pomimo odmienne pozory. Z głębokich przyczyn powstawszy, do ważnych też prowadzi następstw. Chwilowa przerwa w akcji dyplomatycznej faktu tego nie zmienia. Przeciwnie, potwierdza go raczej. Nacisk na Portę rozpoczęła Anglia. Nie chcąc jej zostawić samej, przyłączyły się do niej Rosya i Francya. Potem prócz tych trzech państw zgłosiły się jeszcze trzy pozostałe z liczby podpisanych na traktacie berlińskim. Wobec wyrosłych raptem komplikacji, mocarstwa przedewszystkiem spojrzały po sobie, chcąc się upewnić, czy wszystkie mają jednakowo pokojowe zamiary i czy które nie nosi się myślą wyławiania dla siebie osobno ryb z mętnej wody. Nabraly przekonania, że nie, zwłaszcza od chwili, kiedy lord Salisbury w mowie publicznej stwierdził zupełną solidarność wszystkich państw i wskazał ją, jako zadatek utrzymania pokoju. Pragnąc to przekonanie oprzeć na podstawach zupełnej pewności, gabinet austriacko-węgierski wystąpił nawet z propozycją formalnego układu. Wniósł mianowicie hr. Gołuchowski projekt, aby mocarstwa przyjęły dwa następujące punkta: 1) nikt nie będzie występował wobec Porty na własną rękę, 2) mocarstwa będą interweniowały, ale zbiorowo, po uprzednim zgodnem porozumieniu się. Projekt ten doznał w zasadzie przyjęcia o tyle dobrego, że można odtąd być pewnym solidarnej akcji mocarstw. Choćby nawet nie związały się one wyraźną umową, powiedziały sobie jednak, że w istocie mają mocne postanowienie trzymania się zasad, wyluszczonej w projekcie gabinetu austriacko-węgierskiego. Z chwilą, kiedy to nastąpiło, Europa staje się pewną samej siebie, co daje na razie wystarczającą rękojmię pokoju. Co się tyczy przyszłości, to albo Turcja z dobrej woli weźmie się szczerze do dzieła reformy i w takim

razie niebezpieczeństwo zakłóceń wschodnich, dziś chwilowo zażegnane, zniknęło-by może na czas dłuższy; albo też Europa będzie się musiała zająć sprawą urzędzenia Turcyi, przeciwko jej woli, zagnana siłą zdarzeń, które sprawę tę narzuca. W tym wypadku sytuacja stała-by się znowu niebezpieczną, i mocarstwa, dla uniknięcia zatargów między sobą, musiały-by się zdobyć na większe jeszcze, niż dziś, umiarkowanie i powściągliwość. Czy się wszystkie na nie zdobędą? Może nie wszystkie będą mogły, choćby nawet wszystkie chciały. Ale to już jest kwestya przyszłości. Na dziś z wypadków, które nam się przewinęły w ostatnim miesiącu przed oczyma, można wyprowadzić dwa praktyczne wnioski: a) że obecnych zamieszek wschodnich winna jest Porta sama, a nie mocarstwa; b) że koniecznym warunkiem skutecznego nacisku na Portę jest uprzednie porozumienie się między mocarstwami. Byłby jeszcze może i trzeci, ale ten podajemy — bez nacisku. Mianowicie z przebiegu wypadków widać, iż Porta nie ma jasnego pojęcia, ani o niebezpieczeństwach, jakie jej grożą, ani o obowiązkach, jakie na niej ciąży, i że mocarstwa nie unikną konieczności zbiorowego rządzenia nią naprzód, potem zaś zbiorowego rozstrzygnięcia o jej losach. Kwestya wschodnia dojrzewa.

We Francyi nastąpiła tymczasem zmiana ministeryum. Gabinet Ribot'a został obalony, na jego miejsce przyszedł gabinet Bourgeois, złożony wyłącznie z radykalistów, pomimo, że ci nie mają w izbie większości. Wydaje się to anomalią. Dlaczego Francją ma rządzić ministeryum radykalne, jeśli większość w parlamencie posiadają umiarkowani? Dlatego, chciało-by się powiedzieć, że umiarkowani nie umieją prowadzić polityki. Ale przytem okoliczności złożyły się w sposób przyjaźny dla radykalistów. Gabinet Ribot'a upadł pod *ich* ciosami. Zarzucili mu brak gorliwości w wykryciu szachrajstw parlamentarnych i zgrupowali około siebie większość. Skoro zaś ministeryum poprzednie upadło za sprawą radykalistów, prezydent rzeczypospolitej miał zasadę do ofiarowania im władzy. Ich rzeczą było przyjąć propozycję lub odrzucić. Zdecydowali się przyjąć, licząc, że skupianie około siebie większości będzie im się udawało nadal tak samo, jak w dniu, kiedy obalili Ribot'a.

Dzienniki umiarkowane ostrzegają ich, że się srodze na swojej rachubie zawiodą i że dnie gabinetu radykalnego są policzone. Mimo to jakoś istnieje on, i w istocie potrafił już raz uzyskać większość przy głosowaniu w izbie. Może mu się to udać jeszcze raz, albo nawet jeszcze wiele razy. Ale radykalistom nie chodziło o długie istnienie. Pragnęli spróbować szczęścia, rzucić program, usunąć, jeśli czas pozwoli, pewną liczbę zachowawczych, a mianować pewną liczbę radyka-

lnych prefektów i innych urzędników. Pragnęli słowem złożyć przed krajem egzamin gotowości do rządzenia Francją i tym sposobem przygotować sobie grunt do wystąpienia podczas przyszłych wyborów, nie jako krzykliwa frakcja opozycyjna, ale jako dojrzałe stronnictwo. To jest w ich inicjatywie ważnem i to też spełni się niezależnie od czasu trwania gabinetu radykalnego. Po upadku t. zw. „koncentracji republikańskiej”, t. j. koalicji środka izby z radykalną lewicą, nieuniknionem było przejście do systemu rządzenia przez gabinety jednolite. Do tego potrzeba było sformowania się przynajmniej dwóch grup i przeciwstawnych dwóch programów. Powiedzielibyśmy nawet, że organizacja umiarkowanych była utrudnioną, dopóki nie zorganizowali się radykaliści. Dziś już pójdzie ona gładziej. Po niedalekim prawdopodobnie upadku gabinetu p. Bourgeois, powstanie gabinet umiarkowany, i teraz większość będzie go zapewne inaczej trochę popierała, niż miała zwyczaj dawniej. Dawniej umiarkowani zachowywali się względem radykalnych tak, jakby to mogli być jutrzejsi sprzymierzeńcy; teraz wiedzą, że są to tak dobrze dzisiejsi, jak jutrzejsi, przeciwnicy. Sprzymierzeńcami radykalistów są socjaliści. Naturalniejszy i właściwszy to dla nich związek, niż z zachowawcami. Ci ostatni jednak, dostawszy obecnie jakby pogładową lekcję braterstwa między radykalizmem i socjalizmem, będą zmuszeni zdecydować się na jawne wywieszenie sztandaru zachowawczego, który dotychczas zbyt często ukrywali za plecami swoich radykalnych pseudo-przyjaciół, jakby sztandar ów był rzeczą, z którą niema się co chwalić przed krajem.

Z tego punktu widzenia uważane, zjawienie się gabinetu radykalnego jest znakiem ciekawej ewolucji w pojęciach politycznych. O jej przyszłości w praktyce życia rozstrzygną wyborcy francuscy. To, co dziś widzimy, jest zaledwie przygotowaniem i wstępem. Po ustąpieniu gabinetu Bourgeois, umiarkowani mogą do końca trwania obecnego parlamentu trzymać się przy władzy. Zachodzi pytanie, jak będzie złożony przyszły parlament. Gdyby się miał składać z wielu drobnych grup, mniej więcej równej siły, polityka zasad musiała-by znowu ustąpić miejsca polityce koalicji. Tem ważniejszym jest wczesne rozwinięcie sztandarów i rzucenie hasel, aby kraj miał czas zastanowić się nad swoją decyzją. Radykaliści dali początek.

O polityce zagranicznej nowego gabinetu mówić nie chcemy, na-przód dlatego, że nie będzie zapewne miał czasu prowadzić jej, powtóre, że w głównych zarysach gabinet ten przyjął politykę zagraniczną poprzedniego. Jak gdyby nie przywiązywał wagi do tego wydziału, p. Bourgeois powierzył jego zarząd chemikowi Berthelotowi. Prawda zresztą, że fachowi dyplomaci, między którymi niema radykalistów, nie

chcieli wstępować do tego gabinetu. Radykalizm wyrosł już porządnie, ale jeszcze nie do tego stopnia, żeby miał gotowych ministrów spraw zagranicznych. Z czasem i do tego przyjść może. Godzi się zresztą zanotować, że gabinet Bourgeois miał zamiar nie zatwierdzić traktatu madagaskarskiego, ustanawiającego protektorat nad wyspą, lecz wystąpić z projektem zupełnej aneksyi. Zdaje się wszakże, że p. Bourgeois będzie z tą sprawą roztropnie zwlekał, tak, żeby rozstrzygnięcie jej zostawić swojemu następcy.

W Wiedniu wre zacięta walka między rządem i antysemitami. Cesarz nie zatwierdził wyboru dra Luegera na burmistrza. Gdy pomimo to rada ponownie wybrała Luegera, namiestnik rozwiązał ją natychmiast. Antysemita z tego powodu kilkakrotnie atakowali rząd w radzie państwa, bardzo gwałtownie, często bardzo brutalnie. Rezultat wszakże tych ataków był dla gabinetu Badeniego raczej pomyślny, niż szkodliwy. Skandaliczne zachowanie się antysemitów zgrupowało około gabinetu trzy stronnictwa: lewicę, klub Hohenwarta i koło galicyjskie. Pozycja gabinetu jest wzmocnioną. Z dotychczasowego przebiegu starcia można wyprowadzić wniosek, że po przyszłych wyborach antysemita mogą nie wrócić do rady miasta równie silni, jak z niej teraz wyszli. Rząd zresztą ostatecznie zwycięży w tem starciu dopiero wtedy, kiedy przyszła rada, pierwsza lub następna, obierze innego, niż dra Luegera, burmistrzem. Pessymiści wprowadzić nie bardzo wierzą, aby to było możliwe; ale od tego są pesymistami, aby widzieli stosunki w kolorach czarniejszych, niż potrzeba.

Jesień w całej pełni jest jednocześnie okresem podniecenia życia publicznego, które się u nas ogniskuje we wszelkich instytucjach, przedstawicielkach spraw ekonomicznych i społecznych całego kraju.

Po długich feryach odżyły one i napełniły się gwarem, kwestye zaś, o których prawie zapominano przez lato, znowu wyszły na porządek dzienny, a jednocześnie powstały nowe wnioski i projekty. Nie ufając notatkom reporterskim, przedstawiającym rzeczy bądź niedokładnie, bądź tylko blahe szczegóły, chętnie i z ciekawością spieszymy zwykle do tych sal, ażeby się osobiście przysłuchać rozprawom, rozważaniu potrzeb wszelkich i sprawozdaniom z rezultatów pracy.

W ukryciu, pod grubą zasłoną przed wzrokiem ludzkim i pod skrzydłami Towarzystwa przemysłu i handlu, nasze kobiety fachowe rozpoczęły swoją pracę wspólną. Z początku narobiło to wrzawy; piętnaście przedstawicielek spraw niewieścich na gruncie ekonomicznym zapisało się do sekcji rzemiosł, ażeby tym sposobem utorować drogę innym do cechów. Taki nagły ruch, udział białogłowy w posie-

dzeniach publicznych, jej głośna przemowa żywym słowem w obronie potrzeb towarzyszek, wszystko to wywołało wymianę zdań i najróżnorodniejsze wnioski wśród płci „opiekuńczej“. Jedni pomrukiwali znaczące: „no, no!“, drudzy wołali z przerażeniem: „emancypacya!“; inni wreszcie widzieli w tem naiwny poryw do czynu tych, które nie wiedzą, co ze swym czasem zrobić. Najmniej patrzyło na to, jak się patrzy na działalność garstki czy grupy ludzi w interesie dobra powszechnego. Przyjęto więc w ogóle te zabiegi z niedowierzaniem i drwiąco, a pan starszy zgromadzenia krawieckiego otworzył podwoje cechu protekcyjnalnie i powitał kandydatki na mistrzynię i podmistrzynię wyniosłą perorą.

Potem wszystko ucichło. Wiedzieliśmy, że istnieje jakaś „delegacya pracy kobiet“, że *coś* ona robi i zbiera się na posiedzenia, ale... przy drzwiach zamkniętych, ze względów może i słusznych: chodziło im o swobodną wymianę zdań i dyskusję, czego, jako niedoświadczone i nieprzyzwyczajone do tego rodzaju występów publicznych, nie mogłyby czynić wobec wielu świadków, szczególnie płci męskiej; „trema“ odebrała-by im głos, ze szkodą, być może, ogólnych interesów. Kto wie, czy w tem wszystkiem nie kryła się inna, bardzo słuszna przyczyna: obawa przed szyderstwem, które mogło-by im odebrać wszelką chęć do pracy. Krzątały się więc skromnie i cicho, a dopiero po roku i ośmiu miesiącach, w chwili obecnej, ogłosiły w sekcji rzemieślniczej rezultaty swych zabiegów za pośrednictwem sprawozdania p. Bojanowskiej.

Okazuje się, że czasu daremnie nie traciły, że zrobiły wszystko, co się dało zrobić. Prawda, że przez cały ten czas pracowały głównie na gruncie teoretycznym, badały prądy i dążenia u nas w zakresie zawodowego łączenia się kobiet, starały się przedstawić sobie ogólny obraz warunków ich pracy; ale przecież to jest niezbędny początek roboty, wszakże przede wszystkim chodziło o uświadomienie ogółu kobiet o znaczeniu łącznej pracy na polu ekonomicznem; o wykazanie, o ile u nas ma rację przystępowanie rzesz niewieścich do cechów, lub też tworzenie kas ze składek 7-mio-kopiejkowych, z których mają kiedyś urosnąć miliony. Dobrze też zrobiły uczestniczki, że się postarały najpierw zapoznać z dotyczącymi ich paragrafami ustawy cechowej z roku 1816. Dzięki temu przyszły one do przekonania, że mają prawo: ująć w karby naukę fachową, udzielać pomocy szkolnej, zabezpieczać zarobkodawców i pracownice od samowolnej przerwy w robocie; udzielać pomocy chorym i podupadłym członkom zgromadzenia, współdziałać w rozwoju rzemiosła. Nadto ustawa daje możność tworzenia kas wzajemnej pomocy, gospód i biura rekomendacyi pracy. Przykłady zaś niektórych cechów świadczą, że możliwe jest wprowadzenie różnych uzupełnień w zakresie administracyi.

Są u nas trzy kategorie rękodzielniczek: 1) uprawiające wyłącznie, lub przeważnie jakąś gałąź rzemiosła, np. haft, szycie bielizny, kwieciarstwo; 2) pracujące bardzo nielicznie w danej gałęzi, np. w szewstwie, introligatorstwie i t. d.; wreszcie specjalistki, wykonywające jakąś część roboty, np. szwaczki rękawiczek, obszywaczki w szewctwie. Otóż pierwsze mogą swój odrębny cech utworzyć, drugie zaś i trzecie powinny się przyłączyć do innych i składki wносить do kasy ogólnej. Wobec tego należało tylko rozwinąć stosowną działalność, ażeby kobiety zachęcić do takiego skupiania się, tudzież nakłonić cechy do gościnności. Jakoż cech krawiecki przyjął ich najwięcej: rękawicznicy ofiarował swą gotowość, kwiecarki zaś chcą stworzyć własną grupę. Ale nie na tem kończy się praca przygotowawcza delegacyi. Poruszyła ona wiele spraw szerszych, wysunęła na jaw ważne potrzeby, wymagające szybkiego uregulowania. Tak np. położono nacisk na znaczenie praktyki handlowej dla kobiet. „Wydział damski” przy Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie już nieco tej sprawy dotknął i wyjaśnił, że kobiety są bardzo często doskonałemi buchhalterkami, ale złemi ekspedyentkami. Starano się więc po tem wyświetleniu bardzo żarliwie o otworzeniu praktyki handlowej pracownicom w firmach poważnych, ale ich „powaga” jest tak wielka, że mogły tylko... odmówić.

Jednocześnie z tem nasuwa się inna bardzo ważna potrzeba, jako podstawa uzdolnienia kobiety fachowej — ułatwienie nauki elementarnej dla dziewcząt sklepowych. I nad tem radzi wspólnie ów wydział damski z delegacją. Dotąd wszakże nic konkretnego w tej mierze niema. Bardzo piękną jest myśl urządzenia kursów niedzielnych dla dziewcząt w lokalu jakiej szkoły, tudzież rozszerzenia nauki rękodzielnictwa w małych miasteczkach, gdzie dziewczęta najczęściej zajmują się nieprodukcyjną robotą szydełkową, wymagającą pewnych wydatków i tym sposobem nie przynoszą żadnego pożytku, lecz są często ciężarem dla rodziny. Otóż delegacja niewieścia wynalazła w Warszawie fabrykę wełnianych i półwełnianych ubrań dziecięcych, która podobno bardzo chętnie chce dawać dziewczętom robotę po za obrębem zakładu za pośrednictwem specjalistek godnych zaufania, nawet w promieniu kilkomiłowym. Mogły-by owe pracownice zarabiać od 50 do 60 kop. dziennie, i to dodajmy, w warunkach względnej niezależności i pewnej wygody, bo w domu.

Tym sposobem delegacja, obok pracy wszechstronnej, podjętej dla wyświetlenia i następnie polepszenia warunków pracy kobiet, od razu zajęła stanowisko niejako pośredniczki w dawaniu pracy i, że tak powiem, prostowaniu jej dróg. Nie małą zasługą w tej mierze, jakkolwiek w skromnych dotąd rozmiarach, jest wyszukiwanie zajęć dla

szwaczek na wsi podczas lata. Pod tym względem pośrednictwo owego kółka kobiet najwyraźniej się zaznaczyło i prawdopodobnie z każdym rokiem będzie przynosić coraz obfitsze owoce.

Nie podobna nam w tem miejscu rozwodzić się szeroko nad usiłowaniami i zabiegami delegacyi. Dodajmy jeszcze, że stara się ona między innymi zorganizować spółkę wytwórczyń wiejskich na podstawach jak najracjonalniejszych, że dąży ku temu, ażeby odciągnąć kobiety od tych pól pracy, które są zanadto przepełnione, wyczerpują siły, dają mały zarobek, a natomiast skierować na mało lub wcale nieuprawiane; że usiłuje, wedle ustawy, stworzyć wykłady przystępne dla rzesz niewieścich, zajętych pracą fachową, a będzienny widzieli wyraźne cele tej instytucyi, lekceważonej na samym wstępie przez sceptyków różnego rodzaju. Wiele, bodaj najwięcej, jest w tem zasługi p. Kuczalskiej-Reinschmit, niezmordowanej bojowniczkii unormowania i polepszenia bytu naszych kobiet pracujących. Miejmy nadzieję, że to jest początek ogniska, które skupi interesy naszych rzesz niewieścich, sprzedających swoją pracę za bezcen, lub same siebie na rynkach małżeńskich. To, cośmy usłyszeli na posiedzeniu sekcyi rzemiosł, daje nam powód do słów uznania i zachęty naszych kobiet. Oby tylko im i wytrwania starczyło!

Za pośrednictwem tej samej sekcyi wybiega na szerszą widownię publiczną sprawa szkolnictwa zawodowego, która tem większego znaczenia nabiera w chwili obecnej, że, dzięki wezwaniu komitetu przyszłej wystawy w Niżnym Nowogrodzie, nadarza się sposobność nowych zabiegów około urzeczywistnienia wielu potrzeb w tej mierze. Już dawniej, skoro tylko ogłoszono ustawę nowych zakładów, Zarząd naszego oddziału Towarzystwa przemysłu i handlu wskazał następujące typy szkół, najpotrzebniejsze dla Królestwa Polskiego: 1) elementarne ogólne, uzupełniające wykształcenie fachowe, (mechaniczne, chemiczne, budowlane i rzemiosł „szyjących”); 2) estetyczne, dopełniające poprzednie rysunkiem wyższym. Według wskazówek p. kuratora, dostateczny byłby dla Królestwa szereg następujących uczelni: w Warszawie: szkoła połączona średnia i niższa techniczna z działami: mechanicznym, chemicznym i budowlanym; przy szkole miejskiej lub Konarskiego — rzemieślnicza z oddziałem wyrobów metalowych i drewnianych. Po-za tem tak zwana inicjatywa prywatna nie powinna być krępowana w zakładaniu szkół z oddziałami niższych rzemiosł. Ponieważ dla rozszerzenia powyższego wniosku, urzędowo wymagano zdania i wskazówek osób obeznanych z potrzebami oświaty fachowej u nas, więc przedstawiciele kilku sekcyi tutejszego Towarzystwa wybiegli po-za Warszawę i w ten sposób streścili potrzeby prowincyi: szkoły niż-

sze techniczne z jednym tylko oddziałem mechanicznym: w Kaliszu, Płocku, Łomży, Lublinie, a w Częstochowie z dwoma oddziałami: mechanicznym i chemicznym. Nadto dla pewnych ognisk przemysłu drobnego w celu odpowiedniego wykształcenia robotników z ludności miejskiej i wiejskiej, choćby w najniższych i najtańszych szkołach, pożądane byłyby w Kielcach lub Chęcinach: szkoła rzemieślnicza specjalna z kierunkiem kamieniarsko-snycerskim, w Zduńskiej Woli lub Pabianicach i Maryampolu z kierunkiem tkackim, w Sokołowie lub Garwolinie z kierunkiem garbarsko-kożuszniczym, w Ćmielowie lub Iłży — ceramiczno-garbarska, w Zwoleniu — stolarsko-modelarska, w Ostrołęce — stolarsko-snycerska, w Częstochowie z kierunkiem galanterii metalowej, w Augustowie — koszykarska. Nadto, jako w kraju rolniczym, pożądane są choć dwie szkoły rolnicze średnie, jedna w Łowiczu, druga w Nowej Aleksandryi. Wreszcie ze względu, że kandydaci do zakładów niższych technicznych powinni wedle programu skończyć przynajmniej dwie klasy szkół miejskich lub wiejskich, należałoby powiększyć dotąd niedostateczną ilość tych uczelni.

Nadmienimy, że w Warszawie daje się dotkliwie odczuwać brak szkół dla terminatorów rzemieślniczych; że, wedle spisu, nadesłanego magistratowi przez urzędy starszych, (przed paru laty) miasto nasze liczy ogółem terminatorów cechowych 11,000, raport zaś inspektora rządowego wykazuje, że uczęszcza i uczęszczać może do szkół tylko 2,500 uczniów. Ponieważ w ogólnej liczbie terminatorów jest 1500 takich, którzy ukończyli szkoły początkowe jeszcze przed wstąpieniem do terminu, lub którzy chodzą do szkół krawców i szewców, — więc najmniej 7000 chłopców jest pozbawionych nauki elementarnej. Wynika to podobno z braku funduszków. Magistrat na tę katagoryę oświaty wydaje rocznie tylko 15,700 rs. (na jedną klasę 366). Jest to suma zbyt skromna, ażeby mogła zaspokoić istotne potrzeby. Należy więc szukać pomocy bezpośrednio u władzy ministeryalnej. Pamiętamy, iż był projekt użytkowania szkół rządowych i prywatnych w niedziele i wieczorem w dniu powszednie, że do nauczania mieli być powołani nauczyciele tych zakładów. Myśl ta wszakże rozplynęła się w mgłę, przystaniającej wszelkie dobre usiłowania.

W tej samej mgłę utonęła spółka ziemiańska, która w początkach roku bieżącego o mało się nie zawiązała i o mało nie wzięła w swoje ręce handlu bydłem rzeźnym. Niezawodnie przyszłoby do tego, gdyby nie takie przeszkody, jak brak odpowiednich środków, wiedzy i sił do walczenia ze współzawodnikiem w postaci dobrze zorganizowanego monopolu. Nie dopuszcza on śmiazków postronnych, a wrazie oporu, gniecie i rozbija ich ekonomicznie. To też dziwić się nie można, że

rolnicy nasi dotychczas nie odważyli się na walkę zbiorową z tym niebezpiecznym i wszechwładnym wyzyskiwaczem. Dopiero obecnie sprawa ta wchodzi w nowy okres... zabiegów, płynących z magistratu. Powołał on przedstawicieli sekcji rolnej, handlowej i rzemieślniczej do stworzenia osobnej delegacji, która ma w swem łonie ludzi świadomych rzeczy, posiadających szerokie stosunki i wpływy. Dążyć oni mają wszelkimi siłami do zwalczania monopolistów, którzy z jednej tylko Warszawy podobno wysysają piętnaście milionów rubli rocznie. Otóż zorganizowani przeciwnicy będą się starać o bezpośrednie zbliżenie hodowców ze spożywcami. Chodzi tylko teraz o bagatelkę: wyszukanie tych hodowców. Wszak produkcya bydła rzeźnego wymaga wielkich nakładów, doświadczenia i rozwoju przedsiębiorstwa na szeroką skalę. Jak wiadomo, dotąd produkt ten czerpiemy z bogatych stron stepowych, a owi afferzyści, wysysający miliony, to nie hodowcy, lecz zwyczajni skupowacze. O ileż więc będą mieli trudniejszą od nich rolę nasi ziemianie! Muszą oni i wytwarzać, i handlować, i urządzać rzeźnie centralne w Warszawie, tudzież innych miastach. Na to za mało nie tylko dziesiątków, ale setek tysięcy rs., do tego trzeba temperamentu, śmiałości i zasobów amerykańskich, t. j. tego wszystkiego, czego nasi rolnicy nawet w małej części nie posiadają. Nie idzie za tem, żeby nie mieli oni dążyć ku temu, oczywiście nie wyłącznie własnymi siłami. I oto znówu wypada nam zaznaczyć, cośmy mówili w przeszłej kronice o przemyśle chmielarskim: przedsiębiorczość ziemiańska powinna się wzmocnić żywiołem innym, energicznym i zasobnym. To też bardzośmy radzi, że i sami interesowani przychodzą do tego przekonania, że i prezes Towarzystwa przemysłu i handlu, p. Kiślański, kreśląc żywym słowem przyszłą spółkę, przepowiada jej powodzenie tylko wtedy, gdy do niej prócz ziemian przystąpią np. właściciele cukrowni i wszelkich gorzelni.

Za nim atoli u nas się rozwinię hodowla bydła rzeźnego, warto pomyśleć o zarodowym, które nie rozwija się, lecz zanika coarż bardziej od chwili zniesienia wystaw, — ważnego bodźca w tej mierze. Wobec braku środków nie podobna myśleć obecnie o ich wskrzeszeniu, gdyż koszt urządzenia znacznie powiększa konieczność wnoszenia i rozbierania za każdym razem budynków na placu. Interesowani wpadli na bardzo praktyczną myśl stworzenia w Warszawie stałych jarmarków na inwentarz zarodowy, które będą również dobrym bodźcem do hodowli. W takim razie wzniesione budowle już pozostaną na zawsze, a przynajmniej na długo. Istnieje już i fundusz — 20,000 rs., ale największa trudność — to wyjednanie placu odpowiedniego. Upatrzone jeden z nich za Łazienkami i rozpoczęto rokowania z przedstawicielem ministerjum dworu. Życzyć należy jak najpomyślniejsze-

go załatwienia tej sprawy, boć takie jarmarki to nie zabawka, lecz jeden ze środków poprawienia bytu ekonomicznego znacznej liczby mieszkańców kraju.

Oczywiście same jarmarki bez wabików nie będą miały powodzenia, więc inicjatorowie pragną urządzić park... dla zabaw. To jest najpospolitszy i zarazem najskuteczniejszy u nas środek ściągnięcia publiczności. Zrozumieli to dobrze organizatorowie wystawy metalowej w lecie, to też dała ona niebywały dochód, kilka tysięcy czystego zysku. Nie martwią się zatem oni, że te tłumy, które tam przeszły koło okazów, śpiesząc co prędzej do ogrodu na zabawę, nie wielkie wyniosły pojęcie o naszym przemyśle żelaznym. Cel w każdym razie osiągnięty: liczni profani, mimowoli i chęci, złożyli sporą sumę, a z wystawy rzetelnie skorzystali specjaliści i te rzesze robotników, którym pozwolono grupami po niższych cenach oglądać owoce wytwórczości naszej w tym dziale.

Komitet wystawy higienicznej, pracujący z gorączką coraz większą, również postawił na głównym planie przynętę. Obok więc poważnych działów, mogących zobrazować warunki i dorobek higieny dzisiejszej, strona dekoracyjna ma być nadzwyczajnie urozmaicona, przy tem będą zapewnione wszelkie udogodnienia dla publiczności, a między innymi również środek u nas nie codzienny — tramwaj elektryczny do samych bram wystawy.

Jednocześnie będzie to próba ulepszonej komunikacji; zastąpi ona później całkowicie w mieście pierwotne tramwaje konne, ku wielkiemu zmartwieniu pewnej garstki ludzi, którzy się boją elektryczności, lub jej niedowierzają. Nie podobne to do wiary, a jednak prawdziwe! Mamy mimowolnych, naiwnych przyjaciół towarzystwa belgijskiego, a nawet — co jeszcze dziwniejsza — uprzejme pisma, które na swych szpaltach drukują absurda, usiłujące w oczach czytelników zniesławić tramwaje elektryczne. Dzięki tym panom, popisującym się z fizycznością... niewiedzą, już dziś wśród ludzi nieświadomych rzeczy krążą straszne wieści o tem, że kolej elektryczna jest niebezpieczna dla przechodniów, że z chwilą jej powstania oniemieją telefony, a gdy jeden tramwaj zatrzyma się, to wszystkie inne staną, jak skamieniałe. Notujemy ten znamieny fakt na schyłku dziewiętnastego stulecia, który, jeżeli się dostanie do przyszłych pokoleń, to jakiś historyk cywilizacji i kultury postawi nas obok epoki Stevensona.

Bieżący miesiąc fatalnym był dla sztuki: w jednym dniu śmierć uszczupliła i tak nieliczne grono poważnych muzyków, zabierając Aleksandra Zarzyckiego, a scenie warszawskiej odebrała ulubionego komika—Adolfa Ostrowskiego.

W Zarzyckim muzyka traci siłę twórczą i oryginalną. Wirtuozem był zmarły pianista dzielny, ale w kompozycji najwybitniej wyraziła się indywidualność artystyczna Zarzyckiego. Szczerłość i prostota natchnienia, to główne jej rysy, cechujące zarówno wykonawcę jak twórcę, oba zaś szły prosto z duszy, która idealne swoje pragnienia tylko u źródeł prawdziwej, wysokiej poezji zaspakajała. Pielęgnowując pieśń ze szczególnem zamilowaniem, Zarzycki był bardzo wybrednym w wyborze tekstu, ale tę wybredność stosował do siebie samego, kiedy poezję na język tonów tłómaczył; z pod jego pióra nie wyszło nigdy nic banalnego i nie umiał też, grając, wypowiedzieć banalnie cudzej myśli; było w tem wszystkim wielkie poszanowanie dla sztuki i dla własnego talentu, a ta powaga scharakteryzowała i człowieka, który wnosił do obcowania z ludźmi te same, co do muzyki, szlachetne pierwiastki głębokiego, lecz skupionego i powściągliwie wyrażającego się, ucznia.

Adolf Ostrowski od roku już przeszło przestał grywać, ulegając zwolna przemocy zabójczej choroby, która go oddawna nurtowała. Jeżeli na kim, to na tym artyście sprawdził się pewnik, że aktor, nie po sobie widocznego, dotykającego, nie zostawiając, za życia często skazany jest na powolne zamieranie w zapomnieniu. *Les absents ont toujours tort!* powiada Francuz, i mógł być spotkać się z tą filozofią Ostrowski, gdyby go niemoc nie była uwięziła w czterech ścianach mieszkania. Tym samym ludziom, którzy parę lat temu oklaskiwali humor artysty, trzeba było w ostatnich czasach przypominać przy sposobności wyborne tego humoru kreacje, których pełne życia niegdyś fizyognomie zaczęły się już zacierać w pamięci publiczności. Humor był najzamienniejszym rysem w charakterystyce talentu Ostrowskiego, który przez soczewkę komizmu chwycił i skupił obrazy życia i kontury ludzi w wrodzonym sobie taktem i poczuciem smaku, chroniąc te wizerunki od karykaturalności. W bogatym jego repertuarze było mnóstwo sylwetek, naszkicowanych przez dowcipnego humorystę, ale znalazły się i malowidła, w których Ostrowski z umiejętnością bystrogo obserwatora pogłębiał rysunek, podkładał koloryt, rozdzielał światła i cienie. Różnica w wykończeniu wynikała z zajmowanego przez Ostrowskiego stanowiska aktora doby przejściowej, na którym artysta skłaniał się bądź do dawnej szkoły z jej dykcją donośną, z jej rozmachem w gestykulacji,—to zuów do nowych kierunków, wprowadzających realizm do słowa i mimiki. Wynikała stąd, na wspólnem tle ży-

wego temperamentu, psychologia albo summaryczna, jak w typach oryginalnego repertuaru w całym szeregu zamaszystych i rubasznych szlachciców, hreczkosiejów, lub też bardziej szczegółowo wykończona, jak w galeryi francuskich mieszczuchów Wiktoryna Sardou. Jedni i drudzy żyli na cenie, a życie im dawała szczerą, rzetelną *vis comica*, którą widz odczuwał za każdym ukazaniem się Ostrowskiego. Cztery-sta ról podobno odegrał Ostrowski od chwili pierwszego występu do ostatecznego usunięcia się z teatru; ale gdyby między nimi były tylko dwie: Fromental z „Safandulów” i nauczyciel tańca z „Nieszczęśliwych”, już-by wystarczyły do postawienia go w rzędzie prawdziwie twórczych artystów.

Wiadomości bibliograficzne.

— „Najnowsze kierunki w nauce gospodarczej.“ Warszawa. Trepte, 1895 (8-ka, str. 193). Przekład d-ra Zofii Daszyńskiej. Książka ta składa się z szeregu odczytów, wygłoszonych r. 1890 w Genewie przez rzeczników różnych szkół ekonomii politycznej. Claudio Janet, profesor Instytutu katolickiego w Paryżu, scharakteryzował poglądy szkoły le Playa i wyłożył zasady, przewodniczące związkowi „pokoju społecznego.“ Karol Gide, profesor ekonomii politycznej w Montpellier, przedstawił doktryny „szkoły nowej.“ Fryderyk Passy nakreślił obraz zasad liberalizmu ekonomicznego. Wszystkie te wykłady odznaczają się przedmiotowością, ale jednocześnie stanowią obronę każdego z kierunków. Szkoła le Playa zarówno jak i liberalna, zakreśliły już jasno swoje granice i zdobyły szereg właściwości znamiennej. Ale szkoła nowa, rozpadająca się na kilka kierunków, ma niemal tyle różnobarwnych odcieni, ilu zwolenników. Nie jest ona—jak powiada Gide—wcieleniem doktryny określonej ze stałym programatem, ale dążnością umysłu, reakcją przeciwko panującej dotąd doktrynie. Do nowej szkoły należą wszyscy ekonomiści, których zaliczyć nie można ani do liberalnej, ani do socjalistycznej, ani do katolickiej. Przy badaniu zjawisk gospodarczych, dawna szkoła zajmowała się tem, co *stale istnieje*, podczas gdy nowa zajmuje się tem, co *się zmienia*. Pierwsza roztrząsała fakta ekonomiczne, instytucje w stanie równowagi stałej w ich stosunkach współistnienia, wpływu wywieranego wzajemnie przez zjawi-

ska. Druga bada te fakta i instytucje w stosunkach ich następstwa, w sposobie, jakim dawne instytucje zwołna przeobrażają się, wytwarzając wreszcie nowe, coraz odrębniejsze od swego punktu wyjścia. Te dwa sposoby pojmowania przeciwstawił z wielką siłą August Comte, jako socyologię *statyczną* i *dynamiczną*. Szkoła dawna oświadcza, że najemnictwo jest instytucją, którą uważać należy za nieodmienną, istniejącą raz na zawsze. Przyjąwszy taki pewnik, bada prawa, rządzące najmem, t. j. stosunki istniejące, które zgodnie z tą teorią zawsze istnieć będą między najemnikami z jednej strony i kapitalistami z drugiej. Szkoła nowa bada zupełnie inaczej. Stara się ona śledzić w ciągu wieków organizację pracy, widzi, że najem w dzisiejszej formie jest tylko procesem końcowym długiego szeregu form różnorodnych, z których najbardziej typowe występują, jako niewolnictwo, poddaństwo i forma korporacyjna. Stąd wniosek, że ta sama ewolucja, która trwała przez wieki, dalszy ciąg mieć będzie w przyszłości, a więc i najem zniknie z kolei, ustąpi miejsca nowym formom, które już się zarysowują, np. systemat współdzielczy.

Wynika stąd, że nie potrzeba łamać głowy nad wynalezieniem prawa, określającego wysokość pracy zarobkowej, gdyż prawa takie nie istnieją, a przynajmniej, że były-by one prawdziwemi tylko dla pewnego momentu, nie mając powszechnego, ani stałego charakteru. Należy więc tylko w każdym kraju starać się o określenie, w jaki sposób i dzięki jakim przyczynom wytworzył się obecny systemat najmu, jaką drogą wynalazek maszyn i otwarcie rynku powszechnego złamały granice cechowe i w pierwszej połowie naszego stulecia sprowadziły okropną niżkę płac zarobkowych. „Wiara w państwo jest ważną cechą szkoły nowej; dalej: wzajemne zlewanie się nauki i sztuki, teoryi i praktyki. Nauka nie daje przepisów, ani nie radzi, tylko tłumaczy zjawiska; kwestya społeczna dla niej nie istnieje, gdyż nic zrobić nie można, jeno pozostawić rzeczy ich własnemu biegowi; przytem odpowiadać na nią nie jest zadaniem ekonomistów, ale raczej polityków, filantropów, wreszcie każdego, kto chce tem się zająć. Było-by również niedorzecznem pytać ekonomistów, w jaki sposób podnieść zarobki, albo wspierać ubogich, jak np. prosić profesora biologii o lekarstwo na tyfus. Szkoła nowa uważa, że roboty jest bardzo dużo, więc należy coś robić, że środki zaradcze leżą najzupełniej w obrębie nauki. Szkołę nową wyróżnia wreszcie od dawnej zupełnie odmienne pojmowanie jednostki, tudzież samego celu życia.

Co do szkoły liberalnej, nie mając miejsca na jej scharakteryzowanie, zacytujemy tylko parę słów jej rzeczownika, Fr. Passy: „Nie sądzę, ażebyśmy kiedykolwiek usunąć mogli w zupełności nędzę, z którą ludzkość walczy, gdyż istnieją klęski, które ją dotykają niewiadomo

dłaczego, i uniknąć się nie dadzą. Istnieje śmierć i żałoba, błędy, występki i winy, sprowadzające z konieczności kary, jako swoje następstwo. Ale sądzę, że możemy coraz bardziej zmniejszać tę nędzę, klęski, cierpienia, zmniejszając błędy i występki. Najpewniejszym sposobem, aby dojść do celu, jest pozostawienie wolnego rozwoju swobodzie, odpowiedzialności osobistej, które są, powtarzam to za Bastiat'em, naszą pobudką, nauczycielem i nagrodą."

Wogóle, wykład wszystkich profesorów, których prace niniejsza książka obejmuje, jest barwny, zajmujący i dosadny.

— *Stanisław Pełza*. „W kraju tysiąca jezior (Z podróży i przechadzek po Finlandyi“). Warszawa, 1896, Gebethner i Wolff. Petersburg, Grendyszyński (8-ka, str. 233). Spora ta książka, osnuta na tle wrażeń z podróży, robi wrażenie wszechstronnej pracy o Finlandyi. Obok spostrzeżeń czysto subiektywnych, przelotnych, obok rozmyślań, znajdujemy opisy położenia kraju, ogólną jego charakterystykę w barwne obrazowanie ubraną, nieco o warunkach materyalnych, o legendach, trochę o literaturze fińskiej. Opowiadania zdobią liczne ilustracje. Autor kończy swoją wielce zajmującą książkę następującym życzeniem: „Oto, by część chociaż tych naszych podróżników, którzy utartymi szlakami podążają rok rocznie na zachód, skierowała się na tę odległą północ po naukę, jak w warunkach od przyrody ciężkich i trudnych można żyć i pracować, szczepiąc z powodzeniem ziarna dobrobytu na niewdzięcznej, skalistej glebie, zmrożonej podmuchem podbiegunowych wiatrów i ściętej przez większą część roku lodem.“

— *Dr Józef Tchórzewski*. „Pilne sprawy higieniczne“ (z zapożyczeń kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, im. d-ra J. Mianowskiego). Warszawa, 1896, (8-ka, str. 259). Książka ta obejmuje szereg artykułów, poświęconych sprawom zdrowotnym. Wskazówki są tem cenniejsze, że autor, lekarz, sam się styka z życiem, bezpośrednio obserwował i obserwuje jego warunki. Między innymi, zwraca on uwagę na takie zjawiska i szczegóły, które dotąd były przez higienistów lekceważone, jak np. warunki sanitarne podróżnych w wagonach, szerzenie chorób za pomocą pieniędzy nieoczyszczonych, higiena świątyni i t. d. P. Tchórzewski, zwolennik leczenia w kraju, dość obszerne mówi o naszych wodach mineralnych, stacyach klimatyczno-leśnych, wykazuje, co zrobić należy, aby zakłady te odpowiadały wszelkim potrzebom i nie zmuszały do wycieczek za granicę. Książka drukowana jest na papierze higienicznym, blado niebieskim i blado zielonym.

— *Dr Z. Celichowski.* „Znaczenie i rozwój przemysłu domowego i handlu ludowego.“ Poznań. 1895, (8-ka, str. 33). Rzeczą tę, ogłoszoną drukiem, autor wypowiedział przedtem z katedry na zjeździe przemysłowców w Poznaniu, 14 lipca r. b. P. Cel. nie ogranicza pojęcia przemysłu domowego wyłącznie do tego stopnia, na którym przemysłowiec domowy pracuje dla przedsiębiorcy, dla handlu i na wywóz, lecz przyjmuje, zgodnie z poglądami kongresu statystycznego w Peszcie (r. 1876), trzy stopnie rozwoju: 1) pracę w *tonie rodziny*—po za głównem zajęciem zawodowem, na zaspokojenie potrzeb własnych; 2) przemysł domowy, poświęcony celom handlowo-zarobkowym, obok głównej pracy rolnej; 3) Wyłączne wykonywanie wyrobów przemysłowych dla handlu, na rachunek przedsiębiorcy czy fabrykanta, lub w celach wywozu na własną rękę przez „domokrążenie“ (sitarze biłgorajscy, druciarze i t. d.) Obok roztrząsań teoretycznych, autor rozpatruje stan przemysłu domowego, głównie w Galicyi i Poznaniu. Jako zaś środek, zachęcający ludność do pracy, uważa wystawy kółek rolniczych. Nadto proponuje urządzać wystawę wyrobów przemysłu domowego wszystkich kółek rolniczych lub uawet ogólną w tym zakresie. Dało-by to możność zebrania statystyki, jako podstaw szerszej pracy. Dalej należy ludność kształcić w różnych zawodach. „Góral wyrabia sam wszystkie przedmioty użytku domowego; tam już małego chłopczyka najmiłą zabawką jest wyrzynanie i struganie różnych przedmiotów za pomocą nieodstępnego kozika i toporka. Wcześniej on przechodzi tę szkołę zręczności. Nasz lud rolniczy odzwyczaił się od tego rodzaju zajęć, a ten ujemny wpływ odbija się już na dzieciach.“ Od nich więc, zdaniem autora, należy rozpocząć pracę, rozszerzać jak najbardziej w szkołkach naukę zręczności. Przemysł domowy atoli nie będzie się rozwijał, dopóki się nie znajdą drogi zbytu. W tym celu autor proponuje założenie bazaru wyrobów krajowych (w Poznaniu) dla składania produktów w komis, na wzór urządzeń takich w Krakowie i Lwowie. Przed tem wszakże należało-by zawiązać albo Towarzystwo popierania przemysłu domowego, albo spółkę zarobkową z ograniczoną poręką, z udziałami choć-by po 50 marek.

— „Dziejów Powszechnych Illustrowanych“, wydawanych w Wiedniu przez Franciszka Bondy, wyszło jedenaście zeszytów (od 41 do 52 włącznie). Obrazkowa strona tego wydawnictwa jest jak zwykle, bardzo bogata.

— Lwowska edycja „Arcydziel Szekspira“ posunęła się o siedm zeszytów (od 49 do 50 włącznie). Mieści się w nich dokończenie tomu

VII wydawnictwa („Dwaj panowie z Werony“, „Komedia Omyłek“, „Ugłaskanie Sekutnicy“, objaśnienia) oraz początek tomu VIII, zawierający komedye „Kupiec wenecki“, „Figle kobiet“ i „Wiele hałasu o nic.“

— Tom VIII wydawnictwa krakowskiej Akademii Umiejętności p. t. „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“ wyszedł z druku i zawiera: Stanisława Windakiewicza „Akta Rzeczypospolitej Babińskiej, według oryginalnego rękopisu“; Konr. Jul. Hecka: „Materiały do biografii Józefa Bartłomieja oraz Szymona Zimorowiczów“; Jana Czubka: „Wacław z Potoka Potocki.“ Nowe szczegóły do życia poety; B. Wojciechowskiego: „Fragment z dziejów szkół kaliskich“ z rękopisu współczesnego.

— *Ernest Till.* „Prawo prywatne austriackie.“ Tom trzeci. Wykład nauki o stosunkach obowiązkowych. Lwów, 1895; nakład Sayfartha i Czajkowskiego.

— *Dr Ernest Bandrowski.* „Wykład chemii ogólnej.“ Część I. „Chemia nieorganiczna.“ Kraków, 1895; nakładem autora.

— „Wisły“ tom IX, zeszyt 3-ci (lipiec, sierpień i wrzesień), wyszedł z druku i zawiera: „Do króla Leara“; Konstantego Rayskiego: „Śpiewki i zagadki ze wsi Białej Błotnej w pow. Włoszczowskim“; „Pieśń o starej kowalce“; Ottona Knoopa: „Podania i opowiadania z W. Księstwa Poznańskiego“, w przekładzie Z. A. Kowerskiej; Aleksandra Łętowskiego: „Z życia ludu białoruskiego“; Jana Karłowicza: „Systematyka pieśni ludu polskiego“; Władysława Kornela Zielińskiego: „Pochodzenie i niektóre zwyczaje cyganów polskich, według ich własnej tradycyi“; H. Wiercieńskiego: „Ze starych szpargałów“; Władysława Matlakowskiego: „Melodya dożynkowa“; Z. Kowerskiej: „O wypluwanie i pożyczanie“; d-ra Karola Matyasa „Przezwiśka ludowe w powiatach Tarnobrzeskim, Nizkim i Brzeskim w Galicyi“; Wacława Nałkowskiego: „Kronika geograficzna“; W. Mo...a: „Ubiór włościan w pow. Nowomińskim.“

— *Antoni Mierzyński.* „Nuncius cum baculo.“ Studium archeologiczne o krywuli. (Odbitka z „Wisły“), Warszawa, 1895.

— Zeszyt jedenasty lwowskiego „Przeglądu sądowego i administracyjnego“ wyszedł z druku i zawiera: D-ra Stanisława Starzyńskiego: „Studia z zakresu prawa wyborczego.“; Tadeusza Breziewicza: „O przymusowym ubezpieczeniu budynków od ognia“; Marceliego

Chlemetarza „O związku międzynarodowym dla porównawczego badania prawa.”

— Wyszedł z druku zeszyt 158 Słownika Geograficznego, zawierający między innymi opracowania: *Wyganów, Wygoda, Wylkowyszki, Wyrzysk, Wysock, Wysoka, Wysokie litewskie, Wysokie mazowieckie, Wyszogród.*

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— *Klemens Junosza*. „Dziadowski wychowanek“ (z rysunkami). Warszawa 1895 Skład u Wizbeka, (8-ka, str. 75).

— O ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził. Z powieści Bolesława Prusa p. t. „Placówka“, skróciła z upoważnienia autora Faustyna Morzycka. Wydanie drugie. Warszawa Wizbek, 1895 (8-ka, str. 128).

— *Eliza Orzeszkowa* „W zimowy wieczór“, opowiadanie. Skróciła F. Morzycka Z 3-ma rysunkami. Warszawa, Wizbek, 1895 (8-ka, str. 45).

Wszystkie te książeczki przeznaczone są dla ludu.

Sprostowanie. Do „Materyałów i Notatek“, październik, nie przejranych w korekcie przez autora, dostała się znaczna ilość pomyłek drukarskich, skąd ważniejsze: Str. 120, w. 6, zamiast „compte“, należy czytać *comte*; w. 9, po „clairs“—wstawić opuszczony ustęp *et précis qu'il conseille à cette cour de ne point s'amuser à chercher des biais*. Str. 121, nota 1, zamiast „werden“—*worden*. Str. 122, w. 6, zamiast „un“—*cru*; w. 8, zamiast „convulsions“—*convulsions*; nota 1, po „nicht“—wstawić *anders*; tamże, zamiast „oder“—*ob er*; tamże, zamiast „grundlos“—*fruchtlos*. Str. 126, w. 7, zamiast „proporii“—*proprüi*; w. 22, zamiast „sessyom“—*rugom*; w. 35, po „partykularnych“—zamknąć cudzysłów. Str. 128, w. 17, po „posilki“—zamknąć cudzysłów. Str. 129, nota 1, zamiast „upadłszy“—*wpadłszy*; tamże, po „ma“—wstawić *po*. Str. 130, w. 11, po „ejus“—zamknąć cudzysłów.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

BABUNIA.

I.

W sukni czarnej, w białym czepku na siwych włosach, siedziała w pokoju chorych wnuków i przy świetle małej lampy robiła pończosz-kę. Synowa, po paru nocach, spędzonych nad łóżeczkami maleństw, spała w pokoju najodleglejszym; w sąsiednim syn pilnie pracował przy biurku. Za oknami ulica ustronna milczała grobowo, bo wieczór był już późnym. Chore dzieci spały, babunia dumiała. Prędko, prędko obracała druty pończoszki w palcach żółtawych, na które padało światło lampy; twarz, ostioną cieniem, jak woalem, pochylała nad robotą i dumiała.

Co się stało biednym maleństwom, że tak nagle zachorowały? Lekarz, przyjaciel domu, gdy je oglądał, miał minę strapioną. O, Boże! Dzieci, to szkło kruche, to lekkie listki jesienne; lada co może je skruszyć i zdmuchnąć! O, Boże! Smutno na ziemi. Każde dobro niepewne, każdy skarb nietrwały; dziś jest, jutro może już nie być; rzadki dzień bez wspomnień żałośnych lub przewidywań trwożnych. Powiadają ludzie, że wspomnienia są klejnotami, zgromadzonemi na porę ubóstwa. Może inni tak czują, ona nie. Dla niej wspomnienia, to obrazy kochane, oprawione w łyż, a dla tego w łyż, że nie może patrzeć na nie oczyma suchemi.

Ale, co im się stało, co im jest, tym kociętom drogim? Na Wandeczkę lekarz weselej trochę spoglądał, ale Tadzio zaniepokoił go wi-

dócznie. Bo też chłopczyzna ten nie jest wcale dzieckiem zwykłym, a dzieci niezwykle... o, Boże!..

W domu i za domem cisza głęboka i jeden tylko jest w niej odgłos: w sąsiednim pokoju pióro skrzypi po papierze równo, ciągle. Niekiedy też chore dziecko zaszeleści w pościółce i z cicha zastęka; wtedy babunia podnosi głowę, i pochylona ku łóżeczkom, wsłuchana, oczekująca, tak wygląda, jakby na pierwsze kiwnięcie palcem tej mary, która zwie się nieszczęściem, gotową była biedz, lecieć, osłaniać, bronić... Ale dzieci śpią ciągle. Może to być sen sztuczny, przywołany przez tę miksturę, która we flaszcze stoi na stoliku i sztywną receptą sterczy pod światłem lampy. Flaszka z receptą w świetle lampy przysłoniętej ma w sobie coś ponurego. Ponurość płynie z ciszy grobowej, która dom napęlnia, z długich cieni, które od sprzętów padają na ściany, z nierównych oddechów chorych dzieci, z równego ciągłego skrzywienia pióra po papierze, w pokoju sąsiednim.

Jak on pracuje, ten wysoki, barczysty człowiek, o północy schylony jeszcze nad biurkiem! Babunia widzi przez drzwi w pół otwarte plecy jego przygarbione, głowę, z siwiejącymi włosami, profil surowy, z goryczą na ustach i siecią zmarszczek na czole. Z postawy i rysów ten syn jej podobny do ojca, ale nie z charakteru. Jaś był wesoły, otwarty, odważny, miał dłoń wiecznie rozwartą przed ludźmi, a dla niej, —choć już siwieli oboje—serce kochanka. Zygmus jest skrytym, ostrożnym i ostrym—nawet dla matki. Ona go nie potępia za to, o, nie! Gdzież tam! Wie doskonale, że szorstka ręka życia zmięła w ten sposób duszę jej syna, znużyła ją i zaprawiła goryczą. Jaś także cierpiał wiele, ale w sposób inny. Babunia umie rozróżniać gatunki cierpień; tyle ich widziała! Nieszczęściem Zygmunia jest to, że żyje w momencie twardym dla życia. Bóle skrywane zasłały mu, jak kamienie, dno duszy; reszty dokonała praca znojna, z nagrodą zbyt szczupłą. Babunia uniewinnia syna, bo siwa jej głowa pod białym czepkiem myśli więcej i rozumie głębiej, niż się to zdaje otaczającym. Niemniej przyznać się musi przed samą sobą, że trochę lęka się Zygmunia. Nie dla tego, aby wyrządził jej kiedy jaką krzywdę, albo dotkliwą obrazę; owszem, nie uchybia nigdy ceremoniałowi uszanowania synowskiego. Ale ona wie, że ten ceremoniał, to forma, z której miłość uciekła. Była kiedyś! Widuje ją i teraz na obrazach, oprawionych w łyzy, ale inaczej już nigdy, oddawna. Przytem natura jej miękka i wrażliwa cofa się z trwogą przed głosem ostrym, gestem szorstkim, wejrzeniem chmurnem. Starość uczyniła ją nieśmiałą i wciąż szepce do ucha: „Nie dokuczaj, nie nasuwaj się na oczy, nie przyczyniaj nikomu ciężaru lub więzów!“ Więc z jednej strony ceruje i łąta swoją odzież, a z drugiej usuwa się w kącik najgłębszy życia domowego. Pomimo

to, jeszcze czuje, że zawadza. Synowa, kobieta uczciwa, lecz oschła i wiecznie stroskana, wołała-by mieć w domu siostrę swoją, niżeli matkę męża; usuwa też ją od dzieci, może zazdrośna o ich serca. I ma prawo to czynić, ma prawo. Jest im najbliższą, one do niej należą. Nawet pokoik pod dachem przydał-by się bardzo dla wnuczki najstarszej, już podrastającej. Słowami nikt jej nie wyrzuca; lecz zdarzają się spojrzenia, gesty, równie wyraźne, jak słowa, a jej i tego nie potrzeba, aby rozumiała, że jest u tego wozu piątem kołem, w tej księdze kartą żółtką, z pismem zbladłym, której nikt już czytać nie chce. Więc i nie upomina się o to nigdy. Cokolwiek czuje i myśli, nie zwierza tego przed nikim, wszyscy też mniemają, że lata zgasiły w niej do szczętu wszystkich ogień i wszystkie światło. Otrzymuje z łaski syna to, czego jej jeszcze potrzeba: kąpiel ciepłą, pożywienie, odzież; gdyby występowała z pretensjami innymi, była-by wprost śmieszna. To też nie występuje; lecz niekiedy bardzo wyraźnie czuje w sobie jeszcze duszę ludzką, duszę kobiecą, której rosół nasycić, ani piec ciepły rozgrzać nie może, która też kurczy się i napełnia smutkiem, od głodu i chłodu, nieznanego ciała. Ciało syte, dusza głodna; ale Babunia jest rozsądną i uczucie osamotnienia głębokiego kryje przed ludźmi, jak zbrodnię. Tylko często, z głową schyloną i rękoma splecionymi dokoła opadłej na kolana pończoszki, odmawia długi różaniec imion drogich, umilkłych na wieki, a wtedy, to wszystko, co napełnia jej duszę szczelnie zamkniętą, wylewa się przez oczy kroplami, pełnymi obrazów. Na tych obrazach jaśnieją, uśmiechają się, po imieniu ją nazywają oblicza, pogasłe na wieki, drogie, a wśród nich, najczęściej, najnatarczywiej, najrzewniej, jedno najdroższe...

Jednak, w tej chwili, wszystko, co od lat wielu było jej samotnością serdeczną, tęsknotą, żalem, nazywa urojeniami pustemi i grzesznemi. Gorzko wyrzuca sobie, że mogła smucić się, albo pragnąć czegokolwiek wtedy, gdy dzieci były zdrowe. Jakże była samolubną i marną! Pragnąć czegokolwiek, cierpieć, gdy te drogie kocięta są zdrowe i wesole, to złość i głupota! Teraz dopiero oko w oko spogląda nieszczęściu prawdziwemu. O życie obojga drzy zarówno, lecz musi przyznać się przed Bogiem i sobą, że... no, cóż robić! grzeszną jest, lecz z pomiędzy wnuków, z pomiędzy wszystkich istot żyjących, najwięcej kocha — Tadzia. To z pośród kociąt kocię najdroższe. Dziwnie podobny do nieboszczyka Jasia: to samo czoło białe i otwarte, te same oczy błękitne, jak niebo. I ono jedno z rodziny łąnie do niej serdecznie, na jej widok biegnie, rozwierając ramiona, jak ptaszę skrzydła, spędza też z nią często szare godziny zimowe...

II.

Bo w zimowe wieczory babunia przesiaduje najczęściej w pokoi, ku swoim i odmawia różaniec imion drogich, umilkłych w śmierci, lub w oddaleniu. Wspomina; a tymczasem szara godzina coraz ciemniejeciennieje, aż pokoik na górze z jednym oknem napelnia się grubym zmrokiem. Wtedy zaczyna stawać się w koło niej rzecz szczególna. W grubym zmroku zaczynają powstawać formy białawe lub czarne, zrazu jedna, potem kilka, kilkanaście, coraz więcej. Babunia jednak ani lęka się, ani dziwi, bo wie oddawna, że są to widma rozsianych po świecie grobowców, które w ciemności i ciszy przybywają do niej, mnożą się i stają tak licznymi, jakby kto je tu nasiał pełną garścią. Dokoła fotelu, na którym siedzi, pośrodku pokoju, we wszystkich jego kątach, bieleją w szarym zmroku widma grobowców, wyższe, niższe, pośród których krzyże czarne rozstawionemi ramionami zmrok ten przerzynają. A wśród tych form białawych i czarnych przeszłość lata na cichych skrzydłach i—szeptce. Szeptce imiona zdrobniałe, słowa serdeczne, rozmowy poufne, wszystko, co serce miało, utraciło, a pamięć podjęła dla przechowania dośmiertnego. Szara godzina, pełna białawych i czarnych widm grobowców i krzyży, napelnia się jeszcze szeptem, w który babunia wsłuchuje się pilnie, gdy z oczu jej na suknię czarną pada tyle kropel gorących, ile słów dokoła jej białego czepca wyszeptuje przeszłość.

Wtem: skrzyp! drzwi otwierają się powoli i głosik dziecinny zapytuje:

— Czy babunia śpi?
 — Nie śpię, kocię najdroższe, nie śpię! a co tam takiego?
 — Nic, ja tak sobie... *psysedlem* do babuni... I już jest na jej kolanach. Zapaliła-by lampę, ale tak mocno oplótł ją ramionami, że poruszyć się jej nie daje. Po co lampa? I pociemku można całować babunię to w jeden policzek, to w drugi, przyglądać jej włosy nad czołem i głosikiem cieniutkim prosić:

— Babuniu, *wielse!*

Bo była to namiętność tego malca, uczyć się z ust babuni wszystkiego, co tylko ona sama na pamięć umiała.

Więc rozpoczyna się duet.

— A czy znasz ty, bracie młody,
 Twoje ziemie, twoje wody?

— A czy znasz ty, blacie młody,
 Twoje ziemie, twoje wody?

Za jej głosem łagodnym srebrny głosik dziecinny powtarza rymy, strofy, widma grobowców i krzyży znikają, od dwu twarzy, ku sobie przybliżonych, bije w grubą, szarą godzinę luna zachwycenia...

III.

Cytl poruszył się, jęknął, w pół światła rozległ się szept świszczący: pić!.. gorączka. Babunia porwała się z krzesła i tak lekko, jakby miała nogi dwudziestoletnie, przybiegła do małego łóżka. Szklanka z napojem, przyłożona do ust, otwierających się, jak dziobek ptaszęcy, kilka słów, zamienionych pieszczotliwymi głosami,—dziecko spało znowu. Spało, lecz niespokojnie, z oddechem przyśpieszonym, z drganiem bólu na tem drobnem czole, które było tak uderzająco podobnem do czoła nieboszczyka Jasia. Pochylona, z oczyma wlepionemi w dziecko chore, z rękoma bielejącemi, jak opłatki na sukni czarnej, babunia myślą wołała coraz błagalniej: Boże! Boże! Boże!—Nic nad to jedno imię myślą wymówić nie mogła, lecz wlała w nie wszystkie siły, cały wzlot, całe naprężenie serca strwożonego. Więc nie spostrzegła, że do pokoju weszły dwie kobiety i przy niej stanęły. Jedna z nich szeptała:

— Niech mama już spać idzie. Adelka przyszła i będzie czuwać nad dziećmi do rana.

Adelka, siostra synowej, podstarzała panna, w jedwabnej sukni, z chłodnemi oczyma i zaciętymi usty. W sercu babuni zawrzało. Dla czego ma ustępować przed Adelką? Matka, to co innego, ale ta... prawie obca! Jedwabną suknią przy samej główce dziecka szeleści, zbudzić je może, a potem sama zasnąć gotowa, bo serce jej nie będzie pewno młotem takim, przy którego stukaniu spać niepodobna. Wyprostowała się, spojrziała na synową oczyma, w których przemknął błysk dwudziestoletni, cichym szeptem zaczęła:

— Moja Julciu...

Ale chuda kobieta, ze znużoną twarzą, wpadła jej w mowę:

— Moja mamó, niech się już mama nie sprzecza. Kiedy takie nieszczęście w domu, nie trzeba przynajmniej robić ambarasu.

Robić ambaras! Było to jej staranie wieczne i gorliwe, aby nie robić nikomu ambarasu. Oczy zgasły, plecy się przygarbiły, miała odejść. Ale Adelka, idąc przez pokój, jak wiatr zaszeleściła suknią. Jest-że sens wkładać suknie jedwabne do czuwania nad choremi dziećmi! Splotła ręce jak do modlitwy.

— Moja Julciu, może pozwolisz, abym tę jedną noc przesiedziała przy nich!

Tu jednak wtrąciła się już Adelka:

— Rozchoruje się pani od niespania i zrobi w domu drugą jeszcze biedę!

A synowa dodała:

— Trzeba, moja mamo, o wieku swoim pamiętać!

Niech-że ją Bóg broni, aby miała domowi temu robić biedę jakąkolwiek! O wieku swoim też pamięta. Ma się rozumieć! Jakże mogła-by choć na chwilę zapomnieć o tem, o czem wszystko co chwila jej przypomina?

Odeszła. Tylko co biegła do łóżka chorego wnuka tak lekko, jakby miała lat dwadzieścia, a teraz, gdy przechodzi przez pokój syna, wciąż nad biurkiem pochylonego, stopy jej zaledwie wleką się po ziemi, ból krzyża dolega i głowa smutna, ciężka, o tem tylko myśli, jak zdoła przebyć tę noc nieskończoną, zdala od chorych kociąt. zwłaszcza od Tadzia. Nie wiedzieć, jak mu jest i co się z nim dzieje, to męczarnia. Wie, że noc głucha przejdzie jej w bezsenności, napełnionej trwożą, więc kibić wstąpiła pochyliła się, przygarbia, przybiera pozór starości niedołęznej. Przytem obuwie płytkie i znoszone co chwila uderza o podłogę ze śmiesznym odgłosem: klap! klap! Jest w tym odgłosie smutny komizm rzeczy zaniedbanych i zniszczonych. Ale wkrótce miesza się z nim szept przy biurku:

— Mamol mamol!

Co się stało? Zygmus przemówił do niej! Od lat wielu nie zdarza się to prawie nigdy. Dawniej probowała o tej porze zbliżyć się do pracującego, pogłaskać go po włosach, przypomnieć potrzebę spoczynku. Ale spostrzegła, że mu przeszkadza, że pocałunek ręki, którym odplaca jej nieśmiałą czułość, jest roztargniony, lub zniecierpliwiony, więc nabrała przyzwyczajenia przesuwając się za jego plecami, z cichością cieniu. Teraz sam ją zawołał. Zdziwiona, zbliżyła się natychmiast.

— A co, Zygmusiu?

Prostując grzbiet stężyła od pochylenia i patrząc na nią z pod powiek znużonych, powiedział, że miał potrzebę zajrzeć dziś na strych, dawno nie zwiedzany przez nikogo, i niespodziewanie znalazł tam w kącie najciemniejszym zegar, o którym wszyscy zapomnieli.

— Ten zegar z kurantami, co to, pamięta mama? stał w pokoju ojca.

Aż ręce splotła u piersi, tak zdziwiła się i ucieszyła.

— Moj Zygmsiu! Zegar z kurantami! Ależ pamiętam, jakże mogła-bym nie pamiętać! Na strychu, w ciemnym kącie... ot, mój Boże! a dawniej... Nie śmiałam nigdy zapytywać się o niego. Aż się znalazł! Czy został tam, Zygmsiu, w ciemnym kącie? Czy będę mogła jutro pójść na strych, do tego kąta... zobaczyć.

Mówiła o zegarze, jak o człowieku, wargami drżącymi.

— Myślałem, że widok tego gratu sprawi mamie przyjemność, więc sam, ze stróżem, zaniósłem go do pokoju mamy. Stoi tam przy ścianie. Klucz do nakręcania na szafce. Zardzewiał trochę.

Zaprzagnęła podziękować, głowę syna, który pomyślał o sprawieniu jej przyjemności, ramieniem ogarnąć, ale ta głowa była już pochylona nad arkuszem papieru, a ręka zatapiała pióro w kałamarzu.

— Tak późno, Zygmsiu... zdrowie stracisz... szepnęła.

Pisząc już i nie podnosząc oczu, odpowiedział:

— Cóż robić, moja mamó? Tak trzeba!

Oddaliła się, myśląc: to prawda! tak trzeba! Uczciwy jest, ma obowiązki ciężkie, czyni im zadość wytrwale, twardo. Tylko w potrzebach ciężkich i w pracy twardej serce jego ocieżyło i stwardniało. Nie zanikło przecież. Pamiętał stary zegar, na widok jego pomyślał o matce. Miał serce; na rozczulanie się czasu nie miał. Życie jest takim: przyciska serca głazami ciężkimi, aż skurczą się, a czasem i skruszą. Szkoda serc, bo są to jedyne niefałszywe brylanty świata. Cóż, kiedy tak trzeba!

Znowu raźnie, lekko wstępowała na ciemne wschodki. Pilno jej było powitać przyjaciela starego, świadka czasów przeminionych, który posiadał nie tylko oblicze, ale i głos. Miała takie uczucie, jakby się dowiedziała o powrocie jednego z tych, którzy odeszli. Ktoś kochany zmartwychwstał. Biegła powiedzieć zmartwychwstałemu: jak się masz? czy pamiętasz?

IV.

Miał już chyba lat ze sto i niegdyś czasy wielkiej świetności. Był lubiany, oglądany, podziwiany, w porach właściwych starannie pobudzany do życia i śpiewu, aż przyszedł czas, że wsunięto go w kąt ciemny, zniknął ze świata i umilkł, jak się zdawało, na wieki. Teraz, nagle, wydobyto go z więzienia, w którym upłynęły mu długie lata.

Była to naprzód szafka hebanowa, dość wysoka, wązka, z bronzowemi ozdobami na powierzchni czarnej i z okrągłym otworem u góry. Przez ten otwór, w obwódce brązowej, wyglądało oblicze zega-

ra okrągłe, żółtawe, z dwunastu znakami rzymskimi dokoła i dwiema długimi liniami wskaźników. W świetle lampy ukazywały się wyraźnie ślady zaniedbania, któremu uległ: szczyrby na drzewie, rdza na bronzie, ale pył otarto już zeń starannie i klucz do nakręcania złożono na szczycie szafki.

Babunia stała o dwa kroki przed starym zegarem, z głową, w białym czepku, nieco podniesioną, z wyrazem zadziwienia we wzniesionych oczach. Zwiędłe jej powieki mrugały prędko, na czole wysokim sieć drobnych zmarszczek pogłębiła się i kołysała, jak fala wodna. Potem cienkie wargi poruszać się też zaczęły; coś zaszeptala i głową wstrząsnęła tak, jakby mówiła: „jak się masz? Pamiętam! pamiętam! czy pamiętasz?“ Ale nie przybliżyła się jeszcze i ciągle z podniesioną głową patrzyła.

Zegar wzajemnie patrzył na nią z góry przez okrągły otwór z brązową ramką. Linie wskaźników, czarne na tle żółtawem, szeroko rozwarte, nadawały mu wyraz powitania i jak ramiona, rozpostarte do uścisku, mówiły: „Jak się masz! Zbliź się! I ja pamiętam! a jakże! pamiętam!“

Kilka minut upłynęło. Dwa stare oblicza, kobiety i zegara, jedno z dołu, drugie z góry, patrzyły na siebie bez szmeru i ruchu, w świetle małej lampy u łóżka okrytego pościelą szczupłą, z krucyfiksem na ścianie.

Po kilku dopiero minutach, babunia, znowu z pośpiechem dwudziestoletnim, przystawiła stołek do szafki i, stanąwszy na nim, zaczęła oglądać zegar z bliska i ze stron wszystkich. Cały, caluteńki, zwierzchu. Ciekawość, jak tam jest wewnątrz. Można się o tem przekonać po nakręceniu. Niedgdyś nakręcać go umiała, potrafi i teraz. Zna go, odkąd żyje. Stał w pokoju jej ojca, potem męża. W dzieciństwie jej wybijał godziny zabaw i nauk, w wieku dojrzałym szczęścia i smutku; wybił też tę godzinę straszliwą, w której odszedł ją na zawsze jej Jaś najdroższy. Grywał pieśni, nie pamiętała już jakie, lecz które co godzina rozlegały się po domu, zaprawiając melodią cisze nocne, rozmowy gwarne, szepty poufne. Zapragnęła teraz tych pieśni, jak mowy przeszłości zmartwychwstającej. Aby je od zegara otrzymać, trzeba go było w pewien szczególny sposób nakręcić. W zwykły sposób już to uczyniła i,—o dziwo!—bez zwłoki najmniejszej, oblicze nieme przez lat wiele zagadało szmerem, trochę ochryplym, lecz doskonale miarowym: tak, tak! tak, tak!

Już stary zegar nietylko patrzył, ale i mówił. Gdybyś zaśpiewał jeszcze!

Z kluczem w ręku zaczęła oglądać powierzchnię zegara, przypominać sobie, próbować. Przykładała do punktów różnych klucz i pal-

ce, naciskała, otwierała, przesuwała, majstrowała, z takim natężeniem uwagi i chęci, że zmarszczki czoła zbiegły się pomiędzy brwiami w jedną grubą fałdę, wargi wydęły się, oczy piwne nabrały ogników złotych. A oko w oko z tą twarzą kobiecą, pomarszczoną i skupioną, oblicze zegara okrągłe i żółtawe, przybierało wyraz wesołości żartobliwej, bo światło lampy igrało po niem błyskami migotliwemi, od których też stare brzozy na szafce zapalały się gdzieniegdzie iskrą swawolną.

Nakoniec! pod palcami babuni coś zgrzytnęło, wysunęło się, zasunęło... Zegar i wewnątrz cały, niezeepsuty, będzie grał kuranty! Będzie, lecz nie natychmiast. Grywał zazwyczaj przy wybijaniu godzin; kwadrans jeszcze zaczekać wypadnie. Zaczeka w ciemności, bo nie potrzeba nadaremnie zużywać nafty i oczy lepiej odpoczną bez światła.

Wygodnie usiadła w starym fotelu, zgasiła lampę i—zadziwiła się przyjemnie. Mniemała, że pokój napełni ciemność gruba, tymczasem stanął on cały w świetle prześlicznem. Kędyś, pod niebem nocnem, płynęła zwolna twarz księżycy i uderzała w małe okno smugą światła, podobną do wstęgi blado-złotej. Plecami oparta o staroświecki poręcz fotelu, babunia siedziała u skraju smugi księżycowej, która posrebrzała jej stopy i suknię, głowę pozostawiając w pół zmroku. O parę kroków za nią, także w pół zmroku, stał przy ścianie zegar stary, dobywając z czarnej szafki, jak mumie z futerału, oblicze okrągłe i białe. Babunia, ze splecionemi u piersi rękoma, patrzyła na wstęgę blado-złotą, ukośnie spływającą od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek, gdy o słuch jej uderzył dźwięk nieco chrapliwy, jeden tylko, donośny. To zegar wybił godzinę popołudniową. Wnet potem, w bladym świetle księżycowem i w ciszy głębokiej rozległa się muzyka,—poważna, szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak tryumf rycerza, muzyka poloneza.

Babunia oderwała plecy od wysokiej poręczy fotela, palec przyłożyła do warg, które zadrżały. Cyt! To ten sam polonez, którego grała na jej weselu orkiestra huczna, którego ona tańczyła z Jasiem w sukni ślubnej, z wieńcem mirtowym na włosach, w sali, napełnionej światłem rzęsiem i tłumem twarzy znanych, kochanych!..

Zegar gra; słyhać w nim trąbki, fleciki harfy, czasem waltornia uderzy w bas głęboki, a czasem, niespodzianie, melodyę porywa chór dzwonek cichych i, wydzwoniwszy frazes muzyczny, zwraca ją trąbkom, flecikom i harfom. To kurant starego zegara; ten sam polonez, którego ona tańczyła z Jasiem na swoim weselu...

W sali, napełnionej światłem ognistym, młody i rażny, z szerokim czołem pod złotemi włosy, z rozkośnieniem w błękitnych oczach

i z czapeczką kwadratową w rękę, idzie on ku niej, całej w bieli, spłonionej, szczęśliwej. Stał przed nią, ręką, trzymającą czapeczkę, uczynił szeroki gest zapraszający, drugą ujął jej rękę, i poważnym polonezowym krokiem poszli razem w światło rześiste, w tłum twarzy kochanych, w radość bez skazy, w szczęście bez granic.

Zegar grał, na oczy babuni opadała zasłona wilgotna, lecz, gdy po chwili skupiła się w kroplę dużą i na blade ręce opadła, oczy rozszerzyły się od zdumienia, trwogi, a usta zaszepotały nieprzytomnie: „Co to? kto to? o, Boże!” Z ciałem bezwładnym od zdumienia i trwogi, z głową odgiętą na poręcz fotelu, z ramionami, które podniosły się i drżące w powietrzu zawisły, babunia patrzyła i szeptała: „Co to? kto to? o, Boże!”

V.

Od nieba promiennego ku biednej podłodze z grubych desek, po ukośnej wstędze blad złotej, zstępował poważnym polonezowym krokiem człowiek młody i raźny, z szerokim czołem pod złotymi włosy, z rozkochaniem w błękitnem oku, z czapeczką kwadratową w rękę. Poznała go, patrzyła, z ramionami zawieszonemi w powietrzu, a tymczasem zegar grał i on szedł, od nieba ku jej stopom, aż stanął przed nią i ręką, trzymającą czapeczkę kwadratową, uczynił szeroki gest zapraszający. Nie mogła jeszcze uczynić poruszenia najlżejszego; więc on zatopił w jej oczy spojrzenie, które znała tak dobrze, pamiętała tak głęboko, i z cicha rzekł: „pójdz ze mną!”

Wtedy powstała i zupełnie tak samo, jak na wieczorze weselnym, z pochyloną głową położyła rękę na jego otwartej dłoni. Zegar grał, a oni, poważnym polonezowym krokiem, z twarzami, ku sobie obróconemi, szli po wstędze blad złotej, od biednej podłogi z grubych desek, ku niebu promienistemu coraz wyżej...

Szła lekko, stopami za ledwie dotykając drogi oświetlonej i długo z pośród uczuć rozmaitych głos jej wynurzyć się nie mógł, aż przemówiła:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł po mnie, Jasiu! Tak długo i ciągle tęskniłam za tobą.

On odpowiedział:

— Bóg kocha serca wierne i powraca im miłość szczęśliwą.

Uczuła, że tak było, bo fala napowietrzna, kojąca, ciepła, pełna rozkoszy przeczystej, okryła ich oboje płaszczem rozwieszonym. Tak

połączeni, szli dalej, coraz wyżej, a za nimi ziemia coraz dalsza, na nizinie coraz głębszej, malała, znikwała.

Z twarzą, ku jego twarzy obróconą, mówiła:

— Jakiś ty młody, Jasiu! Gdy odchodziłeś, włosy ci białeły i plecy garbiły się trochę, a teraz jesteś zupełnie takim, jakim byłeś, gdy siedząc przy moich krosienkach, po raz pierwszy rzekłeś, że mię kochasz.

Z uśmiechem wskazał wstęgę bladozłotą, po której szli, i rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała; jak dziewczyna w strumieniu przejrzała się we wstędze, usłanej z promieni, i zobaczyła siebie młodą, wysmukłą, hożą, całą w bieli, z mgłą ślubnego woalu na włosach kruczonych. I nie tylko zobaczyła, ale także uczuła się młodą, hożą, gibką, ze stopami, zrywającymi się do biegu, z powiekami, wstydliwie opadającymi na oczy, olśnzione i zdumione. Płonąc radością i zawstydzeniem, szepnęła:

— Gdzież się podziały lata, które, jak ciężkie pługi, orały mi ciało i duszę?

On, razem z nią pochylony nad zwierciadłem bladozłotem, odbijającym dwie postacie młode i napowietrzny płaszczem miłości okryte, odpowiedział:

— Bóg kocha ciężko strudzonych i wraca im młodość.

Znajdowali się już bardzo wysoko, wśród gwiazd, których kule ogromne, złote, rubinowe, szmaragdowe, zakreślały w przestworzach nieskończonych harmonijne elipsy i koła. Nieskazitelna czystość eteru rozlegała się po tych przestworzach; w ciszy, pełnej światła, linii, ruchów zgodnych a swobodnych, mleczne drogi rozwijały kobierce, gubiące się w nieskończoności, komety świetne przelatywały, szumiąc warkoczami splecionymi z płomieni, jak bory, gdy po ich wierzchołkach suną skrzydła orkanów niebieskich. Oboje teraz młodzi i piękni, okryci płaszczem miłości szczęśliwej, nie szli już, ale płynęli nad wstęgą bladozłotą, coraz wyżej. Ona ręce zaplotła mu u szyi, on kibić jej objął ramieniem i z ustami przy jej czole mówił:

— Otwórz serce i pokaż mi je aż do dna. Opowiedz wszystko, skarż się, oskarżaj. Nim dopłyniemy do celu, złóż w dłonie moje wszystkie brzemia, które niosłaś, abym je mógł pokazać tam, jako okup wejścia dla ciebie...

Jeszcze nie skończył, a ona zaczęła już spełniać jego żądanie. Stało się to bez żadnego udziału jej woli. Po prostu ufność bezgraniczna przyszła i serce jej na oścież przed nim otworzyła. Rok po roku, dzień po dniu, od momentu, w którym się rozstali, aż do tego, w którym przyszedł po nią, z ust jej popłynął różaniec paciorek ciemnych, po

których gdzieniegdzie tylko ślizgały się blade światełka. Z głową, złożoną na jego piersi, mówiła wszystko, żaliła się, opowiadała i jednego tylko z żądań jego spełnić nie mogła;—nie oskarżała nikogo. Bywała opuszczaną i zapomnianą, dusza jej żyła długo w osamotnieniu i chłodzie, ale nikt temu nie winien, nikt! Wszyscy biedni na ziemi, wszyscy ciężkie brzemiona dźwigają, więc i ona dźwigała swoje, bo widać tak było potrzeba; a zawsze czuła to i myślała, że małej, w cierpieniu i winach wszystkim równej, przystoi jej tylko—przebaczać i milczeć. Więc nawet przed duszą własną nie oskarżała nikogo, a odkąd się z nim rozstała, nie opowiadała duszy swej przed nikim. Ale teraz, gdy to czyni, czuje, że wraz ze słowami wychodzą z niej wszystkie gorycze i żale, a natomiast wstępuje taka lekkość, jakby straciła wszelki pyłek brzemion ziemskich, a w zamian—dostała skrzydeł.

Znowu zatrzymał ją i, wskazując na szlak promienny, nad którym płynęli, rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała i w zwierciadle bladozłotem zobaczyła, że u jej sukni ślubnej wyrosły skrzydła. Krzyknęła z podziwu, ale nie był to krzyk taki, jakie rozlegają się na ziemi, bo z ust jej wyszedł akordem muzycznym, wydłużonym w pieśń radośną, która, lecąc od gwiazdy do gwiazdy, echami zaczęła każdą i razem z gwiazdami płynęła w przestworza nieskończone. On zaś, rzekł:

— Bóg kocha cierpiących bez skargi i daje im radość bez granic!

Płynęli dalej, w napowietrznym płaszczu miłości szczęśliwej, z leącą przestworami pieśnią radości bezgranicznej, coraz wyżej.

Patrząc na niezmąconą pogodę jego oczu, przypomniała sobie chmury ciężkie, które się niegdyś w nich odbijały i zapytała:

— Czy jesteś zbawiony?

On zapytaniem wzajemnem odpowiedział:

— Czy pamiętasz, co najwięcej kochałem na ziemi?

— Pamiętam,—odrzekła.—Nade mnie, nad siebie i nad wszystko swoje kochałeś to, co nie było dla ust twych żywnością, ani dla ciała twójgo schronieniem, ani dla głowy twej wieńcem chwały, ani dla piersi twej tarczą obrony. Przeciwnie, miłość ta była nieszczęściem twojem, chmurami przeglądała się w twych oczach i może przez nią,—zawsze to sobie myślałam,—przedwcześnie opuściłeś ziemię. Teraz przyobleka cię pogoda niezmąconą.

Gdy przestała mówić, odpowiedział:

— Bóg kocha tych, którzy cierpią nie za siebie—i daje im niebo.

Byli już u wrót nieba; głos jego utonął w wybuchającym tu chórze głosów potężnych.

Po przestworzu rozpościerała się zasłona, nieścigniona okiem, w której przezroczeniach kryształowych płonęły wszystkie dyamenty i rozwijały się wszystkie kwiaty, jakie były kiedykolwiek w łonach i wykwitwały z łon światów wszystkich. Wznosiły tam arkady wszystkie tęczę i rozwijały się w kobierce wszystkie mgławice, zorze, jutrzienki, jakiegokolwiek zdobyły kiedy wszystkie niebiosy; i cokolwiek na globach niezliczonych, wirujących po przestrzeniach bezgranicznych, było zaczątkiem piękności, wszelka barwa, linia, forma, nosząca w sobie jej pierwiastek, tu dosięgało pełni swej doskonałej. W tej zasłonie, rozpostartej u wrót niebieskich, odbijało się wszystko, co tylko było pięknem na światach niezliczonych, ale w spotęgowaniu, tak niepojętem dla istoty ziemskiej, jak są dla niej niepojętemi: Wszchemoc i Bezmiar.

U bezmiaru zaś piękności, z którego była utkana zasłona niebieska, grał bezmiar tonów. Gwiazdy, w wiekuistych podróżach swych tu przybywające, obracały się na swych osiach z graniem zgodnym i łagodnym, komety przelatujące ziały pieśnią materii, topiącej się w ogniu, eter dzwonił po kryształach, a morza, puszcze, otchłanie bezdenne, skrzydła niezliczone, wszystkie płomienie gorejące na wszystkich światach szumiały chórem gam, przebiegających wszechświat od krańca do krańca.

Lecz w tym hymnie ogromów pełno też było—o, dziwo!—głosów bardzo drobnych. Wyglądało to tak, jak szczebioty ptactwa malutkiego, szmery robaczek, pełzających w trawach, szelesty, z jakimi kielki roślinne dobywają się z ziarn pękających, kwilenia w kolebkach, łkania w cichych nocach... Muzyka gwiazd, komet, eteru, mórz, puszczy, skrzydeł i płomieni, nie zagłuszała wcale tych głosów maluczkich, owszem, usiewały ją one, jak ziarenka maku rolę bezbrzeżną, wyraźne, równe jej i—równie słuchane.

Kobieta w sukni ślubnej, ze skrzydłami u ramion, z rękoma, zarzuconymi na szyję najdroższą, stała u zasłony, okrywającej wrota niebieskie i—słuchała. W zachwyceniu i podziwie słuchała muzyki potęg, lecz najsilniej słuch jej wabiły głosy malutkie. Pośród nich żyła, z pośród nich tu przysła.

— Czy słyszysz, Jasiu? To w pierwszym dnia brzasku szary wróbel odzywa się pod dachem, a ten szmer cichy wydaje boża krówka, gdy z jednego źdźbła trawy przesuwają się na inne. Z takim szelestem kłos zboża, przez wiatr dotknięty, kłania się kłosom innym... a to westchnienie... o, jakże mi znane! to Zygmus, po pracy znojnjej, z gło-

wą bezsenną, przewraca się na pościeli i wzdycha. Czy słyszysz, Jasiu?

Wtem, wśród ziarn maku, rozsianych po roli bezbrzeżnej, jedno jeszcze zawołało ku niebu. Była to muzyczka, drobna, złożona z trąbek, flecików i dzwonek. Kędyś, na nizinie, stary zegar z kurantami grał...

— Czy słyszysz, Jasiu?

Śluchał. Z ziemi, z pod dachu, rzuconego pomiędzy tysiące dachów, dobywała się muzyczka drobna, lecz poważna i szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak tryumf rycerza — muzyka poloneza. Śluchał i niebieską pogodę jego oczu powlekać zaczęła łza.

Strwożona zapytała:

— Czy zbawieni płaczą?

On odpowiedział:

— Są na ziemi takie opary, które wzbijają się łzami do oczu nawet — zbawionych.

W tem z roju głosów malutkich, usiewających potężny chór ogromów, dobył się jeden jeszcze, był to wyraźny żałośny płacz dziecka.

— Tadzio płacze!

Przestała słyszeć gwiazdy i morza; słuchała płaczu dziecka.

— Czy słyszysz, Jasiu! Tadzio płacze... Biedactwo bardzo chore i jest tam przy nim kobieta z zimnemi oczyma, która szelestem sukni jedwabnej budzi go ze snu. Coraz mocniej płacze... Ja jedna uciśać, pocieszać go umiem. Ach, jak płacze! Czy słyszysz, Jasiu?

Nie słyszał. Z głową, pochyloną ku nizinie odległej, wsłuchiwał się w kurant zegaru, śpiewający o tem, co najwięcej kochał na ziemi, co nie było dla ust jego żywnością, ani dla ciała schronieniem, ani dla głowy wieńcem chwały, ani dla piersi puklerzem obrony, — lecz tylko dla serca miłością i bólem bez granic.

W pobliżu zaś zegara, grającego kuranta, rozlegał się wciąż płacz dziecka, coraz głośniejszy, zmieszany z wołaniem coraz żałośniejszem.

— Babuniu! babuniu!

Kobieta od wrót nieba krzyknęła ku ziemi:

— Idę, kocię najdroższe! idę, lecę!

Zleciała ze wstęgi bladozłotej i z pośród gwiazd grających, z pod zastony, utkanej z bezmiaru piękna, spadła w próżnię ciemną, głuchą, bezdenną.

VI.

Od dość już dawna, kędyś na niebie, tarcza księżycy zsunęła się z widnokregu i pociągnęła za sobą wszystkie swoje światła; poszła też z nimi za światy wstęga bladziółta, która przez okno pokoiku babuni spływała od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek. Teraz okno to, kwadratową płachtą szarą przerzynało ciemność czarną. Babunia obudziła się w czarnej ciemności i w ciszy głuchej. Tylko stary zegar nad jej głową tętniał miarowo: tak-tak! tak-tak! a z dołu z pod podłogi dochodził płacz dziecka głośny, żałośny.

Oczy babuni pełnemi jeszcze były światel niebieskich i rysów oblicza najdroższego, w uszach jej brzmiała muzyka gwiazd coraz dal-sza, konająca, twarz oblał strumień łez. Ale z twarzą w łzach sta-nęła wyprostowana, szepcząc:

— Tadzio płacze!

Drżącemi rękoma zapaliła lampę, w której świetle oblicze zegara spojrzęło na nią z góry i wskaźnikami, szeroko rozstawionemi, objawi-ło zdziwienie niezmiernie.

— Wróciłaś? Jakto! Od wrót nieba wróciłaś?

Zatrzęsła głową.

Ale na rozmowę z przyjacielem starym czasu nie miała; już zstę-powała ze wschodów prędko, śpiesznie, aż znalazła się w pokoju cho-rych dzieci.

Wandeczka cicho leżała w pościeli, lecz Tadzio bardzo płakał. Babunia, z głową podniesioną, przebiła się do niego przez gromadkę niewiast naradzających się i strwożonych. Teraz pomiędzy nim a nią nikt stawać nie może. Ona dla niego wróciła od wrót nieba.

— Kocię najdroższe!

— Babuniu!

Chociaż miał lat kilka, był wątłym, lekkim i babunia, dźwigną-wszy go w ramionach, nosić zaczęła w słabem świetle lampy nocnej, pośród cieni, które od sprzętów padały na ściany. Chodząc, głosem drżącym, czasem aż dygocącym, nucila stary kurant zegara.

Płacz dziecka ustawał, zmieniał się w ciche chlipanie, twarz dro-bna, rozpalona gorączką, miłośnie tuliła się do ramienia najdroższego, aż głosik splakany przemówił:

— Babuniu, *wielse!*

— Wiersze, kocię najdroższel! chcesz wierszy? dobrze, zaraz będą!

Wśród długich cieni, które od sprzętów padały na ściany, w słabem świetle lampy nocnej, nosząc go w ramionach posuwistym, polo-

nezowym krokiem, to w jedną stronę, to w drugą, na nutę starego kuranta trochę śpiewać, a trochę mówić zaczęła:

— Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata...

A on, który znał to już dobrze, razem z nią mówił dalej.

— Nad nią bocian gniazdko splata,
A w niej zije lud *zuchwali*.

ELIZA ORZESZKOWA.

K O N I E C .

Ludwik Pasteur.

I.

Niema w nauce naszego stulecia imienia popularniejszego; dla żadnego badacza niema więcej serc wdzięcznych, niema wspomnień, większą czią przejętych. Twórca nowej gałęzi wiedzy—bakteryologii, który najpotężniejszy wpływ wywarł na cały kierunek dzisiejszej medycyny, znany jest przez wszystkich, interesujących się postępami wiedzy ludzkiej i sztuki lekarskiej. Chemik, odkrywający stosunek, jaki zachodzi pomiędzy budową geometryczną kryształów, a ich własnościami optycznymi, badający produkty zjawisk fermentacyjnych, a tą drogą dochodzący do objaśnienia samej fermentacji i do obalenia odwiecznej teorii o samorodztwie, musi z prac swych wiekopomnych być znany każdemu, komu nie obce są, choćby najogólniej, dzieje nauk przyrodniczych bieżącego wieku. Logiczną drogą rozwoju postępował Pasteur od najskromniejszych na pozór początków, dobrze zrozumiałych tylko dla bliżej w rzeczy wtajemniczonych, i doszedł do roztrząsania kwestyi najdonioślejszych dla nauki i życia codziennego. W sposób zdumiewająco jasny ciągnie się nić jego żywota naukowego od pierwszych prac z zakresu chemii fizycznej przez dziedzinę chemii analitycznej, mikroskopowe badania drobnoustrojów, morfologię i fizyologię bakterji do technologii chemicznej, medycyny i terapii. A wszędzie na tej drodze pozostawia po sobie Pasteur ślady genialnych

swych kroków, wszędzie do fundamentów burzy stare poglądy i od fundamentów znów wznosi nowe gmachy własnych idei, o których prawdzie dowodnie przekonywa kilka pokoleń badaczy. I za życia ma szczęście widzieć pełny tryumf swej pracy w postaci najbardziej dotykającej, w postaci praktycznych, powszednich rezultatów: na polu przemysłu fermentacyjnego, w formie dezynfekcyi, antyseptyki, szczepień ochronnych, nowych a skutecznych metod leczenia. Pozostawia po sobie wielką szkołę, obejmującą tysiące uczniów, którzy dalej kroczą śladami mistrza, po drodze przez niego wytkniętej, i obiecują większemi jeszcze tryumfami świat wprawić w zdumienie. Obietnice zaś te nie wydają się złudnemi, bo już dotychczas w części zostały spełnione. Do grobu więc schodzi Pasteur, opromieniony chwałą taką wielką i taką zasłużoną, jaka rzadko jest udziałem największych nawet dobroczyńców ludzkości. Z imieniem jego połączona będzie pamięć o przełomie w nauce, o epoce w poglądach na świat żywy. I długo jeszcze po minięciu tej epoki imię to ze czcią najwyższą i uwielbieniem będzie wyprawiane.

Pasteur był chemikiem i pierwsze jego badania naukowe wyłącznie chemii były poświęcone. Tamu chyba zawdzięczać wypada, że do nauki biologii, i to do części tej nauki, najmniej na pozór przystępnej, wprowadził on metody badania ścisłe, jakich biologowie jego czasów zupełnie nie znali. Mistrz nad mistrzami w nauce o życiu, twórca nowego działu wiedzy biologicznej—bakteryologii, najprawowitszy rodzic współczesnych poglądów w medycynie, zapewne głównie dzięki temu doszedł do tak imponujących rezultatów, że, przeniknięty ścisłością rozumowania w naukach fizyko-chemicznych, starał się przenieść do biologii normy eksperymentów chemicznych, usiłował jasne stawiać przyrodzie pytania, a otrzymywane od niej odpowiedzi nieskończoną liczbę razy sprawdzał wciąż nowemi a odmiennemi doświadczeniami. Wytrwały w podejmowanej pracy, niełatwo zrażający się niepowodzeniami, surowy krytyk własnej roboty. Pasteur od najprostszego zadania przechodzi drogą logicznego rozumowania do najdonioślejszych spraw naukowych i praktycznych. Wszystko, co napotyka na tej drodze, a co nie tłumaczy mu się zrozumiale, wciąga w zakres swych badań i póty opracowuje swój przedmiot, póty mozoli się nad nim i trzodzi, póki nie wydobędzie samego rdzenia prawdy. Wówczas dopiero resztę, szczegóły, pozostawia swym uczniom, bo samemu pilno mu do innych ważnych, wytycznych spraw. Gdy zaś zdarza się, że przy dotykaniu niezwykle trudnych zagadnień nie od razu udaje mu się dojść do celu drogą teoretycznych rozważań, wówczas, bacząc na niezmierną ważność praktyczną poruszanych kwestyi, licząc się z doniosłością

tych usług, jakich ludzkości przysporzyć może, empirycznie poczyną sobie radzić i przebojem zdobywa rozwiązanie zajmującego go zadania.

II.

Ludwik Pasteur urodził się 27 grudnia 1822 roku w Dôle, w departamencie Jura, jako syn ubogiego rzemieślnika, garbarza. Ojciec, rozumny i ocytany, i matka, pełna entuzjazmu dla idei podniosłych, postanowili dać swemu dziecku wychowanie staranne i uczynić z niego człowieka wykształconego. Z trzyletnim synem przenoszą się do miasteczka Arbois, gdzie Pasteur spędza dziecinne swe lata. Malutki, najmniejszy ze swych kolegów, uczęszcza przyszły uczoney do pierwszych klas tamecznego kollegium i pełen dumy niesie z sobą do szkoły duże słowniki, których zupełnie mu nie potrzeba. Mało uważny i niezbyt pilny z początku, wkrótce poczyną wyprzedzać swych rówieśników, i nie zadowolony z sił uczących w Arbois, przenosi się do kollegium w Besançon. Ukończywszy tę szkołę, pozostaje w niej jeszcze czas jakiś, jako nauczyciel-repetytor, przygotowując się jednocześnie do egzaminu dla wstąpienia do słynnej Szkoły Normalnej w Paryżu. Egzamin ten powiódł się, Pasteur miał być przyjętym, jako czternasty z kolei. Niezadowolony wszakże z otrzymanych stopni, zaniechał na razie zamiaru wstąpienia do Szkoły i postanowił przez rok jeszcze uczyć się, aby przy następnym egzaminie konkursowym zasłużyć na miejsce lepsze. Pozostał przeto w Paryżu i w prywatnej szkole, w kollegium Św. Ludwika, przez czas ten pracował na równi z innymi uczniami. Po powtórny egzaminie wstąpił do Szkoły Normalnej, jako czwarty.

Już podczas pobytu w Besançon obudziło się w Pasteurze niezwykle zamiłowanie do chemii i niejednokrotnie wprawiał zapytaniami w kłopot starego swego profesora, który zadecydował nareszcie, że on sam do Pasteura powinien się udawać z prośbą o objaśnienie wątpliwych kwestyi. W Paryżu młody uczeń Szkoły miał przed sobą otwarte pole i mógł się dowoli oddawać studjom chemicznym. W Sorbonnie wykładał podówczas słynny Dumas, w Szkole Normalnej Balard. Uczniowie Szkoły słuchali obu kursów i obaj nauczyciele wywierali na swych słuchaczy wpływ znaczny. Myśli ogólne, rozwijane w doskonałym wykładzie przez Dumasa, moc naukowo zbadanych faktów, jakie podawał Balard, — wszystko to działało na Pasteura w pożądanym, dobroczynnym sposób. Z całym zapalem świeżego, wrażliwego umysłu rzucił się do studyów nad umiłowanym przedmiotem, a zajęty w pracowni doświadczeniami chemicznymi, rzadko odrywał

się od nich dla wypoczynku. Biblioteka Szkoły i pracownie chemiczne pochłaniały go całkowicie. W roku 1846 dawniejszy „bachelier ès lettres“ z Besançonu otrzymał po ukończeniu Szkoły Normalnej stopień „agrégé“ nauk fizycznych, lecz pozostał tu jeszcze przez dwa lata, jako preparator chemii. W roku 1847 pozyskuje stopień doktora, a w następnym zostaje powołany na profesora fizyki do liceum w Dijon. W tej epoce rozpoczyna się szereg samodzielnych prac Pasteura, które nieprzerwanie przez całe jego życie ukazują się głównie w sprawozdaniach paryskiej Akademii Nauk, a obok tego w innych poważnych wydawnictwach naukowych lub w postaci książek oddzielnych. O tej porze życia zajmują go wyłącznie badania chemiczne i fizyczne, lecz już poczynają świtać pierwsze myśli o istocie zjawisk w przyrodzie żywej.

W Dijon pozostaje Pasteur zaledwie kilka miesięcy, poczem obejmuje obowiązki dodatkowego profesora chemii w „Faculté des Sciences“ (uniwersytet) w Strasburgu. W roku 1852 mianowano go rzeczywistym profesorem na katedrze strasburskiej. W dwa lata później przenosi się do Lille, gdzie w charakterze dziekana organizuje na nowo wydział przyrodniczy uniwersytetu i pozostaje tu do roku 1857. W epoce tej następuje już najżywsze zainteresowanie się Pasteura zjawiskami fermentacyjnymi, do których prowadzą go spostrzeżenia czysto chemiczne nad kryształami kwasów i soli winnych. Z tych badań nad fermentacją alkoholową i innymi ma z czasem powstać nauka bakterjologii z rozlicznymi jej odłamami.

Pasteur powraca do Paryża, powołany dla objęcia kierunku nad studjami naukowymi w tej samej Wyższej Szkole Normalnej, w której sam został wtajemniczony w umiejętność naukowego badania. Od tego czasu nie opuszcza już stolicy, która jest świadkiem jego coraz bardziej imponujących zdobyczy naukowych. W roku 1863 zostaje profesorem geologii, fizyki i chemii w Szkole Sztuk Pięknych, a w 1867 profesorem chemii w Sorbonnie. Tę ostatnią katedrę zajmuje do roku 1875. W miarę posuwania się naprzód na drodze odkryć nie brak mu przykrości i goryczy, kiedy występuje przeciw starym i przestarzałym poglądom, lecz nie brak i podziwu współczesnych i licznych zaszczytów i odznaczeń, kiedy prawdy, przez siebie zdobywane, wyprowadza na światło dzienne i zapewnia im zupełne zwycięstwo. W roku 1862 Pasteur zostaje członkiem Akademii Nauk (w sekcji mineralogii); w roku 1881, na miejsce Littrégo, wstępuje uroczyście do Akademii francuskiej. Renan, któremu przypada w udziale powitanie Pasteura w progach tej najwyższej instytucji naukowej, w pięknej swej przemowie podnosi wysoko zasługi naszego uczonego, powiadając między innymi: „Jest coś, co potrafimy uznać w najrozmaitszych zasto-

sowaniach, coś, co w jednakowym stopniu właściwym jest Galileuszowi, Pascalowi, Michałowi Aniołowi, Molière'owi; coś, co stanowi podniosłość poety, głębokość filozofa, urok mówcy, dar proroczy uczonego. Wspólną tę wszystkim czynom pięknym i prawdziwym właściwość, ten ogień boski, to niepochwytne tchnienie, które ożywia naukę, sztukę i literaturę, znaleźliśmy i w panu—to geniusz. Nikt pewniejszym krokiem nie stąpił w krainie elementów przyrody; pański żywot naukowy jest niby świetlaną smugą wśród ciemnej nocy nieskończenie drobnych istot, w najgłębszych otchłaniach istnienia, z których powstaje życie.“

W roku 1887 Pasteur jednogłośnie został powołany na stanowisko stałego sekretarza Akademii nauk, po Vulpianie. Stan zdrowia wszakże i obciążenie innymi pracami nie pozwalały mu sprawować tych obowiązków dłużej nad dwa lata, poczem, pozyskawszy wyjątkowy tytuł honorowego sekretarza stałego, trudy tego stanowiska złożył w ręce nowoobranego sekretarza, Berthelot'a.

Zbyteczna przytaczać, ile zaszczytnych odznaczeń, dyplomów uniwersyteckich, medali, nagród pieniężnych przyniosły Pasteurowi jego prace naukowe. Słowkiem jednym wystarczy przypomnieć ową podniosłą uroczystość, jaką obchodził Paryż i cały świat naukowy w roku 1892, w 70-tą rocznicę urodzin Pasteura, oraz zapal, z jakim śpieszono ze wszystkich stron świata ze składkami na założenie słynnego „Instytutu Pasteura“ i licznych jego filii. Pozostawmy na uboczu zewnętrzną charakterystykę życia tego piewszorzędnego mocarza wiedzy, a starajmy się natomiast wniknąć głębiej w jego życie naukowe, pojąć, na czem polega jego wyjątkowe stanowisko w pochodzie rozwojowym wiedzy.

III.

Chemicy oddawna znali rozmaite odmiany ciał, podobnych do siebie w zupełności we wszystkich prawie cechach, a różniących się jedynie zachowaniem się względem światła. Istnieją np. sole kwasów, parawinowego i winnego, o dokładnie jednakowym składzie chemicznym, o tej samej formie krystalicznej, dokładnie tym samym ciężarze właściwym, w roztworach swych jednakowo nawet załamujące światło, lecz różniące się tem, że roztwór soli winnej zwraca płaszczyznę spolaryzowanego światła, gdy tymczasem roztwór soli parawinowej zachowuje się pod tym względem obojętnie. Najlepsi fizycy i krystalografowie, a na ich czele Mitscherlich i Biot, nie mogli rozwiązać przyczyny tego osobliwszego zjawiska. Obserwacya, nieuprzedzona żadnymi teore-

tycznemi przesądami, napotykała tu zagadnienie pierwszorzędnej trudności. Pomyślmy tylko, iż mamy przed sobą dwa ciała, dwa związki chemiczne, złożone z tych samych pierwiastków, zbudowane dokładnie jednakowo pod względem jakościowym i ilościowym, a więc z jednakowym układem atomów, zupełnie zresztą identyczne pod każdym względem, a jednak różniące się tylko na jednym punkcie: jeden z tych związków nie oddziaływa na określony rodzaj promieni światła, na tak zwane światło spolaryzowane, drugi natomiast skręca, odchyła promienie tego światła. Kto potrafi odkryć przyczynę tej różnicy, ten zdoła wejrzeć zarazem w najmisterniejszą budowę materji, dostrzeże wzajemny stosunek pomiędzy najdrobniejszymi cząsteczkami, składającemi formy kryształów, uczyni pierwszy krok na drodze badania układu przestrzennego atomów, ich ugrupowania wzajemnego. Pasteur najmocniej wierzył, że przez gorliwe zbadanie form krystalicznych soli kwasów winnych można będzie osiągnąć zrozumienie tych zjawisk, i z całym zapalem oddał się pracy nad temi badaniami w sferze fizyki i krystalografii optycznej. Ukończywszy tę pracę niezwykle pomyślnie, mógł z faktów, przez siebie zbadanych, dojść do ogólnień, które zastanawiają swą oryginalnością i prostotą jednocześnie.

Wszystkie ciała przyrody, zarówno mineralne, jak i występujące w państwie roślinnem i zwierzęcem, a nawet przedmioty, tworzone ręką ludzką, możemy podzielić na dwie duże grupy: w jednej mieszczą się ciała o budowie symetrycznej, w drugiej niesymetryczne. W pierwszych wyobrazić sobie można płaszczyznę, przecinającą ciało pośrodku i dzielącą je na dwie w zupełności równe połowy: prawą i lewą. Ciała takie, jak powiada matematyk, mają płaszczyznę symetrii, t. j. płaszczyznę, dzielącą je na dwie symetryczne połowy. W drugiej grupie mieszczą się ciała niesymetryczne. Ciało ludzkie, wzięte w całości, ma płaszczyznę symetrii; ręka natomiast, ucho, noga, nie są symetryczne. Prawej ręki np. nie możemy podzielić na dwie połowy, prawą i lewą, o jednakowej budowie. Gałąź, dokoła której spiralnie wyrastają liście, nie ma płaszczyzny symetrii. Kręte schody nie mają płaszczyzny symetrii, natomiast schody proste zbudowane są symetrycznie.

W państwie mineralnem, pomiędzy różnorodną mnogością kryształów, również napotykamy ciała symetryczne i niesymetryczne. Kryształ soli kuchennej, w formie sześcianu, ma płaszczyznę symetrii, nawet więcej, niż jedną. Dyament krystalizujący w formie prawidłowego ośmiościanu również zbudowany jest symetrycznie. Natomiast t. zw. kryształ górski, występujący w postaci igieł w szczelinach rozmaitych skał, nie ma płaszczyzny symetrii. Na kryształach tym znaj-

dujemy kilka małych płaszczyzn, ugrupowanych w taki sposób, że przypominają one swym układem formę ślimaka lub spirali.

Wszelkie przedmioty, mające płaszczyznę symetrii, odbijają się w zwierciadle w formach, zupełnie z sobą identycznych. Obraz zwierciadlany nakłada się doskonale na sam przedmiot, Ciała natomiast niesymetryczne nie dają obrazów identycznych. Prawa ręka daje w zwierciadle obraz lewej, na którą nie może być nałożoną, podobnie, jak nie możemy na lewą rękę włożyć rękawiczki z prawej.

Dawniejsi badacze soli kwasów winnych i podobnych do nich pod względem optycznym ciał nie dostrzegli, że kryształy te zbudowane są niesymetrycznie; pewne małe płaszczyzny na tych kryształach uszły ich uwagi. Pasteur natomiast pierwszy zauważył, że kryształ kwasu winnego—mówmy językiem popularnym—położony przed zwierciadłem, daje obraz nie identyczny z sobą samym co do położenia poszczególnych płaszczyzn. I to samo dzieje się ze wszystkimi solami, pochodzącymi od tego kwasu. Natomiast kwas parawinny i sole od niego pochodzące zachowują się tak, że przypuszczać należy, iż występują w kryształach, posiadających płaszczyznę symetrii. Pomimo więc identyczności w składzie chemicznym tych dwu związków, pomimo identyczności we wszystkich innych własnościach chemicznych i fizycznych, różnica w ich budowie krystalicznej odbija się na tem, że kwas winny i jego sole, jako niesymetrycznie zbudowane, skręcają płaszczyznę polaryzacji, zaś kwas parawinny i jego sole zachowują się w tym względzie obojętnie.

Dla wykonania doświadczeń, o których mowa, Pasteur sam przyrządał sobie wszystkie preparaty, których prace te wymagały. Badania zjawiska zwracania płaszczyzny polaryzacji dokonywa się w roztworach soli i kwasów winnych. A gdy z roztworów tych, po odparowaniu wody, powstawały kryształy i te ostatnie poddawane były ścisłej obserwacji krystalograficznej, Pasteura uderzyło zjawisko nieoczekiwane. Podczas gdy kwas winny i jego sole zawsze przedstawiały się w jednakowych formach niesymetrycznych, natomiast pomiędzy kryształami kwasu parawinnego, branymi oddzielnie, były jedne, które wskazywały brak symetrii w jednym kierunku, inne znów z dyssymetrią w kierunku przeciwnym. Z obojętnych na światło spolaryzowane roztworów kwasu parawinnego otrzymywano kryształy, których połowa miała pewne płaszczyzny zwrócone w stronę prawą, druga zaś połowa odpowiednie płaszczyzny zwrócone w stronę lewą. Pojedynczy kryształ kwasu parawinnego dawał w zwierciadle obraz identyczny z innym kryształem tegoż kwasu. Pasteur starannie wybrał kryształy jednego rodzaju i drugiego i rozpuścił je oddzielnie w wodzie. I oto, ku niemałemu zdumieniu, przekonał się, że dwa te roz-

twory działają na światło spolaryzowane, lecz w przeciwnym kierunku: jeden zwraca promienie w prawą stronę, drugi o tyleż w lewą. Z roztworu obojętnego na światło spolaryzowane poraz pierwszy przyrządzono dwa roztwory, w przeciwnych kierunkach działające optycznie. Kryształy jednego rodzaju były zupełnie identyczne ze znanymi już dawniej kryształami kwasu winnego, w prawo skręcającymi, kryształy drugiego rodzaju były nowo odkrytymi, skręcającymi w lewo. Kwas parawinny dlatego w roztworach swych okazał się obojętnym na światło spolaryzowane, że jest złożony z dwu rodzajów kryształów: skręcających w prawo i w lewo, i to w stopniu jednakowym. W kwasie parawinnym zobojętnione są wzajemnie wprost przeciwne optyczne własności kwasów prawowinnego i lewowinnego. Kryształy kwasu prawowinnego są zwierciadlanem odbiciem kryształów kwasu lewowinnego. Dyssymetria w tych dwu rodzajach kryształów wyrażona jest w kierunku wprost przeciwnym i dlatego spojone z sobą razem w roztworze dają ciało optycznie obojętne, symetryczne. Prawa połowa ciała ludzkiego jest zwierciadlanem odbiciem lewej tegoż połowy; każda z tych dwu połów oddzielnie wzięta jest niesymetryczna. Lecz spojone z sobą dają całość symetryczną, której odbicie w zwierciadle najdokładniej przylega do samego ciała w całości.

Nie dowierzano z początku młodemu uczonemu, i Pasteur, któremu udało się w sposób tak dla nas dziś jasny wytłumaczyć przyczynę różnic optycznych w ciałach o jednakowej budowie chemicznej, zmuszony był powtórzyć przed Biotem swoje doświadczenia, ażeby zdobyć uznanie dla tego odkrycia pierwszorzędnego znaczenia. W obecności znakomitego tego fizyka, który lepiej, niż ktokolwiek, znał wówczas fizyczne własności kryształów, Pasteur wykrył kryształy z obojętnego optycznie roztworu parawinnego kryształy, po prawej stronie ułożył wybrane, które, według niego, miały zwracać płaszczyznę polaryzacji w prawo, a po lewej te, które zwracać miały w lewo; następnie każdą z tych dwu grup kryształów znów rozpuścił w wodzie i roztwory oddał do zbadania niecierpliwionemu w oczekiwaniu na rezultat Biota. Młody, pierwsze kroki stawiający w dziedzinie nauki, Pasteur wywołał okrzyk zachwytu z piersi sędziwego Biota: „Drogi moje dziecię—rzekł ten ostatni—przez całe życie tak kochałem naukę, że odkrycie twe sprawia mi silne bicie serca.“ Te słowa wielkiego uczonego, który przez długi szereg lat sam badał zjawiska polaryzacji światła w związkach chemicznych i który doskonale zdawał sobie sprawę, że badania te pozwolą przeniknąć do tajników budowy materii, stały się proroctwami dla dalszego życia Pasteura. Śmiało twierdzić można, że każde następne odkrycie tego niepospolitego w świecie nauki umysłu w ten sam sposób oddziaływało na każdego, kto umiłował

wiedzę, jak pierwsze to odkrycie oddziałało na Biota. Bo każde odkrycie Pasteura nacechowane jest piętnem, jakie na dziełach ludzkich tylko prawdziwy gieniusz wycisnąć jest w mocy. Każde nosi w sobie zaród całego świata nowych myśli i nowych postępów w dziedzinie wiedzy. Każde wskazuje nowe drogi badania i stwarza nowe dziedziny poznawania. Któż ze współczesnych,—świadców tych zdobyczy, jakimi uświetnił Pasteur naukę medycyny,—zdaje sobie należycie sprawę z doniosłości badań tego wielkiego mistrza nad kryształami kwasu winnego? Późniejsze tryumfy kazały nam prawie zapomnieć o pierwszych krokach, jakie młody, przez niewiele znany, chemik, stawił na polu badań krystalograficznych. Dziś wszakże, kiedy czas przyszedł na wszechstronną ocenę tego wspaniałego żywota naukowego, należy szczególny położyć nacisk na to, że właśnie owe badania Pasteura dały najsilniejszy impuls do studyów nad budową, utkaniem, strukturą materji. Nauka, która w naszych czasach wyodrębniła się w oddzielną gałąź, t. zw. chemię fizykalną, w dużej bardzo części zawdzięcza swe powstanie Pasteurowi. Te, napozór tak mało znaczące, badania nad własnościami optycznymi i krystalicznymi kwasów i soli winnych były niemałym bodźcem do rozważań nad układem najdrobniejszych części materji, molekuł (cząsteczek) i atomów, względem siebie. Z czasem wyłoniła się specjalna gałąź wiedzy chemicznej, stereochemia, która zajmuje się określeniem względnego położenia atomów w przestrzeni w najrozmaitszych odmianach materji. A do tych studyów stereochemicznych bodźcem jednym bodaj z najsilniejszych były opisane tu badania Pasteura.

Sam Pasteur bynajmniej nie zatrzymał się na opisanju różnic pomiędzy rozmaitemi odmianami kwasów i soli winnych, lecz, w dążności swej do uogólnień, faktom tym nadał znaczenie nader doniosłe. Skłaniał się mianowicie do przypuszczenia, że jedynie w procesach życia roślinnego i zwierzęcego mogą się wytwarzać materje o własnościach, pod względem geometrycznym wyraźnie niesymetrycznych. Późniejsze badania nie pozwoliły usprawiedliwić tych domniemań. Autor zaś ich tymczasem, pomimo, że całą swą istotą duchową przywiązany do dziedziny badań chemiczno-fizycznych i widzący dla siebie tutaj najwdzięczniejsze pole do pracy, niby na chwilę tylko schodzi z głównego gościńca na boczną ścieżkę, lecz znów na tej nowej drodze napotyka tak wiele doniosłych zagadnień i rozstrzyga je z takim powodzeniem, że przez całe życie nie powraca już do pracy w zakresie czysto chemiczno-fizycznym. Liczne wprawdzie rozprawy chemiczne i fizyczne przez cały szereg lat jeszcze wychodzą z jego pracowni, lecz żadna nie dorównywa wartością naukową badaniom nad kwasami i solami winnymi.

IV.

Na tablicy, umieszczonej przez paryską radę miejską na murach dawnej pracowni Pasteura, przy ulicy d'Ulm, wypisane są następujące słowa:

„Ici fut le laboratoire Pasteur:

1857 Fermentations,

1860 Génération spontanée,

1865 Maladies des vins et des bières,

1881 Virus et Vaccins,

1885 Prophylaxie de la rage.“

Tablica pamiątkowa musiała-by przybrać olbrzymie rozmiary, gdyby zamierzono wyszczególnić na niej wszystkie donioślejsze zdobycze naukowe tego genialnego męża. Napisy, wymienione przez radę miasta Paryża, przemawiają językiem zrozumiałym do ogółu. Wymagają jednakże uzupełnienia, z którego jasno wynikać powinno, że tryumfy, jakie święci umysł ludzki przez pracę Pasteura na polu życia codziennego, najnierozzerwalniej są zespolone z jego studjami w zakresie czysto teoretycznym, oderwanym na razie od zastosowań praktycznych.

Badania nad dyssymetrią w kryształach sprowadziły umysł Pasteura na tory, na których spotkał się z zasadniczymi zagadnieniami w dziedzinie biologii. Przypadek, który podsunął mu konieczność bliższego zajęcia się rozkładem soli winnych, dopełnił reszty, i oto widzimy naszego uczonego, oddającego się z całym zapałem studjom nad zjawiskiem fermentacji.

Zjawiska fermentacji, gnicia, butwienia ciał organicznych, szczątków materji roślinnych i zwierzęcych, od najdawniejszych czasów zajmowały przyrodników. Tłómaczono je rozmaicie, przywiązując do nich najróżnorodniejsze nazwy, które wszelako przyczynić się mogły tylko do tem większego zaciemnienia samego pojęcia. Kiedy Pasteur występował na widownię nauki, panowała prawie niepodzielnie teoria słynnego chemika niemieckiego, Liebiga, która wielu umysłom wydawała się wprawdzie niedostateczną, której obalić wszakże nikt nie miał odwagi, ani siły. „Fermenty—powiada Liebig—to wszystkie owe materje azotowe: albumin, włóknik, sernik lub ciecze takie, jak mleko, krew, mocz, w stanie przemian chemicznych, jakim ulegają przy zetknięciu się z powietrzem.“ Według mniemania tego, tlen, zawarty w powietrzu, miał stanowić ową pierwszą przyczynę wstrząśnienia, zachodzącego w materjach azotowych; a ruch, w ten sposób

powstały, udzielał się ciałom fermentującym, rozkładając je na nowe produkty chemiczne.

Berzeliusz i Mitscherlich nieco inaczej objaśniali zjawisko fermentacji. Zaliczali je obaj ci znakomici chemicy do szeregu owych tajemniczych procesów chemicznych, t. zw. katalitycznych, w których ferment stanowi ciało, działające przez samo zetknięcie na substancje fermentujące. Sam ferment przytem nie ulega zmianie, jest tylko bodźcem, wywołującym przemiany chemiczne.

Na razie zapomniano o interesującym odkryciu, które mogło-by naprowadzić na właściwą drogę w objaśnieniu fermentacji, a które dokonane zostało przez dwu badaczów, niezależnie od siebie: we Francji przez Cagnard-Latoura i w Niemczech przez Schwanna. Do najpospolitszych fermentów należy osad, tworzący się w kadziach, w których fermentowało piwo, osad, znany pod nazwą drożdży piwnych. Otóż Cagnard-Latour, badając drożdże piwne, dostrzegł wyraźnie, że drobne ich pęcherzyki rozmnażają się przez pączkowanie, i mimowoli zadał sobie pytanie, czy czasem fermentacja cukru w brzeczce piwnej nie znajduje się w pewnej zależności od tego rozmnażania się komórek drożdżowych. Nie udało się dostrzedz nic podobnego w innych zjawiskach fermentacyjnych, nie powiodło się wykryć żadnych analogii ze zjawiskami pokrewnymi i zarzucono myśl, która nastroczyła się Cagnard-Latourowi. A Liebig, do ostateczności broniąc swoich poglądów, głosił: „Nie dlatego działają drożdże piwne, iż są organizowane, lecz dlatego jedynie, że były w zetknięciu z powietrzem. Na fermentujący cukier wywiera działanie tylko martwa część drożdży, ta mianowicie, która się już przeżyła i znajduje się na drodze do rozkładu.“ Powaga Liebiga w świecie naukowym była podówczas tak wielka, że nieśmiało tylko podnosiły się tu i owdzie głosy przeciw jego teoryom.

Rozpocząwszy swe badania nad fermentacją mleka, Pasteur odrazu dostrzegł, że nie zdoła się pogodzić z panującymi mniemaniami. Widział on najwyraźniej, jak podczas kwaśnienia mleka działa żywa istotka organizowana, która sprowadza tę fermentację. Ferment mleczny składa się z drobnych komórek podłużnych, o średnicy nie większej nad jedną tysięczną część milimetra. Mnożą się one przez podział, t. j. każda komórka dzieli się pośrodku, rozpada się na dwie kulki, które z kolei, wydłużając się i przewężając w jednym miejscu, znów tworzą dwie nowe komórki i t. d. „Bywają wypadki—powiada Pasteur w sprawozdaniu, złożonem Akademii Nauk w r. 1857—że podczas fermentacji mlecznej można widzieć na powierzchni tworzącego się osadu masę szarą, leżącą w cienkiej warstwie. Jeżeli rozglądamy tę masę pod mikroskopem, nie możemy na razie dostrzedz w niej nic

osobliwego. A jednakże odgrywa ona rolę bardzo ważną.“ Pasteur, przestrzegając najdokładniej niezbędnych środków ostrożności, wziął drobną cząstkę z tej szarej warstwy, a umieściwszy ją w roztworze cukru, wywołał w tym ostatnim żywą fermentację i zwały rozwój fermentu, który właśnie mieścił się w owym osadzie. Nie poprzestał jednakże na tem jednym doświadczeniu, lecz odmieniał je w najrozmaitszych warunkach, starając się najusilniej wykluczyć wszystkie zarzuty, jakie spotkać-by go mogły ze strony rzeczowników teorii Liebiga. Należało odebrać możność twierdzenia, że w doświadczeniach tych działa ferment wskutek jedynie poprzedniego swego zetknięcia się z powietrzem; trzeba było hodować, rozmnażać komórki fermentu mlecznego, poznać, jaki pokarm dla życia ich i rozwoju jest niezbędny, ażeby wykazać, że fermentacja w ścisłej pozostaje zależności od tego procesu życiowego, i tym sposobem usunąć grunt z pod teorii Berzeliusza, twierdzącej, że samo zetknięcie—bez wszelkiego dalszego rozmnażania się fermentu—wystarcza do prowadzenia fermentacji aż do zupełnego rozkładu ciał fermentujących. I wszystkie te doświadczenia w wielkiej ich różnorodności, doświadczenia najściślej kontrolujące i sprawdzające się nawzajem, były przez Pasteura dokonane ze ścisłością, jakiej przed nim nie znano. Już nietylko fermentacja mleczna służyła za przedmiot badania, lecz w zakres tych rozległych studyów wciągnął Pasteur wiele innych zjawisk fermentacyjnych. Nadewszystko do najdrobniejszych szczegółów zbadał fermentację alkoholową, octową i masłową. Dawniejsi badacze zjawisk fermentacyjnych studyowali w nich sam tylko proces chemiczny, analizowali materię fermentującą i jej produkty po rozkładzie. Pasteur, chemik, również rozpoczyna od tej strony pracę, a ścisłością swych poszukiwań chemicznych prześciga poprzedników, wykrywając takie produkty, które tamci przeoczyli. Lecz na tem bynajmniej nie poprzestaje. Głębiej, niż ktokolwiek z jego poprzedników, przenika do tajemniczej pobudki, która powołuje do życia owe osobliwsze zjawiska, odkrywa ich przyczynę w żywych istotach mikroskopowej wielkości, bada warunki życia tych tworów, wskazuje, czego im do życia potrzeba, jakiego otoczenia, jakiej temperatury, co im sprzyja, a co hamuje ich rozwój, otwiera przed nauką wrota do całego, dotychczas niewidzianego, świata żywych tworów, którym w gospodarce przyrody przypada naczelné miejsce i które w życiu codziennem, w przemyśle, na każdym niemal kroku spotykamy.

Pół wieku nie upłynęło jeszcze od pierwszych prac Pasteura w tej dziedzinie, a nowa gałąź wiedzy, która z prac tych powstała, bakteriologia, rozwinęła się przez ten czas do prawdziwie imponujących rozmiarów. Zazwyczaj, mówiąc dziś o bakteriologii, mamy na myśli

ten dział nauki o najdrobniejszych istotkach żyjących, który stanowi specjalną odrośl medycyny. Pierwsze wszakże studia bakteriologiczne Pasteura nie sięgały jeszcze w tę dziedzinę. Zawczasu co prawda budzą się w nim już idee o udziale bakterii w sprawach chorobowych, idee, które następnie dojrzały i stały się żyznym gruntem dla całkowitego rozwoju nauk lekarskich w naszych czasach. Przeważnie jednak pierwsze lata badań nad bakteriami poświęcił Pasteur ogólnym zjawiskom przyrody, a poznawszy w nich udział mikrobów, póty szczegółowo zajmował się temi studjami, dopóki nie przekonał wszystkich o prawdziwości swych poglądów. A trudności w tym względzie były niezmiernie wielkie. Nie wystarczało opisywać formy różnych bakterii i obserwować sposób, w jaki mnożą się one i rozwijają. Należało doskonale je wyosobnić, wyodrębnić, umieć odróżniać jedne od drugich. Potrzeba było znaleźć metody, które pozwoliły-by z taką oczywistością odróżnić ferment kwasu mlecznego od fermentu kwasu masłowego, jak potrafimy odróżnić gatunki i rodzaje wyższych zwierząt i roślin. W ten świat mikroskopowy należało wnieść zmysły tak zaostrzone, żeby pozwoliły rozglądać się w nim z dokładnością, do jakiej przywykliśmy w otaczającym nas, a gołym okiem widzialnym, świecie. A gdy same formy żywych przedstawicieli rozmaitych fermentacji zbyt były zbliżone do siebie, potrzeba było najdokładniej poznać ich działanie, ich pracę chemiczną, wybadać grunt, na którym żyją, sposób, w jaki się odżywiają, produkty, jakie w swym procesie życiowym wytwarzają. We wszystkich tych kierunkach najlepsze, najściślejsze wskazówki były podane przez Pasteura. Wszędzie na tych nowych, zupełnie przedtem nieznanach, zagubionych gdzieś w gęstwinie niewiedzy ludzkiej, ścieżkach badania, on pierwszy kroczył naprzód, niosąc światło, które następnie pozwoliło rozejrzeć drogi i cele, do jakich wiedzie. A stworzył taką pewność w badaniu, że stąpamy obecnie w tym nowym mikrokosmie odważnie, nie obawiając się zbłądzić i zejść z właściwych dróg poznania.

Dopiero dzięki pracom Pasteura, poznaliśmy całe znaczenie ustawicznego krążenia materii w przyrodzie, bo ukazały nam się w całej jasności przyczyny tego krążenia, siły, pracujące nad ustawicznym rozkładem szczątków materii organicznej i powracające ją światu martwemu, atmosferze, wodzie, ziemi. Zjawisko gnicia i butwienia ogołocone zostało ze swej zagadkowości i stanęło w szeregu niezbędnych ogniw w łańcuchu ciągłych przemian chemicznych, kołowego obiegu materii na naszej planecie. „Rośliny potrzebują do zbudowania swego ciała dwutlenku węgla, który czerpią z atmosfery; amoniaku, rozmaitych soli, które chłoną w siebie z wody i gruntu, gdzie wyrastają. Lecz dwutlenek węgla nie występuje zbyt obficie w atmo-

sferze i dawno już-by się był wyczerpał, gdyby wciąż znowu gaz ten do powietrza nie przyplęwał. Jednocześnie zaś z nastąpieniem braku tego gazu w powietrzu, ustać-by musiało życie roślin; a wówczas i zwierzęta-by wyginęły, gdyż pośrednio lub bezpośrednio ostatecznie wszystkie zwierzęta roślinami się żywią. Taki sam skutek pociągnęło-by za sobą zużycie soli, amoniaku i wszystkich tych ciał, których roślinom do życia potrzeba. A nastąpiło-by to nieubлагalnie, gdyby wciąż tylko mnożyły się rośliny i zwierzęta. Bo rośliny mogą czerpać materiał na swe ciała jedynie ze związków nieorganicznych, a stopy trupów zwierzęcych i szczątków roślinnych na nic im się nie przydadzą. I stopniowo zamieszkiwana przez żywe twory ziemia nasza pokryła-by się olbrzymiami masami obumarłych roślin i padłych zwierząt. Warstwa tych szczątków życia stawała-by się coraz grubszą, aż w końcu rośliny korzeniami swymi nie mogły-by osiągnąć gruntu, aby zeń pokarm czerpać. I ustało-by życie na ziemi, planeta nasza stała-by się olbrzymim grobem... Niszczącej wszakże tej działalności przeciwdziałają inne siły, które rozszczepiają budowlę, wzniesioną przez zielone rośliny, które niszczą znów organiczną materię, stwarzając miejsce dla nowych tworów. Usuwiają one trupy z oblicza ziemi i przerabiają je na korzyść nowych pokoleń, utrzymują w czystości i wiecznej świeżości żywą szatę przyrody, stwarzają życie, niszcząc martwą materię. Lecz siły te zarazem ścierpieć nie mogą, ażeby choroby gniewdzili się wśród kwitającego życia i koślawiły świat. Usuwiają przeto wszystko, co słabe i chore, wówczas nawet, kiedy ono rozpaczliwie broni się od zagłady i chciało-by rozkoszować się jeszcze tą odrobiną życia, którą pozostawia mu litościwa natura. Niekiedy, co prawda, możni i silni także padają tu ofiarą; lecz na zajmowane przez nich miejsce czeka już tylu innych, że utworzona luka natychmiast znów się wypełnia. Potężne te siły jednemu szkodzą, lecz tysiącom innym życie dają. Człowiek nie wiele się nad nimi zastanawia, bo nie myśli o tem, jak wielkie mają one znaczenie w gospodarstwie przyrody. Nazwy ich przykre mają brzmienie, a jedna nawet obawą nas przejmuje. Siłame temi są: fermentacya, gnicie i zaraza—wyniki życiowej działalności bakteryi.“

V.

„Każde ciało suche, stając się wilgotnem, i każde wilgotne, stając się suchem—rodzi zwierzęta.“ Tak twierdził Arystoteles. Według rozumienia Wergiliusza, pszczoły rodzą się z gnijących wnętrzości młodych byków. Słynny alchemik, van-Helmont, pisał: „opary, pod-

noszące się z dna błot, rodzą z siebie żaby, pijawki, trawy i wiele innych jeszcze tworów.“ Wiara w samorodztwo, przekonanie, że zwierzęta niższe przychodzą na świat bez udziału rodziców, że powstają z najrozmaitszych materii w osobliwszych warunkach ich rozkładu, przechowała się do połowy naszego stulecia. Zbudowanie mikroskopu przez Leeuwenhocka w r. 1685 nie rozstrzygnęło tej pierwszorzędnej sprawy naukowej. Nie pomyślano na razie o tem, ażeby przy pomocy tego potężnego narzędzia badać przykłady zalegającego się życia. Znakomity fizyolog szkocki, Harvey (1640), występuje przeciw ogólnie panującym poglądom i wygłasza swoje słynne: „omne vivum ex ovo“, dając w nauce początek kierunkowi, znanemu pod nazwą „panspermistycznego.“ Lecz zaognia tem tylko zapal zwolenników teorii samorodztwa, którzy mnożą dowody i przytaczają coraz więcej przykładów dla poparcia swej „generatio spontanea“, czyli heterogenii. Filozofia natury ze swoim kierunkiem czysto spekulacyjnym nie była powołaną do rozstrzygnięcia sporu o samorodztwo. Podjęmowano już w połowie ubiegłego stulecia doświadczenia, które bezpośrednio były skierowane ku rozjaśnieniu tego doniosłego pytania. Anglik, Needham, umieszczał hermetycznie zatkałe naczynia z wodą w wodzie wrzącej i pozostawiał je w tej temperaturze przez czas dość długi, ażeby wyniszczyć—jak rozumował—wszelkie ślady życia organicznego, wszystkie możliwe zarodki. Pomimo to, w tak wygrzanej wodzie znajdował—po ostudzeniu i pozostawieniu przez dni kilka w normalnej temperaturze—wyraźnie rozwijającą się roślinność. Fizyolog włoski, Spallanzani, z większą starannością, niż to czynił Needham, powtarzał podobne doświadczenia i doszedł do rezultatu innego: nie mógł mianowicie dostrzedz ani śladu życia nigdzie w tych środowiskach, w których uprzednio przez gotowanie zabił wszystkie zarodki. Nader był ożywiony spór pomiędzy Needhamem, stronnikiem samorodztwa, a Spallanzanim, który wykazywał z niezmierną umiejętnością błędy swego przeciwnika i wytrwale bronił poglądu, że wszystko, co żyje, pochodzi z żywych tworów. Z czasem argumenta się wyczerpały, sprawa przycichła, tu i owdzie tylko nieśmiało odzywano się o niej, występując już to za, już przeciw teorii samorodztwa. Lecz sprawa nie była bynajmniej ostatecznie załatwioną. Nie umiano powołać się na dowody przekonujące, nie potrafiiono ani z jednej, ani z drugiej strony odeprzeć z całą stanowczością wszystkich zarzutów, jakie roznamiętnieni w walce zapaśnicy byli zgromadzili. I oto nagle z całą poprzednią gwałtownością na nowo wynika dawny bój naukowy w roku 1858, kiedy profesor liceum w Rouen, Pouchet, donosi Akademii Nauk w Paryżu, że przy gniciu substancji mięsnych, pomimo najdokładniejszego choćby wyjałowienia i oczyszczenia po-

wietrza, zawsze zaradza się drobnitka bakteryja gnilna. Wywody Pouchet'a starali się zbić najsłynniejsi akademicy: zoologowie Milne-Edwards i Lacaze-Duthiers, botanik Payen, antropolog Quatrefages, fizyolog Klaudyusz Bernard i chemik Dumas. Póty wszakże gromadził Pouchet dowody na swoją obronę i póty w walce tej mógł się spodziewać zwycięstwa, aż póki nie wystąpił na arenę młody uczeń Dumasa, chemik, który w sztuce eksperymentowania złożył już poprzednio świadectwa niepospolitej umiejętności.

Tym uczonym był Pasteur. Ówczesne badania jego nad zjawiskami fermentacji zapoznały go ze światem najdrobniejszych istot, o które właśnie spór się toczył. Poprzednicy Pasteura, chcąc wykonywać doświadczenia z powietrzem oczyszczonym z zawartości bakteryi i ich zarodków, czyli z t. zw. powietrzem wyjałowionem, posługiwali się w tym celu bardzo mozolnemi sposobami, które nigdy dawać nie mogły absolutnej pewności, że istotnie powietrze wolne jest od wszelkich śladów życia organicznego. Pasteur natomiast postępował w sposób nader prosty: brał kolbkę, wyciągniętą w długą cieniutką szyjkę, i ogrzewał ciecz wewnętrzną, w której chciał badać samorodztwo, do wrzenia; podczas wrzenia płynu kolbkę zalutowywał i otrzymywał tym sposobem najdokładniej wyjałowione materyały, nie w powietrzu, lecz w próżni, odosobnione od świata, znajdującego się zewnątrz kolbki. W tych kolbkach nie można było po najdłuższym nawet czasie wykryć „samorodztwa.“

Zagorzały rzecznik samorodztwa, Pouchet, bronił się wytrwale i wielokrotnie odmieniał swe doświadczenia, które dawały mu zawsze jednakowe rezultaty. Nikt tak wytrawnem i biegłym okiem, z taką przenikliwością i dowcipem, nie dojrzał błędów, popełnianych przez Pouchet'a, jak Pasteur.

„Przeciwnicy samorodztwa—oto słowa Pouchet'a—sądzą, że zarodki istot mikroskopowych znajdują się w powietrzu i że powietrze przenosi je z miejsca na miejsce, na znaczne odległości. Lecz cóż powiedzą ci przeciwnicy, jeżeli wywołam życie organizowanych tworów, zastąpiwszy uprzednio powietrze atmosferyczne sztucznem?“ I oto, jak wykonał to doświadczenie. Napełnił naczynie wrzącą wodą, z niezmierną ostrożnością zatkał je hermetycznie, a przewróciwszy dnem do góry, zanurzył w miseczce z rtęcią. Gdy woda zupełnie ostygła, otworzył naczynie pod rtęcią i wpuścił w nie pół litra tlenu, owego gazu z powietrza, który stanowi ośrodek niezbędny dla życia. W naczyniu była zatem tylko czysta, wyjałowiona woda i chemicznie czysty tlen. Pouchet wprowadził do tego naczynia jeszcze mały kłębek siana, który umieszczony był w malutkiej rurce i uprzednio przez długi czas przechowywany w temperaturze powyżej 100°. Po ośmiu

dniach w tej nalewce z siana (w mieszaninie wody z sianem) rozwinęła się pleśń. „Skąd się ta pleśń wzięła?” zapytuje Pouchet. Przecież nie z tlenu, który otrzymany został sposobem chemicznym w temperaturze jasnego żarzenia. Ani z wody, która starannie była przygotowana i w stanie wrzenia została zamknięta w naczyniu. Ani z siana wreszcie, które przez długi czas trzymane było w suszarce powyżej 100°. A ponieważ mniemali niektórzy, że pewne twory, nawet po ogrzaniu do 100°, mogą jeszcze zachować zdolność do życia, przeto nagrzewał Pouchet siano do 200° i 300° stopni.

„Prawda—odpowiedział na to Pasteur w jednym ze swych publicznych wykładów w Sorbonnie—doświadczenie w ten sposób przeprowadzone jest bez zarzutu, lecz tylko w tych punktach, które pochłonęły uwagę autora. Dowiodę Panom, że jest tu jeden błąd, którego Pouchet nie zauważył, którego nie podejrzewał nawet i którego nikt przed nim nie podejrzewał i że błąd ten czyni całe doświadczenie najzupełniej nieścisle, tak nieścisle, jak doświadczenie van-Helmonta z żabami i pijawkami, rodzącemi się z oparów błotnych. Dowiodę, że w podobnych doświadczeniach należy wystrzegać się używania rtęci, dowiodę, że to właśnie rtęć wnosi do naczynia zarodki, a raczej pył z powietrza, w którym zarodki te się znajdują.“ I dowiódł,—dowiódł tak niezbiecie, że żadnej w słuchaczach i widzach—bo doświadczenie to w najdrobniejszych szczegółach oglądać można było—nie pozostawił wątpliwości. Rzucił snop światła na powierzchnię rtęci w zaciemnionem audytorjum i pokazał, jak obficie pył występuje na tej powierzchni, połyskującej metalicznym swym blaskiem. Usunął rtęć ze swych doświadczeń, a w pozostałych szczegółach powtarzał je za Pouchetem i życia „samorodzącego się“ nie wywołał. Pozostawało jeszcze do wykonania doświadczenie, które by wykazało, że istotnie w pyle, unoszącym się w powietrzu, znajdują się zarodki drobnych mikroskopowych istot. Pasteur wciągał powietrze do kolbek, zatkanych watą; przefiltrowane w ten sposób powietrze wolne było od zarodków, z waty natomiast w odpowiednich warunkach rozwijały się liczne bakterye, grzybki i pleśnie. Pragnąc zabić wszelkie ślady życia organicznego w powietrzu, poprzednicy Pasteura ogrzewali je lub działali na nie stężonym kwasem siarczanym. Filtrowanie przez watę było również już przed Pasteurem podane przez Schrödera, który pragnął tym sposobem wykluczyć wpływ wszelkich czynników chemicznych i fizycznych. Lecz i na tem Pasteur nie poprzestał. I jeśli mógł kto jeszcze przypuszczać, że samo tylko filtrowanie powietrza przez watę wystarcza do zmiany własności jego, to i ta ostatnia możliwość zarzutu została przez Pasteura usunięta. Nie potrzeba było nawet korka z waty. Dość było szyjkę kolbki wyciągnąć w długą,

kilkakrotnie zagiętą rurkę, ażeby powstrzymać rozwijanie się drobnoustrojów. Zarodki bowiem, przenikające wraz z powietrzem przez szybkę, układały się zgodnie z prawem ciężenia w zagiętych częściach rurki i nie dochodziły do wyjąłowionego przez gotowanie wnętrza kolbki.

Powietrze na kuli ziemskiej, w różnych warunkach, w rozmaitych miejscowościach, mniej lub więcej obfituje w zarodki mikroorganizmów i w rozwinięte już drobnoustroje. Z zapasem odpowiednio przygotowanych i zamkniętych kolbek, zawierających płyny, w których mogły się w odpowiednich warunkach rozwijać bakterye, lecz płyny zupełnie wyjąłowione, udał się Pasteur do Arbois. Część tych kolbek otworzył w polu, daleko od miejsc zamieszkanyc, inną część u podnóża wyniosłości, stanowiących pierwsze płaskowzgórza jurajskie; trzecią seryę, złożoną z dwudziestu kolbek, otworzył na górze wysokości 850 metrów; czwartą wreszcie, znów 20 kolbek, na wysokości 2000 metrów, w pobliżu Mer-de-Glace. Całą tę kolekcję zawiózł następnie do Paryża i złożył w biurze Akademii Nauk. Z dwudziestu pierwszych kolbek, otwartych w polu, w ośmiu znaleziono istotki organizowane. Z dwudziestu, otwartych na płaskowzgórzu Jury, tylko w pięciu rozwinęło się życie drobnoustrojów. A z dwudziestu, otwartych na wysokości 2000 metrów przy silnym wietrze, dmącym ze szczelin lodowca, tylko jedna kolbka była zepsuta.

Podobne doświadczenia były wykonywane po Pasteurze wielokrotnie i w sposób nader urozmaicony. Poznano, dzięki temu, dokładnie atmosferę pod względem bakteryologicznym według tych wskazówek i metod, jakie podał Pasteur. A każde następne doświadczenie na tem polu, każda późniejsza obserwacya w dziedzinie nowej nauki o drobnoustrojach, którą do życia powołał Pasteur, była nowym dowodem, świetnie popierającym jego klasyczne badania, skierowane ku obaleniu teoryi samorodztwa. I od owego czasu, kiedy te badania Pasteura były dokonane, upadła ostatecznie nauka heterogenistów. Pojedyncze głosy, które się jeszcze niekiedy dawały słyszeć i przemawiały za nią, milkły szybko, bo przestano się z nimi liczyć, bo raz na zawsze teoryi samorodztwa usunięty został grunt, na którym mogła-by jeszcze rościć prawa do swej obrony. Odwieczny spór o sposób powstawania życia został ostatecznie załatwiony przez zdumiewającą oryginalnością swą i prostotą doświadczenia Pasteura. Jedna z najdonioślejszych tajemnic biologicznych została wyswietlona przez sumiennego, wysoce w badaniach pomysłowego, eksperymentatora, który z fizyka, krystalografa i chemika przedzierzgnął się w biologa; tę mając wyższość nad spólczesnymi biologami, że do nauki o życiu

wniósł metody badania nowe, dokładnością swą prześcigające wszystkie przed nim znane.

W sprawie zaś o samorodztwo nikt nie zawaha się dziś powtórzyć za Pasteurem: „Niema obecnie ani jednej okoliczności, która czyniła-by prawdopodobną myśl, że istoty mikroskopowe zjawiają się na świecie bez zarodków, bez podobnych do siebie przodków. Ci, którzy tak twierdzą, byli ofiarami omyłek, źle wykonanych doświadczeń, przepelnionych błędami, których nie potrafili dojrzeć lub uniknąć. Samorodztwo jest niczem innym, jak chimera.“

VI.

O Pasteurze już za życia pisano wiele. Żaden wszakże z jego biografów nie prześcignął pana Vallery-Radot'a, którego książka p. t. „Histoire d'un savant par un ignorant“, poświęcona Pasteurowi, jest doskonałym wzorem monografii biograficznych—jeśli wolno tak powiedzieć—znakomitych ludzi. Ktokolwiek pisze dziś o Pasteurze, musi z książki tej nie tylko czerpać dane, dotyczące życia tego wielkiego męża, lecz i dlatego musi się nią posilkować, że znajdzie tu w niezwykle naturalny sposób przedstawiony obraz ścisłego związku pomiędzy życiem a czynami naukowymi, pomiędzy zewnętrznymi warunkami, w jakich znajdował się Pasteur w rozmaitych okresach swej działalności, a temi ideami i pracą doświadczalną, które go w danym okresie zajmowały. Pan Vallery-Radot, nazywając się skromnie „un ignorant“, jednakże potrafił wydobyć na jaw wszystkie właściwe cechy umysłowe Pasteura. Niemałą pomocą była mu zażyłość i stosunki rodzinne, jakie go z Pasteurem wiązały; cytuje on nam słowa uczonego i długie rozmowy, które z nim prowadził, a w których mistrz występuje w roli nauczyciela i popularyzatora swych genialnych myśli. Książka pana Vallery-Radot'a przestaje wobec tego być pracą dyletanta, lecz jest wiernem odbiciem całej postaci umysłowej naszego uczonego, jest dokumentem wysoce cennym dla wszystkich, których interesuje stopniowy postęp czynów naukowych, dojrzewanie myśli w głowie Pasteura. Z tej książki, więcej niż z jakichkolwiek innych prac, drukowanych o Pasteurze, dowiadujemy się o związku pomiędzy ogólnymi, teoretycznymi poglądami a praktycznymi zastosowaniami, który zawsze istniał w umyśle Pasteura, który nie opuszczał go nawet wówczas, gdy uczony zajęty był roztrząsaniem spraw naukowych, na pozór zupełnie nie mających wspólnego z życiem codziennem, z wymaganiami powszedniemi, z przemysłem lub zastosowaniami w medycynie. Jest w umysłach takich, jak Pasteura, intuicyja, pewnego rodzaju fantazyja twór-

cza, która pozwala im myśl, występującą ledwie w zarodku, rozsnuwać jak najdalej i obejmować nią fakta i zjawiska, leżące dla krótkowidzów daleko po-za obrębem owego pierwotnego pomysłu. Lecz zarazem jest w nich godna podziwu ostrożność, która trzyma na wodzy wyobraźnię i każe zmuzną drogą obserwacyi i doświadczenia dochodzić do wniosków o tem, czy istotnie owa samorzutność twórczego umysłu nie uniosła ich zbyt daleko. W prawdziwie genialnym uczonym dwie te siły umysłu muszą pozostawać w takim do siebie stosunku normalnym, ażeby nie krępowały się wzajemnie, lecz wspierały, ażeby jedna poprawiała błędy drugiej. Głęboko zakorzenione przekonanie o słuszności metody doświadczalnej, o konieczności ustawicznego jej stosowania w każdym wypadku, hamuje w uczonym porywy twórczej jego wyobraźni i zabezpiecza go w wywodach hypotetycznych od wzlotów tak wysokich, gdzie traci się już pewność postępowania naprzód na drodze poznania. Tylko dzięki temu współdziałaniu zachowuje uczony niezbędną równowagę w swych badaniach, przykłada właściwą miarę do istotnych postępów nauki i jest zdolny osądzić, jak daleko dany pomysł, dane odkrycie pozwoli nam się posunąć naprzód. Jako umysł naukowy, Pasteur pod tym względem stanowi prawdziwy wzór, zarówno interesujący psychologa, jak i każdego, którego praca choćby w najdalszym pozostaje związku z pracą życia tego niezwykłego męża. Ostrożny w badaniu przedmiotu, którego nie objął jeszcze całkowicie, mimo to wszakże widzący już zdała najwznioślejsze cele, do jakich badanie to może go zaprowadzić, nabierający coraz więcej pewności w miarę, jak się przekonywa, że stąpa po właściwej drodze i że nie zawodzą go przebliski jasných jego idei,— dochodzi w końcu do twierdzeń tak niewzruszonych i z takim zapalem broni ich i w nie wierzy, że na wet niekiedy wzbudza podejrzenie, iż ryzykuje zbyt wiele. Przepowiada z góry wyniki swych doświadczeń z tak głębokim przekonaniem, że stanie się według słów jego, iż przejmując zdumieniem tych, którym zdawało się, że równie dobrze przedmiot poznali. A sztukę eksperymentatora zna tak doskonale, iż na drodze doświadczalnej nie spotykają go niespodzianki, iż nie powraca do nowych doświadczeń dlatego, że go dawniejsze zawiodły, lecz jedynie, aby skontrolować wyniki, osiągnięte już jedną metodą, aby sprawdzić je i upewnić, wzmocnić grunt, na którym powstały i nadać im siłę prawd niezbitych. Gdy mimo to wszystko, natrafia na opór, gdy odzywają się głosy poważne a wątpliwe, nie lekceważy ich, lecz na nowo przystępuje do pracy, wierny swej metodzie doświadczalnej i znajdujący w niej nieprzebrane mnóstwo odmian w pomysłach, obfite bogactwo nowych strun, z których wydobywa nieznanne przedtem dźwięki, świadczące o prawdzie bronionych przezeń wniosków. I ostatecznie wytrąca

broń z rąk swych przeciwników i widzi niepodzielny tryumf swych idei. A tryumf ten bynajmniej nie jest przelotny, zależny od chwilowego stanu wiedzy, to nie przejściowa fala w wielkim, nieprzerwanym prądzie nauki. Ten tryumf w największej części wypadków daje się najwyraźniej dojrzeć, ująć, jest tak pochwytny, tak realny, jak zarobek kupca, zysk fabrykanta, plon rolnika.

Pasteur bada zjawiska fermentacji, odkrywa ich przyczyny i przebieg, rozgląda się dokoła w przyrodzie i znajduje coraz większe gromady tych drobnych istot, którym nikt przed nim należnej nie poświęcił uwagi; wyświetla dalej rolę ich w gospodarce przyrody, wskazuje, w jaki sposób przychodzą one na świat i jak giną, i, dzięki temu, otwiera przed umysłem ludzkim nowy, nieznaný dotąd, świat zjawisk, istot żywych i praw przyrody. Nie poprzestaje wszakże na tem, lecz, poznawszy udział mikrobów w rozmaitych odłamach pracy ludzkiej, przenika i tutaj, starając się dać tej pracy warunki pomyślniejsze, uchronić ją od strat i zawodów, uregulować tak, ażeby człowiek opanował ją całkowicie i nie był zależnym od owych drobnych niewidzialnych swoich wrogów. Pasteur zbliżył się do pracy na polu przemysłu fermentacyjnego, poznał w najmniejszych szczegółach tajniki fabrykacji octu, piwowarstwa, przyrządzania win. Lepiej, niż ktokolwiek, znając życie drożdży, które zamieniają ciecze cukrowe na napoje alkoholowe, zbadawszy najdokładniej zwyczaję życiowe grzybka octowego, który przenosi tlen z powietrza na alkohol i zamienia go na kwas octowy, potrafił Pasteur wskazać naukowe zasady przyrządzania tych przetworów i dojrzeć przyczyny wielu niepowodzeń, nad którymi praktycy od niepamiętnych czasów napróżno łamali sobie głowy. Z przekonującą jasnością wykazuje, że t. zw. choroby piwa i wina mają swe przyczyny w rozwoju pewnych odmian drożdży, które zakłócają normalną fermentację alkoholową i wytwarzają minimalne wprawdzie często, lecz wysoce niepożądane ilości przymieszek. Wyosabnia, izoluje te nowe odmiany drożdży, poznaje ich własności życiowe i podaje następnie wskazówki, jak ich unikać. Zastosowuje wysoką temperaturę do ochrony wina od psucia się i chorowania i oszczędza hodowcom wina i wytwórcom napojów alkoholowych kolosalne sumy, które przedtem szły na marne. Wina „pasteuryzowane“ wchodzą w ogólne użycie i skargi na psucie się win ustają. Metody fabrykacji piwa udoskonalają się i znów tutaj niepowodzenia i rozczarowania fabrykantów ustępują zdumieniu, wobec prostych metod, któremi Pasteur poprawia dotychczasowe sposoby fabrykacji. Istota zjawiska powstawania octu z cieczy spirytusowych zostaje odkryta i w ślad za tem idą ulepszenia i w tej gałęzi przemysłu. Któż obliczy bezpośrednio zyski, jakich w tym zakresie swych badań przysporzył Pasteur pracy ludz-

kiej? Któż—dodawszy do tego te nieocenione dobrodziejstwa, jakimi Pasteur obdarzył swą ojczyznę przez odkrycie przyczyny chorób jedwabników, a całą ludzkość przez odkrycie przyczyn chorób zakaźnych i przez wskazówki zapobiegania im—nie przyzna, że raczej zbyt mało, niż zbyt wiele powiedział słynny Huxley o Pasteurze, twierdząc, że prace jego wynagrodziły Francję za okup wojenny, wypłacony Niemcom? Nauka w najczystszej, idealnej swej postaci, podobnie jak i sztuka, nie liczy się z zastosowaniami i potrzebami życia codziennego. Sama w sobie mieści swe wzniosłe cele i sama w sobie znajduje i najpotężniejsze bodźce, i najwyższe nagrody dla swych adeptów. W sferze tej nauki Pasteur pozyskał-by nieśmiertelność przez same tylko swe badania nad geometrycznymi i optycznymi własnościami kryształów, nad fermentacyami i nad samorodztwem. O ileż droższem jest jego wspomnienie, o ileż większą cześć dla jego imienia, skoro potrafił stworzyć dla człowieka lepsze warunki istnienia, zabezpieczyć tysiące ludzi od ruiny, a innym tysiącom otrzeć łzy rozpacz i zwątpienia. Cała wielkość Pasteura, potęga jego znaczenia w dziejach wiedzy występuje dopiero, gdy poznaje się jego badania nad chorobami.

VII.

Hodowla jedwabników we Francji południowej zagrożona została poważną kłeską już około roku 1849. Gąsienice ulegały chorobie i umierały, zanim poczęły wysnuwać nitki jedwabne. W wielu razach zdołano się przekonać, że już jajeczka dotknięte są ową fatalną chorobą zaraźliwą, która szybko przenosiła się na całe pokolenia. Z roku na rok niebezpieczeństwo wzrastało, choroba potęgowała się, a całemu przemysłowi jedwabniczemu groziła niechybna ruina. Ze 130 milionów produkcy spadła w roku 1865 do 8 milionów. Napróżno rząd francuski wyznaczył nagrodę 500,000 franków dla tego, kto odkryje środek przeciw chorobie jedwabników. Znacznie wcześniej już wprawdzie kilku badaczy francuskich i włoskich zwróciło uwagę na poruszające się osoblive ciała we krwi i w jajeczkach jedwabników, a niektórzy nawet wprost wygłosili domniemanie, że te obce ciała pozostają w związku z chorobą jedwabników; nikt wszakże dokładnie sprawy tej nie zbadał, nikt nie podał skutecznego środka walczenia z zatrważającą chorobą. Zrozpaczona ludność południowych departamentów Francji, której byt i zamożność w tak znacznej części zależą od rozwoju przemysłu jedwabniczego, zapukała do senatu. Podano petycję, podpisaną przez 3600 merów, radców municypalnych i właścicieli ziemskich. Ustanowiono komisję naukową, której referent, Dumas,

znakomity chemik i nauczyciel Pasteura, wpadł na myśl, żeby temu ostatniemu powierzyć misję zbadania, co jest przyczyną choroby jedwabników. Z początku Pasteur odrzucił tę propozycję. Było to w owym czasie, kiedy rezultaty jego badań nad organizowanymi fermentami odkrywały przed nim nową a szeroką drogę do dalszych poszukiwań, kiedy wyjaśnił teorię fabrykacji octu i odkrył przyczyny chorób wina; kiedy, obaliwszy teorię samorodztwa, rzucił tyle nieoczekiwanego znikąd światła na najdrobniejsze istoty organizowane i na ich rolę w przyrodzie. I oto nagle radzą mu opuścić dotychczasową drogę badań i wstąpić na nową, zupełnie mu nieznaną, na której tak mało ukazuje się widoków powodzenia. „Dał-bym wiele za to—powiada Dumas do byłego ucznia swego, a obecnie najwierniejszego przyjaciela—gdybyś Pan zechciał zająć się tą sprawą, która tak trapi mój biedny kraj ojczysty. Niestety to jest większe, aniżeli możesz sobie Pan wyobrazić.“ „Ależ zechciej Pan, proszę, uwzględnić—była odpowiedź Pasteura—że ja nigdy nie zajmowałem się jedwabnikami.“ „Tem lepiej—odpowiada Dumas—że nic Pan o tym przedmiocie nie wiesz; wolny od uprzedzeń poprzednich badaczy, będziesz się Pan ściśle trzymał tego tylko, co sam zdołasz wykryć.“ I Pasteur uległ namowom Dumasa, na dowód głębokiej czci dla nauczyciela swojego. W czerwcu 1865 r. udał się do Alais, a ledwie przybył na miejsce, w którym podówczas „pébrine“, owa choroba jedwabników najgwałtowniej występowała, natychmiast zabrał się do mikroskopowego badania zdrowych i chorych osobników w rozmaitych stadiach rozwoju. Już w kilka godzin po przybyciu zdołał dojrzeć osobliwe plamki na ciele poczwerek i gąsienic, na które i poprzednicy jego zwrócili uwagę, i odtąd z właściwym sobie zapałem począł badać wszystkie kolejne fazy, jakie przechodziły jedwabniki zdrowe i chore, usiłując rozemnać jednocześnie sposób pojawiania się owych plamek, wędrówkę podejrzanych ciałek we krwi i jajeczkach, ich losy i wpływ na ciało jedwabnika. Udało mu się na wstępie dowieść, że pebryna jest stanowczo chorobą zakaźną. Ciałka zarażające, dostawszy się wraz z pożywieniem do kanału pokarmowego jedwabnika, roznoszą chorobę po wszystkich tkankach. W niektórych wypadkach choroba mogła mieć dłuższy okres utajony, gdyż pojawiała się wyraźnie dopiero na dwunasty dzień. Owe plamki, postrzegane na ciele jedwabników, bynajmniej nie stanowiły samej istoty choroby, lecz były wynikiem gospodarki zaraźliwych ciałek wewnątrz organizmu jedwabnika. „Gdyby tak—pomyślał Pasteur—udało się przeprowadzić analogię pomiędzy temi plamami, a pewnymi chorobami u człowieka, w których także na ciele występują plamy lub wylewy krwi, ileż ciekawych wniosków napotkał-by na tem polu odpowiednio przygotowany umysł!“

Wierny swojej metodzie doświadczalnej, nie wyprowadził Pasteur ani jednego stanowczego wniosku, zanim go nie poparł wielokrotnemi, do nieskończoności niemal urozmaicanemi, eksperymentami. Brał pewną liczbę zdrowych jedwabników i zarażał je pasorzytnemi ciałkami, otrzymanemi z chorych. Starannie wybierał, posługując się mikroskopem, zdrowe jedwabniki, hodował je oddzielnie na podłożu wolnem od zarazy i otrzymywał doskonale nici i cały szereg pokoleń zdrowych jedwabników. Do najdrobniejszych szczegółów wy badał przebieg choroby i wskazał wszystkie źródła zarazy. Odpierał po kolei fakt za faktem, które mu przytaczano, a które miały niby świadczyć przeciw jego wnioskom. Długoletnie doświadczenie hodowców pozwoliło już zebrać moc obserwacyi, z których każdą poszczególnie wypadło rozjaśnić obecnie. Zwłaszcza jedno spostrzeżenie na razie trudno było zrozumieć. Niejednokrotnie mianowicie udawało się doskonale otrzymywać kokony w zakładach, w których poprzedniego roku pebryna gwałtownie się srożyła. Przemawiało to pozornie przeciw zakaźnemu charakterowi choroby. Lecz Pasteur dowiódł, że jeżeli pył, unoszący się w powietrzu, może być przenośnikiem zarazy, to tylko wówczas, kiedy jest świeży. Substancje, zawierające w sobie ciała zakaźne, wysychając, tracą swą siłę zakaźną. Już po kilku tygodniach przy niedostatecznej wilgotności pył taki staje się zupełnie niewinnym. W miejscu zarazy przeto choroba sama przez się może wygasnąć. Idąc dalej i wyświetliwszy dokładnie wszystkie objawy choroby, poznał Pasteur nawet, że istnieją dwie różne odmiany chorób, które niszczą jedwabniki.

W trzy tygodnie po rozpoczęciu badań w Alais Pasteur był już w stanie przesłać Akademii Paryskiej pierwsze sprawozdanie ze swych prac. Powracał wszakże kilkakrotnie do miejscowości nawiedzanych przez epidemię pebryny, zanim odważył się z całą stanowczością wygłosić swe zdanie o istocie choroby i o środkach walczenia z nią. Najważniejsza bowiem część zadania, część praktyczna, która tak doniosłe miała znaczenie dla bogactwa Francyi, polegała na wskazaniu środków wygubienia pebryny. I nietylko ojczyzna Pasteura oczekiwała niecierpliwie rezultatów jego badań. Niemniej palącym stało się to pytanie dla północnych Włoch, dla południowych posiadłości Austrii, dla wszystkich i po-za-europejskich krajów, w których jedwabnictwo stanowi ważną gałąź przemysłu. Bo i w tych wszystkich krajach epidemia wśród jedwabników poczęła się srożyć poważnie.

Wreszcie, po kilkoletnich usilnych studyach, podaje Pasteur niezawodny sposób zwalczania choroby, zalecając staranne wybieranie zdrowych jajeczek do dalszego rozwoju, a niemniej staranne niszczenie zarażonych. Wybór z łatwością i niezawodną pewnością odbywa

się przy pomocy prostych stosunkowo mikroskopów, z którymi manipulować w szybkim czasie uczą się najzwyczajniejsze robotnice. Metoda, podana przez Pasteura, nie natrafia z początku na przychylnie przyjęcie; jest pewne niedowierzanie, pewna obawa takiego przyrzędu, który w dotychczasowej praktyce hodowcy jedwabników zupełnie był nieznan. I pierwsze zastosowanie tej metody wprowadzają nawet nie współziomkowie Pasteura, lecz hodowcy austriaccy. Po krótkim wszakże czasie chwiejności i powątpiewania wszyscy zostają przekonani i niepodzielny tryumf towarzyszy rezultatom pracy Pasteura. Jedwabnictwo odzyskuje dawny swój świetny rozwój. setki milionów zostają znów krajowi przysporzone, tysiące ludzi znów ma pracę i byt zapewniony. Pasteur tymczasem, wskutek niezwykle uciążliwych warunków, w jakich pracował w południowej Francji, wskutek nadmiernej pracy i niewygód, jakich tam doznawał, pod koniec roku 1868 zostaje porażony, traci władzę połowy ciała i zdaje się ogólnie, że, jeśli nawet powróci do zdrowia, nie będzie już w stanie pracować z taką wytrwałością, jak dotychczas. Był czas, kiedy bardzo poważnie obawiano się o jego życie. On sam jak najuściślej pragnął powrotu do zdrowia, by móc pracować na pożytek kraju; skarżył się, że umierać musi właśnie teraz, kiedy tyle jeszcze-by mógł oddać usług ojczyźnie dalszemi swemi pracami. W umyśle jego jasno już zarysowują się plany dalszych robót nad niektórymi chorobami zwierząt i ludzi. Nieznacznie, tak nieznacznie, jak z chemika stał się biologiem, staje się z biologa badaczem specjalistą na polu patologii. Niewątpliwie podczas prac nad jedwabnikami dojrzewały w umyśle jego idee o przyczynach chorób zakaźnych człowieka. Pojął on doskonale, czemu zawdzięczał powodzenie w poszukiwaniu przyczyn pebryny. Nikt lepiej od niego nie znał świata najdrobniejszych istot, fermentów i mikrobów; i jakkolwiek nikomu, ani nawet jemu samemu, wówczas, kiedy nalegał nań Dumas, nie wydawało się prawdopodobnem, ażeby w chorobach tworów zwierzęcych tak ważną mogły odgrywać rolę istotki mikroskopowe—obecnie jasno rysowała się przed nim dalsza droga, po której naturalnym biegiem rzeczy kroczył mu wypadało. Znakomity fizyk XVII stulecia, Robert Boyle, powiedział już:

„Ten, kto potrafi przeniknąć w istotę fermentów i zjawisk fermentacyi, prędzej, niż każdy inny, zdoła należycie wyjaśnić rozmaite zjawiska chorobowe, zarówno w procesach gorączkowych, jak i w innych chorobach. Wielce jest prawdopodobnem, że bez dokładnego poznania teoryi fermentacyi nigdy zjawiska chorobowe nie będą dobrze zrozumiane.“ Prorocze słowa Boyle'a ziściły się, a tym wybrańcem losu, któremu przypadła w udziale sława odkrycia przyczyn zarówno fermentacyi, jak i chorób zakaźnych, był Pasteur.

Atak mózgowy, jakiemu uległ Pasteur w roku 1868, pozostawił na zawsze ślady w częściowym bezwładzie lewej ręki. Powróciły wszakże stosunkowo szybko władze umysłu, w niczem nieupośledzone.

VIII.

„Nic nie udaje się—tak mówił kiedyś Pasteur—bez powziętej z góry idei. Potrzeba tylko tyle mieć rozsądku, ażeby z domniemania tego nie wyciągać wniosków, niepopartych doświadczeniem. Powzięte idee, poddane surowej kontroli doświadczenia, są ożywiającym płomieniem nauk przyrodniczych. Gdy natomiast czynimy z nich przekonania trwałe (*idée fixe*), stają się dla tychże nauk fatalnemi. Przypomnijcie sobie piękne zdanie Bossuet'a: „Największa nieprawidłowość myślenia mieści się w tem, że często dlatego tylko wierzymy w pewne rzeczy, iż pragniemy, ażeby były.“ Puścić się w drogę i często zatrzymywać się, aby zapytywać, czy nie błądzimy—oto najprawdziwsza, najslusniejsza metoda!“

Każda praca naukowa Pasteura powstawała pod wpływem owego ożywczego tchnienia powziętej z góry myśli i każda poddawana była przezeń surowej krytyce doświadczenia, zanim jej twórca odważył się w ostatecznej formie wypowiedzieć swe wnioski. Gdy wszakże raz je wypowiedział, nie cofał się już nigdy; ani napaści przeciwników, ani sceptyczne natrzęsanie się ludzi praktycznych, ani wahania tych, których mimowolna ogarnia obawa przed nowemi prawdami, nie zdołały poruszyć Pasteura. Przeciwników, którzy nie dorastali do jego wysokości, lekceważył. poważnych badaczy przekonywał coraz nowemi, genialnie pomyślanemi argumentami, ostro nieraz, co prawda, występując, lecz zawsze z najwyższą godnością nosząc wysoko sztandar prawdy naukowej. I oburącz trzymając się tej swojej rozumnej metody, zwyciężał zawsze i zawsze ostatecznie zdobywał najszczerzy poklask.

Już od roku 1860 począwszy, ustawicznie powracał do myśli, ażeby badania swe doprowadzić do tego, by przygotowaną była droga do wysledzenia przyczyn powstawania chorób. A odkrywając coraz nowe gatunki żywych mikrobów, organizowanych fermentów, spodziewał się dotrzeć do poznania przyczyn chorób zakaźnych. Myśli swe niejednokrotnie wypowiadał w swych pracach, sam nie mogąc się zdecydować wstąpić na tę nową drogę. „Nie jestem lekarzem, ani weterynarzem“, mawiał ze skromnym niepokojem, nie będąc pewny, czy praca, wobec tych braków w jego wiadomościach przygotowawczych, wyda pożądane rezultaty. Lecz nareszcie przemógł się, wy-

szedł z roli obserwatora owego nowego ruchu, jaki począł się w medycynie pod wpływem jego prac nad fermentami, i sam przystąpił do czynnego udziału, zajmawszy się w początku szczegółowem zbadaniem strasznej choroby, zwanej karbunkulem, czyli wąglikiem.

Karbunkul sroży się corocznie i opustosza dotkliwie stada, nie tylko we Francyi, lecz i w Hiszpanii, Włoszech i Rossyi. Były lata, kiedy sama Francya ubożała wskutek tej strasznej choroby o 15 do 20 milionów franków. Występuje ona w nieco odmiennych objawach u rozmaitych zwierząt: owiec, krów, koni; w wielu wypadkach dotyka też człowieka. Napróżno przez niezmiernie długi czas poszukiwano przyczyn tej choroby. Naukowe prace nad tym przedmiotem poczęły się ukazywać około 1850 roku. Davaine we Francyi, a Pollender w Niemczech, pierwsi podali pewne dokładniejsze wiadomości, dotyczące wąglika. W sprawozdaniu Davaine'a i Reyera, złożonem paryskiemu towarzystwu biologicznemu w r. 1850, czytamy: „We krwi zwierząt chorych na karbunkul znajdują się małe nitkowate ciała, długości dwóch krążków krwi; drobne te ciała nie odznaczają się ruchami samoistnemi.“ Zdanie to przytoczone jest w sprawozdaniu prawie że ubocznie tylko, jako spostrzeżenie interesujące, którego wszakże znaczenia autorowie należycie nie ocenili. Dopiero w trzydzieści lat później tenże Davaine, korzystając z lepszych warunków, w jakich miał sposobność zbadać zwłoki zwierząt, padłych na karbunkul, wyraża się o owych utworach nitkowatych znacznie jaśniej, ba, nawet upatruje w nich przyczynę choroby. „W obecnym stanie nauki—jak wyłuszcza Davaine—nikt nie pomyśli o tem, abyśmy mieli szukać przyczyny tej zarazy po-za owemi drobnymi organizmami. One stanowią przyczynę widoczną, dotykającą; jest to istotka organizowana, obdarzona życiem, rozwijająca się i rozmnażająca, podobnie jak inne żywe organizmy. Zapewne wskutek swej obecności i szybkiego rozwijania się we krwi sprowadza ona, na podobieństwo fermentu, zmiany, które zabijają zakażony organizm. Dawno już temu lekarze i przyrodnicy ze względów teoretycznych przypuszczali, że choroby zakaźne, ciężkie gorączki epidemiczne, dżuma i t. p. powstają skutkiem mnożenia się niewidzialnych drobnych żyjątek lub fermentów, lecz nie wiadomo mi, czy dotychczas dokonano choć jednego pewnego spostrzeżenia na potwierdzenie tego poglądu.“ Istotnie było to pierwsze pewne spostrzeżenie, które z nieznaną dotychczas jasnością przemawiało za pasorzytną teorią chorób zakaźnych. W tej formie wszakże, w jakiej swe spostrzeżenia przytaczali Davaine i Pollender, brakło im jeszcze tej siły przekonywującej, która-by je uczyniła niewzruszoną prawdą i niewątpliwą zdobyczą medycyny doświadczalnej. Sprawiedliwość każe nie zapominać o tem, że niezależnie od Pasteura, znako-

mity bakterjolog niemiecki, Robert Koch, najwięcej przyczynił się, przez badanie lasecznika węglkowego do ugruntowania w nauce pojęć współczesnych o naturze chorób zakaźnych.

Powodzenie pracy Pasteura w tej nowej dziedzinie, w którą wstąpił, znów zawdzięcza on metodzie, którą tak doskonale opracował w poprzednich swych badaniach nad fermentacyami. Davaine'owi i innym poprzednikom Pasteura na tem polu, jakkolwiek udało się przez zastrzykiwanie małej ilości bakterji karbunkułowych do krwi zdrowych zwierząt otrzymywać z tych ostatnich charakterystyczne tej choroby objawy, jednakże nie mogło się powieść w zupełności doskonale wyosobnienie tych chorobotwórczych mikroorganizmów, ich zupełne oddzielenie od innych przypadkowych drobnoustrojów, wyhodowanie w stanie zupełnie czystym. Tego przedewszystkiem potrzeba było dla poznania osobliwych warunków życiowych lasecznika węglkowego; nikt zaś do pracy takiej lepiej nie był przygotowany, jak Pasteur, który już tylokrotnie potrafił na sztucznych gruntach odżywiać i hodować rozmaite fermenty organizowane. Przystępuje więc do tego zadania nasz uczonec, a wyosobniwszy doskonale nowo poznany gatunek mikrobów, oddaje się znów z całą energią badaniom jego warunków życiowych. Tylko tym sposobem otwierają się przed Pasteurem ukryte przed innymi drogi, któremi zabójcza bakterja przenika do ciała zwierzęcia; tylko dzięki temu wszechstronnemu poznaniu życia danego mikroorganizmu może Pasteur począć myśleć o najwznioślejszem zadaniu, jakie nasuwa się tu umysłowi ludzkiemu, o sposobach walczenia z chorobami zakaźnymi.

Jednocześnie z badaniami nad lasecznikiem węglkowym, mając często sposobność badać trupy zwierząt, napotyka Pasteur inne mikroorganizmy chorobotwórcze, które sprowadzają zakażenie krwi. Wykrywa więc obok lasecznika węglkowego osobliwe pręcikowate, a zagięte utwory, t. zw. wibryony, które powodują posocznicę krwi. Przekonywa się nadto, że gdy dla życia pałeczek węglika niezbędną jest obecność tlenu, natomiast wibryony posocznicy rozwijają się doskonale bez obecności powietrza i tlenu. Rozszerza dzięki temu już dawniej przy badaniu fermentacyi zdobyte wiadomości o „powietrznych“ i „bezwietrznych“ (aerobach i anaerobach) mikrobach i wskazuje warunki, w jakich musi nastąpić zakażenie karbunkulem i zakażenie posocznicą i ostatecznie utrwała w nauce pasorzytniczą teorię chorób zakaźnych. Nie tylko dwadzieścia i dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Pasteur występował po raz pierwszy z obroną swych poglądów w tym kierunku, lecz jeszcze i znacznie później, tu i owdzie odzywały się głosy, które domagały się uznawania w mikrobach nie przyczyn, lecz skutków, wyników danej choroby. Na kongresie mię-

dzynarodowym w Londynie, w r. 1881, dr Bastian, znany lekarz jednego z największych szpitali londyńskich, przemawiał w tym duchu. Obecny na posiedzeniu Pasteur odezwał się w te słowa: „Czyż to możliwe, ażeby w naszych czasach ogłoszona była taka herezya naukowa! Odpowiedź moja doktorowi Bastianowi będzie krótka. Weź Pan kończynę jakiegokolwiek zwierzęcia, zmiażdż ją, a rozmiarządzonym kościom i rozerwanym tkankom pozwól się zmieszać z krwią i rozmaitemi innymi cieczkami normalnymi i nienormalnymi w jakiegokolwiek ze chcesz Pan ilości. Uważaj tylko, ażeby skóra, pokrywająca kończynę, nie została w całości swej uszkodzona i aby z powietrza nic po przez skórę się nie przedostało,— a upewniam Pana, że ani nazajutrz potem, ani przez cały czas trwania choroby nie ukaże się najdrobniejszy choćby mikroorganizm w tej kończynie.“

Mikroby wybredne są w swych wymaganiach życiowych; nie wszędzie rozmnażają się z jednakową energią; potrzeba im koniecznie odpowiedniego środowiska, substratu, podłoża, na którym mogły-by wieść życie w przyjaznych warunkach. Pasteur zawsze najbaczniej miał zwrócić uwagę na tę stronę przedmiotu, gdyż sądził słusznie, że tylko przez poznanie przyjaznych i niepomysłnych warunków istnienia chorobotwórczych drobnoustrojów zdoła dojść do ostatecznego celu, do wskazania sposobu ich niszczenia, czy to na zewnątrz organizmu, czy też wówczas, gdy już organizm został zakażony. Eksperymentując ze swojemi czystymi hodowlami bakterii, które wyrastały na rozmaicie przyrządzonych sztucznych podłożach, w bulionie mięsny, na żelatynie i t. d., zastrzykując je, czyli szczepiąc rozmaitym zwierzętom, na których w pracowni swej doświadczenia prowadził, widział już Pasteur, jak odmiennie zwierzęta te się zachowują. Uważne obserwacje naturalnych zjawisk już także dają w tym względzie pobudki do niezmiernie interesujących rozmyślań i doświadczeń. Karbunkuł łatwo opada wołu i owcę, łatwo daje się zaszczyć królikowi i świnie morskiej, natomiast niesłychanie rzadko spotyka się u psa i świni, które potrzeba kilkakrotnie zarazić, ażeby otrzytać—i to nie zawsze—dodatni rezultat. Karbunkuł nie przyjmuje się również u kurcząt, którym szczepiono znaczne ilości krwi, zakażonej wąglikiem, a jednakże okazały się na tę chorobę zupełnie odpornymi. Doświadczenia takie nie mogły nie obudzić w Pasteurze najwyższego zaciekawienia. Bo czyż istotnie nie zagadkowym jest fakt, że ilość szczepionki wąglikowej, znacznie większa od tej, która wystarcza do zabicia wołu, nie może w niczem zaszkodzić zdrowiu kurczęcia?

Cały szereg doświadczeń, wykonanych przez Pasteura, wspólnie z uczniami, przekonał go, że lasecznik wąglikowy nie rozwija się, gdy jest poddany temperaturze 44 stopni Celsjusza. Ponieważ normalna

temperatura ptaków wynosi 41—42 stopni, nasuwała się przeto myśl, że przyczyna odporności kurcząt na lasecznika karbunkułowego pochodzi stąd, że temperatura ich ciała nieznacznie tylko jest niższą od temperatury, w której zarazek karbunkułowy przestaje już się rozwijać. Pasteur rozumował, że normalna odporność życiowa jest w stanie wyrównać tę niewielką różnicę temperatur pomiędzy 42 a 44 stopniami. Zawsze bowiem liczyć się trzeba z naturalną siłą odporności wszystkich istot żywych jaką okazują, gdy wypada im walczyć z chorobą i śmiercią. Gdyby rozumowanie takie było słuszne, należało się spodziewać, że kury zapadną na zaszczepiony im karbunkuł, jeśli uda się zniżyć temperaturę ich krwi. Przystąpiono tedy do doświadczenia. Zaszczepiono kurze karbunkuł, a następnie wstawiono ją w naczynie z wodą, o temperaturze 25°. Wkrótce temperatura krwi zwierzęcia opadła do 37—38 stopni, a po 48 godzinach zwierzę było martwe; we krwi znaleziono olbrzymie mnóstwo laseczników karbunkułowych. A gdy udało się przez samo tylko oziębienie znieść odporność kurczęcia na karbunkuł, w umyśle Pasteura powstało nowe pytanie: czy nie udało-by się też wyleczyć zakażonej kury przez dość wczesne rozgrzanie jej ciała? Znow zaszczepiono kurze karbunkuł i, jak poprzednią, postawiono w naczynie z wodą o 25°; a gdy poczęły występować w niej objawy choroby, wyjęto ją z wody, owinięto dobrze w watę i pomieszczono w miejscu ogrzaniem do 35°. Powoli siły powracały i po kilku godzinach kura zupełnie wyzdrowiała. Lasecznik karbunkułu ginął, a zwierzęta, które przechodziły ten eksperyment, pozostawały nadal w najlepszym stanie zdrowia.

Podobne doświadczenia prowadził Pasteur wielokrotnie i po raz pierwszy w pracowni swojej takimi sposobami odkrył drogę racjonalnego leczenia chorób zakaźnych. Nie poprzestawał wszakże na tych pierwszych wskazówkach, lecz mozolnemi, nader szczegółowemi poszukiwaniami w każdym oddzielnym wypadku starał się dotrzeć do środków leczniczych i zapobiegawczych najważniejszych, charakterystycznych dla danej choroby i najlepiej dających się tu zastosować. W każdym bowiem wypadku mamy do czynienia ze specyficznymi warunkami, których nie znajdujemy w innych, choćby na pozór podobnych. Wielką różnorodność warunków, w jakich rozwijają się i mnożą różne gatunki bakteryi u jednego i tego samego zwierzęcia, jak również gdy jeden gatunek znajduje grunt dla siebie odpowiedni w różnych gatunkach zwierząt, poznał już Pasteur wówczas, gdy w zakres swych badań nad chorobami zakaźnymi wciągnął jeszcze chorobę, zwaną kurzą cholerą. O ileż widnokrąg ten się rozszerzył, gdy w miarę dalszych postępów spotykał się z innymi jeszcze chorobami zakaźnymi. Po wydobyciu charakterystycznej dla danej choroby bakteryi,

po najściślejszem jej zindywidualizowaniu, należy najdokładniej poznać jej formę i sposób rozmnażania się. Niektóre, zwłaszcza pałeczkowate, mikroby mnożą się przez dzielenie, inne w ten sposób, że, doszedłszy do stanu dojrzałości, wypuszczają z ciała swego osobliwe drobniutkie twory, zarodniki, które w dalszym ciągu rozwijają się i dochodzą do stanu dojrzałych mikrobow. Są i takie, które mnożą się i przez podział, i przez wydawanie zarodników. Należy dobrze wy badać, kiedy zachodzi pierwszy sposób rozmnażania się, kiedy drugi. Należy poznać, jakie warunki fizyczne i chemiczne sprzyjają rozwijaniu się i mnożeniu, jakie powstrzymują te procesy życiowe. Z kolei należy szukać dróg naturalnych, któremi dany gatunek bakteryi przenika do ciała zwierzęcia, trzeba dojrzeć, jakim sposobem zaraza się roznosi, w jakich warunkach występuje z większem lub mniejszem natężeniem. Wreszcie pozostaje zadanie walczenia z chorobą, wynalezienia takich środków, które bądź powstrzymywały-by dostęp zarazki do wyższego zwierzęcia, bądź też niszczyły go, gdy już zakażenie nastąpiło. Długa i mozolna droga badań, na której Pasteur nie miał poprzedników i na której sam pierwszy musiał szukać drogowskazów, które-by mu cel jasny zawsze ukazywały i nie pozwalały zbaczać na manowce. Posiadając opracowane metody izolowania bakteryi, stosunkowo łatwo było wskazać przyczyny chorób, znacznie trudniej natomiast w każdym poszczególnym wypadku sposoby pokonywania ich. Pragnąc i w tym kierunku osiąść pewny grunt pod nogami, trzeba było nowych genialnych błysków myśli, nowych idei, nowego ich poparcia pomysłowemi doświadczeniami i skuteczną bronią przeciw najdrobniejszemu, a tak potężnym wrogom życia zwierząt i ludzi, jakeimi są bakterye.

IX.

Studując choroby zakaźne, spotykamy się z mnóstwem wysoce interesujących zjawisk. Do najbardziej zajmujących należy znany ogólnie fakt, że jednokrotne przebycie choroby zabezpiecza od powtórnego zapadnięcia. Wiemy o tem z przykładów ospy, szkarlatyny, dżumy, żółtej febry. Niemniej zagadkowym jest zjawisko, po raz pierwszy spostrzeżone i zastosowane z tak doniosłym wynikiem przez nieśmiertelnego lekarza angielskiego, Jennera: ospa krowia, choroba niewątpliwie zakaźna, lecz przebiegająca łagodnie, ochrania od ospy ludzkiej, występującej z silniejszym, niebezpieczniejszem natężeniem. Odkrycie Jennera było przypadkowe, czysto empiryczne, a zastosowane przezeń w postaci szczepienia ochronnego od jednej z najstrasz-

niejszych chorób zakaźnych, jaka kiedykolwiek nawiedziła ludzkość, wydało najdobroczynniejsze rezultaty. Ospa, która niegdyś srożyła się z niepojętą dla nas dziś gwałtownością, stała się chorobą rzadką, zanikającą niemal zupełnie, dzięki obowiązkowemu obecnie w państwach cywilizowanych szczepieniu ochronnemu. Postępy na polu higieny publicznej, w zakresie zdrowotności najszerszych warstw społecznych dają się znakomicie illustrować przy posługiwaniu się statystyką wypadków ospy w ciągu ostatniego stulecia.

Pasteur, rozmyślając nad odkryciem Jennera, z konieczności niemal ujrzał przed sobą wielkie zagadnienie szczepień ochronnych od innych chorób zakaźnych. Naturalnym biegiem rzeczy nasunęło mu się pytanie, czy nie można-by i dla innych chorób, podobnie jak dla ospy, znaleźć takich form łagodniejszych, po których przebyciu organizm byłby uchroniony od zapadania niebezpiecznego, grożącego śmiercią. Przyczyna ochrony w szczepieniach Jennera nie była należyte rozjaśniona; posługiwano się tem odkryciem, bo okazało się zbytecznym. Jest to jeden z licznych przykładów w dziejach medycyny, że empirya o wiele wyprzedza dobrze uzasadnione rozumowania teoretyczne, mogące doprowadzić do wielkich odkryć. Z zasobem wszakże tych wiadomości, które o chorobach zakaźnych posiadał Pasteur, można było się odważyć na krok śmielszy, poważniejszy, który-by dawał gwarancję doskonale naukowo uzasadnionego rozwiązania problemu leczenia chorób epidemicznych.

Jednym z najważniejszych zadań przy badaniu mikroorganizmów jest dokładne izolowanie, wyosobnianie oddzielnych gatunków, otrzymanie t. zw. czystych hodowli, najzupełniej wolnych od obcych przymieszek, od zanieczyszczeń innymi gatunkami bakteryi, czy to niewinnymi, czy chorobotwórczymi. Metodę takiego izolowania wydoskonalił Pasteur po mistrzowsku, stwarzając dla każdego gatunku badanego odpowiednie sztuczne środowisko, odpowiednie podłoże, na którym tenże mógł się pomyślnie rozwijać i rozmnażać. Przeszczepiając z jednego podłoża na drugie bakterye kurzej cholery, spotkał się Pasteur po raz pierwszy z osobliwym zjawiskiem. Choćby przeszczepianie takie odbywało się setki lub tysiące razy z kolei, mikroby kurzej cholery zachowywały zawsze właściwą sobie siłę zaraźliwości. Leczenie stopień ten zaraźliwości wówczas tylko stale pozostaje niezmiennym, jeżeli przenoszenie hodowli z jednego miejsca na drugie z kolei zachodzi dostatecznie szybko. Trzeba, pragnąc zachować jednakowy stopień zakaźności, zasiać kulturę drugą po pierwszej nie później, jak we 24 godziny, trzecią po drugiej znów nie później jak po 24 godzinach i t. d., setną nie później jak we 24 godziny po 99-ej. Jeżeli natomiast pomiędzy dwiema kolejnymi hodowlami upływa czas dłuższy,

jak to niekiedy zdarzało się w licznych szeregach doświadczeń w pracowni Pasteura, postrzegano osłabienie w sile zakaźności. Przykład jeszcze lepiej wyjaśni nam ten stosunek. Jeżeli kolejne hodowle cholery kurzej, dokonane w małych odstępach czasu, posiadają taki stopień zakaźności, że np. 10 lub 20 kur, zarażonych temi hodowlami, ginie po 24 lub 48 godzinach, to natomiast hodowla, która przez jakie 3 miesiące przechowana była w epruwetce, zatkanej watą,—takie zatkanie watą wystarcza do powstrzymania wszelkich mikrobów i pozwala przenikać do epruwetki tylko czystemu powietrzu,—zaszczepiona 20 kurom, wywołuje w nich chorobę w silniejszym lub słabszym stopniu, lecz chorobę, od której ani jedna z nich nie pada. Ogólny stan osłabienia u tych zwierząt po pewnym czasie znika i powracają do zupełnego zdrowia. Nie dość wszakże na tem. Jeżeli takim zwierzętom, które przeszły chorobę i wyzdrowiały, będąc zarażone osłabionym zarazkiem, po powrocie do zdrowia zaszczerpić znów hodowlę tychże mikrobów, lecz już znacznie jadowitszą, np. tę, która zabiła wszystkie osobniki po raz pierwszy szczepione, to i wtedy może nastąpi zapadnięcie powtórne, lecz również w lekkim tylko stopniu, ani jedna wszakże kura nie zginie. Choroba zatem, przebyta w słabym stopniu, zabezpiecza dane osobniki od przyjęcia się u nich tejsze choroby w stopniu silniejszym, w tym stopniu, w którym jest zabójczą.

Wobec dawniejszych podobnych rezultatów, osiągniętych przez Jennera dla ospy, sam ten fakt, zdobyty przez Pasteura dla cholery kur, nie jest nowym: osiągnięto środek ochronny dla choroby zakaźnej, podobnie jak dawniej osiągnięto takiz środek dla innej choroby. Ogromna wszakże doniosłość tego odkrycia Pasteura polega na tem, że spotykamy się tu z nową zasadą, naukowo zbadaną i obserwowaną dokładnie we wszystkich kolejnych jej fazach. Eksperymentator, według woli swojej, osłabił zarazek do takiego stopnia, jakiego mu w danym wypadku było potrzeba, i to zarazek najdoskonalej poznany w najdrobniejszych szczegółach. W wypadku ospy nie wyosobniono specyficznego mikroba; nie znamy go nawet i obecnie jeszcze, bo najpewniej nie poznaliśmy jeszcze wszystkich tajników życia drobnoustrojów i nie potrafimy skutkiem tego stworzyć we wszystkich poszczególnych wypadkach takich sztucznych warunków, w których poszukiwane mikroorganizmy dały-by się wyhodować. Zupełnie inaczej z mikrohem kurzej cholery. Pasteur poznał go, jak nie można lepiej; wytwarzał do nieskończoności w swojej pracowni coraz to nowe kultury tego zarazka, i dzięki dopiero co opisanym doświadczeniom, potrafił siłę działania tego zarazka modyfikować, już to wzmacniać ją, już znów osłabiać. Doszedłszy zaś tak daleko, stanął nasz uczoney przed nowym szeregiem pytań, które, po należytem rozstrzygnięciu,

kazały się spodziewać jeszcze donioślejszych rezultatów. Hodowle mikrobów kurzej cholery po dłuższym czasie traciły w znacznym stopniu swe właściwości niebezpieczne dla życia. Lecz na czem polega ten wpływ czasu? Co zachodzi z mikroblem, zanim osłabnie w nim pierwotna siła zakaźna? Jaki czynnik działa w tym osobliwym procesie życiowym mikroba? Podejrzenia Pasteura padły na powietrze, na najczynniejszą składową część atmosfery, na tlen. Przyrządzano hodowle kurzej cholery w rurkach, zawierających bardzo mało powietrza, i rurki zamykano, zatopiwszy otwory nad płomieniem. Dość szybko mikroby zużyły wolny tlen, zawarty w rurce, a po bardzo długim nawet czasie zachowały pierwotną siłę zaraźliwości. Rozwój każdej hodowli trwa przez kilka dni: w ciągu 24 godzin rozwój ten nie jest jeszcze zakończony, dla tego przez ten czas powietrze, jakie znajduje się w zetknięciu z mikroblem, zużywa się całkowicie do odżywiania go i rozmnażania. Dopiero po pewnym czasie powietrze poczyną działać, jako czynnik, osłabiający zakaźność, a gdy działanie to trwa dość długo, może nastąpić chwila, kiedy siła zaraźliwości opadnie nawet do zera, i z najzjadliwszych mikrobów otrzymamy zupełnie obojętne, nieszkodliwe. Te ostatnie hodowle, pozbawione całkowicie siły zakaźnej, przedstawiają gatunki, które doskonale mogą być porównane z owymi licznymi w przyrodzie gatunkami, które zdrowiu zwierząt i ludzi żadnych zgola szkód nie przynoszą. Czyż nie można by przypuścić, że zwykle nasze mikroby pochodzą od przodków, które niegdyś najzaciętszą wiodły walkę z człowiekiem? A może w pewnych nowych okolicznościach staną się one znów drobnoustrojami chorobotwórczymi? Może dlatego choroby epidemiczne i zakaźne w czasach obecnych występują z mniejszem natężeniem, że mikroby straciły wskutek nieznanych nam bliżej warunków pierwotną swą moc? A może z czasem znów powrócą do znaczniejszej siły, może choroby zakaźne znów występować będą groźniej, a może i nowe, dotychczas nieznanne nam formy chorobowe nawiedzać będą ludzkość?

Mnóstwo największej doniosłości pytań wiąże się z odkryciem Pasteura, które rzuciło światło na przyczyny opadania siły zakaźnej hodowli chorobotwórczych mikrobów. Obecnie jeszcze pytania te stanowią przedmiot najgorliwszych badań w pracowniach bakteriologicznych i przez długi niewątpliwie czas zajmować jeszcze będą bakteriologów. Daremne były-by usiłowania, gdybyśmy zechcieli teoretyczne wywody w tym kierunku dalej wysnuwać i do najdalszych konsekwencji wyciągać nie, której początek znajduje się w powyższych badaniach Pasteura. Cele, do jakich na razie dążył Pasteur, były zresztą natury praktycznej. Pragnął on ze wszystkich sił znaleźć sposób osłabienia siły zakaźnej laseczników karbunkułu i wypro-

bować, czy szczepienie takich osłabionych hodowli nie przyniesie tego samego rezultatu, co szczepienie krowiej ospy w znakomitem odkryciu Jennera. Zabezpieczenie bydła od karbunkułu przy pomocy szczepień ochronnych było-by niewątpliwie jednym z największych tryumfów bakterjologii.

I oto następuje nowy szereg najmoźniejszych studyów nad węglikiem. Lecz tutaj pozostawianie hodowli przez czas dłuższy na powietrzu nie daje takiegoż rezultatu, jak przy cholercie kurzej. Atoli nie zraża to Pasteura, który próbuje działania innych czynników. Wspólnie z Chamberland'em i Roux'em, nawiązując do dawniejszych poszukiwań Toussaint'a, przekonywa się Pasteur, że ogrzewanie hodowli laseczników węglikowych osłabia ich siłę zakaźną, a osłabione tym sposobem laseczniki, zaszczipione zwierzętom, użyczają im odporności przy następnem szczepieniu hodowli o znacznej sile zaraźliwości. Liczne szeregi doświadczeń z rozmaitemi zwierzętami wrażliwymi na karbunkuł, przeprowadzone w myśl tych wniosków z pracy laboratoryjnej, upewniają Pasteura, że znów pozyskał jedną z tych wielkich prawd naukowych, które tak hojnie oddawał na użytek ogólny. W lutym 1881 roku zdaje więc sprawę z tych doświadczeń Akademii Nauk i wywołuje tem nowy wybuch największego entuzjazmu. Nie brakło wszakże i niedowiarków, którzy w tem wszystkim, co wygłaszał Pasteur, widzieli coś fantastycznego, co w rzeczywistości nie wyda takich rezultatów pewnych, jakie otrzymano w pracowni naukowej. Pasteur wszakże nie waha się wystąpić publicznie z doświadczeniem masowem, którego rezultaty przyrzeka z góry przewidzieć i najdokładniej je obwieścić. Towarzystwo rolnicze w Melun podejmuje się dostarczyć mu wszystkiego, czego potrzeba do tego publicznego doświadczenia na wielką skalę. Pasteur wówczas podaje plan następujący: towarzystwo rolnicze w Melun dostarczy 60 owiec, z których 10 pozostanie nietkniętych; z pozostałych sztuk pięćdziesięciu 25 ulegnie dwukrotnemu szczepieniu ochronnemu w odstępie 12—15 dni szczepionkami niejednakowej sily zakaźnej; w kilka zaś dni po drugiem szczepieniu te same owce, wraz z drugą seryą dwudziestu pięciu nieszczepionych, podda się zaszczipieniu mocno zaraźliwej hodowli karbunkułu. Dwadzieścia pięć owiec, którym nie zaszczipiono osłabionych laseczników, padnie—wszystkie sztuki bez wyjątku; dwadzieścia pięć szczepionych ochronną szczepionką pozostanie przy życiu. Wiadomość o podjęciu tego doświadczenia masowego szybko rozniosła się w kołach interesujących się temi postępami nauki. Zarówno koledzy Pasteura z Akademii, jak i liczne grono weterynarzy, hodowców i agronomów assistowało przy doświadczeniach. Wielu dziwiło się śmiałości Pasteura; ostrzegano go nawet, twierdząc, że wstęp-

puje na drogę ryzykowną, nie pozostawiając sobie żadnej możliwości odwrotu. Utrzymywano, że doświadczenia laboratoryjne nie upoważniają go jeszcze do tej pewności, z jaką przystąpił do doświadczeń na fermie w Pouilly le Fort pod Melunem. Pasteur przyznawał, że nigdy jeszcze w pracowni nie wykonywał doświadczeń z tak dużą liczbą zwierząt, lecz, pomimo to, głęboko był przekonany o powodzeniu. „To, com wykonał w pracowni—była jego odpowiedź—daje mi dostateczną gwarancję, iż słuszność po mojej będzie stronie.“ Wszystko odbyło się według planu, nakreślonego przez Pasteura. W 48 godzin po zaszczepieniu wszystkim pięćdziesięciu owcom silnego zarazka miało się zejść dla stwierdzenia ostatecznego rezultatu. Przeszło 200 osób stawilo się o oznaczonej porze: prefekt Sekwany, senatorowie, radcy departamentu, dziennikarze, lekarze, weterynarze, rolnicy, ci, którzy wierzyli i ci, którzy wątpili, wszyscy niecierpliwie oczekiwali rezultatu doświadczenia. I wszyscy zgodnie wydali okrzyk najwyższego uwielbienia: z dwudziestu pięciu niezaszczepionych ochronnie owiec, dwadzieścia dwie były martwe, dwie padły w oczach świadków, a jedna chora padła tegoż wieczora,—wszystkie zaś bez wyjątku owce, poprzednio szczepione, były najzupełniej zdrowe. Metoda Pasteura pozyskała ogólny poklask. Po raz pierwszy zdobyto naukowo uzasadnioną, doskonale wypróbowaną, broń w walce z chorobami zakaźnymi. Ochronne szczepienia karbunkułu przyjęły się we Francyi i innych krajach z niebywałą szybkością. Znow straty milionowe, które poprzednio ustawicznie zagrażały w tylu krajach, zostały odwrócone, jeszcze jedno, nieustannie nad głowami rolników i hodowców wiszące niebezpieczeństwo, odwrócone. A Pasteur, któremu jeszcze nie dość było sławy wielkiego dobroczyńcy, powrócił do pracowni na nowe podboje, na dalsze zwycięstwa nad chorobami.

X.

Wstąpiwszy raz na drogę szukania środków dla zwalczania chorób zakaźnych, Pasteur nie schodzi z niej już do końca życia. Nie będąc lekarzem, umie jednakże objąć genialnym swym umysłem całość kształt współczesnej wiedzy lekarskiej, i lekarzom z zawodu wskazuje nowe kierunki badania, nowe sfery działania, w których spodziewać się należy najpomysłniejszych dla cierpiącej ludzkości rezultatów. Ci, którzy dojrzeli istotną wartość badań Pasteura na polu leczenia chorób, śpieszą mu z pomocą i zwracają uwagę jego na wypadki chorobowe, o naturze zakaźnej, dość jasno na jaw występującej. Pasteur poczyna coraz częściej ukazywać się w szpitalach paryskich, assystować

przy oględzinach pośmiertnych i zbiera zewsząd materiał do swych poszukiwań bakteryologicznych. Już to przedmiotem pracy jego jest ropa, zebrana z najrozmaitszych owrzodzeń ciała ludzkiego, już krew, wzięta z organizmu kobiety cierpiącej na gorączkę połogową; już to podaje wyniki swego badania lekarzom, zwracając ich uwagę na bakteryjne pochodzenie rozmaitych chorób gorączkowych, już znów najdobroczynniejsze daje rady weterynarzom, wskazując im źródła tak licznych chorób żywego inwentarza.

Podczas pracy nad pospolitą chorobą świń, t. zw. różą, odkrywa Pasteur nową a płodną w praktyczne zastosowania metodę osłabienia i wzmacniania zarazków. Jeżeli krew świni chorej na różę zaszczerpić gołębiowi, to ten ostatni umiera dopiero po 6 do 8 dniach. Jeżeli następnie krew tego gołębia zaszczerpiemy drugiemu gołębiowi, krew drugiego trzeciemu i t. d., nastąpi chwila, kiedy mikrob róży świń zaaklimatyzuje się w gołębiu i rozwijać się w nim będzie z taką szybkością, że gołąb znacznie prędsiej podlegnie chorobie i wcześniej zginie. Przez szereg takich szczepień róży świń w ciele gołębi zarazek pozyskał znaczniejszy stopień jadowitości. I istotnie okazuje się taki zarazek już nawet silniejszym dla świni, która znacznie szybciej pada, gdy zaszczerpiemy jej hodowlę, przeprowadzoną przez szereg gołębi, aniżeli przy najsilniejszym zarazku, wyhodowanym tylko w ciele świń. Do innego natomiast, wprost przeciwnego rezultatu dochodzimy, przeszczepiając mikroba róży świń przez cały szereg królików. Świeża hodowla tego mikroba, wzięta wprost od świni i zaszczerpiena królikowi, powoduje u tego ostatniego chorobę, a często i śmierć. Jeżeli następnie hodowlę mikroba róży świń, wyhodowaną w króliku, przeszczepimy znów na króliki, to stopniowo znów mikrob przystosuje się do nowych warunków życia, rozmnażać się będzie coraz obficie i coraz bardziej szkodzić będzie życiu królika. Zwierzęta te w miarę, jak dalej postępujemy, umierają coraz szybciej od róży świń. Sam mikrob, zaaklimatyzowawszy się, zmienia nieco swój kształt, staje się nieco grubszym, niż był w ciele świń. Gdy następnie w tej postaci, w jakiej stał się już zjadliwszym dla królika, zaszczerpiemy go znów świni, zauważymy, że osłabł w swej sile i nie wywołuje już tutaj objawów chorobowych tak niebezpiecznych. Co więcej, świnia, która przeszła tę lekką formę choroby, wskutek szczepienia zarazką, osłabionego przez króliki, staje się odporną na silniejszy zarazek, od którego przedtem ginęła.

Ten nowy sposób osłabiania zarazków, odkryty przez Pasteura, wielką ma doniosłość zarówno czysto teoretyczną, jak i praktyczną. Nigdzie lepiej, jak w tych właśnie wypadkach,—kiedy zarazek, zmieniając podłoże, zmienia też swoje własności fizyologiczne—nie widać

najważniejszych cech życiowych tych drobnych istotek, którym przez tak długi czas nie chciano przyznać charakteru żywych tworów. Lecz oto widzimy przed sobą zjawisko przystosowywania się do zmienionych warunków bytu, zjawisko, które w całym świecie żywym imponuje nam swą tajemniczą doniosłością. Mamy tu fakt analogiczny z temi niezliczonymi faktami sztucznej i naturalnej hodowli odmian, wytwarzania najrozmaitszych ras w świecie wyższych roślin i zwierząt. Właściwość przystosowywania się żywych tworów do różnych warunków istnienia, naturalnie w pewnych granicach normalnych, jest dla wszystkich istot cechą równie charakterystyczną, jak ich wzrost i rozwijanie się, rodzenie się i umieranie. Klasycznymi swemi badaniami nad mikroorganizmami Pasteur rozszerzył granice poznania świata żywego i znakomicie przyczynił się do zburzenia tych szranek, jakie systematyzujący umysł ludzki zwykle stara się wznosić pomiędzy rozmaitemi grupami zjawisk i rzeczy w przyrodzie. Na tem polega doniosłe biologiczne znaczenie prac Pasteura, który prawdziwie szczęśliwą miał rękę, gdyż z każdego niemal badania swego umiał wyciągnąć i korzystać bezpośrednio, praktyczną. Badania nad osłabieniem i wzmacnianiem zarazków przez przeszczepianie w rozmaitych organizmach zwierzęcych doprowadziły go do wykrycia sposobu leczenia wodowstrętu, czyli wścieklizny. Ten ostatni tryumf Pasteura najbardziej przyczynił się do podniesienia jego popularności. Zapobieganie wściekliznie i leczenie jej rozniosły imię jego do najdalszych zakątków cywilizowanego świata i stały się koroną jego długiego żywota naukowego.

A jednakże właśnie w pracach Pasteura nad wodowstrętem brak poniekąd tego ścisłego kryterium doświadczalnego, do którego przywykliśmy przy poznawaniu dawniejszych jego badań. Pomimo tak licznych i mozolnych poszukiwań, nie wykryto dotychczas z zupełną dokładnością właściwego mikroba tej choroby. Lecz i ta, do pewnego stopnia negatywna, strona badań Pasteura, daje nam miarę jego zapалу do przedsiębranych zadań, daje możność osądzenia, w jak wysokim stopniu umysł tego wielkiego badacza przejęty był zawsze owemi najwyższymi zagadnieniami, które dążą do ulżenia cierpieniom ludzkim. Napróżno poszukuje Pasteur mikroba wścieklizny. Nie znalazłszy go, nie wyrzeka się jednakże walki z chorobą. Dokładne badania doświadczalne pouczają go, że zarazek wścieklizny obiera sobie za główne siedlisko organy nerwowe zwierzęcia, mózg i mlecz pacierzowy. Te przeto organy poddaje dalszym próbom, pragnąc się dowiedzieć, w jakich warunkach zawarty w nich zarazek może w swej sile zakaźnej być wzmocniony lub osłabiony. Za pomocą trepanacji czaszki, zaszczerpia w mózg królika cząstkę mleczca pacierzowego, wziętego z psa, dotkniętego wścieklizną. Królik ten zapada w 15 dni po szcze-

pieniu; przez kolejne wszelako szczepienie, dokonywane na całym szeregu królików, udaje się skrócić do 6 dni czas, upływający od chwili zaszczepienia do wystąpienia objawów chorobowych. Inny szereg doświadczeń przekonywa Pasteura, że kawałki mlecza ze zwierząt wściekłych zmieniają swą siłę zakaźną w zależności od tego, jak długo pozostają w suchem powietrzu. Gdy następnie przedsięwzięte szczepienia na psie, poczynając od zastrzykiwania pod skórę nasamprzód bardzo osłabionego zarazka (w postaci mlecza suszonego przez długi szereg dni), i przechodząc od zarazków coraz silniejszych, aż wreszcie szczepi zarazek, który podległ manipulacji suszenia tylko przez jeden dzień, otrzymuje ostatecznie zwierzę w stanie zupełnie odpornym na wściekliznę. Właściwe zadanie zapobiegania chorobie jest w ten sposób rozstrzygnięte. Przyzwyczajeni do ścisłości prac dawniejszych nad chorobami zakaźnymi, mamy prawo—ze stanowiska czysto naukowego—uważać badania nad wścieklizną za niedokończone, póki nie poznamy mikroba tej choroby w najdrobniejszych jego szczegółach. Fakty wszakże doświadczalne, tysiąckrotnie sprawdzające to, co Pasteur dokonał, nie pozwalają ani na chwilę wątpić, że i w tym razie metoda zapobiegania chorobie została wykryta. Czyż więcej, niż na wyłącznie empirycznych danych opierano się wówczas, gdy poczęto stosować ochronne szczepienie ospy? To, czego dowiódł Pasteur dla wścieklizny, pod względem ścisłości naukowej przewyższa tysiąckrotnie odkrycie Jennera, gdyż stanowi wynik mozolnych studyów, podjętych z wytkniętym zgóry, naukowo uzasadnionym celem, wynik, do którego doprowadziły analogiczne drogi badania, jakie poprzednio z powodzeniem były stosowane w wielu chorobach zakaźnych, których czynnik chorobotwórczy w postaci mikroba doskonale był poznany. Nikt w czasach naszych nie powstaje przeciw szczepieniu ospy, pomimo, że mikroba tej choroby nie wykryto dotychczas. Wielu wszakże, i powołanych do zabierania głosu w tej sprawie i, więcej jeszcze, niepowołanych, oburzało się wcale niedawno, niespełna dziesięć lat temu, na stosowanie szczepionki przeciw wściekliznie. Na szczęście, rezultaty szczepień kazały zamilknąć przeciwnikom Pasteura.

Sam Pasteur wahał się długo, zanim odważył się po raz pierwszy wypróbować swój środek w wypadku wścieklizny u człowieka, pokąsanego przed kilku dniami. Zachęcony wszakże do tego i wspomagany przez lekarzy Vulpiana i Granchera, dnia 6 lipca 1885 r. zastosował swą metodę już nietylko zapobiegania, lecz i leczenia wścieklizny po raz pierwszy z najdoskonalszym skutkiem. Dzięki długiemu okresowi inkubacyjnemu wścieklizny, czyli dzięki temu, że dość długi czas upływa w tej chorobie od chwili zakażenia do wystąpienia pierwszych jej objawów, udaje się wprowadzić osłabiony zarazek do ciała wów-

czas nawet, kiedy samo zakażenie już nastąpiło, i to ze skutkiem najzupełniej pomyślnym. Dziesięcioletnie doświadczenie tysiącami dowodami poparło słusność i prawdziwość metody Pasteura, która ostatniem była z wielkich dobrodziejstw, jakie uczony ten ludzkości w daninie złożył.

Lecz czy w samej rzeczy *ostatniem*? Mimowoli nasuwa się to pytanie, gdy myślą przebiegamy całą treść żywota naukowego Pasteura. Ludzie tej miary nie dość, że sami tworzą nieśmiertelne dzieła, lecz pracą swoją i ideami pobudzają tysiące innych, wskazują im drogi, wiodą z sobą na nieuprawne przedtem pola, rzucają ziarna, które plon wydają po najdłuższym może czasie. Pasteur wskazał źródła zakażeń najrozmaitszych, dowiódł, że otaczają nas roje najrozmaitszych mikrobow, których rola w przyrodzie jasno jest wyznaczona, które wszelako stają się w wielu wypadkach najzaciętszymi nieprzyjaciółmi człowieka. Pojął to znakomity chirurg angielski, Lister, i dowiódł, że liczne niepowodzenia w przebiegu gojenia się ran pooperacyjnych pochodzą jedynie stąd, iż nie są należycie przestrzegane warunki odcięcia przystępu bakterjom z powietrza, z instrumentów chirurgicznych, z rąk operatora. Poczęto stosować, w myśl poglądów Pasteura, antyseptyczne opatrunki, z najskrupulatniejszą pedanterią poczęto się wystrzegać mikrobow podczas całego przebiegu leczenia ran, i oto operacje chirurgiczne, których tak bardzo się niegdyś obawiano, których wynik przy najmniejszej nawet ranie nigdy nie dał się obliczyć, stały się zupełnie bezpiecznymi. Sam akt operacji nie przedstawia dla współczesnego chirurga żadnych obaw, żadnych niespodzianek, które-by kazały mu się od operacji powstrzymać. Zakażenia przyranne, które w niezbyt dawnych jeszcze czasach były stałymi gośćmi szpitali chirurgicznych, zniknęły prawie w zupełności przy obecnym antyseptycznym i aseptycznym sposobie opatrywania ran. Pojęto też z czasem, czemu przypisać trzeba gorączki połogowe, które tysiące rodzących kobiet przyplacało życiem. I tutaj te same źródła zarazy, te same bakterye chorobotwórcze, które powodują choroby przyranne. Znow nieśmiertelną jest zasługą Pasteura wskazanie, skąd te zakażenia pochodzą. I znow jego zasługą, że gorączki połogowe, dzięki metodzie antyseptycznej, stały się rzadkimi zjawiskami.

W rozwoju współczesnym bakterjologii istnieje niepoohamowana dążność do poznania produktów chemicznych, jakie wytwarzają bakterye chorobotwórcze w środowisku, w którym życie wiodą. Jest najzupełniej uprawniona zasada do przypuszczania, że właściwe objawy chorobowe i śmierć następują wskutek zatrucia organizmu temi pro-

duktami. Z drugiej strony coraz dokładniej poznajemy rolę najrozmaitszych czynników normalnych, które w organizmie, opadniętym przez bakterye, budzą się do czynu, do walki z chorobą. Trzeba-by długą rozprawę poświęcić tym najnowszym postępom w zakresie badań lekarskich, gdyby chcieć je tutaj choćby najogólniej przedstawić. Tak szybko i z tak doskonałym skutkiem rozpowszechniona metoda leczenia błonicy (dyfterytu) jest pierwszym, najwspanialszym rezultatem tego nowego kierunku naukowego. A na drodze tej spodziewać się mamy prawo jeszcze bardziej zdumiewających, jeszcze dobroczynniejszych wyników. Jeżeli zaś poświęcam tu słów kilka i tym badaniom, czynię to umyślnie tylko w tym celu, aby najwyraźniej zaznaczyć, że i te prace właściwie zapoczątkowane są przez Pasteura. Wykończają je zaś uczniowie tego nieśmiertelnego męża, który pierwszy racjonalną wskazał drogę umysłowi ludzkiemu do podjęcia skutecznej, pomyślnej wojny z trapiącemi ciało ludzkie chorobami.

Nie zdziwi się przeto i nie dojrzy ani odrobiny przesady, kto wspomni ową głęboką cześć i najwyższe uwielbienie, z jakimi Francya żegnała szczątki śmiertelne Pasteura, składając je w grobie śród najlepszych swych synów.

„Szczęśliwy—tak mawiał Pasteur—kto nosi w sobie ideał i jest mu posłuszny.“ Nosił on w sobie przez życie całe ideał najczystszy, najwznioślejszy—wiedzy, cnoty, miłosierdzia. Wszystkie myśli jego i wszystkie czyny jaśniały odblaskiem tego wewnętrznego światła: wielki był uczuciami i wielki umysłem, a przyszłość umieści go w promiennym szeregu apostołów dobra i prawdy.

„Żegnaj, drogi i znakomity mistrzu! Nauka, której służyłeś tak szczerze, nauka, wielka i nieśmiertelna, najdalszym wiekiem przekaże niezatarte piętno Twego geniuszu.

„Francya, którą tak kochałeś, z dumą przechowa Twą drogą pamięć, jako dobro narodowe, jako pociechę, jako nadzieję.

„Ludzkość, której strapienia umniejszyłeś, otoczy Twą sławę cziłą jednomyślną, wieczną, z której, silna i żywa, czerpać będzie wiarę w nieskończony postęp.“

DR. MAKSYMILIAN FLAUM.

KRONIKA LONDYŃSKA.

Największym obecnie bohaterem narodowym jest — w opinii ogromnej większości anglików — żyd Barney Barnato. Handel i przemysł — czyli, mówiąc szczerze, zabiegi o napełnienie żołądka — wyniesione zostały do szczytu najważniejszego celu bytu ludzkości. W miarę, jak te zabiegi wieńczą się pomyślnemi lub nieszczęśliwemi rezultatami, powstają w społeczeństwie angielskiem inne... ideały, jak z pełnego lub próżnego żołądka mniej lub więcej chorobliwe, zakaźne wstają humory. Barney Barnato jest filarem, dyktatorem i bożyszczem pracującej *City* — całego Londynu po wchodniej stronie Katedry św. Pawła. Dyktatorką i boginią Londynu zachodniego jest „nowa kobieta” — Messalina końca wieku, w rasie, w społeczności najposępniejszej pod słońcem, bezwarunkowo najbrutalniejszej.

Barnay i Henryk, bracia rodzeni, przyszli na świat w jednym z najciemniejszych, najniechlujniejszych zaułków dzielnicy Whitechapel, przed laty mniej więcej 40-stu. Rodzicami byli im żydowscy „wychodźcy”, a raczej przybysze do Anglii, tej kategorii, którą tu nazwano „polskimi żydami” dla tego, że inne narodowości obroniły się skutecznie przed przyjęciem na siebie odpowiedzialności za zewnętrzny wygląd i obyczaje tej odrośli ludzkości. Barney i Henryk, zrodzeni przy rynsztoku, spędzili lata pierwszej młodości, t. j. odnośnie do roku 12-go i 14-go życia — w rynsztoku, tak samo, jak dzieci wszystkich „polskich” żydów, przychodzące na świat w Whitechapel. Potem, usta-

loną rutyną swoich londyńskich współwierców, „robili interesa” w zaułkach z ruchomego straganu — wolnego od rządowej taksy, lecz zależnego od dobrej woli i tolerancyi każdego policyanta, odpowiedzialnego za porządek w ulicach. Henryk ciągnął stragan, Barney obwieszcał i sprzedawał towary. Mnóstwo ludzi w Londynie przypomina sobie doskonale ów stragan, ówczesnych braci — żydków obdartych, sprzedających taką żywność, jaka jeszcze mogła przedstawiać pewne szanse dla finansowej spekulacji. Od prowiantów przeszli do t. zw. w zaułkowym żargonie „chińskiej loteryi”: do sprzedawania, przez uliczną w koło straganu licytację, mniej lub więcej zużytych talerzy, półmisków, dzbanków i t. p. Obroty te wtedy tylko mogą się opłacać, gdy cena wywołana towaru jest śmiesznie, niebawale niższą od najniższych cen sklepikowych, a towar jest niezaprzeczenie lepszy. Stąd wniosek, iż licytatorzy zmuszeni byli starać się o swe towary u takich dostawców, którzy zapasów swoich pozbywali się niezupełnie chętnie i świadomie, lub którzy nawykli do sprzedawania bardzo hurtownie i, za jaką taką gotówkę, bardzo szybko — towarów najrozmaitszych...

Znów nieco później, Barney i Henryk (rodowego ich familii nazwiska nikt z owych czasów nie pamięta, nie przypominają go dziś sobie z pewnością oni sami) zjawiają się — w południowej Afryce, w kolonii Przylądka Dobrej nadziei, dokąd, wspomnę nawiasowo, wynosi się najliczniejsza i najuboższa część europejskiego wychodźstwa żydowskiego, z rezultatami, jak mi zapewniano, najszczęśliwszemi. Wyobrażam sobie, jak szczęśliwie, straganowo i loteryjnie, operowali bracia w tłoku każdej wyprawy górników i awanturników, wychodzącej z Kapu na północ i na północ-zachód, ku „połom dyamentowym” i złotodajnym, po koncessye od naczelników „dzikich” narodów i plemion, wreszcie w poszukiwaniu przygód myśliwskich. Gdy już szwindel jaki niebądź wyczerpał cierpliwość, lub łatwowierność publiczności w Europie, pole się mu otwiera niezmiernie łatwe i zyskowne tam, gdzie brak jest powszechny rzeczy do życia potrzebnych, gdzie drożyzna jest w odpowiednim stosunku i do owego braku, i do warunków szybkiej a obfitej zarobkowości. A nadto, czemużbyśmy nie uwzględnili strony uczuciowej? Taki stragan z „chińską loteryą” np. musiał wabić i przyciągać, już choćby dla tego samego, że... przypominał kolonistom ulice i krzyki odległego Londynu, lub Liverpoolu! nie mówiąc o sposobności zaopatrzenia tanio podróжных namiotów i górniczych szafasów w kuchenne i domowe utensylia.

Są dwa szwindle europejskich i amerykańskich awanturników, bynajmniej nie pozbawione bytu w Europie i Ameryce, które w nowych krainach afrykańskich płodzą przyszłych milionerów i... alkoholicznych obłąkańców: szwindel okulistycznych i szwindel patentowanych leków

Czytelnik nie ma pojęcia, jak nieograniczoną, niewysłowioną jest ludzka łatwowierność w kwestyach *zdrowia i wzroku!* Lekarz pewien powiedział mi niedawno: „Świat tak jest zrobiony i urządzony, że kto nie kupi uparcie reklamowanych pigulek, ten kupi uparcie reklamowane okulary; kto nawet wyśmiewa i potępia patentowane, „niezawodne” lekarstwa, ten idzie na lep ściśle naukowo sporządzonych — i na odwrót”.

Bracia Barney i Henryk przywieźli niewątpliwie ten aksyomat filozoficzno-patologiczny do Afryki, bo zastąpili wcześniej „chińską loteryę” „Cudowną Maścią”, a równocześnie Henryk dawał w ulicach wesole przedstawienia kuglarskie i prestidigitatorskie ¹⁾! W krótkim czasie Barney ze straganiarza został „kolonialnym aptekarzem”, właścicielem sklepów w Kapie i Johannesburgu; Henryk zaś, będąc usposobienia... artystyczno-cygańskiego, włóczył się za wyprawami, bawił górników sztuczkami kuglarskimi, grał z nimi w karty, wiódł życie, jak mógł najprzyjemniejsze, aż przyszedł dzień, w którym danem mu było, jemu właśnie, założyć podwalinę olbrzymiej dziś fortuny brata i własnej. Kupa górników, której towarzyszył w r. 1865 ym, wyprawiła go do stolicy Przylądka z pakietem dyamentów. Henryk miał spieniężyć cenne kamienie za pewną sumę minimalną, która była jednakże bardzo znaczną w ówczesnych okolicznościach, a gdyby jej nie zdołał otrzymać, miał złożyć pakiet w jednym z banków Kapu i wrócić.

Z kopalni do Kapu trwała przeprawa Henryka blisko dwa miesiące. Zdarzyło się w tym właśnie ciągu czasu, że pewne „pola” dyamentowe w okolicach Kimberley, pochłonawszy ogromne kapitały kilku kompanii i pracę kilkuset górników-akcjonariuszów, okazały się próżnemi. Cena dyamentów podskoczyła od razu o 50% w Kapie, 75% w Amsterdamie i Londynie. Barney, pod którego dachem znalazł Henryk braterską w Kapie gościnę, wziął pakiet pod swoją straż. Swojego czasu właściciele pakietu otrzymali żadaną przez siebie cenę dyamentów, bracia zaś opuścili stolicę Przylądka i przenieśli się do Kimberley. W r. 1886, z giełdy londyńskiej rozeszła się wieść o nabyciu pewnej kopalni dyamentów w Kimberley — tej samej, którą, jako „próżną” opuścili byli przed rokiem zbankrutowani właściciele — i o eksploataowaniu jej wielce pomyślnem przez „braci Barnato” — Barneya i Henryka *Barnato* ²⁾.

¹⁾ Prasa londyńska często przypomina to panu Henrykowi Barnato, nazywając go „doświadczonym kuglarzem”.

²⁾ Mówią, że ojciec tych braci nazywał się Baruch Bernard, lecz po kilku latach pobytu w Londynie zmienił nazwisko na Barnett.

Późniejsze dzieje operacyi tych panów mogą zaciekawiać tylko aferzystów i spekulantów, chociaż, z powodów niezupełnie mi jasnych, mają one być ściśle zespolone z tym polityczno-ekonomicznym systemem pierwszego ministra Kapu, Cecila Rhodesa, który się zaogryglił przed półtora rokiem zwycięską wyprawą przeciw Matabelom i pogromem króla Lobenguli. Faktem jest, że, w początku r. 1894-go, bracia Barnato mieli w swej bezpośredniej lub pośredniej kontroli wszystką produkcję dyamentów w południowo-wschodniej Afryce, że oni-to byli inicjatorami w poszukiwaniu złota w zabrzanych krajach Maszonów i Matabelów, że sir Cecil Rhodes otaczał ich i jeszcze otacza szczególną protekcją, że z przydomkiem „królów złota i dyamentów” wstąpili, przed ośmiu miesiącami, w arenę londyńsko-paryskich spekulacyi giełdowych, tych zwłaszcza, które mają na celu eksploatacyę złotodajnych obszarów w Afryce i w zachodniej Australii. Henryk nie miał, zdaje się, nigdy żadnego czynnego udziału w pomysłach i działaniach brata; pozostając do dziś dnia wiernym swemu artystyczno-cygańskiemu usposobieniu, nie zdołał, a może i nie chciał, wypolerować się na modłę brata Barneya: faktem jest notorycznym, że Henryk Barnato nie nauczył się ani czytać, ani pisać; że towarzyszków szuka takich, jacy gotowi grać z nim w karty i podziwiać jego zręczność prestidigitatorską, lub dotrzymywać mu pola przy butelce najprostszej wódki. Świat traci go z oczu i straci go lada dzień z pamięci. Tymczasem Barney Barnato, z majątkiem przeszło dziesięciu milionów funtów sterlingów, z siecią finansową, obejmującą giełdy Londynu i Paryża, jest niezaprzeczenie... Złotym Cielcem, przed którym zginają kolana przynajmniej dwie trzecie tutejszego społeczeństwa.

Bo przynajmniej dwie trzecie angielskiego społeczeństwa wirują obecnie w tym, od lat pięciu potwornie rozszałym, prądzie spekulacyi finansowej, któremu nie było jeszcze nic podobnego, a którego końcem może, jeśli nie musi, być każdej chwili tak straszny kataklizm ekonomiczny, iż przed jego widmem tęższe najbujniejsza wyobraźnia doświadczonych finansistów ¹⁾. Spekulacya akcyami górniczemi stwarza codzień tak niespodziewane i tak znaczne fortuny, że ludzie, którzy do niedawna nie mieli najprostszego pojęcia o obrotach giełdowych, ani mieć go nie chcieli, rzucają dziś ostatnie grosze na jaką tylko kartę wskażą im tysięczni agenci, albo dziennikarska reklama. Do rzędu takich ludzi należą przedewszystkiem niemajątni pastorowie protes-

¹⁾ Zdanie to powtarzają bezustannie, choć daremnie, najwytrawniejsi ekonomiści w parlamencie i w tych czasopismach, które (liczba ich coraz mniejsza!) zasługują jeszcze na wiarę i szacunek swoich czytelników.

tancy, chcący zabezpieczyć byt licznej rodzinie; nazwano tę kategorię inwestytorów „przedniem mięsem w City”: wyrażenie równie brutalne, jak niewysłowienie brutalną jest wyzyskująca obojętność agentów, polujących na pastorską biedę, oszczędność i łatwowierność. Spekulują farmerzy z najdalszych od Londynu okolic, bo rolnictwo zdaje się być skazanem w Anglii na stanowczy upadek, a listonosze zasypują ich cyrkularzami londyńskich agentów finansowych i „promoterów”, obiecującami „maximum szybkich zysków, obok *minimum* ryzyka”. Cała armia giełdowych agentów i komisantów pracuje umiejętnie nad zaplątaniem w sidła spekulacji tych wszystkich drobnych przemysłowców i kupców, których zysk drobny z pracy każdodzienniej przestaje zadowalniać — ile, że czytają w gazetach, jak ten i ów nie posiadali przed paru miesiącami dwóch szylingów w kieszeni, a teraz rozporządzą tysiącami funtów... Wyrafinowane, specjalne są sposoby komisantów na pozasłużbowych oficerów i urzędników rządowych, szczerze w Anglii pensyonowanych, na wdowy i małoletnie sieroty, które co dopiero były otrzymały jaki taki kapitałik z towarzystw ubezpieczeń na życie, a nawet na młodzież uniwersytecką! Jak chyżym, gorączkowym krokiem postępuje ten złowrogi duch spekulacji *à outrance*, dowodzą rejestra ministeryjalnej komisji handlowej (*Board of Trade*). Biorąc np. same tylko kompanie akcyjne, potworzone w Londynie dla eksploatacji kopalni złota w zachodniej Australii, widzimy, że, kiedy w ciągu całego roku 1894-go zarejestrowało się kompanii wszystkich 371, z kapitałem zbiorowym 33,814,672 funtów st., w ciągu dwóch tylko miesięcy roku bieżącego, w sierpniu i wrześniu, zarejestrowało się 131 kompanii, ze zbiorowym kapitałem 14,240,610 funtów st! Nie przeczy się, oczywiście, iż terytoria Afryki oraz zachodniej i południowej Australii obfitują w złoto; można również wierzyć w rzetelność i finansową siłę wielu z kilku tysięcy kompanii, zużytkowujących mienie narodowe. Lecz, wobec dwóch tych faktów naczelnych: że ceny sanych kopalni złota zaczynają przewyższać ogromnie wartość znajdowanego w nich kruszcu ¹⁾ — i że ceny akcyi wyskakują codziennie niepomiernie poza racjonalne granice, wobec tych przynajmniej faktów, straszliwy „krach” finansowy w Anglii (a i we Francji) jest kwestyą wcale niedługiego czasu. Barney Barnato potrafił jeszcze, ostatniego października, zażegnać kilka skandalicznych upadłości w Londynie i w Paryżu, pośpieszywszy w czas z gwarancją swoich milionów. Dla tego — jest narodowym bohaterem współczesnej Anglii.

¹⁾ *Westminster Gazette* z 16-go listopada t. r.

Nie wiem, wątpię, czy gdzieindziej, po-za Londynem, można widzieć naocznie i czuć, że tak powiem, dotykalnie całą brutalność żądy z bogacenia się, z bogacenia się szybkiego i bezwzględne go. Do najwyraźniejszych objawów tej brutalności zaliczam przedewszystkiem to, że w tej *City* londyńskiej, w ognisku handlu całego świata, panuje dziś całkiem otwarcie *świadomość fałszu, podstępny i oszustwa*. Jedynie tylko jakaś jeszcze cieniutka tkanka form towarzyskich ostania naga rzeczywistość bezczelną. *Homo homini mendax!* i najfatalniej dzieje się temu, kto w *City* wierzy komukolwiek — na słowo. Rezultatem jest, że już nic zgoła nie załatwia się ustnie; że nic nie ma najbliższego znaczenia, co nie jest napisane i podpisane; że, im „poważniejszy” jest interes, tem pilniejsza wypada potrzeba pomocy prawnika; że liczba biur notaryalnych, firm i kompanii adwokackich jest dziś w Londynie 14 razy większą, aniżeli była przed ośmiu laty ¹⁾; że w tak potwornie rozrosłem ciele prawniczem rozpacza się zepsucie, szantaż i przekupstwo; że, nakoniec, znika zmysł moralności w społeczeństwie, spostrzegającym codziennie, iż tylko i jedynie popłaca i z bogaca najbezwzględniejszy, samolubny oportunizm. I gdyby choć na pozory baczone. Gdyby przykład z góry był odmienny! Niestety, ostatniemi laty zepsucie dotarło aż do pałacu lordów-mayorów Londynu i stamtąd oddziało smutnie na kraj... Kiedy, przed trzema laty, sir Henry Isaacs, skończywszy swój rok panowania na ratuszu starożytnej *City*, musiał stać przed sędzią policyjnym, jako świadek i zarazem inicjator pewnych transakcyi finansowych, niezaprzeczenie mętnych, opinia publiczna poprzestała na przypomnieniu sobie, że były lord-mayor nie był chrześcianinem i że starsi miasta (*aldermen*), wierni odwiecznemu zwyczajowi, nie mogli nie obrać „królem Londynu” tego kolegi swego, który już był piastował wszystkie dostojenstwa municypalne i miał najpierwsze prawo do objęcia najwyższego urzędu. Kiedy, w końcu października 1894 r., starsi miasta, ławnicy i radcy, przystąpili do czezej formalności wyboru nowego lorda-mayora, powstała w ich gronie silna opozycya przeciw najbliższemu kandydatowi, dla tego, iż ten, sir J. Renals, był dyrektorem kilkunastu kompanii, z których żadna jeszcze nie wypłaciła swoim akcyonaryuszom najmniejszej dywidendy... Renals atoli przyrzekł nie brać udziału w żadnych operacyach spekulacyjnych przez cały ciąg swojego urzędowania, a nadto oświadczył uroczyście, iż już złożył dyrekcyę we wszystkich towarzystwach, z którymi miał stosunki. Opozycya, nie cofając protestu, zamilkła, i sir Józef Renals zasiadł w krześle prezydyalnym korporacyi londyńskich. Nie-

¹⁾ *Law List* (Regestr prawniczy) za rok bieżący.

tylko jednak nie dotrzymał w ciągu urzędowania swoich uroczystych obietnic, lecz nadto stał się winnym rażących i poniżających burmistrzowską godność wybryków gminnej pychy, chciwości i nagannej ambicji. Nazwisko jego, z wyraźnym dodaniem tytułu „lorda-mayora Londynu”, ukazało się w cyrkularzach kilku nowych kompanii. Głośna jego podróż do Francji, podjęta mimo woli aldermenów, o mało nie stała się powodem dyplomatycznego nieporozumienia między gabinetami paryskim i londyńskim, — ile że Renals zapraszał prezydenta Faure do Londynu bez upoważnienia i z własnej swojej inicjatywy, dodawszy z naciskiem, iż „prezydent może być pewnym najserdeczniejszego przyjęcia w *City*... *jakiokolwiek-by było usposobienie polityczne po-za sferą municypalną!*” Nakoniec, przebrał on miarę swoich „niedyskrecji” i najsmutniej poniżył wysoki swój urząd, kiedy, w ostatni dzień swojego panowania, uległszy niewiadomo jakim naleganiom i jak silnym parciom, wydał ów skandaliczny obiad galowy i oficjalny na cześć Barneya Barnato! Wysłał był przeszło 400 zaproszeń na ten bankiet, ale krok ten wywołał tak głębokie oburzenie, iż zaledwie sto osób zasiadło do uczy, i to ludzi z nazwiskami o końcówkach wcale nieangielskich: z wyjątkiem dygnitarzy z reprezentacyjnej świty lorda-mayora, szambelanów jego, kapelana, jalmuźnika, chorążego i miecznika, biesiadnikami byli sami tylko obywatele wszechświatowi: Bergi, Heimy, Steiny, Thale i t. p. Jakież to przecie był tryumf dla *quondam* straganiarza, Barneya! Heroldowie municypalni wejście jego do halli bankietowej oznajmili dźwiękiem trąb srebrnych, tych samych, które, w dwa dni później, witały w „sali cechów” ciało dyplomatyczne, a w cztery dni potem Karlosa, króla Portugali! Lord-mayor Renals nie poprzestał na tem: zdrowie Barneya wniósł w wyrazach, które prasa nazajutrz nazwała „godnemi najgłębszej wzgardy”... i mianował go jednym z „namiestników *City* londyńskiej”. Ten tytuł starożytny, zespolony w kronikach miasta z wielu historycznymi postaciami, daje Barneyowi prawo do noszenia galowego munduru, rzęsiście wyzłoconego. Jeżeli przyjdzie kiedyś dzień, w którym synal Barucha z Whitechapel będzie musiał być przedstawionym na pokojach królewskich, to o mundur niebędzie kłopotu!

Kurya aldermenów, a przynajmniej większość jej członków zaznaczyła swój sąd o urzędowaniu Renalsa tem, że—bezprzykładnie w dziejach miasta—odmówiła mu wotum podziękowania za spełniony rok służby reprezentacyjnej. Równocześnie kurya wniosła do protokołu posiedzenia deklarację, iż należy zmienić dawny obyczaj ten, który czyni wybór lorda-mayora czezą tylko formalnością.

Rozluźnienie zasad uczciwości szerzy się w sposób zastraszający tam, gdzie—wobec angielskich stosunków—potrzeba jej zdaje się być

większą i oczywistszą, aniżeli w innych krajach europejskich: w prasie codziennej i peryodycznej. Minęły już, niestety, te czasy, kiedy prasa angielska mogła się słusznie chlępić ze swej sumiennosci i handlowej czystosci! Z blisko czterech tysięcy czasopism, ukazujących się w obrębie stolicy, bodaj 2% zastępuje jeszcze na wiarę i bezwzględne zaufanie publiczności. Reszta rozkłada się na dwie grupy: czasopism, założonych w celu wyzyskiwania łatwowiernych i niedoświadczonych czytelników, i czasopism, które ratują swój zachwiany byt finansowy, przyjmując do działu ogłoszeń niezmiernie wysoko opłacone reklamy przedsiębiorstw, więcej niż podejrzanych. Te ostatnie czasopisma (a są między nimi dwa najpierwsze dzienniki poranne), przyjmąwszy, dajmy na to, sto gwinei za jednorazowe umieszczenie reklamy, już o samem, w ten sposób reklamowanem przedsiębiorstwie, albo wcale nie wspominają w dziale informacyjnym, redaktorskim, albo wspominają dyskretnie. Kiedy np. osławiona kompania Harnessa i Sp. (wynalazców t. zw. „pasów elektrycznych“, niby to leczących skutecznie choroby żołądka, wątroby i nerwów) pozwana była przed sąd, oskarżona o szereg oszustw najbezczelniejszych, dwa wielkie dzienniki okoliczności tej nie zapisały i z przebiegu procesu sprawozdań żadnych nie dały... bo przez sześć miesięcy, poprzedzających proces, ich łamy anonsove były na usługach kompanii. Obydwa były oczywiście doskonale poinformowane o bliskości procesu i o jego niewątpliwym wyniku, bo nieustraszony dziennik wieczorny, *Pall Mall Gazette*, prowadził od roku sensacyjną wojnę przeciw Harnessowi. Ale.. redakcyje postanowiły wziąć do kasy parę tysięcy funtów, a o istnieniu i charakterze placącej za ogłoszenia kompanii nie mieć żadnych zgoła wiadomości. Tysiące—jeśli nie dziesiątki tysięcy—czytelników dały się zwieść tym ogłoszeniom, jedynie dla tego, że się one ukazywały stale (zajmowały całą olbrzymią stronę każdego dziennika) w potężnych organach opinii publicznej!

W ostatnich latach pojawiło się w Londynie ogromne mnóstwo czasopism, po największej części tygodników, specjalnie poświęconych sprawom finansowym. Przestaje atoli już być tajemnicą, iż pisma te zawdzięczają byt swój, a czasem i specjalną potęgę swoją, najnikczemniejszemu systematowi szantażów. Operują w ten sposób: Do biura dyrekcji danej kompanii, dopiero co założonej, lub zapowiadającej walne zgromadzenie swoich akcyonaryuszów, przybywa agent czasopisma i proponuje dyrekcji umieszczenie jej ogłoszenia, lub bilansu, za cenę 50-in, stu, lub dwustu funtów st. Jeżeli dyrekcya składa się z ludzi doświadczonych, a kompania potrzebuje cienia i spokoju, to rozmiar i cena proponowanych inseratów jest tylko kwestyą targu. Agent otrzymuje pieniądze, a w zamian zostawia dyrektorom już naprzód

wydrukowany artykuł redakcyjny, który się ukaże w najbliższym numerze pisma i który o kompanii i jej dyrektorach daje najpochlebniejsze wiadomości. Jeżeli, przeciwnie, dyrekcya albo nie zna finansowej prasy londyńskiej, lub sądzi, iż kompania jest zupełnie bezpieczną od wszelakich napadów... i agenta wyrzuca za drzwi, to tenże agent nie opuszcza biur kompanii, nie zostawiwszy jej już naprzód wydrukowanego artykułu, który się ukaże w najbliższym numerze pisma i który o kompanii i jej dyrektorach daje najmniej pochlebne informacje, pozbierane ze źródeł najmniej przewidzianych, wystylizowane w taki sposób, by i najbezczelniejsze kłamstwo miało coś prawdy, a prawdy bardzo niedogodnej.

Nakoniec, do tygodników z pozoru najskromniejszych, pod względem ceny najtańszych, mających czytelników najliczniejszych, najmniej wykształconych i doświadczonych, a za to najłatwowierniejszych—zaliczyć należy te pisma, osobliwie sprytne, które rację i cel swojego bytu osłaniają wręcz odmienną treścią i tendencją. Takimi są dziś wychodzące w Londynie tygodniki: *Science Tiftings* („Wybierki naukowe“) i *To-Day* („Dzisiaj“). „Wybierki“ dają swojej klienteli, za 1 penny, dwa arkusze druku in 4-to, z kilku ilustracyami; na treść składają się drobne artykułiki, powycinane i pozlepiane z rozmaitych czasopism specjalnych: lekarskich, naukowych i technicznych, lecz zaciekawiające daleko więcej swemi nagłówkami, aniżeli tem, co licho płatny i niefachowy kompilator zdołał zrozumieć z oryginału i przepisać. „Czemu i jak oddychamy.—„Czy pić herbatę, czy jej nie pić.“ „Odkrycia d-ra Luysa“ i t. p. nagłówki budzą zajęcie angielskiego czytelnika, a zwłaszcza, by na samej tylko poprzestać ludności Londynu, tych setek tysięcy ludzi, rzemieślników, subjektów handlowych, urzędników i uczniów, którzy, jadąc koleją żelazną lub omnibusem z domu do pracy i znów wieczorem wracając, potrzebują koniecznie na te pół godziny, czy trzy kwadransy, jakiejś stawy umysłowej, mniejsza o to, jakiej, byle taniej i zajmującej. „Wybierki“, zapełniwszy półtora arkusza owemi artykułkami, występują dalej w roli denuncyanta, wiedząc doskonale, iż mało co tak ęci ciekawość popolitą, jak skandal. Będąc „naukowemi“, „Wybierki“ pozywają co tydzień na swych szpaltach przed trybunał publiczności te przedsiębiorstwa, które są specjalnością bogatych społeczeństw, mianowicie Anglii i Stnów-Zjednoczonych, a które powstają niemal każdodziennie, powołane do życia przez szarlatanów, lub wykolejonych fachowców. Niema tygodnia, w ciągu którego nie pojawił-by się tutaj jakiś nowy „wynałazek“, rzekomo leczniczy, lub higieniczny: pigułki, maście „krople“; essencye do wdychania, uzdrawiające od kataru „błyskawicznie“; sole stołowe, leczące słaby żołądek, lub wytwarzające

energię wątroby, albo pobudzające do czynności mózg i zarazem nerki; wino (dla zamożnych), które zimą odpędza influencę, latem odpięra odrę i cholereę, na wiosnę zaś podsyca i wzbogaca soki żywotne; piwo (dla uboższych) z również nieomylnemi właściwościami; chleb dla dyspeptyków; czekolada, specjalnie *medicated*, zaprawiona leczniczo dla astmatyków; napoje „rozweselające“, a wolne od alkoholu dla wstrzemięźliwych; wódki i likiery, szanujące wątrobę, dla niewstrzemięźliwych i t. d. Każdej specyalności są tysiączne odmiany, a już pomijam niezliczone mnóstwo wynalazków dla toalety i osobistej higieny męskiej i żeńskiej, od kosztownych do groszowych. Tylko w Anglii i w Stanach-Zjednoczonych powstać mogły i powstają bezustannie olbrzymie, potworne fortuny kompanii „z ograniczoną poręką“, wyzyskujących dbałość o zdrowie, zewnętrzny wygląd i wygodę. I na te właśnie kompanie zagięły kruczka „Wybierki.“ W każdym numerze pismo to daje obszerny artykuł, poświęcony wyłącznie naukowej krytyce jednego z owych wynalazków, a napisany ogromnie sprytnie przez kogoś, który poddał wynalazek ścisłej analizie chemicznej. W końcu kompania i publiczność—dowiadują się wyroku: wynalazek godny jest wszelkiej pochwały i „powinien znaleźć się w każdym domu“, lub jest wierutnym, bezecnym szwindlem i „redakcyja nie przyjmie inseratów rzeczonyj kompanii.“

Publiczność czyta i bierze wyrok redakcyi za dobrą monetę, ba, nawet sławi jej nieustraszonosc w ciągłym boju przeciw szarlatanom i oszustom! Tymczasem te właśnie artykuły stanowią istotną dla redaktorów kopalnię złota, a „redaktorami“ są *City-men*, wytrawni szczerwacze, polujący na gruby udział w dochodach grubo zarabiających kompanii. Wiadomo bowiem, iż, dzisiaj przynajmniej, bardzo rzadko się zdarza, by jakikolwiek z owych specjalnych wynalazków zawierał ingrediencyje wprost szkodliwe, lub by je zawierał w szkodliwej ilości. Najogólniej wynalazki te są całkiem niewinne: pigułki nie ulecą astmatyka, lecz mu też wcale nie zaszkodzą, a jednak rzadki ten astmatyk, który by nie zaklinał się na czem świat stoi, iż te właśnie pigułki „robią mu jak najlepiej“, bo też rzadki jest człowiek, choćby skądinąd najrozumniejszy, który-by nie mógł zgoła być przywiedzionym do uwierzenia w skuteczność jakiejś na świecie pigułki! Cóż łatwiejszego dla „redaktorów“, jak powiedzieć autorowi krytyki analitycznej: Pigułki Smitha i Sp. uważamy za kolosalny szwindel, a olejek na porost włosów Robinsona i Sp. jest niezawodnie doskonały? Analityk napisze szczerze i otwarcie, że w pierwszym specyfiku jest chleb tylko, lub gips, że w drugim jest wszystko to, „co najniewątплиwiej i najpewniej może pobudzić właściwe odśrodkki do świeżej energii i płodności.“

Rozumie się, iż ta pozorna kampania „Wybierek“ stanowi jej największą zaletę w przekonaniu wielu setek tysięcy ich czytelników, że więc, niezależnie od dochodów z systematycznego szantażu, rośnie finansowa potęga wydawnictwa. Piśmo to ma z górą pół miliona czytelników, a ponieważ to jest w Anglii, przeto znaczny procent czytelników ma jakiś „do pisma interes“: ten wynalazł, lub ulepszył machinę, albo fajkę, tamten w odległej prowincyi zapytuje o adres najlepszej fabryki, chcąc z niej zamawiać towary, owemu chodzi o ściągnięcie należności i t. d. Redakcyja wysługuje się, ile tylko może, bezpłatnie i szybko tym korespondentom, z którymi stosunki mogą się dobrze opłacić: wynalazki bierze sama pod swą opiekę, zwłaszcza, jeśli ma do czynienia z wynalazcą biednym; fabrykę poleci tę, która jej za to zapłaci; jest bowiem ścisłą zasadą wydawnictwa, iż powinno mieć pewien procent we wszystkich tranzakcyach swoich czytelników.

Tygodnik „Dzisiaj“, w rozmiarach dużo większy, z treścią belletrystyczną niejakiej wartości, dość obficie i starannie illustrowany, przeznaczony dla czytelników zamożniejszych, zawiera w każdym zeszycie tylko 2—3 szpalt sprawozdania z obrotów giełdowych. Ale operacje tego pisma są tak rozległe, że, podczas kiedy dział literacki wymaga pracy jednego tylko i bardzo podrzędnego urzędnika (gdyż wszystkie nowelle i artykuły przychodzą „na obstalunek“ z zewnątrz), dział finansowy zajmuje w gmachu redakcyjnym grono kilku specjalistów i ma swego osobnego redaktora naczelnego. Stanowisko pisma między publicznością a „kołami finansowemi“ jest takie samo, jakie sobie obraty „Wybierki.“ A jednak oba tygodniki uważane są prawie powszechnie za organa narodowej uczciwości i bezinteresowanej nieskazitelnosci, i tylko ludzie, którzy źle wyszli na bliższej znajomości celów i środków tych redakcyi, wiedzą, co o nich trzymać. Poruszano w parlamencie kwestyę pism przedajnych i uprawiających szantaż w sposób najobłudniejszy, *Times* i *Standard* przestrzegały publiczność kilkakrotnie, dziennik, *Daily Chronicle*, zagroził nawet, że wymieni tytuły i adresy pism owych; lecz, w dzisiejszym stanie rzeczy, przestrogi są daremne i groźby czeze, bo odsłonięcie istotnych celów i środków tych wydawnictw mogło-by nastąpić jedynie w trybunale sprawiedliwości, a któż tam pozywać będzie? Rząd jest w Anglii pozbawiony wszelkiej w podobnych sprawach inicjatywy. Jednostki zaś nie odważą się pociągać do odpowiedzialności redakcyi, rozporządzających ogromnemi kapitałami i mogących dowieść na zawołanie, ile-to zdemaskowały interesów ciemnych, jak się przysłużyły społeczeństwu! Któż im dowiedzie „czarno na białem“, że polecały swym czytelnikom lokacje kapitałów, wiedząc z góry o najgorszym stanie lokaty? lub że za takie polecenia miały udział w zyskach czyich bądź? Przecież wła-

ściciele pism takich nie zaniechali obwarować się z góry przeciw możliwym napadom swoich ofiar, przecież każda tranzakcyja przeszła przez biura specjalisty prawniczego, bardzo gruntownie obznajomionego z szerokością i głębokością krajowego kodeksu!

W ten sposób szerzy się gangrena. Z jednej strony, skutkiem prawie zupełnego upadku rolnictwa i bardzo niepomyślnych widoków dla krajowego handlu, rękodzielnictwa i przemysłu, wzmagają się brak gotowego kapitału, spada stopa procentowa ¹⁾, ginie kredyt, skutkiem wciąż odkrywanych żył złota w Australii i Afryce, potężniejsza niecierpliwość i żąda szybkiego zubożenia się uczciwie, jeśli można, a jeżeli nie można, to tak, jak się zubożyło tyłu! W takim położeniu rzeczy i przy takim usposobieniu przynajmniej połowy społeczeństwa, połowy zrujnowanej arystokracji i obywatelstwa ziemskiego, połowy rękodzielników i drobnych przemysłowców, więcej niż połowy protestanckiego duchowieństwa, obciążonego wymaganiami stanu i rodziny, a tracącego dochody z gleby i dawnych fundacyi, w takich warunkach potrzeb i nadziei, jakież jest stan społeczeństwa umysłowy i moralny?

Przedewszystkiem i zarówno w tych kołach, które falują dokoła „bohatera“ Barnato, jak i w tych, które się opierają ich rozlewowi coraz szerszemu, uwidoczniła się świadomość bliższej z dniem każdym katastrofy ekonomicznej. Napomknąłem już, iż wykazano niezmierną nieproporcjonalność sum inwestowanych w kopalniach złota do produkcji tego kruszcza, możliwej choćby w najdalszej przyszłości; zapisać i to jeszcze, co dzisiejsze (27-go listop.) podają wiadomości giełdowe: że akcyje banku braci Barnato, które przed dwoma miesiącami płacono po blisko 6 funtów st., są do nabycia 1 fst. 14 szelingów... i że, również w dniu dzisiejszym, znaczna liczba akcyonaryuszów wszystkich kompanii zachodnio-australijskich postanowiła zażądać od poszczególnych dyrekcji wykazu (czyli dowodów z ksiąg gruntowych) wszystkich obszarów, rzekomo nabytych i eksploatowanych. Innemi słowy, rośnie podejrzenie, iż organizatorowie kompanii nie dali publiczności *quid pro quo*, nawet tego *quid*, jakie ogłaszali, w zamian za owe 25,654,200 funtów str., które puścili w obieg udziałowy! Nakoniec, publiczność przekonywała się, że największe i najszybsze fortuny porobili dotychczas w tych właśnie obrotach, nie Anglicy, ani nawet nie brytańscy poddani, tylko i wyłącznie p. Bergi, Heimy, Steiny i Thale.

Przeczuwanie bliższej katastrofy pobudza wprawdzie bardzo wielu do tem zapaleńszego pośpiechu w korzystaniu z szans istnieją-

¹⁾ Dzisiaj, d. 27 listopada, bank Angli płaci 1½% właścicielom akcyi długu państwa wego (Consols).

cych, lecz odsłania zarazem dodatnie strony narodowego charakteru: potworzyły się up. stowarzyszenia ze znacznymi rezerwami kapitałów, których zadaniem będzie nie dać upaść kompaniom, przedstawiającym w Afryce i w Australii widoki realne — zapobiedz zbyt gwałtownej panice.

Spieszno mi atoli przejść do naszkicowania zgubnych śladów, jakie choć złota i jej zawody, lub częściowe zaspokojenie, ryje, głębiej z dniem każdym, w obyczajowości, w literaturze i sztuce współczesnej Anglii

Rozluźnienie moralności w kierunkach najważniejszych, jak, z jednej strony, doszło w tutejszem społeczeństwie do granic, zdaje się, ostatecznych, tak, z drugiej strony, ma cechę dziwnej posępnosci. Rozmowy mężczyzn z kobietami, w salonach przy Hyde-parku, w bawialniach domów przedmiejskich i w izbach rzemieślniczych, obracają się dokoła kwestyi drażliwych, à *brûle pour point*, z brutalnością, której bodaj nie było w nstach samego Bassompierre'a, a równocześnie z jakąś fanatyczną zaciekłością zelantów Cromwellovskich i z bezwzględnością chirurga, operującego przy dyssekcyjnym stole. Przed wszystkimi innymi, kwestya „absolutnie identycznych” praw i swobód dla mężczyzn i kobiet stanowi stałe tło rozpraw domowych i jest tematem największej liczby dzieł powieściowych i nie schodzi z repertuaru pierwszorzędných teatrów. W wyższych i współcześnie najwyższych warstwach towarzyskich, gdzie góruje wpływ prądu finansowo-spekulacyjnego, gdzie się dziś rozpierają nowi milionerzy, tolerowani, dopuszczani, lub gorąco zapraszani przez zrujnowanych lordów, baronetów i młodszych synów starej arystokracji, panuje otwarcie ateizm, cynizm niewysłowiony z najczelniejszą pogardą dla cnoty *par excellence*. Dodać trzeba, że w tych warstwach ponuremi czynnikami są: blichtrzem świecąca bieda materyjalna, lub tańcząca nad kraterem niepewności trwoga przed Jutrem, samoświadomość głębokiego poniżenia wobec gminnych i krzykliwych awanturników, lub gorączkowa troska o ich względy najlepsze.

Inaczej w warstwach średnich i gorzej! Tu najwięcej winić należy warunki bytu kobiety angielskiej, która, w tych właśnie warstwach, była dotychczas skazaną na życie, osobliwie bierne, bezczynne i jałowe. Mąż, zajęty w śródmieściu, w biurze rządowym, lub w magazynie, otoczywszy żonę dostatkiem i służbą, zostawiał ją samej sobie i konwencyonalnym obowiązkom zamożnej mieszczanki, t. j. paru wizytom codziennym, oglądaniu magazynów i czytaniu „przyzwoitych” powieści. Uprzykrzyła się paniom ta jednostajność, zwłaszcza, gdy ich świat męski zaczął nawykać do uważania domowego ogniska za świątynię cnót domowych, oczywisciel ale świątynię żon, matek i có-

rek tylko, sam przenosząc wygody, swobodę, kuchnię i piwnice klubowe. W tych-to sferach kobiecych, to, co Anglicy nazywają *competent respectability* — „dostatnią cnotliwością”, osłaniało zbyt często nałogową i samotną niewstrzemięźliwość: alkoholizm i morfinomania zabierały tę część dnia, jaka pozostawała po konferencyach z pastorami, szeregami anglikańską filantropię w „hinterlandach” brytańskich kolonii. Lecz od lat paru filantropię zastąpiła „wyższa teozofia”, „spirytystyczne sessye” i kontemplacya kryształów, a gdzie już, lub jeszcze nie szuka się zapomnienia w *brandy*, czy w opium, tam właśnie wzięto w zaciekłą obronę „nową kobietę”. Rozumie się, iż szermierkami tego ideału są po największej części młode mężatki, ale nie brak i młodych panien. Hasłem jest: Absolutna swoboda — równa absolutnej swobodzie mężczyźni! Pominę milczeniem wszystkie okoliczności życiowe, w jakich ta swoboda powinna się, zdaniem tej szkoły, ujawniać, prócz jednej: „nowa kobieta” dopełnia doskonałości swojego typu wtedy dopiero, gdy otwarcie wyrzeka się ślubnej obrączki, nie przyjmuje nazwiska swego wybranego za swoje własne, gdy, nie chcąc być „pierwszą sługą w domu”, zastrzega sobie swobodę osobnego domowego ogniska, i gdy tyle tylko i na tak długo zagwarantuje, ile i jak długo zezwalać będą nieprzewidywane okoliczności.

„Nowa kobieta” przeszła, oczywiście, i do literatury — i niektóre z najzdolniejszych piór powieściopisarskich wzięły się do apostołowania tej najnieodręczniejszej i najwyraźniej samokarzącej się anarchii. Grant Allen, uczony krytyk i estetyk, lecz do połowy bieżącego roku powieściopisarz nierozgłośny, czy z przekonania, czy w celu innym, napisał dzieje stanatyzowanej córki pastora i puścił w obieg książkę pod oryginalnym tytułem: *The Woman Who Did* ¹⁾. Bohaterka powieści, upierając się przy ambicyi zostania pierwszą matką dziecka, otwarcie i rozmyślnie nieślubnego (jak sama oświadczyła swemu wybranemu), poprostu zmusza mężczyznę do przyjęcia jej „na wiarę”, po nagłej jego śmierci usiłuje usidlić innego, szczerze w niej zakochanego, podobnym węzłem, a gdy się jej to nie udaje, poświęca resztę życia wychowaniu jedynaczki. Mimo najlepszych chęci, nie zdołał autor doprowadzić swej powieści do jakiegoś rozwiązania i końca, które-by usprawiedliwiły tendencję wszystkich rozdziałów, prócz ostatniego, bo w tymże, matka, poświęcając się dla małżeńskich planów córki i przez nią odpełniona i wzgardzona, wypija truciznę. Przed laty

¹⁾ *Did*, od imiesłowu *do* = „czynić”, jest słowem posiłkowym, potęgującem znaczenie czynności słowa głównego. Ponieważ w angielskim tytule powieści autor niedopisał słowa głównego, przeto tytuł brzmi zarazem oryginalnie i znacząco.

10-ciu, żaden angielski wydawca nie byłby przyjął na siebie odpowiedzialności za ogłoszenie takiej książki; nieboszczyk Henry Vizetelli skazany był na pół roku więzienia (1886) za ogłoszenie w Londynie angielskiego przekładu niektórych powieści Zoli. A przecież, któraż trucizna gorsza i która subtelniejsza: czy owa w „Ziemii” i „Nanie”, czy też ta, rozlana na każdej stronicy książki Allena, płynąca z ust dziewicy, która się posiłkuje aktualnością swego stanowiska towarzyskiego, wykwiśniętym wychowaniem, uniwersyteckim wykształceniem, specjalną erudycją, ognistą wymową, wdziękami nakoniec fizycznymi i samą obustronną, szczerą miłością; by — osiągnąć cel onej swojej „ambicyi”?

Grant Allen ośmielił innych autorów, a zwłaszcza piszące kobiecy pośpieszyły w jego ślady. W ten sposób, po „Kobiecie która...”, angielska beletrystyka (*proh pudor!*) ostatnich 12-stu miesięcy obejmuje takie powieści, jak: „Kobieta, która nie...”, „Kobieta, która nie chciała”, „Kobieta, która nie mogła” i dużo innych z podobnemi w tytułach odmianami. Powstał dom wydawniczy (John Lane), którego specjalnością jest *the sexual novel*, powieść, dająca poznać, jakiego rodzaju zagadnienia i wątpliwości stanowią przedmiot dyskusji między współczesnemi parami: i to nietylko między Filemonem i Baucydą, lecz nawet między Romeami i Julietami dni naszych! Nawet tak szeroko i po-za Anglią znany i ceniony autor „Teresy z rodu d'Urberville,ów” (która znalazła, jeśli się niemylę, i polskiego nakładcę), Tomasz Hardy, wybrał sobie bohatera z pod śmieciśk „nowej kobiety” i świeżo przyrzucił jej literaturze dzieje ponure mazgają, któremu, niewiedząc dla czego, dał imię „Judasz”. Opinia trzeźwa i zdrowa zmieniła autorski tytuł książki, *Jude the Obscure*, na *Jude the Obscene*. Nakoniec, by skończyć z temi brudami, wspomnę, że Grant Allen, zachęcony niezawodnie materyalnemi rezultatami pierwszej próby, wydał temi dniami dziwnie pomyślaną, a tendencyjnie „nowo-kobiecą” powieść („Brytańscy barbarzyńcy”), w której zapowiada dalszy szereg podobnych swoich utworów i przyobiecana seryę nazywa „Powieściami ze szczytu góry”. Mamy się domyślać, że do dni naszych pewne kwestye stanowiły uparcie nieruszającą się górę, a on, Grant Allen, był wszelkich nauk wielkim prorokiem. Przez lat przeszło 30 literackiej swej działalności, wojując z biedą materyalną w domu, zajęty obowiązkami dziennikarskimi, które mu nie dawały nigdy czasu, ani odwagi do wystąpienia z księgą „nowo-kobiecej” nauki, daremnie wzdychał do onej góry. Nareszcie, gdy góra doń zbliżyć się nie chciała, prorok Allen zdobył się na śmiałość: zebrał, jakie mógł, grosze, i wyjechał do ustronnej miścińki włoskiej. Tam, w starem Sorrento, gdzie żyć można o 90% taniej, niż w Londynie, napisał „Kobietę, która...” i to

był Allena skok na — dawno upatrzoną sobie górę. Dodajmy, że kto umiejętnie i w porze właściwej rozkopuje tę górę odwiecznych zgnilizn, ten się dokopuje czasem dukatów, a jeśli mamy wnioskować z dotychczasowego szczęścia proroka, jeśli prawda, że rezultaty pierwszego kopania zapewniły mu 1,500 fst. rocznego dochodu, to może rychło doczekamy się jego zstąpienia w dolinę. Chyba, że trafi na pokłady „nowo-kobiecości” i dukatów niewyczerpane... a tego mu nie obiecuje ani temat, ani charakter publiczności.

Bo, powiedziawszy wszystko, co było do powiedzenia, angielska publiczność jest umysłowo trzeźwą i czystą, jak jest fizycznie zdrową i męską. Bardzo znaczna jej część dała się porwać w wir spekulacji umysłowej, grubo niemoralnej, jak się dała porwać w wir spekulacji finansowej; obydwie prądy są sobie pokrewne: z ubytkiem zapędu i siły jednego, przychodzi osłabienie drugiego — reakcja. A zapowiedzi reakcyi nie brak dokoła.

Na gołosłownem zaznaczeniu tego objawu muszę dziś poprzestać. Gdyby czas i miejsce pozwalały, wskazałbym, gdzie i w jaki się on sposób uwydatnia, w dziedzinie zarówno społecznego życia, jak na niwie pracy umysłowej, — lecz zadanie to odkładam do najbliższej sposobności.

EDMUND S. NAGANOWSKI.

SAMORZĄD GMINNY.

(Piotr Górali. Samorząd gminny. Tom I. Kraków, 1894, str. 371).

Najznakomitsi przedstawiciele nauki politycznej w XIX stuleciu wrózyli samorządowi gminnemu wielki wpływ na odrodzenie się etyczno-polityczne społeczeństw, oraz na utrwalenie się i wyszlachetnienie rządów reprezentacyjno-parlamentarnych. Bouthors, porównyując nowożytnie państwo do piramidy, zauważył, że gmina stanowi jej podstawę, a szczyt tem większe zdoła wytrzymać burze, im ta podstawa bardziej będzie rozszerzoną i silniej spojona¹⁾. Tocqueville, mając na myśli demokrację północno-amerykańską, w gminie upatrywał rdzenną siłę wolnego ludu; Minghetti zaś rozszerzył powyższe pojęcie do stosunków europejskich, nadmieniając, że gmina winna być podstawą życia konstytucyjnego. Chociaż doniosłość selfgovernmentu angielskiego znana była pruskim mężom stanu na początku XIX wieku²⁾, to jednakże dopiero prace Gneista zdobyły dlań powszechne uznanie uczonego świata i rozpowszechniły doktrynę, głoszącą z głębokiem przeświadczeniem, że państwo nowożytne, hołdujące rządowi reprezen-

¹⁾ Les sources du droit rural cherchées dans l'histoire des communaux et des communes, str. 503.

²⁾ Kiel. Die Landemeinde in den östlichen Provinzen Preussens. Str. 83.

tacyjno-parlamentarnym, powinno się oprzeć na samorządzie lokalnym, którego najważniejszym organem jest gmina.

Godnym zaznaczenia objawem jest fakt, że uczone wywody dostojników nauki, o ile nie trzymały się ściśle stosunków anglo-amerykańskich, były przedewszystkiem postulatem dla przyszłości, a nie owocem doświadczenia, zebranego w twardej żywej konstytucyjnej stałości lądu Europy. Zebrały one dość ważnych spostrzeżeń nie z obfitego życia samorządnej gminy, ale z jej braku, a raczej z jej martwoty, przystrojonej w szaty instytucji państwowej, oraz z jej powolności we wszystkim administracji tego państwa.

W dobie wytwarzania się nowego politycznego świata z chaosu wielkiej rewolucji pozostawiono we Francji wolność jedynie u szczytu państwowego gmachu, u podstaw zapomniano jednak o niej zupełnie ¹⁾ i usuwając stare rządy, pozostawiono w całości centralizację administracyjną, czyli najpotężniejszy środek, którym tenże absolutyzm stłumił wszelkie objawy samodzielności miejscowej ²⁾. W Niemczech znowu, choć konstytucje państwowe utrzymały się w pierwszej połowie XIX wieku, pozostawiono u podstaw resztki feodalnych zabytków w postaci monarchicznego ustroju gminy wiejskiej, przypominającej Pyfferoenowi dawne „minuscules monarchies” ³⁾.

Stary porządek państwowy przekazał nowemu w XIX stuleciu mniej więcej następujący ustrój gminy w ogólnym zarysie. Niezależne municipia, przypominające niepodległe rzeczypospolite miejskie, zniknęły prawie wszędzie pod naporem oświeconego absolutyzmu, władza monarchiczna obróciła w niwecz przywileje korporacji miejskich, urzędami municypalnymi prowadziła otwarty handel i rozporządzała wszechwładnie majątkiem oraz dochodami miasta ⁴⁾. W końcu XVIII stulecia gmina miejska utraciła wszelkie funkcje samorządu na rzecz administracji państwowej, każdy porzyw samoistności lokalnej wyda-

¹⁾ *Leroy - Beaulieu*: L'Administration locale en France et en Angleterre, str. 40.

²⁾ *Ferrand*: Les institutions administratives en France et à l'Étranger. — Des Réformes à apporter à notre législation sur la commune et le départements, str. 222 (mowa Royer-Collarda). „Nous avons passé, en un jour, de la servitude à la liberté; et faute de temps et de prévoyance, nous avons laissé au milieu de nous tous les instruments du despotisme”.

³⁾ Les reformes communales. Str. 9.

⁴⁾ O upadku samorządu korporacji municypalnych we Francji objaśnia wybornie praca *Babeau*. La ville sous l'ancien régime. O stosunkach pruskich, patrz *Bornhak* — Geschichte des preussischen Verwaltungsrechts.

wał się władzom państwowym niebezpiecznym i przyzwyczajone są uważać gminę za wytwór państwa, przeznaczony wyłącznie dla jego wygody i pożytku.

Gmina wiejska w dobie przejściowej nie przedstawiała tak jednolitego obrazu. Wraz ze swobodnym stanem włościańskim zniknęła wprawdzie na kontynencie europejskim i swobodna gmina. Po nad przytwierdzonym do gleby „biednym człowiekiem” (armer Mann, pauvre bonhomme) rozpostarła się jako zwierzchność (Obrigkeit) gmina o monarchicznym ustroju ¹⁾, w której rolę królików, przez długie czasy absolutnych, odgrywało możnowładztwo patrymonialne. Chociaż jednak wszędzie występuje na jaw gmina o typie monarchicznym, nie zawsze zdobywa sobie w równym stopniu piętno absolutyzmu, przytłumiające objawy samoistności miejscowej.

We Francji monarchizm królewski zdołał się wcześniej uporać z monarchizmem patrymonialnym, przeprowadzając w czyn zasadę, że wszelka władza publiczna pochodzi od króla i w jego imieniu, oraz z jego upoważnienia, może być wykonywaną. Administracja królewska potrafiła systematycznie ukrócać nadużycia możnowładztwa patrymonialnego i wykonywanie funkcji sądowo-policyjnych postawić pod nadzorem trybunałów królewskich oraz prokuratorskiego urzędu. Samowolnym możnowładzcom odbierała administracja władzę patrymonialną, czasami znowu wykupowała ją od uprzywilejowanych, a reszcie pozwalała wykonywać funkcje sądowo-policyjne współrzędnie z trybunałami państwowymi i to pod ścisłym ich nadzorem. We Francji więc, pod koniec XVIII wieku, gmina wiejska o typie monarchicznym straciła prawie w zupełności znamiona absolutyzmu. Seigneur miejscowy nie przestał wprawdzie zajmować honorowego stanowiska w swych obszarach. Pozostał on zawsze „le premier habitant”, któremu w kościele lub przy innych okolicznościowych uroczystościach oddawano szczególne oznaki czci, ale gromada wiejska (communauté) mogła go pozywać przed trybunał królewski o wszelkie krzywdy i wybierała swych syndyków, po-nad którymi kontrolę rozciągało już państwo ²⁾.

Do jakiego stopnia podkopany był monarchiczny ustrój gminy wiejskiej we Francji u schyłku XVIII wieku, dowodzi najlepiej prawo w r. 1788, stanowiące w „pays d'elections” radę notablów, wśród

¹⁾ *Blodig*: Die Selbstverwaltung als Rechtsbegriff. Str. 267. „Kann man die Gutsherrschaft als monarchisch organisirten Selbstverwaltungskörper betrachten“.

²⁾ *Babeau*: Le village sous l'ancien régime. Str. 11 i dalsze w rozdziałach: 1) La communauté, 2) Les Assemblées i 3) Les syndics. — porównać *Darrest de la Chavanne*. Histoire de l'administration en France. Tom I, str. 290 i dalsze.

której główne miejsce zajmował dawny Seigneur wraz z proboszczem parafii. Pomimo względów, jakimi otoczono najpotężniejsze czynniki społeczne dawnej gminy, nie ulega żadnej wątpliwości, że zmieniono zasadniczy jej charakter i reforma z 1787 r. nadawała gminie wiejskiej francuskiej charakter reprezentacyjny z drobną przymieszką stanowego pierwiastku.

Po roku 1789 były wprowadzane we Francji usiłowania prawodawcze w celu wytworzenia swobodnej gminy, ale te zniknęły szybko, gdyż prawodawcy wielkiej rewolucji nie umieli swobody osłonić przed anarchią, a tymczasem względy polityczne domagały się jak największej centralizacji administracyjnej. W roku VIII rewolucji, dzięki organizacyjnemu geniuszowi pierwszego konsula, wszedł w życie system administracji, który prawie aż do 1871 r. stał się miarodawczym zarówno dla gmin miejskich, jak i wiejskich. System powyższy nie zaważał się znieść wszelkich dawnych różnic między miejskimi gminami a wiejskimi, zarówno jak i między wszelkimi klasami społeczeństwa gminy. Gmina stawała się instytucją państwową, pojęciem geograficznym sui generis, obrębem terytoryalnym, administrowanych przez urzędnika państwowego, przy którego boku zbierała się rzadko rada (conseil), złożona z mianowanych przez rząd obywateli, upoważnionych przeważnie do wyrażania zdania (donner avis), nie obowiązującego w niczem organów wykonawczych gminy.

Mechanizm administracyjny, stworzony w VIII roku rewolucji, dawał rządowi potężną siłę w ręce, a gminie odjął wszelką samoistność. Kwestya społeczna została przy tem załatwioną w sposób radykalny, t. j. niweczący dawne, uprzywilejowane klasy zasadą równości, która zarazem całą masę ludu francuskiego pogrążyła w równej bezczynności i apatii dla dobra publicznego. W „łożu Napoleona” kładły się wygodnie następne rządy Francji ¹⁾ z drobnymi zaledwie odstępstwami od systemu skrajnej centralizacji administracyjnej. W roku też 1815, gdy Francya posiadała wybieralną izbę, reprezentującą naród, rady gminne składały się z członków przez rząd mianowanych. Konstytucya państwowa, więc i cały system rządów reprezentacyjnych opierał się zaledwie na 80 do 100,000 wyborców, a nie na samoistnej gminie, przygotowującej naród do publicznej pracy i przywiązującej go do państwowych instytucji.

¹⁾ Ferrand: „Les institutions administratives en France et à l'Étranger”. Str. 34, takiego wyrażenia użył sam Napoleon I. „Si Louis XVIII fait bien, il se mettra dans mon lit en changeant les draps, car il est bon”.

W Niemczech stare rządy „przekazały XIX wiekowi gminę wiejską” o nienaruszonym typie monarchicznym. Prawie że daremnie okazały się reformacyjne wysiłki Józefa II i Fryderyka II, pruskiego. Absolutna władza, wsparta szlachetnością dążeń pierwszego z nich, a niezwykłą energią drugiego, nie zdołała rozbić drobnej na pozór monarchii patrymonialnej. Wszelkie skuteczniejsze reformy obu tych monarchów zawrzeć się musiały w obrębie królestw, służąc za wzór godny naśladowania, ale nie naśladowany, możnowładztwu patrymonialnemu. Stein przed 1807 r. marzył dopiero o tem, aby w Prusach był jeden „Pan” (Herr), t. j. jedno źródło funkcji zwierzchniczych w osobie króla. Włościanie bowiem pruscy składali, tak samo, jak za dawnych, dobrych czasów, i na początku XIX wieku przysięgę na wierność swym panom patrymonialnym, których uważali za swoją zwierzchność.

Zwiastun hasel i prądów rewolucyjnych, Napoleon I, wywołał prawdopodobnie bezwiednie i mimowolnie nowy zwrot w polityce administracyjnej Prus. Będąc sam zwolennikiem bezdusznej centralizacji administracyjnej, stał się mimo to przyczyną pośrednią do odrodzenia się samorządu, czyli do stworzenia w Prusach swobodnej gminy, takiej, jaka winna być podstawą życia konstytucyjnego. Artykuł IV konstytucji Księstwa Warszawskiego z d. 22 lipca 1807 r. zatrwożył ówczesny rząd pruski i zrodził obawę, że ludność rolnicza Szląska, okupowanego naówczas przez Francuzów, opuści swoje siedziby, szukając w sąsiednich krajach polepszenia doli. Keil pomawia ówczesnych pruskich mężów stanu o małoduszność za to, że dali się owładnąć podobnego rodzaju obawom ¹⁾, ale zapomina o tem, że istnieją niezbité dowody, przekonywające, że obawy były słusznymi i na zatrważających symptomatach opartymi.

Możnowładztwo szląskie doprowadziło niejednokrotnie ludność rolniczą w końcu XVIII wieku do zniecierpliwienia i do oporu swem twardem i nieludzkim obchodzeniem się. Na początku 1808 r., gdy ogłoszono włościanom szląskim ustawę z 1807 r., poprawiającą ich dolę, rozruchy się znowu pojawiły i wojsko francuskie musiało możnowładcom przychodzić z pomocą i przywracać gdzieś naruszony porządek ²⁾. Pruscy sterownicy nawy państwowej mieli więc dostateczny powód do obawiania się i zapobiegania emigracji, zwłaszcza. że

¹⁾ Die Landgemeinde in den östlichen Provinzen Preussens. Str. 77.

²⁾ Knapp: „Zur Geschichte der Bauernbefreiung in der älteren Teilen Preussens”. Str. 249 i dalsze. „Forschungen zur Brandenburgischen und Preussischen Geschichte”, herausgegeben von Reinhold Koser, T. I. część II.

prócz artykułu IV konstytucyi, otaczającego wszystkich mieszkańców równością prawa i równą opieką trybunałów, prawodawstwo Księstwa Warszawskiego zapewniało kolonistom znaczne korzyści. Stein też, zarówno jak i Hardenberg, zrozumieli wybornie, że niebezpieczeństwom, płynącym z reform prawodawczych sąsiedniego kraju, zapobieży się najskuteczniej przepisami prawa, zaspakajającemi potrzeby własnego ludu. Dla tego Hardenberg na czele reform zapragnął postawić władzę monarchiczną, aby ująć, jak się wyraził, „demokratische Grundsätze in einer monarchischen Regierung” ¹⁾).

Reforma agrarna Steina i Hardenberga z r. 1807 nie była dziełem skończonem. Wytworzyła też ona swobodną własność włościańską zaledwie w szczupłym zakresie, ale w każdym razie zrobiła wyłom w dawnej gminie o monarchicznym ustroju i, w miarę powiększania się liczby włościan właścicieli, gmina samorządna zyskiwała coraz pełniejsze prawo bytu. Hardenberg pojmował i to należycie, że państwo nowożytne nie może się oprzeć na społeczeństwie beczynnem i obojętnem na jego losy. Udział ludu w sprawach publicznych gminy i w administracji państwowej przedstawiał mu się jako siła odradzająca państwo ²⁾ i, dzięki jego, zarówno jak i Steina zabiegom, powstała ustawa miejska z 1808 r. Prusy więc, które dopiero w r. 1850 zajęły miejsce w szeregu państw konstytucyjnych, pozbyły się wcześniej tradycyjnej nieufności do samorządnej gminy miejskiej (w mniejszym stopniu i wiejskiej). Prawodawca pruski stwierdził też czynem zasadę, nakazującą państwo nowożytne organizować od podstaw, a samorządowi gminnemu przygotowywać naród do politycznych swobód.

Reformy pruskie nosiły od samego początku odmienny charakter od francuskich. Nie zapożyczając od wielkiej rewolucyi hasła niwelacji stanowej, które nieodzownie waśń społeczną pociągając za sobą musiały, Prusy nie potrzebowały obawiać się samorządu lokalnego w tem przewidywaniu, że się szybko przerodzi w anarchię. W organizowaniu gminy wiejskiej okazano też należną względność dla dawnych panów patrymonialnych i, regulując sprawiedliwie ich dawny stosunek z gromadą, starano się dawnego zwierzchnika dobrze usposobić do nowego porządku gminnego i wytworzyć dla niego tymczasowo

¹⁾ L. v. Ranke: „Hardenberg und die Geschichte des Preussischen Staates v. 1793—1813” (drugie wydanie). T. 3, str. 365.

²⁾ L. v. Ranke: „Hardenberg und die Geschichte des Preussischen Staates i t. d.” Str. 380. „Die Nation mit der Staatsverwaltung in nähere Verhältnisse zu bringen, sie mehr damit bekannt zu machen und dafür zu interessiren ist allerdings heilsam und nöthig i t. d.”

znośne stanowisko. W tym celu pozostawiono nadal właścicielom rycerskich majątków możliwość pozostania przy dawnym ustroju monarchicznym gminy i zachowano tym sposobem u podstaw nowożytnego państwa resztkę nieszkodliwą pierwiastków feudalnych.

Ślusznie jednak Gneist zauważył, że feudalizm ten nie był podobnym do dawnego i stracił wszelkie właściwości jątrzące, które zeń niegdyś czyniły privilegium odiosum. Funkcye publiczne, pozostawione gminie o ustroju monarchicznym, były już bezpośrednim wpływem władzy państwowej, która je delegowała rycerskim właścicielom, pilnując przytem ściśle, aby były wykonywane należycie i nie przerodziły się w nadużycie. Feodalizm też, przechowujący się gdzieś w ustroju gminy wiejskiej, utracił wszystkie swe dawne korzyści, a polegał jedynie na większym udziale w ponoszeniu ciężarów, który z czasem miał się stawać przygniatającym ¹⁾.

Z drugiej strony reformy agrarne pruskie z epoki 1807—11, nie poprzestając na samej swobodzie indywidualnej i na równej opiece prawa, dawały włościanom, chociaż w ograniczonym zakresie, pełną własność ziemi ²⁾. Swobodna własność stwarzała zaś nieprzewartą potrzebę samorządu lokalnego i zapobiegała pograżeniu ludności rolniczej w takiej bierności i zobojętnieniu, jakie miały miejsce w tych krajach, gdzie rządy ograniczyły się na przyznaniu samej swobody indywidualnej włościanom, a tytuł własności gruntów, przez nich uprawianych, przysądziły panom ³⁾. Od tej pory, w miarę jak regulacya stosunków agrarnych między dworem a włościanami przybierała większe rozmiary, jak to np. w Prusach miało miejsce w r. 1821 ⁴⁾, żywiły, stwarzające gminę samorządną, rozwijały się prawie równolegle i spychały dawną patrymonialną na drugorzędne stanowisko.

¹⁾ *Gneist*: „Die preussische Finanzreform durch Regulierung der Gemeindesteuern”. Str. 86—91.

²⁾ *Keil*: „Die Landgemeinde in den östlichen Provinzen Preussens, und die Versuche eine Landgemeindeordnung zu schaffen”. Str. 77 i dalsze.

³⁾ *Michalski*: „Włościanie i ich regulacya, rzut oka na stosunki gospodarcze ks. Poznańskiego przed uregulowaniem włościan”. Bibl. Warsz. r. 1845. T. 3. Str. 353. „Został więc w księstwie Warsz. włościanin co do swej osoby wolnym, ale to tak zupełnie wolnym, jak ptak, którego z każdego drzewa, gdzie usiądzie, spędzić dozwolono. Tak więc ów włościanin przez ową filantropijną konstytucyę stracił to, co mu staroświecki Landrecht zaręczał, to jest prawo do utrzymania życia na tym kawałku ziemi, na którym się rodził” — porównać *Cyprysiński*. „O stosunkach wzajemnych właścicieli dóbr i włościan w Król. Polskiem”. Bibl. Warsz., 1857. T. I. Str. 182 i dalsze.

⁴⁾ *Knapp*: „Die Bauernbefreiung”. Część I. Str. 201, — porównać *Treitschke*. „Deutsche Geschichte im XIX Jt.”. Część III. Str. 106 i dalsze.

W dobie od 1831—1848 roku, prawa uwłaszczające włościan utoraowały drogę samorządnej gminie wiejskiej prawie w całej środkowej Europie, a wcześniej doczekała się należytego uznania w nowożytnem państwie gmina miejska. Wprawdzie przez czas jakiś spoglądano na samodzielność rad miejskich z pewną nieufnością ¹⁾, a nawet pruska ustawa miejska, z r. 1808, doznała w następnym pewnych ograniczeń; z tem wszystkiem jednak w drugiej połowie XIX stulecia, gmina wogóle, a więc zarówno miejska, jak i wiejska, zatracą powoli charakter gospodarski, prywatny, zdający się wypływać ze stosunków sąsiedzkich, a odzyskuje natomiast znamię samoistnego organu publicznego, podejmującego zadania administracyjne i ogólnokulturalne, na wzór samego państwa, z tem tylko ograniczeniem, że publiczne zadania gminy musiały być przystępnymi dla sił umysłowych i materyalnych społeczeństwa miejscowego.

Treść publiczną, zawartą w prawach państwowych i administracyjnych, odzyskiwała gmina niezaprzeczenie w drugiej połowie XIX wieku, a w miarę przeradzania się jej charakteru prywatnego w publiczny, przejmowała też coraz bardziej formę ustroju od państwa konstytucyjnego, zamieniając się tym sposobem w istotną podstawę rządów reprezentacyjno-parlamentarnych. Jakkolwiek przeistoczenie owo co do formy i treści samorządu gminnego dokonywało się nieustannie i dokonywa się w oczach naszych, to jednakże charakter publiczny samorządu gminnego zdaje się być więcej odzyskanym w zakresie ustawodawstwa, aniżeli w życiu społecznym, i dla tego nosi więcej pozory teoretycznego mechanizmu, aniżeli istotnego czynnika etyczno-politycznego

Ci jednak, których drażniło i niecierpliwiło to długie i daremne oczekiwanie dojrzałych owoców, jakie samorząd gminny powinien był wydać, mieli zazwyczaj oczy zwrócone ku Anglii lub Stanom Zjednoczonym Ameryki północnej, gdzie stosunki patrymonialne, albo wcześniej zniknęły, albo nie istniały zupełnie ²⁾, i gdzie samorząd lokalny zrósł się od wieków ściśle z narodowym życiem. Stały ład Europy przedstawiał jednak zupełnie odmienny obraz i, aby wskrzesić życie, które „stare rządy” stłumiły prawie doszczętnie, trzeba było dłuższego

¹⁾ tenże sam fakt obserwował w Rossyi — *Ditiatin*. „Gorodskoje Samouprawnienie w Rossii”. Str. 128

Blodiy: „Die Selbstverwaltung als Rechtsbegriff”. Str. 202.

²⁾ *Gourd*: „Les chartes coloniales et le constitutions des Etats-Unis de l'Amérique du Nord”. T. 2. Str. 265, — porównać *Story*. „Bundestaatsrath”. Str. 70—oba te dzieła wykazują, że w Stanach Zjednoczonych feudalizm się zupełnie nie rozwinął.

czasu i epoka odrabiania starych grzechów dotąd bynajmniej nie prze-
minęła. Gmina samorządna, mająca wspierać nowożytnie państwo, na-
wet w drugiej połowie XIX wieku nie posiadała jeszcze wszystkich
koniecznych warunków, aby wytworzyć organ publiczny, spełniający
zadania administracyjne i mający być, stosownie do wymagań nauki,
mikrokosmem państwa ¹⁾.

Gminy wiejskie np. pozostawiono do bieżącej chwili przeważnie
w granicach dawnej miejscowości (Ortsgemeinde), pomimo że history-
czne terytoryum gminy nie zawierało dostatecznych sił umysłowych
i materyalnych do należytego spełnienia tych zadań, jakie jej miały
przypaść w udziale. W jaki sposób miały odpowiedzieć godnie nowe-
mu powołaniu gminy, liczące mniej niż sto mieszkańców? i jaką paro-
dyą musiał być ustrój demokratyczny czy reprezentacyjny, zastosowa-
ny do takiego mikroskopijnego organu publicznego? A nie była to
wyłączna przyczyna, która rozwój samorządu gminnego opóźniała,
krępując go tradycyjnymi nawykami na każdym kroku. Dawniej-
sze gromady wiejskie zachowały do końca XVIII wieku nieco samo-
dzielności wobec patrymonialnych władców, ale samodzielność powyż-
sza przejawiała się tylko wyjątkowo w sprawach publicznego interesu
(np. kościół we Francji) i zwykle ograniczała się na kwestyach gospo-
darskich, o charakterze wybitnie prywatnym. Swobodna własność kmie-
ca nie była w stanie odrazu wskrzesić puczucia dobra publicznego
wśród klasy, którą przez tyle czasu starannie od spraw publicznych
odsuwano. Na początku XIX wieku, gdy niezbedność swobodnej pra-
cy i własności włościńskiej zamieniła się w prawdę ekonomiczno-po-
lityczną, funkcyje sądowo-policyjne w obrębie gminy radzono mimo to
powierzać dawnym panom patrymonialnym, z tego powodu, że biurokra-
cja administracji państwowej dopuszczała-by się samowoli, a ciemnota
klas rolnych nie dozwalała oczekiwać, aby możliwą była tak prędko
forma reprezentacyjna gminy ²⁾. Wobec też tak smutnych okoliczności
wyrażono przekonanie, że najlepiej będzie pozostawić władzę gminną,
jako delegowaną przez państwo dawnym panom, a ściśłą kontrolą usu-
nąć nadużycia i zapewnić ludności rolnej wymiar sprawiedliwości.

¹⁾ *Blodig*: „Die Selbstverwaltung als Rechtsbegriff”. Str. 23 „und so gewis-
ser Massen als Mikrokosmen des Staates erscheinen,“.

²⁾ *Jakob*: „Ueber die Arbeit Leibeigener und freier Bauern in Beziehung auf
den Nutzen der Landeigenthümer vorzüglich in Russland”. 1814. Str. 94. „Ein
wohlhabender Gutsherr wird die Gerechtigkeit und Polizey allemal uneigennütziger
verwalten als ein schlechtbezahlter Staatsbeamter. Wird die Apellation an die hö-
heren Staatsbehörden verstattet, wie sich dieses von selbst versteht, so sind die Bau-
ern gegen willkührliche oder ungerechte Verfügungen genug gesichert”.

Formy reprezentacyjne z trudnością się dawały zaprowadzać w ustroju gminy wiejskiej. Nie pomogło nawet powołanie do bytu w drobnych gminach zgromadzeń wszystkich obywateli w miejsce rad wybieralnych ¹⁾, najprostsze bowiem i najelementarniejsze formy, przenoszone z nowożytnego państwa do ustroju gminy, okazywały się przedwczesnemi. Nieprzygotowanie włościan do zrozumienia zadań samorządu gminnego i do przejścia się jego charakterem publicznym wywoływało i podtrzymywało nieufność prawodawcy do szerszych reform. Pozostawiano też gminę zazwyczaj dłużej, niż należało, w ubóstwie nie tylko sił umysłowych, ale i materialnych.

Stając się samoistnym organem administracji o charakterze wybitnie publicznym, gmina, z natury swej świeżo odzyskanej, powinna była mieć moc zebrania środków materialnych, niezbędnych do spełnienia publicznych zadań, a prócz tego i władzę wykonawczą, obywatelską opór jednostek. Dawna gmina o charakterze prywatnym, wysuwająca na pierwszy plan realności przed osobami (Realgemeinde), a posiadająca do dyspozycji szczupłe źródła podatkowe i niewystarczającą władzę wykonawczą, nie była w stanie bez ważnych reform sprostać wymaganiom nowego porządku. Tymczasem prawodawca przez czas dość długi obawiał się uposażyć gminę w niezbędne funkcje władzy publicznej, w tem przewidywaniu, że gospodarstwo publiczne gminy będzie prowadzone na piecu miejscowego szynku za pomocą węgla ²⁾, i że władza wykonawcza, powierzona organom wybieralnym, nie zdoła zapewnić spokoju i zapobiedz nadużyciom.

System podatków, z którego-by gmina mogła czerpać dochody, pozostał długo zaniedbanym, a tem samem zadania samorządu rozwinąć się nie były w możności. Jeszcze też w drugiej połowie XIX stulecia samorząd gminny na kontynencie europejskim prowadził suchotniczy żywot, nie tylko nadzorowany, ale krępowany i podejrzwany przez organa administracji państwowej. W ciągu jednak tego samego czasu ustrój konstytucyjny państwa nowożytnego nieustannie się rozwijał i wypełniał; prócz tego nauki polityczne, wykazujące braki systemu reprezentacyjnego, który organa prawodawcze doprowadzał do nieustającej scyssyi z wykonawczemi, zapragnęły państwu nadać charakter praworządny (Rechtsstaat), pozbawiający go pierwiastku samowoli

¹⁾ *Blodig*: „Die Selbstverwaltung als Rechtsbegriff”. Str. 151. Sehr häufig aber tritt die Gemeindeversammlung in kleineren Gemeinden obligatorisch, oder facultativ an Stelle der gewählten Gemeindevvertretung i t. d.

²⁾ *Keil*: „Die Landgemeinde in den östlichen Provinzen Preussens”. Str. 121.

w dziedzinie administracji, gdzie się jeszcze w znacznym stopniu przechowywał. O urzeczywistnieniu powyższych, naukowych dezideratów można było dopiero wtedy pomyśleć, gdy społeczeństwo, biorące udział przy uchwalaniu prawa, powołanem zostało do współudziału przy wprowadzaniu go i utrzymywaniu przy życiu funkcjami administracyjnymi. Podług więc wymagań politycznych nauk doby bieżącej, samorząd gminny miał stworzyć elementarną szkołę publicznego życia, miał być niezbędnem uzupełnieniem, a nie przeciwstawieniem administracji państwowej, i z niego-to miało być potężne źródło, uszlachetniające i uzdrawiające parlamentaryzm przez złagodzenie stronnicych waśni i usunięcie scyssyi między organami prawodawczemi i wykonawczemi.

Przekonywania i dowodzenia politycznych nauk nie pozostały zupełnie bezowocnemi dla praktycznego rezultatu. Prawodawstwa poczęły prawie wszędzie przeistaczać gminę w publiczny organ administracji miejscowej, a jakkolwiek jeszcze nie wszędzie udało się usunąć dawne, przeżyte formy i zakreślić gminie odpowiedni zakres działania, to jednakże postęp jest niezaprzeczony i dążenie do udoskonalenia organów samorządu wytrwałe. Pozostawiono wprawdzie dotąd w wielu krajach gminy miejscowe, które ze swym drobnym obszarem i garścią ludności nie odpowiadały bynajmniej potrzebom nowego porządku; nie usunięto nawet radykalnie gminy o monarchicznym ustroju, choć taki ustrój nie dopuszczał szerokich mas do spełniania funkcji publicznych i tem samem odejmował samorządowi najważniejszy wpływ na społeczeństwo. Z tem wszystkiem i w tym kierunku nie było absolutnego zastoju i reformatorski prąd usunął wiele braków i niedogodności.

Jako uzupełnienie drobnych gmin miejscowych, niezdołnych do wykonywania publicznych funkcji, wytworzono w Niemczech gminy specjalne (Spezialgemeinden), zasobniejsze w siły intelligentne i materialne, które przeznaczone były do urzeczywistnienia jednego tylko zadania administracyjnego ¹⁾. W gminie specjalnej łączyły się zazwyczaj gminy miejscowe obu typów, reprezentacyjnego i monarchicznego, a w dodatku nie tylko dozwolano, ale zachęcano reprezentantów gminy monarchicznej do łączenia się z gminą włościańską, nie tylko w specjalny, lecz w pełny organ samorządu. Z gmin zaś dworskich, które uporczywie wytrwały przy swej odrębności, starto skrupulatnie dawne feudalne znamiona. Jeżeli w przeszłości władza patrymonialna była przywilejem krzywdzącym, a przynajmniej dającym możność krzywdzenia

¹⁾ *Blödig*: „Die Selbstverwaltung als Rechtsbegriff”. Str. 278. Spezialgemeinden mit vorwiegend politischen Zwecken i str. 286. Spezialgemeinde für Zwecke der Landesultur.

włościan, to w drugiej połowie XIX wieku prawodawca zrobił wszystko, aby przywilej powyższy uczynić uciążliwą służbą dla samych uprzywilejowanych. Możliwość bowiem pozostania przy odrębnej gminie dworskiej pociągała zwykle za sobą znacznie cięższe, a prócz tego nad monarchiczną gminą czuwały nie tylko wyższe władze administracyjne, ale i opinia publiczna, która domagała się od dawnych panów obywatelskiego poświęcenia i wzorowego spełniania licznych moralnych obowiązków ¹⁾.

Zresztą po-za obrębem dworskich uprzywilejowanych obszarów przywrócono gminie charakter publiczny, wsparty na zasadzie prawa państwowego i administracyjnego, czyli na tem samem, na czem się opierała konstytucya państwa. Uwzględniono przytem wszelakie odrębności miejscowe, które znowu domagały się uznania z tego tytułu, że właśnie w obrębie gminy stykał się bezpośrednio interes publiczny z prywatnym i w życiu gminnem urzeczywistniała się najdosadniej angielska zasada: „Public business is private business of every man” ²⁾. Prawu też państwowemu zawdzięcza gmina szersze pojęcie obywatelstwa gminnego, prawa wyborczego, względnego równouprawnienia kobiet, nie mówiąc już o całym reprezentacyjnym ustroju samorządnej gminy. We wszystkich tych ważnych kwestyach zdołano posunąć się naprzód, unikając zbyt konsekwentnego przeprowadzania zasad, które w państwowem życiu wywoływały chorobliwy stan lub groźne przesilenia.

Rozszerzając obywatelstwo gminne po-za szczupły zakres właścicieli ziemi lub nieruchomości, prawodawcy, mimo to, nie uważali za stosowne oswabadzać jednostki gminnej od wszelkich warunków materialnych, aby tym sposobem nie otworzyć gminnych wrót dla teoryi głosowania powszechnego i radykalnych pojęć równości prawnej. Tak samo hołdując zasadzie, że ponoszącym większe ciężary winny przysługiwać większe korzyści ³⁾, prawodawcy nie zawahali się w prawie

¹⁾ *Biedermann*: „Ueber die Pflichten und Rechte der Rittergutsbesitzer mit besonderer Rücksicht auf das Königreich Sachsen”. Str. 15–24 — porównać. *Czerwiński*: „Prawa i zasady rządu wiejskiego”. (Przemysł, 1813), str. 10. Pan (właściciel majątku) jest pierwszym, od którego poddani uczyć się mają: rząd, prawa i powszechne dobra kochać. Pierwszym jest także, aby dobrowolnego posłuszeństwa na wszelkie rozkazy rządowe dawał przykład. Pierwszym jest i do tego, aby z majątku swego żadnych ofiar dla dobra publicznego nie szczędził. Przeto będąc pierwszym wai swojej urzędnikiem i t. d.

²⁾ *Ferrand*: „Les institutions administratives en France et a l'étranger”. Str. 123.

³⁾ *Gneist*. „Die Preussische Finanzreform i t. d.”, str. 127, określa to słowami „Leistung und Gegenleistung“.

wyborczem zachować pewnych właściwości, wywołanych odrębnością życia gminnego. Ci, co posiadali znaczniejszy majątek w obrębie gminy i co płacili znaczniejsze kwoty na jej potrzeby, nie mogli być wydanymi na łup uboższym, co-by niewątpliwie nastąpiło, gdyby prawo wyborcze kierowało się zasadą absolutnej równości. Prawodawcy więc zdecydowali się gdzieś na przywrócenie większej harmonii i właściwszego stosunku między uprawnieniem a ciężarem, bądź to za pomocą systemu trzyklasowego wyborczego, istniejącego w Prusach, bądź też za pośrednictwem przyznania większej liczby głosów jednemu wyborcy ¹⁾.

Równouprawnienie kobiet, napotykające w dziedzinie prawa państwowego nieprzebyte zapory, w obrębie gminy robiło pewne postępy. W zakresie spraw samorządu lokalnego nie można było równie silnie, jak w życiu państwowem, wystąpić z rzymską zasadą, „*jus publicum — publicum officium*”, i powoływać się na to, że równouprawnieniu musi nieodzownie towarzyszyć równe ponoszenie ciężarów, z których najcięższy — ogólna służba wojskowa, był nieprzystępny dla kobiet. Gospodarstwo rolne czy przemysłowe, bez względu na to, kto stał na jego czele, opłacało się gminie podatkami; trudno więc było odmówić właścicielkom charakteru obywatelskiego i pozbawić je głosu na wyborach. Trudniejszą się okazała sprawa dopuszczania kobiet do spełniania urzędów gminnych, ale i w tym kierunku zrobiono pewien wyłom, który być może, że w niedalekiej przyszłości się powiększy ²⁾.

Że każda chwila może dla ustroju gminnego zdobyć pewne ulepszenia i udoskonalenia, na to mamy dowód w objawie bardzo oryginalnym, jaki przez lat kilka powtarzał się w niektórych miastach francuskich, w których zresztą samorządowi gminnemu nie bardzo udawało się budzić z odrętwienia ludność miejscową. Oto na wniosek mera, gdy rada municypalna, podzielona na stronnictwa, nie mogła się zdobyć na powzięcie uchwały w sprawach dobra miasta dotyczących, zdecydowano się całą sprawę przedstawić wszystkim wyborcom i zażądać od nich zdania, które dla rady municypalnej miało być wyjaśnieniem o opinii większości wyborców, pozbawionem jednakże wszelkiej

¹⁾ *Pufferoen*: „*Les réformes communales i t. d.*“, str. 93, także w imię zasady „*le droit en proportion du devoir rempli*“ zaprowadzono „*le vote plural*“ w niektórych prawodawstwach.

²⁾ *Ostrogorski*: „*La femme au point de vue du droit public*“, str. 85. *Le self-government local*, a zwłaszcza str. 108, gdzie się przekonujemy, że Szwecya najwięcej posunęła się naprzód, dopuszczając kobiety do niektórych wybieralnych urzędów gminnych.

mocy obowiązującej ¹⁾). Takie zaimprovizowane referendum gminne odbyło się bez upoważnienia uprzedniego wyższych władz kilkakrotnie i zyskało sobie zarówno zwolenników, jak i ostrych krytyków. Być może jednak, że niezadługo prawodawca francuski, w celu złagodzenia waśni stronnicych, przejętych z parlamentu do rad municypalnych, chwyci się, sposobem próby, tego, albo też innego, podobnego środka.

Postęp prawodawstwa gminnego objawił się również w powiększaniu i rozwijaniu się nieustannem zadań publicznych samorządu gminnego. Ponieważ zadania administracyjne, powierzane gminie, nosiły charakter publiczny, wykonanie ich więc było obowiązkiem i nie mogło zależeć od dobrej woli gmin. Z tego właśnie powodu, państwo zaledwie powoli pozbywało się nieufności do uzdolnienia i do poczucia obowiązku miejscowych organów. Z czasem jednak zaufanie wzrosło, zwłaszcza że nadużyciom zapobiegła do pewnego stopnia teoria podziału zadań publicznych samorządu na poruczone i własne, z których pierwsze stawiano zazwyczaj pod ściślejszą kontrolą władz państwowych. Linia graniczna, oddzielająca zakres poruczonej gminy od własnego, nie może być uważaną za ustalone pojęcie naukowe, lecz jedynie za przepis, podyktowany czasowymi wymaganiami polityki administracyjnej. Linia ta zmieniała się też często i w miarę, jak samorząd zżył się ściślej z ludnością miejscową, zadania zakresu poruczonego przechodziły do własnego.

W każdym razie liczba zadań publicznych, powierzonych gminie, wzrosła znacznie w drugiej połowie XIX wieku, a że nie jest już zamkniętą i prawdopodobnie nigdy ten los jej nie spotka, na to mamy najlepszy dowód w tem, że prawodawca niemiecki w r. 1881 samorządowi gminnemu porucił przyjęcie udziału w ubezpieczeniu od chorób robotniczej ludności, które ma być uzupełnieniem licznych ubezpieczeń, objętych prawodawstwem socyjalnem, zainicyonowanem przez księcia Bismarcka ²⁾.

Ilość zadań publicznych, spełnianych przez gminę, pozostawać jednak musiała w ściślejszej zależności od jej sił podatkowych. Dawny system podatków, odpowiadający skromniejszym wymaganiom, nie wystarczał już nowemu porządkowi rzeczy. Trzeba było wynaleźć nowe źródła podatkowe, ale wypadło rozłożyć sam podatek tak umiejętnie na mienie miejscowych obywateli, aby nie wyszło na jaw, że jedne klasy są wyzyskiwane lub skazywane na ekonomiczną ruinę,

¹⁾ *Sizeranne*: „Le referendum communal“, str. 12 i dalsze.

²⁾ *Schmitz*: „Die Bürgermeisterei und Amts-Verwaltung unter Berücksichtigung der neuesten Socialpolitischen Gesetze“, str. 532 (Krankenversicherung).

a drugie oszczędzane, bez żadnej ku temu podstawy jurejdycznej. Kilkanaście lat temu, nauki polityczne wzięły trudną i zawiłą kwestyę podatków gminnych pod szczególną rozwayę ¹⁾. Nie osiągnięto wprawdzie rezultatu, zaspakajającego pod każdym względem, albowiem nie wskazano żadnego uniwersalnego wzoru dla podatków gminnych i ich rozkładu; skłoniono wszelakoż prawodawcę do pilnego zajęcia się sprawą publicznego gospodarstwa gminy i do uzupełnienia braków, jakie w tej dziedzinie panowały. Nie tylko też, że prawodawstwa stwarzały gminie coraz to obfitsze źródła, płynące z podatków bądź to bezpośrednich, bądź pośrednich, ale uwzględnily i w tym zakresie specyalne właściwości życia gminnego.

W mikrokosmie państwowym, jaki uosabia gmina, łatwo się dostrzega wszelkie przeciążenie podatkami jednych klas na korzyść drugich; z drugiej strony znowu nie tak trudnem jest spostrzeżenie, że pewne warstwy odnoszą z gminnego samorządu większe pożytki od drugich. Polityka finansowa w obrębie gminy może też z dobrą wiarą w praktyczny skutek dążyć do zaprowadzenia odpowiedniego stosunku między pożytkiem a ciężarem, czyli podatkiem; co się da urzeczywistnić jedynie przez odstąpienie od teoryi absolutnej równości i przez uposażenie gminy we władzę opodatkowania obywateli podług odmiennej zasady. Środek powyższy łatwo może przeistoczyć się w nadużycie i obudzić w uboższych klasach zmysł spoliacyjny; z tem wszyskiem prawodawstwo pruskie i inne niemieckie nie wahały się powierzyć ową władzę samorządowi gminnemu, zabezpieczywszy się od nieuależytego jej użycia odpowiednemi gwarancyami ²⁾.

Do wykonania zadań publicznych nieodzowną była pewna władza, która-by zarazem zmuszała obywateli miejscowych do wykonania obowiązków. Ze względu, że urzędowi wykonawczym gminnym powierzała administracya państwowa dużo drugorzędnych czynności do spełnienia, władza policyjna niechętnie bywała pozostawiana w rękach wybieralnych urzędników gminy. Z czasem jednak pozbyto się nieu-

¹⁾ Prócz prac Gneista i Bilińskiego, temu przedmiotowi poświęconych, należy jeszcze wymienić cały szereg rozpraw, zamieszczonych w dziele p. t.: „Schriften des Vereins für Socialpolitik. Die Communalsteuer-Frage. Zehn Gutachten und Berechnungen, veröffentlicht vom Verein für Socialpolitik.

²⁾ *Blodig*: „Die Selbstverwaltung als Rechtsbegriff“, str. 243. „Das preuss. K. A. G. bestimmt ausdrücklich, wann dies geschehen dürfe während die anderen Gesetze derartige Gemeindebeschlüsse nur von der Ertheilung der Genehmigung der Aufsichtsbehörde abhängig machen. Auch sonst gestatten die meisten Gesetzgebungen die Mehr- und Minderbelastung einzelner Klassen der zur Gemeinde gehörigen Personen“.

fności i pod tym względem, zachowując sobie na wszelki wypadek prawo potwierdzenia wyboru urzędnika gminnego, któremu władza wykonawcza powierzana bywała.

Wreszcie i nadzór wyższych władz administracyjnych, czyli tak zwana opieka państwowa nad samorządem gminnym zmieniła w nowych prawodawstwach całkowicie swój charakter. Gmina nie jest już uważaną za nieletniego lub bezwłasnowolnego, którym administracja winna kierować we wszystkim, ale za samoistny organ publiczny, który im liczniejsze zadania administracji spełniać będzie i im szersze koła obywateli wciągnie do pracy publicznej, tem większe usługi odda administracji państwowej, tem bardziej utrwali skomplikowany gmach nowożytnego państwa. Nadzorowi państwowemu chodzi też nie o stłumienie samoistnej działalności gminy, ale o to, aby funkcje i zadania samorządu nie straciły charakteru publicznego, aby były wykonywane dla dobra gminy, jako organu publicznego, który tym tylko sposobem staje się podstawą państwowego ustroju.

W końcu pozwolę sobie zastanowić się nad jednym pytaniem, a mianowicie: czy obecne prawodawstwa gminne na europejskim kontynencie można uważać za dzieło skończone, które formację samorządu gminy doprowadziło do należytej i pożądanej doskonałości? Mniemam, że na pytanie powyższe nawet zdecydowani optymiści nie odpowiedzieliby twierdząco. Prawodawcy łącznie z mężami nauki politycznej zdołali rozwiązać zaledwie niektóre zagadnienia, ale wiele innych pozostawiono jeszcze przyszłości do zbadania i urzeczywistnienia. Niewątpliwie w nauce i w prawodawstwie przejawiało się dążenie, aby znamienne cechy państwa zaszczerpić w gminie i aby tym sposobem gminę praworządną (Rechtsgemeinde) uczynić podwaliną praworządnego państwa (Rechtsstaat) ¹⁾. Przekonano się jednak zarazem, że nad stworzeniem powszechnego typu gminy samorządnej, bądź to dla wszystkich państw, bądź to dla jednego, daremnie będą się trudziły umysły i że gmina tem lepiej odpowie swemu zadaniu, im prawodawca społeczne i etnograficzne właściwości kraju zdoła skrupulatniej i umiejętniej uwzględnić ²⁾.

¹⁾ Ferrand: „Les institutions administratives en France et à l'étranger“, str. 227. — wnioskuje znowu, że za pośrednictwem decentralizacji, a więc i samorządu, „le gouvernement représentatif devienne une vérité“.

²⁾ Stive: „Wesen und Verfassung der Landgemeinden und des ländlichen Grundbesitzes in Niedersachsen und Westphalen“, str 164. „Deshalb giebt es denn auch für das Gedeihen der Gemeindefreiheit nichts verderblicheres als allgemeine Ordnungen, durch welche man glaubt alles in Eine und dieselbe Form bringen zu können i. t. d.“.

Po-za licznymi punktami porozumienia się istnieją równie liczne kwestye, nad których rozstrzygnięciem zastanawia się po dziś dzień nauka, a waha prawodawstwo. Ogólnikiem bowiem, zawartym w teoretycznej formule, nie usunie się trudności, jakie wystąpią zaraz, gdy przyjdzie lokalne właściwości ująć w jurydyczną formułę. Zresztą samo życie publiczne, zarówno państwa, jak i gminy, wytwarza coraz to nowe potrzeby cywilizacyjne, zarówno jak i zadania administracji, które w następstwie wywołują reformy w zakresie prawa państwowego i administracyjnego. Jak nie masz konstytucyi państwowej trwale doskonalszej, tak nie masz i ustroju gminy samorządnej, który-by zdołał przez dłuższy czas zadość uczynić potrzebom rozwijającego się życia. Najlepszy dowód stanowi selfgovernment Brytanii, który w drugiej połowie XIX wieku doznał wielkich przeistoczeń. Selfgovernment zaś Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej przekonywa znowu, że nawet dobra swego czasu organizacja gminna przeżyć się może i spowodować zupełną domoralizację w miejscowem społeczeństwie ¹⁾.

Tem bardziej więc na stałym łądzie Europy prawodawstwa gminnego nie można uważać za doskonałe dzieło, wykończone we wszystkich szczegółach. Reformy uzupełniające będą zawsze na porządku dziennym i umysł ludzki zmuszony zostanie do nieustannego wyszukiwania przepisów prawnych, odpowiadających wzrastającym potrzebom życia. W obecnej np. dobie pożytki z istnienia drobnej gminy miejscowej coraz bardziej są podawane w wątpliwość ²⁾, a krytyczne pociśki jeszcze gwałtowniej są skierowywane przeciw gminie o monarchicznym ustroju, który wydaje się być zupełnie przeciwnym duchowi czasu. W austriackich dzierżawach dochowały się do bieżącej chwili owe dawne pozostałości historycznie, ale szczególnie Galicya uposażoną niemi została obficie i przechowała je wierniej od innych krain habsburskiej monarchii. Nie brakło wprawdzie poważnych głosów, które o konieczności reformy przekonywały, wykazując zarazem, jaki suchotniczy żywot musi pędzić gmina wiejska w Galicyi, dzięki kardy-

¹⁾ *Kapp*: „Aus und über Amerika“. T. 2 Str. 3. — New-Jorker Stadtverwaltung. W rozdziale powyższym przedstawia nadużycia, jakie się do zarządu municypalnego zakradły, dzięki głosowaniu powszechnemu. Str. 38. „Soll die Stadtverwaltung zu Sitte, Anstand und Recht zurückgeführt werden. so giebt es dafür nur ein Mittel, und dieses eine Mittel, das kann nicht genug betont werden, heisst Abschaffung des allgemeinen Stimmrechts in Kommunal-Angelegenheiten“

²⁾ *Keil*: „Die Landgemeinde in den östlichen Provinzen Preussens“, str. 203. „Schon jetzt ist die bange Frage berechtigt, welchen Inhalt einst, wenn sich alles Gemeindeleben in Kommunale Zweckverbände differenziert hat, eine künftige Gemeindeordnung nachhaben kann i t. d.“

nalnym błędom organizacyi. Dotąd jednak prawodawca pozostał głuchym na wszelkie nawoływania i sprawa organizacyi gmin wiejskich pozostała kwestyą palącą. Ale właśnie ten jej stan zapalny wywierał na ludzi nauki specjalny urok; po-za traktatem naukowym bowiem budziło się wśród badaczy pragnienie obmyślenia gminom wiejskim odpowiedniejszego ustroju i nadania tym sposobem rzetelnej siły samorządowi, który, jak to prof. Kleczyński dowiódł, przedstawiał w Galicyi godny politowania obraz.

Potrzeba reorganizacyi gminy wiejskiej w Galicyi i charakter palący tej kwestyi skłoniły dra Piotra Górskiego do napisania dzieła p. t. „Samorząd gminny”, którego tom pierwszy ukazał się w roku przeszłym. W przedmowie autor nadmienia, że teraz nadszedł czas zajmowania się gminą i że wszystko wskazuje, iż instytucye gminne zajmą ważne miejsce w przyszłości. Co się zaś tyczy Galicyi, to w tym kraju urządzenia gminne znane są powszechnie ze swych ujemnych stron. Od pierwszej chwili wprowadzenia w życie ustawy gminnej i ustawy o reprezentacyi powiatowej, aż po dzień dzisiejszy, w sejmie i w całym kraju krytykowano ostro powyższe urządzenia. Nie było ani jednego głosu, który-by stanął w obronie obecnego stanu rzeczy, wszyscy czuli potrzebę reformy, nawoływali do niej, a mimo to sprawa nie posunęła się ani na krok naprzód. Powodem tego, był poniekąd brak naukowego opracowania przedmiotu. Celem też pracy dra Piotra Górskiego było przysposobienie przygotowawczych czy posiłkujących materiałów do reformy gminy wiejskiej w Galicyi, i dla tego też na urządzenie gminy wiejskiej główny kładł nacisk. W tomie zaś pierwszym podał autor rozbiór najważniejszych systemów urządzeń gminnych w tych państwach, które przodują w urządzeniach administracyi, dołączając do niego rozbiór głównych zasad, oraz instytucyi prawa gminnego w Austryi.

We wstępie historycznym autor oświadcza, że nie może być cywilizacyi tam, gdzie wszystkie sprawy ludności miejscowej, najbliższe, najprostsze i najpotrzebniejsze, załatwia i rozstrzyga według własnego uznania lub polecenia z góry, organ wyższej władzy państwowej, i obywateli, jakby małoletnich, do samowolnych swych rozporządzeń nagina i zmusza. Tymczasem cywilizacya, zaszczipiona na gruncie samorządu gminnego, najtrwalsze wydaje owoce. Pod jej wpływem wyrabiają się najlepiej pojęcia prawne w ludności, społeczeństwo dojrzewa i konsoli-

duje się, nie skutkiem zewnętrznych wpływów, ale wewnętrznego, organicznego życia.

Najniższe warstwy społeczeństwa, powoływane do samorządu w gminie, takie przynoszą do wykonania tego zadania przymioty i uzdolnienie, jakie w nich nie tylko ostatnie ćwierć wieku, ale tradycje i dawne instytucje prawne w ciągu całych pokoleń wyrobiły. Nadwrót, istniejące instytucje samorządu gminnego i sposób ich zastosowania wpływać muszą na obecne i przyszłe pokolenia, na ich przymioty i zdolności, ich rozwój moralny i materialny. Wobec tego nasuwa się mimowoli pytanie, jakie ludność wiejska w Galicyi mogła wynieść cechy z dawnych instytucji gminnego ustroju? Jakże w niej mógł wyrobić przymioty samorząd, z początku bardzo obszerny, ścieśniany następnie z każdym pokoleniem? Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że w ludności tej uderza wielka poczciwość i nadzwyczajna dobroduszość. Następnie zastanowić musi każdego wysoki stopień inteligencji i zdolności umysłowe rozwinięte a wielostronne. Przymioty powyższe nie mogły być ani wrodzone, ani przypadkowe, lecz musiały być nabytymi przez długie pokolenia.

Prócz tego w ludności wiejskiej przeważało zawsze i przedewszystkiem dążenie do prostych i praktycznych rezultatów, ocenianie rzeczy i wszelkich urządzeń według tego, czy istotną przynoszą korzyści i pożytek, i to nie w odległej, ale w najbliższej przyszłości. Nadto, w tejsze ludności przebija się uszanowanie dla władzy i poczucie potrzeby energicznej stateczności władzy. W występowaniu zaś na zewnątrz przejawia się wielka solidarność. Na wewnątrz może być kłótnia, częstokroć i zajadła, czasami przechodząca z pokolenia na pokolenie, ale na zewnątrz prawie zawsze jedność. Sąsiednia wieś może inaczej postępować, inaczej na zewnątrz działać, decydować, ale z jednej i tej samej wsi wszyscy zawsze razem działają gromadą.

Spotkać się można niejednokrotnie z zarzutem, że u ludności wiejskiej panuje gruby materializm i chciwość. Cecha ta jednak występuje wszędzie u ludzi twardo na roli pracujących, a uboższa częstokroć ludność miejska, nawet robotnicy fabryczni zazwyczaj w mniejszym stopniu posiadają powyższe ujemne skłonności. Włościanin, ubiegający się o urząd gminny, stara się prawie zawsze o jakąś z niego materialną korzyść, a najbogatszy nawet gospodarz, będąc wójtem, lub przysiężnym, nie pogardza postronnemi zyskami i ciągnie wszelakie dochody, które mu udział w służbie publicznej przynieść może. Ciekawym przytem rysem charakterystycznym jest, że na zboczenie tego rodzaju, nawet najzamożniejszych urzędników gminnych, ogół ubogich członków gminy bywa zwykle dość pobłażliwym.

Istnieje jeszcze druga ujemna cecha charakteru ludności wiejskiej przy wykonywaniu zadań samorządu gminnego, a mianowicie wielka bierność. Na objaw powyższy złożyło się wiele przyczyn, do których rzędu należał między innymi i dawny ustroj gminy. Dzięki dość wczesnemu zniesieniu pańszczyzny i poddaństwa pojawiła się wprawdzie energia samodzielności i skrzętna zapobiegliwość, ale przymioty te nie od razu dadzą się w szerokich masach rozwinąć. Do przymiotów tych dochodzi społeczeństwo najpewniej i najłatwiej przez poprawne instytucje prawa publicznego, czyli za pośrednictwem samorządu, który całe masy wdraża do pracy i obowiązku publicznego. Dla tego też, gdy prawodawca podejmuje reformę ustaw, tak głęboko w życie społeczne wnikających, jak ustawa gminna, powinien nie tylko brać na uwagę względy, aby zastosować nową ustawę do innych, otwierających w państwie przepisów prawa i urzędzeń, aby między instytucjami prawa publicznego zawsze zachodziła harmonia i ścisły organiczny związek, lecz, prócz tego, jeżeli chce, aby ustawa była pożyteczną, nie zaś martwą literą, jeżeli chce, aby się wcieliła w życie, musi koniecznie liczyć się z charakterem ludności.

Przechodząc do nowożytnych prawodawstw gminnych, autor zaznaczył, że dopiero z chwilą zniesienia pańszczyzny i powinności poddańczych nadeszła pora nowego okresu w ustroju gminnym. Działo się to samą siłą rzeczy. Prawodawca, zniósłszy powinności poddańcze, zniósł tem samem i władzę patrymonialną; usunąwszy jednak dawną władzę, nie mógł na tem miejscu pustki pozostawić, lecz musiał ją oddać innym organom, które trzeba było dopiero wytworzyć i zorganizować. Do tego zadania prawodawca nie był należycie przygotowany. Zaskoczyło go ono w chwili, kiedy wszystkich zajmowało stworzenie swobód konstytucyjnych. Stąd w ustawach gminnych, które równocześnie ze zniesieniem pańszczyzny pojawiają się, jest jakaś cecha dorywczej pracy prawodawczej. Nie znać głęboko obmyślanych reform, nie znać konsekwencji i stałości, lecz wszędzie urządzenia nowe mają charakter prowizoryczny, jakby na razie starano się wyjść z kłopotliwego położenia za pomocą chwilowej łataniny.

Poświęcając uwagę systemowi francuskiemu, autor zaznacza, że pierwsza ustawa gminna francuska z 1789 r. była zarazem pierwszą i najsilniejszą reakcją przeciw centralizacji władzy absolutnej monarchii. Zgromadzenie prawodawcze nie miało jednak czasu, aby ustawie powyższej poświęcić należyłą pracę. W ogólnym też odmieńcu i pośpiechu przyjęto zasadę, że ustawa ma obowiązywać we wszystkich istniejących naówczas osadach, zarówno wiejskich, jak i miejskich. Tym sposobem wytworzono aż 44,000 gmin i popełniono aż dwa kardynalne błędy. Pierwszy istniał w tem, że wydano taką samą ustawę dla

miast, jak i dla wsi, kiedy tymczasem jedna ustawa do tak odmiennych warunków życia nadawać się nie może. Drugi błąd organiczny popełniono przez to, że każdej podówczas istniejącej osadzie, czyli gminie historycznej, nadano atrybucyę gminy administracyjnej, choćby nie miała sił do istnienia. Bezpośredniem następstwem tego był objaw, że wyższe organa musiały gminę wspierać, a często zastępować w wykonywaniu czynności publicznych, krępując tym sposobem zupełnie samorząd.

Ustawa gminna z r. 1789 nie weszła w życie, i dopiero pamiętna konstytucya konsularna z r. VIII wytworzyła nową podwalinę organizacyi władz administracyjnych i gminnych. Konstytucya przywraca napowrót gminę w granicach osady miejscowej czyli historycznej, uznaje jej indywidualność wobec państwa i osób trzecich, uznaje ją jako podmiot praw, jako jednostkę organiczną, która zna własne interesa i potrzeby lokalne. Władza cała w gminie oddaną została w ręce naczelnika (maire), jemu powierzono wszystkie zadania administracyi państwowej i lokalnej, a do zarządu własnych interesów i potrzeb ustanowiono obok mera radę gminną. Mer, jako piastujący w swych ręku władzę wykonawczą, był przedewszystkiem organem władzy państwa, podległym przełożonej władzy, t. j. prefektowi. Za pomocą urzędu mera i przez ten urząd utrzymywała wyższa władza administracyjna całą gminę w zależności, poddawała ją zupełnie pod jednolite kierownictwo scentralizowanej władzy państwa, kładąc wzamian za to na tę ostatnią, t. j. na prefekta, obowiązek wspierania, kierowania i nadzorowania działalności mera.

Konstytucya VIII roku nałożyła więc na władzę państwową obowiązek wypełniania tego, co Francuzi nazywają „la tutelle administrative” i o ile dotyczyła organizacyi gminy, utrzymaną została w całości do dziś dnia we Francyi. Późniejsze nowelle gminne zaprowadzały w niej tylko mało znaczące zmiany, a nowa ostatnia ustawa gminna z r. 1884, która znosi wszelkie poprzednie urządzenia, w zupełności przyjmuje główne zasady, wytknięte w tej konstytucyi. Tak np. nowella z r. 1831 postanowiła, że członkowie rady gminnej mają być wybierani na podstawie specjalnie urządzonych list wyborczych, a mer będzie nadal mianowany przez rząd, ale z pomiędzy członków rady gminnej. W roku 1848 merowie mieli być mianowani tylko w gminach, mających więcej niż 6000 mieszkańców, albo które są siedzibą władz departamentu, a zresztą wybierani przez radę gminną z zastrzeżeniem, że rząd ma prawo ich w urzędowaniu, według własnego uznania, zawiesząć. W r. 1852 rozszerzono znowu prawo wyborcze gminne, wprowadzając powszechne głosowanie przy wyborach do rad, ale za to mer

miał być mianowany przez władzę administracyjną i mógł być powołanym z po-za członków rady gminnej i mieszkańców gminy.

Co się tyczy spraw gminnych, to prawo francuskie rozróżnia dwie grupy: 1) sprawy majątkowe i 2) sprawy policyi miejscowej. W sprawach policyi miejscowej mer nie jest organem rady gminnej i wypełnia je też bez udziału tejże rady. Ustawy z r. 1837 i 1867 dzielą na trzy kategorie sprawy, podlegające deliberacyom i uchwałom rad gminnych. Do pierwszej kategorii należą te sprawy, o których rada gminna obraduje i decyduje pod kontrolą władzy wyższej. Uchwały rady gminnej, w tej kategorii spraw powzięte, nie potrzebują do prawomocności swej zatwierdzenia władzy państwa, tylko ulegają ściśle określonej kontroli tej władzy. Władza państwowa może więc uchwałę tej kategorii zawiesić jedynie w razie naruszenia ustaw lub przepisów administracyjnych. Do drugiej kategorii należą te sprawy, o których rada gminna wprawdzie radzić i decydować może, ale uchwały jej stają się ważnymi dopiero po ich zatwierdzeniu przez władzę wyższą. Do trzeciej wreszcie kategorii należą te sprawy, o których rada gminna może obradować i powziąć pewne uchwały, ale te ostatnie nigdy nie mają mocy ani ważności, tylko stanowią życzenia, wnioski lub opinie reprezentacyi gminnej.

Według dawniejszych ustaw, do pierwszej kategorii spraw należało zaledwie kilka mało znaczących czynności. Ustawa z roku 1884 rozszerzyła nieco powyższą kategorię i zaliczyła do niej trochę więcej spraw, które należały dawniej do kategorii drugiej. Rozszerzenie to jednak było więcej pozorne, gdzie w rzeczywistości i dzisiaj wszystkie prawie sprawy, dotyczące interesów gminy i gospodarki wewnętrznej, należą do kategorii drugiej, gdzie nie wystarcza uchwała rady, lecz potrzeba wyraźnego, specjalnego przyzwolenia, t. j. zatwierdzenia władzy, aby uchwała nabrała mocy obowiązującej. W rzeczywistości więc uchwała rady gminnej stanowi tylko rodzaj wniosku, czy projektu do pewnej decyzji, którą wydaje prefekt za pośrednictwem mera. Dzisiejszy postępek polega jedynie w tem, że prefekt może uchwałę zatwierdzenia odmówić, ale innej, odmiennej decyzji, w miejsce powziętej przez radę uchwały, wydać in principio nie może.

Rada gminna uposażoną została w czynności dwojakiego gatunku, a mianowicie: wykonywa kontrolę nad działalnością mera i zajmuje się zarządem majątku gminnego, a przede wszystkim uchwaleniem budżetu. Kontrolę sprawować winna rada gminna nad czynnościami mera, dotyczącymi jedynie interesów gminy, nie zaś administracyi publicznej. Sprawy zarządu majątkiem i sprawy budżetu są w zasadzie oddane kompetencyi rady gminnej. Ale prawodawca francuski między pozycjami i wydatkami budżetu rozróżnia znowu te pozycye, które

mają służyć na zaspokojenie potrzeb ogólnych i na zaspokojenie potrzeb wyłącznie lokalnych. Prawo z roku 1884 może jeszcze więcej ścieśniło kompetencję rad gminnych, dzieląc wszystkie wydatki budżetu gminnego na obowiązujące i fakultatywne. Wydatki nadzwyczajne rada gminna może swobodnie uchwalać ale także do pewnej tylko granicy. W praktyce zaś pokazuje się, że wszystkie sprawy budżetowe podlegają władzy prefekta i że ostatecznie ułożenie budżetu gminnego jest rzeczą władzy, po-nad gminą stojącej.

Gdy przyjdzie zastanowić się nad całością francuskich urządzeń instytucji lokalnych i gminnych, występuje na jaw w całej sile żelazna organizacja wszechwładnej, scentralizowanej, administracyjnej władzy państwa. Zaspokojenie wszystkich potrzeb, spełnienie wszystkich zadań administracji oddano w ręce centralnym organom władzy państwa, a organa te urządzono tak, aby im nadać możliwie największą zdolność ruchu, sprężystości i energii, zapewnić jak największą wydajność i produktywność ich działania. Ciało reprezentacyjnym miejscowym przypadło w udziale zadanie przynoszenia władzom państwowym pomocy finansowej i wspieranie jej swemi życzeniami, wnioskami i opiniami. Obradom tym i uchwałom nie nadano mocy obowiązującej, aby przez to nie krępować organów wykonawczych i nie podkopywać zasady, która przewodniczyła systemowi administracji francuskiej „*Si delibere est le fait de plusieurs, agir est le fait d'un seul*”.

Według pojęć angielskich, istotę samorządu stanowiło wykonywanie władzy publicznej, a zatem i spraw, należących do interesów ogólnie państwowych, o ile mogły być spełniane w miejscowym zakresie i przez miejscowe, społeczne czynniki. Sprawowanie służby publicznej było zatem rodzajem służby obywatelskiej, honorowej, dla ogólnego dobra. Atrybucja wykonywania władzy opierała się na mandacie państwa, czyli nominacji królewskiej, ale nie należała do centralnego rządu, do biurokratycznych królewskich urzędów, lecz do miejscowych obywatelskich czynników. Instytucje angielskie są tak różnorodne, tak w różnych prowincjach odmienne, tak do właściwości miejscowych zastosowane i z dawnych, różnych zwyczajów wypływające, że nie pojedyncze szczegóły urządzeń administracyjnych, ile raczej ogólny ich charakter mogą mieć wartość dla tych, co się rozbiorem i naprawą ustroju samorządu w innych państwach zajmują.

Podstawą gminy angielskiej była parafia (parish). Mylił-by się jednak ten, ktoby przypuszczał, że parafia stanowiła jednostkę podziału terytoryalnego, jak gdzieindziej gmina administracyjna, albo dawniej patrymonialne dominium. Parafia była tylko zawiązkiem, raczej początkiem związku gminnego miejscowej ludności. W zakrystyi parafii (vestry) zbierali się członkowie dozoru kościelnego, aby radzić

i zbierać składkę na potrzeby kościoła. Ten komitet, czy komissya dała początek innym. Gdy wytworzyła się potrzeba wspierania ubogich, sprawa szkolna, kwestya naprawy i utrzymania dróg, kwestya rozkładu podatków między mieszkańców parafii i t. p., powstawała nowa komissya miejscowa, która tem nowem zadaniem publicznem się opiekowała. Władza zaś państwowa, widząc, że owe komissye rozwijają pożyteczną działalność, nadawała im w wytkniętym zakresie ich czynności charakter publicznych funkcyi i stawiała je pod kontrolą odpowiednich urzędów.

Jednostkę terytoryalną administracji angielskiej stanowiły dawniej: hrabstwo (county) i municypalność miejska (borough). Istotną władzę lokalnej administracji sprawowali przez długie wieki, aż do najnowszych reform, sędziowie pokoju (judges of the peace). Zagarnęli oni szybko wszystkie funkcyje jurydykcyi policyjnej i administracyjnej, zachowując jednak charakter sędziowski i obywatelski. Sędzią pokoju bowiem mógł zostać tylko ten, kto posiadał przynajmniej 100 f. s. renty gruntowej, lub wyższe stopnie naukowe. Jakkolwiek więc wszechwładni byli organa policyi miejscowej, ale samorządu nie niweczyły, a nawet rozwijały go i podnosiły. Właśnie urząd policyjny sędziego pokoju sprawiał, że się w Anglii system policyjny, wszechmocny gdzieindziej, wcale nie przyjął. Ale też w Anglii urząd powyższy mógł sprawować jedynie miejscowy obywatel, człowiek zamożny, a więc niezależny, przejęty tradycją, reprezentant miejscowej ludności, zrosły z nią, znający jej potrzeby i broniący ją od zewnętrznego nacisku.

Ażeby ograniczyć władzę sędziego pokoju, który zanadto wpływał na wszystkie komissye lokalne parafii i na ich skład, wytworzono w r. 1818 ogólne zgromadzenie wszystkich członków parafii, płacących podatek ubogich (poor-rate). Oczywiście takie zgromadzenie okazało się w najwyższym stopniu niepraktycznem; powstawały długie deliberacye, jałowe dyskusyje, a żadnego skutecznego rezultatu nie można się było doczekać. Mimo to, zgromadzenia powyższego nie zniesiono, ale obok niego wytworzono ścislejszą radę administracyjną dla każdej parafii (Select-vestry), złożoną z 12—120 członków, która miała się zajmować zarządem spraw lokalnych. Ale i rada administracyjna, złożona ze zbyt wielkiej liczby członków, pozbawiona wyraźnej głowy i stałego urzędu wykonawczego, okazała się również niedołązną i w pracy jałową.

Skutkiem wad powyższego ustroju, wyszło prawo w roku 1834, dozwalające komissyi do spraw ubogich w Anglii łączyć kilka lub kilkanaście parafii w jeden związek (Unions), nawet wbrew woli pojedynczych parafii. Powoli postępowało to dzieło łączenia, aż wreszcie

wszystkie parafie w szersze związki i jednostki terytoryalne połączone zostały. Na czele połączonej z różnych parafii jednostki stała reprezentacja związkowa (board of Guardians), złożona z reprezentantów parafii, których każda parafia przynajmniej po jednym wysyłała. Sędziowie pokoju byli de jure członkami tej reprezentacji, a rada zbiorowa wybierała swego przewodniczącego i mianowała swych urzędników. Jak łatwo było przewidzieć, rada zbiorowa okazała się znowu, jako ciało deliberujące i reprezentacyjne, ciężkiem i niezdolnem do wypełniania zadań administracyjnych. To też władza centralna starała się temu zaradzić, wprowadzając do każdej reprezentacji związkowej lokalnej znaczną liczbę płatnych urzędników, sekretarzy, kolektorów i t. d., którzy mieli wszystkie czynności urzędowania załatwiać.

Początkowo reprezentacje związkowe miały trudnić się przede wszystkim sprawą opieki nad ubogimi, ale powoli prawie wszystkie zadania lokalnej administracji skoncentrowały się w ich rękę. Z rozszerzeniem się wszakże zakresu działania i pomnożeniem czynności organów lokalnej reprezentacji, autonomia tych ciał została ograniczoną i poddaną jednolitej dyrekcyi centralnej władzy. Wszystkie zadania administracji, poczynawszy od utrzymywania ksiąg stanu cywilnego i metryk, aż do szczepienia ospy, przeszły wprawdzie tytułarnie na zarządy związkowe lokalne, de facto zaś dostały się biurom, złożonym z fachowych i płatnych urzędników, podległych bezwzględnie centralnemu zarządowi w Londynie.

Przedstawiony powyżej ustrój zarządu lokalnego był w bardzo wielu kierunkach wadliwy i niekonsekwentny. Rządowi angielskiemu nie były tajnemi owe niekonsekwencje, i dla tego już w r. 1878 wniósł projekt bilu, opierający całą organizację administracji na innych podstawach, a mianowicie jednoczący wszystko w hrabstwie. W r. 1888 wyszedł wreszcie nowy bil, t. zw. „Local-Government-Act”, który zmienił urządzenia lokalne w Anglii. Odtąd cały zarząd spraw miejscowych przeszedł z dotychczasowych związków parafii i unions na związek hrabstwa i jego reprezentację. Hrabstwo stało się podstawą administracji i ześrodkowało w sobie czynności administracyjne wszystkich drobniejszych jednostek. Organem, do którego należało załatwianie wszystkich administracyjnych spraw hrabstwa, stała się rada hrabstwa (county council). Ilość członków rady oznaczało centralne biuro w Londynie, a wybór odbywał się co lat trzy.

Wszystkie, przeprowadzone w ciągu lat minionych, aż do ostatnich dni, reformy urządzeń lokalnych w Anglii, wywoływały zawsze jeden skutek, a mianowicie: rozszerzenie coraz większe podstaw prawa wyborczego do reprezentacji miejscowych, a w następstwie powię-

kszenie się centralizacji państwowej oraz przewagę urzędniczego żywiołu nad obywatelskim. Nasuwa się też mimowoli pytanie: jakim sposobem mogły upaść instytucje samorządu, które od wieków w Anglii się rozwijały? i jakim sposobem mogły te instytucje ustąpić miejsca centralizacji biurokratycznej i systemowi urzędów policyjnych? Stało się to głównie przez wadliwą organizację ciał reprezentacyjnych lokalnych, a mianowicie przez pozbawienie ich odpowiedniego naczelnika, oraz brak pośredniego stopniowania, skutkiem czego prawo wyborcze rozszerzone zostało nie tylko na klasy nieposiadające, ale na warstwy nieoświecone i niewykształcone, i dla tego-to przy bezpośrednim wyborze weszły w skład reprezentacji lokalnych jednostki niewykształcone, niezdolne do pełnienia osobistej służby, które należało z konieczności zastąpić płatnymi urzędnikami. Upadek selfgovernmentu nie wydał dotąd zbyt ujemnych stron, ale to dla tego jedynie, że jest niepobobieństwem, aby przymioty i cnoty narodowe, wyrobione na gruncie instytucji narodowych w ciągu całego lat szeregu, mogły zniknąć w ciągu lat zaledwie dwudziestu.

Nowożytny ustroj gminy w Prusach uwydatnił, zdaniem autora, dwie wyraźne i odrębne od siebie epoki w ciągu XIX stulecia. W reformach, dokonywanych w ciągu pierwszej epoki, znać przedewszystkiem inicjatywę postępowego rządu, który dąży do tego, aby rodzime instytucje, według znanych mu najlepszych i najpraktyczniejszych wzorów zagranicznych, naprawiać. W reformach zaś drugiego okresu znać przedewszystkiem pracę nauki niemieckiej, która sama podejmuje inicjatywę i, rozbierając gruntownie zadania, oraz istotę władz lokalnych, tudzież sposób wykonania ich funkcji, stara się wpłynąć na rząd i na decydujące społeczne czynniki, aby takie właśnie instytucje prawne na gruncie rodzinnym zaszczerpić.

Pierwszą nowożytną ustawą gminną pruską jest ustawa Steina z r. 1808 dla miast. Jakkolwiek nie objęła wsi, ma ona jednak niepoślednie znaczenie, albowiem instytucje jej weszły po części do późniejszych ordynacji gminnych wiejskich i na jej podstawie rozwinęły się dalsze reformy urzędów lokalnych miejskich, zarówno jak i wiejskich. Ustawa z 1808 r. powierzyła gminom zupełny i wyłączny zarząd wszelkich spraw miejscowych, uznała zatem gminę jako organiczną jednostkę w państwie, a tem samem uznała zasady autonomii gminnej wobec administracji państwa. Zarząd spraw gminnych oddała ustawa w ręce następujących władz: 1) kollegialnego magistratu (G.-Vorstand), czyli władzy wykonawczej i zarządzającej, z burmistrzem, jako przewodniczącym, na czele i 2) z władzy obradującej i uchwalającej, czyli zgromadzenia radnych miejskich (G.-Verordneten-Versammlung). Stein przewidywał jednak, że wielogłowy, zbiorowy organ będzie do wyko-

nywania zarządu dość ciężki, więc, aby wzmocnić czynności egzekutywy, stworzył jeszcze trzecie kollegialne ciało specjalnych deputacji miejskich, czyli administracyjnych komisji mieszanych (Verwaltungs-Deputationen vel Commissionen).

Fakt wprowadzenia do organizacji miejskiej specjalnych komisji administracyjnych zasługuje na uwagę i dowodzi, że wyrosł z potrzeby, a priori odczutej i wyrozumianej u prawodawcy. Komisje administracyjne okazały się też w praktyce pełne żywotności, a kiedy świat uczony poznał bliżej instytucje samorządu Anglii, przekonał się również, że i tam spełnianie zadań administracyjnych rozdzielone było między różne specjalne komisje. Instytucja deputacji gminnych Steina miała jeszcze i tę zaletę, że w jej skład mogli wchodzić zarówno radcowie z kollegium magistratu, jak radcowie miejscy, a więc obywatele, zarówno jak i zawodowi urzędnicy. Pomimo swych zalet, komisje administracyjne nie mogły uratować wadliwości organizacji miejskiej z r. 1808. Błąd zaś organiczny leżał w osłabieniu zbyt wielkiem władzy wykonawczej przez oddanie całego zarządu w ręce kollegium magistratu, którego czynności znowu były zawisłe od jeszcze większego kollegium rady. Wywołało to różne następstwa, a przede wszystkim rozporządzenia władzy centralnej, dające organom państwowym daleko idące atrybucje mieszania się w sprawy gminne. W tym duchu też nastąpiły późniejsze ścieśnienia ustaw z roku 1831, 1841 i 1845, które coraz to więcej poddawały zarządy miejskie pod wpływ państwowej władzy, na wzór francuski.

Obok uznania szerokiego zakresu działania gminnej autonomii, drugą, wielką zaletą ustawy Steina, było pociągnięcie wszelkich warstw, posiadających i wykształconych, do udziału w zarządzie spraw gminnych przez szerokie prawo wyborcze, które przysługiwało każdemu, co wykazał 200, a względnie w małych miasteczkach 150 talarów rocznego dochodu. Stein zniósł prerogatywy wyborcze, przywiązane do własności nieruchomości, zniósł prawo wyborcze cechowe, a nadał je klasom posiadającym, bez różnicy, czy kto pobierał dochód z realności, czy z przemysłu lub handlu. Nadto, Stein pragnął organizację związków gminnych, wiejskich, powiatowych i prowincjonalnych oprzeć na tych samych zasadach, co ordynacja miejska, a mianowicie, aby klasom posiadającym i wykształconym, bez różnicy stanu i zawodu, dać prawo reprezentacji i pociągnąć je do osobistej służby na rzecz państwa. Stein, dopóki był u władzy, nosił się nawet z myślą zaprowadzenia w Prusach organizacji państwowej i gminnej na wzór angielskiej; przyjmował też podział na hrabstwa, a sołtysów chciał zamienić na konstablów.

W Księstwie Poznańskim obowiązywała początkowo ustawa gminna Księstwa Warszawskiego z 23 lutego 1809 r., która była wytworem zarówno francuskiego, jak i polskiego prawa. Powyższa organizacja istniała w Księstwie Poznańskim aż do roku 1823, w którym wyszedł rozkaz gabinetowy, który zniósł, ale tylko częściowo, dotychczasowe urzędnictwa, a mianowicie: co do sołtysów i pojedynczych władz wiejskich zaprowadził postanowienia landrechtu i przepisy w innych wschodnich prowincjach pruskich obowiązujące, urząd wójta zaś oddał w ręce dziedzica obszaru dworskiego. W roku 1833 nowy rozkaz gabinetowy odebrał dziedzicom władzę wójtowską i ustanowił, że urząd wójtowski sprawować ma urzędnik, mianowany i płatny przez rząd. Urzędnik ten miał się nadal nazywać wójtem i stać na czele okręgu, w którego skład wchodziły: wsie, obszary dworskie i małe miasteczka. Zadaniem jego było wykonywanie policyi miejscowej w imieniu króla i pod ścisłą kontrolą landrata. Wreszcie rozkaz gabinetowy z roku 1836 rozszerzył nieco okręgi wójtowskie na dystrykta, od 6000—9000 mieszkańców liczące, nazwał wójtów district-komisaryuszami i uczynił z nich pomocnicze organa landrata do administracji powiatu.

W zachodnich prowincjach państwa pruskiego utrzymano w mocy urzędzenia francuskie i dopiero w roku 1841 wydano nową ustawę gminną dla Westfalii, a w r. 1875 dla prowincyi Nadreńskich. W obu wszakże nowych ustawach zachowano bardzo wiele z dawniejszych instytucji francuskich prawa administracyjnego. Pod pewnym względem jednak te dwie ustawy tworzyły ogromny postęp, a mianowicie pod względem formowania większych, zbiorowych, czyli administracyjnych gmin. Jakkolwiek też uczeni niemieccy zarzucali obu ustawom naśladownictwo wzorów francuskich, zaliczyć je można niewątpliwie do najlepszych ustaw gminnych swego czasu.

W ustawie gminnej z r. 1850 uwzględniono znowu przeważnie interesa miast i kapitału. W organizacji gmin wiejskich dopuszczono się błędu, stwarzając zbiorowy zarząd, czyli zwierzchność gminną (G.-Vorstand), złożoną z naczelnika gminy i assesorów czyli ławników (Beigeordnete oder Schöffen), których liczba w małych gminach miała wynosić przynajmniej dwóch, a w większych mogła dochodzić do 10-iu. Drugim błędem było uszczuplenie i tak już kollegialnością osłabionej władzy zwierzchności gminnej na rzecz reprezentacji, czyli rady. Ta ostatnia, na modłę rady nadzorczej wszelkich spółek zarobkowych i akcyjnych utworzona, stała się najwyższą magistraturą w gminie, decydowała o wszystkim, tylko sama swych uchwał wykonywać nie mogła. W roku 1856 wydano nową ustawę gminną. O ile poprzednia służyła kapitałowi, o tyle nowa miała służyć wyłącznie własności

gruntowej. Pozostawiając główne zasady organizacji dla miast, ustawa z r. 1856 obaliła słusznie na wsi kollegialne zwierzchności gminne, ale zamiast postawić na ich miejsce silnie zorganizowaną władzę, przywróciła dawnych sołtysów, jakby za czasów feudalnego beneficjum.

Całą nową organizację samorządu lokalnego w Prusach, która datuje się od 1872 roku, oparto na pełnieniu osobistej, przymusowej, bezpłatnej i honorowej służby przez obywateli. Podług tej nowej organizacji, każda gmina miejscowa i każdy obszar dworski stanowiły niezależną od siebie jednostkę organiczną i gospodarczą, a łączyły się tylko razem w Amtsbezirku dla wspólnego zadosyć uczynienia potrzebom lokalnej administracji. Organa władzy okręgowej stanowił: naczelnik (Amtsvorsteher), mianowany na lat sześć przez prezydenta prowincyi na przedstawienie sejmiku powiatowego, i wydział (Amtsausschuss), złożony z reprezentantów gmin miejscowych, wybranych przez rady gminne lub gromady, i z właścicieli obszarów dworskich. Cała władza wykonawcza, wszystkie atrybucye administracji i policyi lokalnej skupiały się w ręku naczelnika, nie zaś wydziału; naczelnik też wykonywał zadania policyi miejscowej w imieniu najwyższej władzy państwa. Wielkie gminy i wielkie obszary dworskie stanowiły oddzielny Amtsbezirk. W takich gminach naczelnik gminy był Amtsvorsteherem, a funkcyę wydziału pełniła rada gminna. Natomiast w rozległym obszarze dworskim, stanowiącym osobny okręg, odpadał wydział. Możliwość utrzymania wielkich obszarów dworskich, jako oddzielnych okręgów, uważać należy stanowczo za wielki błąd ustawy. Albowiem obszar dworski sam jeden ze swym naczelnikiem, bez żadnego wydziału, choćby na jego terytoryum mieszkała liczna i wykształcona ludność, albo urządzone zostały zakłady przemysłowe, przez to samo, że zazwyczaj prerogatywy władzy będą oddane w ręce jednego właściciela, zanadto przypomina jednostronne urządzenie stanowe i odbiega od zasadniczych pojęć nowożytnego państwa.

W ciągu ostatnich lat dwudziestu, kiedy ciała prawodawcze zajmowały się prawie wyłącznie wielką polityką lub walką stronnictwą, rząd pruski i nauka niemiecka kwestyi reform administracyjnych instytucyi samorządu nie spuściły z oka, ciągle pracowały nad przełamaniem różnych trudności, oraz nad naprawą instytucyi, przedstawiając ciałom prawodawczym coraz to pełniejsze projekta ustaw do uchwalania. Jeżeli która z wprowadzonych ustaw w praktyce okazała się wadliwą lub chromającą w szczegółach, natychmiast jeden z tych dwóch czynników, t. j. albo rząd, albo świat naukowy, występował z gruntownym projektem odmiany, powodował zniesienie lub rewizję tej lub owej instytucyi, nie czekając na to, aby inicjatywa do tego

wyszła od parlamentarnego prawodawcy, tem mniej nie licząc na to, aby zbiorowe ciało prawodawcze zdobyło się samo na przygotowanie i uchwalenie większej administracyjnej reformy. Projekta reform administracyjnych musiały być też stale przez rząd przygotowywane, a rząd opierał się zawsze na pracach nauki niemieckiej.

Jeżeli pruska organizacja instytucji samorządu, stojąca obecnie najwyżej ze wszystkich w całym ucywilizowanym świecie, nie znalazła dotąd w innych państwach naśladowczego zastosowania, to przyczyną tego nie są same zasady samorządu, nie podwaliny organizacji władz, lecz nadto skomplikowane, poboczne szczegóły budowy. Wina głównie leży w tem, że zanadto ulegano doktrynie, która szuka doskonałości i tworzy teoretyczne subtelnosci, dostępne dla bardzo wysoko naukowo wykształconych umysłów, ale przeniesione na grunt praktyczny codziennych potrzeb, o których mają decydować przeciętnie uzdolnione i proste umysły, wywołują gmatwaninę i zawilgość. Mimo to, prawodawstwo pruskie rozwiązało szczęśliwie, dzięki nauce niemieckiej, najtrudniejsze zagadnienia i stworzyło w rzeczywistości te trzy warunki, od których wcielenie zasad samorządu w praktyce życia zależy. 1) Naczelnik gminy zbiorowej został mianowany przez władzę państwa, 2) reprezentacje lokalne, skutkiem stopniowania wyborów w gminach miejscowych, dawały gwarancję, że w skład ich wchodzi jednostki dość wykształcone i zdolne do osobistej służby obywatelskiej, i wreszcie 3) skupiono całą władzę wykonawczą niepodzielnie w jednoosobowym urzędzie, przez co zapewniono mu należyte stanowisko w reprezentacji lokalnej i nie skrępowano go kollegialnością władzy.

W Austrii odróżnia autor takie dwa okresy w rozwoju urzędów gminnych w ciągu bieżącego stulecia: 1) okres urzędów policyjnych, trwający aż do wydania ustawy gminnej z r. 1862, i 2) okres autonomiczny, trwający od chwili wprowadzenia w życie powyższej ustawy, aż do chwili obecnej. Postępowe prawo gminne w Austrii nie weszło zatem w życie bezpośrednio po uwłaszczeniu włościan, ale dopiero po nadaniu konstytucji państwowej. Pierwsza ustawa gminna austriacka z r. 1849 była wprawdzie także równoczesna ustawie konstytucyjnej z r. 1849, ale obie ustawy miały tylko przejściowe znaczenie, gdyż wkrótce zostały zawieszane.

W Austrii do roku 1848 najniższą jednostką administracyjną, lokalną władzę w państwie, stanowiła nie gmina, nie osada miejscowa w pojęciu historycznym, lecz dominium. Tylko miasta i miasteczka wolne, tak zwane królewskie, posiadające z mocy dawnych przywilejów własny zarząd, miały swe osobne magistraty. Zresztą miejscowości, nieobdarzone specjalnymi przywilejami, podlegały jurysdykcji

patrymonialnej. Dzięki patentowi cesarskiemu z r. 1781, kiedy grunta zaczęły nabierać coraz większej wartości, dziedzice nie tylko nie mogli rugować samowolnie włościan z ich zagrod, ale nadto obszar dworski nie zdołał pochłaniać gruntów ornych mniejszej własności. Skutkiem powyższych przepisów w Austrii, zarówno jak i w Galicyi, wsie i drobne osady nie wsiąkły częściowo w obszar dworski, jak to miało miejsce gdzieindziej. Z drugiej strony jednak nie brak było dawnemu ustrojowi gminnemu, wiejskiemu, wadliwości poniżających instytucję gminy. Pobór rekruta i ściąganie podatków od ludności wiejskiej przez dwory wyrobić musiały wśród niej nienawiść do dworu. Przedewszystkiem jednak w tem leżała główna wadliwość, że organ administracji lokalnej miał do wykonania wielkie i rozliczne zadania władzy publicznej nowożytnego państwa, a zachował cały ustroj, zewnętrzny charakter i naturę działania organu prywatnego, przywileju przywiązanego do prywatnego posiadania własności tabularnej.

Rozlicznym obowiązkom, ciężącym na dominium, nie mógł podobać sam dziedzic, przeto rzadko kiedy wykonywał osobiście przywiązaną do dominium władzę i ciężące na niej obowiązki, lecz przelewał i jedne, i drugie, w ręce swego pełnomocnika, mandataryusza. Mandataryusz jednak, wypełniając zadania publicznej władzy, zależnym był wprost od urzędu państwa, którego polecenia, najwięcej drobiazgowo, na każde zawołanie wykonywać musiał, nosił więc wszelkie pozory urzędowej figury, a tymczasem zależnym był od dziedzica, przez niego mianowanym i płatnym, przez niego do rozmaitych posług i zajęć używanym, jako jego sługa. Mandataryusz, zaprawiony do prowadzenia ciągłych rozpraw karnych, nieskrępowany w swej władzy, niekontrolowany dostatecznie, przywykał do surowości i twardości i stawał się gorszem narzędziem w zarządzie lokalnym, niż podobni mu gdzieindziej funkcjonaryusze. Tymczasem całe odium postępowania mandataryuszów spadało na dwór, który pozostawał zawsze ten sam, na miejscu. Przynajmniej, dzięki mandataryuszom, zadania administracji wykonywane były szybko, energicznie, poprawnie i ludność to nic nie kosztowało. Może też dla tego właśnie ta instytucja mandataryuszów, choć anormalna, wadliwa, sprzeczna sama w sobie i sprzeczna z najkardynalniejszymi zasadami nowożytnego prawa państwowego, tak długo w Austrii się utrzymała; pod względem administracyjnym bowiem była dogodną i odpowiadała coraz rozleglejszym administracyjnym wymaganiom.

Z chwilą zniesienia pańszczyzny powstała w Austrii pierwsza ustawa gminna w r. 1849. Na samym wstępie wygłosiła ona, że pod-

waliną wolnego państwa jest wolna gmina, a następnie przeprowadziła podział na naturalny i poruczony zakres działania gminy, który, posuwany następnie do ostatecznych konsekwencji, był jedną z największych wadliwości prawodawstwa austriackiego. Ustawa z r. 1849 nie poprzestała na organizacyi gminy miejscowej czy administracyjnej, lecz stworzyła w dalszym ciągu wolną gminę powiatową (Bezirksgemeinde) i gminę obwodową (Kreisgemeinde), aby mogły tworzyć małe autonomiczne czy federacyjne republiki w obrębie państwa. Ustawa z r. 1849 wydana była dla wsi i małych miasteczek; stołeczne miasta krajowe i obwodowe, które posiadały już dawniejszą organizację, otrzymać miały osobne statuta w drodze ustawodawczej; zresztą każdej gminie miejscowej dozwolonem było upraszać o osobne statuta, lub żądać od sejmu krajowego modyfikacyi ustawy, odpowiednio do jej właściwych warunków. Najważniejszą dodatnią stroną w ustawie z r. 1849 było staranie o to, aby jednostka gminna była dość silna, gwoli zadośćuczynieniu zadaniom administracyi. W tym celu, jako jednostkę gminną przyjęto nie osadę miejscową, lecz gminę katastralną, o ile kilka takich katastralnych gmin nie stanowiło już podówczas gminy administracyjnej. W Galicyi ustawa z r. 1849 nigdy nie weszła w życie; w innych krajach koronnych władze zajęły się od razu organizacją gminy na zasadzie tej ustawy, ale zaledwie przeprowadzono prace przygotowawcze i zaledwie w niektórych okolicach przeprowadzono wybory, gdy rozporządzenie ministerstwa z r. 1849 nakazało zawiesić dalsze wykonanie ustawy gminnej.

Patent z 1851 r., odnośnie do urzędzeń gminnych, wyraził następujące zasady: 1) jako gminy należy uważać gminy już de facto istniejące, nie wyłączając możności połączenia kilku gmin w jedną całość. 2) Należy uczynić zasadniczą różnicę pomiędzy gminami miejskimi a wiejskimi. 3) Przy organizacyi gmin wiejskich, tabularna własność może być ze związku gminnego wyłączona, pod warunkami, które dla każdego kraju koronnego osobno mają być ustanowione. 4) Naczelnicy gmin wiejskich i miejskich powinni być zatwierdzani, a w miarę okoliczności nawet mianowani przez rząd. 5) Zakres działania gminy ma się ograniczać do własnych spraw i 6) Nadzór ścisły nad gminami powierza się władzom politycznym. Galicya nie odczuła postanowień patentu z r. 1851, dopiero bowiem por. 1855 wyszły dla niej tymczasowe postanowienia o urządzeniu gmin, w których, do czasu zaprowadzenia urzędów powiatowych, jurysdykcyę zwierzchniczą nie magistraty własne, lecz dominia wykonywały.

Ustawa gminna z 5 marca 1862 r. zaznacza przełom w wewnętrznych urządzeniach państwa austriackiego. Jest ona nie tylko fun-

damentalnym zarysem instytucji gminnych w całym państwie, lecz, prócz tego, jest podstawą związków komunalnych wyższego rzędu, jak rady i wydziały powiatowe, jest punktem wyjścia dla ich rozwoju, stanowi główną prawną podstawę wszystkiego, co do dziś dnia istnieje w dziedzinie autonomii gminnej, powiatowej i krajowej w Austrii. Ustawa gminna z 1862 r. jest więc obecnie jedną z najważniejszych z pomiędzy obowiązujących ustaw państwa, która nie tylko życie gminne urządza, ale o wewnętrznym ustroju państwowym decyduje i głęboko całe życie publiczne przenika.

Artykuły ustawy z r. 1862 były tak stylizowane, aby uchronić instytucje autonomiczne przed zamachem biurokracji, przed jakimkolwiek ograniczeniem ze strony rządu w razie powrotu do centralistycznego kierunku polityki. Niestety jednak wszelkie subtelności i spekulacyjne restrykcje, o ile w codziennym życiu utrudniają warunki porządnej i energicznej administracji, o tyle w danym wypadku bynajmniej nie chronią przed wdzieraniem się w dziedzinę autonomii. W państwach konstytucyjnych istota samorządu, autonomii i swobód społecznych na czem innem polegać musi, niż na odosobnieniu społeczeństwa od rządu, na czemś innym, niż na wytworzeniu dwóch odrębnych kategorii władz państwowych i obywatelskich (komunalnych) i zamknięciu każdej kategorii w oddzielnej sferze. Widocznie, że ustrój państw konstytucyjnych powinien polegać nie na rozdziale, lecz na wspólnym działaniu społeczeństwa i rządu, a raczej na bezpośrednim oddziaływaniu reprezentacji na władzę administracyjną. Tymczasem ustawa gminna z r. 1862 jest właśnie z tego względu i z powodu dążenia, aby każdą instytucję komunalną i każdy dotyczący jej paragraf mógł w danym razie zamienić na jakieś „noli me tangere”, wobec państwa i rządu — ustawą przedkonstytucyjną.

Ustawa z roku 1862 jest też pełną reminiscencyą epoki minionej, stanu rzeczy za czasów mandataryszów i wszechwładnej biurokracji. Pełna subtelności, restrykcji, podejrzliwości i nieufności wobec władzy państwowej, starała się tę władzę skrępować i zamknąć, odsunąć raz na zawsze od wielu spraw społecznego działania. Ustawa z 1862 r. wynalazła jeden środek, a mianowicie stworzyła dualizm w administracji, w podobny sposób, jak to probowano uczynić w Prusiech w epoce konfliktu, co jednak do wprost przeciwnego niż zamierzony doprowadza rezultatu, albowiem autonomię pozbawia pomocy i ramienia egzekutywy, a władzę rządową oddziaływania na nią ze strony społeczeństwa.

Na tem zakończę sprawozdanie z tomu pierwszego „Samorządu gminnego” Dra Piotra Górskiego. Zaznaczyć winienem, że przedsta-

wiłem treść w nim zawartą jedynie w najogólniejszych zarysach, i to zwracając uwagę zaledwie na charakterystykę systemów administracyjnych. Obszerne rozbiory i krytyczne spostrzeżenia, odnoszące się do specjalnych ustaw gminnych, jak np. do austriackiej z 1862 r., pominąć musiałem prawie w zupełności, aby nie rozszerzać nad miarę ram powyższego sprawozdania. Przypomnieć, a raczej pewien nacisk położyć muszę na to, co każdy czytelnik zauważył od początku, a mianowicie, że tom pierwszy samorządu gminnego nie jest skończonem dziełem.— Prawdopodobnie niezadługo ukaże się tom drugi, w którym przedstawioną zostanie organizacja i funkcje gminy galicyjskiej, a w końcu dodany będzie projekt reformy gminnej, oparty na wywodach całej pracy, t. j. na zestawieniu dodatnich i ujemnych stron w dzisiejszej organizacji, oraz na porównawczem zestawieniu organizacji galicyjskiej z zagranicznymi. Tom drugi zatem obejmie zadanie daleko ważniejsze, a pierwszy jest tylko naukowem wytlómaczeniem się z tego, co autor w tomie następnym uzna za właściwe dla społeczeństwa galicyjskiego, i to wytlómaczeniem, opartem na doświadczeniu państw przodujących europejskiej cywilizacji.

Ze względu, że autor nie pragnął bynajmniej dać nam historii samorządu gminnego w XIX stuleciu, ale starał się jedynie scharakteryzować główne systemy administracyjne państw europejskich, w celu uzasadnienia niezbędności gruntowniejszych reform w Galicyi, pracy jego, w tomie pierwszym zawartej, nie można oceniać jako studjum wyłącznie historyczno-prawne. — Dążenia do praktycznej reformy zanadto przejmowały autora, z pragnień swych i celów wypowiedał się zaraz na początku czytelnikowi; dla tego też z historią samorządu brał przeważnie to, co mu do ostatecznego rezultatu było potrzebnem, a wszędzie występował z wnioskami i spostrzeżeniami, które do dziedziny polityki administracyjnej zaliczyć-by wypadało.

Przedewszystkiem więc chodziło autorowi o przekonanie czytelnika, że system administracyjny w każdym państwie urobił się w typ odrębny, przejęty od społeczeństwa, a nawet w części i od etnograficznych właściwości. Leroy-Beaulieu zauważył, że Anglicy, dzięki temu systemowi, uważają politykę, zarówno jak i administrację, jako: „une hygiène qui se pratique”, Francuzi zaś wyobrażają sobie administrację jako: „une géometrie qui s'applique”¹⁾, a takie odrębne i ory-

¹⁾ „L'Administration locale en France et en Angleterre“. Str. 146.

ginalne wrażenie czynią niewątpliwie i systemy administracyjne innych państw przy porównaniu ze sobą. Ponieważ reforma administracyjna musi wszelkie odrębności i właściwości miejscowe wyrozumieć i uwzględnić, przeto autorowi chodziło nie o dokładne przedstawienie wszelkich podrzędnych drobiazgów administracyjnych, ale o uwydatnienie różnic, zachodzących między systemami administracyjnymi, i o przekonanie, że różnice powyższe powstały skutkiem odmiennych historycznych i społecznych danych.

Zadanie powyższe wykonał autor z gruntownością i należytem obznajomieniem się z przedmiotem. Każde z porównanych państw występuje w pracy Dra Górskiego jako odrębna indywidualność administracyjna, i wszelkie czynniki, współdziałające przy narodzinach administracyjnych systemów, zostały starannie odszukane i w należytej pełni przedstawione. Zaznaczyć również należy, że autor błędami organizacyi samorządu gminnego nie dał się ani chwilę sprowadzić na manowce i ocenił trafnie doniosłość, jaka w tymże samorządzie spoczywa dla nowożytnego państwa. W uwagach krytycznych, poświęconych różnym ustawom gminnym, autor zdradził niewątpliwie pewien zmysł praktyczny i nie sądził prawodawstwa gminnego podług żadnego teoretycznego szablonu, ale podług tego, jak oddziaływało na społeczeństwo miejscowe i w jakim stopniu pociągało je do publicznej pracy.

Dr Górski zdobędzie niewątpliwie ogólne uznanie dla swej pracy z powodu obfitej treści, zarówno jak i trafnych uwag, polityce administracyjnej poświęconych. Forma jednakże pozostawia nieco do życzenia, dzięki cytatom obszernym, zamieszczanym w obcych językach, które do rozpowszechnienia jego pracy o samorządzie gminnym nie dopomogą. Ze względu na projekt reformy, jaki w tomie drugim ma być wydrukowanym, oraz z uwagi na poparte sumienną pracą dążności autora, życzyć-by należało, aby jego praca była czytana nie tylko przez uczonych z zawodu. Tymczasem obszerne cytaty z Gneista, odnoszące się do samorządu brytańskiego, lub jeszcze obszerniejsze, a niekoniecznie do zrozumienia łatwe, ustępy niemieckie, odnoszące się do ustawy austriackiej z 1862 roku, odstrasżają, a przynajmniej zniechęcają nawet wykształconych czytelników.

Niektórym poglądom autora, w tomie pierwszym wyrażonym, poświęcę bliższą uwagę, gdy dzieło całe zostanie ukończonem. Celem zaś powyższego sprawozdania było tylko zainteresowanie czytelnika do przedmiotu samego, zarówno jak i do pracy Dra Górskiego. W tomie pierwszym bowiem zapowiedział się nam autor, jako poważny

pracownik i dał nam owoc sumiennych studyów. Najlepszym też dowodem uznania, jakie sobie zdobył, jest ogólne zaciekawienie, co nam przyniesie jego tom drugi. Zaciekawienie to wskazuje, że autor potrafił sobie tomem pierwszym pozyskać to pochlebne i zasłużone przekonanie, że studia jego zdołają przynieść rzetelny pożytek rozwojowi prawodawstwa gminnego w Galicyi.

A. REMBOWSKI.

Przegląd współczesnej naszej sztuki.¹⁾

IX.

Matejko dyrektorem. „Dzwon“ i „Grunwald.“

Organizacja Szkoły Sztuk Pięknych, na której czele stawał teraz Matejko, zajęła mu widocznie bardzo dużo czasu, skoro pierwsze lata po 1873 r. znaczą się mniejszą ilością obrazów. Nie posiadał on napewno praktyczności w naturze, a stanowisko wymagało tymczasem, aby artysta stał się naraz i organizatorem, i pilnym urzędnikiem. Tego rodzaju instytucya, jak szkoła, ma także swoją administracyjną i biurokratyczną stronę. Matejce nie brakło szalonej energii, ale zwracał ją raczej na wewnątrz, w stronę własnej artystycznej produkcji. Umiał więc malować bez ustanku, czasem nie jedząc przez cały dzień, ale musiało mu to być uciążliwym zadaniem wprowadzać w ruch, nakręcać skomplikowaną maszyneryę. Sprawa reorganizacji, zadecydowana w Wiedniu bardzo szybko, zapewne pod groźbą wyjazdu Jana Matejki do Pragi, ciągnęła się potem długo, przez lat parę. Oderwano wprawdzie szkołę od techniki, dano jej samoistność, nie znalazła ona jednak na razie ani osobnego budynku, ani wogóle dobrego pomieszczenia. Pozostała więc nadal w gmachu,

¹⁾ Patrz zeszyt Sierpniowy „Biblioteki Warszawskiej.“

przeznaczonym na naukowe laboratoria wszechnicy. Opróżniono na prędcę jedną dużą salę, którą można było przerobić na pracownię dla dyrektora. Dopiero rok 1877 przyniósł ważniejsze zmiany. W jesieni zainstalował Matejko uczniów w domu prywatnym, przy ulicy Garbarskiej N. 1, sam zaś zachował swoją wielką, z góry oszkloną, siedzibę. Równocześnie skompletowano grono nauczycieli, o których liczbę dyrektor spierał się długo z ministerjum oświaty. Objąwszy kierownictwo zakładu, skorzystał on z pierwszej sessji sejmowej, aby we wrześniu 1874 r. udać się do Lwowa i prosić wpływowe osoby o poparcie w Wiedniu. Zabiegi i ciągłe starania nie odniosły zupełnego skutku: Matejko nie zdołał przeprowadzić całkowitego planu, nie uzyskał ani nominacji specjalnego nauczyciela krajobrazu, którego—według wspomnień dyrektora Łuszczkiewicza—chciał przy szkole osadzić, ani stałej posady dla nauczyciela rzeźby. Odrodzona instytucja liczyła od 1877 r. pięciu profesorów rysunku i malarstwa oraz pięciu t. zw. docentów, czyli nauczycieli przedmiotów dodatkowych: anatomii, perspektywy, stylów architektonicznych, historii powszechnej i historii sztuki. Szóstym docentem był nauczyciel rzeźby.

P. Maryan Gorzkowski, który, o ile wiem, objął podówczas posadę sekretarza, opowiada, że miasto ofiarowywało Matejce grunt na budowę pracowni. Artysta miał odmówić, prosząc, aby plac przeznaczono pod gmach Szkoły Sztuk Pięknych. Jakoż stanął on w 1879 r. Spełniła się wtedy większość pragnień, ukończyły się główne trudy dyrektora.

Podaję tu tylko w zarysie dzieje własnej twórczości Matejki; nie mogę więc opowiadać wszystkich kolei, przez które jego szkoła w ciągu lat przechodziła. Mimo to, niepodobna mi pominąć jej losów milczeniem: zrosła się ona zbyt silnie z osobą dyrektora. Imię jego, jego sława, powołały instytucję do nowego życia. One-to ściągnęły do Krakowa szereg uzdolnionych ludzi z różnych stron i zakątków. Indywidualność Matejki wycisnęła swe znamię na wielu, bardzo wielu talentach; historia tej szkoły stanowi ważny rozdział w dziejach współczesnej naszej sztuki, a rzuca zarazem światło na postać samego kierownika.

Stałem, ale w całej swej pełni nigdy nieziszczonem marzeniem wielkiego artysty było stworzenie u nas potężnego historycznego malarstwa. Matejko chciał widzieć wkoło siebie tłum młodych ludzi, ożywionych tem pragnieniem, które jego od wczesnych lat pchało i wiodło przez życie. Pragnął stać nie jeden, nie samotny, ale wśród towarzyszy, nie należał bowiem do tych, co zazdroszczą uczniom, albo kolegom i współzawodnikom się boją. Dać u nas młodym sposobność wy-

kształcenia się w malarstwie, znaczyło w jego pojęciu tyle, co otworzyć nową erę historycznej sztuki. Przez wiele lat nie był poprostu w stanie zrozumieć, jak artysta, posiadający już znajomość rysunku i pewną wprawę w malowaniu, może poświęcić swój talent i biegłość na co innego, jak na odtwarzanie scen dziejowych. We wszystkich akademiach ostatni, najwyższy kurs, zowie się „kompozycyjnym“; wspomniałem już, że w Krakowie wisiał nad jego drzwiami napis: „Izba historycznego malarstwa.“ Opowiadają sobie dotąd po pracowniach o walkach, które trzeba było staczać z dyrektorem, jeżeli kogo skusiła chęć malowania portretu, rodzajowej sceny, albo tem bardziej krajobrazu. Matejko sam nie był pejzażystą i, niemal jedyny wśród wielkich współczesnych europejskich artystów, nie uległ prądowi, wiodącemu do odczuwania „do oddawania wrażeń głuchej, ale nie niemej natury. Nie zdawał więc sobie sprawy z potrzeb, z pragnień dorastającego wokół pokolenia. Malarstwo religijne, zwłaszcza malarstwo historyczne, a w rzeźbie pięknie, śmiało poczuły kształt ludzki—oto, jak sądzę, to wszystko, co w oczach Matejki zasługiwało na nazwę sztuki. Swoją drogą, jeżeli zawsze tak myślał, to czuł może czasem inaczej. Był zbyt głęboko, zbyt wytwornie artystą, aby mu się chwilami nie podobało jakie dzieło, które, według własnych surowych zasad, odtrącić był powinien. Pamiętam np. z rozmów, jak się zachwycał rococową architekturą, rzeźbą i ornamentyką, jak podziwiał wiedeński pałac Belwederu. Mówią, że każdy artysta snuje estetykę ze swego osobistego talentu. Przypuszczam, że estetyczne teorie wielkich mistrzów bywają dla tego tak jednostronne, że są zazwyczaj sumą nie wszystkich poczuć, często nieuświadomionych, nie zapamiętanych, ale wyłącznie sumą rozmyślań, którym się artysta oddawał w chwilach bezpłodnych, w chwilach bez twórczości.

Skrzepla estetyka, którą się codziennie w życie wprowadza, może wobec tego być ciasną, i taką też była nauka, którą Matejko powoli wszczepiał w swoich uczniów. Musieli się oni nieraz kryć z robotami, w które kładli najwięcej duszy i talentu. Ileż tam bywało wykrętów, ileż wprost oszukiwania dyrektora, który im jednak był drogi, którego jedno słowo dodawało otuchy, lub niszczyło nadzieje. Czasem pokryjomu uciekał jaki młody artysta ze Szkoły i szedł szukać szczęścia za granicą. Gdyby dziś wielki, nieodżałowany mistrz żył jeszcze i gdyby przypadkiem zaczął śledzić, jaki-to kierunek przeważa na ostatnich międzynarodowych wystawach sztuki, miał-by może prawo nie pożałować swojej zadawnionej niechęci do krajobrazu i rodzajowego malarstwa. Co prawda, nie spotykał-by już prawie wcale historycznych kompozycji, mógł-by się natomiast przekonać, że anegdota ze zwykłego życia, a nawet studia ludowe są coraz rzadsze i coraz

gorsze; że obok licznych jeszcze przedstawień nieświadomej natury występuje znowu człowiek, ze swoją myślą, działalnością i duszą; że ten odrębny mieszkańiec naszej planety zaczyna powracać do swoich dawnych praw nad jej tworam i do praw w jej sztuce. Płonne, niestety, a nawet puste, dziecinne przypuszczenia! Ten Matejko, który nas przed dwoma laty odumarał, był-by pewno i nadal obojętny na zwrot kierunków, na oscylacje ludzkiej myśli, a obejrzawszy tegoroczną monachijską „secessyę“, osądził-by ją może tak prosto i surowo, jak niegdyś akademię w Monachium. I wróciwszy do swej krakowskiej pracowni, do sfery swego działania, zabralby się znowu do historycznego obrazu.

Jakoż malarz nie zmienił się do końca, ale dyrektor przekonywał się z latami, że nie wywiera wpływu na młodzież, albo raczej, że ulegają mu tylko słabsze natury. Cóż stąd, że jego niegdyś ukochany uczeń, Malczewski, ten, o którym mówił: „to będzie dwa razy Matejko“, szkicował, aby go zadowolnić, „Śmierć Ludgardy“ węglem na ścianie pracowni? Cóż stąd, że Leon Wyczółkowski malował pod jego okiem „Marynę Mniszchównę?“ Czyż zostali historycznymi malarzami? Nie. Poszli szukać albo współczesnych boleści, wyrazu na znędzniałych twarzach naszej epoki, albo świata, pełnego farb, światła, cudownych, choć co chwila widywanych, zjawisk. Jeżeli zaś zachodzą dziś w krainy myślowe, jeżeli Wyczółkowski odczuwa teraz melancholię dni przeszłych i poezję *Sarkofagów*, to zawędrowali tam osobistą drogą, a nie po owym gościńcu, który wiódł z „izby historycznego malarstwa.“

Cóż dalej stąd, że za dyrekcji Matejki powstało w Szkole kilka płocien, napełnionych dziejowemi figurami? Kierunek wielkiego artysty bywa czasami zgubny, bo kto za nim idzie, bierze łącno cudze inspiracje za swoje osobiste pomysły, a jego techniczne zwyczaje za własne wynalazki. Cóż, więc stąd, że parę obrazów bitew, lub obłążeń, że parę scen, przedstawiających surowość średniowiecznego obyczaju i sądu, rozślawiło młodych artystów, którzy tworzyli, dopóki ich prowadził kierownik, a którym potem, odrazu, bodaj czy nie na zawsze, skrzydła ku ziemi opadły?

Matejko zasłużył sobie na wieki naszą wdzięczność, jako artysta: ogół czuje to i trwa w należnym uwielbieniu. U tych, co malarza zuali z blizka, lub śledzili jego życie, zyskał sobie, jako człowiek, cześć niezwykłą. Nie wolno o tem nikomu zapominać. A przecież jakikolwiek będzie przyszły rozwój naszej sztuki, jakikolwiek jej kierunek, pozostanie błędem i winą Matejki, jako dyrektora, że nie chciał, czy nie zdołał zrozumieć młodego pokolenia malarzy, że naleganiem, uporem, ojcowską radą, a nawet potęgą swej indywidualności prze-

szkazał im iść swobodnie tą drogą, którą pójść pragnęli. Bo jeżeli gdzie, to w zakresie sztuki, nie należy ludzi wstrzymywać od kierunków, do których serce ciągnie: można się bowiem na to narazić, że chwila, w której szczere dzieło miało powstać, przejdzie bezowocnie. Jeżeli gdzie, to tutaj, mści się każdy przymus. Gdyby Matejko nie był powściągał talentów, byli-byśmy już może przebiegli całą drogę, pogardzili malarstwem rodzajowem i stali, jak większość Europy, przed czysto ludzkimi tematami. Może było-by mniej spóźnień w tem, co wielki historyk nazwał „młodością naszego cywilizacyjnego rozwoju.“ Jeżeli gdzie, to na polu artystycznej produkcji jest prawdziwą zasadą: „laissez faire, laissez passer.“ Bo tu tylko indywidualność i duch czasu panuje.

„Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach.“

Wydaje mi się, że Matejko czuł to wszystko podczas ostatnich lat nauczycielstwa i życia. Był to człowiek niewzruszony, uparty nawet, bo był do wnętrza duszy przekonany. Był jednostronny, bo pełen zapału. Ale był także niezwykle, głęboko rozumny. I pojmował.

Wypadnie mi wrócić do stosunku z uczniami, przyjdzie pora wspomnieć o rozczarowaniach. Czasy, o których teraz chcę mówić, pierwsze lata po objęciu szkoły, były jeszcze ze wszech miar pogodne. Matejko mógł się wprawdzie skarżyć na brak swobodnego czasu do malowania, ale czuł, jak całe społeczeństwo ocenia jego zasługi, a patrzy się na niego tem przyjaźniej, że liczy już nie tylko na jego własną produkcję, ale i na dzieła tej młodzieży, która się miała pod jego okiem rozwijać. Myśl zakupienia *Zygmunta Augusta w Lublinie* ze składek publicznych powstaje w jesieni 1874 r., a równocześnie krzątają się około wybicia pamiątkowego medalu dla artysty. Ruchliwa firma nakładowa zaczyna w Warszawie wydawnictwo „albumu Matejki“, do którego, jak twierdzi p. Gorzkowski, sam malarz robił rysunki, reprodukowane następnie w drzeworytach. Obcy nieszczędzą mu również dowodów uznania. D. 7 kwietnia 1874 r. umarł Wilhelm Kaulbach; francuska Akademia Sztuk Pięknych mianuje Matejkę swym członkiem zagranicznym na opróżnione miejsce po dyrektorze monachijskiej szkoły. Ze wszystkich zaszczytów, jakie kiedykolwiek spotkały naszego artystę, jest to może najdonioślejszy, zdolny go napelić największą, najbardziej zasłużoną dumą.

Widzieliśmy poprzednio, że już w 1872 r. robił Matejko szkic do *Bitwy pod Grunwaldem*, porzucił jednak na razie zamiar malowania w wielkich rozmiarach tej sceny, która go od dzieciństwa pociągała.

W 1874 r. wraca do innego tematu, również blizkiego mu od lat najdawniejszych, do *Holdu pruskiego*. Wśród nawału różnorodnej pracy waha się widocznie, któremu z tych przedmiotów da pierwszeństwo. Od wykończenia *Batorego* (na wiosnę 1874 r.) nie masz żadnego wielkiego płótna w jego pracowni. Maluje tymczasem mniejsze dzieła, np. *portret X. Marceliny Czartoryskiej*, siedzącej z rękami założonemi, spoczywającemi na kolanach. Za nią fortepian, okryty wspaniałą matką, na ścianie medalion nauczyciela jej, Chopina. Jest to jedna z najmniej udatnych prac Matejki. Wielka artystka i szlachetna pani miała pewien urok odrębny, osobisty, może nie wszystkim i nie od razu widoczny, ale później tem silniej działający. Próżno-by go szukać na obrazie. Twarz zgrubiła, płeć stała się zbyt ciemną, zginął subtelny charakter. O wiele wyżej stawiam historyczny retrospektywny *portret Daszkiewicza* „Album Matejki“, tysiączne drzeworyty artysty, rozrzucone po starych rocznikach „Tygodnika Ilustrowanego“ i „Kłósów“, świadczą o wyobraźni, z jaką odtwarzał dziejowe postacie z przeszłości. Stara rycina, nędzne malowidło, pieczęć wpół zatarta, wszystko to przemawiało do niego, wystarczało mu do nakreślenia postaci dawnego człowieka, do nadania jego rysom życia. Zazwyczaj uciekał się Matejko w takich razach do ołówkowego rysunku. *Daszkiewicz* jest tem cenniejszy, że należy do nielicznych retrospektywnych portretów, wykonanych w wielkości naturalnej, olejno. W dużym futrzanym kołpaku, na tle błękitnego nieba ukazuje się on nam po pas, trzymając w ręku strzelbę. Lufy znakomicie skrócone zdają się występować z obrazu. Malowanie jest spokojne, zastosowane do niewielkich rozmiarów. Widywałem ten portret przez długie lata w mieszkaniu p. L. Michałowskiego, przepełnionem najznakomitszemi pracami współczesnych naszych artystów. Dzieło wydawało się wtedy wybornem, obliczonem na to, aby móżdż wisieć i w pokoju, nie tylko w muzealnej sali. Admirowało się, stojąc przy przeciwniejszej ścianie, a kto się zbliżył, mógł być ocenić silną a skromną technikę malarską. *Daszkiewicz* żył jak portret współczesny, musiał też być zapewne robiony z modelu. Groził poważną, niemal surową twarzą, groził lufami strzelby, skierowanemi ku górze, ale w stronę widza. Niepospolity obraz przeszedł z jednej wspaniałej galeryi do drugiej: jest dzisiaj częścią zbiorów hr. Emeryka Czapskiego.

Po-nad murami tego Krakowa, który tak bardzo wrósł w serce Matejki, odzywa się czasami, w dnie wielkich świąt, jakiś dźwięk niezwykły, głos ogromny, srebrny i pełny, niby dziwnie miękki, harmonijny, łagodny, a razem silny, głos wielkiej mocy i powagi. Głos z wysoka i głos z przeszłości. Miasto jest ciche, nieco sennie, tem większe więc wrażenie budzi w niem ten nagły śpiew z góry, słodki i jak ko-

ścielne organy, a grzmiący jak młot. Idzie nad baszty krakowskie, nad stare budowle Kazimierza, po-nad dolinę Wisły i błonia podmiejskie, po-nad wsie skryte w porostach topól i wierzb szarych. Z jednej z wież katedralnego kościoła gra dzwon Zygmunta Starego i wtedy milknie gwar rynku, a korony drzew cichną. Przestał już bić, a brzęk nie zamiera jeszcze w powietrzu. Są, wiem o tem, większe i wspanialsze dzwony, np. w Moskwie, albo od miesiąca na Montmartrze w Paryżu. Matejko ich nie znał. Nie byłby artystą, gdyby go „Zygmunt” nie poruszał do głębi. Już w roku 1861 malował, jak widzieliśmy, „kolosalny szkic do kolosalniejszego *Dzwonu Zygmunta*”, który, według zdania znawców, ma iść w zawody z naturalnym.“ Później zaś, kiedy popadał w zniechęcenie i rozpacz, pisał te słowa, już również przytaczane: „moje roboty—to obrazy mojej duszy, to... nie uderzenia Zygmunta, to rozpekły głos zwierzynieckiego dzwonu za topielców.“ Olbrzym katedralnej wieży musiał odegrać rolę w życiu tego krakowskiego dziecka. P. Gorzkowski notuje, że w dniu zaczęcia i w dniu ukończenia *Bitwy pod Grunwaldem* odezwał się, dziwnym przypadkiem, dzwon Wawelu. Tym razem mają dla mnie słowa p. sekretarza niezwykłą wagę: nie wątpię, że fakt rozkołysania się serca w „Zygmuncie” nabierał i w oczach samego Matejki symbolicznego, mistycznego znaczenia.

Druga, nie w słowa, ale w plastyczne kształty ubrana „pieśń o dzwonie”, narzucała się krakowskiemu artyście. Wybrał on chwilę *Poswięcenia*. Według p. Gorzkowskiego, wykonał obraz w 1874 r.; drzeworyt, umieszczony w „albumie”, nosi jednak napis 1875. Płótno nie jest wielkie, nie dochodzi metra wysokości, na długość zaś zbliża się do dwóch metrów. Dzień jasny, rzecz dzieje się nie na Wawelu, ale w odlewni. Znajdowała się ona podobno przy ulicy Wiślniej. Po lewej stronie obrazu stoi baldachim z bogatych aksamitów i makat, przygotowany pod gołym niebem dla monarchy i dworu. Siedzi pod nim Bona, otaczając prawem ramieniem córkę. Oparta na lewej ręce, królowa patrzy na robotników, którzy dzwon wyciągają z jamy, z modły, gdzie został odlany. Wygląda, jak kobieta, którą zaproszono na niezwykle widowisko; interesuje się też głównie techniczną stroną przedsięwzięcia, rada-by wiedzieć, jak się to dzwony robi. Włoska księżniczka pyta zarazem, czy uroczystość się uda, czy się jej nie wypadnie wstydić za artystyczne próby na północy? Królem Zygmuntem o władnęło inne zgoła uczucie. On kocha z góry ten dzwon, który przez wieki będzie nosił jego imię. Wstał, prawą rękę złożył na główce Zygmunta Augusta, lewą dotyka łańcucha na piersi i przyciska do niej bezwiednie ten łańcuch, ten znak monarszej powagi. Dookoła dwór liczny i barwny. Tyle w nim pięknych dam, że młodzień-

cy, w zbroje odziani, muszą odrywać oczy od uroczystości i zwracać je ku kobietom. U stóp tronu siedzi trefniś, ów Stańczyk, stary znajomy Matejki. Siedzi w błazeńskim stroju i w błazeńskiej pozie.

Po środku, w głębi, grono duchowieństwa. Biskup odmawia przepisane modlitwy i poświęca dzwon nowy. Na prawo i na pierwszym planie szereg robotników, którzy ciągną za sznury, idące od bloków i wyteżają ostatek sił, aby „Zygmunta” wydostać z formy, z podziemia. Poeta z lutnią w rękę i uczony z pergaminowym zwojem, stoją nieco dalej. Ogarnia ich na ten widok zaduma: oni dwaj czują, że dano im być świadkami pamiętnej i podniosłej chwili. Odlewacz, mistrz z Norymbergi, stanął na rusztowaniu i gestem, krzykiem, zachęca do wyciągnięcia dzieła na świat, przed oczy króla i dworu. Spiż kolosalny podnosi się z wielkim trudem, powoli. Widz zadaje sobie to samo pytanie, co Bona: „czy liny nie pękną? czy oni też wydadzą ten ogrom?”

Matejko był przedewszystkiem dramaturgiem, a istotą dramatyczności jest nieustannie podsycana wątpliwość, co się też dalej stanie. Czy robotnicy zdołają więc podnieść dzwon do góry, a czy on sam nie zawiedzie nadziei?

Pamiętam z dawnych lat jedną z wielu recenzji, któremi powitano nasz obraz. Pewien bardzo sławny, bardzo wytworny estetyk zarzucał Matejce, że na pierwszy plan wysunął nie duchowieństwo, poświęcające Zygmunta, ale obszarpanych czeladników gisera. Jest to krytyka, rzucająca charakterystyczne światło i na owelata, i na temat artysty. Kto, jak Matejko, żył tylko przeszłością, ten musiał czasem odczuwać potrzebę wyobrażenia sobie dawnego życia w całej jego przypadkowej prawdzie. Nie według oficjalnych opisów, ale w pełnym, choćby grubym realizmie. Im więcej się kocha, tem głębiej chce się poznać drogą rzecz, albo drogą istotę. Kiedy wielki malarz przedstawiał scenę poświęcenia „Zygmunta”, byłby był pewno oddał resztę życia, byle móżdżek przez chwilę własnymi oczyma tę uroczystość oglądać. Im pilniej ją sobie wyobrażał, tem więcej uprzytomniał sobie szczegółów, rodzajowych rysów. Sądził, że obraz będzie tem doskonałszy, tem prawdopodobniejszy, im liczniej wystąpią przypadkowe drobiazgi. A on chciał nam właśnie dać wrażenie, że jesteście świadkami chwili minionej a pięknej. Nie bez umysłu umieścił poniżej tronu pазia, strzegącego psów dworskich, pазia, który się lęka, aby szeczekanie nie przerwało ciszy, uroczystego nastroju. Dał chłopcu twarz starszego swego syna, Tadeusza. Nie przeszkodziło to jednak artyście wymalować na ostatnim planie krakowskiego zamku w jego dzisiejszej postaci. Sylweta tych murów wydała mu się zbyt piękną,

była mu zbyt drogą, aby zamiast barokowego konturu, przedstawiał inny, wierniejszy pod względem archeologicznym.

Po tym obrazie pogodnym i subtelnym, mniejszym rozmiarami, ale tak pełnym psychologicznych odcieni, jak *Skarga*, cofnął się Matejko w dawniejsze wieki, w epokę, która do nas, do publiczności, mniej żywo przemawia, a mimo to nie przestała nigdy pociągać artysty, rozmówianego w dniach zamierzchłych. Człowiek, którego codzienną lekturą były kroniki średniowieczne, czuł nieraz potrzebę odtwarzać żyjące w nich postacie. Odległe, krwawe, gwałtowne wieki Piastowskie musiały mieć osobliwszy urok dla takiego, jak on, tragicznego poety. Ileż życia, elementarnych prostych uczuć, ileż indywidualności spotykał pośród tych walk, sporów o koronę, spisków, zabójstw i morderczych zamachów. Matejko lubił krew, jak Shakespeare. Datę „rp. 1875” czytamy na niewielkim obrazie, przedstawiającym *Śmierć Przemysława w Rogoźnie*¹⁾. Wglądamy do średniowiecznej izby, której sklepienie opiera się na pięknych romańskich słupach. Zwyczajem naszego artysty izba jest mała, ciasna, ma w sobie coś z zakamarku. Jak Adrian van de Velde w pejzażach swych przyjaciół, miał Matejko malować figurki we „wnętrzach” Gryglewskiego. Ale kiedy sam komponował sceneryę, nie lubił pustych, rozległych dekoracji. Przypuszczał zresztą—i miał w tem pewno zupełną słusność, że średniowieczne mieszkania były drobne i duszne. Walka wre na naszym obrazie. Dworzanie księcia, jego obrońcy, leżą śmiertelnie ranni na ozdobnej kamiennej posadzce. W głębi dwóch ludzi mocije się jeszcze do upadłego; nie biją się na miecze, zapomnieli o rycerskich zapasach. Wzięli się wpół, jak gbury, próbują, kto kogo na ziemię obali, kto przeciwnika wrzuci do rozpalonego ogniska, albo mu czerep na kamieniach rozbije. Nie pora walczyć według praw; tu się morderstwo odbywa. Przemysław ma na głowie koronę; cóż po niej, kiedy piersi nie zasłonił pancerzem? Jest już prawie bezbronny. Lewą pustą rękę wyciąga ruchem rozpacznym. W prawej dzierży krótki mieczyk. Jak każdy tęgi szermierz, godzi jeszcze na przeciwnika wzrokiem, chce go paraliżować oczyma. Ale otyły brandenburski wojak wyrывa mu oburącz puginał. Od lewej strony, z boku, napada na Przemysława mężczyzna, uzbrojony w dźwidę: jedno mgnienie powiek, a ostrze wejdzie Przemysławowi w ciało. Inny zbir zamierza się z tyłu do cięcia, które głowę rozszczepi, mimo chroniącej korony. Gdyby Matejko był szukał melodramatycznego efektu, byłby swego bohatera przedstawił, jak

¹⁾ Znajduje się obecnie w Zagrzebiu, w zbiorach miejscowej Akademii Umiejętności.

pod ciosami upada. Ale prawdziwy dramaturg wybrał znowu tę chwilę, w której możemy tylko przeczuć zgon tragiczny. Pozostawił nas w niepewności, czy się też księżę jakim cudem nie obroni. Żona jego, Ryxa, trzyma córeczkę na piersiach i, stanawszy we drzwiach sąsiedniej komnaty, może jeszcze wyciągać rękę, jak gdyby się chciała rzucić między walczących, krzykiem bezbronnego ratować. Czujemy jednak, że go chyba nie ocali.

Stosunki z zachodnimi sąsiadami, odwieczne boje Słowiańszczyzny i Niemców, musiały w owych latach zajmować i przejmować Matejkę. Znał on nie tylko dawnych kronikarzy, rozczytywał się także w poetach naszego stulecia. Słowa Rymwida: „nikt krzyżackiego gadu nie ugłaszczę“, stawały mu pewno wielokrotnie na myśli. Obydwa temata do wielkich kompozycji, między którymi długi czas nie mógł wybrać, odnosiły się do stosunków z krzyżactwem. Z jednej strony pogrom Germanizmu, z drugiej zwycięstwo germańskiej dyplomacji. *Grunwald* albo *Hold pruski 1525 roku*. Malarz chwycił się zrazu pierwszej sceny; drugą, tem smutniejszą, że pozornie świetną, wykonał później, w latach mniej optymistycznych i dojrzałych. Większa część studyów, robionych w 1875 r., była przygotowaniem do *Bitwy pod Grunwaldem i Tannenbergiem*. „Zygmunt“ zabrzmiał w jakiś dzień uroczysty i Matejko rozpoczął robotę nad olbrzymiem płótnem. Pytano powszechnie, czy potrafi malować konie. Zdolność odtworzenia szkapy lub rumaka uchodziła podówczas za dar specjalny, niemal za osobną gałąź sztuki. Nasz artysta poświęcił wiele czasu ciężkim, dużym koniom, zdolnym unieść średniowieczną zbroję. Szukał modeli w najpiękniejszych galicyjskich stadninach, jeździł do hr. Artura Potockiego, X. Sanguszki i X. Sapielhy. Portret tego ostatniego, przeniesiony potem na obraz *Grunwaldu*, powstał w tymże roku. W następnym 1876, po sprzedaniu *Stefana Batorego*, nabywa Matejko wieś w pobliżu Krakowa, Krzesławice, i tam maluje dalsze studia do przyszłego obrazu. Katalog wystawy w Mauzoleum i broszura p. Gorzkowskiego wyliczają cały szereg łbów końskich, wierzchowców w skoku, olbrzymich perszeronów i rumaków, powalonych na ziemię. Ci, co je oglądali w pracowni, mogli porzucić dotychczasowe obawy: kiedy zachodziła potrzeba, umiał Matejko malować i konie.

Dnie cichej pracy przerywa czasem jakiś dowód uznania. Medal jest nareszcie gotów i dnia 24 października 1875 r. następuje wręczenie. Tym uroczystej sceny jest, już zaczęta, wielka *Bitwa Grunwaldzka*. Do deputacyi należą najpoważniejsi, najwybitniejsi ludzie: Piotr Moszyński, Stanisław Tarnowski, Aleksander Kurtz, Henryk Kieszkowski i inni. Świadcami są profesorowie i uczniowie Szkoły. Na przemówienie Moszyńskiego, którego portret zaliczam do najwspaniał-

szych dzieł Matejki, odpowiada artysta słowami głębokiej szczerości i prostoty. Dotychczasowe odznaki uważa za nagrodę prac już wykonanych, medal wydaje mu się jednak przedwczesnym hołdem, który go onieśmiela. „Nie przeszłość wynagradzacie panowie, ale obowiązujecie mię na przyszłość. Czy mogę ręczyć, jak zdołam użyć mojego talentu? Wolał-bym, aby tego rodzaju nagroda spotkała mię kiedyś, po skończonym zawodzie, przed zgonem lub po śmierci.“

Notuję skwapliwie te słowa, bo dają nam jeszcze obraz pierwotnej duszy artysty, tej duszy, którą poznaliśmy z młodocianych jego listów. Matejko byłby tkwił w grubym błędzie, gdyby swej zasługi nie oceniał, gdyby nie czuł, że niemal z nicości wywiódł naszą sztukę na wyżyny i nadał jej wielki, europejski rozgłos. Prawda jest tak piękna, że nawet skromności nie wolno jej zaciemniać. Ujrzymy niebawem, że z biegiem lat skorzystał Matejko z prawa mierzenia samego siebie wielką miarą, miarą olbrzymiego talentu. W późniejszych jego publicznych wyznaniach jest może nawet nieco własnej chwalby, nieco przesady. Przypuszczam, rad-bym wierzyć, a może nawet wierzę wgłębi duszy że wielki artysta został do końca człowiekiem daleko skromniejszym, niż-by się na pozór wydawało, niż ludzie wogóle myślą. Znam i jego ambycję, i prawdziwą jego religijność; sądzę, że kiedy się w zakątku swego domu długo namodlił i nakorzył, musiał wstawać, jak za młodu, skromnym, musiał czuć przestrzeń, dzielącą prace od zamiarów. Ludzie nie pozwolili mu jednak pozostać sobą. Na unżone hołdy musiał odpowiadać górnie. Ludzie go popsuli. Pracowali nad tem długo, aż im się własna pokora sprzykrzyła, aż ujrzeni rodzącą się dumę. Wtedy zaczęli się na nią oburzać. Szewcy wszystkich miast i krajów są jednakowego usposobienia. Gniewają się, gdy imię Arystydesa zbyt często powraca w rozmowach. Muszą się go pozbyć, bądź co bądź, wygnaniem lub wysmianiem. A tyle jest szewców na świecie i wszyscy wydają sądy o wszystkim, nie pilnując kopyta.

Ze czcią należną artyście rosła ciągle niema, niewypowiadana, cicha, ale uporeczywa niechęć do człowieka. Nikt nie miał tyle śmiałości, aby z nim walczyć, nikt nie przypisywał sobie dostatecznej powagi, aby się z nim spierać. P. Władysław Łuszczkiewicz określił tak wybornie sytuację, że nie mogę jego słów nie przytoczyć: „Jak każdy wielki człowiek—pisze dawny jego nauczyciel—miał Matejko szacunek i powagę u wszystkich.“ „Z przyjaciół szczerych, którym-by uwierzył, podobno nikogo, jeżeli przyjaźnią nazwiemy otwartość.“ Widział to sam, że zamyka usta drugim wielkością imienia swego.“—Pamiętam, dodaje p. Łuszczkiewicz, gdy wracając z narad w jakiejś sprawie... opowiadał, jak go gniewało, gdy czuł, że wszyscy są przeciw niemu, a nikt głosu nie zabierał. Przytakiwania nie lubił i wolał spotkać się

z zarzutami. Ale ludzie poważni obawiali się mistrza obrazić i poświęcali szczerłość. Dużo mniemanych grzechów Matejki spada na tych, co go psuli pochlebstwami."

Bo dziennikarzom, recenzentom, publiczności, wolno było wynosić artystę pod niebiosa. Biada mu jednak, jeżeli on sam uwierzy w te nasze, niby szczerze, hymny. W admiracji ogółu było dużo sztucznego zapachu, hypokryzyi, dużo „metody w szaleństwie.” Krzyczeliśmy Matejce: „jesteś wielki!” i spodziewaliśmy się w odpowiedzi głosu „jestem niczem.” Artysta znał jednak własną wartość i miał rację. Nie wstydził się żadnego ze swych uczuć i przekonań, nie krył się więc i ze słuszną dumą. Z czasem uniósł go prąd, uniósł daleko. W epoce, kiedy na parę lat przed śmiercią kierował wewnętrzną restauracją i malowaniem krakowskiego kościoła Panny Maryi, jeden człowiek wybitny, wysoce wykształcony, a tem oględniejszy, że szczerzy wielbiciel Matejki, ośmielił się go prosić o pewne zmiany w projekcie. Artysta odpowiedział wybuchem oburzenia. Podówczas był on już, co prawda, chory i do dawnych moralnych trosk przyłączały się cierpienia fizyczne. „Wy, wszyscy—zawołał—nie wiecie, kto ja jestem. Ja sam do niedawna nie wiedziałem.” Sprawa miłości własnej komplikowała się mistycyzmem. „Jak wszystkie wielkie słowiańskie talenta—mówił mi wtedy ów interlokutor malarza—jak nasi poeci w XIX w., jak obecnie Lew Tołstoj, zachodzi i Matejko w dziedziny mistycyzmu.” Niebezpieczna to droga. Kto się nią puści, uzna się prędzej czy później za jedynego człowieka, który wie i rozumie. Dla artystów zaś bywa mistycyzm tem zgubniejszy, że ich odwraca od życia, od rzeczywistości i prawdy, a każe im natomiast szukać wymyślnych symbolów.

Obok *Grunwaldu*, zajmował się teraz Matejko innemi, bardzo różnorodnemi pracami. Były to i kompozycje czysto religijnej treści, i dzieła, powstałe w jego wyobraźni podczas czytania poezyi Krasińskiego, i sceny z dziejów obcych, np. *Św. Ludwik król francuski*, udający się na wyprawę krzyżową, i *Jan Wilczek*, kiedy broni benedyktyńskiego klasztoru na Morawie, i wreszcie, reprodukowany w warszawskim „Albumie“, *Car Iwan Groźny*. Na tle niebios nocnych, chmurnych i ponurych, przy świetle czerwonego pochodni, które rozwiewa wichura, kroczy po śniegu grono ludzi, towarzysząc skazanemu na śmierć bojarowi. W orszaku idzie sam monarcha i przerażony tą sceną, rykiem wiatru i psów wyciem, opiera się na ramieniu syna. Malarz miał zaczerpnąć pomysł z powieści hr. Tołstoja.

Wszystkie artystyczne sprawy miasta, a jest ich zawsze pełno w Krakowie, objęły się teraz, jak mówiłem, o Matejkę. Przy wyższych kursach naukowych dla kobiet, ustanowionych przez Adryana Baranieckiego, istnieje szkoła rysunku i malarstwa. Mimo nawału

prac, które mu dawała własna Akademia, podjął się w 1874 r. Matejko nadzoru i opieki nad tą kobiecą szkołą. W dwa lata później zaczęła się sprawa odnowienia Sukiennic, opuszczonych od stu lat, od wielu wieków szpeconych. Tomasz Pryliński, ów zdolny, pełen gustu architekt, którego już wymieniałem, wspominając o fasadzie rodzinnego domu Matejki, a o którym dziś muszę, niestety, mówić, jako o nieodżałowanym i zmarłym, wypracował był projekt restauracyi. Młody podówczas budowniczy, wytworny znawca epoki Odrodzenia, wiedział, do kogo się zwracać po radę i szukał jej nieraz u naszego malarza. Matejko zasiadał w komisyi, kierującej robotami, i często brał sam ołówek do ręki. Wytworzył się niebawem blizki, serdeczny stosunek między budowniczym a twórcą *Skargi*. Prezydentem miasta był natenczas człowiek przedsiębiorczy, wytrwały, człowiek wyższego umysłu i gorącego serca. Dzięki energii Mikołaja Zyblikiewicza, odnowienie Sukiennic przyszło do skutku. Kto się dziś przechadza pod wspaniałemi ich podcieniami, musi podziwiać głowice niektórych słupów, ozdobne płaskorzeźbę, pełne świeżej i młodzieńczej fantazyi. Tu i tam pluśka się w wodzie grono dzieci, zawodząc koło taneczne, ówdzie ukazuje się szereg masek, albo głów kostiumowych, różny i strojem, i wyrazem. Obok architekta, który przedewszystkiem odtwarzał, stał bowiem artysta, samodzielny i twórczy. Sukiennice zawdzięczają' pierwszemu dzisiaj swą okazałość, zbliżenie do pierwotnego stanu; ale jeżeli nie noszą na sobie cech chłodnej pedantycznej restauracyi, to drugiemu należy się ogromna część zasługi. Kapitele powstawały pod jego okiem, na podstawie jego rysunków. W wiele szczegółów odmłodzonego gmachu dopiero Matejko tchnął życie. Śmiała jego wyobraźnia lubiała roztaczać swoje kształty i widzenia na murach starych krakowskich budowli. Malarz czuł się tam u siebie, czuł się zupełnym panem. Tam bywał nawet wesoły. Widziałem kilka karykatur Matejki, ale brak im wogóle rzeczywistego humoru. W teatrze stykają się nieraz role charakterystyczne z komicznemi i spoczywają zazwyczaj w ręku tych samych aktorów. Kiedy Matejko chciał robić karykatury, pozostawał po większej części przy wybitnej charakterystyce, nie szedł dalej. Znam pod tym względem tylko jeden wyjątek, rysunek, na którym dyrektor szkoły przedstawił samego siebie, tańczącego mazura ze swym sekretarzem. Obydwaj są w adamowym stroju. Rzecz pełna ruchu, szalonej, nieokiełznanej werwy. Ale jeżeli wogóle nie posiadał humoru, miewał czasem artysta pogodną, dziecinną wesołość. I nie dziw: była to taka czysta, taka prosta dusza! Słyszałem o ślicznym rysunczku małpy w albumie jednego z dzieci, widziałem karneć balowy, zapelniony figurkami nut tańczących. Dowodem młodej wesołości są dla Krakowian rzeźbione kapitele Sukiennic.

Budowa zaczęła się wylaniać z rusztowań, kończyła się robota nad *Grunwaldem*, gdy nagle nowa artystyczna sprawa zajmuje Matejkę i odrywa od pracy. Biada u nas ludziom, którzy o coś pięknego dbają. Są tak nieliczni, że muszą samotnie, a bez przerwy śledzić za wypadkami, ciągle się lękać zniszczenia, porzucać co chwila własną produkcję, aby bronić tego, co inni psują bezmyślnie a rozmyślnie. Tak dbał Matejko o stare pomniki rodzimego miasta. Co dzień zaś niszczy je lub kaleczy obojętność właścicieli kamienic, gorliwość rady miejskiej, władz i duchowieństwa. Ażeby móżdż skutecznie ochraniać zabytki, musiał-by był nasz malarz cisnąć pędzel i strawić życie na walkach. Wielki ołtarz krakowskiej katedry pochodzi z późnej barokowej epoki i różni amatorowie fałszowanej przeszłości postanowili go zastąpić innym, gotyckim, zastosowanym do stylu budowy. Są ludzie nie zdolni zrozumieć, że kościół a muzeum są to dwie rzeczy różne, że, nawet z czysto artystycznego punktu widzenia, kościół ma tem więcej powagi i nastroju, im więcej w nim dowodów pobożności długich, licznych pokoleń. Matejko czuł tę subtelną różnicę, która zachodzi pomiędzy sztucznie stworzoną, choć stylową całością, a wolnym porostem odmiennych estetycznych pragnień, śladów ludzkiego życia, kochania i modlitwy. Zaprotestował więc przeciw usunięciu wielkiego ołtarza. Zbyt długo było-by opowiadać, przez jakie fazy przechodziła uporczywa walka. Ostatecznie zwyciężył. Barokowy ołtarz stoi na miejscu, a przy całkowitej, obecnie rozpoczętej, restauracji katedry, utrzyma się zasada, której artysta bronił, prosta zasada pietyzmu wobec zabytków.

Mniej więcej na rok przed ukończeniem *Grunwaldu* wybrał się Matejko w podróż. Udał się naprzód do Częstochowy, potem zaś, dnia 24 września 1877 r. stanął w Warszawie. Jeżeli—jak sądzą—przyjeżdżał jedynie po hołdy, nie umiał wybrać odpowiedniej chwili. Całe miasto mówiło wtedy o *Pochodniach Nerona*. Porównywano dwóch artystów, jak gdyby to byli ludzie jednej miary. Ten i ów widział tylko zalety wytwornego Siemiradzkiego i tylko wady genialnego jednak Matejki. Ale, malarz, który miał w duszy i przed oczyma bój *Grunwaldu*, nie szukał owacy i może dla tego wciąż się z nimi spotykał. Dnia 29 września wyprawiono na jego cześć obiad w resursie kupieckiej; uczestniczyły w nim tylko 273 osoby, bo sala więcej pomieścić nie mogła. Pierwszy toast wznosił p. Gerson, drugi prof. Struve. Nastąpiły inne w wiązanej i niewiązanej mowie. Pierwszego października wyjechał Matejko do Prus, pozostawiając Warszawie świeżo wymalowaną *Ucztę Wierzyńka*. Artyście śpieszno było obejrzeć pole bitwy pod *Grunwaldem*; potem zatrzymały go pomniki Gdańska i Torunia. Po powrocie do Krakowa nastąpiło umieszczenie Szkoły w domu przy

ulicy Garbarskiej. W końcu października napadła Matejkę ciężka i długotrwała choroba.

Przyszedł do siebie, ale rok nowy, 1878, miał mu zgotować wiele bólu. Zaznaczył się śmiercią młodziutkiej jego córeczki, Reginy. Dyrektor Łuszczkiewicz zapisał w prostych a serdecznych słowach wróżenie, które ogarniało gości, wchodzących wtedy do mieszkania Matejki. Dziecko leżało na katafalku, podobne do niezapomnianej Urszulki Kochanowskiej, którą i nasz artysta malował. Mistrz był niepokieszony—mówi Łuszczkiewicz. „Wkrótce też zajął się zbudowaniem grobu rodzinnego na cmentarzu krakowskim. Pomieszczone tu zmarłą dziecinę i przeniesiono zwłoki rodziców.” Z drugiej strony sypały się na Matejkę zaszczyty. Akademia Rafaela Santi w Urbino mianowała go swym członkiem, i to w sam dzień urodzin twórcy *Szkoły ateńskiej*. W Salonie paryskim, gdzie się w tym roku znalazł i *Dzwon Zygmunta Starego* i *Zygmunt August w Lublinie*, przyznano artyście medal honorowy. On tymczasem malował główkę zmarłej córeczki, zaczynał *Władysława pod Warną*, kończył historyczno-rodzajową scenę biskupa *Gamrata*, w chwili, gdy, nieco podchmielony, schodzi z Wawelu, opierając się na ramieniu Stańczyka. Znam ten obraz tylko z opowieści. Matejko nie pozwolił go nigdy wystawić. Czuł bowiem, a może wiedział, że się publiczność składa przeważnie z gawiedzi.

Nareszcie, w drugiej połowie września, przeniesiono *Bitwę pod Grunwaldem i Tannenbergiem* do ratusza. Tam, w sali posiedzeń rady miejskiej, pracował artysta nad ostatecznem wykończeniem obrazu, który na długość miał blisko dziesięć metrów, a przeszło cztery na wysokość, był zatem tak wielki, że się zapewne nie dał całkowicie rozwinąć w pracowni. Dyrektor Łuszczkiewicz wspomina, że i później „przy wielkich obrazach wypadło“ Matejce „malując, leżeć na ziemi lub wieszać się po drabinaach.“ Dnia 28 września 1878 r. otwarto się podwoje ratusza i przed płótnem stanął tłum liczny, pełen ciekawości i gorączki. Pamiętam, jak tam wrzało, jak w obraz wlepiano oczy, jak się rozczytywano w drukowanych objaśnieniach. Bo chociaż potęga artysty objawiała się za pierwszym spojrzeniem, chociaż ów jeździec, cwałujący po środku, rzucał się odrazu w oczy i zdało się, że z płótna wyskakuje na widza, potrzeba było trochę trudu, wiele skupienia i uwagi, ażeby dzieło poznać, we wszystkich szczegółach zrozumieć, zdać sobie sprawę z ruchu i działania każdej postaci. Matejko wprowadza nas w sam wir, w sam wrzątek bitwy, przedstawia nam ją niejako w przejściu, ukazuje swoim zwyczajem chwilę, gdy szala zwycięstwa dopiero się przechylać zaczyna. Na żadnym ze swych dotychczasowych obrazów, a nawet na żadnym z późniejszych, nie operował artysta takimi masami ciał ludzi i koni, nigdzie do tego stopnia nie

przepelniał kompozycyi, nie pozapychał przestrzeni figurami; nigdzie tak nie poplątał, nie poskręcał ludzkich członków w kłęyb. I nigdy też nie miał do tego praw, równie zrozumiałych i słuszných. Bo mimo armat, które już tutaj zagrzmiały, bitwa pod Grunwaldem musiała być przede wszystkim walką chłopca z chłopem, bojem z blizka na noże, chwytnością się za bary, rozpaczliwym szamotaniem ludzi. Mistrz-indywidualista stworzył tu szereg scen osobliwszych, większą, niż gdziekolwiek bądź, ilość indywidualnych głów, postaw i postaci. Nie masz może obrazu Matejki, równego *Bitwie Grunwaldzkiej* pod względem różnorodności figur, zaciekłych twarzy i—dodajmy to znowu—pod względem malowania pojedynczych akcesoryów. W dawniejszych pracach malarz jeszcze umiał, chciał jeszcze podporządkować szczegóły ogólnemu wrażeniu. Każde oblicze w *Grunwaldzie* tak patrzy, każda zbroja tak świeci, że ciągnie oczy i pochłania uwagę. Epoka, w której nasz obraz powstał, przypada na czas pełni talentu, na lata świadomości, techniki, pewnej siebie i radującej się, kiedy ma jaką trudność do zwalczania, na dni elementarnej siły bez wahań, bez zapór i granic. Nie masz natomiast obrazu Matejki, który-by wymagał od widza więcej czasu, więcej zdolności wpatrzania się w dzieło, więcej pracy.

Oglądaliśmy wszyscy to duże, porywające dzieło, dobrze znane w Warszawie. Wystawiono je oczywiście i w Mauzoleum. Ale nawet ci, którzy je zdawna przestudyowali, stają przed niem bezradni. Muszą się czasem pytać, skąd się tu noga wysuwa, czyja to ręka, czy tam należy jaki tułów do głowy? Niema obawy! Jeżeli się gdzie korpus ukrył za zbrojami, to ktokolwiek zadał sobie trud przyjrzenia się *Bitwie*, powie, gdzie się on znajduje i przyzna, że ma tam dostateczne miejsce. „Nie zmylił się mistrz taki“, jak mówi Mickiewicz o Jankielu. Wielki rysownik wszystko obmyślił i wszystko rozmieścił w przestrzeni. I ta potężna głowa siedzi na karku, i ta zylasta ręka łączy się z ramieniem. Nie zapominajmy, żeśmy się znaleźli wśród ostatecznej, rozpaczliwej walki. Krzyżacy pomieszali się już z wojskiem Jagiełły i Witolda. Walczy się na wszystkie strony, równocześnie. Z boku, z tyłu, czyhają zdradne ostrza spis i sztyletów. Nad każdym, co tu wojuje, wisi niebezpieczeństwo. Bo chociaż rycerz przemoże pierwszego napastnika, tego, co w pierś mu godzi, to inni, nowi, grożą dookoła.

Po lewej stronie—liczę zawsze od widza—jest trochę mniej zgiełku. Na potężnym, okrytym czaprakami, karym rumaku, pędzi ku nam książę szczeciński i zasłania się cięciem od najeżdżającego nań Skarbkę. Pacholek z kołczanem podbiega jednak do książęcego konia, chwytając za cugle i może go powstrzyma. A wówczas dzida skarbkowa przesyje niemieckiego rycerza o wielkim hełmie pierzastym. Pod kopytami ciężkiego wierzchowca walczą dwóch ludzi, powalonych na ziemię.

Duszą się, gnębią, szarpia zacieklemi rękoma. Dalej toczy się inny bój, o osobę samego Mistrza zakonu. Biały jego płaszcz rozwiął mu się nad głową. Krzyżacy wystąpili bowiem paradnie, licząc na pewne zwycięstwo. Po przeciwnej stronie walczy i dzicz obok rycerzy. Siwy rumak Jungingena przystaje, ściągnięty naraz cuglami. Na Mistrza godzi nie tylko konny Miecznik krakowski, rzuca się na niego i dwóch pieszych w półnagich Litwinów. Jeden z nich, obrócony do nas tyłem, ma na głowie kaptur, kaftan na ciele, golenie i łydki bez stroju ni ochrony; zamierza się dużą siekierą. Drugi, ze skórą wilczą, zarzuconą na łeb i na bary, stoi do widza przodem. Na nagiej, muskularnej pierśsi można wszystkie żebra policzyć. Za chwilę uderzy Mistrza ogromną długą dzidą, o ciężkiem ostrzu stalowem.

Obok tych głównych grup — jeżeli wogóle można mówić o grupach w przypadkowym natłoku takiej bitwy — widzimy innych walczących konno, a dalej już same hełmy, dzidy, ułamki drzewców, które wśród boju pękły i ulatują do góry. Walka nie jest jeszcze rozstrzygnięta, ale wypadnie chyba na niekorzyść krzyżactwa. Bo oto przedarł się Witold przez szyki zapaśników. Podniósł obiedwie ręce, w prawej trzyma miecz nagi, w lewej tarczę. Na głowie błyszczy książęca korona. Oczy wyszły na wierzch i krwią nabiegły. Puścił koniowi wodze, koń rozwarł nozdrza, parska, unosi jeźdźca i tratuje upadłych. Jakiś orkan pędzi i rumaka, i księcia, rozwiewa mu długie, kędzierzawe włosy. Ten orkan — niechaj mi Witkiewicz śmiałą uwagę wybaczy — to wielki wicher dziejowych wypadków. Matejko nie lubił jeszcze wówczas allegoryi: ów Witold, krwiożerczy, zapamiętały, szalony, był to jednak w jego pojęciu czy poczuciu — „bóg wojny“, uosobiony duch zwycięstwa.

Książę szląski zwałił się właśnie razem z koniem na ziemię, wykwinął strojniś, cały od złotogłowiów i jedwabiów. Upadł, trzymając w dłoni złote berło, zamiast miecza. Za chwilę przeleca nad nim podkowy witoldowego rumaka. Obok, na lewo, leży Liechtenstein, wielki komandor Zakonu. Taki młody i taki piękny, że aż w nas litość budzi: bo kiedy stajemy wobec wielkiego dzieła sztuki, miewamy wszyscy dwojakie serce w sobie. Rycerskie i twarde — po męsku, a razem czułe, jakby kobiece. Komandor leży, zakuty w zbroję, ale zresztą bezbronny. Wyciąga jedną rękę ruchem człowieka, co się już znużył, pragnie, aby go ktoś nareszcie dobił, chce prędkiej śmierci. Drugą zaś rękę podnosi Liechtenstein, jak gdyby pytał, kto mu nastąpi na twarz, kto stratuje: czy dzicy Litwini, co wpadli na wielkiego mistrza, czy jego ciężki rumak, czy wreszcie pędzący koń Witolda, oszołomiczny zapachem krwi, rozszalały.

W pobliżu, na przodzie, rąbie tymczasem Jan Żyżka. Zamierzył się w tej chwili do wspaniałego cięcia. Z boku zachodzi mu rudy ryccerz krzyżowy; na ciele Żyżki, okrytem łuskami pancerza, szukał on dostępnego, bezbronnego miejsca, i wznosi już sztylet do góry.

Niemal cała prawa strona kompozycyi składa się z podobnych scen morderstwa. Komandor brandenburgski, zwalony razem z koniem, dostał się na stryczek, sznur mu zaciska szyję, sznur go dusi. Matejko przedstawia zaraz całą walkę około tego stryczka, wyobraża sobie i tych, co chcą sznur przeciąć, uwolnić Niemca, i tych, co bronią wspólniego żołdaka, władającego tak zręcznie arkanem. Za komandorem umieścił artysta człowieka o suchej, zwiedłej i poważnej twarzy: dźwiga miecz, by rozszczepić komturowi głowę. Jest to Jan Długosz. Matejko uważał się za historyka, powołanego do odtwarzania dziejowych scen tak żywo i prawdziwie, jak gdyby się na nie patrzył własnymi oczyma. Czczył więc głęboko tych pisarzy, co mu pozwalali żyć przeszłością, co w nim budzili wizye lat minionych. Nie wiem zaś, czy w pośród dawnych dziejopisów nie najbardziej ukochał Długosza. Nie mógł go więc pominąć w obrazie bitwy grunwaldzkiej. Jako naczynego świadka, umieścił go w samym wirze walki, po prawej stronie płótna, tam, gdzie jest już tylko ogólny natłok i zamęt.

W kompozycyi niema prawie planów. Nie patrzemy bowiem na walkę z góry, *à voloiseau*, jak w obrazach XVII w., np. w pracach flamandzkiego malarza, Snayersa. Nie oglądamy jej również z wywyższonego punktu, ze wzgórza lub dachu chałupy, jak w nowoczesnych panoramach. Matejko stawia nas wśród zgiełku, widzimy więc przedewszystkiem pierwszy szereg walczących. Dopiero daleko za nimi, w głębi, za kurzawą i kłębam dymu, ukazuje on nam nieco krajobrazu. Po lewej stronie stoją krzyżackie namioty i palą się osady; po prawej, na wzgórzu, poroślem iglastemi drzewami (Tannenberg), ujeżdżają Jagiełło, Ziemowit mazowiecki, Zbigniew Oleśnicki. W niebiosach unosi się Św. Stanisław, błagając o pogrom krzyżactwa: pierwszy to raz, jak Matejko wprowadza tego rodzaju nadprzyrodzone zjawisko. Wspomniałem, że jeździł on oglądać pole bitwy. Jest to ciekawy szczegół dla biografa, świadczy bowiem o jego artystycznej sumiennosci. Kto jednak, stojąc przed płótnem, przypomni sobie tę podróż, dozna zapewne wrażenia, że była zupełnie zbyteczną. Peizaż, jak zwykle u naszego malarza, nie gra tu prawie żadnej roli, nie wpłynął w niczem na kompozycję obrazu.

Bitwa pod Grunwaldem nie doznała za granicą tego uznania, z którem się spotykały dotychczasowe prace Matejki. Francuska krytyka obeszła się bardzo surowo z tem dziełem, berlińska oceniła je—mimo tematu—objektywniej i słuszniej. Bo Niemcy mieli jeszcze wów-

czas tradycję historycznej sztuki, uznali więc energię, siłę charakterystyki, odczuli całą furę pojęcia, nie zamykając zresztą oczu na bezład. Ale musieli podziwiać. Do takiej potęgi nie przyzwyczaił ich ani Wilhelm Kaulbach, ani Karol Piloty. O ostatnim z tych malarzy mówi się tu i owdzie, mówi się jeszcze do dziś dnia, jako o wielkim kolorystyście. Nie był nim, mojem zdaniem, i Matejko, a przecież jaka różnica pomiędzy konwencyjonalnie-asfaltowym, brudnym światem *Tryumfu Germanicusa* i *Grunwaldem!* U naszego malarza brak kolorystycznego przeprowadzenia w całości, natomiast spotykamy w jego *Bitwie* osobne części, pod względem poczucia barw tak wspaniałe, że im się dosyć napatrzeć nie możemy. Przypomnę tylko leżącego w zbroi Liechtensteina i Kourada Białego, księcia na Oleśnicy. Wiem ja, że to wszystko powstało w pracowni i nosi na sobie jej ślady, wiem dobrze, iż tych figur nie owiało rzeczywiste powietrze. Skoro jednak z góry przyjmiemy ten zwyczaj, czy też nałóg Matejki, skoro się z ciężkiem sercem zgodzimy na takie lekceważenie *plein-air'u*, zapytam, gdzie dzisiaj szukać równie wspaniale malowanych studyów, podobnych dowodów malarskiego „rozmachu”?

To właśnie oceniali Niemcy.

Francuzów zaś gorszył brak układu. Mimo wszystkich dziwactw, których się w pewnych epokach dopuszczają na polu literatury i sztuki, mimo chwilowych admiracji dla szalonych i niejasnych pomysłów, na dnie ich duszy tkwi zawsze latyńska potrzeba przejrzystości, organizacji, kompozycyjnego talentu. *Bitwa Grunwaldzka* nie mogła ich zadowolnić. Raził Paryż jednoplanowy układ obrazu. Porównywano go do gobelinu, strojono sobie żarty.

Z dwóch zdań przeciwnych można osiągnąć słnszną ocenę, sąd bezstronny. Kompozycyi niema w *Grunwaldzie*, bo w życiu niemal każdego artysty, nawet w życiu Matejki, który miał później popaść w symbolizm, jest pewna epoka, gdzie komponować znaczy tyle, co ustawiać, obmyślać na zimno, sprzeniewierzać się swemu uczuciu i prawdzie. W r. 1878 chciał Matejko dać wrażenie dnia strasznej walki, chciał wywołać zapach krwi i szal krwawy. Nie chodziło mu wtedy o historyczną ocenę *a posteriori*. Szukał tylko potęgi figur, znalazł ją i zadowolnił się nią zupełnie. Tworzył silne postacie i zaniedbał może dla nich całość obrazu. Malował w pracowni i wobec wyrazu ludzi lekcewał pytanie, czyby oni tak wyglądali na powietrzu. Ale wlał tyle mocy w swoich rycerzy, w Polaków i w Niemców, nadał im tyle zapału, życia, wściekłości, dumnej lub rozpaczliwej odwagi. Gdyby się kto odważył pociąć *Bitwę pod Grunwaldem* na kawałki, jak rozkrajano panoramę Neuville'a, mógł-by z tej jednej niedoskonałej kompozycyi wydobyć sto pierwszorzędných obrazów.

Płótno zostało przez długi czas w ratuszu, bo Mikołaj Zyblikiewicz nie chciał go stamtąd wypuścić, dopóki miasto nie odda twórcy należnego hołdu. Pod wpływem chwilowego uniesienia, wdzięczność i podziw przyjmują czasem pewną formę bardziej uroczystą, niż serdeczną. Owacy i mowy rodzą się częściej wobec tych dzieł, co budzą zdumienie lub rozgorączkowanie, niż wobec tych, które czeka spokojna, błoga nieśmiertelność. Nie po *Skardze*, ani po *Hołdzie pruskim*, lecz po *Grunwaldzie* zgotowano Matejce obchód głośny i wspaniały. Za inicjatywą swego prezydenta postanowiła rada miasta Krakowa wręczyć artyście drogocenne berło, „jako symbol—mówi uchwała—jego panowania w dziedzinie sztuki.” Jakoż d. 29 października 1878 r., po solennem nabożeństwie, odbyła się ceremonia. „Niech to berło—tak kończył swą przemowę Zyblikiewicz—będzie dobrą wróżbą dla Szkoły Sztuk Pięknych, pod Twojem okiem niedawno odnowionej. Niech ta młoda latorość dojdzie do potęgi i znaczenia, jakie sobie zdobyła macierzysta jej instytucya, Alma Mater, nosząca także berło w swoim herbie.“

Matejko odpowiedział. Podniósł, jakby z niechęcią, że nazywają go „mistrzem“, wymienił poemat Słowackiego i odrzucając wprawdzie od siebie zamiar królowania duchem, potwierdził jednak, że panowanie jest dziś w ręku sztuki. Nakoniec wyrwał mu się okrzyk, pełen ogólnego nieosobistego zapału „nakształt ryku spiżowej piersi Zygmuntońskiego dzwonu “

Na kilka dni przedtem mijały dwa lata, jak mu wręczano medal wobec tego samego *Grunwaldu*. Ton obustronnych przemówień zmienił się od tej pory, a sędzę, że dawny był i bardziej prosty, i szczerzy. Matejko został odtąd, bądź co bądź, „mistrzem“, nazywano go tak nawet w ustnej i potocznej mowie. Był od tej chwili w posiadaniu berła, jak grecki malarz Parrhasios. Co prawda, jak inny współczesny artysta, jak Zeuxis, rozdarowywał potem swoje dzieła, bo żadna cena nie była godną ich wartości.

Uroczystość w ratuszu zakończyła się przemówieniem dawnego nauczyciela Matejki, a podówczas kolegi w Szkole Sztuk Pięknych, p. Władysława Łuszczkiewicza. Wieczorem następowały kolejno: obiad składkowy, świąteczne przedstawienie w teatrze, pochód z pochodniami, urządzony przez młodzież.

Uznanie ogółu jest rozkoszą artystów, otuchą i nagrodą. Ale jeżeli ma im sprawić istotną radość, powinno być ani przygotowane z góry, ani jednorazowe, lecz powolne, ciągle i dyskretne. Jest coś nie milego, nie artystycznego, w takich gwałtownych i gremialnych owacych. Pozostaje po nich znużenie, podobne do niesmaku. Może dla tego uciekł Matejko na zimę do Włoch, do tej „Italii“, o której ma-

rzył za młodu. Bawił krótko w Wenecyi, we Florencyi i Rzymie. Radzi-byśmy wiedzieć, co tam podziwiał, co go specjalnie zajęło; nie mamy jednak na razie żadnych danych, które-by nam pozwoliły ocenić jego duchowy proces wobec arcydzieł przeszłości. Nie wiemy na teraz nic o wpływie Rzymu, jakieśy dawniej nie mogli skonstatować wpływu Paryża. Słowa p. Maryana Sokołowskiego reasumują wybornie sytuację. „Podróże te—pisze uczony profesor—nie miały żadnego głębszego znaczenia dla wewnętrznego życia i twórczości Matejki. Były epizodami wewnętrznymi, budzącymi interes, jak wszystko, co wielkiego człowieka dotyczy, ale nie wpłynęły pod żadnym prawie względem na rozwój jego talentu. W znacznej części, jak np. do Paryża i Rzymu, nie jechał na to, aby brać, aby korzystać z nauki zachodnich społeczeństw i sławą nieśmiertelnionych wzorów, jak zwykle inni artyści, ale aby dawać, ze swemi własnymi dziełami, i aby się zetknąć osobiście z opinią świata o nich.“

Ujrzymy, jak się niebawem Matejko wybierze po raz drugi do Włoch, wioząc olbrzymie płótno dla Papieża. Teraz bawi na południu krótko; w styczniu 1879 r. jest już z powrotem w Krakowie.

DR. K. M. GÓRSKI.

W P A R K U.

Samotny błędę ogromną aleją,
Gdzie nagie drzewa, szeregami dwoma,
We mgle jesiennej bez końca czernieją,
Z wyciągniętymi błagalnie rękoma
Ku sinym chmurom, co nad światem wiszą,
Jak gdyby groźba czarna, nieruchoma.
A wody w stawie, odrętwiałe ciszą,
W szkliste i martwe ścięły się zwierciadło
I ani zadrgną, ani zakolyszą
Żółtymi liśćmi, których tyle spadło
Z brzoź pochylonych nad topielą senną.
Pośród pni siwych, jak ciche widziadło,
Bieleje Psyche i lampę kamienną
Trzyma nad głową w nadkruszzonej ręce,
Patrzac w dal twarzą smutną i niezmienną.
Mchami porosły jej piersi dziewczęce
I z oczu szare ociekły jej smugi,
Jak gdyby ślady łez, wylanych w męce,
W tęsknocie niemej, beznadziejnej, długiej.

II.

Nad morzem.

Tam—w dalekościach, gdzie nie złota dzieli
Bezmiary niebios od wodnych bezmiarów,
Stoi krąg słońca w płomiennej topieli
Dwóch łun ogromnych, dwóch krwawych pożarów.

Na płynnych wałów ryczące odmęty
Blask długą, prostą kolumną się wali
I rozstrzelony skrzy się—i pogięty
Jak wąż ognisty na drgającej fali.

Rozkołysanych zwierciadeł krawędzie
Palą się żarem, pękają w okruchy,
Złociste bryzgi wyrzucają w pędzie
I perłowemi bałwaniami się puchy.

Z głuchym pogwarem wodny zrąb na zrębie
W płynącą ścianę zbija się i spiętrza,
Z wyciem zapada w rozdziawioną głębię—
Z jej zielonego znów się dźwiga wnętrza.

Na oślepną gnana, grzmi ta bezdeń cała,
Skowyczy, płacze, wspina się i wzdyma,
Dziwaczne jakieś kłębią się w niej ciała:
Potworne syny słonych wód olbrzyma.

Wiją się, płaczą ośliże kadłuby,
Krwawi się czerwień paszczek i podniebień,
Czasem się z wody kark wynurza gruby
I nagle na nim szklany błyska grzebień.

I pogwar cichnie: w otchłań ciemną uszli;
Twarz tylko sina z toni się wyszczerza,
Odyma wargi i huczy na muszli,
Aż echa biją w skaliste wybrzeża.

Tam nurt promienny kryształem się łamie,
Jakby rozcięty ostrzem srebrnej skrzelii—
I morska dziewczka śnieżne wznosi ramię,
I pierś różaną—z nad wodnej pościeli.

LUCYAN RYDEL.

Filozofia i nauki przyrodnicze.¹⁾

WSTĘP.

Znane są dziś powszechnie postępy nauk przyrodniczych w wieku bieżącym. Postępy te budzą podziw w najszerszych warstwach społecznych, szczególnieją swą bezpośrednią życiową doniosłością i wszechstronnem praktycznem zastosowaniem. Odkrycia i teorye nauk przyrodniczych zmieniły niemal całą powierzchnię kuli ziemskiej, więc się też dziwić nie można, że pod ich wpływem zmienił się i sposób myślenia współczesnych narodów, że tak zwany „duch czasu” przybrał odmienny zupełnie charakter, wyraża się w odmiennych poglądach na świat i życie, w odmiennych uczuciach i dążnościach.

Najdonioślejszym dla współczesnej nauki objawem tych postępów jest bezwzględne, dogmatyczne zaufanie nietylko „ogólnie wykształconych”, oraz powierzchownych popularyzatorów wiedzy, lecz i wielu głębszych umysłów do sposobu badania i wyników przyrodoznawstwa. Z tem zaufaniem idzie zazwyczaj w parze lekceważenie innych nauk, nie mających charakteru przyrodniczego, a szczególnie filozofii, której odmawiano nawet często miana nauki. Wskutek tego zakorzeniło się

¹⁾ Poglądy, wyłożone w niniejszej rozprawie, autor rozwinął bardziej szczegółowo, z szerszem uwzględnieniem odnośnej literatury naukowej, mianowicie przyrodniczej, w książce p. t. *Wstęp do filozofii*, która wkrótce wyjdzie na widok publiczny.

coraz głębiej mniemanie, jakoby tylko wiedza przyrodnicza była wiedzą właściwą, „ścislej”, i jedynie nauki przyrodnicze zasługiwały na miano nauk. W ten sposób wygłoszono niejednokrotnie zdanie, że przyrodoznawstwo zastępuje w naszych czasach w zupełności filozofię, a w każdym razie, że filozofia tylko wtedy mogła-by znów nabrać pełnego znaczenia w życiu umysłowym narodów, gdyby się w zupełności oparła na naukach przyrodniczych i uznała bez zastrzeżeń ich hegemonię. W tym duchu mówi np. głośny przyrodnik E. Hæckel: „Wszelkie prawdziwe przyrodoznawstwo jest filozofią, a wszelka prawdziwa filozofia jest przyrodoznawstwem (*Generelle Morphologie der Organismen* 1866, T. I, 67, T. II, 447)”. A głębszy bez porównania myśliciel, Alb. Lange, olśniony urokiem przyrodoznawstwa, powiada poprostu: „Granice poznania przyrody są granicami poznania wogóle (*Geschichte des Materialismus*, 3-cie wyd. 1876, T. II, 161)”. To znaczy, że niema wiedzy po-za wiedzą przyrodniczą, i niema nauki po-za naukami przyrodniczymi.

Podobna dążność do despotycznego zawładnięcia filozofią ze strony wiedzy specjalnej objawiała się niejednokrotnie w dziejach nauki.

W wiekach średnich panowało powszechnie przekonanie, że filozofia jest służebnicą teologii (*philosophia theologiae ancilla*), że jej zadanie polega jedynie na tem, aby się przyczyniła do wyjaśnienia prawd teologicznych i dogmatów kościelnych. W naszych czasach natomiast rozpowszechniła się zasada, że filozofia jest służebnicą przyrodoznawstwa (*philosophia physicae ancilla*). W imię tej zasady wielu sądzi, że filozofia nie ma samodzielnego naukowego znaczenia, że w najlepszym razie powinna być jedynie środkiem pomocniczym przyrodoznawstwa, narzędziem przy bliższem wyjaśnieniu prawd, wykazanych przez nauki przyrodnicze w sposób, niedopuszczający żadnej wątpliwości, ani krytyki. Filozofia, nie ulegająca bezwzględnie wszystkiemu, co uchodzi za prawdę przyrodniczą, uznaną zostaje z tego stanowiska za samowolny wytwór myśli, pozbawiony „naukowego” znaczenia. Nie brak nawet fanatyków, którzy, za przykładem średniowiecznych teologów, gdyby mogli, rzucali-by na stos, jeśli nie autorów, to przynajmniej dzieła, sprzeciwiające się w czemkolwiek współczesnym dogmatom „naukowości” i przyrodoznawstwa.

Nie trudno wykazać, że taki pogląd na stosunek filozofii do nauk przyrodniczych jest równie ciasny, jak pogląd scholastyków na stosunek filozofii do teologii, i świadczy o podobnem panowaniu doktrynerskich dogmatów i uprzedzeń nad wymaganiami krytycznej nauki. To też nie dziw, że filozofia, w poczuciu swej krytycznej samodzielności, przeciwstawia się w naszych czasach takim uroszczeniom przyrodoznawstwa z taką samą energią, z jaką się w wiekach średnich wyłamywała

z pod ucisku teologii. Sam fakt, że nauki przyrodnicze, na równi ze wszystkimi innymi naukami specjalnymi, opierają się na pewnych podmiotowych i przedmiotowych, metodologicznych i metafizycznych przypuszczeniach, bez ich poprzedniego rozbioru, dowodzi potrzeby uzupełnienia przyrodoznawstwa odpowiednimi krytycznymi badaniami filozofii. Nadto powszechnie wiadomo, że zjawiska fizyczne, będące przedmiotem nauk przyrodniczych, nie stanowią jedynej formy bytu, że obok nich istnieją objawy odrębne, umysłowe i społeczne, niedające się bez reszty sprowadzić do działania czynników fizycznych. Nakoniec, wraz ze szczegółowymi objawami bytu narzucają się nam pojęcia co do jego ostatecznej istoty, zasady, i domagają się bliższego rozbioru i wyjaśnienia.

Badanie i poznanie tych wszystkich odrębnych przedmiotów wiedzy ludzkiej nie może być dokonaniem przy pomocy środków technicznych przyrodoznawstwa, lecz wytworzyło w dziejach umysłowości ludzkiej osobne szeregi nauk, posilkujących się odrębnymi sposobami dociekania swych przedmiotów. A jeżeli w naszych czasach objawia się tendencja przerobienia tych samodzielnych nauk na modłę przyrodoznawstwa, wprowadzenia w ich zakres jego dogmatycznych przypuszczeń, w celu wyrugowania z owych nauk tego wszystkiego, co stanowi ich treść charakterystyczną; należy to uznać za objaw przemijający, mający swe źródło nie tyle w motywach ściśle naukowych, ile w olśniewających postępach przyrodoznawstwa na polu zastosowań praktycznych. To też umysły krytyczne, nie tylko wśród filozofów, lecz i wśród przyrodników, nie przyłączają się bynajmniej do tych jednostronnych tendencji, lecz widzą w nich niebezpieczny zwrot do scholastyki, różnej od średniowiecznej tylko tem, że dogmata i doktryny teologii zastępuje dogmatami i doktrynami przyrodoznawstwa. Co więcej, śmiało powiedzieć można, że pierwszorzędni przyrodnicy ostatniej doby, przejęci duchem krytycyzmu, dalecy są od przeceniania naukowej doniosłości przyrodoznawstwa, lecz uznają otwarcie zarówno jego granice, jak i potrzebę oparcia go na wszechstronnym rozbiórce jego metodologicznych i metafizycznych podstaw, oraz uzupełnienia wynikami badań innych, równie samodzielnych nauk. Świadczą o tem poglądy na tę sprawę takich badaczy, jak: Rob. Mayer, Helmholtz, Ludwig, Virchow, Du-Bois-Reymond, Klaudyusz Bernard, Tyndall, Huxley, Preyer, Pflüger, Wundt i wielu innych.

Wyczerpujące określenie wzajemnego do siebie stosunku filozofii i przyrodoznawstwa jest jednym z zadań krytycznej filozofii nauk przyrodniczych, t. j. ich metodologii i metafizyki. Przy tem jednak zauważyć należy, że krytyka filozoficzna metody przyrodoznawstwa nie powinna się ograniczać rozbiorem jego indukcyjnych i doświadczal-

nych czynników, t. j. jego empiryzmu, jak się to zwykle dzieje, lecz powinna, za przykładem Kanta, wniknąć przedewszystkiem w owe ostateczne zasady metodologiczne, które stanowią wewnętrzną istotę nauk przyrodniczych, niejako duszę, ożywiającą ich badania, obejmującą zarówno źródło, z którego badania te wypływają, jak i cel, do którego zmierzają. Tą duszą nauk przyrodniczych, wyrażającą ich właściwą istotę, jako nauk, nie jest bynajmniej samo nagromadzenie empirycznego materiału wiedzy przyrodniczej, ani nawet indukcyjne uogólnienie empirycznych danych, lecz jest nią dążność do dedukcyjnego wyjaśnienia szczegółowych objawów przyrody na podstawie szeregu najogólniejszych pewników, określających z matematyczno-mechaniczną ścisłością wzajemny do siebie stosunek tych objawów. Determinizm matematyczno-mechaniczny, — oto zasada metodologiczna współczesnego przyrodoznawstwa, domagająca się wszechstronnego rozbioru ze stanowiska filozofii krytycznej.

Zasada powyższa jest zupełnie uprawnioną przy wyjaśnieniu związku i przebiegu zjawisk fizycznych; odpowiada ona pod każdym względem matematyczno-mechanicznej prawidłowości przyrody, jako ustroju świata fizycznego. To też tą zasadą metodologiczną nauki przyrodnicze posilkować się winny, w miarę możliwości, zawsze i wszędzie. Ale z tego bynajmniej nie wynika, aby zasada ta była najwyższą i ostateczną w poznaniu świata wogóle; a zatem nie wynika też z tego, aby zasada ta była bezwzględnie obowiązującą dla wszystkich nauk, więc i przy badaniu takich objawów bytu, które w porównaniu ze zjawiskami fizycznymi mają znaczenie samoistne, o własnościach odrębnych, nie dających się sprowadzić do czynników fizycznych. Wszystkie tego rodzaju objawy, nie będąc zjawiskami fizycznymi, nie mają już charakteru przyrodniczego, lecz świadczą o istnieniu w przyrodzie głębszych i wyższych czynników, a mianowicie o istnieniu ducha, celowo działającego; więc też żadną miarą poznane być nie mogą przy pomocy owej zasady metodologicznej, lecz wymagają uwzględnienia ich odrębnej istoty i zastosowania zasad, zaczerpanych ze sfery życia umysłowego, rozumu, działania celowego. Wymaganie to tem bardziej jest uprawnionem, że zasada rozumnej celowości, zastosowana do objaśnienia świata, nie sprzeciwia się bynajmniej zasadzie prawidłowości matematyczno-mechanicznej, lecz ją uzupełnia i obejmuje ze stanowiska jednorodnej w sobie istoty wszechbytu.

Powyższe uwagi wchodzą już po części w zakres metafizyki nauk przyrodniczych, która rozstrząsa ich zasady przedmiotowe. I tutaj krytycyzm filozoficzny wykazuje całą jednostronność tych, którzy w przyrodniczym poglądzie na świat, a więc w metafizyce naturalizmu, widzą ostateczny i najwyższy wynik poznania świata wogóle. Tym-

czasem przyrodniczy pogląd na świat odnosi się wyłącznie do jego strony zewnętrznej, zmysłowej, zjawiskowej, więc jest z natury swojej połowicznym. Doprowadza on do pełnego pojęcia świata tylko w takim razie, gdy w sposób odpowiedni uzupełnionym zostaje poglądem na istotę wszechbytu, na jego czynniki racjonalne i celowe, stanowiące treść wewnętrzną, duszę owej zewnętrznej formy, owego ciała bytu, jakim jest przyroda zmysłowa. Jak anatomia i fizjologia, same przez się, nie są wystarczające do pełnego zrozumienia człowieka, tego miniaturowego obrazu wszechświata, t. j. mikrokosmu, lecz uzupełnione być muszą koniecznie przez psychologię, naukę o duchu, przenikającym ciało ludzkie: tak również życie makrokosmu, t. j. olbrzymiego ustroju wszechbytu, nie może być pojętem w sposób wystarczający na podstawie samych tylko nauk przyrodniczych, badających jego formę zewnętrzną, jego ciało, lecz domaga się zarazem bliższego poznania jego wewnętrznej istoty, wyrażającej się dobitnie w racjonalnej prawidłowości i w celowym rozwoju zasadniczych czynników bytu.

Bez tej psychologii wszechświata, przyrodoznawstwo, jako fizyka wszechświata, pozostaje martwą literą, pozbawioną życia i ducha, hieroglifem, którego sensu i znaczenia określić nie zdołano; pozostaje mechanizmem o niezbadanym i nieznanym motorze. Można wykazać trudności, nasuwające się przy rozwiązaniu tych zagadnień, ale nie można wyrugować samych tych zagadnień z umysłu ludzkiego i dowodzić, że przyrodniczy pogląd na świat jest ostatecznym wyrazem wiedzy ludzkiej. Co więcej, nie można poświęcić się sumiennie i konsekwentnie badaniu prawdy i poznaniu świata, nie siłąc się z całą energią umysłu, przy pomocy naukowych danych, nad rozwiązaniem owych zagadnień, dotyczących wewnętrznej istoty, życia i ducha wszechświata. A że nauki przyrodnicze nie zajmują się rozstrząsaniem tych zagadnień, więc pod tym względem potrzebują koniecznie uzupełnienia ze strony filozofii.

W celu bliższego wyjaśnienia i naukowego uzasadnienia powyższych rzutów ogólnych, dotyczących wzajemnego do siebie stosunku filozofii i nauk przyrodniczych, zastanawiamy się w niniejszej pracy szczegółowo zarówno nad metodologią, jak i nad metafizyką współczesnego przyrodoznawstwa w duchu wspomnianej powyżej krytycznej filozofii nauk przyrodniczych.

1. Metodologia nauk przyrodniczych.

Przyrodoznawstwo szczyci się w nowszych czasach niejednokrotnie mianem nauki ścisłej (*scientia exacta*) i w imię tej swojej ścisłości

domaga się właśnie owej hegemonii nad pozostałymi naukami, o której wspomnieliśmy wyżej. Sam ten termin jednak nauki ścisłej nie jest dotąd ściśle określonym.

Dawniej nadawano to miano naukom, posiłkującym się matematyką i nie dopuszczającym wskutek tego żadnej wątpliwości w swych wywodach. Do nich zaliczono naturalnie przedewszystkiem samą matematykę, a następnie wszystkie nauki, które, opierając się na niej, przyswoiły sobie też samą oczywistość, czyli ewidencję, jako to: mechanika, fizyka matematyczna i astronomia. W tym duchu Kant utrzymywał, że dopiero zastosowanie matematyki do nauk fizycznych nadaje im charakter nauk, zasługujących na to miano w ścisłym znaczeniu.

Takie bezwzględne utożsamienie metody matematycznej z nauką ścisłą okazało się atoli pod wielu względami nie uzasadnionem krytycznie, a to dla następujących powodów:

1) Oczywistość i niewątpliwość nie są wyłącznymi własnościami dowodzenia matematycznego. Metoda matematyczna jest właściwie dedukacją, czyli wywodem logicznym zdań szczegółowych z ogólnych pewników. Stąd pochodzi, że i za obrębem matematyki rozumowanie nasze jest równie ścisłe, jeżeli tylko opiera się na oczywistych i niewątpliwych danych i z nich wyprowadza swe wnioski przy pomocy wymagań logiki. Nietylko bowiem matematyka może się szczyścić swymi pewnikami; napotykamy pewniki o charakterze oczywistości i niewątpliwości i w innych naukach, a przedewszystkiem w logice. Takimi są np. prawa logiczne: tożsamości i wyłączenia sprzeczności, oraz prawo wystarczającej przyczyny. Wywody dedukcyjne z tych praw posiadają też samą ścisłość naukową, jak i wywody matematyki; co więcej, te ostatnie są w gruncie rzeczy tylko szczegółowymi przykładami tamtych.

2) Zastosowanie metody matematycznej zarówno do wspomnianych powyżej nauk (do mechaniki, fizyki i astronomii), jak i do innych, np. do chemii, fizjologii, psychologii, socjologii (statystyka) i t. p., nie wyjaśnia ostatecznie zasadniczych danych tych nauk: ani ich z góry powziętych dogmatycznych przypuszczeń, ani ich materiału empirycznego; wogóle nie wyjaśnia ich treści, lecz przyczynia się jedynie do ścislejszego sformułowania stosunków, zachodzących pomiędzy badaniami przez te nauki objawami. Jest to niewątpliwie bardzo doniosły czynnik badania naukowego, jeden z najpożądanych środków pomocniczych przy charakterystyce i grupowaniu danego materiału. Nikt też nie może zaprzeczyć praktycznej doniosłości tego czynnika. Ale ma on w istocie rzeczy jedynie znaczenie formalne i dlatego zależy w zupełności od treści i rzeczowych danych, zaczerpniętych nie z mate-

matyki, lecz z innych zasobów wiedzy realnej. Matematyka wogóle jest nauką formalną i dlatego nie może się bezpośrednio przyczynić do należytego wyjaśnienia samej treści, przedmiotu innych nauk. Odgrywa ona pod tym względem tę samą rolę, co logika, czyli teoria poznania: wskazuje ogólne sposoby i środki badania na tle odpowiednich danych nauki, ale nie dotyczy w niczem tych danych. Przeciwnie, sama matematyka, ze swojemi zasadami i działaniami, domaga się odpowiedniego krytycznego rozbioru ze stanowiska teorii poznania metafizyki.

3) Zastosowanie zasad krytycyzmu do ostatecznych podstaw matematyki wywołało pewne uzasadnione wątpliwości co do jej bezwzględności znaczenia w tej formie, w jakiej się dotąd przedstawiała. Wątpliwości te odnoszą się mianowicie do naszego zwykłego poglądu na przestrzeń o trzech wymiarach. Pod wpływem szczególniejszej nauki Kanta, że przestrzeń jest tylko podmiotową formą naszego poglądu na świat zmysłowy, niektórzy matematycy dowodzili, że dotychczasowa geometria, oparta na zasadach Euklidesa, jest właściwie tylko szczegółowym przypadkiem szerszej pojętej ogólnej, czyli pan-geometrii, przypuszczającej istnienie przestrzeni nie tylko o trzech, lecz o czterech, pięciu, sześciu i t. d., więc wogóle o n wymiarach. A chociaż takiej przestrzeni wyobrazić sobie nie możemy, gdyż zmysłowy nasz pogląd na przestrzeń wiąże się bezpośrednio z przestrzenią trójwymiarową; to jednak pojęcie przestrzeni i wogóle wielkości i różnorodności wielowymiarowej pomyślanem być może i może się stać punktem wyjścia dla nowych matematycznych poszukiwań, rozszerzających nasz widnokrąg umysłowy po-za granice dotychczasowych pewników na tem polu. To też na tej podstawie rozwinęła się w istocie zupełnie nowa gałąź matematyki, zwana bądź geometryą nie-euklidesową, bądź wogóle meta-matematyką. Tu należą szczególniejsze teorie Gaussa, Łobaczewskiego, J. Bolyai'a, Riemanna, Helmholtza i wielu innych współczesnych matematyków (zob. w tym względzie szczególniejszą rozprawę *S. Dicksteina*: „Matematyka i rzeczywistość”, 1893, str. 13 i nast.).

4) Nareszcie zaznaczyć tu należy odmienny stosunek nowoczesnego induktywizmu i empiryzmu do matematyki. Dawniej miano pewniki matematyki za ściśle połączone z naturą samego umysłu, czyli, jak się wyraził Kant, za treść a priori rozumu, i wskutek tego uznawano ich siłę, obowiązującą wszędzie i zawsze, dla każdego wogóle umysłu, a więc ich bezwzględną racjonalność. Tymczasem J. St. Mill i zwolennicy jego indukcyjnego empiryzmu zaprzeczali stanowczo aprioryczności pewników matematycznych i usiłowali wyprowadzić ich treść z danych doświadczenia. Wprawdzie dotąd nie udało im się tego uczynić, ponieważ najpierwotniejsze objawy doświadczenia, wewnę-

trznego i zewnętrznego dokonywają się według pewnej prawidłowości, zawierającej w sobie już wszystkie czynniki zasadnicze matematyki, jako to: jedność i wielość (liczbę), wielkość (przestrzeń), ruch (siłę) i trwałość (czas). Pomimo to, samo usiłowanie wywodu treści matematyki ze źródeł empirycznych pociągało za sobą zmianę zasadniczą w poglądach empiryków na znaczenie matematyki. Gdyby bowiem się okazało, że matematyka jest w istocie tylko wynikiem uogólnienia danych doświadczenia, natenczas przypuścić-by należało, że treść jej nie jest bezwzględnie obowiązującą, bo zależała-by, jak każda wogóle teoria empiryczna, od postępów doświadczenia. Jakieś nowe, niespodziewane dane doświadczenia mogły-by w takim razie zmienić zupełnie wszystkie dotychczasowe teorie matematyczne, jak to się dzieje w zakresie pozostałych nauk empirycznych. Matematyka nie mogła-by już być uznaną za „ściśłą” podstawę fizyki, fizjologii i t. p., lecz przeciwnie, materiał empiryczny tych nauk mógł-by wpłynąć na zmianę pewników i teorii matematyki. Sam Mill, wskutek empirycznego wywodu zasad matematyki, zmuszony był przypuścić prawdopodobieństwo zdania, że w tym lub owym ze światów niebieskich, na które astronomia wszechświat rozdziela, przebieg zjawisk jest zupełnie przypadkowym i dokonywa się bez wszelkich stałych praw. A przez to stwierdził tylko, choć mimowolnie, zdanie Kanta, że doświadczenie, ograniczone szczegółowymi danymi, samo przez się nie może doprowadzić do prawd koniecznych i powszechnych.

Powyższe uwagi, dotyczące istoty matematyki, oraz jej stosunku do innych nauk, wyjaśniają powody, dla których wielu nowoczesnych badaczy utraciło bezwzględne zaufanie do metody matematycznej w zakresie nauk przyrodniczych. A wskutek tego zmieniło się też zarazem i pojęcie nauki „ściślej”. Przekonano się prawie powszechnie, że „ściśłość” nauki nie polega jedynie na zastosowaniu formuł matematycznych do danych doświadczenia, lecz przedewszystkiem na wernem i dokładnem określeniu samych tych danych. Za pierwszy tedy warunek „ściślej” nauki przyjęto doświadczenie, określające treść swoją przy pomocy: 1) obserwacji zjawisk i faktów i 2) doświadczeń nad zjawiskami. Dopiero na tej podstawie uznano możliwość zastosowania matematyki do przyrodoznawstwa i wyjaśnienia związku, zachodzącego pomiędzy faktycznie danymi, co do swej treści ściśle określonymi, zjawiskami przyrody, przy pomocy praw równowagi i ruchu, czyli mechaniki.

W ten sposób powstała tak zwana metoda mechanicznego wyjaśnienia zjawisk przyrody i ześrodkowała w sobie owo pojęcie „ściśłości”, które poprzednio przypisywano samej matematyce. Ideałem tej metody jest: rozłożyć każdy objaw przyrody przy pomocy doświad-

czenia na składowe jego czynniki, a następnie wykazać jego powstanie, czyli genezę z tych czynników, za pośrednictwem ich ruchu według praw mechaniki. Zasada zachowania siły, czyli energii, i mechaniczna teoria ciepła, jako równoważnika energii (Rob. Majer, J. P. Joule, Helmholtz), umożliwiły konsekwentne zastosowanie tej metody do fizyki i dały pochop do uznania jej za podstawę przy wyjaśnieniu wszelkich wogóle objawów przyrody. W ten sposób powstało dziś powszechne w fizyce dążenie do nadania jej zasadniczo charakteru stosowanej mechaniki.

Pomimo niezaprzeczonej doniosłości mechanicznego determinizmu, jako metody nauk przyrodniczych, jego bezwzględne zastosowanie do badań naukowych okazało się niemożliwym pod wielu względami. Najprzód istnieją całe szeregi przedmiotów badania, które, bez sztucznego wysiłku na korzyść doktrynerskich uprzedzeń, nie mogą być wcale podciągnięte pod pojęcie ruchu fizycznego, dokonywanego się według ścisłych praw mechaniki. Usiłowania np. filozofa Herbarta, żeby stworzyć statykę i dynamikę objawów umysłowych i wyjaśnić wzajemny ich do siebie stosunek na podstawie praw mechaniki, nie zostały uwieńczone pożądanym skutkiem, jak tego dowiódł między innymi Alb. Lange. Posłużyły one wprawdzie za punkt wyjścia do matematycznego określenia stosunku, zachodzącego pomiędzy fizyczną podniętą wrażeń zmysłowych, a samymi temi wrażeniami, i przez to dały początek nowej gałęzi badań naukowych, nazwanej psychofizyką, lub też fizyologiczną psychologią (Fechner, Weber, Wundt i inni). Ale czynniki matematyczne, a w szczególności prawa mechaniki, znajdowały i znajdują dotąd „ściśle” zastosowanie w tym zakresie badań tylko o tyle, o ile odnośne objawy łączą się z ruchem fizycznym i dają się sprowadzić do jego działania, a zatem jedynie wtedy, gdy działające na zmysły podniety mogą być matematycznie określone i gdy wrażenie, przez nie wywołane, wyraża się znowu „ściśle” w odpowiedniej formie mechanicznej.

Powyższym warunkom czynią zadość tylko pewne szeregi objawów psychofizycznych. Odnośnie do tych szeregów psychologia fizyologiczna w samej rzeczy szczyć się może w ostatnich czasach znakomitemi postęпами. Świadczą o tem wyniki licznych laboratoryów psychologicznych, urządzonych na wzór lipskiego laboratoryum Wundta. Cała atoli sfera wyższa życia umysłowego, bez gwałtu, zadawanego faktom i zmieniającego ich naturalny charakter, nie daje się ująć w ciasne ramy formuł matematycznych i mechaniki. Jak tu np. określić matematycznie różnicę między logicznem a nielogicznem myśleniem (prawdą a fałszem), między zadowoleniem estetycznem a wstrętem (pięknem a szpetnem), albo między działaniem moralnem, sumien-

nem, a niemoralnem, niesumiennem (dobrem a złem)? Cóż dopiero, gdy chodzi o wyjaśnienie skomplikowanej gry uczuć, myśli i dążności każdego żywszego objawu umysłu? Albo o bliższe określenie wzajemnego do siebie stosunku ludzi z ich różnobarwną treścią umysłową, lub też ich stosunku do nieskończonego bogactwa szczegółowych objawów świata zewnętrznego, do wszystkich tych czynników, które wspólnie z ową nieujętą treścią umysłu składają się na rozwój i dzieje bądź osobników, bądź społeczeństw i narodów, bądź wręście ludzkości! Czyż można marzyć o tem, aby nauka zdołała kiedykolwiek ten ruch dziejowy życia umysłowego rozłożyć na czynniki mechaniczne i wyjaśnić ich wzajemny do siebie stosunek i rozwój, przy pomocy praw mechaniki?

Bezwzględne zastosowanie determinizmu mechanicznego, jako metody naukowej, napotyka tedy nieprzewyciężone trudności, zarówno z powodu zaznaczonej komplikacji objawów, jak i z powodu ich natury, czyli treści wewnętrznej. Ruch psychiczny uczuć, myśli i woli nie podlega zwykłym prawom mechaniki, określającym równowagę i ruch w świecie fizycznym, lecz wykazuje działanie praw odrębnych, praw rozumu, określających idealne normy i cele życia umysłowego. To też za ostateczną podstawę dla wyjaśnienia objawów tego rodzaju nie może nigdy służyć mechanika, lecz jedynie bliższe pojęcie owych norm i kierowniczych celów, charakteryzujących ruch umysłowy. I choćbyśmy, zgodnie z teorią paralelizmu objawów fizycznych i psychicznych, przekonani byli o łączności każdego objawu umysłowego z odpowiednim ruchem fizycznym, lub nawet gdybyśmy mogli wykazać, że każdy objaw psychiczny jest funkcją, w znaczeniu matematycznym, odpowiedniego ruchu fizycznego: to i wtedy jak najściślej określenie tego ruchu według praw mechaniki nie dało-by nam jeszcze należytego pojęcia o jego treści wewnętrznej, podobnie jak rozbiór mechaniczno-fizyczny dźwięków według praw akustyki nie daje nam jasnego pojęcia o treści psychicznej wygłoszonych zdań. Potrzeba znać znaczenie wewnętrzne wyrazów, oraz prawa gramatyczne i logiczne ich kombinacji, aby z należytą wyrazistością zrozumieć treść wewnętrzną owych ruchów fizycznych, wywołujących dźwięki. Sama mechanika ruchów fizycznych, powodujących te dźwięki, nie jest w tym względzie wystarczającą. Z kombinacji tych ruchów, z ich prawidłowości i ogólnego charakteru, będziemy wprawdzie mogli bardzo często wyprowadzić wnioski co do istnienia wogóle pewnej treści wewnętrznej, psychicznej, po-za jej zewnętrznym, mechanicznym wyrazem; ale treści tej nie zdołamy nigdy określić ściśle przy pomocy samych tylko czynników mechanicznych.

W tym duchu powiedział znakomity przyrodnik *Du Bois-Reymond*, że gdybyśmy nawet poznali mózg i jego czynności jak najdokładniej i zdołali rozwiązać doskonałą mechanikę mózgu, równie ściśle jak mechanika nieba, t. j. gdybyśmy doszli do „astronomicznego poznania organu duszy; to i wtenczas mielibyśmy do czynienia zawsze tylko z poruszającą się materią, od której niema żadnego przejścia do świadomości. Objawy umysłowe i wtedy pozostawały-by zupełnie niepojętymi, ponieważ nigdy nie zrozumiemy, dla czego pewna kombinacya atomów węgłanu, wodoru, azotu, tlenu i t. d. nie pozostaje obojętną nie tylko względem swego położenia i ruchu w danej chwili, ale nawet względem swego przeszłego i przyszłego położenia i ruchu; dla czego taka kombinacya atomów przejawia się swemi mechanicznymi zmianami w formie przyjemnych lub nieprzyjemnych, wogóle świadomych siebie, stanów. Ruch wywołać tylko może nowy ruch, albo zamienić się na energię potencjalną. Ta zaś znowu spowodować może tylko ruch, albo zaś utrzymać statyczną równowagę. Przyczyna mechaniczna może mieć jedynie i skutki mechaniczne. A zatem czynności umysłowe, towarzyszące mechanicznym, nie mogą mieć w niej swej przyczyny. Takie przekonanie wygłaszają też wszyscy sumienni badacze przyrody naszych czasów.

Z powyższego wynika, że normy i cele umysłowego życia człowieka, jak i wogóle treść rozumowa świata, nigdy należycie pojąć się nie dadzą przy pomocy najsubtelniejszych nawet formuł matematycznych, określających czynniki fizyczne owej treści wewnętrznej. Badanie i poznanie tej treści skutecznie należy przy pomocy środków i metod, odpowiadających jej naturze, a zatem przy pomocy działania rozumowego, szukającego nie w zewnętrznych objawach przyrody i w ich mechanicznym przebiegu, lecz w samym sobie, w swej własnej prawidłowości, podstaw do możliwie ścisłego pojęcia czynników rozumu powszechnego i jego udziału w prawidłowym ustroju i celowym rozwoju świata.

Bezwzględnych zwolenników mechanizmu porównać można z dawnymi egiptologami, którzy wyznać musieli, że za pośrednictwem hieroglificznych napisów na obeliskach, mumiach etc. wyraża się pewna treść wewnętrzna, myślowa, ale jej przed badaniami Champolliona i Lepsius'a nad grafiką i gramatyką egipską bliżej określić nie byli zdolni. Tej pracy Champolliona i Lepsius'a odnośnie do hieroglifów przyrody, znajdujących swój wyraz w jej prawidłowym mechanizmie, podejmują się filozofowie przyrody. Oni-to usiłują wnikać w treść wewnętrzną mechanicznych objawów przyrody. W tym zaś celu nie mogą się ograniczyć wykazaniem samego mechanizmu w przebiegu zjawisk, lecz posiłkować się muszą zarazem metodą racjonalną, opie-

rającą się na wyjaśnieniu mechanicznych procesów przyrody ze stanowiska wyrażających się w nich czynników rozumowych, idealnych, myśli, celów. Faktyczne istnienie objawów celowości w przyrodzie, które również najznakomitsi współcześni przyrodnicy stwierdzają, wykazuje dowodnie, że nie mamy tu do czynienia z podmiotowymi przypuszczeniami, lecz z przedmiotową rzeczywistością, którą ze względu na jej czynniki zasadnicze bliżej zbadać i określić musimy, jeżeli chcemy dojść do pełnego, zgodnego z prawdą, poglądu na przyrodę.

Mając za przedmiot owe zewnętrzne, mechaniczne objawy świata, nauki przyrodnicze mogą wprawdzie, bez narażenia się na zarzuty ze strony krytycznej teorii poznania, dążyć do wyjaśnienia tych objawów z punktu widzenia praw mechaniki. Pogląd mechaniczny na świat, przeprowadzony z możliwą ścisłością we wszystkich szczegółach, jest ideałem jak najbardziej uprawnionym przyrodoznawstwa. Ale przytem krytyczna teoria poznania domagać się musi od przedstawicieli nauk przyrodniczych, aby swego mechanicznego poglądu nie uznawali za wyłącznie możliwy i jedyny w nauce; aby nie ulegali ślepowym dogmatycznym przypuszczeniom, lecz z krytyczną sumiennością uwzględniali faktyczne dane co do działania w przyrodzie czynników idealnych, nie dających się żadną miarą określić przy pomocy praw mechaniki. Dane te, narzucające się każdemu sumiennemu badaczowi na polu przyrodniczym, dowodzą w sposób oczywisty, że pogląd mechaniczny odnosi się wyłącznie do strony zewnętrznej, formalnej świata, do tego, że tak powiem, ustroju anatomicznego, i dla tego koniecznie uzupełnionym być musi poglądem na jego treść wewnętrzną, wyrażającą się za pośrednictwem owych form zewnętrznych. Że przyrodnik tej treści wewnętrznej sprowadzić nie może do formuł matematycznych i mechanicznych, i wskutek tego wyznać musi, że jej poznanie nie jest możliwym przy środkach metodologicznych przyrodoznawstwa; to wynika z natury samej tej treści, ale nie może służyć za argument przeciwko naukowości badań, mających na celu określić ową treść wewnętrzną, racjonalną, zrozumieć sens właściwy mechanicznego przebiegu zjawisk i ocenić jego znaczenie i wartość, jako środka przy urzeczywistnieniu ogólnych celów wszechbytu.

Przeświadczenie powyższe o tem, że nie tylko w zakresie życia umysłowego, ale i w samej przyrodzie zmysłowej istnieją całe szeregi objawów, które z natury swojej nie dają się naukowo wyjaśnić przy pomocy praw mechaniki, spowodowało dalszą modyfikację w poglądach przyrodników na ostateczne zasady metodologiczne ich badań. Zrozumiano, że owego determinizmu mechanicznego, będącego najwyższym ideałem przyrodniczego poglądu na świat, nie można pojmować zbyt bezwzględnie i ściśle, t. j. rozumiano, że wyjaśnienie objawów

przyrody nie polega wyłącznie na ich sprowadzeniu do pewnych formuł mechanicznych, — w rodzaju prawa ciężenia powszechnego, określonego przez Newtona dla mechaniki nieba (przyciąganie dwu ciał jest proporcjonalne do iloczynu ich mas, a odwrotnie proporcjonalne do kwadratu wzajemnej ich odległości), lecz musi być pojęciem rozległym. To rozleglejsze pojęcie naukowego wyjaśnienia objawów przyrody wyrażało się w zasadzie przyczynowego związku pomiędzy zjawiskami. Domagano się wskutek tego, aby wzajemny do siebie stosunek składowych czynników zjawisk przyrody wyrażono wedle możliwości za pośrednictwem formuł matematycznych; gdzie zaś tego dokonać nie można było, zadawano się z konieczności określeniem związku przyczynowego pomiędzy zjawiskami według zwykłych wymagań logiki, bez formuł matematycznych.

Wskutek połączenia, a w części i pomieszania tych dwóch czynników metodologicznych: mechanizmu w ścisłym znaczeniu i przyczynowości wogóle, doszło jednak w nowszych czasach do tego, że proste wykazanie związku przyczynowego pomiędzy zjawiskami, nie dające się ująć w żadne formuły mechaniczne, ani statyki, ani dynamiki, poczytywano pomimo to bardzo często za dowód wystarczający determinizmu mechanicznego, panującego jakoby w przyrodzie wszędzie i zawsze, więc nie tylko w zakresie jej zewnętrznych, fizycznych objawów, lecz i w zakresie jej treści wewnętrznej, nie wyłączając objawów samodzielnej, twórczej energii na polu życia umysłowego.

Tak up. wielu zwolenników naturalizmu sądzi, że teoria ewolucji Darwina czyni zadość wszelkim wymaganiom mechanicznego wyjaśnienia życia organicznego. Nie brak nawet entuzjastów, dowodzących, że Kant się mylił, twierdząc, iż nigdy się nie zjawi jakiś Newton, który-by zdołał mechanicznie wyjaśnić powstanie choćby ździebelka trawy, bo Darwin jest właśnie tym oczekiwanym Newtonem biologii. Tymczasem można mieć bardzo wysokie pojęcie o teorii Darwina, ale bez doktrynerskiej przesady i bez nienaukowego pomieszania pojęć nie można jej nazwać teorią mechaniczną. Mechanika jest częścią matematyki stosowanej; więc niema teorii mechanicznej w „ścisłym” znaczeniu, która-by się nie opierała na rachunku i nie wyrażała w formułach matematycznych. Teoria zaś Darwina nie ma zgoła nic wspólnego z matematyką. Ani Darwin, ani nikt wśród jego zwolenników, nie wyrażał w sposób matematyczny walki o byt, doboru naturalnego, dziedziczności, przystosowania się jestestw do warunków bytu; nikt też nie określił w duchu Newtona formuły mechanicznej, zdolnej wyjaśnić działanie powyższych czynników ewolucji, ani rozwoju życia organicznego jako wyniku tego działania. Można nawet śmiało twierdzić, że czynniki te z natury swojej wcale nie nadają się

do wcielenia ich treści w jakąkolwiek formułę matematyczną. Tryumf tedy zwolenników mechanizmu wobec teorii ewolucji jest w gruncie rzeczy uludą, niczem krytycznie nia uzasadnioną.

Pomieszanie związku przyczynowego zjawisk wogóle z ich związkiem mechanicznym jest błędem metodologicznym, napotykanym bardzo często w nowszych czasach, szczególnie u przyrodników. Związek mechaniczny jest wprawdzie przyczynowym, bo na podstawie praw statyki i dynamiki wyprowadza pojawienie się późniejszych objawów, jako skutków działania poprzednich, jako przyczyn. Ale nie każdy związek przyczynowy ma charakter mechaniczny, daje się zupełnie wyjaśnić na podstawie praw mechaniki. Świadczą o tem zaznaczone powyżej objawy i nadto sama istota przyczynowości domaga się sprowadzenia wszelkich zjawisk szczegółowych, więc i zjawisk ruchu, do pewnych stałych własności bytu wogóle. Tak tedy mechanizm przyrody i sposób jego działania nie daje zadawalającego wyjaśnienia swych własnych objawów, lecz przedstawia się w ogólnym rozwoju spraw przyrody jako skutek samodzielnych racjonalnych przyczyn, jako środek pomocniczy w urzeczywistnieniu pewnych ogólnych celów powszechnego rozwoju życiowego. Żadne prawa mechaniki nie są zdolne wyjaśnić pochodzenia już nietylko organizmu, ale najprostszego nawet mechanizmu, o ile w nim napotykamy racjonalne współdziałanie szczegółowych czynników mechanicznych i ich wzajemne uzupełnienie w jednym harmonijnym ustroju. Taka racjonalna kombinacja czynników mechanicznych różni się zasadniczo od kombinacji chaotycznej, bezpośredniej, przypadkowej. Wykazuje ona w sposób naoczny działanie czynników, niezależących od samych praw mechaniki, panujących nad nimi, bo posiłkujących się nimi dla swoich samodzielnych celów. Celowość staje się wskutek tego jedną z samodzielnych przyczyn w przebiegu zjawisk przyrody. Nie narusza ona wprawdzie niczem samego mechanizmu przyrody; ale wyjaśnia przyczynowo istotę tego mechanizmu i charakter jego działania.

Nie zaprzeczamy przez to bynajmniej, aby przy pomocy praw statyki i dynamiki nie można było wyjaśnić działania każdego mechanizmu. Ale skutecznie to się daje tylko wtedy, gdy mechanizm przedstawia się nam jako fakt dokonany, jako gotowa racjonalna kombinacja czynników mechanicznych, jako ustrój skończony. Te też przyrodnik, patrząc na przyrodę, jako na taki gotowy, skończony mechanizm, ma zupełne prawo dążyć do wyjaśnienia objawów tego mechanizmu na podstawie działania praw mechaniki. Z tego stanowiska okazuje się też możliwem mechaniczne wyjaśnienie nawet pewnych procesów życiowych, gdy za podstawę badań bierzemy już istniejący, gotowy organizm, jako skończony układ czynników mechanicznych.

O ile atoli przyrodnik nie ogranicza się faktycznym stanem rzeczy, lecz się krytycznie nad światem i charakterem jego objawów zastanawia; o ile w samych tych objawach spostrzega racjonalną kombinację czynników mechanicznych i takową zrozumieć usiłuje; jednym słowem, o ile przyrodnik nie jest tylko przyrodnikiem, doktrynerem i rutynistą w pewnym ściśle określonym zakresie wiedzy, lecz zarazem somodzielnym, krytycznym myślicielem, obejmującym ogół świata, jako całość: o tyle wyrzec się nie może dalszych badań nad przyczynami racjonalnej kombinacji czynników mechanicznych w przyrodzie, a więc o tyle uzupełnić musi koniecznie swe pojęcia przyrodnicze, oparte na działaniu praw mechaniki, głębszym poglądem na przyczyny wspaniałego zjednoczenia przyrody w ustrój harmonijny, t. j. taki ustrój, który swą treścią racjonalną dowodzi zasadniczej jednorodności z życiem umysłowym człowieka i, przemawiając do niego w sposób zrozumiały, budzi jego podziw i uwielbienie.

Kto tej jednorodności swego jednostkowego rozumu z racjonalnymi czynnikami wszechświata nie odczuwa i nad przyczynami tej swojej wewnętrznej łączności z istotą wszechbytu krytycznie się nie zastanawia, ten może być wszystkim: znakomitym uczonym specjalistą, bogobojnym kapłanem, roztroptym mężem stanu, odważnym żołnierzem, zasłużonym przemysłowcem, dobrym kupcem, zręcznym rzemieślnikiem, uczciwym obywatelem, ojcem, synem bratem i t. p., ale nie będzie człowiekiem w możliwej pełni swego rozwoju umysłowego; nie będzie samodzielny myślicielem, badaczem, usiłującym przy pomocy danych zasobów wiedzy wnikać w głąb własnej duszy i duszy świata. Tę stronę życia umysłowego, wynoszącą człowieka po-nad wir bezmyślnej codzienności, nie uczuciem tylko, ani fantazyą, jak to czynią religia i artyzm, lecz samodzielną, świadomą siebie myślą krytyczną, pielęgnowała zawsze z istoty swojej filozofia i dla tego stanowi konieczne, ogólnie ludzkie uzupełnienie zarówno wszelkiej innej nauki, jak i sztuki, i religii.

Zresztą nie zapominajmy, że mechanika, jako nauka, sama przez się zaznacza ściśle granicę swego zastosowania metodologicznego. Granicą tą jest zasadnicze prawo mechaniki, określone przez Galileusza, prawo bezwładności, według którego ciało samo przez się stanu swego zmienić nie może. Z tego wynika, że sam ruch, jako objaw powszechny, musi mieć swoją odrębną, samodzielną przyczynę, a tem bardziej musi mieć samodzielną przyczynę kierunku tego ruchu, oraz współdziałanie i kombinacja nieskończenie wielkiej liczby ruchów w jednym wspólnym kierunku, wyrażającym się w rozwoju i życiu tak wszechświata, jako całości, jak i nieskończonej liczby jego szczegółowych objawów. Na tej zasadzie znany matematyk, Cournot, dowodził,

że we wszystkich formach mechanicznego współdziałania, przyjmujących charakter całości i ustroju, uznać należy działanie osobnej przyczyny koordynacyjnej i kierowniczej (*cause coordinatrice et directrice*). Przyczyna ta, wywierając wpływ na kierunek i współdziałanie czynników mechanicznych, powoduje jako skutek ich ustrój harmonijny. Inni zaś matematycy współcześni na tejże zasadzie rozwinęli teorię tak zwanego mechanicznego indeterminizmu, według której nawet pojęcie wolnej woli, tak ściśle związane z faktami życia umysłowego, nie sprzeciwia się w niczem krytycznie pojmowanemu prawom mechaniki.

I w samej rzeczy, codzienne doświadczenie przekonywa, że zarówno związek przyczynowy zjawisk przyrody wogóle, jak i specjalnie ich związek mechaniczny, przedstawia się nam faktycznie tylko w formie stałego, typowego następstwa tych zjawisk. Ta stałość zaś i typowość w następstwie zjawisk, będąca podstawą naszego pojęcia praw przyrody, nie ma sama w sobie nic wspólnego z ideą konieczności, jako zasady tak zwanego determinizmu, lecz godzi się jak najzupełniej z ideą wolności, jeżeli tej ostatniej nie pomieszymy z chaotyczną samowolą, lecz pojmiemy jako wyraz samodzielnej działalności rozumu. Co więcej, jeżeli w świecie uderza nas fakt stałości i typowości w przebiegu zjawisk i na tej zasadzie mówimy o istnieniu w nim pewnych praw, — to fakt ten sam przez się dowodzi istnienia w świecie samodzielnego rozumu, świadomego doniosłości swej treści i działającego niezmiennie według tej własnej swojej treści. Tylko w rozumie wszecdyby znaleźć można wystarczającą przyczynę stałości i typowości jego objawów. Gdyby bowiem nie było rozumu kierowniczego w bycie, natenczas wszecdywładne potęgi jego wyrażały-by się w chaotycznym pomieszaniu i nie przedstawiały-by się nam nigdy jako harmonijny ustrój, działający stale w sposób jednorodny, wiecznie zgodny sam z sobą. Ustrój świata i prawa jego same przez się mają tedy charakter racjonalny i świadczą o tem, że wszecdyby jest w istocie swojej rozumem. To też możemy się przybliżyć do zrozumienia tej jego istoty jedynie przy pomocy racjonalnych czynników naszego umysłu; wszelkie zaś dualistyczne przeciwstawienie praw przyrody i praw rozumu pogrąża myśl w wewnętrzne sprzeczności i uniemożliwia zasadniczo poznanie świata i jego objawów.

Powyższe uwagi krytyczne odnośnie do metodologii nauk przyrodniczych streszczamy ostatecznie w następujących warunkach:

1) Przypuszczenia zasadnicze, czyli pewniki tak matematyki, jak i nauk przyrodniczych, mogą służyć za punkt wyjścia nauki „ściślej”, jedynie na podstawie poprzedniego rozbioru krytycznego ich treści. Rozbiór taki stanowi jedno z zadań filozofii, jako nauki o ogół-

nych podmiotowych i przedmiotowych zasadach poznania. Ona-to przyczynia się do rozwiązywania wszelkich nieporozumień i sprzeczności, napotykanych w poglądach na ostateczne zasady przyrodoznawstwa i stanowi pod tym względem konieczne uzupełnienie nauk przyrodniczych. Dlatego też filozofia nie może się bezpośrednio poddawać przypuszczeniom nauk przyrodniczych, lecz powinna się wyzwolić z pod ich dogmatycznego ucisku, jak to w swoim czasie uczyniła w stosunku do teologii scholastycznej.

2) Zasady metodologicznej nauk przyrodniczych o mechanicznem wyjaśnieniu zjawisk przyrody nie należy mieszać z ogólną zasadą przyczynowego wyjaśnienia zjawisk. Nadto okazuje się w sposób oczywisty, że zasada determinizmu mechanicznego nie jest wystarczającą przy wyjaśnieniu faktycznego współdziałania i związku szczegółowych objawów ruchu w jednorodnym ustroju świata i jego jestewstw, a tem mniej przy wyjaśnieniu życia umysłowego człowieka i jego samodzielnej działalności (wolnej woli). Krytycznie pojęte zasady mechaniki same domagają się w tym względzie racjonalnego uzupełnienia.

3) Tak zwane prawa przyrody sprowadzają się w istocie swej do faktu stałego i typowego przebiegu zjawisk. Sam zaś ten fakt stałości i typowości w przebiegu zjawisk świadczy bezpośrednio o działającym w przyrodzie rozumie; w nim bowiem jedynie uznać można potęgę, która wszechwładne siły przyrody harmonijnie z sobą zestraja i przez to nadaje wszechbytowi charakter jednorodnego ustroju, w przeciwstawieniu do chaosu, który-by istniał, gdyby istotą bytu nie był rozum. Stąd-to też między tak zwanymi prawami przyrody i prawami rozumu nie może być żadnej istotnej sprzeczności.

2. Metafizyka nauk przyrodniczych.

Wobec faktycznie danego punktu wyjścia dla wszelkiej wiedzy, jakim jest rozdział pomiędzy podmiotem i przedmiotem poznania, myślą i bytem, umysł ludzki oprzeć się może przy wyjaśnieniu świata i jego objawów na trzech różnych zasadach metafizycznych. A mianowicie:

1) może przyjąć za zasadę byt przedmiotowy w odróżnieniu od podmiotu, więc byt zewnętrzny, pozbawiony myśli, i przy jego pomocy dążyć do objaśnienia świata, więc i wszelkich objawów podmiotowych;

2) może podmiot i jego bezpośrednio daną treść wewnętrzną podnieść do wysokości zasady metafizycznej i pojąć przedmiotowość jako objaw tej zasady podmiotowej; nareszcie

3) może uznać, że zasady, zdolnej wyjaśnić świat i jego objawy, szukać należy w bycie, obejmującym czynniki podmiotowe i przedmiotowe zarazem, a więc w bycie poprzedzającym ów rozdział poznawczy pomiędzy podmiotem i przedmiotem, myślą i bytem.

Pogląd na świat, uznający rzeczywistość jedynie w bycie przedmiotowym, zewnętrznym, w przeciwstawieniu do podmiotowego, wewnętrznego, przyswoił sobie nazwę realizmu. Podobnie i pozytywizm bierze za punkt wyjścia byt przedmiotowy, zewnętrzny. Byt zaś ten, pojęty jako zasada metafizyczna, w celu wyjaśnienia świata i jego objawów, sprowadza się w istocie swojej do pojęcia materii. Materia na stanowisku tego realizmu jest substancją, działającą na nasze zmysły zewnętrzne, bezwładną w sobie, lecz podlegającą faktycznie ruchowi, podzielną, pozbawioną świadomości swych stanów, lecz będącą przyczyną nie tylko zjawisk fizycznych, ale i psychicznych, umysłowych, wykazujących świadomość swych stanów wewnętrznych. Wskutek takiego pojęcia materii, jako zasady metafizycznej, ów realizm przedmiotowy przyjmuje zazwyczaj charakter materialistyczny, staje się materializmem.

W świetle wprost przeciwnem przedstawia się nam pogląd na świat, oparty na treści podmiotowej. Ponieważ najwyższym objawem tej treści jest świadoma siebie myśl, idea, przeto pogląd ten wogóle nosi miano idealizmu. Świat zewnętrzny, przedmiotowy, z całym bogactwem swych zjawisk fizycznych, nie posiada tu już samodzielnego bytu i znaczenia, lecz staje się wyrazem idei. Idea zaś, pojęta jako zasada metafizyczna, przyjmuje charakter substancji myślącej, t. j. ducha (spirytus; stąd też nazwa spiritualizmu). Duch, lub też jeden z jego zasadniczych objawów, jak uczucie, myśl logiczna, albo też wola, fantazja i t. p., uznanym zostaje za czynnik wszechświatowy, za absolut, który przejawia swą istotę bezpośrednio w świecie zmysłowym, zewnętrznym. A że z tego stanowiska, ową substancją myślącą jest Bóg, utożsamiony ze światem; przeto idealizm metafizyczny przyjmuje zazwyczaj charakter panteistyczny, staje się panteizmem, wszechbóstwem. Nadto idealizm wpada często w skrajny subiektywizm, dowodząc, że nie ma wcale rzeczywistości poza działalnością umysłową podmiotu, że świat istnieje tylko jako wyobrażenie, idea podmiotu.

Co się wreszcie tyczy trzeciego poglądu na świat, to ma on charakter syntetyczny i nosi nazwę idealnego realizmu. Jego zasadą metafizyczną jest byt istotny, sam w sobie, nie rozerwany sztucznie przez abstrakcję na swe składowe czynniki: podmiot i przedmiot; przeciwnie,

był poprzedzający w swej jednolitej istności tę przeciwstawność w procesie ludzkiego poznania rzeczy. Mając na uwadze tę wewnętrzną jedność bytu, jako bytu, obejmującego zarazem podmiot i przedmiot, myśl i rzeczywistość zewnętrzną, pogląd ten, w przeciwstawności do materjalizmu i panteizmu, można nazwać ontologizmem. Wywiązał się on z dualizmu, t. j. z poglądu, uznającego dwie odrębne substancje bytu: ducha i materję, ale przewycięża ten dualizm ze stanowiska jednolitego, monistycznego pojęcia bytu. Monizm, t. j. zasadniczą jedność bytu, mają na oku i dwa poprzednie poglądy: materjalizm i panteizm, pragnąc wszystko w świecie sprowadzić bądź do materji, bądź do substancji myślącej.

Powyższe typowe poglądy na świat przedstawiają się w dziejach metafizyki w najrozlicniejszych szczegółowych odmianach; wszystkie jednak uznać należy za różne usiłowania umysłu ludzkiego, dążące do wyjaśnienia i zrozumienia świata z trzech, faktycznie danych i jedynie możliwych, punktów widzenia. Wszechstronny rozwój każdego z tych poglądów: realizmu, idealizmu i idealnego realizmu, przez najznakomitszych myślicieli ludzkości, poczynając od udowodnienia odpowiedniej zasady metafizycznej, a kończąc na wyjaśnieniu szczegółowych objawów świata przy pomocy tej zasady, jest tedy właściwie wynikiem naturalnego podziału pracy umysłowej ludzkości w celu przybliżenia się do rozwiązania wielkiej zagadki bytu. Do samej metafizyki i do krytycznego rozbioru jej dziejów należy ocena porównawcza powyższych poglądów, oraz rozwiązanie kwestyi: o ile każdy z nich w samej rzeczy przyczynił się do osiągnięcia owego najwyższego celu wszelkiej wogóle wiedzy ludzkiej? Tu mamy jedynie na oku bliższe określenie stosunku nauk przyrodniczych do owych zasad metafizycznych, przez filozofię urobionych.

Otóż i w tym względzie zaznaczyć należy przedewszystkiem widoczny podział pracy pomiędzy różne grupy nauk specjalnych.

Nauki przyrodnicze opierają się z natury swojej przeważnie na metafizyce przedmiotowej i przyjmują wskutek tego charakter realistyczny, w przeciwstawieniu do wszelkich form idealizmu. Reprezentują one w zakresie nauk specjalnych dążność do wyjaśnienia świata, jeśli można, przy pomocy czynników zewnętrznych, zmysłowych, materjalnych. Wszelkie inne zaś kierunki myśli w dziedzinie przyrodoznawstwa pociągały za sobą zazwyczaj nienaukowe zboczenia i powikłania.

Przeciwnie, nauki humanitarne posiłkują się przeważnie przypuszczeniami metafizycznymi, zaczerpniętymi z bytu podmiotowego, i zbliżają się przez to do poglądów idealistycznych. Przedstawiały one zazwyczaj na polu nauk specjalnych tendencje panteistyczne, dą-

zące do wyjaśnienia zagadnień wiedzy z punktu widzenia rozumu wszechświatowego, pewnych kierowniczych idei w rozwoju ludzkości. A jeżeli w nowszych czasach objawia się tendencya oparcia i nauk humanitarnych na przedmiotowej metafizyce i urobienia ich treści w duchu realistycznym, okazuje się to możliwem jedynie na podstawie doktrynerskiego przeistoczenia faktycznych danych tych nauk i przymusowego ich wtłoczenia w formy pojęć przyrodniczych.

Nakoniec zaznaczyć tu należy, że nauki teologiczne opierają się zazwyczaj na dualistycznej metafizyce, gdy tymczasem filozofia, wskutek swej tendencji uniwersalnej, obejmującej wszystkie różnorodne objawy świata i wyniki nauk specjalnych, reprezentuje w systemacie nauk dążność syntetyczną i zbliża się z natury swojej najbardziej do idealnego realizmu.

Na podstawie powyższych danych, krytyczna teoria poznania powinna wykazać: w jaki sposób w samej rzeczy uzupełniają się i jednoczą pojęcia materji i ducha, jako wytwory umysłu ludzkiego, mające na celu wyjaśnić i zrozumieć dany materiał zewnętrznego i wewnętrznego doświadczenia. W poglądzie dualistycznym pojęcia te stanowią punkt wyjścia dla religii i teologii; następnie w oderwaniu od siebie, jako odrębne, niezależne od siebie założenia dogmatyczne, spowodowały rozwój nauk przyrodniczych i humanitarnych, oraz rozwój poglądów na świat realizmu i idealizmu, i nakoniec w filozofii dążą w ten lub ów sposób do syntetycznego wyrównania swej treści. Jakie jest istotne znaczenie realistycznych założeń nauk przyrodniczych ze stanowiska krytycznej filozofii, oto nasza kwestya.

Realistyczna metafizyka nauk przyrodniczych występuje na jaw już w samym pojęciu przyrody. Niezależnie od swych ogólnych poglądów na świat, które każdy człowiek myślący z większą lub mniejszą samodzielnością w sobie wytwarza, bądź na tle naiwnego realizmu i podmiotowych wierzeń, bądź na podstawie filozofii, przyrodnik, jako przyrodnik posiada pewne, z góry powzięte pojęcia co do natury przedmiotu swego badania, t. j. przyrody. Przyroda, mówiąc ogólnie, przedstawia mu się jako zbiór zjawisk fizycznych, dostępnych dla zmysłów, a dających się ostatecznie sprowadzić do działania pewnych własności materji, jako zasady bytowej przyrody. Pojęcie materji ma tedy znaczenie podstawowe dla przyrodnika. A chociaż pojęcie to wraz z postępem nauk przyrodniczych ulegało rozlicznym określeniom; to jednak ześrodkowywa ono w sobie właściwy przedmiot dociekań przyrodnika i stanowi ostateczną zasadę wszelkich jego poglądów na szczegółowe objawy przyrody i ich wzajemny do siebie stosunek. W tym duchu Helmholtz, pomimo, że, jako Kantysta, dalekim jest od wszelkiego materializmu, powiedział jednak w swej epokowej rozprawie o za-

chowaniu siły (*Erhaltung der Kraft*, 1847, str. 3), że istniejące nazywamy materią (das Daseiende nennen wir Materie); a Wł. Natanson rozpoczyna swój znakomity *Wstęp do fizyki* temi słowy, str. 5: „Materią nazywamy to, czemu przypisujemy byt przedmiotowy.“

Tu już jednak nasuwa się nam szereg pytań krytycznych. Jak to? czyż my, nie przyrodnicy, ale wogóle ludzie myślący, nazywamy „istniejące“ materią, przypisujemy jej tylko byt przedmiotowy? Czyż dla nas, jeżeli wierzymy w Boga, Bóg nie ma również bytu przedmiotowego? Albo, czyż uczucia, myśli i pragnienia innych ludzi są prosto materią? A jeżeli nią nie są,—bo o nich fizyka nie traktuje,—to czyż dlatego są dla nas mniej przedmiotowemi od ciała tych ludzi, będącego przedmiotem badań przyrodniczych? Co więcej, moje własne uczucia, myśli i dążności, czyż one, pomimo całej swej podmiotowości, jako fakta rzeczywiste, niewątpliwe, nie mają same przez się bytu równie przedmiotowego, jak np. ciepło, światło lub elektryczność? Dłaczegóż-by, ze stanowiska rozważnej, bezstronnej, a więc prawdziwie przedmiotowej nauki, światło i ciepło, dobywające się z kawałka rozżarzonego węgla, miały być faktami bardziej realnemi i bardziej przedmiotowemi, aniżeli współczucie zbolącej matki, ogrzewającej skostniałe członki dziecięcia, albo myśl genialnego badacza, przyświecająca ludzkości na drodze prawdy?

Jakiem tedy prawem można powiedzieć, że byt przedmiotowy jest materią? Niema na to żadnego prawa ogólnie ludzkiego; nie daje się takie twierdzenie usprawiedliwić ani faktami, ani wymaganiami logicznemi umysłu. Do wygłoszenia takiego zdania posiada prawo jedynie przyrodnik, jako badacz bytu materialnego, pod tem wszelako krytycznem zastrzeżeniem, że przy takim, zgóry powziętem określeniu przedmiotowości, będzie miał na oku wyłącznie zewnętrzne, widzialne i dotykalne przejawy bytu wogóle; że ani w swych badaniach, ani w swych wnioskach, opartych na takim pojęciu zasadniczem, nie przekroczy nigdy zewnętrznej powłoki, ciała bytu, a więc pozostawi zawsze otwartą kwestyę co do jego strony wewnętrznej, co do jego istoty i treści. To zastrzeżenie krytyczne uwzględnia też każdy sumienny przyrodnik, jako badacz specjalnie materialnej strony bytu, a tylko jednostronni doktrynerzy materializmu rozszerzają bezwzględnie swe pojęcie materii i, nie pytając o naukowe dane przyrodoznawstwa, przyjmują to pojęcie za wyłączną zasadę ogólnego na świat poгляdu.

Widzimy z powyższego, że pojęcie materii, postawione na czele naukowego przyrodoznawstwa, określa właściwie tylko zakres badań przyrodniczych; zaznacza z góry, jaką stronę bytu powszechnego usiłuje poznać przyrodnik, nie przesądzając bynajmniej wyników badania

nad innymi stronami bytu, nieobjętymi tem zasadniczem pojęciem przyrodoznawstwa. Przyroda, jako szata materyalna ogólnego bytu, jako zbiór jego zewnętrznych objawów, zjawisk, w odróżnieniu od jego istoty wewnętrznej, jako jego forma, w przeciwstawieniu do zawartej w niej treści: oto właściwy przedmiot przyrodoznawstwa, określony ściśle w naukowym pojęciu materji, jako punktu wyjścia i ostatecznej zasady dla wszelkich innych pojęć przyrodniczych.

Słuszność owego zastrzeżenia krytycznego, o którym mówiliśmy w tej chwili, znajduje swe potwierdzenie w rozwoju pojęcia materji w nowoczesnem przyrodoznawstwie.

Charakterystyczną w tym względzie jest dążność nauk przyrodniczych do wyrugowania z pojęcia materji czynnika substancjonalnego i sprowadzenia jej, wedle możności, do czynników dynamicznych, ruchu. Cała fizyka współczesna dąży do wyjaśnienia zjawisk przyrody na podstawie energii, pojętej jako zdolność wykonania pracy mechanicznej. Sprowadzenie zjawisk do przekształceń energii i jej przenoszenia się z jednych części przestrzeni do innych, według praw równowagi i ruchu, stanowi główne zadanie przyrodoznawstwa. Pozostaje to w związku z jego tendencją metodologiczną mechanicznego wyjaśnienia zjawisk; ale z drugiej strony, materja ulatnia się wskutek tego coraz bardziej w naukowych pojęciach przyrodoznawstwa, traci swój charakter samoistnej istoty, a staje się właściwie tylko wyrazem formalnym dla oznaczenia pewnego stałego podkładu zjawisk fizycznych, bez ostatecznego rozwiązania kwestji co do jego bytowej, czyli metafizycznej istoty. I tak, w mechanice, a więc i w fizyce opartej na zasadach mechaniki, pojęcie materji sprowadza się w gruncie rzeczy do pojęcia masy, która znowu określa się ściśle tylko jako miara oporu, stawianego przez ciało przeciw dążności do jego poruszenia. A więc pozostajemy tu zupełnie w zakresie pojęć siły i ruchu.

To stopniowe ulotnienie materji, jako istoty metafizycznej, na podstawie ścisłych badań nad zjawiskami fizycznymi, zbliża przyrodoznawstwo coraz bardziej do idealistycznych poglądów na świat i potwierdza wypowiedziane powyżej zdanie, że nauki przyrodnicze, w imię podziału pracy umysłowej, badają tylko jedną stronę bytu, jego stronę zewnętrzną, formalną. Skoro tak jest, to badania tych nauk muszą coraz bardziej doprowadzać do przekonania, że ich początkowe dogmatyczne założenie metafizyczne, oparte na pojęciu materji, nie określa ostatecznej zasady wszechbytu, lecz odnosi się tylko do jego strony zjawiskowej, i dlatego potrzebuje uzupełnienia ze strony badań naukowych co do rzeczywistej istoty wszechbytu.

Gdyby nauki przyrodnicze nie wykazywały takiego, że tak powiem, fenomenalnego charakteru materji, w przeciwstawieniu do jej

pojęcia jako istoty, czyli substancji bytu, natenczas materializm mógłby się na nie powołać i dowodzić, że jest wynikiem „naukowego“ poglądu na świat. Wobec zaś faktu, że pojęcie materji w obronie nauk przyrodniczych traci coraz bardziej na metafizycznej rzeczywistości, materializm przedstawia się ze stanowiska krytycznego, jako jednostronny pogląd na świat, pozbawiony naukowego oparcia i uznający samowolnie materję za najwyższy i ostateczny czynnik wszechbytu.

Z usunięciem pojęcia materji na plan dalszy, występuje pojęcie siły na pierwsze miejsce w metafizyce współczesnego przyrodoznawstwa. Ale i to pojęcie ulegało rozlicznym przeobrażeniom, aż w końcu również złączono je z pojęciem energii, w różnych jej formach: potencjalnej, czyli tak zwanej energii położenia, jako siły prężnej, napiętej, i aktualnej, czyli cynetycznej, jako siły żywej. Nie zadawalają się tedy dzisiaj przyrodnicy określeniem siły, jako pewnej własności materji, lub przyczyny jej ruchu, lecz widzą w sile jedynie pojęcie pomocnicze dla oznaczenia wzajemnego na siebie działania ciał. Jeżeli A działa na B i powoduje zmianę jego ruchu, bądź przyspieszając go, bądź zwalniając, bądź nadając mu inny kierunek, którą to zmianę nazwano w mechanice, nie bardzo szczęśliwie, prosto przyspieszeniem; a więc, mówiąc językiem mechaniki, jeżeli A udziela B pewnych przyspieszeń, natenczas A nazywa się siłą i określa się bliżej, według praw mechaniki, jako zmiana ilości ruchu w jednostce czasu, lub też jako iloczyn z masy przez przyrost prędkości w jednostce czasu. Ale przytem zawsze pamiętać należy, że ten wyraz, siła, oznacza tu tylko jednostronną część wzajemnego pomiędzy A i B działania. To też znakomity fizyk A. Secchi prosto mówi, że siły są tylko różnymi rodzajami ruchu, a matematyk Paweł Du-Bois-Reymond twierdzi, że pojęcie materji, czy substancji, jest wogóle zbytecznem w przyrodoznawstwie, gdyż wszystko daje się sprowadzić do siły.

W tym duchu usiłowano też atomistykę materialną zastąpić dynamiczną i nawet cynetyczną. Dla ścisłego bowiem określenia wzajemnego na siebie działania sił wystarczało ze stanowiska mechanicznego przyjęcie prostych punktów, czyli centrów sił, w miejsce atomów materialnych. Zgodnie z tem przypuszczeniem już w zeszłym wieku uczony jezuita R. J. Boscovich († 1787) z Raguzy wprowadził zasadę dynamiczną do atomistyki; francuski matematyk, A. L. Couchy († 1857), rozwinął ją wszechstronnie, a wielki przyrodnik, Faraday, opierał na niej swe teorie fizyczne. W ten sposób przypuszczając, że owe punkta wywierają na siebie wzajemnie siły, przypadające w kierunku łączących je prostych i zależne tylko od odległości pomiędzy nimi, zbudowano atomistykę cynetyczną, zamieniającą całą przyrodę na olbrzymi zbiornik takich środowisk sił. Każde z tych środowisk posiada

swoje „pole działania“, udziela innym „przyśpieszeń“, a więc wykonywa pewną „pracę“, która przybiera dwojaką formę: 1) aktualną, gdy się objawia w ruchu i 2) potencjalną, gdy, wskutek równoważenia się sił, działanie ich, choć nie mniej rzeczywiste, nie występuje jednak na jaw w ruchu, lecz jest utajonem. I to właśnie są dwie zasadnicze formy działania energii, o których wspomnieliśmy powyżej.

Sprowadzenie materji do siły i ruchu zgadza się też w zupełności z psychologiczną genezą tego pojęcia. Podmiotowo wytwarza się w naszym umyśle pojęcie materji na podstawie wrażeń dotyku. Wskutek tych wrażeń przekonywamy się, że istnieje coś względem nas zewnętrznego, coś, co nam opór stawia, co ogranicza nasze działanie. Ten opór zaś, jakiego doznajemy od dotykanego przedmiotu, daje nam jak najwyraźniejsze pojęcie o jego nieprzenikliwości, a więc o jego samoistnym bycie, o jego rzeczywistości. A że bezpośrednio, przy pomocy samego wrażenia dotykowego, doznajemy tylko skutków fizycznych działającego na nas czynnika, przeto naiwny realizm wyobraża sobie, że czynnik ten jest bytem, posiadającym wyłącznie własności fizyczne, więc pozbawionym myśli i w ten sposób wytwarza się pojęcie materji, jako istoty przedmiotowego, zewnętrznego bytu.

Że naiwny realizm wytwarza swe pojęcie materji głównie na podstawie wrażeń dotykowych, a mianowicie oporu, doznawanego z zewnątrz, o tem przekonywa także ta okoliczność, że w pojęciach większości ludzi byt przyjmuje charakter tembardziej materialny, im większy stawia opór działaniu podmiotowemu. Powietrze naiwny realizm gotów uznać za mniej materialne, aniżeli kamień, a eter nawet fizycy dla tej samej przyczyny przeciwstawiają często materji, chociaż w swej istocie, nietylko metafizycznej, ale i fizycznej, eter pojętym być może jedynie jako pewna odmiana materji.

Tymczasem, nasze podmiotowe wrażenia, same przez się, bezpośrednio, nic zgola nie orzekają o istocie bytu, działającego na nas i powodującego nasze wrażenia. Każdy obcy byt, przeciwstawiając się nam i działając na nas, przedstawia się nam, z natury rzeczy, jako coś zewnętrznego, różnego od nas samych. Ale z tego nie wynika bynajmniej, aby koniecznie miał być pozbawiony czucia i myśli, a więc, aby miał być materją w zwykłym znaczeniu tego słowa. On może być sam w sobie taką samą istotą myślącą, jak i my, ulegać takim samym podmiotowym wrażeniom wskutek naszego działania, jakim my ulegamy wskutek jego działania; a jednak, pomimo to, jako byt względem nas obcy, zewnętrzny, nie dający się bezpośrednio przeniknąć naszą myślą, przedstawiać się nam musi pod formą materji, t. j. jako byt nieprzenikliwy, zewnętrzny, stawiający opór naszemu działaniu. To też w ten, a nie inny sposób, przedstawiają się nam wszystkie do nas podobne,

równie jak my, czujące, myślące i czynne istoty. Są one dla nas materią, bytem zewnętrznym, pomimo, że dla siebie są istotami świadome-
mi; podobnie jak my dla siebie jesteśmy istotami czującymi, myślącymi i czynnymi, a wszystkim innym istotom świadomym siebie przedstawiamy się pod postacią bytu materialnego. Okazuje się tu ze stanowiska psychologicznego cała względność pojęcia materii, zgodna w zupełności z powyższymi wynikami przyrodoznawstwa. (Zob. też w tym względzie moją „Syntezę dwóch światów“, str. 31 i nast.).

Teoria cynetyczna materii, jako ostatni wyraz współczesnego przyrodoznawstwa, zastosowaną jest w zupełności do metody mechanicznego wyjaśnienia zjawisk, a zatem ulega z konieczności wykazanym powyżej ograniczeniom tej metody. Nie jest tedy wystarczającą ani do zrozumienia prawidłowego ustroju przyrody, jako zjednoczonego współdziałania jej sił, ani do wyjaśnienia ogólnego kierunku jej rozwoju, wytwarzającego faktycznie coraz pełniejsze i bogatsze objawy życia. Te metodologiczne ograniczenia znajdują swe potwierdzenie i ze stanowiska metafizyki.

Wszelka teoria mechaniczna opiera się na zasadach ilościowych i albo wcale nie przyjmuje w rachubę jakości czynników ilościowo określanych, albo też usiłuje sprowadzić te czynniki do wyrazów ilościowych. To też w tym kierunku mechaniczne przyrodoznawstwo szczycić się może znakomitemi postępami, bo wszystkie, na pozór jakościowo różne, zjawiska fizyczne, jak: ruch, ciężkość, ciepło, światło, elektryczność, magnetyzm, powinowactwo chemiczne i t. p. zdołało sprowadzić do wspólnego mianownika, t. j. do pewnych, ściśle określonych, wyrazów mechanicznych. Ale czy z tego wynika, że ostateczną istotą wszechbytu jest nieskończona ilość szczegółowych elementów mechanicznych, bez wszelkich jakościowych własności? Albo, nie sięgając tak daleko, czy z tego wynika, że naukowe wyjaśnienie niewątpliwych danych doświadczenia może się ograniczyć pojęciami ilościowymi, może się obejść bez uwzględnienia jakości zjawisk, t. j. ich zasadniczych własności? Czyż zresztą sprowadzenie przyrody do czynników mechanicznych nie opiera się już na pewnych pojęciach co do jakości zjawisk, bez krytycznego rozbioru treści i znaczenia tych pojęć? Przecież to, w samej rzeczy, całe mechaniczne przyrodoznawstwo, w imię pewnych dogmatycznych przypuszczeń metafizycznych, z góry przypisuje zjawiskom ściśle określone własności jakościowe, a mianowicie przypuszcza, że ich istotą jest byt przedmiotowy, bezwiedny, pozbawiony zdolności świadomego przejęcia się własnymi swemi stanami, a więc materialny. Pomimo bowiem wszelkiego ulotnienia pojęcia materii, jako samoistnej substancji, przyrodoznawstwo nie może się w zupełności pozbyć tego pojęcia, będącego punktem wyjścia i głów-

nym przedmiotem jego badań. Przenosi zatem to pojęcie na pole zjawisk, fenomenalizmu. Więc też po usunięciu na plan dalszy materji, jako substancji, zawsze ma do czynienia jedynie ze zjawiskami materialnymi, których własność zasadnicza, czyli jakość, określa jako ruch, pojmowany fizycznie, a więc jako ruch bezwładny, bezcelowy i, że tak powiem, bezwładny, bo nie zdolny z własnej inicjatywy określać kierunku swego, lecz zależny w tym względzie zupełnie od obcych czynników.

Wobec takiego metafizycznego założenia, nasuwa się ciągle na nowo pytanie: czy świat rzeczywisty, w przeciwstawieniu do zbudowanego „naukowo“ przez przyrodoznawstwo, nie przedstawia nam zarazem faktycznie i zjawisk zupełnie innego rodzaju, o innej jakości? A mianowicie zjawisk, które, chociaż także nie są pozbawione ruchu, jednak wykazują ruch odmienny, jakościowo zupełnie inny, bo ruch uczuć, myśli i dążeń, ruch świadomy siebie, zdolny z własnej inicjatywy przejść ze stanu potencjalnego w stan czynny, a przytem pokierować sobą celowo. Czy ten rodzaj ruchu, faktycznie dany w sposób nie mniej oczywisty, jak ruch fizyczny, mamy wyrzucić, jako nieproszonego gościa, za wielkie wrota świata, dlatego tylko, że się nie poddaje niewolniczo prawom mechanicznym, że się im przeciwstawia i domaga się uznania swoich własnych praw, a co najmniej równouprawnienia z wielkościami, panującymi w sztucznym gmachu przyrodoznawstwa?

Cóżby to była za sprawiedliwość; co więcej, cóż-by to była za „nauka“, a jeszcze do tego „empiryczna“, która-by dla powziętych z góry dogmatów, a choćby dla najpiękniejszych i najlogiczniej rozwiniętych doktryn, pomijała milczeniem fakta, odsłaniające nowe wprawdzie dziedziny bytu, ale nie mniej realne od zjawisk fizycznych? Narzuca się tu nam szereg kwestji zasadniczych, domagających się natarczywie rozwiązania, a mianowicie:

1) Czy mamy się wyrzec owych faktów dla formuł mechanicznych, w które się żadną miarą wtłoczyć nie dają?

2) Czy też mamy dla tych faktów zadać kłam mechanizmowi przyrody?

3) Czy, nareszcie, mamy się ukorzyć przed logiką faktów jednego i drugiego rodzaju, a więc uznać działanie w świecie czynników nowych, samodzielnych, obok, albo raczej w samym mechanizmie przyrody: czynników racjonalnych, celowych, rozumu, myśli, i przez to uzupełnić przyrodniczy pogląd na świat innym, szerszym, obejmującym jego treść, jako swą część składową, bo uwzględniającym zarazem w sposób należyty i owe fakta charakterystyczne, odrębne?

Wobec wszystkiego, cośmy dotąd w celu wyjaśnienia metafizycznych zasad naukowego na świat poglądu powiedzieli, wątpliwości dla nas być nie może, jaką należy dać odpowiedź na powyższe, możliwe w tej kwestyi, pytania: Oba te czynniki, narzucające się nam z równą siłą faktyczną: zewnętrzny i wewnętrzny, formalny i treściowy, mechaniczny i celowy, empiryczny i racjonalny, wogóle realny i idealny, zasadniczo bynajmniej się nie wyłączają, przeciwnie, w rzeczywistym świecie wszędzie i zawsze z sobą się łączą i nawzajem się uzupełniają. A z tego wynika, że i prawdziwa nauka, licząca się z faktami, nie naciągająca rzeczywistości do swoich doktrynerskich uprzedzeń, z konieczności oba te czynniki równomiernie uwzględnić musi. Ponieważ zaś przyrodoznawstwo, opierając się na pojęciach materii i siły fizycznej, samo tej strony bytu wewnętrznej, racjonalnej, celowej, nie bada, więc uzupełnionem być winno w tym względzie przez nauki, roztrząsające specjalnie objawy, nie objęte jego pierwotnymi założeniami. A do tych nauk należy przedewszystkiem metafizyka, mająca za przedmiot urobienie możliwie pełnego pojęcia bytu na podstawie danych, zaczerpniętych ze wszystkich nauk specjalnych, nietylko z przyrodoznawstwa.

Pojęciami materii i siły nie wyczerpuje się jeszcze ostatecznie metafizyka nauk przyrodniczych. Ich koroną są tak zwane prawa przyrody, pojęte przedmiotowo, jako prawa samego bytu, w przeciwstawieniu do podmiotowego sformułowania przebiegu zjawisk w przyrodzie, a zatem do praw naukowych przyrodoznawstwa. Ostrożniejsi przyrodniecy uwzględniają w sposób należyty to ważne rozróżnienie; świadomi są zasad, które jedynie dają im prawo do wyprowadzenia przedmiotowych wniosków z danych podmiotowych. Ale ostatecznie, jak wszelka nauka, tak i przyrodoznawstwo, dąży do poznania tego, co jest rzeczywiście: bytu, i nadaje swym niewątpliwym wynikom znaczenie przedmiotowe. To też w tem przedmiotowym znaczeniu pojmują np. prawo ciężenia powszechnego, albo prawo zachowania energii i t. p. Pojęcie praw przyrody przyjmuje zatem zazwyczaj charakter bytowy, metafizyczny.

Stosunek krytyki filozoficznej do praw przyrody wynika bezpośrednio z naszego dotychczasowego rozbioru metodologii i metafizyki nauk przyrodniczych. Dla jasności atoli i ścisłości w tak doniosłej kwestyi, która dla wielu jest podstawą ich ogólnego na świat poglądu, sprowadzamy odnośne wyniki krytyczne do następujących zdań zasadniczych:

1) Tak zwane prawa przyrody pozostają w ścisłym związku z metodologicznymi i metafizycznymi przypuszczeniami nauk przyro-

dnicznych i mogą być zastosowane bez zastrzeżeń jedynie w zakresie tych przypuszczeń.

2) Bezwzględne uogólnienie praw przyrody, t. j. ich zastosowanie nietylko do zjawisk materialnych, fizycznych, stanowiących bezpośredni przedmiot przyrodoznawstwa, lecz do wszystkich wogóle objawów bytu, daje się usprawiedliwić naukowo jedynie na podstawie poprzedniego dowodu, że wszystkie wogóle objawy bytu mają wyłącznie charakter materialny, fizyczny.

3) Póki nie przedstawimy owego dowodu, t. j. póki zmuszeni jesteśmy uznać istnienie całych szeregów faktów o charakterze samoistnym, odrębnym, różnym zasadniczo swoją treścią rozumową, celową, od zjawisk fizycznych, dopóty praw przyrody nie można uznać ani za jedyne, ani za najwyższe prawa wszechbytu. Przeciwnie, w takim razie należy uznać działanie w świecie nietylko tak zwanych praw przyrody, lecz i działanie innych praw, określających związek i przebieg owych innych odrębnych objawów bytu, a mianowicie praw racjonalnej celowości.

4) Idea jedności wszechbytu, wynikająca z naszej organizacyi umysłowej i z danych doświadczenia, doprowadza do przekonania o jedności i wewnętrznej zgodzie praw wszechbytu. Jeżeli tedy zmuszeni jesteśmy obok praw przyrody uznać zarazem i działanie innych praw dla owych odrębnych objawów, natenczas wszystkie te prawa fizyczne i rozumowe, razem wzięte, muszą się wzajemnie uzupełniać i jednoczyć. Inaczej mowy być nie może o jednolitym, pełnym i konsekwentnie rozwiniętym poglądzie na świat.

5) Chociaż się okazało, że badania nauk przyrodniczych nie obejmują wszystkich faktycznie danych objawów świata, wskutek czego i tak zwane prawa przyrody nie mogą być przyjęte za jedyną zasadę ogólnego na świat poglądu; to jednak uznane być muszą za niezbędne składowe czynniki takiego poglądu, jako streszczające w sobie wszystkie te dane, które dotyczą strony zjawiskowej, fenomenalnej bytu, oddziaływającej na nas z zewnątrz, a więc na nasze zmysły.

Na podstawie tych zasad spodziewać się należy, że da się ostatecznie osiągnąć zgoda między naukami przyrodniczymi i filozofią, między ich realizmem i jej idealizmem.

HENRYK STRUVE.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Piotr Chmielowski: „Współcześni poeci polscy.“ Petersburg. 1895.

Cały legion współczesnych poetów polskich powołał prof. Chmielowski przed sąd krytyczny. Cały legion piszących wierszem po roku 1863 przesuwają się na kartach książki niezmordowanego historyka literatury ojczystej. Rozpoczynają pochód trzej poeci, należący do starszego pokolenia: Leonard Sowiński, obdarzony talentem dużym, ale „rostrojonym w męskiej dobie życia“, kunsztowny liryk, zamknięty w sobie, Felicyan Faleński, i poeta „namiętnych wybuchów i uogólnień filozoficznych“ Bogumił Aspis. Za tymi bezpośrednimi epigonami romantyzmu kroczy wybitna trójca, znana i uznana; to Adam Asnyk, Marya Konopnicka i Wiktor Gomulicki. Dalej w zadziwiająco długim szeregu postępuje wykwintny rzeźbiarz „arabesek”—Czesław Jankowski, serdeczny pieśniarz—Stanisław Grudziński, autor „Króla Salomona”—Włodzimierz Zagórski i autor „Strof”, cięty satyryk galicyjski—Mikołaj Biernacki, piszący pod pseudonimem Rodocia, rozgoryczony demagog, rymotwórca bez subtelności, niezdarnie chłoczający wady biczem satyry—Włodzimierz Wysocki, utalentowany twórca „Almanzora”, romantyk czystej wody ze skłonnościami do dramatu—Kazimierz Gliński, i znany tłumacz Kamoensa, Lamartine’a, Baudelaire’a, kryjący się pod pseudonimem—Adam M-ski. Tym czterem pisarzom, bardziej znanym, autor poświęca oddzielne szkice,

liczną zaś rzeszę tych, którzy roztrwonili lekkomyślnie talent, lub nie potrafili zgola, albo nie zdążyli jeszcze pozyskać rozgłosu i uznania eré zbyt wczesnie pióro wytrąciła z ręki, tych wszystkich, już zapomnianych i nieuznanych jeszcze, charakteryzuje Chmielowski w rozdziałach: „Przedwcześnie zmarli lub zmarnowani”, „Mniej szczęśliwi” i „Najmłodszy.”

Na czele smutnej grupy niefortunnych śpiewaków stoi naśladowca Heinego, wielkie niegdyś budzący nadzieje, Aleksander Michaud, znany pod pseudonimem Mirona; tuż przy nim spostrzegamy „młodzieńca, pełnego zapału i werwy”, Władysława Orдона, dotkniętego obłędem, i wczesnie zmarłą, a niezaprzeczenie uzdolnioną, Maryę Bartosównę, i również już nieżyjącego, Michała Metelickiego, najlepszego u nas tłumacza Lermontowskiego „Demona.” Dla tych zwichniętych zdolności ma Chmielowski wyrazy uznania i współczucia. Za to surowo sędzi Józefa Kościelskiego i Józefa Kuczyńskiego, chociaż Kuczyńskiemu bynajmniej zdolności poetyckiej nie odmawia. Korczak, konwecjonalny rymopis, Bolesław Londyński, drukujący pod pseudonimem Bruno Las wiersze okolicznościowe w pismach humorystycznych, Józef Długoborski, grzeszący nieudolnością języka i zaniedbaniem formy, oraz Konstanty Leon Kaszyński, „posiadający wielką łatwość dobierania byle jakich rymów“ tworzą zastęp „mniej szczęśliwych”, czyli słabo uzdolnionych. Braknie tu chyba jeszcze Władysława Stankiewicza, wynalazcy „poezji nowej”, niezdarnego wśród niezdarnych, o którym przecież sumienny krytyk na innem miejscu książki pobieżną czyni wzmiankę.

„Najmłodszy“ z opatów krytycznych obronną wyszli ręką. Nie szczędzi im słów zachęty Chmielowski. Zwłaszcza Zenon Przesmycki (Miriam) „wielbiciel sztuki czystej”, Jan Kasproicz, śpiewak niedoli ludu „o fizyonomii odrębnej” i Kazimierz Tetmajer doczekali się nader pochlebnej oceny swej krótkiej działalności pisarskiej. O wiele mniej uznania znaleźli: Stanisław Rossowski, lubiący przebywać w „atmosferze codzienności”, Artur Oppman, liryk kwilący, „często łzawy, nieraz wzruszający” i Andrzej Niemojewski, „młodzieniec pełen życia, nienawidzący obłudy.”

Rozdział „Najmłodszy” autor kończy przypiskiem: „Oprócz powyżej naszkicowanych osobistości, których fizyonomia duchowa wydała się lepiej w najnowszej poezji naszej, *jest jeszcze cały szereg poetów*, nieraz z niemałym zasobem talentu, mało jednak udzielających się ogółowi, lub też zbyt ulegających jeszcze wpływowi obcym (głównie francuskich twórców), ażeby można już teraz mówić o ich charakterze indywidualnym w tworzeniu. Co najwyżej, można zaznaczyć

ich działalność, pozostawiając przyszłości dokładniejsze określenie rodzaju ich talentu."

Z tych powodów wzmianką zbywa Chmielowski dotychczasową twórczość Antoniego Langego, tłumacza Shelleya, Konstantego Górskiego, „pozostającego pod wpływem francuskim i belgijskim”, Lucyana Rydla, „który Maeterlinckiem zbytecznie się przejął”, Szczęsnej Cybulskiej, Franciszka Nowickiego, Wacława Wolskiego i Wacława Raczyńskiego.

Wszyscy, wyżej wymienieni pisarze, wyłącznie niemal uprawiają lirykę, unikając form poematowych, lub co najwyżej zdobywając się na „próby epiczne.” W szkicu, tym próbom poświęconym, tłumaczy Chmielowski ten dziwny, a tak nagły zanik twórczości epickiej u nas: „Poeci nasi czuli dobrze, iż dawne romantyczne formy zużyły się prawie zupełnie; nie było zaś między nimi żadnego, co-by nowe ukształtował i do rozpowszechnienia podał. W liryce zmian wielkich pod względem formy dokonywać nie było potrzeba; więc też liryka zabrzmiała na nowo, wnosząc do twórczości naszej niejednokrotnie świeże, społeczeńścią przeniknięte, pierwiastki. W epice przeciwnie trudności przedstawiały się na każdym kroku, a może nawet niepodobne były do zwalczania. Wzór Mickiewiczowski w Panu Tadeuszu okazywał się za wielkim na siły społecznych; pogodzenie nastroju poetyckiego z wymaganiami najnowszego realizmu—niestychanie ciężkiem do przeprowadzenia.”

Szczegółowo rozbiera Chmielowski te nieliczne poematy, jakie w ostatnim trzydziestoleciu zjawiły się w piśmiennictwie naszym. Ale ani „Opryszek” Maryi Bartosówny, ani „Halina” Tadeusza Otawy, nie zdołały pozyskać sobie zwolenników i zapisać się trwalej w ich pamięci. Dziś o tych powieściach wierszowanych wie co najwyżej bibliograf lub tak skrupulatny badacz literacki, jak Chmielowski. Usiłował Wojciech Dzierduszycki wysnuć z naszych mytów i podań epopeę, napisał powieść w dwóch tomach wierszem, *Baśń nad baśniami*, na wzór Witoloraudy Kraszewskiego i—chybił. Jedynie Bronisław Komorowski w poemacie „Kniazio wie Rożyńscy” i Stanisław Wierzbicki w *Hance* wykazali zdolności epickie do pewnego stopnia, bo plastyki nie posiadają obaj. „Plastycy zwrócili się do prozy, w wierszach panuje liryzm”, konkluduje prof. Chmielowski.

Wogóle jednak tak surowy zazwyczaj i wymagający krytyk okazał się w swej ostatniej książce dla poetów nader względny. Z wyjątkiem jednej Maryi Konopnickiej, wszystkim innym utalentowanym pisarzom autor najzupełniejszą oddał sprawiedliwość. Nawet w miernych wierszopisach doszukiwał się stron dodatnich, uwzględniając nie-

pomyślne warunki doby obecnej dla rozkwitu poezyi. Młodych zaś, poczynających pieśniarzy, powitał krytyk z wielką życzliwością.

Ogólny pogląd Chmielowskiego na poezję naszą z ostatniego trzydziestolecia najzupełniej jest zgodny z istotnym stanem rzeczy. Wszyscy niemal polscy współcześni poeci uprawiają wyłącznie lirykę, którą zmodernizowali, wprowadzając do niej pierwiastki teraźniejszości. Wszyscy, z małemi wyjątkami, znajdują się pod przeważnym wpływem Słowackiego, choć naśladowają także Musseta i Heinego, rzadziej już Wiktora Hugo. O formę zaś tak dalece dbają, że nieraz gotowi są treść poświęcić dla rymu. Jest to więc poezya przeważnie kunsztowna, niemal wyrafinowana, ale przytem bardzo rozmaita i bogata w subtelne odcienie. „W poezyi naszej najnowszej—powiada autor—wszelkie niemal usposobienia, nastroje, zamiłowania i przekonania znaleźć mogą karm dla siebie i to jak najróżnorodniej przyrządzoną. Czy kto tęskni za urokami wybujałych marzeń romantycznych i całą wartość życia we wspomnieniu tylko widzi; czy kto szuka zadowolenia w prostych, choćby najzwyczajniejszych scenach życia powszedniego; czy kto lubi szerokie przestrzenie pól i lasów i chętnie-by się napawał wonią kwiatów i szumem drzew; czy też przywykł przebywać bez obrażenia swego węchu i smaku w zaułkach miejskich i piwiarniach; czy kto rozkoszuje się w takich jedynie przetworach, co w gwarze zabiegów ekonomicznych i walk społecznych powstają, czy też ukochał atmosferę piękna bezinteresownego; czy kto życzył-by sobie znajdować się w otoczeniu poważnem lub lekkomyślnem, wytwornem czy prostaczem, wesołem lub smutnem, dowcipnem lub refleksyjnem, pesymistycznym lub pogodnem, czy też wolał-by pozostać we własnem i muzy towarzystwie:—w uczcie owej, którą nam zastawili poeci, znajdzie wszystkiego podostatkiem, w lepszym lub gorszym gatunku, w zręcznie lub mniej zręcznie wykonanych formach, przeważnie drobnych...”

Istotnie cała nasza poezya współczesna wygodnie mieści się w wierszach ulotnych. Na wielkie kompozycje nie porywają się poeci, ani probują nawet orlich wzlotów. A choć rozmaitość nastrojów ma stanowić cały wdzięk tej poezyi, to przecież przez wszystkie tony płynie i góruje nad niemi monotonna nuta mdłego, płacznego pesymizmu. Żalośliwa skarga w tym chórze lirycznym rozbrzmiewa najgłośniej. Od lat trzydziestu kwilą i zawodzą pieśniarze nasi z wytrwałością, podziwu godną. Nie znajdując oddźwięku w społeczeństwie, zajętem pracą i potrzebującym bardziej rzeźkiej pobudki, niż łzawej elegii, wyrzucają mu obojętność dla pieśni i stają w jej obronie przed rzekomem urąganiem tłumu. Do tych płaczących wieszczów słusznie powiada Chmielowski: „porwijcie za sobą czytający ogół, jak umieli

porwać go romantycy, a potrzeba obrony poezji zniknie odrazu." Tak, ale romantycy porywali natchnieniem i wzruszali bólem realnym. Smutek zaś współczesnych liryków nie zawsze jest odczuty i szczerzy, a często bywa nużący. Czują to dobrze sami poeci i raz po raz nawołują się do porządku, zapowiadając męską pieśń nadziei i wytrwania, poczem z nałogu już wracają do wzdychań i lamentów. Na zdrowy entuzjazm, silne namiętności, na miłość głęboką, na bluźnierstwa nawet miękki liryzm zdobyć się nie może. Słowicznych trylów, ani pieśni skowronczej nie zanucą melancholicy i retorzy. Trafnie porównywa ich Chmielowski do kanarków, „odtwarzających wyuczoną nutę."

Dużo pracy włożył autor w swą ostatnią książkę. Już długa litania poetów, wyżej przytoczona, świadczy o tem, a pamiętać należy, że Chmielowski podaje nam fakty z pierwszej ręki i sądzi to tylko, co sam przeczytał i zbadał. Jest wyczerpującym, choć powiada o sobie, że nie ubiegał się o wyczerpanie przedmiotu. Jak wszystkie prace Chmielowskiego, tak i *Poetów Współczesnych* cechuje wielka sumienność i ścisłość.

Szwankują nieco „Poeci Współcześni" pod względem estetycznym. Sam autor przyznaje, iż objawy poezji rozpatrywał bardziej ze stanowiska społecznego, niż artystycznego. To też najczęściej dowiadujemy się o tem, co myśleli i czuli poeci, przez jakie przechodzili nastroje duchowe, za mało zaś autor zwraca uwagi na wcielenie tych wrażeń i refleksyi w kształty artystyczne, od czego przecież cały wdzięk i czar poezji zależy. Naga idea, to abstrakcja, poezya żyje i dyszy zmysłowością. Myśl rozumna, nawet genialna, może wzbogacić umysł, ale nie poruszy serca, nie zapali wyobraźni. To, co w poezyi jest doskonałem, żyje formą, barwą, dźwiękiem, a nie społeczną ideą, którą najwłaściwiej jest wyrazić bądź w rozumowej rozprawie, bądź w tendencyjnej powieści lub komedyi, które jednak zawsze na takim utylitaryzmie tracą. I jakąż myśl społeczną znajdziemy w *Księdze Pieśni* Heinego? Natchniony liryk uplastycznia w swych pieśniach najsztubtelniejsze drgnięcia serca w kształtach czysto artystycznych bez obcych domieszek. Inaczej poczynają sobie pieśniarze mierni. Gdy nie dopisuje natchnienie, chwyta wierszopis jakąś myśl zdawkową i robi dydaktyczne rymy. Prof. Chmielowski jest przeciwny hasłom, głoszącym wyższość słowa nad myślą w poezyi, czyli przewagę formy nad ideą. Nie myślimy mu z tego bynajmniej czynić zarzutu, pozwolimy tylko sobie zauważyć, że właśnie nadużywanie sztuki do celów polityki, filozofii, etyki, a nawet ekonomii, psychologii i fizjologii wywołało reakcyę dekadentów i impresjonistów. Sztuka sama w sobie ma cel jeden, jedyny: wywoływać wrażenie, dawać słuchaczom lub widzom emocyę artystyczną. Prof. Chmielowski nie zawsze o tem pamięta,

częściej docieka, jakie refleksye budzą w nas poeci i występuje wówczas nie jako estetyk, żywo odczuwający piękno formy, blask i melodyę słowa, ale jako ścisły badacz społeczny.

Wartość estetyczną rozbieganych utworów mają w książce Chmielowskiego ujawniać cytaty. Cytaty owe nie zawsze są szczęśliwie wybrane. Znana jest wogóle surowość sądów naszego krytyka, jego wygórowane wymagania, jakie stawia nieraz dziełom rzeczywistego natchnienia. Zdawało-by się, że zadowolić go jest wprost niepodobienstwem. Tymczasem niejednokrotnie wiersz mierny, lub co najwyżej udatny, budzi zachwyty w autorze. Taką niezwykłą względnością krytyka nacechowany jest cały szkic „Najmłodszy.” Nie odmawiam bynajmniej p. Tetmajerowi zdolności, ale jego wiersz p. t. „Melodya mgieł nocnych”, acz ładny, do wyjątkowych zjawisk poetyckich zaliczony być nie może. Chmielowski zaś mówi o nim: „Kto takie melodye tworzyć potrafi, ten jest prawdziwym poetą, który wyrobił sobie narzędzie do wypowiedzenia swych wrażeń i uczuć w sposób najdoskonalszy.”

Po takiej pochwalie, oddanej jednemu z „najmłodszych”, jakież hołdy należały-by się Maryi Konopnickiej, która niezaprzeczenie wyrosła po nad wszystkich naszych poetów współczesnych. Co-by rzecz należało o pierwszorzędnych pięknościach epickich *Pana Balcera*, o majestatycznej grozie *Mojżesza*, o czarownych *Pieśniach i Piosnkach* ludowych lub o mistrzowskich wierszach z cyklu *Italia*? Ale dla Konopnickiej krytyk więcej ma słów nagany, niż prawdziwego uznania. Wprawdzie zarzuty, stawiane znakomitej poetce, słuszne są i trafnie sformułowane, wprawdzie krytyk stwierdza niezapreczony wzrost i dojrzewanie jej talentu, nie ujawnia jednak wszystkich jego cech dodatnich i obok pomników słowa, jakie sobie dźwignęła Konopnicka, przechodzi obojętny. „Pan Balcer”, tak bogaty w imponujące obrazy i w żywe, charakterystyczne figury, zdaje się na krytyku sprawiać wrażenie ujemne. „Plastyka osób i sytuacji bynajmniej świetnie się nie przedstawia”, powiada Chmielowski o najznakomitszym poemacie ostatnich czasów. Z *Mojżesza* przytacza autor mimochodem wiersz jeden gwoli wytknięcia przesadnego jakoby patosu poetki. Melodye sielskie tylko zasłużyły sobie na względność surowego krytyka. Na takich sądach traci książka Chmielowskiego pod względem perspektywicznym, bo p. Kasprzewicz np. lub p. Tetmajer, którym krytyk hojną miarą odmierzył pochwały, wyglądają jak olbrzymy wobec Konopnickiej. A przecież tak nie jest.

Pozwoliłszy sobie na te uwagi, po pierwsze dla tego, iż nam się zdawało, że poezję sądzić należy ze stanowiska sztuki, a nie socjologii, chociażby z uszczerbkiem „supremacyi myśli nad słowem”, powtó-

re zaś, że przez wykazanie istotnych piękności poetyckich w utworach naszych wybitnych talentów kształci się gust i smak artystyczny ogółu, któremu u nas zarówno dziennik, jak książka, skąpi w tym względzie wskazówek. Wdzięczne zadanie szerzenia zamiłowania do poezji mógł być podjąć w swych szkicach o poetach współczesnych właśnie Chmielowski, gdyż głos jego rozlega się szeroko i znajduje uważnych słuchaczy.

Ze wszystkich szkiców, które złożyły się na książkę Chmielowskiego, najbardziej udatny, pełen smaku i niemal artystycznie wykonany jest szkic o Adamie Asnyku. Krytyk doskonale oświetla fazy, przez jakie przechodził subtelny talent poety, jego oblicze duchowe kreśli wiernymi rysami i daje nam poznać nie tylko refleksy myślowe poezji Asnyka, ale, co ważniejsza, pozwala odczuć ich wdzięk niepospolity. „Urok główny liryk Asnyka—powiada autor—polega zdaniem mojem przeważnie na niezmiernie świetnie pod względem artystycznym przeprowadzonej kombinacji różnych nastrojów uczuciowych i myślowych, kombinacji nie sztucznej bynajmniej, ale wynikającej z samej głębi duszy poety.” Zaznaczywszy, że wykwintny liryk do malowania nędzy materialnej nie miał skłonności, której zbyt oddają się nasi poeci, krytyk tak dalej charakteryzuje Asnyka: „Z usposobienia swego, a może trochę i z tradycyi romantycznej, zajmował się on niemal wyłącznie mękami ducha, wzlatującego na wyżyny i wciąż stamtąd spychanego, a nie zwracał uwagi na dotkliwie materialne cierpienia, ponoszone przez pracowite mrówki ludzkości. Nie myślę mu z tego robić zarzutu, bo każdy powinien działać w sferze, którą rozumie i odczuwa najlepiej; a że pozowanie nie leżało w naturze naszego poety, to jest jego zaletą.

Istotnie owe malowanie, zazwyczaj przesadne, nędzy materialnej jest prawie zawsze u nas połączone z pozowaniem samych piszących. Nawet Marya Konopnicka nie wolną jest od pozy retora, gdy ujmuje się za „wydziedziczonymi.” Słusznie więc podnosi krytyk tę cechę nawskroś artystyczną u Asnyka nieużywania poezji do celów, nazbyt utylitarnych.

Po Asnyku najwyraziściej wyszły sylwetki: Leonarda Sowińskiego, którego krytyk porównywa do „krza gorejącego“, Wiktora Gomułickiego, odznaczającego się „delikatnem poczuciem pięknej formy”, Czesława Jankowskiego, celującego w poezjach drobnych, piosnkach i arabeskach, oraz Kazimierza Tetmajera, po którego zdolnościach autor zdaje się bardzo wiele spodziewać. P. Tetmajer jest u Chmielowskiego największym wśród najmłodszych i ma wyznaczone sobie miejsce poczesne, jako liryk, „nawskroś uczuciowy”, jako poeta nie tylko formy, ale i treści, „działający bardziej fantazyą i uczuciem, niż

refleksyą.“ Podkreślamy ten sąd pochlebny naszego krytyka o młodym pisarzu i radzi będziemy, jeżeli przyszłość pozwoli nam przyłączyć się do wielbicieli jego talentu.

Jasność wykładu, trafność sądów, ścisłość rozumowań i panowanie nad przedmiotem odcisnęły poważne piętno na książce Chmielowskiego. Szkodzi jej może tylko pewna oschłość stylu. Książka ta świadczy o niepożytej sile poezyi, jako źródła wrażeń i wzruszeń. Źródło to, mącone przez pesymizm, tamowane refleksyą, bije jednak i nieraz w barwny strumień się wylewa, kiedy poeci, zepchnąwszy z piersi zmorę zwątpienia, zapomniawszy o pozowaniu na nieszczęśliwych i smutnych, głośno a szczerze zanucą pieśń młodości i siły, hymn miłości, szczęścia i wiosny. Istotnie, gdzie tyle piór porusza się w takty rytmiczne, co u nas, tam o zaniku poezyi mowy być nie może. A do najskrzętniejszych badaczy objawów naszej poezyi, do niesłychanie czujnych krytyków, których uwagi nie ujdzie żaden wiersz ulotny, żaden, rzec, można, pyłek literacki, należy prof. Chmielowski, co stwierdza jego najnowsza książka.

STANISŁAW KOZŁOWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W ciągu ubiegłego miesiąca mocarstwa złożyły nowy dowód jedności w działaniu wobec rządu tureckiego, na którym wymogły pozwolenie na przejazd przez Dardanele drugich okrętów stacyjnych. Sześć ich było, które zażądały pozwolenia; pierwszemu wezwaniu Sułtan nie uległ. Odpowiedział on mocarstwom, że rząd turecki bierze na siebie odpowiedzialność za spokój i bezpieczeństwo cudzoziemców w Konstantynopolu i że takowe poręcza. Nie przekonane tym argumentem, mocarstwa nalegały dalej i w końcu postawiły na swoim. Widząc ich niezachwianą jedność, spostrzegłszy, że nie tylko Anglia i Austria, ale także Rosya i Niemcy doradzają poddanie się woli mocarstw, Sułtan uległ. Uczynił tylko warunek co do rozmiaru okrętów, i wyraził życzenia, aby nie wszystkie razem wpłynęły na Bosfor.

Warunek był zbyteczny, bo mocarstwa nie myślały posyłać największych swoich statków; życzeniu z łatwością uczyniły zadość, bo nie miały zamiaru wykonywać dodatkowej manifestacji tłumnego wjazdu, która do niczego nie była potrzebną. Był potrzebny sam fakt wprowadzenia drugich okrętów stacyjnych, jako środek dodania otuchy ludności chrześcijańskiej i cudzoziemcom, zamieszkałym w Konstantynopolu, którzy żyją w ciągłym niepokoju. Charakterystyczny pod tym względem jest wypadek paniki, który się zdarzył z błahego powodu. Armeńczyk jakiś spotkał na ulicy człowieka, z którym

przegrał proces w sądzie. Przyszło do kłótni, wreszcie do bójki, podczas której jeden z przeciwników strzelił do drugiego z rewolweru. Pod wrażeniem tego strzału wszczął się popłoch. Ludzie zaczęli uciekać z Konstantynopola, zamykano sklepy, banki, restauracje, dystrybucye rządowe. W mguieniu oka najokropniejsze wieści zaczęły krążyć. Uciekający opowiadali sobie, że Turcy mordują chrześcian, że była jakaś manifestacya rewolucyjna, kobiety mdlały i oplakiwały już swoich mężów i braci, których nie widziały w domu. Słowem — panika. jakiej nie widziano nawet po wielkiej rzezi wrześnieowej. Już to jedno zdarzenie usprawiedliwia mocarstwa, że domagały się pozwolenia na przejazd przez Dardanele drugich okrętów. Porcie te drugie statki będą przypominały nie tylko obowiązek utrzymywania porządku, ale i odpowiedzialność, na jaką się naraża, gdyby go zabezpieczyć nie potrafiła. Dla chrześcian miejscowych i dla cudzoziemców te nowe okręty są widowym znakiem dbałości mocarstw o ich losy. Rząd turecki upatrywał dla siebie ujmę w żądaniu mocarstw; nie mylił się zresztą, bo nie było ono pochlebne. Było jednak pożyteczne, bo w skutkach przyczynić się może do ułatwienia rządowi tureckiemu tej misyy pacyfikacyjnej, jaka na niego spadła.

Czy pomimo to rząd turecki będzie w stanie spełnić ją? Nie przestało to być dotąd zagadką. Ze strony mocarstw otrzymała Turcya poważne rękojmie lojalności. Zbiorowe ich działanie w Konstantynopolu wychodzi z zasady koniecznego utrzymania państwa otomańskiego przy życiu, nie potrzebuje więc Turcya obawiać się zamachów na swoją całość terytoryalną. Co się tyczy stosunków wewnętrznych, to najlepszym dowodem, iż mocarstwa w tej chwili już nie starają się podniecać zamieszek, jest nieprzyjęcie deputacyi armeńskiej przez lorda Salisburego. Na nieszczęście, zamieszki te wynikają daleko bardziej z przyczyn lokalnych, niż z zagranicznych podnieceń. To też choć te ostatnie ustały, niema pewności, czy Turcya potrafi dać sobie radę z pierwszymi.

Nie trzeba się ludzić, że będzie to łatwe. Brak na to wielu warunków, a naprzód tego głównego, żeby rząd centralny zdobył się na jedność planu i na porządną organizacyę wykonawczą. Zamiast jedności w łonie Porty panuje zamieszanie, którego jaskrawą ilustracyą była ucieczka Saída baszy do ambasady angielskiej. Ministrowie niby nominalnie sprawują rządy; w gruncie rzeczy kieruje polityką kamarylla pałacowa, złożona z nadwornych szambelanów, masztalerzy i kamerdynarów. Ci trzymają przy boku Sultana radę nieustającą, która mu podsuwa złe natchnienia. Z tych źródeł wychodzą dworackie pochlebstwa i uniżoności, które mają zastępować politykę. Ministrowie doradzają reformy, a kamarylla zapewnia Sultana, że tak wielki

mojarz nie powinien ulegać mojarstwom, które wołają o reformy, ani słuhać ministrów, przez których usta mówi albo podle wobec zagranicy tchórzostwo, albo gorsza od tchórzostwa zdrada. Ministrowie starają się rządzić; kamarylla paraliżuje ich przez rozkazy, idące wprost z pałacu sułtańskiego. Ministrowie argumentują, że Turcyja potrzebowała-by reform, gdyby nawet nie zalecały ich obce rządy; kamarylla mówi Sułtanowi, że przodkowie jego byli potężni bez reform. Ministrowie chcą przedsiębrać środki wykonania danej już, bądź co bądź, obietnicy reform. Kamarylla jest zdania, które powtarza swemu władcy bez ustanku, że można było obiecać, ale nie odpowiadało-by godności padyszacha, gdyby się kwapił ze spełnieniem obietnicy. Doszło do tego, że dwóch poważnych polityków tureckich nie chciało się podjąć sprawowania obowiązków wielkiego wezyratu. Jednym z nich był Said basza, który uciekł do ambasady angielskiej; drugim Kiamil basza. Obaj oni rozumieli, że w tych warunkach byli-by manekinami, na które spadała-by wprawdzie odpowiedzialność za rządy, ale pozbawionemi władzy rządu według planu i z myślą o niezbędnych dla państwa ulepszeniach w administracji. Otóż gdy taki zamęt panuje w ognisku władzy w chwili właśnie, kiedy była-by tam potrzebna największa sprężystość, przy jasnej świadomości celów, to następstwem musi być nie co innego, jak bezwładność i bezradność. A bezwładność i bezradność ani zamieszek dawnych nie uspokoją, ani nowym nie zapobiegą, ani nie zreformują nie tylko całego państwa, lecz choćby jednej tylko Armenii. I wiosna roku przyszłego może zastać Turcyę w tym samym stanie wrzenia i nieładu, w jakim widziała ją tegoroczna jesień. Tu jest prawdziwe niebezpieczeństwo. Mojarstwa europejskie uczyniły, co od nich zależało, żeby go uniknąć. Ale nie wszystko zależało od nich. Nakazały one milczenie swoim ambicyom; ujęły w karby swoje wyrachowania; szły zgodnie, wstrzymując się od kroków osobnych, a porozumiewając się o wspólne; zalecały Turcyi środki ratunku, jakie im nasuwał doświadczony prawidłowemi rządami rozum polityczny. Było-by to działaniem zbawiennem, gdyby przypało państwu, mającemu warunki do odrodzenia się z upadku. Turcyja jednak, przez ostatnie kilka miesięcy nie tylko nie wykazała, że choćby ślad ich posiada, ale przeciwnie składała dowód za dowodem, że ich nie ma wcale. Wobec tego można powiedzieć, że zgodne działanie mojarstw odwlekło dobę trudności, jakie kwestya wschodnia mieści w sobie, i to zapewne na krótko; nie rozproszyło ich jednak, ani zażegnało, bo prawdziwe powody owych trudności tkwią w samym rządzie tureckim, względnie w społeczeństwie tureckim, które przez czterysta lat swego panowania europejskiego żyło, nie korzystając z nabytków cywilizacji. Proces rozkładu, rozpoczynszy się, będzie szedł

dalej bez wstrzymania, bo brak państwu czynników, które-by go powstrzymać mogły. I kiedy się pomyśli o tem i o krzywdach, jakie tymczasem znoszą mieszkańcy, o owych rzeziach, rabunkach, zdzierstwach, które były, są i będą aż do końca panowania tureckiego, miało-by się ochotę pragnąć, żeby ze względów ludzkości panowanie to, które musi się skończyć, ustało jak najprędzej.

W Berlinie wybuchło niespodziewanie przesilenie ministeryalne, którego ofiarą padł pruski minister spraw wewnętrznych, p. v. Köller. „Wrzący” ten polityk oddawna zwracał na siebie uwagę swoją krewkością, która dziwną tworzyła kombinację z zasadami ultra-reakcyjności. I w tym wypadku jednak doświadczenie jeszcze raz przekonało, że takie nienaturalne połączenia pojęć i usposobień są gruntem, na którym nic trwałego zbudować nie można. P. Köller wszedł do gabinetu dla tego, że był reakcyonistą; zmuszony był wyjść z niego z powodu, że był krewkim, aż do niepanowania nad sobą. Jedna cecha obalała dzieło drugiej. Rzadko się to zdarza, żeby minister zdradził sekret narad gabinetowych. P. Köller dopuścił się tego wykroczenia przez niewstrzemięzliwość języka. Nic go do tego nie zmuszało, nic mu na tem nie zależało. Poprostu, że był innego zdania z ministrem wojny w sprawie reformy procedury w sądach wojennych i że wezbrała w nim złość,—nie mógł wytrzymać i na pewnem polowaniu dla ulżenia sobie opowiedział, można rzec, wypaplał, najbliższym słuchaczom o swym zatargu z kolegą. Dowiedziawszy się o tem, ministrowie pruscy, wraz z prezesem gabinetu, którym jest ks. Hohenlohe, powzięli uchwałę, że po tem, co zaszło, dalej z Köllerem pracować wspólnie nie mogą. Cesarz Wilhelm uznał, że mają rację, i dał p. Köllerowi dymissję.

Tym sposobem p. Köller był formalnie usunięty z gabinetu, skutkiem zbiorowego protestu wszystkich ministrów. O mniej sławny upadek trudno. Gdy minister upada z powodu różnicy zdań w rzeczach politycznych z kolegami, albo z większością sejmu, nie przynosi mu to ujmy; gdy upada skutkiem popełnionej omyłki lub zaniedbania, i tu jeszcze mogą być okoliczności łagodzące bardzo silne, które jego reputację najzupełniej ratują; ale gdy dostaje dymisyję z powodu plotkarstwa, dowód to, że nie powinien był wcale zostawać ministrem.

Nadmienić wypada, iż to wrażenie miało wielu ludzi niebawem po nominacji p. Köllera. Ten zagorzały niby-konserwatysta okazywał taki brak miary w słowach, taktu w czynach, uprzejmości w obcowaniu, że wydawało się to rażącym na wysokiego dygnitarza państwowego. Teraz się pokazuje, że te swoje przymioty dawał p. Köller uczuwać i najbliższym kolegom w gabinecie, którzy skorzystali z pier-

wszej okazji, żeby go z pośród siebie usunąć i są podobno uszczęśliwieni, że im się to udało.

Z powyższego widać, że dymissya ta ma charakter osobisty. Ale nie jest ona i pod względem politycznym pozbawiona znaczenia. P. Köller, odpowiednio do swego burzliwego temperamentu, chciał odgrywać w rządzie pruskim rolę takiego ministra, który częściowo junkierską arrogancyą, częściowo dworskimi intrygami przeciw kolegom zdobywa sobie szczególne zaufanie korony i wyjątkowe stanowisko w rządzie. Że mu się to niepowiodło, będzie stąd pożyteczna dla następców nauka, o ile-by który z nich miał tę samą błahą ambicyę. Takie rzeczy tylko wyjątkowym udawać się mogą, a zawsze są niebezpieczne. Dobrze jest przytem, że wypadek ten zdarzył się bezpośrednio po dymissyi hr. Eulenburga, który intrygował przeciwko Capriviemu. Hr. Eulenburg, padając, miał jeszcze tę przynajmniej pociechę, że pociągnął za sobą i swego przeciwnika. Köller upadł sam, w pośród oznak powszechnej nagany. Prawda, że był mniej zręcznym od hr. Eulenburga. Ale oba przykłady razem dowodzą, że w takich wypadkach niezręczność zabija, zwykła zręczność nie ratuje. Zyska na tem może etyka ministeryalna, która w Prusach nie zawsze jednakowo i nie zawsze odpowiednio była pojmowaną.

Gdyby prócz tego wypadek z p. Köllerem posłużył jeszcze za wskazówkę przy wyborze ministrów; gdyby zapobiegł na przyszłość dymissyom niepotrzebnym, jak była Capriviego, nominacyom nieumotywowanym, jak Köllera, i na miejsce przypadków wprowadził tutaj powodowanie się myślą polityczną, było-by to dostateczną kompensatą dla państwa za kilkomiesięczne warcholskie rządy p. Köllera. Z silnego poruszenia opinii publicznej w Niemczech, które towarzyszyło upadkowi p. Köllera, wnosić można, że choć w pewnej mierze przyczyni się ona do wywołania obu tych skutków.

Przez dziwną ironię losu, pierwszy francuski gabinet radykalny ściągnął na siebie też same posądzenia o potajemne konszachty z panamczykami, które od trzech lat spadały regularnie, za sprawą radykalistów, na wszystkie gabinety koalicyjne i umiarkowane. P. Bourgeois tem mniej niezawodnie spodziewał się takiego ciosu, że za jego to rządów nastąpiło aresztowanie Artona. Kto jest Arton? czytelnicy zapewne przypominają sobie. Człowiek ten stał na czele wielkich stowarzyszeń finansowych i w tym charakterze miał się dopuścić licznych nadużyć. Kiedy te zostały wykryte, zbiegł za granicę. Twierdzono przy tem, że zabrał z sobą dowody udziału w swoich szachrajstwach wielu deputowanych i wogóle ludzi politycznych, i posiadaniu przez Artona tych dowodów przypisywano, że go władze francuskie

wcale nie ścigają. Wytworzyły się całe legendy o tem, jak urzędnicy francuscy, z polecenia rządu, ułatwiają Artonowi ucieczkę z jednego miejsca w drugie i ukrywanie się. Twierdzono dalej, że ministrowie francuscy probowali wchodzić w układy z Artonem, od którego chcieli wydobyć owe kompromitujące papiery, bądź żeby je zniszczyć, bądź żeby z nich potem korzystać w celach szantażu politycznego. Znalazł się nawet agent policyjny, niejaki Dupas, który, otrzymawszy dymisyę, ogłosił przed dwoma laty przez zemstę broszurę, w której twierdzi, że on-to właśnie, Dupas, powierzoną miał od rządu misyę układania się z Artonem, do którego jeździł do Wenecyi i z którym się widział. Otóż tego właśnie Artona aresztowano w Londynie na wezwanie rządu francuskiego, wkrótce po objęciu władzy przez obecny gabinet radykalny. Radykaliści, dowiedziawszy się o tem, dumnie podnosili głowy, uważając aresztowanie Artona za jawny dowód swojej wyższości moralnej nad innemi stronnictwami izby. Aż oto jak bomba spada z Londynu nowa wiadomość, że adwokat Artona przed sądem tamtejszym zeznał, iż teraz już, po aresztowaniu, obecny francuski minister sprawiedliwości, Ricard, posyłał do Artona tajnego wysłańca ze swoim listem własnoręcznym, upoważnionego do traktowania z nim o tajemnicze „papiery” i obiecującym za ich wydanie jakieś szczególne względy. Jakto, więc i ten gabinet wchodzi w porozumienie z Artonem? Zdziwiono się wielce; w parlamencie znaleźli się zaraz interpelanci, którzy zażądali wyjaśnień. Z odpowiedzi ministra pokazało się, że, aczkolwiek usprawiedliwiał on to specyjalnemi powodami, jednak zaufanego człowieka rzeczywiście wysyłał ze swoim własnoręcznym listem i ten wysłaniec rzeczywiście widział się z Artonem. Te wyjaśnienia p. Ricard'a, według zdania przeciwników, niczego nie wyjaśniły. Stały się też one punktem wyjścia nowej zawziętej kampanii o szachrajstwa i oszustwa, której ster wziął na siebie *Figaro*.

Dziennik ten ogłosił naprzód dostarczone sobie przez Dupas'a listy i telegramy, stwierdzające, że istotnie szef policyi powierzał mu misyę widzenia się z Artonem w Wenecyi; potem list samego Artona z więzienia w Londynie, stwierdzający, że p. Ricard naprawdę posyłał do niego teraz znowu dziennikarza Léfevre'a z obietnicami łask w zamian za papiery. Pierwsze misyę do Artona odbywały się za gabinetów Loubet'a i Ribot'a, przytem w gabinecie Ribot'a ministrem sprawiedliwości był wówczas Bourgeois, dzisiejszy prezes gabinetu. *Figaro* więc, niezależnie od najświeższych konszachtów londyńskich, oskarża Loubet'a, Ribot'a, Bourgeois, że ułatwiali Artonowi ukrywanie się, że wchodzili z nim w układy, że oszukiwali kraj i parlament, przecząc układom i zapewniając, iż czynią wszystko, co by-

ło w ich mocy, żeby Artona ująć. Zaatakowany w ten sposób, p. Ribot wyniósł przeciw Dupas'owi skargę o oszczerstwo. Ribot uparcie przeczy układom, które jeśli były, to zapewnia, że o nich nie wiedział, a jeśli przy tem ułatwiano Artonowi ucieczkę, mogło się to stać lub stawać tylko przez zdradę pomniejszych urzędników policyjnych, *Figaro* pomimo to utrzymuje w mocy swoje oskarżenia, a cały ten wszczęty proces nazywa próbą nowej komedyi przed krajem i nowego oszukania opinii publicznej. Dla pełności obrazu dodać trzeba, iż są tacy, którzy twierdzą, że *Figaro* prowadzi obecną kampanię, jako narzędzie przyjaciół Artona, którzy zapłacili mu za to, żeby nadawaniem sprawie Artona charakteru politycznego, utrudniał wydanie go przez Anglię Francji.

Przytoczyliśmy te fakta, bo charakteryzują one, jakimi miazmatami przesyciona jest atmosfera polityczna we Francji. Szachrajstwa rzeczywiste i urojone, oskarżenia o szachrajstwa, intrygi zakulisowe. przywiązane do szachrajstw, wyzyskiwanie szachrajstw, jako narzędzia walki stronnictw — oto ich nazwy. Chcemy przypuszczać, że większość tych oskarżeń o przekupstwa, fałsze, szantaże i intrygi jest nieuzasadniona. Ale w takim razie jakież to okropny brak zaufania w uczciwość ludzką, jaka zła wiara, jakie bezecne obyczaje, w pośród których żyć muszą ci dziennikarze, deputowani i ministrowie! I jakie ohydne świadectwo wobec świata dla tej demokracji, której najwybitniejsi polityczni przedstawiciele zarzucają sobie wzajemnie chciwość nieczystych zysków, jako główny motyw tej zaciętej walki, którą z sobą zajadłe prowadzą! Ciekawym dowodem tego nastroju jest fakt, że w tych dniach próbowano splamić cześć samego prezydenta rzeczpolitej, przeciwko któremu insynuowano, że się ożenił z córką karanego sądownie kryminalisty. O zarzucie, że obecny minister sprawiedliwości, Ricard, kiedy był po raz pierwszy ministrem, kazał sobie przesaźnie grubo zapłacić rachunek za sprawy, których w imieniu rządu bronił przed sądem jako adwokat, wspomina się wobec tego, jako o bagateli i dla utrzymania zasady, że każdy, kto się dotknie we Francji władzy, musi być przez kogoś poprowadzony pod pręgierz, jako oszust, przyjaciel lub współnik oszustów. Rzeczpospolita dość szybko ustaliła się we Francji. Ale przy takim pojmowaniu polityki przez republikańców i przy takim jej praktykowaniu, jeśli potrwa ono jeszcze przez lat kilka, można się obawiać, albo szybkiej i mocnej reakcyi, albo gorszej jeszcze rzeczy — gwałtownego rozwoju prądów przewrotowych, które w takiej atmosferze znajdują dla siebie grunt aż nadto przyjazny. Nie chcąc się dłużej dusić trującymi wyziewami, ludzie mogą

zacząć gwałtowne wybijanie okien, w nadziei, że choć tym sposobem otworzą dostęp czystszzemu powietrzu.

Nowy gabinet austriacki, prawie od chwili nastania, zajęty jest ostrą walką z antysemitami, stronnictwem nielicznem, ale krzykliwym i złej wiary. Dotychczasowy przebieg tego starcia pozwala powiedzieć, że skończy się ono zupełnem zwycięstwem rządu. W tej chwili już antysemita są odosobnieni w parlamencie. Nawet młodocześni, aż dotąd protektorowie wszystkich grup opozycyjnych, odwrócili się od nich. Rezultat taki gabinet zawdzięcza naprzód swej stanowczości, potem swemu taktowi, wreszcie, i może najbardziej, swojej polityce ogólnej, która wzbudza we wszystkich wielkich stronnictwach parlamentu, młodoczechów nie wyłączając, zainteresowanie i nadzieję wzięcia w niej udziału z korzyścią dla siebie. Podczas kiedy antysemita bez ustanku atakują rząd, bardzo gwałtownie w tonie, ale bardzo słabo w argumentach, rząd odpowiada im spokojnie i krótko, angażując na rzecz tych przeciwników zaledwie małą część swojej energii, a natomiast pozostałą jej resztę obracając na przygotowania do reformy wyborczej, do ugody z Węgrami, do zbliżenia się z młodoczechami. Najlepszym dowodem wrażenia, jakie zachowanie się rządu czyni na stronnictwach, jest zmiana postawy młodoczechów, którzy dotąd prowadzili politykę opozycji nieubłaganej i, zdawało się, są najtrudniejsi, prawie niepodobni do poruszenia z zajętej pozycji. Tymczasem hr. Badieni poruszyli ich. Młodocześni oznajmili w parlamencie, że pragną ugody z Niemcami czeskimi, że gotowi są zbliżyć się do rządu. Żeby dać dowód szczerości i zarazem praktycznego pojęcia sytuacji, wyrzekli się tego, co wszelką myśl zbliżenia się do nich rządu czyniło niemożliwą, mianowicie nadania sankcyi realnej „prawa historycznemu” Czech. Nie zaparli się tego „prawa”; ale zdobyli się na oświadczenie w parlamencie, że nie uważają go za jeden z postulatów polityki bieżącej. Będą do niego zmierzali długimi etapami, jako do idealnego celu przyszłości. W polityce bieżącej stoją na gruncie dualizmu.

Ta wymiana wzajemnych oświadczeń gotowości zbliżenia między rządem i młodoczechami jest zaledwie skromnym wstępem do układów; ale ponieważ bez tego wstępu układy nie były-by zgoła możliwe, więc ma on wielką doniosłość. Obalony został mur, który oddzielał od siebie obie strony. Teraz, jeśli zechcą, mogą do siebie podejść i podać sobie ręce. Jest to dowód ewolucyi w pojęciach stronnictwa młodoczeskiego, które spostrzegło, że już opinia publiczna Czech zaczęła się nużyć tą rolą, jaką odgrywali młodocześni w parlamencie, skazani na jałowe gadulstwo opozycyjne. Zasługą rządu jest, że umiał skorzystać z tego prądu i ułatwić młodoczechom zmianę frontu. Dalszy

ciąg tej interesującej akcji pojednawczej przyjdzie po Nowym Roku, który, daj Boże, oby nie tylko w tym kraju i nie tylko w tej sprawie przyniósł ludziom zgodę, pokój i zadowolenie.

— Ach, panie, jaka nudna jesień, jakie długie wieczory! Co z tem robić? Chodzić na *five o'clocks* — nie zawsze jest usposobienie do rozmowy. Koncerty, teatry — zbyt kosztowna zabawka”. Takie skargi nieraz mi się zdarza słyszeć w sezonie obecnym. Patrzę na tych ludzi z wielkiem współczuciem; rozumiem ich cierpienia — ciężką chorobę próżniactwa, napiętnowaną w wyrazie twarzy, głosie, ruchach. A gdybyś pan tak spróbował zająć się jaką pracą? — A cóż to, nie mam jej dosyć do 3-ój w biurze? Potrzebuję przecież trochę nogi i kark wyprostować. — Ależ ja nie mówię o zwiększeniu pańskich zajęć obowiązkowych; mówię o pracy leczniczej, tak np. od czasu do czasu jaką pożyteczną książkę przeczytać. — Do tego trzeba usposobienia, a ja nie zawsze je mam; — odpowiada szczerze chory i idzie szukać lekarstwa, do którego przyjęcia zawsze jest skory: do „handelku”, czyli, mówiąc prostym stylem warszawskim — do knajpy. To są resursy różnych sfer ludzi, tam się rodzi dowcip i zapal do dysput, tam znika senność i ciężar próżniactwa. Nic nie pomogą odczyty i broszury dra Flauma o wódce, piwie i winie. Jest to nałóg musowy, wypływający z różnych źródeł. Inaczej trzeba nań patrzeć, gdy ogarnia pracowników fizycznych i wogóle ludzi, obarczonych nadmiarem pracy, bo tu popycha ich do alkoholu potrzeba sztucznego podtrzymania energii; inaczej zaś, gdy pociąga różne sfery intelligencji, biurokracyę, artystów, uczonych, literatów, finansistów, kupców, rentyerów i t. d. Alkohol płynie w krwi nie tylko milionów, ale miliardów ludzi, przesiąka z pokolenia do pokolenia, burzy i toczy sprawność fizyczną, duchową i moralną, i dziś przedstawia jedną z najpotężniejszych sił, działających na ludzkość. Za granicą zrobiono więcej, niż u nas mogą zrobić pojedynczy apostołowie trzeźwości, bo tam istnieją stowarzyszenia przeciw alkoholizmowi, liczące całe armie członków, no, i zapewne ich zabiegi nie są bez wpływów, ale można je porównać do usiłowań wypompowania wody ze studni, na której dnie sączy się źródło.

Mimowoli drugi raz nam pod pióro nawinęła się ta sprawa w ciągu kwartału bieżącego. Gdybym chciał w tej mierze badać kojarze, nie się myśli, możebym znalazł wiele zjawisk chwili obecnej, związanych z alkoholizmem, lub wypielęgnowanych na jego tle. Może poniekąd nieświadomie na kronikarza oddziałał dość silny prąd higieniczny

przeplływający obecnie przez naszą literaturę książkową. Oto i dzisiaj mam pod ręką aż trzy książki, wypuszczone jednocześnie z pod prasy. Streszczanie ich atoli należy do referenta bibliograficznego; kronikarz zaś może w nich dostrzedz to, co jest związane bezpośrednio z faktami życia i co daje powód do oświetlenia i wykazania onych zjawisk.

Dobrej sposobności w tej mierze dostarcza właśnie książka dra Tchórznickiego o pilnych sprawach higienicznych. Przeczytałem ją z wielką ciekawością od początku do końca, no, i na razie poczułem straszny ciężar na duszy. Jest bardzo źle! Można-by nas zaliczyć do największych zbrodniarzy, przekraczających najważniejsze przepisy higieniczne o każdej porze dnia i nocy, w domu i na wizycie, w kościele i przy warsztacie, podczas zabawy i pracy, w podróży, a nawet... podczas kuracyi w miejscowościach leczniczych. Jesteśmy nie przejednanymi wrogami zdrowotności, od nędzarzy do zamożnych. Jedni zamykają się przed nią z niedostatku, drudzy z sytości, a co najważniejsza — na wyzysku zdrowia publicznego oparły się różne przedsiębiorstwa, rozwinęła się spekulacja w najwyższym stopniu. Co krok ktoś na całość naszego organizmu czyha: rzeźnicy, dostarczyciele nabitka, cukrownicy, restauratorzy, hotelarze, twórcy mody, koleje, właściciele domów, pracowni różnych, przedsiębiorcy, urządzający miejsca kąpielowe, stacje klimatyczne i t. d. Gdzie tylko stąpimy, wszędzie godzą nas bakterye zabójcze, ukryte w produktach spożywczych, w kurzu wagonowym lub ulicznym, w pieniądzach, w miejscach zebrzań publicznych i t. d. Całe nasze szczęście, że tego nie odczuwamy i nie zdajemy sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

W naszej literaturze higienicznej jest pozornie dużo przesady, wieje stamtąd pognębiający pesymizm, warunki zdrowotne wyglądają potwornie, ale zarazem, niestety, prawdziwie. Wrażenie przesady i tej okropności wynosimy stąd, że autor przedstawia szereg jaskrawych, smutnych faktów, a pomija dodatnie. Ale nawet rzeczywista przesada w propagandzie higienicznej nigdy nie zawadzi wobec naszego niechłujstwa, do pewnego stopnia brawury i przechwałek przeciwdrowotnych, szczególnie wśród młodzieży, w okropny sposób nadużywającej swego zdrowia. Reforma w zakresie higieny społecznej jest pożądana i bardzo pilna; ale nie zapominajmy, że mamy wielką przeszkodę, niemożliwą do zwalczenia żadnym naciskiem prawnym, lub wskazówkami podręcznika. Tym szkopułem jest odporność mas przeciwko wszystkiemu, co tylko zmierza do podniesienia zdrowotności. Ta smutna cecha jest wodą, do tego bardzo brudną, na młyn wszelkich wyzyskiwaczy-przedsiębiorców, spekulantów. Należy więc przede wszystkim dążyć do tego, ażeby całe społeczeństwo było dostate-

cznie uświadomione i wystąpiło samo w obronie swego zdrowia. Nie da się to zrobić żadnym czynem radykalnym, bo tutaj trzeba najpierw działać środkami pedagogicznymi: wprowadzić higienę, jak katechizm, do wszelkich uczelni elementarnych, rozwijać i rozszerzać w szkołach średnich. Zamiłowanie czystości trzeba rozbudzać w dzieciach od najwcześniejszych lat, baczyć na każdy ich postępek antyhygieniczny. Niech pedagog zapyta swych uczniów w danej klasie: ilu z nich czyści zęby, płucze usta po jadle, ilu myje ręce po powrocie do domu, ilu kąpie się przynajmniej raz na pół roku? Statystyka zebrana w tym zakresie dała-by bardzo smutną prawdę. Próchnienie zębów wśród młodzieży jest dziś zjawiskiem powszednim, za tem idzie rozstrój żołądka skutkiem złego przeżuwania, i szereg innych chorób. Nie trzeba być lekarzem, lecz tylko mieć trochę uwagi, ażeby sprawdzić te rezultaty na każdym kroku.

Ale czyż można wymagać przestrzegania higieny przez dzieci, skoro jej nie zachowują rodzice? Jedyne mogła-by szkoła zrobić początek, wprowadzić rygor, zobowiązujący pośrednio rodziców do pilnowania dzieci, ażeby spełniały przynajmniej najważniejsze przepisy zdrowotności. Lecz ta szkoła sama w swoim systemacie i pomieszczeniach jest także daleką od higieny. Znaczna większość zakładów naukowych mieści się w lokalach przygodnie znalezionych, w zwyyczajnych pokojach, przeznaczonych na mieszkania prywatne. Wyobraźmy sobie, jak działa na zdrowie wątłych organizmów spędzenie kilku godzin dziennie w tak zwanej klasie, czyli pokoiku, w normalnych warunkach może przeznaczonym dla jednej lub dwu osób, a jako klasa, mieszczącego kilka dziesiątków uczniów lub uczennic. Z zakładów prywatnych w Warszawie jedna tylko szkoła realna przy ulicy Hortensyi znajduje się w gmachu, specjalnie na ten cel zbudowanym, z zastosowaniem wszelkich potrzeb higieny. Co jednak począć, gdy matka Oświata jest tak u nas uboga?

Higiena pomieszczeń szkolnych musi być u nas na planie ostatnim wobec potrzeby pilniejszej — zwiększenia liczby zakładów naukowych, szczególnie w zakresie zawodowym. To też do nadzwyczaj ważnych faktów z dziedziny wychowania publicznego musimy zaliczyć otwarcie w dn. 1 września r. b. szkoły mechaniczno-technicznej, średniej, w Warszawie, przy ulicy Składowej Nr. 3. Tu i owdzie znalazłem o niej pobieżne wzmianki w prasie, jakby to np. było otwarcie nowej pralni. Dopiero programat, bezpośrednio od zarządu szkoły otrzymany, pozwolił nam ocenić całą doniosłość przybytku wiedzy specjalnej, której oddawna pragnie młodzież nasza. Zakład ten jest stwo-

rzony podług wzorów szkół francuskich, mianowicie pod tym przeważnie względem, że uczniowie obeznac się muszą z zajęciami praktycznymi w warsztatach szkolnych, co znacznie ułatwi pierwsze kroki w pracy zarobkowej po kończeniu nauk. Wogóle szkoła ma na celu kształcenie techników, jako najbliższych pomocników inżynierów, tudzież innych wyższych kierowników spraw przemysłowych; nadto — uzdolnienie takich osób, których oczekuje samodzielne kierowanie przedsiębiorstwem przemysłowym w razie, gdy zakład jest niewielki lub nie posiada inżyniera.

Czteroletni kurs nauk obejmuje między innymi: matematykę, fizykę z elektrotechniką, chemię, mechanikę, budowę maszyn, technologię mechaniczną, technologię chemiczną, budownictwo, miernictwo, niwelację, geografję handlową i podstawy ekonomii politycznej, rachunkowość i korespondencyę handlową, prawoznawstwo, zajęcia geograficzne, rysunki geometryczne, techniczne, budowlane, wreszcie zajęcia praktyczne w warsztatach mechanicznych i laboratorium chemicznem. Na początek otwarto tylko jeden wydział; w niedalekiej zaś przyszłości powstaną inne: chemiczno-techniczny, architektoniczny, górniczy i agronomiczny, każdy z kursem czteroletnim. Kierownikiem zakładu jest wytrawny specjalista, inżynier, p. Maurycy Mitte, wychowaniec b. Szkoły Głównej. Jak zaś dalece nowe źródło wiedzy technicznej było pożądane, świadczy bezustanny napływ kandydatów. Przy otwarciu 105 młodzieńców złożyło podania, z tej wszakże liczby można było przyjąć tylko 80-iu. W owej garstce szczęśliwych są posiadacze patentów szkół realnych rządowych i prywatnych, szkoły wyższej rzemieślniczej w Łodzi, gimnazyów filologicznych, szkół technicznych przy kolejach żelaznych, wreszcie młodzi ludzie, mający dwuletnią praktykę, oprócz świadectwa z ukończenia 4-ch klas szkół realnych lub innych. Nadto, przystąpiło do egzaminu sześciu uczniów klasy ósmej.

Czem będzie ta szkoła w naszym życiu ekonomicznem, łatwo oceni każdy, kto choć trochę zna warunki tego życia, kto wie, jak znaczny procent obcokrajowców pracuje w naszym przemyśle i zagarnia najkorzystniejsze placówki. Bogate kopalnie węgla, rudy żelaznej, galmanów cynkowych i ołowiu na szerokim pasie pogranicznym, niemal całkowicie są w rękach cudzoziemców, z natury rzeczy i—położenia geograficznego, popierających administracyę własną, tudzież masy robotnicze, przechodzące co dzień granicę. Wobec tych rzesz ogromnych, mniejszość, t. j. siła robocza, złożona z żywiołu tutejszego, podlega wpływowi i zwyczajom niemieckim, posiada swoje „Ve-reiny“ i t. d.

Świeżo wykryto nowe bogactwa kopalniane w Kutnowskim. Ognisko produkcji rozszerzy się więc jeszcze bardziej, wciągnie nowe setki i tysiące pracowników; będzie zatem coraz więcej wzrastać zakres pracy. Trzeba tylko starać się o wytworzenie sił miejscowych, zdolnych do produkcyjnej działalności, a wtedy przy pomocy administracyjnej łatwiej będzie pokonać żywioł obcy. Na tak wielki rozwój produkcji przemysłowej, jaki jest obecnie w Królestwie Polskiem, przy warunkach normalnych, jedna szkoła mechaniczno-techniczna, *średnia*, nie może odpowiedzieć nawet części potrzeb istotnych. Pomyślmy, ile takich zakładów posiada zagranica i jak ich wychowawcy są poszukiwani.

Braki w innych gałęziach wiedzy fachowej również są naszą wadą chroniczną, bardzo dotkliwą, np. w rolnictwie. Przy ciężkim położeniu produkcji zbożowej i rozdrabnianiu się własności, ogół ziemian naszych coraz mniej pożąda „uczonych agronomów“ z wyższem wykształceniem, a poszukuje pożytecznych pracowników ze średniem. Tymczasem to średnie u nas istnieje zaledwie w zarodku. Już jest gotowa szkoła Sobieszyńska, ale termin jej otwarcia ciągle się przewleka. Zresztą, czy ona odpowie całkowicie potrzebom istotnym? Nie dawno *Posel Prawdy* zrobił znamienne spostrzeżenie, że zakład ten jest objawem „dobroczynności rodzinnej“, t. j. przeznaczony będzie głównie dla dzieci oficyalistów, służących w majątku sobieszyńskim. Jakież stąd będą wyniki?— „Wielu chłopców z tego szczupłego kółka może nie posiadać uzdolnień i przymiotów, usprawiedliwiających ich pierwszeństwo przed innymi kandydatami, powtóre—co jest względem jeszcze ważniejszym—opiekunom szkoły sobieszyńskiej powinno chodzić o to, ażeby jej nauka rozpostarła się jak najszerzej, czyli, ażeby wychowawcy roznieśli światło jak najdalej od ogniska.“ Oby słowa te były płodnym posiewem gwoździ dobra publicznego!

Ogrodnictwo nasze cierpi również z braku ręki fachowej. W miesiącu ubiegłym p. Edmund Jankowski, na żądanie sekcji rolnej, przyszedł na posiedzenie ze wskazówkami i oświetleniem obecnego stanu rzeczy w zakresie handlu owocowego. Ze względu, że słowa te wygłosił prelegent w ognisku spraw ziemiańskich, można przypuścić, że padły na grunt nie jałowy, że zatem choć parę ziarenek kiedyś wszędzie. Co do nas, słuchaliśmy z ciekawością tych wyjaśnień i radzi-byśmy jak najszerzej je rozpowszechnić.

Czy my właściwie mamy jakikolwiek handel owocowy?—Dotychczas pozostaje on w rękach spekulantów, przekupniów żydów, na rynku

najgłówniejszym, w Warszawie, posiadającej trzy targi, bardzo pierwotne, liche: na Grzybowie, za Żelazną-Bramą i pod mostem na Wiśle.

Ten trzeci punkt bodaj jest najważniejszym, szczególnie dla handlu prowincjonalnego, ale zarazem środki transportowe na tej drodze są w najopłakańszym stanie. Owoce, zsypywane razem, bez względu na gatunki, nie zabezpieczone niczem, psują się, a z nadejściem przymrozków muszą być na gwałt wyprzedawane. Charakterystycznym jest to, że bardzo rzadko przypyływają galary, należące bezpośrednio do ogrodników; znaczna większość w rękach geszefciarzy. Potrafili oni jednak nieźle się zorganizować, pomimo zasad handlu, nie odpowiadających elementarnym wskazówkom ekonomii, i może właśnie dla tego mają powodzenie, że wogóle rozwinęli swą działalność w warunkach nienormalnych.

Trzeba atoli od nich się uczyć, że tak powiem—zmysłu wywiadowczego. Umieją oni doskonale wybadać położenie rynków odległych; wiedzą, że Petersburg jest bardzo wybredny, więc posyłają tam przednie owoce, nabywane od pierwszorzędných ogrodników; śledzą bacznie stan urodzaju, i gdy ten nie dopisze, np. na południu, posyłają co prędzej nawet lichsze gatunki na rynki, zwykle zasilane przez wytwórców krymskich i kaukaskich, siłaczy, z którymi nasza produkcya ogrodnicza, licho uposażona przez warunki geograficzne, nie może współzawodniczyć.

Nie tylko handel pośredni, lecz i dzierżawa sadów wiejskich jest w rękach owej gromady spekulantów. Ziemianie nasi wydzierżawiają im swoje ogrody, oni zaś usiłują wyciągnąć przedewszystkiem co się da, więc naturalnie niszczą i rabują. Otóż zasadniczą reformę handlu owocowego należało-by zacząć przedewszystkiem od zmiany systemu dzierżawienia i samych dzierżawców. P. Jankowski radzi oceniać wartość każdego drzewa w końcu maja i pierwszych dniach czerwca, kiedy można ściśle obliczyć wydajność. Tym sposobem tenuta, obliczana od wagi owoców, dała-by przynajmniej dwa razy więcej dochodu, niż dotychczas. Ale skąd wynaleźć dzierżawców nowych?—Tego nasz uczony pomolog nie wyjaśnia, zapewne z prostej przyczyny, że każdy może się domyślić, iż na takich dzierżawców potrzebni są fachowi ogrodnicy. Co rok ich wykształca pewną garstkę ogród Pomologiczny w Warszawie i szkoła Zawady w Częstochowie. Z natury warunków, są to ludzie ubodzy, więc nie marzą o pracy samodzielnej, lecz szukają miejsc płatnych, częstokroć bardzo licho. O ile wszakże wiemy, żydzi także do dworów przychodzą najczęściej bez grosza i umieją sobie radzić, zwłaszcza, że dzierżawa skromnych ogrodów nie pociąga wielkich wydatków. Może ktoś nam zarzucić, że żydzi dla tego nieźle wychodzą, iż rabują ogród i umieją się obywać bez obcej pomocy.

Tymczasem ogrodnicy fachowi, nie mogąc tego robić, mieli-by znacznie mniej, a wobec proponowanego obliczania tenuty, może dochody ich spadły-by do zera, a nawet dały minusy.

Otóż nie zapominajmy, że dobry i wytrawny ogrodnik-dzierżawca przede wszystkim dążył-by do podniesienia gospodarki, a więc racjonalnymi środkami starał-by się zwiększyć wydajność, i tym sposobem po paru latach, pomimo podwojonej tenuty, potrafił-by więcej wydobyc zysków, niż obecny najsprytniejszy aferzysta.

Obok tej zasadniczej reformy, należy pomyśleć o zdobyciu targów warszawskich. Towarzystwo ogrodnicze kołatało już do magistratu o wyjednanie osobnego placu na owoce, ale dotąd bezskutecznie. P. Jankowski więc wzywa sekcję rolną do wspólnych zabiegów, które nie na tem wszakże powinny się kończyć; należy bowiem jeszcze stworzyć stałe jarmarki owocowe, udoskonalić środki dowozu, wprowadzić lepsze opakowania i przy dostawie na osiach—wozy, tudzież platformy resorowe. Dobrze było-by również zaczerpnąć trochę wzorów z za granicy, gdzie np. istnieją organa pośredniczące. Wytwórca przesyła im próbki, oznacza ceny lub pozostawia je do uznania, i już może liczyć na zbyt, jeżeli cały transport będzie ściśle odpowiadał próbkom; w przeciwnym razie, gdy nadużyje zaufania, dostawca taki traci raz na zawsze możliwość korzystania z pośrednictwa. U nas taką rolę wybornie mogło-by przyjąć na siebie Towarzystwo Ogrodnicze i, o ile wnosim z obecnych zabiegów p. E. Jankowskiego, głównego filara tej instytucji, przyjdzie ona z pomocą naszemu ogrodnictwu w całym kraju.

Wiadomości bibliograficzne.

Dnia 21 października r. b. na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie, dr Wojciech Kętrzyński odczytał rzecz: „O kronice wielkopolskiej”. We wstępie autor rozbiera hipotezy dotychczasowe o powstaniu i autorze kroniki wielkopolskiej, z których jedną drugą wyklucza, pomimo, że każda ma za sobą pewne argumenta. Co w tekście kroniki tym hipotezom się sprzeciwia, uważa się zwykle za rzecz późniejszą. Postąpić tak można było, gdyż wydanie kroniki i niektórych innych źródeł nie odpowiada wcale wymaganiom naukowym. Z tego powodu autor zastanawia się nad tekstem kroniki, potem nad źródłem, a w końcu nad jej twórcą. Dr. K. przychodzi do przekonania, że skoro kronika powstać mogła tylko między r. 1350 a 1395, wszystkie hipotezy, nie zgadzające się z temi latami, nie są uzasadnione. Nie mają znaczenia także dla tego, że opierają się na ustępach kroniki, dosłownie wypisanych z kroniki Mierzwy, roczników kapituły poznańskiej i t. p. W rachubę zatem brać można tylko te ustępy, które nie pochodzą z innych źródeł. Wzmianka np. o przeniesieniu Klarysek ze Skały do Krakowa pozostaje w związku z r. 1320; w obszernym ustępie o Santoku jest wzmianka o biskupach Andrzeju Szymonowiczu 1298—1311, o Domoradzie 1311—1325 i o Janie Łodzi 1335—1346. Ponieważ autor żył już sporo lat po r. 1346, wynika z tego, iż nie wie, że przed Janem Łodzią jeszcze inny Jan był biskupem.

— Dn. 14 października na posiedzeniu wydziału filologicznego prof. dr. J. Baudouin de Courtenay złożył swoje dzieło p. t. *Materialien zur südslavischen Dialektologie und Ethnographie. I. Resianische Texte, gesammelt in den J. J. 1872, 1873 und 1877, geordnet und übersetzt. Nebst Beilagen von Ella von Schoultz-Adaiewski, St. Petersburg, 1895*". 8-o, str. XLVIII + 708). Prof. Malinowski złożył pracę p. Kazimierza Nitscha p. t. „O pisowni i języka Kazań Paterka na podstawie materiału, zebranego przez prof. dra Malinowskiego. Nadto powyższy profesor podał treść rozprawy p. St. Dobrzyckiego, p. t. „Przysłówki na *o* i *e*, utworzone od przymiotników w języku staropolskim na podstawie zabytków w. XIV i XV. Na wstępie autor zaznacza, że w XVII roczniku czeskich „Listów filologicznych” p. Smetánka umieścił pracę p. t. „Adjektivná adverbia na *o* a — *ě* v staročestíně, w której bada wzajemny stosunek przysłówków przymiotnikowych na — *o*, czyli formy *accusat. dekl. rzeczown.* i na—*ě*, czyli formy *locat.*, i w której dochodzi do wniosków, że forma z *ě* miała w staroczeskim przewagę stanowczą nad formą z — *o*, że ten stosunek w nowoczesnym zmienił się bardzo mało i że język czeski najwierniej zachował dawną słowiańską formację przysłówków. Autor zaznacza następnie, że celem jego pracy jest zbadanie tego stosunku w języku polskim i wybiera teksty, z których korzystał. Następnie podaje wykaz przysłówków, ułożony w ten sposób, że naprzód idzie przymiotnik, a następnie odpowiednie miejsce tekstu, w którym znajduje się przysłówka. W ostatniej części rozprawy autor zapisuje spostrzeżenia i wnioski.

— Dn. 31 października odbyło się posiedzenie Komisji historii sztuki. Prof. Wł. Łuszczkiewicz złożył sprawozdanie o Kollegiacie w Opatowie i przedstawił szereg opracowanych własnoręcznie tablic, rysunków architektonicznych i szczegółów tej romańskiej budowy, wedle pomiarów i badań, robionych na miejscu. Zdaniem referenta, była to pierwotnie bazylika romańska o planie krzyżowym, o cechach właściwych kollegiatom i katedrom XII wieku, o krótkim prezbiterium i t. d. Po pożarze w r. 1502 dodano zewnątrz do frontonów prezbiterium szczyty ząbione, a motywa gotycyzmu wiążą się w nich z profilami wczesnorennesansowymi. Kościół ma także przybudowy późniejsze: północną Szydłowieckiego i południową z XV stulecia, w której znalazł się pod tynkiem wielki obraz ścienny, „Ukrzyżowanie Chrystusa”. W dalszym ciągu Łuszczkiewicz złożył relację, że badania katedry w Kielcach, w której z dawnej kollegiaty Gedeonowskiej nic nie pozostało. P. Zygmunt Hendel podał dalsze wiadomości o świeżo od-

słonionych częściach romańskich klasztorów i kościołów O. O. Dominikanów w Krakowie.

Na propozycję, uczynioną przez grono lwowskie Komissyi, wybrano jednogłośnie członkami Komissyi: hr. dra Józefa Bilczewskiego, profesora uniwersytetu we Lwowie, dra Konstantego M. Górskiego w Krakowie i dra Witolda Rubczyńskiego w Rawie Ruskiej.

— Marcina Króla z Przemyśla, Geometrya praktyczna. Wydał Z. Birkenmajer. Warszawa, 1895. Wydawnictwo Redakcyi prac matematyczno-fizycznych (8-ka, str. 82). Marcin z Żórawicy, inaczej Marcinem Polakiem (Martinus Polonus), albo Marcinem Królem z Przemyśla nazywany, należy do ciekawych postaci uczonych, którzy obudzony w połowie XV wieku ruch naukowy, renesansem zwany, przeszczepiali dzielnie i z pomyślnym skutkiem na ziemiach polskich. Szczególnie na polu literatury matematycznej zaznaczyli oni swą działalnością początek nowoczesnej epoki tych nauk. O ile dotychczasowe poszukiwania w dziedzinie polskiej historyografii matematycznej zdołały wykazać, Marcin z Żórawicy jest właśnie najwierniejszym pionierem nie tylko uświadomionych podówczas prądów, skierowanych do odrodzenia nauk ścisłych w Polsce, ale zarazem wybitnym przedstawicielem powstającego równocześnie t. zw. humanizmu. Żadne z pism Marcina nie było nigdy dotąd ogłoszone drukiem. Chwalono go tylko gołosłownie po książkach literatury, a nie potrafiiono nawet zdobyć się chociaż-by na suchy spis tytułów prac jego. Ciągle jeszcze, gdy mowa o materii matematycznej, astronomicznej lub fizycznej w Polsce XV w., wysuwają historye literatury na pierwszy plan takich ludzi, jak Jan z Głogowa, Michał z Wrocławia i t. d., którzy w świetle krytyki rzeczowej występują raczej jako ostatnie filary wszechwładnej dyalektyki w nauce średniowiecznej i zapory przeciwko świeżo powstającemu prądowi umysłowemu: szukania prawdy naukowej w czem innym, aniżeli wiekiuistem komentowaniu pism Arystotelesa, a choćby też Euklidesa i Ptolemeusza. Żadną tedy miarą nie można wspomnianych tutaj mężów brać z naszym Żórawiczanielem pod jeden strychniec; gdy bowiem tam występuje ograniczony konserwatyzm naukowy wieków średnich, pokryty gadulstwem, uchodzącem wówczas za erudycję; tu czuć świeże tchnienie nauki nowoczesnej, obudzony zmysł krytyki i badawczości, świadomość a bodaj przeczucie autora o dokonywającej się przemianie poglądów na cele i ideały nauk i sztuk wogóle, a wiedzy ścisłej w szczególności. Epoka poglądów ryczałtowych w historyografii matematycznej przeszła bezpowrotnie, z pożytkiem dla tej nauki i dla prawdy dziejowej.

Traktat niniejszy, wydany po raz pierwszy, dochował się, o ile dotąd wiadomo, tylko w dwu kopiach rękopiśmiennych, mało co od jego powstania późniejszych. Należą one do manuskryptów biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Wydawca zaopatrzył te prace we wstęp i objaśnienia krytyczne.

— *Jakób Heilpern*. „Nauka malarstwa”. Tom I, z. 2-gi. Warszawa, 1896.

— Zeszyt I, III Encyklopedyi rolniczej wyszedł z druku i zawiera artykuły *Łąki* — *Łubin*.

— *Władysław Oltuszewski*. „Drugi przyczynek do nauki o zboczeniach mowy” (niemota, bełkotanie, mowa nosowa, jąkanie). Warszawa.

Książki, nadstane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— *Jan Bochenek*. „Normalna postać mężczyzny i kobiety“, wykreślona nowym sposobem. Przetłómaczył Wojciech Gerson. Warszawa, 1895 (8-ka, str. 51). Książka zawiera rysunki i tablice.

— *Karola Drzewieckiego*. „Spacery z panem Karolem“, opowiadania dla dzieci od lat 9 do 12. Warszawa, 1895.

— *Dr Stanisław Witkowski*. „Nowe odkrycia w dziedzinie muzyki greckiej“, Kraków, 1895.

— „Kalendarz Powszechny“ na rok 1895. Warszawa, nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ka.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z ROKU 1895.

Filozofia.

Str.

Nauki przyrodnicze i filozofia, przez d-ra H. Struvego 514

Historya.

Hasła i plany wojenne przeciw Turcyi, przez A. Rembowskiiego 21

Materyały i notatki.—Z dwóch sejmów,—przez Szymona Askenazego 118

Elekcyja za życia króla, wyjątek z niewydanej monografii „Dola i niedola Sobieskiego”,—przez Tadeusza Korzonia 215

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Dobra wiara,—przez d-ra Bronisława Łozińskiego 69

Pośmiertne dzieło W. Roschera o pauperyzmie,—przez Józefa B. Ocza-powskiego 102

Parcelacya,—przez A. Donimirskiego 305

Samorząd gminny,—przez A. Rembowskiiego 454

Literatura.

	<i>Str.</i>
Na służbie,—powieść (dokończenie), przez Z. Kowerską	1
Krysta,—nowella, przez Maryę Konopnicką	189
Babunia—nowella,—przez Elizę Orzeszkową	381
Z cyklu „Italia”, — „Incanto”, „Riva degli Schiavoni”, „Corregio”, „Rafael”—Sistina (poezye), przez M. Konopnicką	113
Echa wsi (poezya), przez Selima	321
„W Parku”, — Nad morzem (poezye), przez L. Rydla	511

Studia i szkice literackie i artystyczne.

Ze stosunków rodzinnych Juliusza Słowackiego,—przez d-ra Henryka Biegeleisena	90
Listy Juliusza Słowackiego do pani Joanny Bobrowej, wydane przez J. W.	265
Przegląd malarstwa polskiego IX. Matejko dyrektorem. —Dzwon.—Birtwa pod Grunwaldem,—przez d-ra K. Górskiego	490

Nauki przyrodnicze.

O metodach badania fizyologicznego,—przez d-ra M. Flauma	52
Na kresach ciepła i zimna, przez St. Kramsztyka	324
Ludwik Pasteur,—przez d-ra M. Flauma	397

Krytyka.

Dr Heinrich von Struve. „Die polnische Litteratur zur Geschichte der Philosophie”, —przez Kazimierza Kaszewskiego	132
Konstanty Górski. „Historia piechoty polskiej”, —Angerstein. „Der Conflict des polnischen Königs Boleslaus II mit dem Krakauer Bischof Stanislaus”; Kazimierz Gorzycki. „Kwestya lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza za rządów Kazimierza wielkiego”; —Tadeusz Wojciechowski. „O Piaście i piaście”; —przez A. Rembowskiego	132, 137, 146, 147, i 348
Kluczycki Stanisław. „Niebo i Ziemia”; —Wacław Nałkowski. „Zarys geografii powszechnej” (poglądowej), przez W.	150 i 153
Dr Bronisław Łoziński. „Prawo zwierząt,” przez I. K.	154

Dzierżanowska M., Niewiadomska C. i Warnkówna J. „Ćwiczenia do wykładu gramatyki i nauki języka podług zasad gramatyki Małeckiego i uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie”,—przez Justynę Feliksa Gajslera	158
Esteja. „Mgławica”,—Gabryela Zapolska. „Janka”, przez W. Karzewskiego	160 i 354
Piotr Chmielowski. „Współcześni poeci polscy”, przez Stanisława Kozłowskiego	542

Kronika zagraniczna.

<i>Paryska.</i> Książka Marka Leclerc: „Les professions et la Société en Angleterre. — Charakterystyka zmarłego w Rzymie archeologa Jana Rossi.—Wspomnienia literackie Edwarda Grenier.—Życiorys malarza Gaillanda,—przez Henryka Havarda. — Ruch literacki między kobietami—Przewaga żywiołu krytycznego w literaturze.—Albumy illustrowane Konstantego Chmielińskiego. — Pośmiertne poezye Lecomte de Lisle'a.—Grób Chateaubriand'a	286
<i>Londyńska.</i> przez E. Naganowskiego. Barney Barnato bohaterem dnia.—Prąd spekulacji w społeczeństwie angielskiem. — Demoralizacja w prasie.—„Nowa kobieta” w literaturze	438

Kronika miesięczna.

<i>Październik.</i> Powikłania w sprawie armeńskiej i kwestya wschodnia.—Nowy gabinet w Austrii i jego prezes hr. Badeni.—Zdobycie przez Francuzów stolicy Madagaskaru.—Dzień 20 września w Rzymie.—Alkoholizm, jako bodziec do zbrodni.—Towarzystwo umiarkowanego picia.—Interwencya prawa w stosunki między dziećmi i rodzinami. — Projekt podniesienia cenzusu umysłowego farmaceutów.—Pięćdziesięcioletni jubileusz Jana Pankiewicza.—Wystawy odbyte i zapowiadane.—Wystawy przemysłowe na prowincyi.—Projekt przytułku dla krawców-paralityków. — Jednodniówka „Proсна”, wydana w Kaliszu.—Kongresy i zjazdy.—Dola nauczycielek, scharakteryzowana przez p. Julię Unsztichtównę.—Biadania wśród panien na brak zajęcia.—Projekt syndykatu chmielarzkiego.—Zmarli: Arcybiskup warszawski, Zygmunt Szczęsny Feliński; muzyk, Jan Kleczyński; bakteryolog—Ludwik Pasteur	164
--	-----

Listopad. Rozwój wypadków na Wschodzie i jednomyślna interwencya mocarstw europejskich.—Zmiana ministryum we Francyi.—Radykalny gabinet Bourgeois.—Walka rządu z antysemitami w Wiedniu; odmowa cesarza zatwierdzenia wyboru d-ra Lügera na burmistrza.—Nawał wniosków i projektów, cechujący zwykle jesieną porę.—Udział kobiet w posiedzeniach Towarzystwa przemysłu i handlu.—„Delegacya pracy kobiet.”—Kwestya przystępowania kobiet do cechów.—Konieczność ułatwienia nauki elementarnej dla dziewcząt sklepowych.—Sprawa szkolnictwa zawodowego.—Rozchwianie się spółki ziemiańskiej dla handlu bydłem rzeźnego w współzawodnictwie z monopolem.—Zanik hodowli bydła zarodowego.—Krzążanie się komitetu wystawy higienicznej.—Tramwaj elektryczny i jego przeciwnicy.—Zmarli: muzyk Aleksander Zarzycki i artysta dramatyczny, Adolf Ostrowski 360

Grudzień. Jedność działań mocarstw europejskich na Wschodzie.—Przejazd przez Dardanele drugich okrętów stacyjnych.—Ścieranie się prądów w Konstantynopolu.—Przesilenie ministeryalne w Berlinie.—Sprawa Artona i gabinet radykalny we Francyi. Walką gabinetu austriackiego z antysemitami.—Skargi na nudy jesienne.—Knajpa jako ucieczka, alkohol jako lekarstwo od nudów.—Książka d-ra Tchórznickiego o pilnych sprawach higienicznych.—Pessimizm w kwestyach higieny.—Obowiązki rodziców i szkoły.—Otwarcie szkoły mechaniczno-technicznej.—Program szkoły i rola jej w naszym życiu ekonomicznem.—Wykryte świeżo w kutnowskim bogactwa kopalniane.—Brak wiedzy w rolnictwie. Brak rąk fachowych w ogrodnictwie.—Dzierżawa sadów wiejskich przez spekulantów 550

Wiadomości bibliograficzne.

Październik 183
 Listopad 375
 Grudzień 565

